PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK TRZECI. — TOM XII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1886.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1886.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	87	wiersz	13	*zamiast*	kraju	*czytaj:* przysięgłych
»	231	»	2	»	Ciąg dalszy	» Dokończenie
»	291	»	25	»	Quodlibet	» Quid'libet

FILOZOF CHRZEŚCIJAŃSKI

Z II. WIEKU,

ŚWIĘTY JUSTYN MĘCZENNIK.

W pierwszych latach panowania cesarza Antonina zjawił się w Rzymie, w płaszcz filozofa przybrany, zwolennik i żarliwy apostoł wyśmiewanej, lub pomijanej wzgardliwem milczeniem religii chrześcijańskiej. Był to w swym rodzaju ważny wypadek, zmieniający dotychczasowy stosunek, a raczej opinię powszechną o stosunku chrześcijaństwa do panującego poganizmu. W Rzymie roiło się od filozofów, a przynajmniej od ludzi odróżniających się w tłumie poważnym filozoficznym płaszczem; Antonin sprowadził do Rzymu i poruczył wychowanie przybranych swych synów Marka Aurelego i Werusa najznakomitszym przedstawicielom Portyku, szkoły Arystotelesa i Platona. Obok perypatetyka Sewera, platonika Maksyma, drugiego Maksyma z Tyru, ucznia Plutarcha, stoika Apoloniusza, gromadzili się — prawda, że już nie w pałacu cesarskim, ale po placach, ulicach i zaułkach Rzymu, — zapatrzeni na Wschód mistycy, brudni cynicy, liczni „adepci epikurejskiej trzody“; wreszcie zgadzający się z nimi w praktyce życia, wiecznie i ze wszystkiego drwiący w teoryi akademicy, sceptycy, pirroniści. Wszyscy ci ciągle kłócący się ze sobą mędrcy, jeśli w czem się zgadzali, to w głębokiej pogardzie dla chrześcijan „tych ludzi znienawidzonych dla swej bezecności, nędzników zasługujących na najokrutniejsze męki“, jak wyraża się Tacyt[1]; wierzących w Chrystusa „bez żadnej

[1] Annal. XV.

dobrej racyi", jak z zwykłą sobie ironią zapewnia Lucyan[1]; „rodzaj ludzi wyznających nowe zabobony i oddanych magii", jak znowu z powagą opowiada Swetoniusz[2]. Sami nawet stoicy, którzy przecież, zdawałoby się, powinni byli uchylić głowę przed cnotą i cierpliwością Galilejczyków, woleli tłumaczyć ją za Epiktetem manią, uporem, przyzwyczajeniem. Cesarz, filozof i prześladowca Marek Aureli złoży niezadługo wytrwałość chrześcijan w torturach, na karb śmiesznego, bezpodstawnego uporu[3].

Wrogie te a niesłuszne sądy o chrześcijanizmie podniecali jeszcze Żydzi, których kolonie po całem cesarstwie rozsypane prowadziły zaciętą walkę — dziś jeszcze nie skończoną — z imieniem Chrystusowem; pewnego prawdopodobieństwa dodawały im szalone wybryki i pomysły heretyków podszywających się pod nazwę chrześcijan. Na zewnątrz musiał walczyć chrześcijanizm z pogaństwem i żydostwem; na wewnątrz z herezyami. Dotychczas walczył niemal wyłącznie świętością życia, cudami, męczeństwem, prostem opowiadaniem objawionej prawdy; z kolei rzeczy i czasu przyzwać musiał na pomoc naturalnego swego sprzymierzeńca: — naukę, a przedewszystkiem filozofię.

W obec wrogiego usposobienia i wyobrażeń o chrześcijanizmie, pojawienie się w Rzymie chrześcijańskiego filozofa ważnym było i być musiało wypadkiem. Nie pierwszy to zresztą raz chrześcijanizm odwoływał się do sądu zdrowego ludzkiego rozumu, biorąc na świadków i sędziów między sobą a pogańskiemi zabobonami, pierwsze, ogólnie przyjęte zasady rozumowe i samychże rzymskich i greckich filozofów i poetów. Kwadratus, biskup ateński wręczył apologię religii chrześcijańskiej cesarzowi Hadryanowi, kiedy tenże r. 127 bawił w starej tej stolicy Grecyi i cywilizacyi; a niebawem, również w Atenach otrzymał Hadryan drugą apologię z rąk ateńskiego filozofa Arystydesa, ułożoną misternie z samych zdań wyjętych z najznakomitszych mędrców starożytności. Ale innego znaczenia była obrona filozoficzna chrześcijanizmu w Atenach, a innego w Rzymie, metropolii ówczesnego

[1] De morte Peregrini.
[2] In Claud. 25; In Neron 16.
[3] Myśli M. Aureliusza. Ks. IX. 3.

świata. Na Rzym skierowane były oczy wszystkich; chrześcijański filozof który występował tutaj w obronie upośledzonej dotąd religii, — wskazywał poganom, że wszyscy dawni prawdziwi mędrcowie przygotowywali choć bezwiednie drogę Chrystusowi, który ogłosił się iż jest jedyną „Prawdą“; a wykazywał Żydom, iż cały stary Zakon do Chrystusa dążył i w Nim znalazł wypełnienie wszystkich proroctw i obietnic: taki filozof wywrzeć musiał wpływ, nierównie szerszy i skuteczniejszy, niż go mógł wywrzeć w Atenach grecki uczony. Stąd pod każdym względem pisma i postać świętego Justyna stanąć mogą na pierwszem miejscu w licznym rzędzie późniejszych apologetów Kościoła; niejeden przedmiot wyłożyli oni jaśniej, barwniej, dokładniej, ale Justyn choć nie pierwszy w porządku czasu utorował im drogę, wpływem jaki wywarł, dobrem jakie zdziałał, a wreszcie nagromadzeniem nieprzebranych materyałów do obrony chrześcijaństwa, następców swych do dalszej walki najskuteczniej zachęcił i niemało ją ułatwił.

Bądź co bądź, pierwszy to „filozof chrześcijański“, którego postać i życie dokładniej nam znane. Młode lata spędził na szukaniu prawdy; poznawszy ją walczył za nią nieustraszenie, z gardzącem nią pogaństwem, nienawidzącem jej żydostwem, przekręcającemi ją herezyami; pod koniec życia stanął twarz w twarz z „filozofem pogańskim“, usiłującym stoickiemi formułkami przywołać do życia obumarłe pogaństwo. Filozof pogański, Marek Aureli, miał w ręku siłę i skazał filozofa chrześcijańskiego na śmierć; ale Justyn miał za sobą prawdę i ostatecznie „prawda zwyciężyła“. Zapoznajmy się teraz bliżej z tą pierwszą, lepiej nam znaną, skrystalizowaną w osobie Justyna, walką na całej linii filozofii chrześcijańskiej z wiedzą pogańską, żydowską czy sekciarską; przypatrzywszy się jasno, już w drugim wieku zarysowującemu się, a znów streszczającemu się w Justynie, do dziś dnia niezmienionemu stosunkowi umiejętności ludzkiej do prawdy objawionej.

I.

Rok urodzenia Justyna przypada na koniec pierwszego, lub może na sam początek drugiego wieku. Rodzina jego od drugiego

już pokolenia osiadła w Samaryi, w dawniejszem Sychem, ówczesnej: Flavia Neapolis; ale tak dziad jego Bacchius, jak ojciec Priscus, twardo stał przy bałwochwalskich ołtarzach, spoglądając z lekceważeniem na otaczające ich, wyrodzone w różne sekty żydowstwo[1]. W rzymskiej kolonii Flavia Neapolis, kwitła grecka nauka; miał więc młodociany Justyn sposobność zapoznać się z wiedzą grecką, z rzymską kulturą, z żydowskiemi sektami i przesądami. Pogańskie bożyszcza i obrzędy zaspokoić naturalnie nie mogły jego umysłu, jak zresztą żadnego głębszego umysłu na seryo nie zaspokajały; Żydzi otoczeni powszechną pogardą, przywiązani niewolniczo do pewnych miejsc, zamknięci w ciasnem kółku coraz bardziej ścieśniających się pojęć, pociągnąć go do siebie nie mogli; najponętniejszą przedstawiała się grecka filozofia, z szerokim widokiem na wszechświat, dotykająca, pozornie czy rzeczywiście, najważniejszych zagadnień, męczących umysł i serce człowiecze.

Ale grecka filozofia dzieliła się na tyle różnych, zazwyczaj wprost sobie przeciwnych systematów, ile było słynniejszych filozofów. Który z tych systematów mieścił w sobie największą część, jeśli już nie całą prawdę? Umysł młody, niezepsuty zwrócić się najprzód musiał do stoicyzmu, imponującego nadludzką jakąś nauką, heroicznem poskromieniem zmysłów, podniesieniem człowieka niemal do rzędu bogów. Ile w tych brzmiących słowach było próżnej, teatralnej pompy — ile wcale nie filozoficznej, a nierozsądnej dumy, tego Justyn z początku nie podejrzewał, ale wnet zupełnie jasno o tem się przekonał. Stoicyzm kazał chować moralność, gnębić ciało, nie czuć, a przynajmniej nie przyznawać się do cierpień; ale dla kogo i dla czego ponosić należało te wszystkie ofiary, o tem zachowywał najgłębsze milczenie. Jak niektórzy późniejsi filozofowie, zawiesił moralność gdzieś w powietrzu, i zwolennikom swoim kazał klękać przed tem nowem bóstwem. Zdrowy rozum Justyna oburzył się na taką niedorzeczność:

---

[1] Św. Epifaniusz, (Haer. XLVI. 1.), wyraźnie myli się sądząc, że rodzina Justyna należała do sekty samarytańskiej, gdyż temu twierdzeniu sprzeciwiają się wielokrotne, bardzo jasne słowa samegoż Justyna, np. Dialog. cum Tryphone cc. 28, 41 i nast.

„Na początku, opowiada sam[1], oddałem się pod kierunek pewnemu Stoikowi. Dość długo z nim zabawiłem, ale gdy niczego o Bogu się nie dowiedziałem, bo i nauczyciel mój nic nie wiedział, i nawet nie uważał tej wiedzy za potrzebną, opuściłem go, a udałem się do innego, którego nazywali Perypatetykiem, człowieka, przynajmniej jak sam o sobie sądził, nader dowcipnego. Po paru pierwszych dniach zgłosił się do mnie z prośbą o uregulowanie zapłaty, aby, jak się wyraził, rozmowy nasze lepsze przynosiły owoce. Posłyszawszy te słowa, pożegnałem go, uważając, iż nawet na imię filozofa nie zasługuje. Ale chęć posłyszenia najważniejszych i najgłówniejszych filozoficznych zasad nie wygasła; dlatego poszedłem do bardzo słynnego Pitagorejczyka, człowieka chełpiącego się z wielkiej swej mądrości. Rozpocząłem z nim rozmowę, przedstawiając, iż pragnę zostać jego słuchaczem i domownikiem. Powiedz mi, odparł mi na to, czy uczyłeś się muzyki, astronomii i geometryi? Sądziszże, iż zrozumiesz co z rzeczy, prowadzących do życia szczęśliwego, nie poznawszy wprzód nauk, które odrywają umysł od przedmiotów, działających na zmysły i uzdalniają do przyswojenia sobie pojęć umysłowych, tak iżby rozum w samą piękność i w samą dobroć mógł się wpatrywać? Następnie zaczął dalej nauki te wychwalać, unosić się nad ich koniecznością, a gdym wyznał me nieuctwo, pożegnał mię i odszedł“ ... Doprawdy, było czem się zniechęcić i zrozpaczyć o filozofii. Stoik nie chciał się nawet wdawać w roztrząśnienie pierwszych zagadnień filozoficznych; Perypatetyk traktował swą naukę, jak rzemiosło; chełpliwy Pitagorejczyk odsyłał go do muzyki i matematyki, nie dając w dodatku rękojmi, czy za cenę tylu poświęceń, zdoła kiedyś odkryć i okazać źródło prawdy. Justyn jednak nie zniechęcił się, nie zapisał w szeregi sceptyków, jak tylu innych uczyniłoby na jego miejscu, lecz dalej uciekającej przed sobą prawdy niezmordowanie szukał. Na chwilę zdawało mu się, że znalazł ją w filozofii Platona. Istotnie, był to podobno jeszcze najdoskonalszy, w każdym razie najwznioślejszy system, jaki rozum ludzki, posiłkując się okruchami przyćmionego w pamięci ludów Objawienia, ukleić zdołał. „Nie wiedząc jak

[1] Dialogus cum Tryphone II. — *Migne* Opera Justini p. 478.

sobie poradzić, opowiada Justyn [1], i co dalej zrobić, postanowiłem udać się do bardzo cenionych Platoników. W tym właśnie czasie przybył do naszego miasta jeden z głównych ich mistrzów. Wszedłem z nim w codzienne stosunki i spostrzegłem po długich z nim rozmowach, iż dzień w dzień coraz większe czynię postępy. Poznawanie rzeczy umysłowych napawało mię radością, wpatrywanie się w idee dodawało skrzydeł umysłowi. Wyobrażałem sobie, że w krótkim przeciągu czasu zmieniłem się w mędrca, a w głupstwie mem spodziewałem się wnet dojść do oglądania Boga, do czego ostatecznie dąży filozofia Platona".

Nasz filozof doszedł do kresu, do którego rozum ludzki sobie zostawiony mógł go doprowadzić. Stanął przed otchłanią, dzielącą prawdę ziemską od nadprzyrodzonej prawdy Bożej, przez Chrystusa objawionej; przejść tej otchłani własną siłą nie mógł, jak nie mógł żaden z mędrców starożytności, ale szczęśliwszy od nich, cudem łaski Bożej na drugi brzeg został przeniesionym. Kiedy i gdzie cud ten się odbył, trudno dokładnie oznaczyć [2]; w każdym razie w Efezie lub Aleksandryi, między r. 126 a 137. Natomiast sam Justyn opowiada szczegółowo, w jaki sposób Bóg mu oczy otworzył i z Platonika zmienił w chrześcijanina. Jak zazwyczaj, jak bardzo często przynajmniej, rozum, umiejętność ludzka, otworzyć miała bramę łasce i umiejętności Bożej.

Justyn wiedział o nowej religii, powstałej ledwie przed stu laty, a zapuszczającej już głęboko korzenie we wszystkich częściach znanego świata; słyszał o chrześcijanach — o ich wrzekomych zbrodniach; uderzyła go zwłaszcza niezłomna ich stałość w torturach. „I ja również, pisał później w Apologii chrześcijanizmu [3], kiedy byłem jeszcze Platonikiem, słyszałem o zbrodniach przypisywanych chrześcijanom, ale wiedząc, jak bez bojaźni stawali przed śmiercią i rzucali się w sam środek niebezpieczeństw, nie mogłem zgodzić się na myśl, aby żyć mieli w rozpuście i lgnąć do roskoszy. Bo i jakże sobie wyobrazić, aby człowiek oddany niepohamowanym żą-

[1] Tamże.

[2] Najrozmaitsze w tym względzie zdania krytyków i pisarzy kościelnych przytacza i rozbiera obszernie *Freppel* „Saint Justin" p. 105 i nast. (Wydanie r. 1869).

[3] Apol. II., c. 12. Migne, p. 463.

dzom, niewolnik ciała i przyjemności tego świata, szukać miał śmierci, ogałacającej go z wszystkich tych dóbr? Czyż zamiast wystawiać się na nieodzowny wyrok potępienia, nie powinienby i nie musiał usuwać się przed czujnością urzędników, aby jak najdłużej używać miłego życia?".

Rozumny szacunek dla niezłomnych wyznawców chrześcijanizmu, przygotował drogę łasce Bożej. Razu pewnego Justyn przechadzając się nad brzegiem morza, rozmyślał nad światem niewidzialnym, światem odwiecznych idej platońskich, gdzieś poza grubą zasłoną się kryjących, gdy w tem ujrzał opodal zbliżającego się do siebie starca, na którego twarzy wyryty był dziwny wyraz słodyczy i powagi[1]. „Zwróciwszy się doń, opowiada Justyn[2], sta„nąłem, i począłem weń się wpatrywać".

„Czy znasz mię? zapytał.

„Odpowiedziałem, że nie znam.

„A więc czemu, rzekł, tak się we mnie wpatrujesz?

„Dziwię się, odparłem, naszemu spotkaniu. Nie sądziłem, „abym w tej samotności kogo zobaczył.

„Niespokojny jestem o paru mi bliskich, którzy w podróż się „udali. Przyszedłem więc popatrzyć, czy ich gdzie na horyzoncie „nie widać. — A ty, cóż tu robisz?

„Lubię bardzo tego rodzaju przechadzki, w czasie których „bez żadnej przeszkody, mogę dowolnie z samym sobą rozmawiać. „Takie samotne miejsca najodpowiedniejsze są do filozofowania.

„A więc, odparł mi na to, kochasz się w słowach, a nie „w uczynkach i prawdzie, i radbyś być raczej sofistą, niż człowie„kiem praktycznym.

„Na tom odpowiedział: Cóż może być większego i lepszego, „jak wykazać, iż rozum nad wszystkiem panuje, a ująwszy niejako „ten rozum oburącz i wziąwszy go w swe posiadanie, rozważać „błędy i badania ludzkie, i jak ludzie nic mądrego nie czynią, nic

---

[1] Kim był ów starzec? Czy św. Polikarp, — jak domyśla się Fabrycyusz — czy anioł pod ludzką postacią, jak mniema Tillemont i Halloin, czy poprostu uczony jakiś a pobożny chrześcijanin, może kapłan efezki lub aleksandryjski? Ostatnia ta hipoteza wydaje się najprawdopodobniejszą. Por. *Freppel* p. 106.

[2] Dialogus cum Tryphone c. III. *Migne.* p. 479 np.

„Bogu się podobającego. Bez filozofii i zdrowego rozsądku nikt do „roztropności nie dojdzie. Dlatego każdy człowiek powininien od- „dawać się filozofii, uważając ją za rzecz największą i najważniejszą; „a wszystko inne kłaść powinien na drugiem i na trzeciem miejscu...

„A więc filozofia czyni człowieka szczęśliwym?, zapytał starzec.

„Filozofia, i sama wyłącznie filozofia".

„Powiedz mi zatem, jeśli ci wolno i możesz, czem jest filo- „zofia, i na czem zależy dawane przez nią szczęście?

„Filozofia jest nauką o bycie i poznaniem prawdy. Szczęście „zaś jest nagrodą tej wiedzy i mądrości.

„A czemże jest Bóg, wedle ciebie?, zapytał mię.

„To, co zawsze jest i nigdy się nie zmienia, i co jest przy- „czyną istnienia wszystkich innych rzeczy, to bezwątpienia jest „Bogiem".

Lecz starzec nie zadowolnił się tą odpowiedzią. Wszyscy wyznają, że Bóg jest, ale czem jest Bóg, jaką Jego istota i jakie przymioty, na to pytanie, mówił, ani dwóch filozofów nie dało zgodnej odpowiedzi. Platon naznaczył, jako ostateczny cel swej filozofii, oglądanie Boga okiem rozumu, lecz ani Platon, ani żaden z jego następców celu tego nie dopiął i nigdy nie dopnie. Dość przyjrzeć się temu długiemu szeregowi coraz różniejszych, coraz nierozsądniejszych zdań o naturze Bożej, — a wychodzących przecież z ust pierwszych mędrców świata, — aby się przekonać, iż sam rozum ludzki tu sobie nie poradzi, że z pewnością wykrzywi prawdziwe pojęcie o Bogu, jeśli jasne objawienie nie przyjdzie mu w pomoc.

„Jakto, zawołał Justyn [1], nawet i ci filozofowie prawdy nie „poznali! A jakichże w takim razie trzymać się mamy nauczycieli? „kogo o prawdę pytać?.

„Bardzo już dawno temu, rzekł starzec, dawniej niż owi „wszyscy filozofami zwani, żyli święci mężowie, sprawiedliwi i Bogu „mili, którzy za natchnieniem Ducha św. przepowiadali rzeczy „przyszłe, dziś spełniające się: mężów tych prorokami zowiemy. „Oni jedni ujrzeli prawdę i ludziom ją opowiedzieli, nie bojąc się

[1] Dial. cum Tryphone. c. VII., *Migne* p. 491 sq.

„ani lękając nikogo, dalecy od gonienia za chwałą, to tylko „mówili, co Duch św. dał im widzieć i słyszeć. Mamy do dziś „dnia ich pisma; kto je przeczyta i uwierzy im, dowie się bardzo „wiele o początku i celu wszystkich rzeczy; o wszystkiem tem, „o czem filozof wiedzieć powinien. W pismach tych nie dowodzą oni „rozumowo jednej rzeczy po drugiej, albowiem, jako najwłaściwsi „świadkowie prawdy, stali po nad wszelkiemi rozumowaniami: ale „całe dawniejsze i obecne dzieje zmuszają nas do uwierzenia ich „proroctwom. Nadto zdziałane przez nich cuda dają świadectwo „ich słowom i nauce o Bogu Ojcu, Stwórcy wszechrzeczy i o ze- „słanym przezeń Synu Jego, Chrystusie. Fałszywi prorocy, kłam- „liwym i nieczystym duchem napełnieni, odważają się na pewne „sztuczki, któremi wprawiają w zdumienie umysł ludzki i od- „dają cześć szatanom i duchom błędu; ale prawdziwych cudów „nigdy nie zdziałali i nie zdziałają. Ty zaś błagaj Boga, aby bramy „światła prawdziwego przed tobą otworzył; bo rzeczy tych nikt „dojrzeć, ani zrozumieć nie może, jeśli Bóg i Chrystus Jego rozumu „jego nie oświeci.

„Gdy starzec, ciągnie dalej Justyn, wypowiedział te słowa, „i poruszył jeszcze wiele innych przedmiotów, nad ktoremi w tej „chwili nie ma potrzeby dłużej się zatrzymywać, odchodząc polecił mi „zastanowić się nad tem wszystkiem; więcej już go w życiu nie „widziałem. Od tej chwili w duszy mej rozpalił się ogień; serce „przepełniło się miłością ku prorokom i ku wszystkim przyjaciołom „Chrystusa. Rozważając i zastanawiając się nad każdem usłyszanem „słowem, poznałem jasno, że znalazłem wreszcie jedyną bezpieczną „i pożyteczną filozofię. W tem znaczeniu i z takiego powodu jestem „filozofem. Jakżebym pragnął, aby wszyscy poszli w me ślady, „a nikt od nauki Zbawiciela na manowce się nie oddalał. Bo „nauka ta, obleczona w straszny jakiś majestat i poruszająca serca „błądzących, dla rozważających i rozmyślających nad nią, najsłod- „szym jest odpoczynkiem“.

Ostatnie słowa wskazują, że Justyn szczęśliwy odnalezieniem prawdy, przepełniony łaską Bożą, pragnął z całą gorącością serca odsłonić, jeśli można całemu światu skarby tajemnic Bożych i spełniać względem innych misyę, której względem niego samego dopełnił

zesłany mu przez Boga, tajemniczy starzec. „Ktokolwiek, pisał później[1], mogąc prawdę głosić, zaniedbuje tego, winnym jest w obec Boga". Aby tej winy się nie dopuścić, puścił się za przykładem apostołów w prawdziwie apostolską pielgrzymkę po Egipcie, Azyi Mniejszej, wreszcie dotarł do Rzymu. Poważny, odrębny krojem płaszcz, — oznaka filozofa, — którego, idąc w ślady poprzednika swego Arystydesa[2], nie zrzucił zostawszy chrześcijaninem — jednał mu powagę i przystęp do ludzi i domów, zamkniętych dla chrześcijanina, ale naoścież roztwierających się przed filozofem.

Filozof chrześcijański, słowa te w wielu uszach brzmiały jak paradoks; przecież chrześcijanie, wedle mniemania ludu, senatorów, poetów i uczonych rzymskich, byli stekiem zbrodniarzy; a ich religia zbiorem niedorzeczności. Czyż człowiek znający system boskiego Platona, głębokiego Arystotelesa mógł uwierzyć w ukrzyżowanego króla żydowskiego? Niepodobna — mógł on zostać zwolennikiem Epikura, Zenona, Pitagorasa; mógł uderzyć czołem przed wschodnim Mithrą, nilowym krokodylem, glinianym fetyszem — ale kiedy został chrześcijaninem, to rzecz jasna, iż uczynił to lekkomyślnie, bez żadnej dobrej przyczyny, chyba może dlatego, aby swobodniej popuścić cugli namiętności.

Takie słowa i mowy obijały się Justynowi codziennie o uszy, streszczające się w formułce nie w onczas tylko i nie do niego tylko samego zastosowywanej: „Jeśli jesteś chrześcijaninem, nie możesz być filozofem; jeśli jesteś filozofem nie mów, żeś chrześcijaninem". Na wszystkie te i podobne do tych zarzuty odpowiedział Justyn w trzech rozprawach, przenoszących walkę w sam obóz nieprzyjacielski, raczej zaczepnych niż odpornych, a skierowanych na pierwszem miejscu do Greków, jako przedstawicieli uczoności pogańskiej. „Nie sądźcie o Grecy, tak rozpoczyna Mowę do Greków[3], żem bez

[1] Dial. cum Tryphone c. 38, 44 i gdzieindziej *passim*.

[2] Justyna naśladować znów będą Tertulian, Grzegorz Cudotwórca i wielu innych.

[3] *Oratio ad Graecos. Migne* p. 229—241. Kestner w dziele p. t. *Die Agape*, przypuszcza iż Justyn w przejeździe przez Ateny wygłosił tę mowę w obec licznie zgromadzonych filozofów, przed którymi wyłuszczał powody swego nawrócenia się. Hipoteza ta nie znajduje zatwierdzenia w samym kontekście, który raczej by się sprzeciwiał, a że o innych dowodach nie może być mowy, przeto niewiedzieć nawet, czy, i z jakiego tytułu rościć sobie może prawo do nazwy hipotezy. Por. *Freppel* p. 110 nast.

„żadnego powodu i zastanowienia od obrzędów waszych odstąpił. „Nie znalazłem w nich nic świętego, nic Bogu miłego. Bogowie „wasi niegodni i źli, od ludzi stokroć gorsi. Zrodzili się oni w umy„śle Homera i Hezyoda; jakże chcecie żebym bajkom homerowskim „uwierzył, kiedy cały rapsod obraca się koło kobiety, początkiem „i końcem Iliady i Odysei zawsze i ciągle kobieta? Ile Bogów, „tyle różnych, coraz szkaradniejszych występków do godności bo„skiej podniesionych; cały czas bogów upływa na pijaństwie, „zbytkach, tańcach lubieżnych. Gniewasz się na żonę, jeśli na„śladuje Wenerę — na syna, jeśli idzie w ślady Jowisza: jakiemże „prawem przeciw nim powstajesz jeśli uwielbiasz Jowisza, i We„nerze wznosisz świątynie? Zastanówcież się już nakoniec i stań„cie się uczestnikami niezrównanej mądrości... Nasz wódz, „Słowo Boże nie ceni siły ciała, ani piękności twarzy, ani wznieca„jącego dumę urodzenia — lecz ceni jedynie duszę czystą, przybraną „w świętość i uczynki Boże, które są barwą króla naszego, Słowo „wlewa w duszę naszą dziwną siłę, która przemienia nas nie w poe„tów, ani w filozofów, ani w znakomitych mówców, ale ze śmier„telnych czyni niepodległymi śmierci, z śmiertelników bogami, „z ziemi przenosi po nad wszystkie Olimpy; zbliżcie się Grecy, „dozwólcie się pouczyć; stańcie się tem, czem ja jestem, boć i ja „kiedyś byłem tem, czem wy jesteście. Siła nauki, moc Słowa zwy„ciężyły mię. Jak zręczny czarodziej wyprowadza węża z jego kry„jówki, a potem z łatwością do ucieczki zmusza, tak Słowo wypę„dza z najskrytszych głębin duszy zmysłowe chęci i instynkta, na „pierwszem miejscu pożądliwość, matkę wszelkiego złego, z której „rodzą się straszliwe nieprzyjaźni, kłótnie, zazdrość, nienawiści, „gniewy, i inne podobne do tych występki. Po wypędzeniu pożą„dliwości dusza odzyskuje pokój i swobodę, a uwolniona od ota„czających ją wrogów, powraca do swego Stwórcy, jako do przy„rodzonego źródła i początku swego".

Tę samą myśl przewodnią, ale daleko dokładniej i głębiej, przeprowadza Justyn w Napomnieniu do Greków[1]. „Zajrzyjmy do samych początków waszej religii; skądże ona pochodzi, kto was jej nauczył? Czy poeci? Ależ poeci mieli najśmieszniejsze pojęcia o bogach; dość przytoczyć bajeczki naiwnie opowiadane

[1] *Migne* p. 241—311

przez Homera lub Hezyoda. Więc może filozofowie; do nich bowiem, jakby do muru obronnego zwykliście się uciekać, gdy kto na was natrze, przywodząc najróżniejsze opinie poetów. Filozofowie jeszcze bardziej między sobą się różnią, jeszcze śmieszniejsze historye opowiadają „pokrywając poważną, uczoną mową, teorye wcale nie poważne i nie uczone". Może najpoważniejsi, najgłośniejsi filozofowie: Arystoteles i Plato? A któż ich znowu religii nauczył? Czemuż między sobą na zabój się sprzeczają? Plato, jakby sam niebo oglądał, opowiada, że Bóg jest ogniem; Arystoteles sprzeciwia mu się, a na świadka wzywa Homera, który już poprzednio musiał na rozkaz Talesa popierać swem świadectwem zupełnie odmienne zdanie. W tem chyba jednem można oddać filozofom sprawiedliwość, że wzajemnie ze sobą walczą, jeden drugiego błędy odkrywa, a tak nam drogę ułatwiają. A zatem, gdy od poetów i filozofów waszych niczego dowiedzieć się nie można, nas słuchajcie, którym jednozgodnie, jakoby na jednej lirze grając, przodkowie naukę Bożą przekazali.

Przemawiając do pogan, do uczonych greckich a przemawiając raczej w charakterze filozofa, niż apostoła nie chciał i nie mógł Justyn przystąpić wprost do wyłuszczenia nauki objawionej jako takiej; nie zrozumianoby go i wyśmiano. Należało wpierw zjednać powagę dla proroków, wykazać prawdziwość ich natchnienia, przekonać rozum o boskości Chrystusa z życia jego, czynów, nauki i całej historyi świata, a dopiero wtenczas można było odwołać się na słowa Chrystusa i proroków, jako na niepodlegające wątpliwości dowody. Do tego celu zdąża Justyn w drugiej, mniej polemicznej, bardziej etycznej części Napomnienia do Greków i w rozprawie *De Monarchia* (O jedności Boga), wykazującej, iż rozum i same nawet pogańskie podania sprzeciwiają się wielobóstwu. Zasadą Justyna było zbijać pogan słowami najsłynniejszych pogańskich mędrców[1] nie przeczy on bynajmniej, że do nauki bał-

[1] Czy Justyn i następni apologeci nie idą tu czasem za daleko, czy nieraz nie naciągają słów greckich mędrców i poetów, czy przedewszystkiem zbyt łatwowiernie nie cytują niektórych ustępów z ksiąg sybilijskich, orfijskich poezyj, dramatyków greckich, bardzo wątpliwej autentyczności, a najprawdopodobniej podrobionych przez Żydów aleksandryjskich? Żydzi prozelici robili mnóstwo ustępstw helleńskim tradycyom, aby tak pogan do siebie

wochwalczej zabłąkało się niejedno zdrowe ziarnko prawdy, ale udowadnia że te drobiny prawdy zawdzięcza Objawieniu Bożemu, względnie Chrystusowi. Tej samej metody, posuwanej niekiedy za daleko, ale w gruncie prawdziwej, a w obec pogańskich czytelników skutecznej, trzymali się poprzedni i przez długie lata następni apologeci chrześcijańscy.

Stwierdziwszy świadectwami egipskich kapłanów i pogańskich pisarzy, że Mojżesz żył daleko dawniej, niż Plato, Arystoteles i inni starożytni filozofowie, prawodawcy i poeci, twierdzi Justyn, iż wszyscy oni mniej lub więcej, czerpali swą naukę z dawnego objawienia Pisma św.

Jakżeż więc o Grecy, kończy i streszcza Justyn, swe N a p o m n i e n i e, możecie uczyć się religii od tych, którzy tylko alegorycznie tłumaczyli to, czego się sami od Mojżesza i innych proroków dowiedzieli. Ze źródła czystą wodę pijcie, nie ze strumyków zamąconą. Jeśli szukacie dźwięcznych słów w piękne okresy złożonych, czytajcie waszych pisarzy — jeśli szukacie prawdy, zagłębiajcie się w proroków. Sybilijskie poemata, filozoficzne pisma otwierają wam bramę do tajemniczego pałacu Pisma św.; ale wewnątrz tego pałacu prawda zamieszkała, jeśli chcecie ją ujrzyć, przejdźcie bramę, a zagłębcie się śmiało w majestatycznych jego krużgankach.

W dotychczasowych rozprawach: „Mowie do Greków“, „Napomnieniu do Greków“, „De monarchia“, zwracał się Justyn głównie

---

przyciągnąć; w tym celu założyli w Aleksandryi formalne biuro trudniące się fałszowaniem i wciskaniem odpowiednich zdań i wyrażeń w księgi dawnych pisarzy. Apologeci chrześcijańscy, a między nimi i Justyn wpadali czasami w tę łapkę, zastawioną przez Żydów na pogan, ale czasami tylko, odnośnie do pewnych szczegółowych cytat lub twierdzeń. Główna treść ich argumentacyj pozostaje niezachwianą, gdyż choć ani Platon, ani Homer, Pisma św. prawdopodobnie bezpośrednio nie znali, to przecież bez wątpienia resztki prawdy przechowały się drogą tradycyi między poganami. Wiele obrzędów, bóstw, uroczystości, zabobonów pogańskich, mieści w sobie nieraz bardzo wprawdzie spaczone, ale dość jednak wyraźne przypomnienia objawionej prawdy. Swoją drogą Justyn często za daleko posuwa tę niezaprzeczoną analogię między prawdziwą religią, a pogańskiemi mitologiami; za nim pójdą Klemens Aleksandryjski, Orygenes, Euzebiusz z Cezarei; a Huet, Bochart, Delort de Lavaur w każdym niemal szczególe starych poetów i filozofów ślady Mojżesza upatrywać będą. Por. *Lüken* „Die Traditionen des Menschengeschlechtes“; *Freppel.* „St. Justin“. p. 197—227.

do uczonych, do filozofów pogańskich. Ale młody chrześcijanizm nietylko z filozofami musiał stawać do walki; straszniejsze zapasy czekały go z ludowemi przesądami, z chciwym krwawych igrzysk motłochem, z pochlebiającymi niskim tym namiętnościom pretorami, senatem i cezarami. Przerażające pogłoski, o chrześcijanach, podobno rozsiewane przez Żydów [1], rozchodziły się z dziwną szybkością i znajdowały chętną wiarę: głoszono o ateizmie chrześcijan, o ohydnych nawet dla uszu pogańskich występkach, o tajemniczem pożeraniu zabitych niemowląt. Między ludem opowiadano sobie ze śmiechem i wstrętem, że nowa jakaś, nawet w Rzymie szerząca się sekta żydowska oddaje cześć osłom, a krzyż za boga uznaje [2]. Herezye Bazylidesa, Saturnina, Karpokratesa, Menandra, Nikolaitów, niecne ich życie, nauka i obrzędy, nadawały tym oszczerstwom pewien pozór prawdy; zwykły poganin nie rozróżniał prawdziwego ucznia Chrystusowego, od zarażonego wschodniemi błędami heretyka, omal nie klękającego przed Astartą, lub w głupiej zapalczywości potępiającego najświętsze serca ludzkiego uczucia. W nienawiści swej obejmował wszystkich chrześcijan bez wyjątku i dla wszystkich domagał się tortur i śmierci.

Ostatnie lata pierwszej połowy drugiego wieku obfite były w klęski publiczne: głód, trzęsienia ziemi w Azyi Mniejszej, wylew Tybru, częste pożary w Rzymie, Antyochii, Kartaginie; aż za wiele powodów, aby burza prześladownicza, która była za Hadryana na chwilę ucichła, na nowo z większą jeszcze gwałtownością się wzmogła. Chcieć bronić chrześcijaństwa w uczonej apologii przed Neronem, byłoby czasem straconym: poeta-rozpustnik czytaćby ją sobie kazał dla żartu przy blasku płonących chrześcijan; ale Antonin, a bardziej jeszcze syn jego przybrany Marek Aureli, obaj chlubiący się z nazwy filozofów-stoików nie mogli nie przeczytać i nie rozważyć pisma, przemawiającego w imię rozumu i filozofii. Cesarze filozofowie nie jątrzyli wprawdzie sami pogan przeciw chrześcijanom, lecz obojętnie, aż nadto filozoficznie przypatrywali się prześladowaniu podjętemu w ich imieniu i przez ich urzędników. Obowiązkiem filozofa chrześcijańskiego było jawnie wykazać niesłu-

[1] Tak mniema sam św. Justyn, Tertulian, Orygenes, Euzebiusz. Por. *Prudentii Marani.* „Praefatio ad opera Justini". *Migne* p. 1279.

[2] *Origines.* „Contra Celsum l. VI; *Tertul.* Apol. c. 7; l. I. *Ad Nat.* c. 11.

szność czynionych zarzutów, domagać się od cesarzów, w imię rozumu i sumienia, ścisłego zbadania nauki i obyczajów chrześcijan i ścisłej sprawiedliwości. Obowiązku tego dopełnił Justyn w pierwszej swej apologii, stanowiącej epokę w dziejach apologetyki chrześcijańskiej [1].

Urzędowy ten niejako memoryał podany w imieniu chrześcijan cezarom, senatowi i ludowi rzymskiemu, rozpoczynał się urzędową formą:

„Cesarzowi Tytusowi Eliuszowi Adryanowi Antoninowi Piu-„sowi Augustowi Cezarowi i synowi jego Werysymowi filozofowi, „i Lucyuszowi filozofowi, z urodzenia synowi Cezara, z przy-„brania synowi Piusa, miłośnikowi nauki, i świętemu senatowi i ca-„łemu ludowi rzymskiemu, za tymi, którzy z całego rodzaju ludz-„kiego wybrani niesłusznych mąk i udręczeń doznają, Justyn syn „Pryskusa, wnuk Bakchiusza, obywateli z Flavia Neapolis miasta „w Syryi Palestyńskiej położonego, jeden z liczby owych prześla-„dowanych, mowę tę i prośbę spisałem".

Tytuły urzędowe zachował Justyn w całości, ale już pierwsze słowa samego memoryału wskazują, że nie myślał bynajmniej w kornych wyrazach błagać łaski cesarskiej, lecz przemawiać, jak filozof do filozofów, jak poddany, ale mający za sobą słuszność i prawdę, do panów swych zostających może w mimowolnem od przodków odziedziczonym błędzie: „Nakazuje rozum, aby prawdziwi miłośnicy „cnoty i mądrości, jedynie prawdę czcili i miłowali, a nie szli za „zdaniem przodków, jeśli ono jest złem i fałszywem. Bo nietylko zdro-„wy rozsądek przepisuje, abyśmy źle uczących, lub czyniących nie „naśladowali — lecz nadto miłośnik prawdy nawet groźbą śmierci „do wybrania, uczynienia lub przemówienia za niesprawiedliwością „nakłonić się nie powinien. Nazywają was cnotliwymi i filozofami, „stróżami sprawiedliwości i opiekunami nauki — czy jesteście takimi, „pokaże się. Nie myślimy bowiem w tem piśmie wam pochlebiać, „albo łaskę sobie waszą jednać; ale żądamy w niem sądu po do-„kładnem i pilnem rzeczy zbadaniu; chcemy aby wam się nie zda-„rzyło, z powodu uprzedzenia, z chęci przypodobania się zabobonnikom, „z nierozumnej namiętności, lub może dając ucho zagnieżdżonym

[1] *Migne.* „Opera Justini" p. 327—440.

„oddawna w umyśle baśniom, na siebie samych wyroku potępienia „wydać. Tak bowiem sobie tuszymy, że nikt nam nic złego wy- „rządzić nie może, jeśli nas o czarnoksięstwo nie przekona, lub „zbrodni naszych nie wykaże. Wy zaś zabić nas możecie, — lecz za- „szkodzić nam nie możecie".

Prosimy o sąd, o ścisłe śledztwo; jeśli to śledztwo dowiedzie nam jakiego występku, wtedy karzcie nas tak, jakbyście innych waszych poddanych karali. Dotychczas w tem nas tylko winujecie, że zowiemy się chrześcijanami; samo już nazwisko imieniem zbrodni piętnujecie, a przecież pod jednem nazwiskiem, podobnie jak i w szkołach filozofów, i źli i dobrzy mogą się ukrywać. Szatani, chcąc uwieść ludzi, podali się za bogów, a wy przed tymi bogami padacie na kolana. Sokrates poznał się na nich i przeto go uśmiercili, nazywając ateuszem; podobnie i nas zowiecie ateuszami i poprzestając na tem nieudowodnionem zarzucie z nazwiska, a nie z rzeczy, prowadzicie nas na śmierć.

Nie jesteśmy ateuszami. Prawda, — nie czcimy bogów z podłego ulepionych materyału, przez ręce zmazane niejedną zbrodnią — ale czcimy Boga w Trójcy jedynego; wyznajemy, że Chrystus, Bóg prawdziwy jest naszym Zbawicielem. Żyjemy wedle nauki Chrystusowej. Naukę tę, krótką i zwięzłą, bo Chrystus nie był sofistą, tutaj podamy; czy zaś do niej życie nasze się stosuje, wasza rzecz osądzić.

Chrystus nakazał czystość nietylko w uczynku, ale nawet w myśli; chcecie, a przywiodę wam siedmdziesięcioletnich starców niewinnych jak nowonarodzone dzieci; przywiodę cały zastęp takich co rozpustnikami byli w pogaństwie, a pokutnikami zostali w chrześcijaństwie. Chrystus nauczył nas miłości nieprzyjaciół, wspomagania ubogich, pokory, cierpliwości, wstrzymywania się od niepotrzebnej przysięgi, oddawania czci boskiej jednemu tylko Bogu; jeśli kto tak nie żyje, nie jest chrzaścijaninem, i sami prosimy, byście takiego karali. Chrystus nauczył nas słuchać królów i przełożonych; za dobre uczynki obiecał wieczną nagrodę, za złe wieczną karę. Jesteście filozofami, wiecie więc, że filozofowie uczą w swych księgach wiele z naszych nauk — czemuż ich nie karzecie?

Jedni czczą drzewa i rzeki, inni myszy, szczury, krokodyle; kto oddaje cześć boską krokodylowi, nazywa bezbożnikiem kłania-

jącego się przed szczurem: wy zostawiacie i pierwszego i drugiego w pokoju, tylko nas jednych prześladujecie. Chyba dlatego że od pijanego Bachusa, od rozpustnej Wenery, od rozpustniejszego jeszcze Apolina, prowadzimy was, litością zdjęci, do ołtarzy prawdziwego Boga. Menandra, Szymona, a teraz znów Marcyona, których djabeł przeciw chrześcijaństwu wzbudził, sami czcicie, posągi im stawiacie; a gdy my wam na potwierdzenie prawdziwości wiary naszej, przywodzimy mnogie cuda i spełnione proroctwa, nazywacie nas kłamcami i skazujecie na śmierć. A przecież całe pogaństwo jest tylko zupełnem wykrzywieniem Boskiej naszej wiary. Djabli, posłyszawszy proroctwa o nadejść mającym Chrystusie, przekuli te przepowiednie w piekielnej swej kuźni, jedne zastosowali do Bachusa, w drugie ubrali Herkulesa, z innych jeszcze ulepili synów Jowiszowych. O jednym krzyżu mówić się lękali, choć wszędzie widoczne są jego symbole: w okręcie co przerzyna morze, w pługu co pruje rolę, w człowieku wyciągającym ku niebu ramiona. Natomiast małpując chrzest, nakazali liczne umywania się i polewania; Eucharystyę naśladują w misteryach Mithry; usłyszawszy o Duchu św. unoszącym się nad wodami, stawiają ponad rzekami posągi Prozerpiny; na podobieństwo odwiecznego Słowa, wymyślili Minerwę.

Następnie, aby zamknąć usta szerzącym się oszczerstwom, daje Justyn dokładny obraz całej ówczesnej liturgii katolickiej. W późniejszych czasach, chrześcijanie nie chcąc narażać najświętszych swych obrzędów na szyderstwo i obelgi zmysłowych pogan, zachowywali głęboką, prawem kościelnem nakazaną tajemnicę, o obrzędach swych i sakramentach, a na pierwszem miejscu o najświętszym i najmniej zrozumiałym dla pogan, Sakramencie Ołtarza. W wieku drugim, pozytywne takie prawo zapewnie nie istniało; a choć i wtedy chrześcijanie, idąc za wskazówką Zbawiciela, nie rzucali pereł przed wieprze, mógł jednak Justyn, ze względu na wyjątkowe okoliczności odstąpić od powszechnie przyjętego zwyczaju, i przenosząc nas w swem piśmie do katolickiego kościoła w drugim wieku, odsłonić przed oczyma cezarów i najdalszej potomności, choć rąbek tajemniczej zasłony. Czytając cały ten opis, wydaje nam się, że jesteśmy w dzisiejszym katolickim kościele — że Justyn wymierzył i odważył swe słowa prze-

ciw przyszłym protestantom, odwołującym się czasem tak śmiało na tradycye pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Skoro kto uwierzył słowom naszym, rozpoczyna Justyn ostatni ten dział swej apologii, prowadzimy go do chrzcielnicy, aby odrodzić go w wodzie w imię Ojca i Pana wszechrzeczy, i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, i Ducha Świętego, jako i my sami odrodziliśmy się. Czynimy zaś to, wedle apostolskiego podania, abyśmy z synów niewoli i ciemności, stali się wybranymi synami umiejętności i otrzymali w wodzie odpuszczenie popełnionych wprzód grzechów. Obmycie to nazywamy oświeceniem, albowiem przez nie na duszę światło niebieskie się zlewa. „Po tem obmyciu pro-„wadzimy wierzącego naszej nauce do zgromadzonych b r a c i — „jakośmy zwykli ich nazywać, — którzy zanoszą wspólne modły „i za siebie, i za nowo oświeconego i za wszystkich ludzi... Skoń-„czywszy modlitwy, wzajemnym pocałunkiem się witamy. Wtedy „przynoszą przełożonemu nad braćmi chleb i puharek z wodą i winem; „on zaś wziąwszy je w ręce, cześć i chwałę Ojcu wszechrzeczy „przez imię Syna i Ducha św. oddaje i spełnia Eucharystyę, tj. dłu-„gie dziękczynienie za te od Niego otrzymane dary. Po modlitwach „i spełnionem dziękczynieniu, cały lud woła A m e n, tj. w języku „hebrajskim: „Niech się tak stanie“. A gdy już przełożony modlić „się przestał i cały lud okrzyk swój wydał, wtedy tak zwani u nas „dyakoni, chleb i wino i wodę, nad któremi modlitwy odmówione „zostały, obecnym rozdają i do nieobecnych zanoszą.

„Pokarm ten zowiemy Eucharystyą, i nikt, kto nie wierzy „nauce naszej, kto w owej odradzającej i z grzechów oczyszczającej „wodzie się nie obmył i nie zastosowuje swego życia do przykazań „Chrystusowych, stać się jej nie może uczestnikiem. Nie używamy „bowiem tego pokarmu, jakoby zwyczajnego chleba, lub zwyczaj-„nego napoju, lecz pouczeni jesteśmy, iż jako Jezus Chrystus Zba-„wiciel nasz, mocą Słowa Bożego ciałem się stał i wziął ciało „i krew naszą dla naszego zbawienia: tak też i ten pokarm mający „stać się cząstką naszego ciała i krwi, a nad którym kapłan wy-„mówił dziękczynienie, Chrystusowe słowa w sobie zawierające, jest „ciałem i krwią wcielonego owego Jezusa...

„W dzień niedzielny z miast i ze wsi na jedno miejsce się „zbieramy, i ile czas pozwala, czytamy apostolskie lub prorockie

„pisma. Po skończonem czytaniu przełożony napomina do naślado-
„wania tak pięknych czynów. Następnie wszyscy razem wstajemy
„i modlimy się; poczem, jako już powiedziałem, przynoszą chleb,
„wodę i wino; Przełożony modli się i Bogu, wedle sił dziękuje,
„lud woła Amen, a dyakoni obecnym poświęcone dary rozdają,
„nieobecnym do domu zanoszą. Kto chce i może, daje jaką chce
„jałmużnę, z której przełożony wspomaga sieroty i wdowy
„i tych, którzy bądź dla choroby, bądź z innej jakiej przyczyny
„niedostatek cierpią, lub znajdują się w więzieniu, lub z dalekich
„krajów przybyli; słowem bierze pod swą opiekę wszystkich nie-
„szczęśliwych...

„A teraz jeśli się wam wydaje, iż słowa nasze zgadzają się
„z prawdą i rozumem, ceńcie je sobie; jeśli zaś wydają się wam
„błahemi i śmiesznemi, wzgardźcie niemi, ale ludzi niewinnych jakoby
„nieprzyjaciół i wrogów, na śmierć nie skazujcie. Zaręczamy wam
„bowiem, iż jeśli w niesprawiedliwości pozostaniecie, nie uniknięcie
„sądu Bożego. My zaś, wołać nie przestaniemy: Niechaj się stanie,
„co się Bogu podoba!“

Na tym wzniosłym, przez Chrystusa już w ogrodzie oliwnym, bezpośrednio przed męką wzniesionym okrzyku, kończy się właściwie pierwsza apologia Justyna; dołączony dawniejszy list Hadryana przypomnieć miał tylko cesarzowi, że już jeden z jego poprzedników zdobył się na odwagę, niekarania chrześcijan dla samego nazwiska. Czy i jakie były skutki tej apologii, czy cesarze-filozofowie znaleźli czas aby ją przeczytać, a przeczytawszy wysłali do swych wielkorządców dekreta zakazujące dalszego prześladowania? Twierdząco odpowiadają późniejsi historycy: Orozyusz [1] i Zonaras [2]; Euzebiusz [3] przechował nawet list Antonina do miast azyatyckich nakazujący tolerancyę, i ułożony wyraźnie na podstawie podanej przez Justyna apologii. Ale nowsza krytyka podniosła wiele wątpliwości co do autentyczności tego listu; Orozyusz i Zonaras żyli zbyt późno, aby opowiadanie ich, nie wiedzieć skąd wzięte i na czem oparte, miało dostateczną powagę; ostatecznie zatem stanowczej od-

[1] *Orozius* Hist. VII. 14.
[2] *Zonaras* Annal. t. II. p. 206.
[3] *Euzebius* Hist. Eccl. IV., 13. — Por. *Migne.* Opera Justini p. 434 sq.

powiedzi na to ważne i ciekawe pytanie dać nie można. Bądź co bądź, jeśli apologia Justyna nie otworzyła oczu prześladującym, to z pewnością pocieszyła prześladowanych; kto wie czy wpadłszy w ręce jakiemu poganinowi, nie zmieniła jego zdania o chrześcijaństwie, i zwolna nie sprowadziła go do katakumbowych kaplic.

Z tej, czy z innej przyczyny chmury prześladowcze wiszące nad Rzymem rozpierzchły się na chwilę; Justyn, wyświęcony tymczasem na kapłana, mógł pofolgować gorącym swym pragnieniom, a zapomniawszy na chwilę o greckich filozofach i ich systematach, puścił się w apostolską pielgrzymkę po Kampanii, Egipcie, Grecyi i Azyi mniejszej [1], opowiadając prostemi a gorącemi słowy Chrystusa Ukrzyżowanego. Ale nie długo mógł pozostać na wyłącznem stanowisku misyonarza. Wynurzające się raz poraz coraz potworniejsze herezye, niedawno przez niegoż samego założona w Rzymie szkoła chrześcijańskich filozofów, wymagały jego powrotu do wiecznego miasta. Z drugiej strony sława filozofa uprzedzała Justyna i gromadziła koło niego uczonych rabinów, lękających się, nienawidzących chrześcijańskiej nauki, ale i ciekawych ją poznać z ust tak uczonego męża. Nowe, obszerne pole do pracy: walka z herezyą i żydowstwem roztwarła się przed Justynem; święty zrozumiawszy wolę Bożą i opatrznościowe swe powołanie, z świeżą energią i zapałem rzucił się w wir tych nowych filozoficzno-religijnych zapasów.

(Dok. nast.)

Ks. Jan Badeni.

[1] Niektórzy krytycy rozdzielają te podróże na różne czasy i lata; inni sądzą nawet, że Justyn bawił w Egipcie i Kampanii li tylko przed pierwszym jeszcze pobytem w Rzymie. Por. *Marani*, Praefatio, u *Migne'a* Opera Justini, p. 144 sq.

BAZYLIKA LITEWSKA.

(Dokończenie).

IV.

Kaplice: Królewska i św. Kazimierza.

Na podstawie mylnych twierdzeń Stryjkowskiego, Bielskiego, Gwagnina, nawet tacy pisarze, jak Michał Baliński i Łukasz Gołębiowski[1] wpadają w błąd, nie umiejąc odróżnić kaplicy królewskiej w katedrze wileńskiej, od grobu Witoldowego, albo ołtarza Witoldowskiego, o którym już mówiliśmy, gdy dowodzą, że król Aleksander Jagiellończyk, św. Kazimierz i inni członkowie rodziny królewskiej, pogrzebieni w tej samej kaplicy, w której spoczywał Witold. Za czasów Witolda dwie tylko były kaplice w katedrze: Andrzeja Wasiłły, pierwszego biskupa wileńskiego i Montwidowska, w r. 1422 przez Wojciecha Montwida wojewodę wileńskiego założona. Ołtarz Witoldowski nigdy kaplicą nie był i nie ma nic wspólnego z kaplicą królewską.

Właściwie dwie były kaplice królewskie w katedrze wileńskiej, s t a r a i n o w a. Pierwsza zbudowana około roku 1484 przez Kazimierza Jagiellończyka, w głębi kościoła, daleko od wielkiego ołtarza, z północnej strony, i dziś istniejąca pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia. W pożarze 1530 r. była bardzo uszkodzoną, ale Zygmunt I rychło ją podźwignął, wyraźnie oświadczając w przywileju r. 1534 z dnia 29 maja, że ją na grobie dwóch braci swoich,

---

Stryjkowski, 1766, 561; *Bielski*, 1764, 316; *Gwagnin*, 1611, 253. — *M. Baliński*: Starożytna Polska, III, 148; *Ł. Gołębiowski:* Dzieje Polski za panowania Jagiellonów, III, 518, przyp. 75.

Kazimierza św. i Aleksandra króla odbudował, a nie mógłby przecie przemilczeć Zygmunt o sławnym swym przodku, Witoldzie, gdyby szczęty jego do tej kaplicy przeniesione były.

W tej starej królewskiej kaplicy byli pogrzebieni: św. Kazimierz, król Aleksander Jagiellończyk, Elżbieta i Barbara, małżonki Zygmunta Augusta. — Kaplica ta, w ciemnym węgle kościoła, oddalona od wielkiego ołtarza, nie odpowiadała godności królewskiej świątyni. Jakoż Zygmunt III postanowił wznieść nową, wspanialszą. Za dzisiejszą kaplicę Januszowską, czyli Maryi Magdaleny, gdzie groby biskupów wileńskich, w wieku XVII była niewielka kapliczka przez biskupa księcia Pawła Holszańskiego fundowana. Później przeszła ona na własność kanclerza Lwa Sapiehy, który tu pogrzebł żonę swą Halszkę z Radziwiłłów; lecz gdy wybudował kościół św. Michała w Wilnie, przeniósł jej zwłoki do tego kościoła, wraz z wiekiem marmurowem, które nad jej grobem było położone. Kaplicę zaś odstąpił biskupowi Eustachemu Wołowiczowi.

Poza tą kaplicą, już wtedy ostatnią z południowej strony, pozostawało próżne miejsce, wprawdzie niewielkie, pomiędzy pierwszym filarem, a tylną ścianą kościelną, obrócone na południe ku dziedzińcowi zamku dolnego. Tu właśnie były drzwi, któremi król z dworem wchodzili do katedry. Lecz niezależnie od tego, we wnętrzu kościoła była i loża królewska, przez kryty ganek z pałacem połączona, tak, że owo boczne wejście na dole nie było koniecznie potrzebnem.

Na tej tedy posadzie zamierzył król Zygmunt III. wznieść wspaniałą królewską kaplicę z marmuru. Wszedł więc w porozumienie z biskupem Wołowiczem, i przywilejem dnia 8 marca 1623 r.[1] odstąpił temuż na własność starą kaplicę królewską, a sam wszedł w posiadanie jego kaplicy, na posadzie której, jak również owego wolnego miejsca przy tylnej ścianie od zamku, nadto posunąwszy się w głąb dziedzińca zamkowego, przystąpił do wzniesienia wspaniałej, bogatej, wzorowej pod względem sztuki, kaplicy marmurowej, która w ogóle kosztować miała przeszło trzy miliony złotych[2].

---

[1] W arch. kap. i b. kom. beneficyalnej.

[2] Błędne było mniemanie, nawet przez zasłużonych dziejopisów powtarzane, (Kraszewski, Wilno, II, 211; Baliński, Staroż. Polska, III, 179) jakoby

Jednocześnie z budową nowej królewskiej kaplicy biskup Wołowicz rozpoczął przerobienie odstąpionej mu dawnej królewskiej kaplicy. Zwłoki przeto św. Kazimierza w srebrnej Zygmuntowskiej trumnie, już przedtem sporządzonej, ustawiono pod baldachimem w kaplicy Gasztoldowskiej, jako ze wszystkich wtedy najdłuższej i najobszerniejszej. Tu one zostawały aż do ukończenia nowej kaplicy. Michał Baliński twierdzi [1], że czas jakiś zwłoki św. Kazimierza były przechowywane w zamku Miednickim pod Wilnem. Nigdzie o tem, jak zapewnia Michał Homolicki, nie ma najmniejszej wzmianki w aktach kapitulnych, a jednak podanie o tem, że były złożone w Miednikach, bardzo rozpowszechnione na Litwie.

Zygmunt III. nie skończył królewskiej kaplicy. Budowano ją od roku 1623 do 1836 i dopiero Władysław IV. mógł urzeczywistnić wolę ojca i swoje życzenia wprowadzenia zwłok św. Kazimierza do nowo wzniesionej, pięknej i wspaniałej świątyni.

Nie naszą jest rzeczą podawać tu wiadomości o życiu i cudach św. Kazimierza [2]. Niemało już wyszło dzieł o tem, a piszący nieraz popełniali grube błędy. Zaczynając od samego narodzenia, jedni piszą, że się urodził 5, inni 3, Albertrandi zaś krytycznie sprawdził, że 4 października 1458 r. Co do zgonu, jak akta urzę-

---

nowa kaplica królewska św. Kazimierza stanęła na miejscu starożytnej Trojeckiej, gdy ta założenie królewskiej kaplicy przeżyła o 159 lat, nim się w kruchtę boczną południową nie przemieniła. — Dokładne i wyczerpujące opisanie kaplicy królewskiej św. Kazimierza, starannie napisane przez prof. Michała Homolickiego, znajdzie czytelnik w *Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych*, tomy: XIII. 13; XIV., 35; XXII., 132; XXIII., 82; XXIV., 223; a także w naszych *Przechadzkach po Wilnie* (drugie wydanie) w *Przewodniku* (drugie wydanie) krótkie opisy. Nie powtarzamy więc szczegółów znanych, a tylko dla związku rzeczy wskażemy tu główniejsze fakta, oraz niektóre szczegóły, których u Homolickiego nie znajdujemy.

Dodać tu jeszcze winniśmy, że jedyną wzmiankę o tem, że na budowę kaplicy przeszło trzy miliony złotych (może liwrów?) wyłożono, znajdujemy w liście Desnoyer'a sekretarza królowej Maryi Ludwiki, do przyjaciela swego we Francyi. Ob. Portofolio królowej Maryi Ludwiki, wydanie hr. Edwarda Raczyńskiego, Poznań, 1844, I, 217. Nawet pracowity i bardzo staranny *Przyałgowski* w swoich Żywotach biskupów wileńskich błędnie nazywa kaplicę Holszańskiego *Trojecką*, a rok ukończenia budowy królewskiej kaplicy, zamiast 1636, kładzie 1630 (część II., 55).

[1] Staroż. Pol. III., 213..

[2] Szczególnie po pięknej pracy ks. kanonika Lipnickiego.

dowe kanonizacyi stwierdzają, umarł d. 4 marca 1485 w wieku lat 26. Umarł na zamku wileńskim, a nie w Grodnie, jak to mylnie twierdzi Zacharyasz Ferreri z Wicencyi, biskup gardyński, w żywocie św. Kazimierza, zapewne omylony jednostajnością imion z ojcem, królem Kazimierzem, który w lat 8 później rzeczywiście umarł w Grodnie. Królewicz Kazimierz w r. 1521 przez Leona X. papieża policzony w kanon wybranych Pańskich, co też potwierdził Klemens VIII. r. 1602, a Paweł V. w r. 1621 7 sierpnia cześć św. Kazimierza rozciągnął do całego Kościoła powszechnego. Urban zaś VIII. papież w r. 1636 d. 14 lutego dozwolił obchodzić całą oktawę dorocznego święta patrona w samem wielkiem księstwie Litewskiem. Nakoniec były i takie domniemania, że jakoby św. Kazimierz umarł w Miednikach, w zamku. Wyrazy Sarbiewskiego wyrzeczone w mowie w czasie uroczystego obnoszenia ciała po mieście i wprowadzenia do nowego przybytku, powinnyby usunąć wszelką wątpliwość. Sarbiewski bowiem wyraźnie powiedział: „iż uwielbiany książe nawiedzi znowu rodzinny pałac królów, który cnotliwem, pobożnem życiem, a świętobliwym zgonem ubłogosławił i poświęcił“.

Pamiętną w dziejach Kościoła katolickiego, zwłaszcza zaś bazyliki litewskiej i stolicy litewskiej uroczystość ogłoszenia kanonizacyi św. Kazimierza 1604 r. dnia 10 maja. Uroczystość ta opisana bardzo szczegółowo i z całym wysiłkiem właściwych wiekowi i duchowi czasu retorycznych okras, przez Kwiryna Knoglera w bardzo już dziś rzadkiem dziełku p. t.: „Teatrum św. Kazimierza“ [1], Knogler podaje ciekawy szczegół, który powtórzony został przez wiele opisów polskich, gdy o ważniejszych, charakterystycznych objawach zupełnie przemilczały. Oto, przed procesyą, już z kościoła św. Stefana powracającą, niespodzianie zjawił się na Radnickiej ulicy bocian, a spuściwszy się po nad samą chorągiew uwielbienia św. Kazimierza i przez chwilę przysiadłszy prawie na jej wierzchołku, niespłoszony gęstemi z dział i rusznic wystrzałami,

[1] „Pompa Casimiriana, sive de Labaro D. Casimiri a Leone X. Pont. Max. in Divos relati, ex urbe transmisso et Vilnam, Lithuaniae metropolim solemni pompa, ad 6 Idus Maij anno MDCIV. illato, Quirini Cnogleri Austrii sermo panegiricus“. In Theatro S. Casimiri, Vilnae 1604 in 4-o, a pag. 39 ad 127.

przeleciał zwolna ponad miastem, jakby wskazując drogę świętemu pochodowi. Knogler zaraz wytłumaczył tę przypadkową okoliczność: jak bocian wytępia brzydkie gady, padalce i żmije, tak i w tem zjawisku upatrywać należy przepowiednię bliskiego i niezawodnego wytępienia wszystkich herezyj. Knogler bardzo dokładnie opisuje jak najrozmaitsze klasy ludności miejskiej i z całego księstwa przybyłej, od najwyższych dygnitarzy do najniższych klas. Brały udział w uroczystości cechy rzemieślnicze, bractwa pobożne i dobroczynne zgromadzenia duchowne; opisuje bogactwa, przepych, świadczące dobrze o stanie i zamożności miast, rozmaitość w ubiorach, nietylko szlachty, ale i mieszczan dostojniejszych; celniejsze domy i ulice przystrojone były w mnogie opony i szpalery, flanderskie makaty i kobierce tureckie lub perskie, a nawet w kosztowne i świetne szaty z wyższych pięter porozwieszane; urządzono było cztery bramy tryumfalne, ozdobione malowidłami treści religijnej, lub alegorycznej, dyalogi na przystankach, ognie ochotne na wielkim rynku wśród dnia białego, a następnie wieczorem po różnych miejscach spalone. Procesya trwała ośm godzin, a przez cały ten czas kanclerz wielki litewski Lew Sapieha, przy pomocy dwóch dyakonów, dźwigał wielką chorągiew uwielbienia św. Kazimierza [1].

[1] Chorągiew ta, umyślnie w Wilnie sporządzona i odmalowana, posłaną była do Rzymu, do grobu św. Piotra, tam poświęcona przez papieża Klemensa VIII., (ob. Zbiór pamiętników historycznych J. U. Niemcewicza, t. III., 35). Kanonik Grzegorz Święcicki przywiózł ją do Wilna z Rzymu, a do kościoła katedralnego w imieniu króla wprowadził wielki kanclerz Lew Sapieha i uroczyście wręczył biskupowi Benedyktowi Wojna. Naoczny świadek, wspomniany Knogler, tak opisuje tę historyczną chorągiew: miała ona kształt prostokątny; szeroka na łokci dziewięć, a wysoka na łokci ośmnaście. Zrobiona była z materyi jedwabnej, czerwonawo gorącego koloru, frenzlą z jedwabiu i ze złota ciągnionego splecioną, wokoło bramowana. Wodze, do wstrzymywania i kierowania jej skrzydeł w powietrzu pływających, były z jedwabiu ukręcone, w długości swojej przejęte, każda sześcią węzłami. Na wierzchołku unoszącego ją trzonu błyszczał krzyż srebrny, przeźroczną robotą po brzegach i po końcach ramion misternie zdziałany. U spodu jej na pięciu osobnych a równych polach, były herby: papieża Klemensa VIII., Królestwa polskiego, wielkiego Księstwa litewskiego, biskupa Benedykta Wojny i Kapituły katedralnej wileńskiej. W pośrodku chorągwi, również ze strony jej przodowej, jak i tylnej, stał na złotem tle wizerunek św. Kazimierza w książęcym ubiorze. Knogler z pewną przesadą twierdzi: „że ten wizerunek ujmujący wdziękiem i nadobnością, zaletny właściwością wystawienia, a jakby życiem oddychający, daleko pozostawiał za

We dwa dni po ogłoszeniu kanonizacyi św. Kazimierza, odbyła się druga wielka uroczystość: założenia kamienia węgielnego pod mający się wznosić Kościół św. Kazimierza OO. Jezuitów, 12 maja 1604 r.

Nakoniec gdy już ostatecznie nowa królewska kaplica wykończoną została, 14 sierpnia 1636 r. nastąpiło jej poświęcenie i złożenie zwłok św. Królewicza w wielkim ołtarzu przez Abrahama Wojnę biskupa wileńskiego. Poprzedziła bardzo uroczysta procesya po mieście, w której uczestniczył król Władysław IV, dla słabości zdrowia noszony w krześle na przemiany od swoich dworskich. Ciało św. Kazimierza w niewielkiej drewnianej trumnie, w drogie kamienie, perły i kwiaty złote przyozdobionej, obnosiła królewna Anna Katarzyna przy pomocy pierwszych dygnitarzy i pań litewskich. Chorągiew uwielbienia nieśli dwaj co najsilniejsi księża, a wodze jedwabne, do wspierania i kierowania jej skrzydeł służące, przytrzymywali Albert Stanisław książe Radziwiłł kanclerz wielki i Stefan

---

sobą wszystkie dzieła Zeuksysa, Apellesa i Parrazyusza!". A kto malował, nie mówi. Piękniej i w prostych słowach takie daje pochwały obrazowi: „że w nim czoło jawnie pokazywało książęcia; oblicze — świętego; a oczy dziewicę; że w nim, przez nadobne kształty młodziana, wyższe dary umysłu i anielskie cnoty przeświecały".

Gdy jeszcze zwłoki św. Kazimierza spoczywały w pośrodku kaplicy Gasztoldowskiej, osłaniały trumnę chorągwie i znaki bojowe, w rozmaitych wojnach zdobyte, jakie się tylko znajdowały w katedrze. Nie było już tych chorągwi w nowej królewskiej kaplicy, a nie mogła być dla samych rozmiarów swoich zawieszoną, i chorągiew uwielbienia; kazał więc ją biskup Jerzy Tyszkiewicz zawiesić na sklepieniu wielkiej nawy kościelnej. Znikła ona, jak tyle innych pamiątek w ciągu zajęcia zamków wileńskich od r. 1655—1661. Przynajmniej, żadne znane nam źródła nic już o niej nie wspominają.

Dziwny, a zdaje się dotąd niedokładnie zrozumiany był ten Kwiryn Knogler. Austryak z urodzenia, dworzanin księcia Jerzego Radziwiłła kardynała, zażyły i zaprzyjaźniony ze znanym kalwinistą, Andrzejem Wolanem; między rokiem 1600—1603, profesor loiki i wymowy w szkole wileńskiej wyznania helweckiego, autor dzieła: *Dysputacye i tezy o powołaniu ministrów ewangelickich* (Łukaszewicz Józef, „Dzieje wyznania helweckiego" II., 168; Ludwik Sobolewski u Jochera, II., 335); drukuje to dzieło u *Jezuitów*, a następnie najgorliwszy katolik, najczynniejszy członek *Sodalitii Mariani*, wielbiciel Jezuitów i biskupa Wojny, chwalca Zygmunta III. i w końcu w r. 1604 autor drukiem ogłoszonej *Pompy św. Kazimierza*, w której korzysta z każdej sposobności, aby ostro nacierać na heretyków i w ogóle staje się najzawziętszym ich przeciwnikiem.

Pac podkanclerzy litewski. Pamiętną jest piękna mowa na tej uroczystości, wypowiedziana przez sławnego M. K. Sarbiewskiego[1].

W świetnej tej mowie, Sarbiewski zaświadcza: „że dzieło, godne nakładu królów, nie omyliło tak długiego oczekiwania". Dziełem tem nazywa nowo zbudowaną kaplicę królewską św. Kazimierza. Inny późniejszy autor[2] mówi o niej przesadnie, w penegirycznym stylu, dokładnie jednak maluje jej wspaniałość. „Na jej wybudowanie, powiada, z włoskich i zamorskich krajów zaciągniono najprzedniejszego rzemieślnika; że marmury z odległych zwożono krajów; że ten gmach, i zacnością materyi, i roboty wyśmienitością, i sztuki pozorem, mógł się nazwać prawdziwie królewskim; że Władysław IV, kończąc chwalebnie zaczęte ojcowskie dzieło, sobie sławę nieśmiertelną w potomne wieki na marmurowych ścianach, na misternych z drogiego kamienia słupach i obrazach zapisał".

Wstąpmy i my do tej tak drogiej dla serca każdego Litwina świątyni, uosóbmy ją sobie taką, jaką była po wzniesieniu, nim srogie losy i zaciętość najezdców nie odarły ją z bogactw i ozdób.

Królewska kaplica św. Kazimierza stanęła podług planu Piotra Danckerts'a de Ry, Holendra, który był zarazem nadwornym malarzem Władysława IV. Zbudowana z ciosowego kamienia, w obszerny kwadrat, z wysokiem baniastem sklepieniem, kształtną latarnią kamienną uwieńczonem, wewnątrz marmurem przyodziana, wyborną rzeźbą, cudnemi *al fresco* malowidlami ozdobiona, ze srebrną bogatą trumną w ołtarzu, oraz wszelkiemi przyborami odznaczającemi się pięknym wyrobem i kosztownością, niezawodnie stanowiła najokazalszy i najznakomitszy pomnik sztuki na całej Litwie. Wewnątrz, dwanaście jońskiego porządku pilastrów, ich podwaliny,

[1] Kilka jest opisów tej wspaniałej i pamiętnej dla Litwinów uroczystości, dla tego nie widzimy potrzeby wdawać się w szczegóły. Zwracamy wszakże uwagę, że współczesne opisy, jak zwykle są najlepsze, a mianowicie Jana Rywockiego, Jezuity, profesora wymowy w Akademii wileńskiej, p. t.: „Triumphus quem D. Casimiro Principi Serenis. ac Invictis. Vladislaus, IV. Poloniae et Sueciae rex, magnifica ac pia in augusti paternae liberalitatis mausolaei dedicatione A. MDCXXXVI. augusti XIV. Vilnae exhibuit." w Wilnie w r. 1637 in f., — przypisany królewiczowi Janowi Kazimierzowi i Karolowi Ferdynandowi. — Drugi, chociaż krótki, ale może szacowniejszy, bo nie panegiryczny, przez Albrechta Stanisława ks. Radziwiłła w pamiętnikach jego, wydanych przez E. Raczyńskiego w Poznaniu 1839 t. I.

[2] „Królewska droga, albo życie św. Kazimierza" 1752, II. 96.

oprawa ośmiu wyżłobień dla posągów, otoczenie ustępów ścian, sześć poprzecznych brusów, stanowiących osadę chórów — wszystko to wyłożone czerwono-popielatym z białemi i szaremi słojami marmurem. Przerwy zaś pomiędzy pilastrami, zagłębienia ośmiu półwalcowych i półbaniastosklepionych wyżłobień, podstawy pilastrów, płatwy po nad ich głowicami, ramowanie dwóch wielkich *al fresco* obrazów, oprawy drzwi, bokowe wsporniki chóru — wyłożone czarnym marmurem. Do składu tej odzieży marmurowej, w kilku miejscach wchodzi piękny serpentynowego koloru marmur. Wszystkie gatunki marmurów, składających wewnętrzną odzież ścian i oprawę drzwi głównych kaplicy, pochodzą z kopalni włoskich. Posadzka zaś kamienna, z kwadratowych tafel szarych, na ukos ułożonych, jakoteż wielka, na jej środku, mozaikowa gwiazda o ośmiu promieniach, w drobne kostki białe i czarne, i podobna mozaika wysadzona w bujniejsze tafle trójkątne na ścieży wewnętrznych podwojów, jest cała z marmurów gór karpackich.

W ołtarzu umieszczona srebrna trumna ze szczętami św. Kazimierza, u spodu podtrzymywana rękami trzech aniołów. Nad trumną wizerunek Najświętszej Panny, okrążonej dwudziestu i dwoma aniołami z obłoków wynikającymi. Ponad ołtarzem dwaj aniołowie koronę królewską unoszą. Trumna okazała, ze srebra wysokiej próby, dosyć znacznej grubości, rzeźbą przyozdobiona, na bokach z dwoma orłami, podstawy czyli nogi w ozdobne skręty wyrobione. Nad trumną posąg srebrny św. Kazimierza krzyż i lilię w rozpostartych rękach trzymający.

W wyższej części ołtarza (zamiast gipsowej dziś płaskorzeźby) zawieszony był potężny krzyż, ze srebra czystego ulany i na nim figura Zbawiciela, zwyczajnej wielkości dorodnego człowieka wyrównywająca; pod krzyżem dwa stojące, lane ze srebra posągi, Najświętszej Panny i św. Jana (wielkości człowieka średniego wzrostu); a u stóp krzyża, równej zupełnie wielkości, posąg klęczącej św. Maryi Magdaleny. W początkach, i anioły podtrzymujący trumnę, były srebrnolite. W ołtarzu też mieściła się grupa ośmiu innych posągów na trzy stopy wysokich, ze srebra odlanych. Mensa ołtarzowa i zakrycie od przodu *(antepedium)* również ze srebra były odlane. Było szesnaście bogatych i ozdobnych szczerosrebrnych, miejscami złocistych świeczników i cztery

srebrne naczynia, staroświeckiej misternej roboty, których do stawiania kwiecia zażywano. Po bokach ołtarza, na podstawach przy samej ziemi ustawionych, wznosiły się dwa kolosalne świeczniki srebrne, z wyrytemi na nich wizerunkami św. Kazimierza. Królewna Anna Katarzyna, przed samym ołtarzem zawiesiła dar matki swojej, królowej Konstancyi, która nie dożyła wniesienia św. szczątków na ołtarz w nowej kaplicy († 1631) szczerozłotą lampę, dwa tysiące czerwonych złotych ważącą. Na samym zaś środku kaplicy, już po odbytej uroczystości wniesienia zwłok, gdy w roku 1637 Władysław IV. pojął w małżeństwo Cecylię Renatę, ta ostatnia zawiesiła wytwornie rzezaną lampę srebrną okrążoną 63 lampkami srebrnemi mniejszemi [1].

Z obu stron głównego ołtarza, na przerwie dwóch pilastrów, stały dwa boczne ołtarzyki srebrne, z wyrytemi na srebrnych tablicach obrazami życia i cudów św. Kazimierza, a na każdym z nich stało po sześć, na stopę wysokich, lanych ze srebra posągów św. apostołów i po sześć srebrnych świeczników. Dokoła wielkiego ołtarza zawieszone były złote i srebrne obiaty, pomiędzy któremi przodowała szczerozłota róża, przez Ojca św. podarowana królowej Cecylii Renacie, a przez nią zawieszona w ołtarzu.

W ośmiu wyżłobieniach ściennych stały duże posągi spowinowaconych cesarzów i królów, srebrną po drzewie blachą ociągane.

Przy królewskiej kaplicy była oddzielna zakrystya, bogato zaopatrzona w szczerozłote lub srebrne naczynia, oraz piękne przybory ołtarzowe, rozmaite drogocenne upominki [2].

Taki był pierwotny blask i wspaniałość kaplicy królewskiej po jej wzniesieniu. Świetność ta jednak niedługo trwała, bo wyją-

[1] O tych lampach sprzeczne były wiadomości, nawet w Wizerunkach, przypisujących złotą lampę, Cecylii Renacie a srebrną królowej Konstancyi; ale w końcu odszukany testament króla Władysława IV. 17 lipca 1747 r., wyjaśnił ostatecznie, że srebrna lampa była darem Cecylii Renaty, król bowiem Władysław IV. zobowiązał kolegium Jezuitów wileńskich opłacać czynsz wieczny od sumy 2.000 zł., oddanej w zawiadywanie OO. Jezuitów na nieustanny ogień do lampy srebrnej królowej Cecylii Renaty. Co też i komisya edukacyjna 30 marca 1787 zaleciła, opierając tę sumę na dobrach pojezuickich. — A dziś! nie ma już tam ani Jezuitów, ani owej lampy, o którą król tak się troszczył, ani też czynszu nikt nie wypłaca. Ob. Wizerunki, t. XIII. (poczet drugi) str. 42, t. XXIII., 83.

[2] Opis wnętrza kaplicy, jaką była po wzniesieniu — podług Homolickiego.

wszy srebrną trumnę, wszystkie bogactwa dawnej kaplicy, wszystkie jej drogie sprzęty i ozdoby, za Jana Kazimierza poszły na zasilenie skarbu, długą wojną nieszczęsną do szczętu wyczerpanego.

Z późniejszych rachunków i sporów między proboszczem kaplicy św. Kazimierzą a kapitułą, pokazuje się, że ku wygodzie Rzeczypospolitej 800 canów srebra (tj. zlewków kruszcu) pożyczono, a nadto biskup Jerzy Białłozór na potrzeby kościelne i własne obrócił 292 cany[1]. Zlewki te pochodziły z naczyń, lamp, świeczników, tabliczek ślubowych, z posągów świętych Pańskich i aniołów w ołtarzu ustawionych, z których jak już wiemy, cztery zwyczajnej wielkości człowieka dosięgały. A to jeszcze nie wszystko. Nie weszła do tego rachunku dolna część trumny, dwa wspierające ją posągi aniołów ze srebra odlane, dwa największe srebrne świeczniki i niektóre inne przedmioty, które przed zdobyciem Wilna w 1655 roku, w przeprawie do Królewca, wespół ze sprzętem skarbca katedralnego, na wicinach przez nieprzyjaciół były pochwycone. Jeden zlewek złota, z połamanej szczerozłotej lampy, wkrótce po wojnie użyty został na pierwsze odnowienie opustoszałej kaplicy.

Oddajmy należną cześć i słuszność kapitule wileńskiej i jej biskupom. Robili oni wszystko co mogli, ażeby przywrócić dawną świetność kaplicy królewskiej, a jeśli nie mogli wrócić dawnych bogactw, zdołali jednak utrzymać ją zawsze wzorowie piękną i wspaniałą. Niejednokrotnie restaurowano kaplicę. Gucewicz podczas ostatniej przebudowy kościoła katedralnego, prawie nie tknął kaplicy królewskiej, starał się tylko o jej oczyszczenie i zabezpieczenie na przyszłość od uszkodzeń. Ostatnia restauracya, właściwie oczyszczenie nastąpiło w r. 1838. Zrobiono było wszystko, co było w mocy biskupa i kapituły i na ile środki pozwalały. Ocalały obrazy Danckerts'a, wyobrażające cud wskrzeszenia dziewczynki Urszuli przed grobem św. Kazimierza, wyprowadzenie zwłok św. Kazimierza, oba malowidła rzadkiej piękności, jak również cztery alfreskowe na żagielkach sklepień malowidła i dwa inne po nad chórem, przypisywane pędzlowi Dellbene[2]. W obu pierwszych, alfresco malowa-

[1] Kraszewski wyliczył, że zabrano 292 centnary srebra, czyli 29.200 funtów, albo przeszło na 3 miliony dzisiejszych złotych. Zdaje się, że jest w tem przesada.

[2] Dellbene sprowadzony był z Neapolu przez Kazimierza Sapiehę he-

nych mistrzowskich utworach główne cechy fizyognomii krajowej, nawet ówczesne ubiory z uderzającem podobieństwem i dokładnością są oddane. Przeciwnie w innych, chociaż pędzel śmiały, rysunek nie jest tak poprawny i pod każdym względem ustępują one w zaletach obrazom Danckerts'a.

Ocalała starożytna niewielka przenośna ambona, w kształcie kielicha, osadzonego na lecącym orle, misternie wyrobiona, pamiętna już tem, że z niej nadworni kaznodzieje przemawiali do rodziny królewskiej, która zwykle w tej kaplicy słuchała nabożeństwa z bogatej trybuny, ponad głównemi drzwiami osadzonej, a do której kryta od zamku galerya, przechodząca w głębi prawej kościelnej nawy, prowadziła.

Ocalały umieszczone w ośmiu wyżłobieniach ściennych posągi królów, niegdyś blachą srebrną okute, dziś już tylko srebrem malarskim odświeżone.

Nie ma już ani bocznych ołtarzów, ani osobnej zakrystyi, ocalał wszakże jeszcze starożytny trójręczny obraz, św. Kazimierza wyobrażający, na cienkiej deszczce malowany, w srebrną szatę i ramę pozłocistą oprawny, w miejscach odkrytych bardzo poczerniały. Już pod koniec XVI. wieku był odnawiany, jak świadczy napis na prawej stronie deski, pod srebrną blachą: *Justus ut palma florebit, sicut cedrus libani multiplicabitur. 1594 renovatum.* Musiał więc być zrobiony koło roku 1521, skoro Leon X. policzył królewicza Kazimierza w poczet błogosławionych i pierwiastkowie musiał być umieszczony w starej kaplicy królewskiej. O tym obrazie istnieje takie podanie: pewien malarz wileński, odmalowawszy obraz św. Kazimierza, przypatrywał się, azali mu czego nie bra-

tmana, malował mu pałac na Antokolu. Jego też pendzla obrazy i freski w kościele św. Ignacego Jezuitów w Wilnie, w kościele Kamedułów w Pożajściu pod Kownem i inne. Rastawiecki powtarza szczegóły w swoim słowniku malarzów z „Wizerunków" wzięte t. I. 135, 141. Obrazy Danckerts'a Z. K. Wilczyński zamieścił w swoim znakomitym *Albumie wileńskim* w prześlicznych chromolitografiach, podług rysunku Karola Rypińskiego, wykonane w Paryżu przez Deroy, figury przez Grenier. Danckerts zmarł 9 października 1661 z ran zbójeckich pod Rudnikami odniesionych; odnowienie zaś kaplicy po uwolnieniu nieprzyjaciół Wilna, zaledwo w roku 1692 ukończonem zostało. Już to samo dowodzi, że Danckerts nie mógł w tem uczestniczyć, skoro wiemy z *Królewskiej drogi*, że biskup Eustachy Kotowicz zapłacił malarzowi 600 bitych talarów, okrom innych mniejszych wykładów.

kuje. Jakoż zdało mu się, że prawa ręka dłuższa od lewej; a więc namalował inną, krótszą, ku sercu nakłonioną, poprzednią zaś, dłuższą farbami zmazał i zagładził. Lecz ręka ta zaraźe na jaw się pokazała, a napróżne były wszelkie usiłowania zatrzeć ją. Tak więc i pozostał trójręczny obraz św. Kazimierza.

Biskup wileński ks. Jędrzej Benedykt Kłągiewicz (w r. 1838 rządzący dyecezyą), ks. Józef Bowkiewicz prałat, pod zawiadywaniem którego odbyło się wyporządzenie i odnowa kaplicy, nieodstępny dozorca robót podkustoszy katedralny, ks. Karolewicz dobrze się zasłużyli rodakom przez swoją gorliwość i troskliwość, ażeby tak drogocenną dla kraju świątynię do stanu pożądanego doprowadzić i jej zabytki, jakie ocalały od zagłady uchować.

Pozostaje nam jeszcze słów kilka powiedzieć o uwożeniu św. szczętów królewicza z Wilna, w czasie wojen, jak również o rewizyach tychże przez kapitułę odbytych.

Przed zdobyciem Wilna w r. 1655 i przez cały czas zajęcia miasta, święte szczęty Kazimierza, wywiezione z Wilna, od kustosza katedralnego Jerzego Białłozora i podkustoszego Bartłomieja Ładzika, a następnie od biskupa wileńskiego Jana Dowgiałły Zawiszy, pośród tysiącznych niebezpieczeństw, z miejsca na miejsce przenoszone i ochraniane były. A gdy w całej tak rozległej dyecezyi nie było bezpiecznego schronienia, polecił je pieczołowitości referendarza i pisarza W. Ks. Litewskiego Cypryana Pawła Brzostowskiego. Ten ostatni przez dwadzieścia i dwa miesiące starannie przechowywał gdzie było bezpieczniej, a w końcu, gdy kapituła wileńska zgromadziła się w Różanej ks. Pawła Sapiehy, wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego Litewskiego, oddał św. relikwie kapitule i odtąd złożone w pałacu różańskim przez półtrzecia roku zostawały, a dopiero w połowie 1664 przez ówczesnego kustosza ks. Mikołaja Słupskiego, a pod ochroną referendarza Brzostowskiego bez żadnej wystawy do Wilna odprowadzone były; tu zaś czas jakiś zostawały w jednym z domów kapitulnych, aż póki nie zdołano przywrócić nabożeństwa w katedrze opustoszałej i zasypanej gruzami, wtedy dopiero na dawnem miejscu w ołtarzu kaplicy królewskiej spoczęły.

Przed pierwszem do Litwy wkroczeniem wojsk szwedzkich Karola XII., trumna powtórnie była uniesiona i od zniewagi za-

chowana, pod opieką proboszcza kaplicy Jana Mikołaja Zgierskiego, sufragana wileńskiego. Po odprowadzeniu ciała napowrót, kapituła wyznaczyła dwóch członków swoich dla obejrzenia trumny: azali pieczęci są w całości i nienaruszone[1]. Gdzie przez ten czas były szczęty św. Kazimierza akta kapitulne milczą; wiemy tylko, że droższe sprzęty kościelne, naprzód przeniesione do Częstochowy, później w Królewcu przechowane, znalazły się w zupełnej całości. Może to w owym czasie przechowane były w Miednickim zamku?

Zaraz po przywiezieniu ciała św. Kazimierza z Różany kapituła obejrzała św. relikwie d. 23 czerwca 1664 r., opieczętowała i akt obejrzenia sporządziła. W liczbie pieczęci na tym akcie znajduje się pieczątka sygnetowa z herbem królewskim Jana Kazimierza. We trzy lata potem, 23 maja 1667 r. król Jan Kazimierz wyznaczył osobną komisyę, do której powołał i ze świeckich Kopcia wojewodę połockiego, Brzostowskiego referendarza i innych. W reskrypcie do tych komisarzy król pisze: „Że ciało św. Kazimierza w Trunie pieczęcią naszą y innych różnych osób zapieczętowane dla skołatania po różnych drogach uwożąc przed nieprzyjacioły y przechowywania po różnych wilgotnych miejscach, potrzebuie opatrzenia. Byliśmy do tego proszeni, abyśmy ten święty deposit opatrzyć i przesuszyć pozwolili. My do słuszney przychilając się prośby, żądamy i zleczamy“ i t. d.

Komisarze wykonali przysięgi podług osobnej na ten cel ułożonej roty i dopełnili zleconej sobie czynności d. 20 czerwca 1667 r. Szczegółowy spis szczątków wykazał 26 części.

D. 29 października 1677 roku na rozkaz króla Jana III. znowu otwierano trumnę dla zabrania części relikwij i udzielenia ich królowi Janowi III. na usilną jego prośbę, królowej Maryi Kazimirze i wielkiemu książęciu Etruryi Kozmasowi III.

D. 14 czerwca 1736 jeszcze raz otwierano trumnę i wyjęto małe cząstki relikwij dla królowej Maryi Józefy, dla króla Augusta III. i kanclerza W. Lit. Jana Sapiehy.

Nadto udzielono św. relikwij w rozmaitych czasach: dla kościoła jezuickiego w Wilnie przy domie profesów; Towarzystwu *(Sodalitas)* szlachetnej młodzi w Neapolu. Towarzystwo to, św. Ka-

[1] Akta V. C. V. 7703, f. 85.

zimierza za patrona sobie i wzór do naśladowania obrało. Przy kościele św. Jerzego, jeszcze od Konstantyna Wielkiego zbudowanym, przy którym zgromadzenie tej młodzi zawiązało się, z powodu nadesłania św. relikwij z Wilna, otworzono osobną kaplicę pod wezwaniem św. Kazimierza, w ołtarzu której ustawiono złocony posąg noszący w piersiach drogocenny upominek z Wilna nadesłany [1]; zakonowi maltańskich Kawalerów; kardynałowi Ursini, za pośrednictwem nuncyusza apostolskiego, na przełożenie biskupa Brzostowskiego, udzielono bardzo małe cząstki i w jak największej tajemnicy, ponieważ członkowie kapituły sarkali na powolne szafowanie świętemi relikwiami. Przesłano też jeden szczątek na usilną prośbę Towarzystwa *(Sodalitas)* dorodnych młodzianów przy jezuickim kościele pod godłem Narodzenia Najświętszej Panny, do Mechlina w Belgii. Jak wysoce ceniono za granicą tego rodzaju upominki, widocznem jest z listu Franciszka Neringa Jezuity, pisanego do Wilna (1691). Relikwie były wystawione w kościele metropolitalnym św. Romualda dla powszechnego nabożeństwa. Trzej kościelni krasomówcy świętego Królewicza wychwalali: jeden po wschodzie słońca; drugi, Jezuita, w południe; trzeci, Kapucyn, wieczorem. A gdy skończyły się przemówienia, stanęły kompanie z chorągwiami ludzi żonatych, młodzieńców i szkolnej młodzi, mających zapalone świece i pochodnie jarzące do procesyi wieczornej ku jezuickiemu kościołowi. Gdy kapłani brać już mieli na ramiona św. relikwie, uderzono w największy dzwon; rozległy się brzmienia trąb i wielorakiej muzyki, a całe miasto wyległo. Najprzód jechali trębacze i dobosze; po nich młodzież szkolna w bogatych szatach, polskie stroje naśladujących. Był między nimi Jagiełło król, dziad św. Kazimierza; Kazimierz król, rodzic; czterej bracia; był i nasz miły ksiądz kardynał Fryderyk, obyczajami od anielskich przykładów swojego brata cale odmienny (J. Bolland). Dalej Albrecht cesarz rzymski, dziad macierzyński; następnie młódź przebrana za szlachciców polskich, zgromadzenia pobożne i tłumy ludu; w końcu duchowieństwo z relikwią; bramy tryumfalne, domy i ulice przyozdobione w bogate

[1] Bolland. Acta Sanctorum, Martii t. I., Antverpiae 1668, f. 345, §. VII., n. 51.

obicia; z lilij wytryskały strumienie, a gdy procesya nadeszła do kościoła, misterne ognie pod niebo wylatujące, pompę dnia tego zakończyły. Papież Inocenty XII. na dzień złożenia relikwij nadał odpust zupełny.

Dzieje kapitulne milczą o udzieleniu tych relikwij; widoczna zatem, że biskup Brzostowski z mniejszego jakiego relikwiarza cząstkę oddzielił i przesłał do Mechlina.

Nie mamy wiadomości o innych darowiznach relikwij św. Kazimierza, które niezawodnie musiały być.

Od roku 1736, kiedy po raz ostatni otwierano trumnę ze św. szczętami ubiegło sto i dwa lata. W ciągu wyporządzenia kaplicy w r. 1838, kiedy dla oczyszczenia zdjęto z ołtarza srebrną trumnę, biskup Kłągiewicz zarządził rewizyę wnętrza trumny wraz z całą kapitułą. Po otworzeniu trumny, znaleziono w niej drugą, wielką, tegoż samego kształtu i rozmiarów, drewnianą trumnę, prawdopodobnie z lipowego drzewa, niespróchniałą i w niczem nieuszkodzoną, wewnątrz wybitą błękitnym gredyturem, dobrze zachowanym. W tej wielkiej trumnie umieszczona mniejsza, podłużna skrzynia, na zewnątrz jedwabną turecką materyą, w żółte i różowe pasy, wcale nie wypłowiałą, wewnątrz zaś białym atłasem, a na krawędziach i spojeniach galonem złotym obitą i dwoma wnętrznemi zamkami obwarowaną. Klucze od tych zamków, jeden chował się zawsze u biskupa dyecezalnego, a drugi w magistracie. W tej dopiero skrzyni zawiera się trumienka, z drzewa olszowego, zewnątrz płótnem obszyta, po szwach pieczęciami biskupa Michała Jana Zienkowicza opatrzona. Wieko tej trumienki rozmyka się na dwie połowy, z boków zawiaskami opatrzone, po końcach zaś dwiema, na poprzek leżącemi, odsuwalnemi, z drzewa zawarciami przymocowane. Na połączeniu obu skrzydeł wieka, leżały dwie na przekor ułożone błękitne wstążki, z których każda miała na jednym końcu wielką pieczęć królewską w r. 1664 przyłożoną, podczas późniejszych otwierań nigdy nienaruszaną, dwie zaś inne, na laku wyciśnięte pieczęcie, biskupia i kapitulna, u dwóch przeciwnych końców wstążek, za każdym razem były odrywane. W ostatniej tej rewizyi, dla zachowania wszystkich czterech pieczęci, wstęgi na poprzek przecięto. Relikwie podzielone na sześć oddziałów, każdy osobno zawinięty w pokrowiec z białego atłasu. Do pokrowca przymocowane karty z napisami ilości i na-

zwania relikwij. Pokrowiec głowy, szczęki i gęstych niegdyś aż na ramiona spływających włosów, jest podwójny: z czerwonego i białego atłasu. Mitra książęca, z dwiema od skroni idącemi przewiązkami, aksamitne. Wezgłowie i ocalały prawy kraj szaty atłasowej, obcisłej, z wyciętem ramieniem, dawny swój karmazynowy kolor w ciemny, wiśniowo-żółtawy zamieniły. Wszystkie sześć składów razem owinięte znów w karmazynową materyę, którą i sama trumienka wewnątrz była obita.

W tem zwierzchniem zawinięciu znalazły się autentyczne akta poprzednich rewizyj, oraz darów dla rozmaitych osób, o których już wyżej wspomnieliśmy. Po skończonem szczegółowem obejrzeniu, a następnie włożeniu wszystkich poprzednich aktów, dodano do nich nowy protokół[1] sporządzony d. 12 (24) listopada 1838 r., podpisami

[1] Protokół ten następującej treści: „Andreas Benedictus Kłongiewicz, episcopus Chrysopolitanus, Suffraganeus Vilnensis et Sede vacante administrans Dioecesim Vilnensem. Anno Domini supra millesimum octingentisimum trigesimo octavo, die 12 v. s. seu 24 Novembris juxta Calendarium Romanum. Dum parietes Sacelli, Divo Casimiro dicati, interius a squalore et pulveribus purgarentur; Nos, in comitatu Illustrissimorum Dominorum Canonicorum et Officialium Ecclesiae Cathedralis Vilnensis infra scriptorum, ad magnum conditorium Corporis ejusdem Sancti, ex Altari demissum, praemissis psalmis antiphona, versu et propria oratione, cum debita reverentia accessimus; et intus arcam ligneam obseratam, in eaque aliam minorem, sindone contectam et sigillis firmatam reperimus. In qua, per nos aperta, aliquot testimonia authentica ex annis 1664, 1667, 1677 et 1736, in iisque sacra ossa descripta per numerum et speciem, integra inventa sunt. Ex hoc sacro deposito, in usum Ecclesiarum, ad earum ornamentum et patrocinium Divi Tutelaris conciliandum, et praecipue ad consecranda Altaria portatilia, septem costas cum tribus orbiculis (vertebris) cervicis vel dorsi, duosque dentes et minutissimam particulam crinium excerpsimus hasque reliquias, in Sacristia separatim servandas, Domino Vicecustodi commisimus; ipsam vero arcam interiorem, cum reliquis ossibus Sacris, nova sindone involutam, sigillisque, tam Nostro, quam Venerabilis Capituli, communitam, iterum, ut pridem erat, in magno conditorio reposuimus, illudque diligenter occlusimus".

Akt ten podpisali: Andrzej Benedykt *Kłongiewicz*, biskup Chrysopolitański, sufragan wileński, administrator dyecezyi (od r. 1841 biskup dyecezyalny). — Jan *Markiewicz*, kanonik, prezes kapituły. — Mamert z Fulsztyna *Herburt*, kanonik wileński, prałat-kustosz żytomierski, Dr. św. Teol. — Jan *Staniewicz*, kanonik, Antoni *Fiałkowski*, kanonik, profesor duchownej akademii (następnie arcybiskup metropolita). — Antoni *Pawłoski*, kanonik, Wincenty *Znosko*, kanonik brzeski, proboszcz kaplicy św. Kazimierza, mistrz ceremonij w katedrze, Jakób *Karolewicz*, wice-kustosz katedralny; Libert *Stancewicz*, penitencyaryusz katedralny.

i pieczęciami opatrzony. Trumienkę zawarto jak była, a na środku zejścia się obu skrzydeł wieka, położono na poprzek szeroką wstęgę błękitną, której jeden koniec dwiema pieczęciami biskupa, drugi zaś tyląż pieczęciami kapituły przytwierdzono. Dano nowe płócienne zawinięcie, które przewiązano na krzyż błękitną jedwabną wstęgą, a końce, również szwy zawicia, podkustoszy katedralny własnemi pieczęciami opatrzył. Klucz drugiej zamczystej arki, zawinięty w papier i tąż samą pieczęcią opieczętowany, do pierwszej, największej trumny włożono. Po dopełnieniu tego wszystkiego srebrną trumnę na dawnem miejscu w ołtarzu umieszczono, gdzie i do dziś dnia, nietknięta przez nikogo, znajduje się.

A. H. Kirkor.

Wszystkie akta wyżej wspomniane, tyczące się obejrzeń relikwij, ogłoszone drukiem w *Wizerunkach* i *Rozt. nauk.*, 1840, tom XIV., 31—62.

SARKOFAG CHRZEŚCIJAŃSKI Z IV. WIEKU.

„Rzym podziemny, to miejsce w obec którego żaden historyk, żaden badacz, żaden uczony zajmujący się sprawą kultury ludzkiej przejść nie może, nie rzuciwszy przynajmniej okiem w ten świat dotąd tajemniczy, który się nam powoli odsłania. Nie będzie to twierdzeniem zbyt śmiałem, że w obec kwestyj religijnych, wiszących w powietrzu, a świat dzisiejszy żywo obchodzących, większe i bardziej aktualne znaczenie ma studyum starożytności chrześcijańskich, niż nawet klasycznych. Ileż to powodów musi dziś ludzi do najdawniejszego chrześcijaństwa zwracać! Czyż największe dziś kwestye teologiczne nie odnoszą się do początków Kościoła? I czy obok zagadnień tyczących Osoby Zbawiciela są ważniejsze niż te, które się zajmują pojęciami, obyczajem, stosunkami i wiarą najdawniejszych chrześcijan? A na te same właśnie zagadnienia odpowiada chrześcijańska archeologia. Mówiono nieraz, że wiek obecny ma wiele podobieństwa z pierwszemi wiekami chrześcijaństwa, i jest w tem wiele racyi. Polityczne, społeczne i obyczajowe stosunki obu epok przedstawiają uderzające analogie. Chrześcijaństwo tak prawie jak za czasów Cypryana stoi znowu w obec świata — którego, według pięknych słów listu do Diogeneta, jest jednak duszą — jako rzecz obca, i nie wiele do tego brakuje, aby Kościół, z winy człowieka, wypędzony był z domu, który sam zbudował".

Temi słowy kończy znakomity profesor uniwersytetu Fryburskiego, Fr. Ksaw. Kraus, przedmowę do pierwszego wydania swego „Podziemnego Rzymu", *Roma sotterranea*. Trzeba tak ciężkich warunków życia jak są w ogóle nasze, by zrozumieć, dlaczego my temi sprawami, odnoszącemi się do najdroższego skarbu naszego

do wiary, tak mało się zajmujemy. Gdybyśmy myśleli, że ta obojętność na kwestye archeologiczne stąd pochodzi, iż wiara nasza jest nienaruszona i silna, i żadne w niej wątpliwości do społeczeństwa naszego się nie zakradły, łudzilibyśmy się niepoślednio. Wiara jest silna i nienaruszona w ogóle tylko w ludzie — w warstwach wykształconych jest także dużo ludzi wierzących świadomie i gorąco, ale ogólnie jest w tych warstwach obojętność w wierze, płynąca stąd, że w umysłach naszych inteligentnych wiara z nauką jest nie w zgodzie, lub że w obec wrzekomej nauki zupełnie wygasła. Wpływ antykatolickich uniwersytetów niemieckich, a bardziej jeszcze innych jest wielki bardzo, i żywo w społeczeństwie naszem czuć się daje. A jednak zdrowie nasze i nasza wartość w tem leży, gdy z jednej strony strzeżemy wiary naszej i nie schodzimy z gruntu absolutnej prawdy objawionej, a z drugiej strony bierzemy udział w życiu naukowem cywilizowanego świata, strzegąc tego, abyśmy z nim szli na równi, a nawet dążąc do tego, byśmy mu w tej lub w owej gałęzi nauki przodować mogli. Uprzedzenie jakoby prawda naukowa sprzeciwiała się prawdzie objawionej, jest *jedno z najpłytszych*, a najniebezpieczniejszych dla nas. W świecie naukowym ustępuje ono coraz bardziej, ale wśród ogółu trwa jeszcze silnie, tem silniej, im mniej są znane nowe naukowe nabytki [1].

I.

Jakim sposobem doszło do tego, że był czas, w którym katakumby rzymskie zostały zupełnie zapomniane, nawet w Rzymie, byłoby rzeczą ciekawą do przestudyowania. Zaczęte w pierwszym

[1] W dziedzinie archeologii chrześcijańskiej są ole zaś nadzwyczaj wielkie, a musi to studyum starożytności ogromną mieć siłę i dziwny urok, gdy się w krótkim bardzo czasie rozwinęło do niepospolitych rozmiarów, i zajmuje dziś liczny zastęp uczonych, najpiękniejsze pociągając umysły. Jest w tych dawnych pomnikach nietylko *grunt prawdy wieczystej, przechowywany stale w Kościele*, ale i pewna bliskość źródła tej prawdy, pewna czystość, prostota i jakaś świętość, która znużonym umysłom dzisiejszym daje ochłodę i wypoczynek, a nieraz trwały pokój zupełnego nawrócenia. Dla serc zaś rdzennie chrześcijańskich niezrównana roskosz dotykać się i rozumieć żywe pomniki wiary naszej, i wydobywać z nich nowe światło dla prawdy starej, a zawsze jednako świeżej i niespożytej.

zaraz wieku naszej ery, służyły jeszcze w początkach V. w. za cmentarze wiernych [1]. Gdy się zaczęły napady barbarzyńców na Rzym, grzebano chrześcijan gdzieindziej, niemniej przeto katakumby były jeszcze przez długie wieki miejscem pobożnej pielgrzymki. Dopiero Longobardzi, którzy i grobów świętych nie szanowali, zmusili papieży do przenoszenia zwłok męczenników do Rzymu, co się w VIII. i IX. w. dokonało. Odtąd katakumby, pozbawione swych największych świętości, są przedmiotem coraz rzadszych odwiedzin, aż wreszcie wejścia do nich zasypały się po większej części i zapomniano o nich zupełnie.

W tym czasie „odrodzenie", które jest właściwie odrodzeniem pogaństwa, obok wielu cennych naukowych zdobyczy, wprowadziło w dusze chrześcijańskie coś gorszego jeszcze niż zapomnienie, bo zupełną obojętność dla chrześcijańskich pamiątek. „Zadziwiającą i charakterystyczną jest rzeczą, mówi Kraus w swej *Real-Encyklopedie*, że najznakomitsi humaniści XV. w. tylko pogańską starożytnością się zachwycali [2], a w innem miejscu „Humaniści takich rzeczy (jak katakumby), ani rozumieli, ani się niemi nie interesowali [3]". Ciekawy jest fakt, że członkowie akademii Rzymskiej, pod przewodnictwem znakomitego humanisty Pomponiusza Letusa [4], odbywali swe posiedzenia w katakumbach św. Kaliksta, i tam w jednej z kaplic, zwanej dziś *Capela del falso Papa* wypisali swe nazwiska, a nigdy im na myśl nie przyszło popatrzeć na pamiątki, które przed oczyma mieli. Dopiero gdy protestantyzm, do rozwoju którego to spoganienie umysłów kultywowanych wiele się przyczyniło, począł występować coraz zuchwalej zaczepnie na polu naukowem, i „reformatorzy" a na ich czele tak zwani Centuryatorowie magdeburscy (1559—1574) postawili tezę jakiejś idealnej „czystości" pierwotnego chrześcijaństwa, od której Kościół miał według ich zdania odstąpić, głębsze studyum chrześcijańskich pamiątek pierwszych wieków stało się koniecznem.

Wtedy to także zdarzyło się, iż robotnicy pracujący w winnicy Bartłomieja Sanchez, położonej po prawej stronie *via Salaria*,

[1] Ostatnia znana dziś data na kamieniu grobowym jest r. 409.
[2] Real Encyklopedie. T. I. S. 80.
[3] R. Enc. T. II. S. 99.
[4] Za czasów Pawła II. (1464—1471).

niedaleko drugiego słupa milowego, „odkryli“ dnia 31 maja 1578 r. część katakumb chrześcijańskich. Odkrycie to wielkie zrobiło wrażenie, poczęto tłumnie odwiedzać święte miejsca, pobożny lud domagał się szczątek grobów i relikwij męczenników, których kości tu i owdzie znajdowano, najznakomitsi ludzie schodzili do dołów i krużganków, a Baroniusz, który w annalach swoich (1588—1607) Centuryatorów magdeburgskich zwalczał, wiele razy katakumby te odwiedzał i dokładnie im się przypatrzył, o czem po trzykroć w wiekopomnem swem dziele wspomina. Gdy jednak ciekawość była zaspokojona, a wszystkie pamiątki i relikwie wyjęte, już się więcej tą częścią katakumb nie zajmowano, i w lat piętnaście po tem zdarzeniu nie było śladu odkrycia.

Nie ustały jednak dalsze poszukiwania, nie tyle w celu nauki, ile w celu wydobycia dawnych pamiątek świętych i relikwij; aż dopiero Antoni Bosio, (ur. około r. 1576 um. 1629 r.), przezwany Kolumbem katakumb, poświęcił im całe swe życie. Najważniejszą zasługą jego jest to, że nie ograniczył się na rozkopywaniu grobów, wyjmowaniu tablic z napisami i innych przedmiotów, a choćby i na notowaniu samychże napisów i odrysowywaniu ważniejszych pomników, ale wziąwszy katakumby jako całość, wczytał się w najdawniejsze znane wówczas dokumenta, mogące mieć styczność z niemi, i z tą niezmierną naukową wiedzą klasyfikował katakumby odkryte, według ich topograficznego położenia i według napisów i przedmiotów, jakie w nich znajdował. Dzieło Antoniego Bosia: *Roma sotterranea*, które wydane zostało dopiero po śmierci autora w r. 1632[1], stanowi epokę w historyi studyów tego przedmiotu, a było podstawą i wskazówką prowadzonych na wielką skalę poszukiwań i badań dzisiejszych.

Nie potrzebuję mówić, że odkrycia w katakumbach poczynione, a w dziele Bosia ogłoszone, zbijały wręcz tezę protestancką o wrzekomej „czystości“ pierwotnego chrześcijaństwa, tj. o nieistnieniu zrazu niektórych dogmatów, sakramentów, postów i wielu innych praktyk pobożnych, które miały być później przez wymysł „papistów“ do Kościoła wprowadzone. To też w pierwszej zaraz

[1] Dzieło to znane było więcej w tłumaczeniu łacińskiem, które wydał Paweł Aringhi w r. 1651.

chwili dzieło Bosia stało się przyczyną kilku głośniejszych nawróceń, i pobudziło protestantów do zajęcia się przedmiotem, o którem traktowało. Uczynili to ze zwykłą sobie taktyką, bo pomijając dzieło Bosia i naukowe jego rezultaty, jak gdyby ich na świecie nie było, opierali się tylko na powierzchownem wrażeniu własnem lub innych podróżników, którzy odkopane lub odkopywane katakumby widzieli, aby tę całą sprawę w swój sposób przedstawić, ośmieszyć i pogrzebać, — i to im się na długi czas zupełnie prawie udało. „Wówczas, pisze de Rossi zaczął się ten spór, który nazwę: niegodnym żartem z naszych cmentarzy podziemnych. Bo doprawdy nie wiem jak go nazwać inaczej, gdyż w listach i rozprawach podróżników z północy, którzy przeczyli chrześcijańskiemu charakterowi i świętości katakumb rzymskich, nie ma nawet cienia wiadomości archeologicznych, lub zarzutów, któreby były zdolne obudzić prawdziwą wątpliwość u znawców miejsc tych i pomników. Pierwszym może z nich był Misson, Anglik, który w r. 1691 wydał swoją podróż do Włoch, odbitą później w kilku edycyach. Wtórował mu Burnet i inni, których ani imion ani książek nie chcę wspominać, gdyż według ich zdania podziemne cmentarze rzymskie są to „groby pogańskie, gdzie się spotyka także i groby chrześcijańskie, wyraźnie z czasów religijnego pokoju; wiele napisów i malowideł zrobionych było później przez zabobonnych mnichów, by były świadectwem fałszywem relikwij". Takie i tym podobne wymysły przynoszą na pole walki, lub powtarzają to, co inni mówili przed nimi. Ale kto tylko ma poczucie krytyki archeologicznej i choćby bardzo powierzchowną znajomość naszych podziemi, nie będzie tracił czasu na czytanie lub zbijanie pism podobnych, które nie są owocem studyów nad pomnikami naszemi, ani poważną pracą archeologiczną. Pomimo tego kąkol raz rzucony zakorzenił się, i w przewodnikach dla podróżnych i w wielu innych książkach pisanych przez autorów lekkomyślnych i niedouczonych, te same wątpliwości były powtarzane w rozmaitej formie aż do naszych czasów. Nawet niektórzy uczeni, porwani duchem stronniczym, a mało lub nic nie obznajomieni z pomnikami chrześcijańskiemi, przyjęli chętnie opinie Missona i jego naśladowców. Piotr Zorn, profesor hamburski wydał w Lipsku w roku 1703 książkę pod tytułem: *Dissertatio historico-theologica de catacumbis seu criptis sepulcralibus sanctorum mar-*

tyrum, in qua Burnetti, Missonii et aliorum sententia defenditur contra Mabillonium Ciampinum, Bosium et alios Romanenses. Sam tytuł wystarczy, by osądzić ducha i krytyczną wartość rozprawy, i śmieszny doprawdy jest ten profesor hamburski, który z Lipska chce pouczać samego Bosia, czem są katakumby. Nie wiem czy tego samego ducha są dwie rozprawy: Armanda Femela: *De catacumbis romanis,* która wyszła w Lipsku w r. 1710, i Ernesta Salomona Cipriana: *De ecclesia subterranea,* wydana w Helmsztadzie w r. 1699. Znam je zaledwie z tytułu. Zbyt byłoby długo a nie przydałoby się na nic wyliczać książki takie, jak historye Kościoła, lub inne, w których mimochodem jest mowa o katakumbach w duchu pokrewnym Missonowi i jego naśladowcom. A jeśli dziś o podobnej wojnie nikt nie myśli w obozie uczonych, i został zaledwie słaby jej ślad, jakieś echo w tym lub owym przewodniku po Rzymie, zawdzięczamy to studyom pomników, i temu że podziemia oglądamy. I gdyby archeologowie rzymscy byli podjęli odrazu przerwaną pracę Bosia, i opisywali dokładnie pojedyńcze cmentarze, i to co się w nich nowego co dzień odkrywało, byłaby to najlepsza i najwymowniejsza odpowiedź na niemądre książki i na uczone niby wątpliwości. Ale oni poszli inną drogą..." [1].

Ta inna droga polegała na tem, że odkopywano dalej katakumby wyłącznie w celu doraźnie praktycznym poszukiwania relikwij i pamiątek, z zupełnem lub prawie zupełnem pominięciem strony naukowej. Skutkiem tego ci, co się katakumbami zajmowali, nieraz bardzo uczeni archeologowie, skierowali badania swoje głównie do tego celu, aby módz z jak największą pewnością rozróżnić groby męczenników od grobów innych chrześcijan. Że i te badania przydały się nauce, rzecz jasna, ale pożytek był zbyt skąpy, a niezmierną dla nauki szkodą było to, że po wydobyciu ciał męczenników i umieszczeniu ich po rozmaitych kościołach Rzymu i świata całego, i po wybraniu co się dało tablic z napisami i innych pamiątek, odkryte podziemia bywały opuszczane zupełnie, i powoli niszczały i zawalały się. Gdyby choć te tablice przechowywano starannie i notowano dokładnie miejsca, zkąd były wzięte — ale i to zaledwie kto robił. Gdy w drugiej połowie XVIII. w., pisze Ma-

[1] Cav. G. B. de Rossi. La Romą sotterranea cristiana T. I. s. 50.

rangoni, pomyślano o tem, by w braku jakiegoś urządzonego na to muzeum oddać nagromadzone mnóstwo napisów grobowych do niektórych kościołów, dla ich przechowania — kościół Matki Boskiej na Transtewere otrzymał tysiąc tablic, do św. Jana dei Fiorentini zawieziono siedm wozów pełnych, dwa wozy do św. Jana Kalibity, a wiele innych do innych kościołów. Z tych zostało tylko kilkadziesiąt tablic na Transtewere, inne przepadły, lub odnajdują się jako płyty użyte do podłogi. Najważniejsze odkrycia zostały zaledwie wspomniane na to, aby budzić w nas żal, że może bezpowrotnie przepadły. „Wyznaję, pisze de Rossi, że serce mi się kraje na myśl, iż krypta Damazego, Balbiny i krypta męczennika Hipolita były nie zbyt dawno odkryte, przez robotników przeszukane, i może bezpowrotnie zniszczone, a człowiek tak uczony jak Kajetan Marini wiedział o tem i nie przyszło mu nawet na myśl zrobić o tem najmniejszej notatki. Do tego stopnia zapomniano o wielkiem dziele Bosia i jego uczonych wskazówkach[1]".

Na to zapomnienie dużo składało się czynników. Najprzód, w obec gwałtownych napaści protestantów na każdem polu, Kościół potrzebował ludzi swoich do ważniejszych rzeczy. Trzeba było bronić całej nauki teologicznej i ratować całe społeczeństwa od błędów i niewiary, przez wychowanie katolickie, urządzać seminarya, spierać się o każde prawo i każdą własność wiekami nabytą, a przez władze protestanckie, a później za ich przykładem i przez katolickie wydzierane. W tej pierwszej epoce walki Kościół rósł wewnątrz i oczyszczał się, choć na zewnątrz ulegał przemocy. Gdy jednak po trzydziestoletniej wojnie, która wycieńczyła Europę, i wywołała, szczególnie na północy, stan barbarzyństwa i zdziczenia, nastał pewnego rodzaju „zgniły pokój", w którym, prawda na równi postawiona z fałszem, poddana została pod władzę państwową, to jest pod siłę, jako rozstrzygającą w ostatniej instancyi — było to jeszcze gorszem. Protestantyzm zwycięski, rozkładając się sam w sobie, dochodził konsekwentnie do niewiary i racyonalizmu, ale przez to samo stawał się przystępniejszy naturalnemu rozumowi ludzkiemu, przy ogólnem obniżeniu moralnem. Opanowało więc wszystkich jakieś zwątpienie, a stąd i zniechęcenie i lenistwo, które od badań

[1] Roma Sott. T. I. s. 61.

naukowych odciągało. Im kto głośniej twierdził a zręczniej kłamał, tem pewniejszy był zwycięstwa, i w ten to sposób nagromadziło się owe mnóstwo uprzedzeń historycznych i niby filozoficznych czy naukowych, które się dotąd wloką po licznych gazetach i pismach ostatniego rzędu, a i z umysłów bardziej kultywowanych nie zupełnie zostały wygnane.

W kwestyi zaś, o której mówimy, inny jeszcze czynnik był w grze, a to dlatego, że archeologią rzymską zajmowali się wyłącznie prawie Rzymianie a przynajmniej Włosi, którzy pism protestanckich Anglików i Niemców w tym przedmiocie nie bardzo znali, a jeśli kto znał, to na nie, jako na bezpodstawne, nie zważał. Anglicy zaś i Niemcy nie znali najczęściej Bosia, a cóż mówić o innych pisarzach pomniejszych. Nie mieli więc pobudki Włosi do prowadzenia polemiki, i obchodziło ich to jedynie, co było żywotną potrzebą chwili, tj. chcąc uczynić zadość pobożności wiernych, domagających się relikwij i pamiątek świętych, badali sumiennie znaki, po których je poznać można było, katakumby rozkopywali, szczątki rozdawali, a zresztą nie troszczyli się o więcej. Było więc między tymi, którzy o katakumbach pisali we Włoszech i na północy nietylko nieporozumienie lub nierozumienie się, ale nawet najczęściej i niewiedzenie o sobie, które pod każdym względem najgorsze miało skutki.

Wiek nasz XIX., który jest niezaprzeczenie jednym z najświetniejszych wieków odrodzenia nauki i sztuki, i w tej kwestyi nie został w tyle. Pierwszym który rozpoczął na nowo systematyczne studyum katakumb był Jezuita, O. Marchi, który po głębokich studyach zaczął w r. 1841 wielką pracę o pomnikach chrześcijańskich, wydaną w r. 1844. Chodziło mu o to, by wszystkie do jego czasu znane starożytności chrześcijańskie według rodzaju sztuki, a więc malowidła, rzeźby, mozaiki etc. ułożyć, uporządkować i opisać. Ale w miarę jak przedmiot swój głębiej poznawał i lepiej opanowywał, i jak coraz to nowe odkrywano podziemia i dokumenta starożytne, widział, że objęcie katakumb jako całości, a mianowicie ich topografia zbadana na podstawie najdawniejszych pomników pisanych, jakiemi były głównie *Calendaria, Martirologia*, Akta męczeńskie, *Liber Pontificalis* i tak zwane *Itineraria* (rodzaj przewodników z VII. i VIII. wieku) — było dopiero prawdziwie godnem

traktowaniem przedmiotu, i do tej też metody w książce swojej coraz bardziej się skłaniał.

Ale nie było mu danem dzieła tego w całości dokonać. Podjął je, i przeprowadził nadzwyczaj świetnie, prawdziwie po mistrzowsku uczeń Ojca Marchi, Jan Babtysta de Rosi, archeolog niezrównany, a w badaniu chrześcijańskich starożytności pierwszy. Dzieło jego, „Roma Sotterranea“, napisane z całą znajomością wszystkich odkrytych dotąd źródeł i dokumentów, i wszystkiego co do jego czasu pisanem było w tym przedmiocie, niezmiernie sumienne i ścisłe pod względem krytyki, popartej zresztą nadzwyczaj szczęśliwemi odkryciami, które sam prowadził, stanowi prawdziwą epokę w historyi badań archeologii chrześcijańskiej, i jest nieprzebranem źródłem argumentów dla katolickiej prawdy.

Obok de Rossi'ego, który obrał metodę topograficzną, inny znakomity uczeń O. Marchi'ego, Jezuita O. Garucci dokonał tego, co mistrz jego w pierwszej linii zamierzał, tj. zebrał, ułożył i opisał wszystkie znane pomniki, malowane, rzeźbione, wypalane w szkle lub układane w mozaice od I. do IX. wieku ery chrześcijańskiej. Dzieło to wyszło w Prato, w 6. tomach *in folio*, i jest koniecznem, a bardzo znakomitem dopełnieniem Jana Bapt. de Rossi. Około tych dwóch dzieł grupują się inne, wydane tak przez O. Garucci i pana de Rossi, jak i przez mnóstwo innych archeologów Włochów i niewłochów, nie licząc kompendyów, dykcyonarzy i encyklopedyj starożytności chrześcijańskiej, które w ostatnich czasach tak w niemieckim jak angielskim i francuskim języku wydane zostały.

Nie potrzebuję dodawać, że wszystkie te dzieła złożyły się na to, aby wykazać niewątpliwy charakter wyłącznie chrześcijański katakumb rzymskich, a tem samem wszystkie zarzuty protestanckie stanowczo usunąć. Sami protestanci to wyznają. „Czas już zakończyć ten szereg świadectw pisze, de Rossi, iż charakter chrześcijański tak zwanych katakumb rzymskich, już w pierwszej połowie tego wieku był jednomyślnie uznany przez archeologów wszelkiej narodowości, i wszelkiego wyznania, a za pieczęć niech służą słowa książki, wydanej w Londynie w r. 1846, nieprzyjaznej Rzymowi i nauce katolickiej, której autor miał na celu jedynie walkę z Rzymem i katolicyzmem, a z ducha który go wiedzie, i z nieznajomości przedmiotu o którym jednak mówi, wydaje mi się prawdziwym Missonem

naszego wieku. Pomimo tego wszystkiego wyznaje on, że: *winniśmy się również strzedz zabobonnej łatwowierności Romanistów, którzy pragnęliby, aby każdy szkielet znaleziony w katakumbach był czczony jako relikwia męczennika,* (łatwowierności, która nigdy nie postała w niczyjej głowie, a spory o znaki odróżniające groby męczenników, znane nawet po zakrystyach, świadczą, jaka miłość prawdy z tych słów promienieje), *jak i tego skeptycyzmu, który pod pozorem prostych i bezstronnych poszukiwań, nie godzi się nawet na fakta najoczywiściej dowiedzione, do tych pomników się odnoszące... Wszyscy teraz zgodnie uznają, że te cmentarze, choć nie przez chrześcijan kopane*[1], *są jednak wszystkie chrześcijańskie, bez żadnej przymieszki grobów pogańskich.* Po tem wyznaniu miejmy nadzieję, że nie będziemy już nigdy tracić czasu na podobne dysputy, które powstały z ducha stronniczości, nie zaś z niejasności przedmiotu spornego, a jeśli dwa wieki i pół studyów i doświadczeń wystarczyło zaledwie, aby wydrzeć niektórym ludziom uznanie prawd oczywistych, o które Bosio i najuczeńsi mistrze w dziedzinie archeologii chrześcijańskiej nawet spierać się nie chcieli, bądźmy kontenci, jeśli wystarczy jeden wiek do wydobycia podobnego uznania innych prawd, niemniej pewnych, ale wymagających wiele argumentów i badania wielu faktów, aby były poznane i przyjęte“ [2].

Pisarze akatoliccy, a w pierwszej linii protestanccy, (bo racyonaliści udają, że ich kwestye religijne nic nie obchodzą), choć na tylu polach, a w tej kwestyi na całej linii pobici, nie dają jeszcze za wygraną, i prowadzą dalej drobną walkę podjazdową w szczegółach. W przedmowie do 2-go wydania dzieła swego „Roma Sotterranea“ skarży się na nich Kraus: „W jednej rozprawie czasopisma *Zeitschrift für wissenschaftliche Theologie (XVI. 597),* zrobiono mi zarzut, że tak ja, jak i de Rossi, przy ocenianiu rezultatów, jakie z badań katakumb dla początków historyi kościoła rzymskiego płyną, jesteśmy pod przeważnym wpływem naszego konfesyjnego stanowiska. Tak panu de Rossi jak i mnie nie dano szcze-

[1] Ostatnie prace Michała de Rossi, brata sławnego Jana Babtysty a znakomitego inżyniera dowiodły, że z bardzo małemi wyjątkami katakumby są umyślnie przez chrześcijan na groby kopane.

[2] Roma sott. de Rossi. T. I. S. 65.

gółowego dowodu na to twierdzenie, które też tak od siebie jak i od sławnego przyjaciela mego odepchnąć muszę. Gdy się mi powiada, że „Chronologia biskupów rzymskich“ Lipsiusa nie zostawiła na mnie śladu, ośmielę się utrzymywać, że mało kto badał dokładniej dzieło Lipsiusa zdanie po zdaniu, jak ja to czyniłem. Ale właśnie najuważniejsze studyum tego dzieła przekonało mię o bezpodstawności najgłówniejszych jego twierdzeń, i mogłbym odwrócić ostrze miecza, i skarżyć się na to, że uprzedzenia teologiczne całej jednej szkoły uczonych nie pozwalają im faktów badań monumentalnych, po prostu przyjąć, i słusznie ocenić doniosłości archeologicznego dowodzenia“ [1].

Zarzut stronniczości i uprzedzenia, czyniony pisarzom katolickim ze strony protestantów, którzy przez wieki stronniczością i uprzedzeniem oddychają i żyją, jest dawną i dobrze nam znaną taktyką fałszu przeciw prawdzie. A tak skarga p. Krausa, jak i cały przebieg walki naukowej protestantów z katolikami o katakumby, przywodzi nam mimowoli na myśl inną walkę, już nie naukową, i inną skargę, w innych zupełnie warunkach wypowiedzianą do kanclerza W. Ks. Litewskiego, Lwa Sapiehy przez św. Jozafata Koncewicza. „Schyzmatycy biją y płaczą, a na nas z krzykiem, wrzaskiem wszystkie winy kładą, Katholicy też niektórzy dla samych wrzasków ich nas tłumić pomagają“ [2]. Czas już, aby zdrowa krytyka w ocenieniu antykatolickich dokumentów o tem pamiętała, i by „Katholicy też niektórzy“ przynajmniej na polu naukowem nie „pomagali tłumić nas“ innowiercom, tak, jak niegdyś, ze szlachetnej niby miękkości serca, lub z głębokiego niby rozumu politycznego, pomagali nas tłumić na polu politycznem.

II.

Że są katakumby, że są chrześcijańskie i że mieszczą w sobie mnóstwo pomników, napisów i zabytków sztuki, a więc mnóstwo dokumentów do pierwszej epoki chrześcijaństwa, to wszystko wiemy. Ale jak i co nam te dokumenta mówią, jak się na nie trzeba patrzeć i w nich czytać? By na to pytanie dać choć w pewnej mierze

[1] Roma sott. Kraus, wyd. 2. s. VI.

[2] Patrz X. Edw. Likowski. Historya Unii. str. 246.

odpowiedź nie na ogólnikach opartą, myślę, że najlepiej zrobię, jeżeli wezmę jakiś jeden pomnik, jeden z tysiąca, i wraz z czytelnikami moimi wyczytam i wydobędę z niego to wszystko, co się da. W tym celu wybrałem sarkofag, względnie z późnej epoki, bo z IV. wieku, wybrałem go zaś dla tego, że jest pod wielu względami charakterystyczny a pod niektóremi jedyny. Stojąc zaraz z początku ery pokoju, zaczynającej się od edyktu Konstantego W. (r. 313), łączy przedstawienia symboliczne, przekazane tradycyą ery prześladowań i tajemnicy *(disciplina arcani)*, z jawnem wypowiedzeniem dogmatów, a mianowicie daje nam najdawniejsze, a nawet dotąd z tak odległej epoki jedyne znane przedstawienie wyraźne Trójcy św. w trzech ludzkich postaciach.

Sarkofag ten, którego rysunek podajemy, znaleziony w Rzymie, umieszczony w tak zwanej konfesyi św. Pawła za murami, jest obecnie w muzeum chrześcijańskiem lateraneńskiem, i niepoślednie zajmuje w niem miejsce[1]. Kraus nazywa go „najpiękniejszą perłą“ muzeum, a de Rossi „najwspanialszą epopeją chrześcijańskiego dogmatu“. Przeznaczony jest na dwa ciała, jak świadczy w środku umieszczona muszla *(imago etypeata)* z portretami dwojga małżonków. Głowy portretów niezupełnie są wykończone, zdawałoby się, że rzeźbiarze mieli podobne sarkofagi gotowe na sprzedaż, z głowami portretów z grubsza wyciosanemi, by je dla nabywców wykańczać, na co w tym wypadku nie było może czasu. Sarkofag ten jest także wewnątrz przedzielony felcem na dwie kondygnacye jedna nad drugą, co i na zewnątrz zaznaczył rzeźbiarz, dzieląc przód sarkofagu na dwa piętra, które figurami zapełnił. Figury te, dla tych, którzy po raz pierwszy w życiu podobne przedstawienie widzą, mogą być zrazu niezrozumiałe, bo jeśli gdzie to w archeologii zupełnie jest prawdziwy stary paradoks: *monumentorum artis qui unum vidit, nullum vidit, qui millia vidit unum vidit.* Archeologia jest przedewszystkiem umiejętnością doświadczenia. Kto jednak tych przedstawień sarkofagowych widział więcej, i wie co w nich

[1] Opisuje go: 1) O. Marchi w Civ. Cattolica. 2) J. B. de Rossi w Bulletino Archeologico Cristiano z r. 1865 s. 69. 3) O. Garucci: Storia dell' Arte Cristiana T. V. s. 95, a w T. I. tj. w części ogólnej w bardzo wielu miejscach go wspomina. Kompendya i dykcyonarze Krausa, Martigny'ego etc. wszystkie się nim zajmują.

jest dla dzisiejszych pojęć naszych niezwykłe, a owej epoce właściwe, temu są one zupełnie jasne.

Taką właściwością przedstawień pierwszych wieków chrześcijańskich jest to najprzód, że Chrystus Pan jest w nich zazwyczaj bez brody, nie portretowany, ale pojęty idealnie, jako młodzieniec. Powtóre, przedstawione zdarzenia są najczęściej niczem nie oddzielone od siebie, i tak ściśnięte, że czasem nawet zachodzą jedne na drugie, i trzeba pewnego ćwiczenia, aby je od siebie oddzielić, aby wiedzieć, co do czego należy. Nakoniec, gdy zdarzenia przedstawione są zazwyczaj symbolem, więc i sposób przedstawienia nie jest wiernie historyczny, ale użyta jest jak najmniejsza liczba osób, i najprostsze środki, by tylko zdarzenie samo, a przez to łączący się z niem symbol przypomnieć. Trzy powyższe uwagi wystarczą, by nasz sarkofag zrozumieć.

Są na nim, najprzód zaczynając od lewej ręki: 1) Trzy Osoby Boskie, dwie stoją, a trzecia siedzi w pośrodku nich na osłoniętym draperyą tronie, i wszystkie trzy stwarzają człowieka. Ewa malutka stoi przed nimi już stworzona. Osoba Boża będąca najbliżej, kładzie prawą rękę na jej głowę, druga siedząca, błogosławi, trzecia zaś stoi jakoby ukryta za tronem. Adam, tej wielkości co Ewa, leży na ziemi. 2) Chrystus Pan, jako młodzieniec bez brody, stoi pomiędzy Adamem i Ewą, tej samej co on wielkości, i podaje Adamowi snopek zboża a Ewie baranka. Liście, któremi się zakrywają pierwsi nasi rodzice, i obok stojące drzewo z wijącym się koło pnia wężem świadczą, że grzech pierworodny dopiero co jest popełniony. 3) Muszla podtrzymywana w górze przez dwa skrzydlate geniusze z dwoma portretami, męża i żony[1]. Mąż w todze, trzyma w lewej

[1] Mylniebyśmy przypuszczali, że dzieci skrzydlate podtrzymujące muszlę są przedstawieniem aniołów. Takiego przedstawienia, które dziś jest już zwykłe, nie zna stara sztuka chrześcijańska, która aniołów pojmuje do V. wieku zazwyczaj jako młodzieńców bez skrzydeł, przybranych w tunikę i palium. Tak na fresku cmentarza Pryscylli z II. w., przedstawiającym Zwiastowanie, lub u św. Agnieszki, przedstawiającym Tobiasza z aniołem Rafaelem. Dzieci skrzydlate, podtrzymujące napisy lub muszle z portretami, były w sztuce pogańskiej powszechnie używane, jako przedstawienie geniuszów i używane były także w sztuce chrześcijańskiej w charakterze ornamentu. (Patrz: Kraus, R. Enc. I. S. 416 Engelbilder).

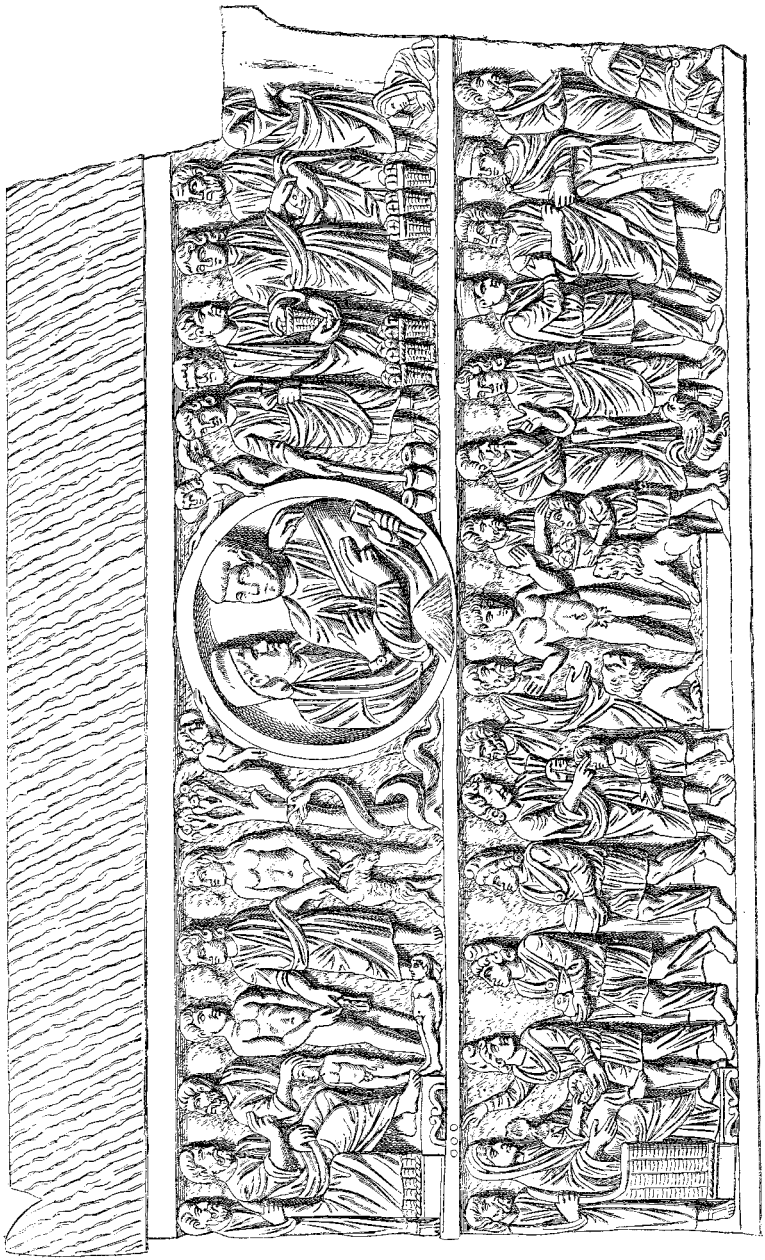

Sarkofag chrześcijański z IV. w. znaleziony w Rzymie w konfesyi św. Pawła Za Murami.

ręce zwitek papieru, żona zwrócona nieco twarzą do męża, prawą ręką trzyma prawe jego ramię, a lewą obejmuje go za szyję. 4) Chrystus Pan dotyka laską trzech naczyń u stóp jego stojących: Zwykłe przedstawienie cudu w Kanie galilejskiej. Te trzy naczynia małe, choć Pismo św. wyraźnie mówi, że w Kanie galilejskiej napełniono wodą sześć wielkich stągwi, świadczą, że chodziło głównie o symboliczne a nie historyczne przedstawienie rzeczy. 5) Chrystus Pan stoi pomiędzy dwoma brodatymi ludźmi, z których jeden trzyma kosz z chlebem, a drugi naczynie z rybami i kładzie prawą rękę na chleb, lewą na ryby, na ziemi stoi sześć koszów z chlebem. Zwykłe przedstawienie cudownego pomnożenia chleba i ryb na puszczy. 6) W końcu, uszkodzone wskrzeszenie Łazarza. Widzimy tu tylko niecałą postać Chrystusa a u nóg jego klęczącą i w najgłębszej czci pochyloną kobietę, zapewne Martę, ale scena ta przedstawiana jest tak często w owej epoce, że co do uzupełnienia nie ma wątpliwości. Brakuje głowy Chrystusa i grobu w kształcie świątyńki na dwóch słupkach, między któremi widać Łazarza spowitego jak mumia egipska.

Na dole: najprzód 7) Trzej Królowie przynoszą dary P. Jezusowi, potem 8) Chrystus Pan uzdrawia ślepego. We środku 9) Daniel między lwami, po obu jego stronach dwie postacie brodate, z których jedna trzyma za głowę Habakuka, niosącego Danielowi pożywienie. Dalej 10) Chrystus Pan przepowiada Piotrowi, iż zanim kogut dwa razy zapieje, Piotr się go trzy razy zaprze. Kogut stoi na ziemi, a u prawej ręki Chrystusa Pana trzy palce podniesione do góry. 11) Dwóch żołnierzy prowadzi brodatego człowieka, mającego laskę w ręku. 12) Tenże sam człowiek brodaty tąż laską uderza w skałę, z której woda tryska. I to ostatnie przedstawienie uszkodzone, ale przy porównaniu z innemi sarkofagami da się z całą pewnością uzupełnić.

Widzimy więc, że sarkofag ten, oprócz portretów pogrzebanych osób, przedstawia cały szereg zdarzeń z Pisma św., historycznie ze sobą nie związanych. Musi więc być związek inny, głębszy, a da nam go symboliczne znaczenie przedstawionych faktów.

Ale „tłumaczenie obrazów symbolicznych, mówi Kraus, trudnem jest i delikatnem zadaniem, które wymaga nauki, ostrożności

i uczciwości“ [1]. Gdy brakuje którego z tych czynników, wyobraźnia ludzka pod obraz symboliczny wszystko podłożyć może. To też szydzący ze wszystkiego skeptycyzm, który zazwyczaj z braku nauki lub uczciwości płynie, nazwał przez usta protestanckich racyonalistów symbolikę: „systemem, w którym coś, lub nawet nic, wszystko możliwe znaczyć może“. Ale to płytki żart. Tak jak hieroglify egipskie są symbolami ściśle oznaczonemi pojęć, a litery nasze brzmień, tak i symbole pierwszych czasów Kościoła mają znaczenie ściśle określone, a kluczem do nich jest Pismo św. Niejednokrotnie w nowym Zakonie znajdujemy odwołanie się do starego jako do symbolu: *Albowiem napisano jest*, mówi Paweł św., *iż Abraham miał dwu synów: jednego z niewolnice, a drugiego z wolnej. Lecz który z niewolnice, według ciała się narodził: a który z wolnej przez obietnicę, **co przez Allegorią powiedziane jest.** Abowiem te są dwa testamenty. Jeden na górze Sinai, rodzący w niewolą: która jest Agar... A my bracia według Izaaka jesteśmy synami obietnice. Ale jako na onczas, ten który się był narodził wedle ciała, prześladował tego który wedle ducha: tak i teraz* [2]. A Chrystus Pan sam wówił: *Rodzaj zły i cudzołożny znaku szuka: a znak mu nie będzie dan, jedno znak Jonasza proroka* [3]. Św. Paweł zaś nazywa Chrystusa Pana „nowym Adamem“ w liście I. do Koryntyan [4]. Wszystkie te wzmianki i wskazówki Pisma św. zostały rozwinięte i wytłumaczone wielokrotnie przez Ojców Kościoła, i stąd przeszły do pojęć ogólnie przez chrześcijan znanych, stanowiących treść ich życia, a w sztuce dały początek pewnej względnie niewiel-

---

[1] Kraus wspomina (Rom. Sott. str. 234), że jeden z uczonych protestanckich, widząc wiele razy przedstawionego na płytach grobowych gołąbka pijącego z kielicha, tłumaczył to jako świadectwo, że wiernym nie trzeba odbierać kielicha przy Komunii św., gdy spór o używanie kielicha dla wiernych zaczął się nierównie później, a wyzyskany był dopiero z całą gwałtownością przez heretyków i protestantów. Przedstawienie to z piękną aluzyą do kielicha Krwi Chrystusowej, jest symbolem duszy, która osiągnęła pokój i pije ze zdroju żywota wiecznego. Św. Augustyn (Conf. IX. 3) mówi o zmarłym przyjacielu swoim Nebrydyuszu: *jam ponit spirituale os ad fontem tuum, Domine, et bibit quantum potest.*

[2] Galat. IV. 22—29.

[3] Mat. XII. 39. et XVI. 4.

[4] XV. 45.

kiej liczbie powtarzających się często przedstawień symbolicznych, ściśle określonych.

Jest szczególnie jeden ustęp św. Pawła w liście I. do Koryntyan, który wypowiedziany, jakoby wyrąbany jego treściwym stylem, zdaje się łączyć w sobie cały szereg mistycznych nici symboliki chrześcijańskiej pierwszych wieków. *Albowiem nie chcę bracia abyście wiedzieć nie mieli, iż ojcowie nasi wszyscy pod obłokiem byli, i wszyscy morze przeszli, i wszyscy byli ochrzczeni w Mojżeszu, w obłoku i w morzu: i wszyscy jedli tenże pokarm duchowny, i wszyscy pili toż picie duchowne: (a pili ze skały duchownej, która za nimi szła: a skała była Chrystus)... A to wszystko przydało się im w figurze* [1]. Stąd przejście przez morze Czerwone jako obraz chrztu stało się symbolem chrześcijańskim, i na wielu widzimy je sarkofagach. Stąd wydobycie cudowne wody ze skały, do którego robi aluzyę św. Paweł dodając: *a skała była Chrystus*, jest jednym z najbardziej w malowidłach i rzeźbie używanych symbolów, tylko że owym wydobywającym *picie duchowne*, cudowny zdrój łask ze skały-Chrystusa już nie jest Mojżesz, który wiódł w starym zakonie lud wybrany z niewoli egipskiej do ziemi obiecanej, ale ten który wiedzie lud wybrany nowego zakonu z Egiptu niewoli grzechowej do ziemi obiecanej zbawienia. *Piotr* sam i w następcach swoich. Dlatego obok tradycyjnych rysów twarzy Piotra dawanych Mojżeszowi uderzającemu w skałę, są na dawnych sarkofagach przy tem zdarzeniu wyobrażone zawsze prawie inne wypadki z życia Piotra, a są nawet szkła z wypalanymi złotemi rysunkami, w których nad głową Mojżesza uderzającego w skałę jest napis: *Petrus*. Jakiej doniosłości jest ten symbol w kwestyi prymatu stolicy Piotrowej, wszyscy rozumiemy.

A ten *pokarm duchowny*, który *wszyscy jedli* na puszczy, manna cudowna, stała się nowym źródłem symbolów. Samo przedstawienie zbierania manny znajduje się na pomnikach bardzo rzadko, gdyż według słów Chrystusa Pana jest ona figurą Eucharystyi, która w rozliczny sposób daleko jaśniej symbolicznie przedstawiona być mogła. Gdy po cudownem pomnożeniu chleba na puszczy Chrystus pan powiedział rzeszom twarde słowa: *Zaprawdę, zaprawdę*

[1] I. Kor. X. 1—11.

mówię wam: szukacie mię nie iżeście widzieli cuda, ale iżeście chleb jedli i najedli się[1], i domagał się od nich wiary w tego, którego Bóg posłał, Syna człowieczego, *rzekli mu tedy: cóż tedy za znak czynisz, abyśmy ujrzeli i wierzyli Tobie... Ojcowie nasi jedli mannę na puszczy, jako jest napisano: Chleb z nieba dał im jeść. Rzekł im tedy Jezus... Ojcowie wasi jedli mannę na puszczy: a pomarli... Jam jest chleb żywy, którym z nieba zstąpił... A chleb który ja dam, jest moje Ciało za żywot świata... Kto pożywa Ciała mego i pije moją Krew, ma żywot wieczny, a ja go wskrzeszę w ostatni dzień.* Stąd pomnożenie chleba i analogiczny cud przemienienia wody w wino w Kanie galilejskiej, stały się symbolem Eucharystyi, jako pokarmu duchowego na zmartwychwstanie i na żywot wieczny.

W końcu ta woda w której *wszyscy byli ochrzceni* ta woda łask, to, *picie duchowne* które *wszyscy pili*... a pili *ze skały duchownej* którą był Chrystus, ta *woda żywa*, o której Chrystus Pan mówi Samarytance: *ktoby pił z wody którą mu ja dam nie będzie pragnął na wieki. Ale woda którą mu ja dam stanie się w nim źródłem wody wyskakującej ku żywotowi wiecznemu*[2], ta woda mistyczna, obok całego szeregu symbolów, pijących gołębi, baranków i jeleni, dała początek najpowszechniejszemu i najdawniejszemu może[3] ze wszystkich symbolowi r y b y, która na przedstawieniach starochrześcijańskich jest figurą chrześcijanina lub też samego Chrystusa. Jak ryba otrzymawszy żywot swój z wody[4], bez wody żyć nie może, tak chrześcijanin otrzymawszy z wody chrztu żywot swój duchowny, dalej z wody łask żyć musi. *Nos pisciculi secundum ἰχθὺν nostrum Jesum Christum*, mówi Tertulian, *in aqua nascimur, nec aliter quam in aqua permanendo salvi sumus*[5].

Ten sam symbol płynie także ze słów Chrystusa Pana, które przy cudownem połowie ryb wypowiedział do Piotra: *odtąd już*

[1] Jan VI. 26 i dalsze.

[2] Jan IV. 13, 14.

[3] Znajduje się już na napisach w I. w., a w pierwszej połowie IV. w. już przestaje być używanym na płytach grobowych (Kraus R. Enc. s. 516).

[4] „Rzekł też Bóg: Niech wywiodą wody płaz dusze żywiącej... i stworzył Bóg wieloryby wielkie i wszelką duszę żywiącą i ruszającą się, którą wywiodły wody według rodzaju ich“ (Genes. I. 20, 21).

[5] Tertull. De bapt. 1.

ludzi łowić będziesz [1]. Stąd zaś, iż Chrystus Pan pomnożył i ryby przy pomnożeniu chleba — które jest niezaprzeczenie symbolem Eucharystyi — ryba stała się symbolem Chrystusa Pana. A ważniejszym jeszcze do tego powodem było zdarzenie opisane u św. Jana, gdy Chrystus Pan ukazał się po swem Zmartwychwstaniu siedmiu uczniom, którzy łowili ryby u morza Tyberjadzkiego *i wziął chleb, a dawał im, także i rybę* [2]. Stąd siedmiu uczniów siedzących za stołem, na którem leży ryba i chleb, są symbolem dość często powtarzanym uczty eucharystycznej, i aby się nie pomylić, zwykle przed stołem stoi siedm koszów pełnych chleba, takich jakie przy cudownem pomnożeniu tegoż bywają przedstawiane. Mówi przy tem zdarzeniu św. Augustyn, z właściwem sobie zamiłowaniem do gry wyrazów: *piscis assus Christus passus* [3], św. Grzegórz dodaje po nim: *quasi tribulatione assatur tempore passionis suae* [4]. W końcu do rozpowszechnienia tego znaku ryby jako symbolu Chrystusa, przyczyniło się i to w wielkiej mierze, że już w III. w., a może nawet przy końcu II. w. wyraz grecki ΙΧΘΥΣ, ryba, uważano za akrostychiczne zestawienie początkowych liter pięciu wyrazów: ΙΗΣΟΥΣ ΧΡΙΣΤΟΣ ΘΕΟΥ ΥΙΟΣ ΣΩΤΗΡ.: Jezus Chrystus Boga Syn Zbawiciel.

To co powiedziałem o znaczeniu symbolicznem dawnych przedstawień chrześcijańskich nie wyczerpuje oczywiście przedmiotu, ale daje nam poznać ducha dawnej symboliki i jej źródła, a zarazem przekonywa nas, że nie ma tu tej dowolności i swobody tłumaczenia, jaką na pierwszy rzut oka przypuszczaćby można. Nie pozwalają na nią zbyt wyraźne teksty Pisma św. i tłumaczenia Ojców Kościoła, którzy wyrażenia symboliczne, w chrześcijańskiej sztuce współczesnej używane, mają niejako wciąż na ustach. Byle tylko z dostatecznem przygotowaniem i uczciwością a ostrożnie postępować, symbolika chrześcijańska pierwszych wieków staje się tak jasną i pewną, że obecnie wśród archeologów rozmaitych narodowości, i odcieni, w tych przedstawieniach które się częściej powtarzają, nie ma prawie o nią sporów. (Dok. nast.)

Ks. Eustachy Skrochowski.

[1] Łuk. V. 10. — [2] Jan XXI. 13. — [3] Tract. 123 in Joan. — [4] Hom. in Ev. lib. II. 24.

KAFFA, OSADA GENUEŃSKA,

I JEJ STOSUNEK DO POLSKI W XV. WIEKU.

STUDYUM HISTORYCZNE.

I.

Wśród rad i przestróg, jakie umierający kanclerz i hetman w. kor., Jan Zamoyski, zostawił swym współobywatelom, spotykamy następującą przestrogę: ...„a związku na zawojowanie kraju obcego niech Rzeczpospolita nigdy nie czyni“... Nie nowa to przestroga dla synów ówczesnej Rzpltej; wygłaszać ją wszakże rzeczą zbyteczną wcale nie było. Chodziło o utrwalenie tego, co stanowiło jedną z fundamentalnych zasad polskiego społeczeństwa; podbój dla Polski wstrętną był rzeczą; nie oręż i przymus wytwarzały cement spajający różnorodne szczepy w jedną budowę państwową. Hetman Zamoyski pragnął, by ta zasada prastara przyświecała i dalszej wędrówce dziejowej Rzpltej, i dla tego nie zapomina o niej w swych upomnieniach przedśmiertnych. Nie czyniono, ani przed jego epoką, ani też po niej, żadnych zabiegów ku sojuszom ujarzmiającym innych. Słońce wolności, przyświecające dziedzinom Jagiellońskim, i cnota królów, co włodarzami byli tych dziedzin — to jedyna moc spajająca bliższe, a przynaglająca i skłaniająca dalsze ziemie ku jednoczeniu się z państwem Jagiellońskiej dynastyi. Ten proces asymilacyjny odbywał się powoli, ale wciąż szedł jedną drogą, daleką od wszelkiego przymusu. Wieki średnie i nowsze dziejów naszych sporo nam dają przykładów tego rodzaju. Co więcej, rozrastanie się granic owych dziedzin nie szło systematycznie, przypadek

stanowił o wszystkiem: płynęła łódź Rzpltej od fali do fali, niby statek bez wiosła i bez steru. Zabezpieczyć ten lub ów węgieł państwa, oprzeć się o morze, wytworzyć stałą gdzieś obronę, docierając do naturalnych a trwałych granic — nie były to hasła, pod któremi walczonoby, lub u stołu obrad systematycznie pracowano. Czasami pojedyńcza jakaś jednostka podnosiła tego rodzaju hasła, ale poparcia nie znajdując w sejmie i wśród ogółu, upadała pod brzemieniem własnej pracy, lub z żalem patrzała, iż jej głos pozostaje bez oddźwięku. To ostatnie najczęściej się zdarzało. Niekiedy siła atrakcyjna starej cnoty republikańskiej tak była wielką, iż nawet bardzo oddalone bądź szczepy, bądź grody, szukały schronienia w fałdach królewskiej purpury Jagiellonów. Wiek XV. niejeden tego rodzaju przykład zarysowuje przed okiem badacza. Cisną się grody, prowincye, pod opiekuńcze skrzydła wawelskiego ptaka. Jednocześnie z potężną rzeczpospolitą z nad Ilmenia, jednocześnie z grodami Dolnego powiśla, temi ongi krzyżackiemi osady, garnie się pod Jagielloński protektorat Tauryckie pobrzeże, gdzie wznosił się jeden z najbardziej kupczących grodów nad wodami Ponta-Kaffa, odwieczne targowisko Wschodu z Zachodem, obecnie malutka mieścina, znana pod nazwą Teodozyi.

Tak szczęśliwa chwila, jak rządy Jagiellończyka, w życiu państw zjawiskiem nader jest rzadkiem; ująć wszystkie korzyści takiej chwili, podnieść, zużytkować, zdoła tylko dłoń wyjątkowo uzdolniona, dopatrzeć potrafi oko bardzo wprawne w śledzeniu spraw ludzkich i ich dziwnych zawikłań. Lecz oko i dłoń najwytrawniejszego statysty niewiele zdziałać są mocne w obec ze wszech stron stających oporem nieprzyjaznych okoliczności. A tak właśnie wówczas się działo. Po myśli idące konjunktury polityczne, rozciągające wpływ Kazimierza Jagiellończyka ku Fińskiej zatoce i na pomorze Taurydy, wtedy właśnie świtać zaczęły, gdy Rzplita wplątaną była w uporczywą walkę z przemożnym zakonem Krzyżackim. Nie zdołano przeto nieść skutecznej pomocy, ani Nowogrodowi Wielkiemu, ani też Kaffie; niemniej jednak z tą ostatnią nawiązały się ściślejsze stosunki i ślad ich pozostał w Polsce na długie lata. Niezdoławszy ocalić Kaffy od muzułmańskiego podboju, nic od niej nie biorąc i nie żądając, Rzplita poczuwała się do pewnych obowiązków dla tego nieszczęsnego grodu. Obowiązki te poj-

mowano po swojemu, chciano nieść Kaffie pomoc moralną, kiedy nie stać było na materyalną; i rzeczywiście, niesiono ją w postaci misyj religijnych, niesiono mianując biskupów do grodu, co jęczał pod naciskiem pogańskiego fanatyzmu. Trwało to nie rok, nie dwa, ale wieki; protektorat Polski nad Kaffą istniał zaledwie trzynaście lat, a jej apostolstwo na zgliszczach zgasłej potęgi Kaffy widziały dzieje w ciągu trzech stuleci. Juryzdykcyi duchownej, prawnej, jawnej, uznanej przez hanów krymskich, biskupi kafeńscy, w Polsce mianowani, mieć nie mogli i nie mieli, i byli to apostołowie również gotowi jak i inni głosiciele Ewangelii, iść na śmierć, na męczeństwo, do wiosłowania na galerach Helespontu, lub dźwigania brzemienia niewoli gdzieś zaprzedani w głębi Azyi, lub perskim kupcom. Czyniła Polska owe poświęcenia nie dla każdego z krajów jęczących pod jarzmem mahometańskiego fanatyzmu; Kaffa tu była, obok Wołoszczyzny, wyjątkiem (w Krymie mianowano biskupów Kafeńskich, na Wołoszczyznie Bakońskich), oba bowiem rzeczone kraje używały czas jakiś praw polskiego protektoratu, dla obu przeto pozostały jakieś względy i obowiązki w głębi sumienia narodowego — i tym obowiązkom czyniono zadość. Politykę takową nazwać mógłby koniec XIX stulecia bezwzględnie idealną; ubiegłe wieki uprawiały ją u nas, nie troszcząc się o jej określenie, lecz szły jeno za głosem obowiązku i drogą wskazaną przez tradycyę — była to polityka cnoty, której przedewszystkiem hołd dziś oddać należy, jako czynom poświęcenia bezinteresownego siebie dla innych...

Czemże była owa Kaffa, zanim okoliczności nie zniewoliły jej do szukania protektoratu Kazimierza Jagiellończyka? Chcąc na to pytanie bodaj pobieżnie odpowiedzieć, cofnijmy się choć na chwilę, o wiele stuleci wstecz.

II.

Na północno-wschodnim węgle Tauryckiego półwyspu, nad zatoką obszerną, tworzącą port wygodny, znany i nader ceniony, na pograniczu dwóch lądów, które po wsze czasy kolebką dwóch cywilizacyj były, a rdzennie się swem usposobieniem różniły, nader wcześnie dłoń człowieka siedzibę dla siebie klecić zaczęła. Już bo-

wiem w głębokiej starożytności, bo jeszcze na trzy wieki przed Chrystusem, przedsiębierczego ducha greccy z Miletu osadnicy, założyli miasto, które wnet po swem wzniesieniu kupczyć i wzbogacać się zaczęło, a więc wzrastać i górować, wpływ roztaczać na półwyspie.

Szesnaście wieków od owej doby przesunęło się nad wodami Eugzynu, o szesnaście wieków rzeczona osada stała się starszą, ale jej losy nie zawsze były jednakie. W pół tysiąca lat po założeniu, a zatem w II. wieku po Chrystusie została zburzoną; dzikie tłumy koczowników, wpadając na półwysep, niepokoiły ją, miecz zwycięski królów Bosforu nad pasmem jej przeznaczeń zaciążył; wreszcie gdy liczyła już szesnasty wiek istnienia, a snać znowu z kolei pustkowiem stanęła, rozpoczęli genueńscy żeglarze i kupcy szczepić na jej wybrzeżach młodą latorośl romańskiej kultury. Działo się to w XIII. stuleciu. Prastare osady greckie legły już były w gruzy; potężny ongi Chersonez coraz to bardziej w proch się rozsypywał; jego sławna przeszłość stała się legendą, a hordy nomadów ze stepów od północy, cisnąc się przez wąziutkie Cymeryjskie międzymorze, zalewały Taurydę, w pień wycinając wszystko, co na swej drodze spotkały; — wśród fal krwi przelanej tonęły i resztki tych co pamiętali dni sławy Chersonezu.

Genueńskie bądź większe, bądź mniejsze osady rozpoczęły nową dobę życia dla Tauryckiego półwyspu i okolic ościennych Meotyjskiemu morzu. Były i takie, które chciały przewodniczyć innym: Kaffa mieniła się najpotężniejszą, mniej szczęśliwie położona Tana, od rzeki Tanaisu (Donu) biorąca nazwę, napróżno z nią współzawodniczyć usiłowała. Język włoski brzmiał wówczas na całej przestrzeni, również meotyjskiego, jak i tauryckiego pomorza; stosunek z Genuą trwał ciągły i to bardzo ożywiony; wszystko wróżyło, iż zachodnia kultura stanowczo zwycięży na północnych Eugzynu wybrzeżach. Kaffa górowała nad cyklem całym owych osad genueńskich, ona w swej dłoni miała przodownictwo nad innemi genueńskiemi koloniami, które się rozsiadły nad morzem „wielkiem“ i „małem“. Pod pierwszem mianem rozumiano Pont Eugzyński, pod drugiem morze Meotyjskie — dziś Azowskie.

Dwa stulecia XIII. i XIV. wzmagała się potęga Kaffy. Zależną ona jednak była od swej metropolii włoskiej w Genui. Coro-

cznie przybywał z Genui konsul, przedstawiciel metropolii, sprawujący władzę naczelną nad Kaffą i paru miasteczkami jej podległemi. Nosił on tytuł „Dowódcy całego morza Większego oraz Genueńczyków w całem państwie Chazarów“ [1]. Rok rocznie zmieniali Genueńczycy konsula, aby tak łatwiej zabezpieczyć się przed ambicyą którego z tych wielkorządców, mogących łatwo pomyśleć o zerwaniu węzłów zależności od metropolii. Kaffa podobnie jak każda z osad genueńskich na eugzyńskich wybrzeżach, rządziła się wedle statutu opracowanego i wydanego dla kolonij, w Genui, r. 1449. — Wydanie to cytujemy, gdyż ono bardziej znane, acz i inne dawniejsze teksty ustawy rzeczonej bez wątpienia istniały.

Podboje tureckie w Europie i tatarskie wtargnięcie na Taurycki półwysep zachwiały potęgą Kaffy. Co zdobywały wieki, lata rozpraszają: moc polityczna oparta na potędze handlowej wzrastać już odtąd nie może w obec najść barbarzyńskich ludów, w obec odciętej przez Turków drogi morskiej na zachód, do metropolii, na targowisko wielkie wschodnich towarów.

W latach ścieśnionych komunikacyj morskich z italskim półwyspem, Kaffa wytwarza drogę inną w głąb Zachodu, drogę lądową. Towary Lewantu szły z Kaffy falą Czarnego morza do ujść Dniestru, do Białogrodu, a stamtąd pobrzeżem Dniestrowem, Podolem, ku małopolskim ziemiom, przez Lwów do Krakowa, a dalej przez Cieszyn na Szlązku, do doliny Dunaju ku niemieckim dziedzinom.

Tak znaczna długość handlowych szlaków wymagała bezpośredniego czuwania na głównych przynajmniej targowiskach. Kaffa zatem już za dni starego Jagiełły posiada agentów handlowych w Polsce. Od owych to dni nawiązywać się zaczynają pierwsze bliższe stosunki Polski z Kaffą. W środkowym punkcie tych szlaków przez dziedzinę Jagiellońską przebiegających, we Lwowie, który od wieków odgrywał u nas rolę wielkiego rynku dla handlu z Lewantem, mieszkał agent kaffeński. W r. 1409 był nim Franciszek

---

[1] W brzmieniu łacińskiem zupełny ów tytuł kaffeńskich konsulów był następujący: *Consul Caffae et capitaneus totius maris Majoris ac Januensium in toto imperio Gazariensi.* (Patrz oryginały listów w Metryk. koronnych, przytoczone przez *L. Huberta w Pamiętnik. Histor.*).

Kantelt[1]. Białogród (*Album castrum*) i Kocuba (lub Kociuba)[2], zapewne również posiadały takichże agentów, jako punkta leżące na wybrzeżu Pontu, gdzie się rozpoczynały kraje Rzeczypospolitej. Port Kocuby (Kaczubej)[3], acz nie posiadający jeszcze wówczas sztucznych zabezpieczeń w zatoce, należał do lepszych żeglarskich stanowisk na północnych brzegach morza. Zamożna rodzina Kociubów-Jakuszyńskich jeszcze w XVI. w., w okolicach Winnicy w Jakuszynie znana, kolonizując te ziemie nadmorskie w końcu XIV. wieku, wzniosła nad zatoką osadę, i już na zaraniu XV. stulecia, jeśli nie w latach ostatnich XIV., dała jej miano swego nazwiska. Temsamem ustaliła dla dziedzin Jagiellowych posiadanie granicy stałej, o morze opartej. Za dni Stefana Batorego, Kociubowie-Jakuszyńscy na własną rękę urządzają wyprawy na Wołoszczyznę: więc jeszcze kwitną wówczas, gdy ich posiadłości nadmorskie są już tatarskiemi.

Z portu Kocuby, a niemniej i Białogrodu, korzystali pierwsi Jagiellonowie; temi więc drogami wszedł i do Polski handel z Kaffy i pierwsze zawiązały się stosunki. Późniejszemi laty, jeśli kto chciał z Polski przedrzeć się w głąb Krymu, zawsze drogę morską obierał. Tak poselstwa jak i kupcy trzymali się tych kierunków; wsiadano na okręty w Kocubie lub Białogrodzie, a wylądowywano w Kaffie, aby w ten sposób ominąć i „Dzikie pola“ na przeddnieprzu i zadnieprskie pustkowia zajęte przez hordy koczujące, wpółdzikie, wrogie. Gościńca tego używano do drugiej połowy XV. wieku.

Wcześnie tedy roić się zaczęły ulice i place wspaniałej podówczas a ludnej Kaffy ludźmi z Polski przybyłymi. Sam rząd kaffeński mówi nam o tem w listach pisanych do Kazimierza Jagiellończyka. „Pragniemy ubezpieczać wolny, swobodny i spokojny wstęp, pobyt i powrót, nawiedzającym nasze strony“... pisze

---

[1] *L. Hubert, Pamiętniki Historyczne*, str. 3.

[2] Późniejszy *Kaczubej*, w tem miejscu dziś Odessa. Białogród nosi nazwę Akermann.

[3] Mylnem jest mniemanie, iż nazwa „Kaczubej“ ma pochodzenie tureckie, bądź tatarskie; o rodzinie Kociubów-Jakuszyńskich, patrz *Lustracye* z r. 1545, umieszczone w *Źródłach dziejowych*, wyd. A. Jabłonowskiego, T. VI., str. 116 i XXXIX.

konsul Monterubro do Jagiellończyka, a w innym znów liście dodaje: ...„posłowie, których W. Król. M. corocznie do cesarza tatarskiego wyprawiasz, często przybywają do tego naszego miasta Kaffy“... ...„którym to posłom Waszym, mówi w innem miejscu tenże Monterubro, przyjmując ich radośnie, oddajemy należne względy, stosowne do szacunku, jaki mamy dla Waszego imienia“... Skrzętnie parę tych szczegółów podnosimy, aby wskazać, iż stosunki te nie były rzeczą nową, a później coraz ściślejszemi węzły zadzierzgały się. Przytaczany przed chwilą list zawiera stanowcze twierdzenie, iż ci „często przybywający“ goście z Polski byli z mieszkańcami Kaffy „połączeni życzliwością i niejako domowemi związkami [1] zbliżeni“...

Gości tych bywało więcej, niż możnaby mniemać. Oprócz posłów, prawie co roku przyjeżdżających, kupcy z głębi Rzeczypospolitej niejednokrotnie osobiście przywozili towary do Kaffy, lub do miasteczek nadmorskich od niej zależnych, jak do Soldai, do Cemballo, (starożytne *Palakion,*) i tam, kupcząc, czas dłuższy gościli [2]. Małopolskie nasze, podkarpackie miasteczka, srodze w XVII. wieku przez Szwedów złupione, zatraciły od dawna swój przemysł, wśród którego poważniejsze miejsce zajmowało tkactwo; wyrób płótna żaglowego u nas, w małopolskich mieścinach, i na Rusi czerwonej, znajdował odbyt na dalekich rynkach nadmorskich. Długoletnia wojna ówczesna z Krzyżakami (1454—1466) zamykała odbyt w Gdańsku, Elblągu, dla naszego tkackiego przemysłu, potrzeba więc było zwracać się do Kaffy, do „Portus Symbolorum“ na Tauryckim półwyspie. Wszystko to przyczyniało się do utrzymywania coraz liczniejszych stosunków Polski z Kaffą, i stawało się niejako podścieliskiem do późniejszego bliższego, politycznego zespolenia.

Lecz na tych kupieckich stosunkach wcale się nie skończyło. Taurycki półwysep w XV. stuleciu już tylko na wybrzeżach posiadał ludność chrześcijańską, w głębi koczowały hordy tatarskie; gdzieniegdzie tylko wyglądała osada chrześcijańska, niby samotna

---

[1] *Domestica familiaritate.*

[2] *Soldaja* jest dziś ubożuchną mieściną i nazywa się *Sudak.* Resztki budynków genueńskich świadczą o zgasłej świetności Soldai. *Cembalo* — również genueńska osada, obecnie zowie się Bałakława, a jej zatoka nosiła nazwę *Portus Symbolorum*; Grecy zaś nazwali ją *Symbolon leimon.*

oaza, jak naprzykład miasto Kirkor[1], genueńska kolonia na niedostępnej skale wzniesiona. Otóż, wśród tej garstki chrześcijan, spotykamy misyonarzy z zakonu św. Dominika, tak zwanych „Braci pielgrzymujących“ *Societas fratrum peregrinantium*, którzy nieśli im duchowną pomoc, a niewiernym głosili słowo Boże. Ziomkowie nasi, jako zbliżeni do wschodu, znający dość często języki tatarski i turecki, zaciągali się chętnie pod sztandar owych prawdziwych apostołów wiary, którzy walczyli na polu misyjnem nie mieczem, ale pokorą, ubóstwem, poświęceniem. Ci to więc siewcy ewangelii opierali się o Kaffę, zwłaszcza, iż już od r. 1375, w liczbie czterech klasztorów, (Chios, Pera, Trebizonda, Kaffa,) jakie owym „Braciom pielgrzymującym“ za schronienie, ku chwilowemu odpoczynkowi służyły, spotykamy i Kaffę. Nasi Dominikanie, tak należący jak i nie należący do owych „Braci pielgrzymujących“, zasypali swemi kośćmi olbrzymie wschodu przestworza. Tauryda wielokroć była polem ich pracy, częściej nawet w szeregach tych misyonarzy spotykamy ziomków naszych, niż zakonników innych narodowości: misye Dominikanów wyróżniały się poświęceniem iście ewangelicznem. Tak też działo się i później, znacznie później; tenże stosunek liczebny spotykamy już i w tych czasach gdy na tauryckich pomorzach nie było chrześcijan, chyba jeńcy, lub gdzie ukryci i w poniewierce będący u muzułmanów, wyznawcy Chrystusa. Im to niesiono pociechę ducha, moc ku wytrwaniu.

We właściwem miejscu wskażę, jak ci polscy apostołowie wiary pracowali później nawet na zgliszczach Kaffy, w połowie XVII. wieku. O parę wieków wstecz, gdy gród był jeszcze chrześcijańskim, tem liczniej i tem częściej spotykano tam owych naszych bojowników wiary, którzy odpocząwszy na chwilę w Kaffie wyruszali do dalszych prac.

Ci ubożuchni kapłani, którzy oprócz sukni zakonnej, brewiarza i czerwonego pasa — tej widomej oznaki swego przeznaczenia na męczeństwo — nic nie posiadali, to niemniej silny cement jednoczący Kaffę z Polską, jak możni nasi posłowie lub przedsiębierczego ducha nasi kupcy ormiańscy.

[1] Teraz Czufut-Kale; są tam do dziś ślady budowli genueńskich.

III.

Genua, na początku XV. stulecia, dobiegła kulminacyjnego punktu rozwoju swej potęgi. Jej faktorye zajmowały całą przestrzeń środkową znanego wówczas świata. Spotykano je na każdej większej wyspie, w każdem większem nadmorskiem mieście na tej olbrzymiej przestrzeni, co legła między Gibraltarem a Bagdadem. Niosąc w jednej dłoni twory ówczesnego przemysłu, lub płody ziem odległych, a wdrugiej miecz, genueńczycy zakładali nowe maluczkie rzeczpospolite, które zaszczepiały na pustkowiach lub zdziczałych wybrzeżach latorośl kultury wyższej. Jeśli nad ujściami Tanaisu, na płaszczyznach Meotyjskiego pomorza zniknęły zupełnie z powierzchni ziemi ich zamożne, kupczące grody, ze świątyniami, klasztorami, z ludnością ongi liczną, tak, że określenie miejsca, gdzie wznosiła się „Tana“ jest dziś zagadką dla archeologów, to Tauryda sporo jeszcze i obecnie posiada zabytków budownictwa genueńskiego, chociaż wszystko już w ruinie; oszpecone nie tyle dłonią dawniejszych muzułmańskich władców, ile niedbalstwem i złą wolą obecnych.

Szczątki budynków, zamków, twierdz, świątyń, gmachów publicznych, świadczą o wysokiej kulturze tamtoczesnych Genueńczyków, o potędze materyalnej owych niegdyś panów wszystkich mórz, w średniowiecznej dobie. Trzynasty i czternasty wiek są okresem najbardziej wybujałej ich pomyślności. Wystawić 200 galer zbrojnych, rzucić czterdzieści i więcej tysięcy wojska pod mury współzawodniczących grodów, upokorzyć nieprzejednanych wrogów Wenecyę i Pizę, było dla Genueńczyków rzeczą łatwą. XV. stulecie jeszcze rzuca im promienie pomyślności — lecz nietrwałe, przemijające. Energia ich nie opuszcza, ale powodzenie omija. Chwila owa dziejowa była dla wielu dawnych potęg nader stanowczą. Padały, bądź pod mieczem sił dotąd nieznanych, świeżych, groźnych, niezużytych, bądź pod naciskiem okoliczności niespodzianych, jakie wytworzyły nowe morskie odkrycia, zmiana kierunków dróg handlowych. Świat się olbrzymio rozrastać zaczynał. Na niewiele lat przed tą dobą stanowczą, blask sławy genueńskiej gaśnie. Kto nie posiadał większych zasobów mocy, sił, szczęścia, a wówczas padł — to padł bezpowrotnie.

Takim się stał los W. Nowogrodu, los Krzyżackiego państwa, a wreszcie genueńskich osad na lądzie Taurydy. Pomoc metropolii dla tych ostatnich stała się nieodbicie potrzebną. Metropolia jednak pomimo swej dobrej woli i pragnień szczerych, pomocy dać nie mogła, i nie dała — a tem samem rozstrzygnęła losy własnej potęgi na wodach Eugzynu.

Niejednokrotnie falą śródziemnych wód płynęły skargi, jęki i wołania o pomoc dla Kaffy. Dobiegały one do „wspaniałej Genui“ brzmiały pod sklepieniami *Palazzo Ducale*, lecz oprócz słów współczucia, nic zagrożonej Kaffie nie przynosiły. Współczucie na szali wypadków zaważyć nie mogło. Potrzebnemi były nie słowa ale czyny w postaci tłumów orężnych. Powódź tatarska wzmagała się tymczasem i rosła. Oprócz Tatarów zagrażał jej Turek, a nawet Wołoszyn. Kaffa w epoce bezpośrednio następującej po zdobyciu Konstantynopola była niejako samotną, malutką wysepką wśród fal dokoła przeciw niej bijących.

Jeden z wyżej przytoczonych listów rządu kaffeńskiego wyraźnie to stwierdza następującemi słowy: „my, to jest Kaffa, jedyne chrześcijańskie miasto, z dwoma naszemi miasteczkami nad morzem Czarnem“... W innem miejscu czytamy podobneż twierdzenie, iż „dziwną jest rzeczą“, że mieszkają oni tylko jedni *in medio infidelium* (w pośród niewiernych)...[1]. W takiem położeniu znajdowała się Kaffa w roku dziewiątym wojny Kazimierza Jagiellończyka o odzyskanie dolnego Powiśla tj. w 1462.

Rok ten stał się właśnie chwilą, w której doszły stosunki Rzplitej z Kaffą do ściślejszego sojuszu.

Nawiązywać się one zaczęły już na kilka lat przedtem. Sprawy natury prywatnej stały się źródłem rokowań Kazimierza Jagiellończyka z Kaffą, których się ta ostatnia chciwie ujęła jako jedynej kotwicy ratunku. Kilka zaledwie pozostało piśmiennych autentyków, z zakresu owych rokowań, a jakże jednak i w maluczkich okruchach dużo przyświeca grozy dziejowej, ktora głównem była znamieniem ówczesnych dni. Każda prawie myśl, każdy niemal wyraz są jękiem boleści; w każdem słowie uwydatnia się sytuacya bez wyjścia; jedyna droga ocalenia to Jagiellończyk, lecz on daleko; wyciągają ku niemu dłoń, ale zarazem wiedzą, są świadomi z pewną

[1] *Pam. Historyczne*, wyd. L. Huberta, T. I., str. 6 i 5.

rezygnacyą, iż i ta kotwica może zawieść. Powtarzają wciąż jedno i to samo; proszą, by ich bądź wcielono do Polski, bądź uważano za „sprzymierzeńców", byle tylko w traktatach, umowach Kazimierza z Tatarami i Turkami obok Polski Kaffa mogła figurować. Brak stosownej mocy do odparcia wroga zmuszał do opierania się na wątłej podstawie zwojów pergaminowych, do których zbyt mało hanaty tatarskie wagi przywiązywały. Podpis, pieczęć, przysięga dla tych stepowych, koczujących dyplomatów hanatu zbyt mało miały powagi, unieważniano je za lada błahym powodem: zrywano umowy, rozejmy [1]. Duch zaborczy pędził ich coraz to dalej w głąb ościennych prowincyj; jeśli nie o podbój, — o łup im zawsze chodziło. Opierać się jedynie na traktatach, w obec dzikiej przemocy, złudzeniem było — i Kaffa łudziła się, acz niebezpieczeństwa nie tajono przed sobą.

Przy ciągłych stosunkach handlowych południowych okolic Rzpltej z Kaffą, o zajścia prywatnej natury było zbyt łatwo. Jedno z takich zadzierzgnęło piśmienne rokowania genueńskiej osady z Kazimierzem Jagiellończykiem. Wiek ówczesny nie znał jeszcze subtelnego rozróżniania różnych gałęzi zarządów. Bezpośrednio o tron najpotężniejszych państw niejednokrotnie opierały się sprawy wcale podrzędnego znaczenia, które mogły być załatwione przez niższe organa administracyi. Tak się też stało i w r. 1459.

IV.

Rok 1459 był w pierwszej swej połowie dobą rozejmu w wojnie Jagiellończyka z zakonem Krzyżackim. Niemniej rok ten przyniósł wiele trosk. Rozpoczął się sejmem w Piotrkowie, gdzie się rozstrzygało olbrzymiej wagi pytanie: czy wojna o Dolne powiśle ma być dalej prowadzoną, czy też król ustąpi znacznej większości chwiejnych, i ku pokojowi i słomianej zgodzie z Zakonem skłaniającej się, i rzecz tak uporczywie i mozolnie prowadzoną, w połowie przerwie. Już to jedno pytanie wystarczyćby mogło do pochłonięcia całego czasu obrad, usunięcia najzupełniej rzeczy drugorzędnych poza zakres uwagi królewskiej. Stało się jednak inaczej. Już w dzie-

[1] *Długosz.* — *Dr. Wil. Heyd.*, „Geschichte des Lewantehandels im Mittelalter". T. II., str. 391.

wiątym dniu sejmu ma król czas na wglądanie w sprawy i zażalenia prywatne. Sejm rozpoczął się d. 14 stycznia, byli na nim od pierwszych dni obrad posłowie wyzwalających się grodów krzyżackich, proszący o przedłużanie walki z Zakonem; ich na sejm przybycie zaprzątało uwagę wszystkich, przyczyniając się do burzliwości obrad. Pomimo jednak tych spraw pierwszorzędnej doniosłości, wyszedł z kancelaryi królewskiej, d. 22 stycznia 1459 r. list do miasta Kaffy z zażaleniami, iż obywatel Rzpltej, niejaki Klemens z Kodymy *(de Cadim)*, doznał ciężkiego pokrzywdzenia na wybrzeżach osad genueńskich w Krymie.

Krzywdzicielem miał być konsul nie kaffeński nawet, ale z Soldai, (Sudak dzisiejszy), niemniej jednak król odwołuje się do Kaffy, jako do przedniejszego z genueńskich miast na krymskich wybrzeżach. Rzeczywiście Kaffa miała pewną zwierzchność nad mniejszemi genueńskiemi osadami na tauryckiem pomorzu, takie więc odwołanie się do niej było najzupełniej w porządku rzeczy, i rząd kaffeński zarządził śledztwo w tej sprawie, aczkolwiek dość późno.

Nazwisko pokrzywdzonego, a skarżącego się aż u stopni tronu, w Piotrkowie na sejmie, i niektóre okoliczności sprawy tej wskazują, iż nader ożywione stosunki łączyły południowe okolice Bracławszczyzny z genueńskiemi osadami. Pokrzywdzony był mieszczaninem lwowskim, prawdopodobnie Ormianinem, trudnił się bowiem handlem na wielką skalę, sam rozwożąc towary po wodach i portach Eugzyńskich. Dokumenta urzędowe przechowały jego nazwę — „Klemens z Kodymy“. Parę tych szczegółów wystarczają, aby wskazać, iż ów kupczący mieszczanin, nie poprzestawał na handlu, lecz i rolą się znać bawił, mieszkając w Kodymie, a zatem w pośrednim punkcie między okolicą żyzną, do uprawy zdatną, a pustynią jałową, gdzie się pasterstwem tylko trudnić można było: Kodyma bowiem leży na granicy Bracławszczyzny i owych, w dziejach znanych „Dzikich Pól“.

Ów „Klemens z Kodymy“ snać korzystał z sąsiedniego Dniestru i towary swe spławiał rzeczną drogą do morza, co pospolitą wówczas była drogą kupiecką, gdyż jak widać z jego zażaleń płynął z ujść Dniestrowych „z Białogrodu“ do Kaffy *(Fr. J. Jekel, Pohlens, Handelsgeschichte, Erster Theil)*.

Od czasu listu królewskiego w sprawie pokrzywdzonego w Soldai Klemensa z Kodymy, nawiązują się stosunki piśmienne miasta Kafty, coraz to bardziej zagrożonego od Tatarów i Turków, z Kazimierzem Jagiellończykiem. Kaffa i w ogóle genueńskie osady na wybrzeżach Taurydy, dla których napróżno starali się papieże wytworzyć koalicyę, w celu ich oswobodzenia od wiszącego nad nimi jarzma niewiernych, coraz to częściej wzrok ku Polsce zaczynają zwracać, widząc, i słusznie w Jagiellończyku jedynego obrońcę wiary katolickiej na Wschodzie. Nieprędko atoli wytworzyło się w Kaffie przekonanie, iż Polska może się stać jedynym jej puklerzem. Długo Kaffa wyglądała pomocy z Zachodu, gdzie moc jej metropolii niezupełnie się jeszcze stępiła, ale już od r. 1452 zostawiono osady nad Pontem własnym ich siłom i opiece apostolskiej, która w tym względzie nie szczędziła szczerych a usilnych zabiegów.

Już na półtora wieku przedtem, bo przy schyłku XIV. w., papież Bonifacy IX. wydaje bullę, wzywającą na krucyatę przeciw Tatarom i Turkom, i w tym celu biskupowi krakowskiemu zaleca „aby osobiście opowiadał“ krucyatę[1]. Późniejsze nieco lata przyniosły nowe dowody pieczołowitości Stolicy apostolskiej, o ludy zagrożone niewolą, uciskiem pogańskim. Genueńskie kolonie stają się przedmiotem szczególnej troskliwości papieży, a Kaffa głównie była tu na celu; ku jej obronie zgrzybiały, ale nader czynny papież Kalikst III. promulguje w r. 1455, a więc w roku swego wstąpienia na Stolicę apostolską, bullę wzywającą do krucyaty przeciw niewiernym, którzy już wznieśli byli na murach Konstantynopola chorągiew Islamu, i nadaje odpusty tym, co bronić będą osad genueńskich w Krymie. Specyalni nuncyusze wysłani przezeń zostali z tą misyą do różnych dworów. Legat Carvajal przybył do Polski, podczas gdy inni legaci pracowali w tym kierunku w Węgrzech, Anglii, Francyi, Portugalii. W latach następnych — 1456 i 1457 — toż samo się powtarza. Na Apenińskim półwyspie powstaje ruch umysłów, skierowany ku wytworzeniu odsieczy dla taurydzkiego wybrzeża; zbierają się stosowne środki pieniężne; poborcy składek na tę wyprawę przebiegają cały półwysep. Składki nie idą opornie;

[1] Bulla rzeczona nosiła datę „IV. Non. Maji“, papiestwa X. tj. r 1399. Patrz *Skarbiec dyplomatów*... wyd. Ig. Daniłłowicza T. I. str. 317, 318.

przywileje papieskie są tu zachętą; interesa materyalne niektórych miast włoskich, przeważnie Genui, również bodźcem niemałym; lecz dłoni do oręża brak zupełny, zapał dawnych krzyżowników prawie do ostatniej iskry już był wygasł w sercu społeczeństw XV. wieku. Zresztą, rządy i państwa ówczesne zajęte są często bliższemi sprawy; wikłają się tu interesa i kierunki sprzeczne; dawne zawiści ku przemożnej, a szczęśliwej, tak długo i statecznie Genui budzą się i dumnie głowy podnoszą, udaremniając bliską nieraz urzeczywistnienia pomoc dla biednej Kaffy. Jedna tylko Stolica apostolska wierną jest w niedoli zagrożonemu miastu. W r. 1459 nie mogąc nieść dla Kaffy pomocy materyalnej, niesie duchową pociechę, szląc po zgonie biskupa, nowego pasterza Hieronima, który przyjmując pastorał, składał jeno dowód poświęcenia. Nie czekały go tam wczasy, ale trudy i męczeństwo. Lata stawały się coraz to twardsze. Fanatyzm pogański wzbierał wciąż obfitszą falą... Jeszcze chwila — lat niewiele, a niszcząc wszystko co na swej drodze spotka, pochłonie ową maluczką kaffeńską oazę, oazę katolicyzmu i cywilizacyi.

Po zgonie Kaliksta III., papież Pius II., ów znany ze światła ongi dyplomata, Eneasz Sylwiusz Piccolomini, nie szczędzi zabiegów gwoli ocalenia Kaffy. Wznawia przywileje swego poprzednika. Sprawy świeckie znowu udaremniają wytworzenie się poważniejszej krucyaty. Gromady zbrojne tu, ówdzie tworzące się, nie mogły doprowadzić do celu.

Strach padł na możną a szeroce na rynkach świata słynną Kaffę.

Udaje się przeto, jak już rzekliśmy, pod osłonę skrzydeł orła wawelskiego. Posłowie kaffeńscy błagają Jagiellończyka, aby ich miasto przyjął pod swą opiekę, i zawiązując rokowania bądź z Turkiem, bądź z Tatarem, „mówił o Kaffie jako o swem mieście".

„Prosimy W. Król. Mości, wołają oni w roku poddania się Polsce (1462), pokornie prosimy, iż gdybyś z królem Tureckim przymierze, czy też punkta, albo jakie inne stosunki przyjaźni zawierał, i Kaffę jako sprzymierzoną, czy poddaną, wreszcie, jak się W. kr. M. podoba, w takowe zamieścić raczył, to bowiem wiele może nam dopomódz i zamiary króla Tureckiego względem nas

odwrócić[1]"... Doświadczenia boleśne lat wielu przekonały znać wreszcie Kaffę, jak zwodniczemi są nadzieje, oparte jedynie na traktatach, w powyżej bowiem przytoczonym liście swym nie zaniedbują dodać, iż bezpieczeństwo nie tyle polegać może na „przyjaźni" zawartej z Turkiem, ile mogą być odeń bezpieczni „przez szacunek imienia i potęgę państwa i królestwa" (Kazimierzowego)... Wymagania poddającej się Kaffy świadczą, że stosunki wewnętrzne państwa Jagiellończyka dokładnie nie były im znanemi. Kupczące miasto wiedziało o zasobach wielkich Rzpltej, o obszarach jej ziem, ale nie miało znać dokładnego pojęcia, jak to nieraz skąpą dłonią synowie tej wspaniałej Korony nieśli pomoc niezbędną swej macierzy, z jak niezmiernemi finansowemi trudnościami przychodziło walczyć Jagiellończykowi właśnie w owym czasie, gdy z Zakonem długie a ciężkie wiódł boje. Rząd bowiem kaffeński prosi Jagiellończyka, aby ich wspierał „swą pomocą i pieniędzmi", które im posiłków przysporzą. Zbyt ułudne były to nadzieje. Naglące sprawy domowe domagały się wielokrotnie a napróżno grosza publicznego; czegoż się więc można było spodziewać dla dalekiej Kaffy?

Jeśli masy powołane do życia politycznego niedość dobrze rozumiały doniosłość posiadania ujścia głównej swej rzeki rodzinnej, tem trudniej im było zrozumieć, jak ważnem dla Rzplitej mogłoby być posiadanie dalekiego, ale głównego ogniska handlu na Wschodzie. To niedostateczne zrozumienie doniosłości faktu, jakim było bezzaprzeczenia poddanie się Jagiellończykowi Kaffy, tłumaczy nam milczenie lub lakoniczne tylko wzmianki o tej kwestyi owoczesnych i późniejszych kronikarzy. Nie widzą oni w tem nic ważnego, omijają przeto prawie zupełnie całą sprawę kaffeńską. Długosz tylko jest w tym względzie do pewnego stopnia wyjątkiem, ale tylko do pewnego stopnia; o samym fakcie poddania się on zamilcza.

Straciwszy wszelką nadzieję zdobycia dla siebie posiłków, nie licząc już wcale na krucyaty, których usiłowania spełzły na niczem, wysyła Kaffa poselstwo do Jagiellończyka, niosąc mu swe poddanie się.

Były to miesiące wiosenne 1462 r.

Kazimierz Jagiellończyk, który znaczną część życia na większych

---

[1] *L. Hubert*, loco, c. str. 7.

lub mniejszych podróżach spędzał, i w tym czasie prawie z wozu nie zsiadał. Wojna tak zwana pruska, rokowania z królem czeskim Jerzym, prowadzone w Głogowie, gdzie wśród innych spraw omawiano wspólne przeciwko Turkom przymierze, pochłonęły mu całą prawie wiosnę. Na początku lata, w dniach czerwcowych 1462 r., król stanął w Inowrocławiu, gdzie wreszcie poselstwo Kaffeńskie mogło mu złożyć prośbę o protektorat i swe homagium. Sprawa załatwiała się doraźnie, że tak rzekę — z konia; na deliberacye, na rokowania długie czasu nie miano — chwila była groźną.

Król „mile przyjął oświadczenia posłów“, ale długo tą sprawą acz ważną, zajmować się nie mógł; czasy były zbyt ciężkie; wojna wrzała dokoła. Ognie obozowisk krzyżackich płonęły tak blisko, iż dym ich prawie sięgał naszych zbrojnych stanowisk, a nawet królowa bezpieczną na zamku Toruńskim nie była [1]. Zewsząd zresztą dobiegały właśnie wówczas wieści groźne. Przesadna wyobraźnia tamtoczesnego społeczeństwa tworzyła zatrważające różne *omina*, rokujące coraz groźniejsze klęski i niepomyślne walki. Nietylko na Dolnem powiślu, gdzie było pole walki, ale i z Krakowa nadciągały wieści złowróżbne o „dziwach“, które widziano na niebie, a nawet na ziemi: „głowa św. Stanisława, noszona w procesyi, pociła się jako żywa“, a po zachodzie słońca widywano krucyfiks z mieczem na horyzoncie w stronie południowo zachodniej. Złe wróżby o tyle się wówczas ziściły, iż Kraków w znacznej części legł w gruzy, z powodu olbrzymiego pożaru W obec niebezpieczeństw rzeczywistych a wróżb urojonych, sprawa kaffeńska szybko załatwioną została. 1-go lipca 1462 z kancelaryi królewskiej wyszedł list Kazimierza Jagiellończyka do miasta Kaffy, z oznajmieniem, iż protektorat został przezeń przyjęty.

Wiadomość ta, stosunkowo do czasu i warunków ówczesnych, dość szybko dobiegła do wybrzeży Taurydy. Już 16 września tegoż roku, Kaffa odpowiadała na powyższy list królewski, dziękując a radując się wielce, iż spokój zdobędzie pod osłoną królewskiego ramienia, którego dzicz muzułmańska nie mało się obawia, jak się owa odpowiedź kaffeńska wyraża.

Nierozgłośny akt inowrocławski, u nas wnet został zapo-

[1] *Bielski*, wyd. Turowsk., ks. IV. str. 780.

mniany, tak, iż w XVI. w. kronikarze nasi nic o nim nie wiedzą, natomiast źródła włoskie [1] zachowały pamięć o nim.

Trzynaście lat trwała jeszcze niepodległość Kaffy; łudzono się że tak pozostanie. Czas jednak rozwiał te nadzieje. Polska za dni Kazimierza Jagiellończyka, umowami tylko wstrzymywała miecz Turków i Tatarów, wiszący nad nią. Polityka Kazimierzowa, jak widzimy, wobec groźnego islamizmu, obronną była jedynie: ocalało to Polskę, ale dla zabezpieczenia Kaffy wystarczającem być nie mogło. Wojna jedynie zaczepna, przeniesiona na terytoryum tureckie, mogła była wstrzymać ów nacisk mahometanizmu; rozumiano to dobrze, dla tego też czyniono pewne kroki ku zawiązaniu koalicyi państw zachodnich, ale wszystkie te starania najzupełniej zawiodły.

Krzątając się o jakąś zewnętrzną pomoc, Kaffa nie zapominała i o własnych siłach; wzmacniała przeto swe mury, sypała wały, zbroiła się. Resztki murów rozsianych na znacznej przestrzeni, zdala od dzisiejszej Teodozyi, świadczą o ogromie owych fortyfikacyj. Liczyła ona wtedy cztery tysiące domów, zamieszkałych przez sto tysięcy, czy też więcej mieszkańców, nie mówiąc o tłumach przybyszów, bądź kupców, bądź przejezdnych wędrowców. Rosyanin, Wołoszyn, Włoch, Polak, Litwin, Grek, Armeńczyk, Pers, góral z wyżyn Kaukazu, mogli tam w każdej prawie roku chwili znaleść swych współbraci, usłyszeć wśród jej murów dźwięk mowy rodzinnej.

Ten tłum obcych, to ciągłe kupczenie, ocieranie się o ludy niższej kultury, które gwoli pomocy starano się zjednać, a z konieczności z nimi obcowano, wywierały wpływ wielce demoralizujący. Cnota domowa, owa podwalina społeczeństw, chwiać się zaczęła: i gdy z czasem podwalina ta runęła, nic już nie mogło wstrzymać upadku Kaffy [2]. (Dok. nast.)

Maryan Dubiecki.

---

[1] Patrz o źródłach włoskich *Dra W. Heyd'a Geschichte des Levantehandels...* T. II. 391, przyp. 11.

[2] Długosz, współczesny rzeczonym chwilom, upadek Kaffy przypisuje demoralizacyi jej społeczeństwa. Patrz *Długosza Historiae Polonicae libri XII,* pag. 629—630, ed. Crac.

Z ROCZNIKÓW MĘCZEŃSKICH W ANGLII.

(Ciąg dalszy).

Dla niektórych, życie niemal całe upływało w więzieniu. Przytoczmy przykład Franciszka Fregian, męża znakomitego domu, spokrewnionego z największemi angielskiemi rodzinami. Wystarczy wspomnieć, że matka jego była siostrą hrabiego Arundell'a, żona zaś córką lorda Stourton'a. Nie zwykła na nim zaciężyła nienawiść prześladowców. Pozorem uwięzienia tego możnego szlachcica, jak opiewa akt oskarżenia, był znaleziony i pochwycony w domu jego kapłan świecki, Cuthbert Maine, którego główną winą miało być przewiezienie do Anglii jednego egzemplarza bulli Papieża Grzegorza XIII. — ogłaszającej jubileusz ćwierć-wiekowy na r. 1575. Ten był pozór widoczny i jawny: ukrytym zaś powodem osobistej nienawiści przeciw Franciszkowi Fregianowi miał być opór jaki stawił, jak przystało na cnotliwego młodziana, królowej, która go sobie upodobała. Biograf spółczesny napomyka o tym fakcie, rzucającym osobne światło na wieloletni ucisk tego szlachetnego wyznawcy. Wkrótce bowiem po ożenieniu się jego, gdy wszystko najszczęśliwszą rokowało mu przyszłość, nagle został z własnego domu uprowadzony wraz z całym zastępem sług swoich i więziony naprzemian w stołecznych i prowincyonalnych więzieniach, przez lat dwadzieścia ośm, cierpiąc prócz tego rozmaite, raz sroższe, to znów lżejsze kary. Niekiedy nakładano mu kajdany ważące trzydzieści funtów — to znów pozwalano swobodniej po przyległym przechadzać się ogródku. Raz wtrącano go do lochu pełnego gadów, to znów zamykano z dwudziestu innymi więźniami, przez cały miesiąc

żadnego w izbie nie czyniąc porządku. Innym razem dodawano mu niegodziwego towarzysza, który obelgami lub szyderstwem, cierpliwość jego na srogą wystawiał próbę. Częstokroć przez długie dni nie podawano mu innej strawy nad kawałek czarnego chleba i nieco wody, a i tej mu skąpiono, tak iż mdlał od głodu. Zdrowie jego srodze też zrazu ucierpiało od tylu nędz i przykrości — później jednak za łaską Bożą odzyskał siły, i dalej znosił ciężkie próby do których przyłączyło się i zupełne ubóstwo; cały bowiem jego bardzo znaczny majątek przeszedł w ręce prześladowców. Gdy zwolniono nieco surowości, zabawiał się głównie nauką, czytaniem i pisaniem udatnych wierszy. Żona jego, ustawiczne czyniąca zabiegi aby los swego męża złagodzić bez szwanku dla duszy i ujmy zasługi, często otrzymywała pozwolenie aby uczestniczyć z mężem w więzieniu i dobrowolnie dzielić jego cierpienia i ucisk. Bóg obficie błogosławił ich miłości, dając im ośmnaścioro dzieci, z których jedenaścioro przyszło na świat podczas chwalebnej swego ojca niewoli. Mnogość potomstwa uważano wówczas po chrześcijańsku, za taką nagrodę i szczęście, za taką korzyść dla uciśnionej chrześcijańskiej społeczności, iż zapisując dzieje pojedyńczych stadeł, starzy kronikarze podając liczbę dziatek stale dodają pobożne westchnienie: Daj ich Boże więcej! *God send them more!*

Nareszcie, podczas gdy aresztowany z nim kapłan rychło poszedł na śmierć męczeńską, Franciszek Fregian opuścił więzienie, a raczej zamienił je na wygnanie. Schronił się do Lizbony, gdzie w ubóstwie i świątobliwości wielkiej żywota dokonał, mając lat sześćdziesiąt. Pogrzebano go w angielskiem kolegium Jezuickiem, znajdującem się w temże mieście, a po kilkunastu latach odnaleziono jego ciało bez najmniejszego śladu zgnilizny — choć suknia tercyarska już się na nim była w proch rozpadła.

Brak zupełny sprzętów, a często nawet i najprostszego posłania zwiększał jeszcze cierpienia biednych więźniów za wiarę. Trzy szlachetne niewiasty przez dłuższy czas w wilgotnym trzymane lochu, zmarły prawie jednocześnie, zatrute wyziewami pobliskiej rzeki i chłodem nagich ścian więziennych. Wielu też innych pobożnych wyznawców pomarło z przykrości więziennych, i dlatego słusznie uważać ich można wszystkich za męczenników, aczkolwiek nie wszyscy krew swą wylali dla imienia Chrystusowego; albowiem owe

powolne katusze nieraz sroższemi się okazywały od jednorazowej męki. Dziewięciu Kartuzów londyńskich, pierwsze ofiary, za któremi poszło tyle innych, zamorżono poprostu głodem; drugich dziewięciu skazał Henryk VIII. na szubienicę. Nogi okuto im w kajdany, a szyję w żelazną obręcz połączoną ze słupem naumyślnie w tym celu w więzieniu postawionym.

Jedną z najprzykrzejszych stron więzień ówczesnych dla katolików, zwłaszcza dla wykształceńszych, mianowicie zaś dla kapłanów, były ustawiczne nagabywania przez anglikańskich duchownych, usiłujących sofizmatami i dysputami zachwiać ich przekonania. Kończyło się stale porażką sekciarzy, ale można sobie wyobrazić jakiego wysilenia moralnego było potrzeba, aby po miesiącach okrutnego więzienia, a często na chwilę przed śmiercią dać im należytą odprawę, zbić argumenta, obronić prawdę; sfanatyzowanie motłochu urojonemi przeciw bezpieczeństwu królowej i państwa spiskami, wystawianie „papistów“ jako zbrodniarzy i zdrajców stanu, nie mało się też przyczyniało do pogorszenia ich losu. Wiezionych na miejsce tracenia lub pędzonych do kaźni męczenników lud obsypywał gradem pocisków i szyderstw, rzucano kamieniami, plwano i miotano najsroższe potwarze na nich i na ich wiarę. Stojąc pod pręgierzem, słuchać musieli obelg i przekleństw. Jako dobrzy patryjoci, boleli nad ciągle odbijającym się o uszy zarzutem zdrady względem ojczyzny. Darmo w ostatniej jeszcze chwili, stojący pod szubienicą męczennicy wołali, że umierają za wiarę świętą rzymsko-katolicką, przerywano im mowę, zagłuszano głosy, aby do końca podawać ich za zdrajców kraju i królowej.

Twardo było żyć kilkunastu więźniom w jednej ciasnej komórce, do której powietrze ni światło przystępu nie miało; twardziej jeszcze czasami było znosić próbę zupełnego osamotnienia. Taką próbę wytrwać musiał, między innymi sławny z pobożności i wpływu Jezuita, Ojciec Weston, zwany także Edmonds'em. Po kilku latach czynnego apostolstwa na ziemi ojczystej, przyszło temu mężowi Bożemu całe siedmnaście lat przepędzić za kratami więziennemi. Nie skrępowało to jego czynnej żarliwości, a o ile okoliczności pozwalały, i w pętach umiał nieść duchowną pomoc i ukrzepienie garnącym się do niego katolikom. Snadź przystęp do niego zazdrosnym prześladowcom wydał się zbyt łatwym, — postanowiono

bowiem przenieść go do Londynu i zamknąć w Towerze, owej groźnej tyloma krwawemi wspomnieniami warowni.

Wśród zimy przewieziono Ojca Westona do stolicy, bez względu na przykrą porę. Złe drogi i słota stanowiły poniekąd wstęp do nowych jego utrapień. Postanowienie co do zmiany pobytu zapadło tak spiesznie, iż Ojciec Weston nie miał czasu przemienić sukni zakonnej, w jakiej zwykle w więzieniu pozostawał. Dopóki rada tajna królowej nie orzekła gdzie go zamknąć należy, trzymano go na ulicy, wśród londyńskiego motłochu, naigrawającego się z jego osoby i szaty; równało się to stawieniu pod pręgierzem.

W Towerze, podobnie jak i w innych kaźniach angielskich z tej epoki, od zarządu więziennego zależał bezpośrednio cięższy lub lżejszy los zamkniętych tamże ofiar. Ojca Westona zamknięto w celce pełnej nieznośnego zaduchu i smrodu. Jedno maleńkie okienko tak skąpego dostarczało światła, iż zaledwie mógł przy niem czytać. Jedyną książkę jaką posiadał, było Pismo św., to też odczytywał je ustawicznie, dopóki mu oczu i dnia starczyło, a rozmyślał, gdy wzroku i światła zabrakło. Odjęto mu nawet brewiarz, i przez długi czas nie mógł sobie tej straty powetować. Zwykle przyjaciele mogli więźniom w Towerze dostarczać wszystkiego czego zażądali, a dozorcy więzienia ciągnęli z tego pewne korzyści dla siebie. Atoli ów przywilej był wyłączną własnością tych, którzy zażywali tak nazwanej „więziennej swobody“. W Ojcu Westonie upatrywano wyższe cnoty, większe wpływy na katolików; rzecz naturalna, iż „więziennej swobody“ mu nie użyczono. Przez cały ciąg swego zamknięcia w Towerze, ani razu nie mógł się spowiadać, ani sam na sam z żadnym przyjacielem porozmawiać. Podczas dwóch pierwszych lat, za dozorcę miał człowieka twardego i szorstkiego, który aby wydrzeć biednemu zakonnikowi, starannie dotąd ukrywany różaniec, nie zawahał się użyć w tym celu bicza. Jedyny gość do samotnej wchodzący celi, namiestnik Toweru, nie miał dla biednego więźnia innego słowa jak tylko wyrzuty i łajania. Nie dziw też, jeśli wedle świadectwa samegoż Ojca Westona, niejeden z pośród tak ściśle osamotnionych więźniów Toweru, dostawał ostatecznie pomięszania zmysłów.

Po upływie dwóch lat zaczęto Westona wyprowadzać na dach warowni, zostawiając go tam dzień cały w zupełnej samotności, bez

względu na deszcz, zimno i słotę. Na domiar nieszczęścia, usiłując czytać w ciemności, stracił prawie zupełnie wzrok. — Dopiero po śmierci Elżbiety wydostał się męczennik na wolność.

W zapiskach prowincyała, pod datą 14 maja 1603 r. znajdujemy następną wzmiankę: „Wczoraj opuścił Londyn Ojciec Weston, mąż kochany i podziwiany przez samychże nieprzyjaciół swoich. Stracił niemal zupełnie oczy".

Zagasłe na świat zewnętrzny źrenice, tem skwapliwiej ku wewnętrznym zwracały się rzeczom. Jeśli mężny wyznawca zdołał przez lat tyle przetrwać i znieść ciężkie życie więzienne, to tylko dzięki ćwiczeniom najgorętszej pobożności. Przejął się on duchem pustelników Tebajdy. Jakby nie dość było udręczeń więziennych, przydawał do nich jeszcze różne dobrowolne umartwienia. Pewien kapłan który przez czas dłuższy wespół z nim w Wisbech był zamknięty, świadczy, iż przez lat siedm nigdy nie spoczął inaczej jak na gołej ziemi, kładąc się spać o jedenastej, wstając już o czwartej zrana. Ponieważ cela jego bardzo była wilgotną, namiestnik Toweru z litości rozkazał mu dać łóżko. Położył się na niem Ojciec Weston, atoli następnego rana, zacząwszy ulubione czytanie Pisma św., napotkał odrazu następny ustęp z ksiąg Przypowieści: „Jako drzwi obracają się na zawiasach swoich, tak leniwiec na łóżku swojem". Zaczem powrócił zaraz do pierwotnego, pokutnego obyczaju. Raz tylko dziennie się posilał, i to w sposób nader umiarkowany; za napój używał jedynie wody. W Towerze wszystko co mu do jedzenia przynoszono, roztwarzał zimną wodą, aby do reszty wszelki smak odjąć więziennej strawie. Przekonawszy się atoli, iż mu to na zdrowiu szkodzi, zaniechał onego umartwienia. Hrabia Essex, sławny ulubieniec Elżbiety, przybył raz zwiedzić warownię Toweru, a widząc O. Westona na dachu więziennym, jak klęcząc, modlił się, zwrócił się do towarzyszów i rzekł: „Nie mniemam, aby ten mógł być owym wielkim zdrajcą, za jakiego jest ogłoszony". Inny pan angielski, spostrzegłszy tamże pobożnego więźnia, posłał mu dość znaczną jałmużnę, której, gdy O. Weston nie przyjął, dawca zapytać go kazał: „*Domine, cur non accipis has pecunias?*" Atoli ukazanie się wyznawcy na dachu więziennym nie zawsze obudzało współczucie i miłosierdzie. Zaciekłość przeciw katolikom tak była podrażnioną i podjudzoną, iż więźniowie z sąsiednich piętr, dla

innych zamknięci powodów, nie sromali się kamieniami rzucać na klęczącego zakonnika.

Ciągła i nieprzerwana samotność, ustawiczne zatapianie się w duchownem życiu i ascetycznych rozmyślaniach, oczywiście na zdrowiu się odbiło. Wielki mistrz doskonałości, Rodrycyusz, przyrównywa ustawiczną modlitwę do cieniutkiej piły, która ostatecznie rozcina słabą ciała powłokę, niby klinga miecza zużywająca pochwę. Całem dążeniem Ojca Westona było, aby się utrzymać w ustawicznem poczuciu obecności Bożej. Sześć godzin codziennie trawił na modlitwie, a nieraz i dłuższy czas pobożnym poświęcał ćwiczeniom. Przyszło mu staczać walki nietylko z wewnętrznemi pokusami, lecz i z nacierającemi w widocznych kształtach złymi duchami. Słyszał ich kuszące głosy, przeszkadzały mu one do snu, budząc razami i pociskami, tak, iż w przeciągu dni pięćdziesięciu nie zaznał ani dziesięciu godzin spoczynku. Najbardziej go trapiła pokusa samobójstwa. Zdało mu się nieraz, iż zły duch podaje mu powróz, aby się na nim obwiesił, lub nóż dla poderżnięcia sobie gardła. Nie zawsze jednak dusza św. wyznawcy zostawała w pomroku smętku i pokusy. Jednego dnia mianowicie, gdy Bogu składał w chętnej ofierze wzrok swój, słuch, zmysły i zdolności, których utraty się spodziewał, ujrzał nagle promień świetlany, złotą nicią łączący ciemne jego więzienie z jasnemi niebiosy, i wyraźny głos usłyszał: „Tą oto nicią prowadzony jesteś od mej opatrzności: Jam z tobą, nie trać otuchy“. Największą pokusą w strapieniu jest, mieć się za opuszczonego od Boga. Ale Bóg w swej dobroci zawsze gotów przypomnieć znękanej duszy, iż posiada Ojca w niebiesiech.

Z powodu tych wszystkich tajemnic cierpień przebytych i łask otrzymanych, Ojciec Weston nie rad był później mówić o przeszłości. Zaledwie dwóch bliższych przyjaciół usłyszało z jego ust opowieść tych ciężkich czasów i nadziemskich pociech.

Z wstąpieniem na tron Jakóba I., ogólna nastąpiła amnestya. Namiestnik Toweru pokazał wtedy, jakie na nim wrażenie sprawiła długoletnia cierpliwość tego więźnia. Zaprosił go na obiad, hojną obdarował jałmużną, dał mieszkanie osobne w Towerze, pozwolił widywać przyjaciół.

Ojciec Weston opuścił warownię Toweru na dniu 13 maja 1603 r. Mnóstwo wielkie ludu zebrało się nad brzegiem rzeki, aby

być obecnymi jego wyjazdowi. Protestantów wiodła ciekawość, katolików pobożność. Wszyscy chcieli zbliska oglądać sławnego Jezuitę, który tak długo za wiarę był więziony. Katolicy nie taili swych uczuć czci i uwielbienia: na kolanach całowali jego ręce, prosili o błogosławieństwo, przekonani, że jak ongi św. Pawła Efezyanie, tak i oni więcej jego oblicza nie obaczą. Bóg, który i dobrą wolę przyjmuje w miejsce samejże ofiary, nie dał mu uszczknąć krwawej palmy męczeńskiej, nie pozwolił nawet w pełni wykonać apostolskich zamiarów. Na dziewiętnaście lat pobytu w Anglii, dwa tylko czynnie spędził w swobodnej pracy, a siedmnaście w więzieniu. Po ludzku tedy misyonarski jego zawód był chybionym, ale po Bożemu, któż wypowie, kto odgadnie wiele zasiał cierpieniem, przykładem, okupem i wpływem dobrym?

Wygnaniec z Angli, przeznaczonym został do Hiszpanii przez przełożonych zakonnych. Ciepły klimat i bratnie starania wróciły mu niebawem zdrowie. Odzyskał wzrok i słuch przytępiony, ustawiczna bezsenność przestała go trawić; a choć wyszedł był z więzienia starcem przedwczesnym, mógł jeszcze uczestniczyć w pracach zakonnych, a gorącem słowem rozniecał w duszach braci istny płomień Bożej miłości. Umarł w Valladolid w 66 roku życia, a w 40 zakonnego powołania. Wśród wielu sławnych wyznawców i męczenników owej epoki, spółcześni zaliczają go do rzędu najznakomitszych. I on w Oksfordzie się kształcił, podobnie jak Edmund Kampian, ów wielki sługa Boży, umęczony za panowania Elżbiety w 1581 r. Jak dziś Oksford przoduje ruchowi zwrotnemu ku prawdzie katolickiej, wydając z siebie owych duchów przewodnich, jak Manning, Newman, Faber, i t. d., tak i wówczas z owej matki nauk wychodziły największe światła wypartego z Wyspy świętych katolicyzmu. Nie podamy tu szczegółów z życia Ojca Kampiana, tego hetmana męczenników angielskich, znaleść je bowiem można w poczcie żywotów świętych złotem piórem naszego Skargi spisanych. Rzecz dziwna: podczas, gdy Elżbieta i rząd angielski wszelkich starań przykładali, aby zataić wewnętrzne swe okrucieństwa przed zagranicznemi monarchami, osłaniając mianowicie religijne prześladowanie pozorami politycznej represyi, w Polsce nasi królowie doskonale byli poinformowani o prawdziwym stanie rzeczy. Dowodzi tego list Stefana Batorego do Elżbiety, dan w Niepołomicach 29 stycznia

1583 r. a polecający usilnie łasce królowej Jakuba Bosgrave, profesora przy uniwersytecie Wileńskim, teologa Jezusowego zakonu, który przez czas dłuższy więziony był w Anglii, i zapewne skutkiem wstawienia się króla Polskiego nie został wraz z Kampianem i innymi towarzyszami więzienia okrutnie straconym, lecz uszedłszy śmierci męczeńskiej, skazany na banicyę, udał się do Kalisza i tamże w podeszłym umarł wieku r. 1623. Upominając się o krzywdę nowej Wileńskiej wszechnicy, z utraty tego teologa, Stefan Batory ogólną sprawę uciśnionych katolików podnosił: „Nie wątpimy że Wasza Kr. Mość w swej dla nas życzliwości nie dozwolisz, aby podczas gdy Twoim poddanym wolno w naszem Królestwie wszelaką wyznawać religię, wiara nasza miała być obrazą najwyższą w Waszem państwie. Ufamy przeto, iż w krótkim czasie wspaniałomyślność i łaskawość Waszej Kr. Mości wszystkich katolików udaruje swobodą, co będzie zarazem i nader ludzkim czynem, i aktem dla nas osobliwie przyjemnym".

Po wstąpieniu na tron Jakuba, kiedy wzmogło się jeszcze prześladowanie z powodu nieszczęsnego spisku prochowego; powierzył późniejszy męczennik, długoletni przełożony angielskich Jezuitów O. Henryk Garnet posłowi Zygmunta III. podkomorzemu Krakowskiemu dwa pisma, jedno do króla Polskiego, drugie do kanclerza Zamoyskiego, przedstawiając im opłakane katolików położenie i prosząc, aby za nimi do króla Jakuba się wstawili; tak to wielkie było i zaszczytne mniemanie o królach katolickiej Rzpltej, iż zawsze gotowi w sprawie uciśnionego chrześcijaństwa wystąpić. Identyfikacya sprawy Kościoła z sprawą narodu Polskiego, już wtedy się przejawia zaufaniem do królów naszych.

Zapewne przez Jezuitów płynęły do Polski tak szczegółowe i wierne powiadomienia o tem, co się działo i cierpiało w Anglii. Stąd Skarga dokładne kilku przedniejszych męczenników podaje wizerunki, a mianowicie kreśli życie Maryi Stuart tak jak je dziś spisują najnowsi dziejopisarze, odgarniając nalecialości z umysłu przez innowierców nagromadzone, aby tę czystą zohydzić postać. Skarga w niej widzi męczennicę za wiarę, i nie myli się w tem ocenieniu. Przedstawiała ona uosobienie sprawy katolickiej naprzeciw uosobieniu kacerstwa w Elżbiecie. Prawnie najbliższą była angielskiej korony; była królową katolików jak Elżbieta królową pro-

testantów. Dlatego postanowiono jej zgubę. Wszystkie romantyczne, udramatyzowane przygody tragicznego jej życia są sfałszowane niechęcią protestantów. Mniemany paź Rizzio, nie był ani młodym, ani paziem, lecz sędziwym spowiednikiem królowej, którego zawiść heretyków zgładziła. Ona sama niebawem padła tejże nienawiści ofiarą, a Skarga opisujący jej śmierć, nie nazywa jej inaczej jak męczeństwem, chwaląc tę „mężną jako wieżę, katolicką białogłowę, która świadectwo prawdzie krwią swoją dała".

Devotus femineus sexus nie jest wyłączonym od zaszczytów męczeństwa i ofiary. Jak niegdyś Perpetua, Felicyta, Cecylia, tak teraz pobożne matrony i dziewice pędziły najpiękniejsze lata za kratą więzienną, by wreszcie ponieść swe głowy w ofierze za wiarę. Między innemi, jak najśliczniejsza róża królująca nad otaczającem ją szkarłatnem kwieciem, zwraca na siebie uwagę wielka męczennica Małgorzata Clitherow.

Nie tylko w stolicy ogień prześladowania wciąż dalej się rozszerzał. Prowincyonalne miasta miewały podobnież swoich prokonsulów, bardzo nieraz srogich i zaciekłych. Odznaczył się między nimi zarządca Yorku, hrabia Huntingdon, typ neronowskiego prześladowcy. To też martyrologium katolickie z czasów jego administracyi obfituje w liczbę i dobór szlachetnych wyznawców. Małgorzata Clitherow była małżonką rzeźnika, czy właściciela rzezalni w mieście York, człowieka zacnego, członka rady miejskiej. Sam Jan Clitherow był protestantem, co nie przeszkodziło, że jeden z jego braci został katolickim księdzem, drugi za wiarę świadczył w warowni zamku York, z synów zaś dwóch udało się na kontynent, aby teologiczne odbyć studya, a córka w Flandryi poświęciła się zakonnemu życiu, którego w młodszych latach zakosztowała poniekąd w samotności więziennej. Jan Clitherow ożenił się z Małgorzatą Middleton w r. 1571, a więc jeszcze pod krwawemi rządami Elżbiety. Stary kronikarz z którego prostych i nieco rozwlekłych zapisków czerpiemy niniejszą opowieść, po dłuższym wstępie zaznajamia nas z osobą i otoczeniem znakomitej męczennicy. Rzadkiej urody i rozumu, pełna roztropności i przyrodzonego dowcipu, Małgorzata Clitherow licznem potomstwem obdarzyła małżonka swego. Urodziła się ona i wzrosła w herezyi, dopiero w parę lat po ślubie, poznawszy prawdę katolicką, całem sercem ją ukochała, i odtąd nie

szczędziła ofiar i cierpień, aby wierność swą Kościołowi zatwierdzić. W ciągu kilkunastu lat następnych, nie raz przyszło jej rozłączyć się z mężem i dziatkami, aby ten czas przepędzić w więzieniu: raz nawet całych lat dwa znosiła pęta dla miłości Chrystusa. „Gdyby się to nie sprzeciwiało moim domowym obowiązkom, powtarzała często, jakżebym rada znów się znaleść w więzieniu, aby tam wyłącznie Bogu służyć i ćwiczyć się w cnocie. Szczęśliwi ci, którym daną jest tak doskonała sposobność dobrzeczynienia! Widocznie Pan Bóg znalazł mię niegodną pozostania w ich liczbie. Niech się dzieje wola Jego święta". Tymczasem, jak mogła służyła Bogu, i starała się cześć Jego rozszerzać. W domu urządziła małą kapliczkę i kryjówkę dla kapłana.

Szczegóły jej życia ściśle przypominają najpiękniejsze świętych Pańskich przykłady. Modlitwą przeplatała całodzienne zajęcia, dzieciom chrześcijańskie dawała wychowanie, uczęszczała kilka razy w tydzień do Sakramentów św., pościła i umartwiała się surowo, zawsze dla męża innowiercy wesołe chowając oblicze, i tając przed nim swe dobre uczynki, mianowicie ciągłe podejmowanie kapłanów katolickich, aby go nie wystawić na udział w strasznej odpowiedzialności.

Niebawem dom jej nabrał więcej rozgłosu, aniżeli to dla jej bezpieczeństwa było pożądanem. Tutaj zwracał swe kroki tropiony misyonarz, ale tutaj też najprzód zwracali swe kroki przemyślni rządowi łapacze. Powszechna miłość stała na straży. Mąż oczy zamykał na to co się w około działo, sąsiedzi, nawet heretycy, ostrzegali przed niebezpieczeństwem, słudzy czuwali nad bezpieczeństwem ukochanej pani. Nie wahała się ich karcić i łajać, gdy na to zasłużyli, a kiedy raz ktoś zapytał, czy się nie lęka, aby połajany sługa nie wydał przez zemstę obecności goszczącego w domu kapłana: „Uchowaj Boże, odpowiedziała, abym dla zabezpieczenia sobie swobodnej w domu moim służby Bożej, zaniedbać miała własnych względem czeladki powinności, nie karząc ich gdy na to zasłużą. Bóg wszystkim rządzi i kieruje, atoli nie chcę za winy moich sług być karaną i nie mniemam, aby stąd niebezpieczeństwo jakie dobrej sprawie zagrażało".

Przy wielkiej roztropności i spokoju, udawało się Małgorzacie Clitherow prowadzić przez lat kilka w względnem bezpieczeństwie

katolickie życie, mimo ułatwiania sąsiadom i bliskim przystępu do katolickich obrzędów. Wtem na dniu 10 marca, 1586 r. a w 28-ym panowania królowej Elżbiety, nagle mąż jej powołanym został przed radę najwyższą. Choć od półtora roku pani Clitherow na wolnej zostawała stopie, odrazu przeczuła grożące niebezpieczeństwo. Już przed rokiem wyprawiła była syna swego Henryka do Francyi, w nadziei, iż tamże chrześcijańskie otrzymawszy wychowanie, zostanie kapłanem; ale choć potajemnie całą tę rzecz urządziła, straszna stąd na nią powstała burza. Mąż nie wiedział o niczem, zawsze jednak mocno się zaniepokoił, i z trwogą w sercu stanął przed najwyższą władzą w prowincyi.

Zaledwie wyszedł z domu Jan Clitherow, aliści oddział siepaczy obstąpił mieszkanie, aby takowe ściśle przetrząsnąć. Zastali panią Clitherow przy zwykłych domowych zajęciach. Kapłan, który w tej chwili u niej gościł, ostrzeżony na czas schronił się w podziemną kryjówkę wraz z osobami, które z nim się znajdowały. Tymczasem w wyższej izbie domu nauczyciel katolik, który co dopiero siedm lat był przepędził w więzieniu za wiarę, spokojnie udzielał lekcyi dzieciom pani Clitherow i kilku innym chłopcom, nie domyślając się wcale co się działo na dole. Wtem jeden z siepaczy drzwi nagle uchylił, a mniemając iż kapłana nadybał, zbiegł po swoich towarzyszów. Nauczyciel wyszedł za nim, myśląc że to znajomy, a zobaczywszy co się święci, zatrzasnął drzwi i uszedł innym wyjściem. Siepacze nie zastawszy go już w izbie, wpadli w istne zapamiętanie, ujęli wszystkich w domu obecnych, dzieci, sługi i samą panią Clitherow, a jednocześnie przerzucali wszystkie szuflady, szafy i skrzynie. Nareszcie pochwycili jakiegoś chłopca dziesięcio czy dwunastoletniego, a zdarłszy zeń ubranie, i grożąc mu rózgami, zmusili aby im służył za powolne narzędzie. Wylękłe pacholę zawiodło ich do izdebki przez kapłana w zwykłym czasie zajmowanej, i wskazało skrytkę na książki i przybory kościelne. Siepacze zabrali co mogli, pojmanych mieszkańców poprowadzili do więzienia, a panią domu pędzili z miejsca na miejsce, aż wreszcie późnym wieczorem, przemokłą od deszczu i zmęczoną zamknęli w więzieniach zamku York.

Tymczasem owo pacholę coraz to inne pod groźbą razów dawało świadectwa, to wskazując osoby, które przy Mszy widywało,

to wymieniając nazwiska dwóch znanych kapłanów, którzy w domu pani Clitherow gościnne schronienie znachodzili. Chłopiec ten był synem Anglika i Holenderki, urodzony w Flandryi, a od dwóch lat przez panią Clitherow przygarnięty.

Pierwsze dni uwięzienia, przyszło jej spędzić w towarzystwie zamkniętej z nią skutkiem świadectw tegoż biednego chłopca przyjaciółki. — „Tak nam dobrze razem powtarzała, iż jeśli nas nie rozłączą, stracimy zasługę naszych więzów". Skutkiem nowych ustaw, danie schronienia katolickiemu księdzu pociągało za sobą niechybną karę śmierci, czyli — jak upornie sędziowie twierdzili — słuszne skarcenie zdrady stanu. Otóż w dawnym kodeksie, zdrada stanu, gdy winowajczynią była kobieta, karaną była szubienicą lub nawet ogniem.

Niebawem stawiono ją przed trybunałem: akt oskarżenia opiewał, iż w domu swoim przyjmowała i ukrywała Jezuitów i księży, zdrajców kraju i wrogów królowej, dalej że słuchała mszy, i t. p. Wtedy sędzia powstał z miejsca pytając: „Małgorzato Clitherow, co na to powiadasz? czy wyznajesz się być winną tych zbrodni?" Małgorzata odparła: — „Nie poczuwam się do żadnej zbrodni". — „A jednak ugaszczałaś i utrzymywałaś Jezuitów i księży, nieprzyjaciół Najjaśniejszej Pani?" — „Uchowaj Boże, abym kiedykolwiek Jej nieprzyjaciół miała przyjmować, nigdym takowych nie ugaszczała". — „Przekroczyłaś ustawy, zaczem śledztwo i sąd nastąpić musi". — Na te słowa męczennica odwołała się do Boga i do sumienia sędziów. Wtedy przyniesiono dwa kielichy, obrazy święte, a w ornaty i inne kapłańskie szaty przebrano dwóch urwiszów, którzy w obec zasiadającego trybunału jęli się bić i przedrzeźniać podając opłatki i wołając: „Oto bogi, w których wierzysz". Zapytano jeszcze obwinioną, azali jej się owe szaty i przybory podobają: „Tak jest, lecz gdy je widzę, na ramionach tych, którzy je ku czci Bożej nakładają". — Wtedy sędzia powstał i spytał: — „W kogóż ty wierzysz?" — „W Boga", odparła Małgorzata. — „Jakiego Boga?" pytał dalej sędzia. — „W Boga Ojca, Boga Syna, Boga Ducha św. trzy osoby a jeden Bóg. W to wierzę całem sercem, a nadto i w to jeszcze, że przez zasługi, mękę i śmierć Zbawiciela Pana zbawioną być mogę".

Sędziowie zapytali po chwili, czy nie pragnie odwołać się do

wyroku sędziów przysięgłych. Apelacya taka zwlekłaby tylko sprawę, narażając wiele osób, a nie dając żadnej rękojmi sprawiedliwości; obwiniona wolała zatem poddać się odrazu wyrokowi trybunału. Pytano ją jeszcze czy mąż był świadom jej czynów, czy wiedział, że kapłanów przyjmuje? „Bóg widzi, że dotąd nie był on godnym być obecnym sprawowaniu służby Bożej". — Jeden z sędziów jął na nią miotać najdotkliwsze obelgi, iż tajnych gości u siebie przyjmowała, nie z religijnych powodów, lecz raczej dla rozpusty, Clitherow słuchała wszystkiego z niezmienną pogodą oblicza, jak później spokojnie, modląc się pocichu słuchała w więzieniu obelg heretyckich współwięźniów i argumentów Purytańskiego ministra.

Nazajutrz od rana stawiono ją ponownie przed trybunałem. — „Cóż dziś nam powiesz, Małgorzato Clitherow? Wczoraj puściliśmy cię bez wyroku, aczkolwiek mieliśmy prawo go wydać, a to w tym celu, abyś się odwołała do sądu przysięgłych. Inaczej wedle istniejącego prawa ukarać cię musim. Mało dowodów przeciw tobie mamy, zaledwie słabe wyznania jednego dziecka. Przysięgli zbadają bliżej twą sprawę". — „Widzę, że nie macie innych świadków jeno dzieci, które rózgą i jabłkiem można zniewolić do mówienia wszystkiego tego, co zażądacie sami". — Na to sędziowie: „Jawnem jest i wiadomem, żeś księży w dom swój przyjmowała; same przybory u ciebie znalezione wystarczającym są dla nas dowodem". — „Jeśli wam chodzi o dobrych katolickich kapłanów, nie widzę przyczyny dla czegobym ich aż do śmierci przyjmować nie miała. Przybywają aby mnie i drugim dobrze czynić". — „Uwodziciele to poddanych królowej, zdrajcy i łotrzy", zakrzyknęli sędziowie. — „Niech wam Bóg przebaczy; nie mówilibyście tak o nich, gdybyście ich znali". — „Samabyś ich znienawidziła, poznawszy ich złość i zdradę". — „Przeciwnie mam ich za ludzi cnotliwych, przysłanych od Boga, aby dusze nasze zbawić".

Główny sędzia raz ją jeszcze zagadnął: — „Powiedz ostatecznie, czy się odwołujesz do sądu przysięgłych?" — „Poddaję się Bogu i waszym sumieniom, czyńcie co uznacie za dobre".

Oburzony taką stałością sędzia, zawołał: — „Sądzoną tedy będziesz wedle ścisłości prawa". — Na to podniósł się obecny wśród publiczności predykant Purytański żądając głosu, a gdy uciszył się szmer zebranej publiczności, ten sam innowierca, który minionego

wieczora usiłował przekonać Małgorzatę Clitherow, tak się odezwał. „Milordzie, uważaj na to co czynisz. Zasiadacie tu dla wymierzania sprawiedliwości. Sprawa tej kobiety waży się między życiem a śmiercią. Nie godzi się jej sądzić wedle lichego świadectwa niedorosłego chłopięcia. Potrzeba co najmniej kilku mężów dojrzałych i pewnych, aby ich osobistem świadectwem dodać znaczenia oskarżeniu. Inaczej nie godzi się wyroku ferować".

Na to odparł sędzia: — „Mogę to uczynić na mocy prawa".— „Jakiego prawa?" — „Królewskiego". — „Być może, odrzekł predykant, ale z pewnością ani Bożego ani ludzkiego".

Sędzia pragnąc raz jeszcze obmyć swe ręce i sumienie z krwawej sprawy, ponownie nalegał, aby się odwołała do sądu przysięgłych. — „Dobra niewiasto, wierzaj mi, odnieś się do kraju, gotowi jesteśmy okazać ci miłosierdzie, a i tak dziś zbyt słabe mamy przeciw tobie dowody, w świadectwie jednego zaledwie pacholęcia". — Nic atoli nie zdołało wzruszyć postanowienia Małgorzaty. Czekała wyroku, do żadnej się nie uciekając apelacyi. Rozgniewany sędzia zawołał nareszcie: — „Cóż to jest, że czas tracimy dla tej upornej, nierozumnej kobiety. Raz z nią już skończmy. Skoro nie chcesz do przysięgłych się odwołać, oto wyrok, jaki na ciebie zapada:

„Odprowadzą cię tam skąd przybyłaś, a następnie zamkną w najniższych lochach, tam rozebrawszy, położą na ziemi i przycisną ciężarem tak wielkim, jaki tylko znieść zdołasz, i trzymać będą przez dni trzy, bez innego pożywienia nad trochę owsianego chleba i nieco wody z rowu. Trzeciego zaś dnia, podłożywszy ostry kamień pod plecy, i przywiązawszy ręce i nogi do słupów, na śmierć zgniecioną zostaniesz".

Męczennica wysłuchała tych słów bez żadnej na pogodnem obliczu odmiany. — „Jeśli ten wyrok podług waszego sumienia został wydanym, proszę Boga, aby was łaskawiej sądził. Sama zaś Bogu serdecznie zań dziękuję".

„Taki sąd wedle litery prawa zapaść musi, rzekł sędzia, chyba, że się odniesiesz do sądu przysięgłych. Pamiętaj, że masz męża i dzieci, nie giń marnie". — „Dałby Bóg, aby i mąż i dzieci moje mogły ze mną cierpieć dla tak dobrej sprawy".

Związano jej natenczas ręce i odprowadzono do więzienia. Po

drodze o ile mogła, mimo pęt, rozdawała jałmużny, a rozradowane oblicze, powszechne budziło zdumienie.

Mąż usłyszawszy o zapadłym wyroku, krwawe łzy lejąc wciąż powtarzał: — Czyż być może, aby mi ją zabili? Wszystko oddam, aby ją ocalić. Najlepsza to żona w całej Anglii".

Tymczasem nachodzili ją codziennie to predykanci, to powinowaci, — jedni aby ją zmusić do kacerskiej nauki, drudzy aby ją wzruszyć i do ustępstw skłonić. Ojczym uwięzionej, Lord Mayor w Yorku, na klęczkach błagał ze łzami, aby się ulitowała nad sobą, próbował ją pochlebstwem i czułością zniewolić. Wszystko daremnie, nawet małej swej córeczki, heretykowi na wychowanie powierzyć nie chciała. Napróżno prosiła, aby jej pozwolono raz jeszcze męża swego obaczyć, obiecywano wprawdzie, ale kosztem pewnych ustępstw sumienia, na które zgodzić się nie mogła. — „Niech się więc stanie Wola Boża, rzekła cierpliwie, dla kilku słów którebym mogła z mężem zamienić, nie obarczę mego sumienia ani Boga obrazą".

Niebawem oznajmiono jej, którego dnia miała cierpieć. Na chwilę zachwiało się jej męstwo, przyrodzony strach tak okrutnej śmierci nią wstrząsnął. Prosiła przyjaciół, aby się za nią modlili, i sama uklękła aby o łaskę i pomoc prosić. Jakoż po krótkiej modlitwie odrazu ją groza śmierci i obawa męczeństwa odbiegła. Teraz myślała tylko o jak najlepszem przygotowaniu się na śmierć. Zawsze wstrzemięźliwa w pokarmie, od wtorku do piątku żadnego nie przyjęła pożywienia. Część nocy ostatniej spędziła na modlitwie, przybrawszy się w białą suknię, którą sama na kształt alby uszyła i przysposobiła, aby w niej być umęczoną. Jednego tylko pragnęła, aby mieć koło siebie w czasie męki paru żarliwych katolików, którzyby jej dodawali odwagi i przypominali dla kogo i jak ma cierpieć. Towarzyszka więzienna odezwała się jeszcze: „Mam przyjaciół, których uproszę, aby skrócili twą mękę przyłożeniem większych odrazu ciężarów". — „Nie, dobra kobieto, nikogo krwią moją nie obciążaj", rzekła pani Clitherow.

Około godziny ósmej zrana przyszło kilku szeryfów aby ją zaprowadzić na miejsce stracenia. Zabrawszy szatę, którą na swe niebieskie zgotowała gody, wyszła ochotnie na ulice przepełnione ludem. Ledwo przecisnąć się było można. Ofiara postępowała z rozpromienionem obliczem, raz jeszcze obfite na prawo i lewo rozdając jałmużny.

Jeden z szeryfów naglił, aby prędzej szła za nimi. „Dobry panie Szeryfie, rzekła na to, pozwól mi raz jeszcze moje drobne rozdzielić datki, boć krótki tylko czas mam przed sobą".

Na miejsce męki przeznaczono piwnicę gmachu Celnego. Obecnych było tylko kilku szeryfów i sierżantów, kilku czy kilkunastu najętych do tej katowskiej roboty nędzników, dalej parę mężczyzn i kobiet. Stanąwszy u celu męczennica przyklękła i modlić się zaczęła. Kacerskich modlitw powtarzać nie chciała; natomiast na głos modliła się za Kościół katolicki, za Papieża, kardynałów i duchowieństwo, następnie za panów chrześcijańskich. A w szczególności modliła się, mimo iż jej przerywano, za Elżbietę, królowę Angielską, aby się mogła do katolickiej nawrócić wiary, i po doczesnem życiu niebieskich zażywać rozkoszy. „Albowiem życzę jej duszy tak dobrze jak własnej". Jeden z Szeryfów, wzdrygający się na te okrucieństwa, zalewał się łzami. Drugi zagadnął męczennicę: „Pamiętać musisz, pani Clitherow, iż śmierć ponosisz za zdradę". — „Nie zaiste, mości Szeryfie, odrzekła głośno, ale dla miłości Chrystusa Pana".

Chwila męki zbliżyła się; obecne niewiasty dopomogły jej rozebrać się i przyodziać w białą ową szatę i ułożyć na ziemi. Twarz nakryła chustką. Ręce przywiązano do dwóch słupów tasiemkami, które sama na ten cel do swej sukni przyszyła. Za chwilę spuszczono na leżącą wielkie, ciężkie wieżeje i zapytano, czy nie chce błagać przebaczenia od królowej i pomodlić się za nią.

„Już się za nią pomodliłam, odparła męczennica".

„Czy nie chcesz może przeprosić małżonka swego?"

„Jeślim go kiedy mimo wiedzy obraziła, proszę, aby mi przebaczył".

Zaczem podłożywszy ostry kamień pod jej plecy, jęto nakładać na owe wieżeje coraz to większe ciężary. „Jezu, miłosierdzia, zawołała trzykrotnie". Męka jej trwała cały kwandrans. Gdy ciężar przygniatający ją wzrósł bodaj do tysiąca funtów, duch jej uleciał zwycięzko ku niebieskiej ojczyźnie, a kości zmiażdżone przedarły ciało i skórę.

Działo się to o dziewiątej z rana, zgniecione na miazgę szczątki zostawiono w tej okrutnej prasie aż do trzeciej po południu.

Przedtem jeszcze uwięziono dwunastoletnią córeczkę męczennicy, bo matki w niczem zdradzić nie chciała. Obchodzono się

z nią okrutnie. Po umęczeniu matki zapewniono dziewczynkę, że ocali matce życie, jeśli do zboru pójdzie, i choć jednego tam wysłucha kazania. Oszukana panienka uległa, i na ten raz dała się do zboru zaprowadzić, nie wiedząc, że już matka nie żyje.

Jak dawniej pogańscy, tak teraz protestanccy prześladowcy pilnie czuwali, aby katolicy nie dostali ciał męczenników lub jakichkolwiek po nich relikwij. Samą nawet krew rzucano w ogień, poćwiertowane członki gotowano, twarz mazano czarną farbą, aby odrazę powiększyć. Pomarłych w więzieniach wyznawców chowano pospołu z złoczyńcami, grzebano na śmieciskach miejskich, lub pod murem kaźni czy warowni. Małgorzatę Clitherow, a raczej zgniecione jej zwłoki podobnież wyrzucono na śmietnik. Po sześciu tygodniach udało się pobożnemu jakiemuś katolikowi uwieść je ze sobą i uczcić katolickim pogrzebem. Zgnilizna ani robactwo nie znalazło przystępu do męczeńskich szczątek. (C. d. n.)

JANSSEN I HISTORYA REFORMACYI.

(Dokończenie).

Krytycy Janssena, jak Kawerau, Köstlin i t. p. zaliczają do najcenniejszych „błogosławieństw“ czystej ewangelii i całego prądu reformacyjnego, zdobytą wolność ducha i wolność sumienia. Przypatrzmy się bliżej tym sławionym płodom, szczególniej w okresie między Augsburskim pokojem religijnym (1550), a ogłoszeniem formuły jedności w r. 1580. Poprzednio już widzieliśmy nieustanne kłótnie i spory, otaczające zebrania książąt i teologów aureolą „błogosławieństwa“. Teologowie ci, o ile sami rościli sobie prawo do nieograniczonej wolności, o tyle domagali się od drugich bezwzględnego zaparcia się i posłuszeństwa. Jeśli książęta nie stawiali im oporu, tedy nawzajem doznawali od nich ochoczej uległości w sprawach kościelnych. Jeśli przeciwnie, nie stało się zadość ich życzeniom, wówczas teologowie ściągali na nich wszystkie klątwy nieba. Nie inaczej postępowali też książęta ze swymi predykantami. Jan Średni, książe sasko-wejmarski założył w Jenie akademię, aby zwalczyć potęgę Melanchtona i zobowiązał poselstwo wyprawiające się do Wormacyi, by z innemi protestanckiemi stanami w żadne układy nie wchodziło. Oto wolność sumienia! Elektor Fryderyk III. oczywiście w poczuciu tej wolności, wypędza wszystkich predykantów przeciwnych Melanchtonowi, a Krzysztof wirtemberski ogłasza banicyę i kary cielesne przeciw wszystkim krzewicielom i obrońcom jakichkolwiek sekt innych. Owszem nakazuje nawet konfiskatę dóbr tych obywateli, którzyby obcym kacerzom u siebie przytułek dali. Jan Fryderyk, książe saski kazał wykląć predykantów Strigla i Hugla wraz z wszystkimi ich przyjaciółmi za publiczne mowy przeciw

Flakcyuszowi. Joachim II. brandeburski przepisuje predykantom czego nauczać mają, a dbały o zupełną wolność sumienia, karze nieposłusznych banicyą lub więzieniem. Albrecht książe pruski oddaje swego nadwornego predykanta Funka, za rzekome kacerstwo, pod miecz katowski [1]. Elektor Fryderyk III. przemocą zmusza swych poddanych do przyjęcia kalwinizmu, a Ludwik tychże samych chwyta się środków, aby go wytępić [2]. August, elektor saski, skazuje swych dawnych przyjaciół Peukera, Cracona i Stössla na najstraszniejsze męczarnie, „dlatego że się niespodzianie dowiedział, iż nie są luteranami lecz kalwinistami“ [3]. Jakże zbawienne to błogosławieństwo! Jakże szczytne pojmowanie wolności sumienia!

Drugie błogosławieństwo wypływa, zdaniem tych samych krytyków, z protestanckiego kaznodziejstwa. Niepodobna tu przytaczać wszystkich zeznań protestanckich odnośnie do tego punktu. Lecz posłuchajmy choć jednej relacyi z wizyty odbytej w Magdeburgu między r. 1562—1564. Oto jak się tam przedstawia to drugie błogosławieństwo:

„Andrzej Müller, proboszcz z Bückau, ordynowany w Wittenberdze, wymaganiom egzaminu wcale nie sprostał. Nie miał on żadnych zasad chrześcijańskiej nauki, a głównych jej prawd niewiele lub zgoła nic nie rozumiał“.

„Proboszcz w Brumby, na przedłożone mu pytanie o Trójcy św., odpowiedział: że Duch święty jest od Ojca stworzony; *item*, że syn Boży jest pośrednikiem między Ojcem i Duchem św.“.

„Maurycy Dalchav, proboszcz w Kuhlhausen, ordynowany w Berlinie, przedłożył swoje *testimonium*. Zarządzał on parafią lat 11, lecz człowiek to nic nie umiejący, który nawet nie znał różnicy między osobami Trójcy św. Zresztą po łacinie nie rozumiał ani słowa“.

„Bernard Galler, proboszcz w Gudensweg, ordynowany w Brunświku, bardzo ma słabe pojęcie o zasadach chrześcijańskiej wiary. Poprzednio był szklarzem, poczem został proboszczem“.

„Antoni Meyerin, proboszcz w Zeppernik, ordynowany w Ma-

[1] T. IV. str. 184.
[2] Str. 189—194.
[3] Str. 349.

gdeburgu, naukom się nie oddawał, języka łacińskiego nie zna, poprzednio był tkaczem".

„Cyryak Möller, proboszcz w Schwarz, ordynowany w Wittenberdze, przedłożył *testimonium* opieczętowane. Na zapytania o Bogu, niewiele umiał odpowiedzieć. Uprzednio był karczemnym parobkiem, a żonę wziął sobie z publicznego domu w Calbe. Niewiasta to zła i swarliwa, przyczyną jest ciągłych kłótni i bójek".

„Ernest Kütze, proboszcz w Ebendorf, wprawdzie uczony, lecz za zwady, zabójstwo i pijaństwo, nieraz był już karany. Bacznie uważać nań trzeba".

Według tejże relacyi, w mieście Jerichów przystąpiło do Wieczerzy, w ciągu $1^1/_2$ roku dwóch tylko ludzi. „W całym okręgu Sandawskim znalazło się niezmiernie wielu chłopów, którzy ani modlić się, ani dziesięciorga przykazań wyliczyć nie umieją, a o chrzcie i wieczerzy nie mają pojęcia". Podobnie brzmi relacya o chłopstwie Cörbelitz w Woltersdorf, z dodatkiem jednak nowych przymiotów: niezwykłej bezbożności i dzikości w obyczajach.

Z takim samym widokiem spotykamy się w 20 innych miejscowościach. Snać jednak najgorzej było w Aldenhausen, gdzie zaznaczyli wizytatorowie, że u jego granic „kończy się już chrześcijaństwo". *(Da hört die Christenheit auf).* Taki to stan był następstwem „ewangielicznego kaznodziejstwa". Zaiste wspaniałe to błogosławieństwo! Ale rzecz dziwna! Jakim sposobem w obec tak grubej ciemnoty predykantów, wśród piekielnego chaosu, kłótni i swarów, wśród iście szatańskiej między sektami nienawiści, jakim sposobem reformacya, mimo to wszystko, mogła tak gwałtownie i szybko, jak lot huraganu, całe prawie Niemcy ogarnąć. Pytanie to mimowoli staje przed okiem czytającego i natrętnie dopomina się odpowiedzi. Odpowiedź Janssena bez porównania lepszą jest i dokładniejszą, niż profesora Rankego: bo Janssen polityczno-dyplomatycznych pobudek i czynników nigdy nie bierze na wagę oddzielnie, lecz zawsze w połączeniu z religijnem, naukowem i realnem życiem narodu. Poszczególne wypadki i przyczyny przebiegliśmy już w toku niniejszej rozprawy. Streśćmy teraz to wszystko w jeden pogląd ogólny. Przedewszystkiem cała owa rewolucya wyrodziła się poniekąd w anarchię. Cesarz uważał papieża prawie już za obcą, wrogą sobie potęgę; biskupi utracili powagę, książęta

stawali oporem władzy państwowej i knuli spiski z obcemi narodami, miasta w tym tylko celu wszystkich sił używały, aby własne utrwalić panowanie, usposobienie szlachty tak już było naprężone, że lada chwila należało obawiać się groźnego wybuchu. Tak zwany spisek Grumbachski łatwo mógł się przemienić w bunt Sickingena. Wprawdzie płomień powstania chłopskiego zalany został krwią buntowników — lecz mimo to, stan wieśniaczy nie dźwignął się z dawnej nędzy, ale owszem i materyalnie upadł jeszcze niżej i moralnie bardziej się upodlił. Wciąż podsycana nienawiść przeciw wszystkiemu co papieskie, rodziła „dzikie, bezbożne“ obyczaje. A ze wzrostem duchowego zdziczenia, nikły z przed oczu wszelkie wyższe, idealne dobra, a z czasem poszły w zupełne zapomnienie i poniewierkę, jak o tem wyznania samychże reformatorów najdokładniej nas pouczają. O całość i rozwój „czystej ewangielii“ dbali przezornie protestanccy książęta, bo za jej pomocą stać się mieli panami Niemiec. Trudno znaleść między nimi choćby jeden prawy charakter. Na sejmach gwałtownie dobijali się o prawa, które im wcale nie przysługiwały; wszelkie wnioski przywrócenia porządku odrzucali stanowczo, a katolicyzm bezwzględnie wytępić chcieli, domagając się tego jako rzeczy najprostszej w świecie, której nawet dowodami uzasadniać nie było potrzeba. Skoro zaś sprzeciwiano się ich wymaganiom lub przypominano im ich obowiązki, wówczas z gniewem przezywali cesarza bałwochwalcą, na wojnę turecką wszelkiej odmawiali pomocy, a przeciwnie orężem i złotem wspierali wrogów niemieckiego państwa; co więcej, przeszkodzili odzyskaniu ziem utraconych, a Niderlandy, najpiękniejsze i najbogatsze lenno cesarstwa do ostatniej przywiedli nędzy. Potężnego sprzymierzeńca mieli protestanccy książęta w nieudolnej chwiejności katolików, a szczególnie w zbyt miękkiej dobroci szlachetnego Ferdynanda I. i w dwulicowej polityce Maksymiliana II., który jak widzieliśmy, właściwie nie był już katolikiem. Lecz nietylko jego własna w tem wina. Niedbalstwo biskupów, rozprzężenie kościelnej karności wśród bezradnego zamieszania i rozstroju, powszechny wśród duchowieństwa konkubinat, swawola szlachty a mianowicie szlacheckich kanoników, zgubny wpływ protestanckich radców i agitatorów, swobodne apostolstwo dzieł w duchu nowej nauki pisanych, demoralizacya szkół i zepsucie szerzone aż do najniższych warstw narodu, to wszystko

było przyczyną, że nietylko Austrya, ale i Bawarya, Salzburg, Bamberg, Würzburg, jeśli nie w całości, to przynajmniej w połowie protestanckie przyjęły wyznanie. Obrazowanie „stosunków austryackich“ [1] należy do najpiękniejszych ustępów w tomie IV. Przeciw śmiałym napadom protestantów i wielorakiego sekciarstwa nie było jednolitej, regularnej armii w obozie katolickim. Był wprawdzie obfity materyał dobrych chęci a nawet heroizmu, lecz nie dostawało wspólnego ogniska, nie dostawało łączni, głowy, czyli przezornego wodza, któryby rozproszone siły zespolić i pokierować umiał.

Drugą podporą protestantyzmu byli panujący, lub stronnictwa ościennych narodów: Elżbieta, królowa angielska, Hugonoci, rewolucya Niderlandzka, polityka Filipa II. i księcia Alby, a wreszcie wiarołomna zdrada Karola IX. względem najświętszych spraw chrześcijaństwa. Opuszczony lub zdradzony od wszystkich potęg ziemskich, nieroztropnością własnych swych synów głębiej jeszcze i niebezpieczniej zraniony, stał Kościół Boży prawie bezbronny w obec protestantyzmu, który w rządzeniu politycznym światem nie znał wyboru między środkami. Ale właśnie w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa, gdy nawet zwołanie soboru niepodobnem się zdało, tem wyraźniej w obec upadku sił zewnętrznych, uwidomił się wyższy wewnętrzny, Boski pierwiastek Chrystusowego Kościoła. Kiedy już wszystko zdawało się straconem, nagle z samego wnętrza Kościoła nowe wytrysło życie, zwołany sobór Trydencki, a wśród sekciarskiego chaosu zabłysło w całej pełni niepokalane światło czystej a prostej nauki Chrystusowej i ożywczym swym prądem przebiegło wszystkie stopnie hierarchii, wznosząc nieprzełamaną tamę przeciw burzliwym napływom herezyi. W drugiej więc części IV. tomu omawia Janssen tak zwaną anty-reformacyę. Kościół nigdy nie zaprzeczał temu, że ludzki jego pierwiastek może podlegać reformie; owszem usilnie dążył do zupełnej naprawy *in capite et in membris*. Do tego celu zmierzał oddawna kardynał Cusanus; z tej też pobudki powszechny sobór gromadził się w Trydencie. Tego przeświadczenia o potrzebie podjęcia naprawy we wszystkich warstwach i stanach, Janssen bynajmniej nie zaprzecza. Boć i katoliccy książęta głośno domagali się od soboru reformy;

[1] Str. 94—119, 196, 213, 417—423 i t. d.

na co im jednak odpowiedzieli Ojcowie soborujący, że całkowitej reformy wówczas dopiero będzie można dokonać, gdy Kościół wyzwoli się z więzów, jakiemi krępuje go państwo. Na to żądanie głuchymi byli udzielni panowie. A skoro sobór wyraźnie zarządał, aby dóbr kościelnych nie przemieniali na dobra skarbowe, aby mieszczan nie usuwali od wyższych dostojeństw kościelnych, aby w ogóle w sprawach Kościoła nie rządzili się własnem upodobaniem, wtedy zewsząd spadać zaczęły gromy oburzenia [1].

Paulsen [2] cały skutek, całe prowadzenie niemieckiej anty-reformacyi przypisał zasługom Towarzystwa Jezusowego. „Można powiedzieć, że zachowanie katolickiego Kościoła w północno i południowowschodnich Niemczech jest istotnem dziełem Jezuitów. Około połowy XVI. stulecia (a więc w okresie, o którym mówimy) sprawa katolicyzmu była już prawie straconą. Austrya i Czechy już odpadły, a duchowieństwo nigdzie nie zapobiegało temu odstępstwu. Księstwa duchowne stały już na stoku zupełnej sekularyzacyi. Wittelsbach i Habsburg nie mogli o własnych siłach groźnej powstrzymać ruiny. Taki był stan Kościoła w Niemczech, gdy w r. 1570 pierwsi Jezuici ofiarowali swe usługi casarzowi Ferdynandowi i Wilhelmowi IV. bawarskiemu. Już po upływie paru dziesiątków lat, powstrzymany był wzrost protestantyzmu, a na zaraniu XVII. stulecia katolicyzm stał już znowu z pełnej zbroi, gotów do zdobywczego pochodu. I po ludzku sądząc powiodłoby mu się niezawodnie, gdyby polityczne sprawy Szwecyi i Francyi nie stanęły tu na przeszkodzie“. Tak orzekł protestancki pisarz Paulsen. Porównajmy rezultat osiągnięty przez Janssena. Oto jego teza: Rzetelna dążność reformacyjna w Niemczech, poczyna się dopiero w rękach trzech pierwszych Jezuitów: Piotra Fabra, Klaudyusza Akwawiwy, i Mikołaja Bobadilli. Fabra, który najpierwszy z pomiędzy nich wstąpił na niemiecką ziemię, Pius IX. podniósł na ołtarze. „Ci trzej mężowie wraz z towarzyszami swymi okazali światu, szczytny wzór wierności i poświęcenia dla sprawy katolickiego Kościoła.“ Cały skutek swych prac przypisywali oni książce Ćwiczeń duchownych przez św. Ignacego napisanej. „Książka ta nawet przez przeciwników sławiona

[1] Najzawzięciej sprzeciwiał się prawdziwej reformie Kościoła *christianissimus rex* w imieniu swobód gallikańskich.

[2] Geschichte des gelehrten Unterrichts. 1885.

jako arcydzieło psychologiczne, stała się i dla Niemiec tak w religijnym, jak cywilizacyjno-historycznym kierunku, jednem z dzieł najdonioślejszego znaczenia, w dziejach nowszych wieków". Ubóstwo co do formy, prostota w stylu, logiczność i jednolitość w spokojnym rozwoju myśli tem jaśniej uwydatniają je jako mistrzowski drogoskaz, a raczej najdoskonalszą szkołę walki duchowej w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Nie jest to więc dzieło sztucznym swym ustrojem „usidlające wyobraźnię, aby rozgorączkowaniem jej, rozum opanować", jak się wyraża p. Ranke w swej Historyi Papieżów. Wątpimy czy Jego Ekscelencya Tajny Radca odprawiał choć raz jeden duchowne ćwiczenia św. Ignacego. Bardzo bowiem trafnie zauważył Janssen, że samo nawet teoretyczne studyum tej książeczki, nie daje jeszcze pełnego jej zrozumienia — jedyną do tego drogą jest praktyczne poddanie się pod jej kierownictwo. Jakie już wówczas miano pojęcie o dziełku Duchownych Ćwiczeń św. Ignacego, o tem świadczą najlepiej słowa kalwińskiego predykanta: „Ofiary tych ćwiczeń, mówi on, jak z wiarogodnego dowiadujemy się źródła, bywają wprawiane za pomocą dymu i innych tym podobnych środków, w pewien stan odurzenia, tak, że djabła we własnej oglądają osobie, ryczą jak woły, Chrystusa wyprzysiądz się muszą, a przyjąć służbę szatana".

Książka ta pozyskała Zakonowi męża, który się stał jednym z najdzielniejszych i najznakomitszych reformatorów niemieckiego kościoła. Mężem tym był bł. Piotr Kanizy. Nadzwyczaj starannie odmalował Janssen postać tego apostolskiego szermierza, zowiąc go z pewną predylekcyą, niemieckim Jezuitą, jako syna niemieckiego miasta i potomka wiernej cesarskiemu tronowi rodziny. Istotnie Kanizy w Niemczech wychowany, przejął się na wskróś ideą apostolstwa w swej biednej, rozdartej ojczyźnie. Myśl ta była jedynem hasłem jego życia. Dzielnie wystąpił on w Rzymie jako rzecznik swych ziomków. Piórem walczyć o prawdę katolickiej wiary, było dlań dziełem równie wielkiem, jak nawracanie Indyan. Lecz w polemice jego pełnej poważnego spokoju nie było żółci, ni gorzkich przymówek, ni piorunów gniewu. Za to właśnie na niego spadał z pod piór reformatorów gęsty deszcz przezwisk i epitetów „czerpanych z kloaki". Sam nawet Melanchton uniesiony zawiścią i gniewem, zniżył się aż do użycia najbrudniejszych wyrażeń przeciw świętemu mę-

żowi, skoro spostrzegł, że powaga jego polemiki i świątobliwość życia, stanęła nieprzebitym murem w zdobywczym pochodzie reformacyi. W odpowiedź na te napaści bezrozumnego gniewu i na te wszystkie ohydne przezwiska, bł. Kanizy, już jako prowincyał wskazał swym braciom następujący sposób zachowania się względem reformatorów: „Kochajmy ich — tak pisał w okólniku — tem goręcej, im zacieklej nas przezywają i prześladują".

Nie jest tu naszym zamiarem pisać apologii zakonu, lub upośledzać usilne starania papieży i wielu niemieckich biskupów o ożywienie katolickiego ducha; co też Janssen jasno i wyraźnie zaznacza. Ile jednak podówczas trudów ponieśli Jezuici, ile zasług zdobyli na kazalnicach, w szpitalach i szkolnych katedrach, to w najżywszych barwach skreślili sami nawet protestanccy świadkowie [1]. Dość wspomnieć, że odtąd w Niemczech, przymiotniki: „jezuicki" i „szczerze katolicki" były jednoznaczącemi wyrazami [2]. Jednem z głównych źródeł, podsycających nowe życie i nowy wzrost katolicyzmu, był, podług zeznania wszystkich współczesnych, katechizm bł. Piotra Kanizego. Dziejom i rozbiorowi tego katechizmu poświęca Janssen cały osobny rozdział. Historyczno-krytyczny ten szkic najlepszym jest z wszystkiego, co w tym przedmiocie dotychczas napisano. „Na wszystkich kartach tej książki, od początku do końca, przepowiadany jest Chrystus, jako podstawa i dopełnienie, jako korzeń i korona celu człowieka" i to w sposób godny prawdziwego reformatora. Jakżesz odmiennego ducha zdradzają objawy zaciekłości widocznej w pismach reformatorów protestanckich! Nie było w owych czasach dzieła polemicznego, któreby ze strony protestanckich teologów i predykantów doznawało tak zawziętego prześladowania, jak ów „przeklęty, bluźnierczy katechizm Kanizyusza". Cała polemika przeciw niemu podjęta, była istotną kałużą grubijaństwa. Pomimo gniewu przeciwników, bryzgającego błotem przezwisk i potwarczych zarzutów, dzieło rzetelnej naprawy raz podjęte wciąż rosło i potężniało. Podczas gdy w Austryi za życia Maksymiliana, działalność soboru Trydenckiego, żadnych prawie nie przyniosła owoców, Bawarya szczupła co do obszaru, była głównem ogniskiem budzącego się życia katolickiego.

[1] Janssen IV str. 387 etc.
[2] Tamże str. 389.

Albrecht V. był w początkach swego panowania dzielnym szermierzem przy kielichu, lecz słabym księciem na tronie. Jedyną drogę wyjścia upatrywał on w kunktatorskiej, wymijającej polityce. Dopiero pod potężnym wpływem Kanizego i innych Jezuitów, nauczył się mistrzowskiej sztuki rządzenia i stał się „lilią między cierniami". On to i dwaj jego następcy byli odtąd naczelnymi wodzami katolickich Niemiec. Owszem, tak w religijnych jak i w politycznych sprawach, niepozorna Bawarya nabrała znaczenia i wpływu tak wielkiego, jak gdyby była jednem z pierwszorzędnych mocarstw Europy. Pierwszy zaś popęd i najdzielniejszą pomoc do zajęcia tego stanowiska dali Jezuici [1]. We wszystkich okręgach Niemiec stanęły Jezuickie kolegia, jako twierdze nauki i ogniska katolicyzmu. Zdumiewające są wyrazy uznania z ust protestantów pochodzące. Dzieło naprawy istotnie olbrzymim postępujące krokiem, złośliwi predykanci przypisywali czarom, praktykowanym w Jezuickich szkołach. Tak np. predykant Seibert twierdził, „że Jezuici strasznych zażywają czarów, namaszczając potajemnie swych uczniów balsamem szatana; nic więc dziwnego, że wszyscy się do nich uciekają" [2]. Owszem, sami protestanci ze szczególną ochotą i upodobaniem posyłali swych synów do kolegiów Jezuickich, co oczywiście wywoływało straszne burze ze strony predykantów, i naturalnie znowu występował djabeł jako sprzymierzeniec Jezuitów. Ludzie rozsądniejsi z uśmiechem słuchali tych oskarżeń, a jezuickie kolegia coraz bardziej mnożyły się i zaludniały. W ten sposób nietylko w ogólności przecięty był dalszy postęp herezyi, ale co więcej, już w pierwszych wstępnych potyczkach zdobyte zostały stanowiska, które z dawien dawna, według ludzkiego i Bożego prawa należały się Kościołowi. Tak było w biskupstwach nadreńskich, w Badenii, Wirtembergii a szczególnie w Bawaryi. Nakoniec i Austrya zaczęła się budzić z letargu, w którym ją pogrążyło śmiałe wystąpienie Flakcyuszowego stronnictwa. I tutaj znowu Jezuici niepoślednią grali rolę, a mianowicie bł. Kanizy, który jako administrator wiedeńskiego biskupstwa nowe tchnął życie w duchowieństwo i lud, a nawet uniwersytet, całkiem już prawie protestancki, wskrzesić i podźwignąć umiał. Gorczyczne to ziarnko, pielęgnowane pod rządami szlachetnych

[1] Str. 427.
[2] Str. 441.

Ferdynandów, wydało najpiękniejsze owoce. Już nawet w r. 1576 na sejmie w Regensburgu, stoją wszystkie katolickie stany „razem, wiernie i niezłomnie, jak jeden mąż“. Tak działała moc Boża soboru, zwolna, ale skutecznie przez zakon Jezuitów [1]. Dźwignął się katolicyzm i otrząsł z uśpienia tak w politycznym, jak i w religijnym kierunku, ustąpiło niemęskie tchórzostwo, a zastępy dzielnych rycerzy, natchnionych nową odwagą, a zbrojnych hartownym orężem, wyzywały wroga na dogmatyczną i naukową arenę. Wróg zaś ten słabnął i upadał niezgodą, kłótnią, przekleństwem. Bo chociaż wtedy przysposabiano formułę „konkordyi“ między wszystkiemi sektami, ona to właśnie stała się głównym „kamieniem obrazy“ i prawie całe południowe protestanckie Niemcy rzuciła Kalwinowi w ramiona. Próżną więc okazała się ogólna protestantów nadzieja, że owa „konkordya“ połączy wszystkich ewangelickich chrześcijan przeciw zabobonnemu papiestwu i djabelskim jego satelitom, tj... zakonowi Jezuitów wraz z całem ich stronnictwem“ [2].

Tak, w 4 dotychczasowych tomach Janssen zupełnie przedmiotowo, bez żadnych podmiotowych dodatków lub przypuszczeń, lecz owszem na protestanckich głównie opierając się źródłach, przedstawia nam stan społeczeństwa niemieckiego przed reformacyą, jej początek, istotę i obrońców. A z drugiej strony ukazuje pierwsze, prawdziwie reformacyjne dążenia, których pierwszym przedstawicielem był już kardynał Cusanus, a następnie wielcy papieże: Pius IV. i św. Pius V., dalej kardynał Otton Truchses i sobór Trydencki, a wreszcie *minima Societas Jesu.*

Wielka to zasługa Janssena; że on nigdy nie objawia własnych swych sądów, pojęć, refleksyj, jak to uczynił Ranke i wielu innych. W „Dziejach Niemieckiego narodu“ mówią tylko źródła przedmiotowo zestawione. Do tych więc źródeł krytyka protestancka zwróciła wszystkie swe siły, nurtując całą ich wartość argusowemi oczyma, a jednak zmuszoną była wyznać, że „prawie wszystkie zapatrywania i cytaty Janssena na prawdzie się opierają, a tylko w szczegółach okazały się drobne niedostatki“. Wspaniałe to świadectwo z ust najzaciętszego wroga. Gdy więc na drodze przedmiotowego badania, daremnemi okazały się ich trudy, uciekli się niektó-

[1] Str. 461. [2] Str. 502.

rzy do „wewnętrznego głosu protestanckiej piersi i protestanckiego przeświadczenia“, tj. jakkolwiek Janssen przedmiotowo zupełną ma słuszność, to jednak wewnętrzne przeświadczenie wprost temu zaprzecza: inaczej bowiem myt nie miałby już racyi bytu. Tak twierdzi Dr. Ebrard. Oryginalnego środka i najkrótszej drogi chwyta się prof. Baumgarten. Chce on prałata i jezuitę Janssena po prostu zamknąć w twierdzy Szpandawskiej, aby już więcej nic pisać nie mógł. Następnie wystąpiło siedmiu pastorów z Hamburga, którzy myt o Lutrze *(Luther-Mythus)* bądź co bądź uratować chcieli, lecz po odprawie danej im w „Listach Hamburskich“, zupełną ponieśli porażkę.

Wreszcie pewien amerykański protestant ogłosił konkurs, wyznaczając bardzo wysoką premię dla tego, ktoby dziełu Janssena przedmiotową przeciwstawił odprawę. Lecz nikt jeszcze nie śmiał dotychczas pokusić się o wspaniałą nagrodę. Tak więc dzieło Janssena pozostało nietknięte. Oby jak najprędzej ukazał się piąty tom „Dziejów“, którego uczeni nawet protestanccy, już teraz z niecierpliwością wyczekują[1].

Ks. A. Kraetzig.

---

[1] Bardzo powierzchowna i płytka recenzya dzieła Janssena ukazała się w Athenaeum w maju 1886, której autorem: p. Bronisław Dembiński. Zastanawiając się nad nią z rozwagą, mimowoli bierze chętka zapytać się Szan. Recenzenta, czy w samej rzeczy przeczytał on „Dzieje“ Janssena? Uwagi bowiem jakich Szan. Krytyk wcale nie szczędzi, są dla nas nie wytłumaczone. Zupełnie te same myśli znajdujemy u Kawerana i Baumgartena: a mianowicie, że dzieło Janssena jest tylko wyrafinowaną apologią katolickiego Kościoła, napisaną z pominięciem przedmiotowej analizy rewolucyi kościelnej. Janssen, zdaniem p. D. *et consortium* stara się tylko, jak najwyraźniej uwidomić jaśniejsze strony owego okresu, błędy zaś i niedostatki katolicyzmu i to wszystko, coby Kościołowi jakąkolwiek ujmę czyniło, zostawia w półcieniu.

Nie są to zarzuty, jak już wspomnieliśmy, lecz pacierz za panią matką. Zresztą sam Janssen w dwóch broszurach a raczej książkach *(An meine Kritiker* 1882 i *Noch ein Wort an meine Kritiker.* Freiburg 1883), odparł je świetnie przedmiotową, wszechstronną a spokojną krytyką. Niech więc Szan. Recenzent zechce sam sobie przypomnieć, jak się nazywa w świecie literackim powtarzanie cudzych zarzutów bez uwzględnienia danej im już odprawy.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Akta grodzkie i ziemskie. Tom XI. *Dr. Ksawery Liske.* Najdawniejsze zapiski sądów sanockich 1423—1462. We Lwowie 1886, str. XXV. 567.

Ze źródeł naszych dziejowych, jedno z pierwszorzędnych miejsc zajmują dawne księgi sądowe Rzpltej, wszelkich kategoryj i wszelakich sądów. Jeżeli bowiem chcemy zbadać życie narodu we wszystkich jego fazach i odcieniach, jeżeli wyjaśnić chcemy całą różnobarwną tkaninę stosunków publicznych i prywatnych, urzędniczych i domowych, to tylko jedynie w archiwach szukać należy rozwiązania tysiąca pytań, tylko tam znajdziemy na nie odpowiedź. Pewnik ten, mający wagę dla dziejów w ogóle, o ileż więcej wykazuje słuszności przy badaniu wieków średnich. Gdy w czasach późniejszych pamiętniki, opisy i t. p. odsłaniają choć w części wewnętrzne życie społeczeństwa, w wiekach średnich kroniki prawie zupełnie o tem zamilczają. Treścią ich, polityczne dzieje narodu, czyli właściwie czyny królów, krwawe wojny, zwycięstwa i klęski, najazdy i zdobycze; napełniają je głównie wrzawa wojenna, chrzęst zbroi i grzmot oręża. Na to ciche życie pokoju, które płynie zwolna i spokojnie a niepostrzeżenie, na te dzieje wewnętrzne, rozwijające się i rosnące w nas i z nami, nie zwracano uwagi: zwykle nie widzimy tego, na co ciągle patrzymy. W obec tego, źródła, które właśnie jedynie tę stronę opromieniają, a które kiedyś w zupełności zużyte, dadzą nam całkowity obraz tego dziejowego życia narodu, nabierają ogromnej ważności i znaczenia, potęgującego się w miarę oddalania się w głąb wieków średnich. W pożółkłych i wyblakłych

kartach ksiąg sądowych leży tajemnicza jeszcze przeszłość nasza i oczekuje twórcy, któryby zaklęte w nich życie w widome oblókł kształty. To też im większy będzie materyał, tem jaśniej będziemy widzieć, tem lepiej i wyraźniej będziemy pojmować i rozumieć. I dlatego z radością musimy witać każde dzieło tego rodzaju, każdy taki zbiór zapisek sądowych, bo to znowu popchnie naprzód naszą wiedzę i olbrzymi krok zrobimy znowu ku prawdzie dziejowej, która jest badań naszych zachętą i jedynym celem.

Dotychczas bardzo mało zdziałaliśmy na tem polu. Po ogromnym zbiorze Helcla, który zainaugurował u nas ten rodzaj wydawnictwa, nastąpiły zapiski szerokie Lubomirskiego, Bobrzyńskiego roki sądów obozowych za Jana Olbrachta, i królewskich za Zygmunta I., oraz systematyczne wydanie ksiąg krakowskich — Ulanowskiego. Szczupłe to grono wzbogaca w świetny sposób ogłoszony niedawno tom XI. Aktów grodzkich i ziemskich, wydany przez prof. Dra Ksawerego Liskego, a zawierający najdawniejsze zapiski sądowe sanockie z XV. wieku. Wydawnictwo to zbyt znane i oddawna za jedno z najlepszych uznane, ażeby je przypominać.

Obecnym tomem weszło wydawnictwo w nową fazę, prof. Liske rozpoczął mianowicie ogłaszać zapiski sądowe województwa ruskiego z XV. w., praca olbrzymia i niezwykłej doniosłości, która w przyszłości, gdy zostanie ukończoną, niewypowiedziane przyniesie korzyści dziejom Czerwonej Rusi. W archiwum aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, znajduje się około 30 ksiąg z XV. wieku ziem należących do województwa ruskiego. Wydawca wybrał z nich na początek zapiski sądów sanockich, wybrał je z rozmysłem z następnego powodu. Wiadomo, że instytucye prawa polskiego zaprowadzono na Rusi Czerwonej dopiero w r. 1435, po ogłoszeniu owego przywileju Jedleńskiego, który dwa lata przedtem zrównał Ruś pod względem praw i przywilejów z resztą Polski; przedtem obowiązywało tu prawo ruskie. Jakżeż tu ono wyglądało, jaką była organizacya sądownictwa z owych czasów, jak prowadzone księgi, w jakim języku i t. p. — mnóstwo pytań, na które dotychczas nie mieliśmy odpowiedzi. Tymczasem w archiwum owem akta halickie ziemskie zaczynają się dopiero r. 1435, grodzkie zniszczały, lwowskie r. 1440 i to grodzkie, z ziemskich tylko szmaty zostały, przemyskie ziemskie r. 1436, grodzkie r. 1462, — jedynie zaś sanockie

rozpoczynają się już r. 1423, a więc na dwanaście lat przed zaprowadzeniem prawa polskiego, mamy więc w nich pomniki z tego okresu, o którym nie mieliśmy prawie żadnego jasnego wyobrażenia. Jaka w obec tego niezmierna doniosłość tej publikacyi łatwo pojąć; i wzgląd ten był rozstrzygającym na korzyść aktów sanockich. Rozpoczynają się one r. 1423, aktami sądu ziemskiego.

Z zaprowadzeniem prawa polskiego zaszła tu jednak ważna zmiana. Gdy bowiem przedtem był tu sąd jedynie ziemski, jak we wszystkich ziemiach ruskich, teraz nastąpił podział na sąd ziemski i grodzki od r. 1435, mamy więc podwójne akta obu tych sądów, przypuszcza jednak prof. Liske bardzo słusznie, że już w r. 1434 musiał tu być gród zaprowadzony; a to dlatego, bo od r. 1434 widzimy tylko takie sprawy, które należą do sądu ziemskiego. Tak więc w obecnym zbiorze mamy zapiski ziemskie od r. 1423, grodzkie od r. 1435.

Prócz tych znalazły się jeszcze między aktami grodzkiemi i ziemskiemi, — których uporządkowanie, nawiasem mówiąc, ogromnej pracy kosztowało wydawcę, — zapiski sądu wyższego niemieckiego w Sanoku, które też weszły do obecnego zbioru. Akta te rozpoczynają się r. 1457. Z dawniejszych zachowały się tylko luźne roczki z r. 1425, 1446 i 1449. Ważność tych zapisek prawa niemieckiego jest tem większą, że jest to p i e r w s z y u nas zbiór, obejmujący akta sądów miejskich.

Wszystkie zaś trzech tych sądów zapiski, których liczba wynosi 3.747, dochodzą do r. 1462. Po śmierci bowiem Władysława Jagiełły czwarta jego żona Zofia otrzymała ziemię sanocką jako oprawę i ona zajmuje w obec sądów sanockich to stanowisko, jakie w innych ziemiach zajmuje król; ona jest tu najwyższem źródłem sprawiedliwości i dlatego odrębność ta ziemi ruskiej była powodem, że wydanie pierwszej części zapisek sanockich doprowadził wydawca do r. 1462, tj. do śmierci Zofii, poczem dopiero ziemia sanocka zrównywa się w zupełności z resztą Rzpltej.

Ogromny ten tom, jak wszystkie zbiory zapisek sądowych, ma przedewszystkiem znaczenie i ważność prawniczą. Jeżeli jednak prawnik ma tu zapewniony obfity plon, to i historyk znajdzie materyał do dziejów, obyczajów, zwyczajów, pożycia domowego, do dziejów ziemi sanockiej i jej mieszkańców, o jakiem tylko mógł za-

marzyć. I to właśnie największa zaleta tego zbioru, że przynosi tak bogaty, a przytem różnorodny i zajmujący materyał, jak żadne z dotychczasowych wydawnictw. Zapiski nie mają przytem tej suchej zwięzłej formy, jak zwykle w owych czasach, lecz przeciwnie są obszerne, nieskąpe w słowa i plastyczne opisy.

Zdać dokładną i wyczerpującą sprawę z zawartości tych zapisek mieszczących się na 488 stronach 4°, niepodobna; byłaby to mozaika pełna szczegółów, wychodząca daleko po za ramy zwykłego sprawozdania. Będzie to zadaniem monografij, których cały szereg znalazłby tu świeży, nietknięty materyał.

Już z natury rzeczy wypływa, że historya sądownictwa największe tu będzie miała żniwo; rozwój i organizacya pojedyńczych sądów, zakres ich kompetencyi w całości, oraz pojedyńczych urzędników sądowych w szczególności, — oto z grubsza kontury, które należałoby wypełnić. Oczywista, że to co tu znachodzimy, odnieść musimy w pierwszym rzędzie do dziejów samej ziemi sanockiej, jeżeli bowiem niewątpliwie i w innych ziemiach ruskich analogiczne zachodziły stosunki, to jednak nie mając aktów tamtych, nie możemy ich na podstawie tych jedynie uogólniać. Otóż jak mówiliśmy przed r. 1435 jest tylko sąd ziemski w Sanoku, skład jego jednak jest taki, jakiego nigdzie w Polsce nie napotykamy, a mianowicie na czele jego jako przewodniczący i główny sędzia stoi starosta; niżsi funkcyonaryusze są: sędzia, mianowany od starosty bądź stale, bądź czasowo, na pewien okres, lub dla pewnej sprawy, wojewoda (w znaczeniu ruskiem) i pisarz, wszyscy od starosty zupełnie zależni. Jako asesorowie zasiadają przybyli przypadkowo na roczki dygnitarze i szlachta ziemska. Sąd ten rozstrzyga wszystkie sprawy tak karne jak cywilne. Gdy w r. 1435 zaprowadzono prawo polskie, oraz rozłam sądu na grodzki i ziemski, nastąpiła też zmiana w organizacyi: na czele grodzkiego sądu stanął starosta; mianowano nowego sędziego grodzkiego, obok nich wojewoda i pisarz. Sąd ziemski tworzy ówczesny sędzia ziemski, oraz podsędek nowomianowany, którego dawniejsza organizacya nie znała, jak tego wydawca dowodzi wbrew przeciwnemu twierdzeniu Piekosińskiego. Razem z tym podziałem idzie i podział spraw, które zgodnie z przyjętemi w polskich sądach zasadami rozpadają się na należące do juryzdykcyi grodzkiej i ziemskiej i w odnośnych sądach bywają rozsądzane.

Starosta przed rokiem 1435 ma większą o wiele władzę niż później, żadna ważniejsza sprawa nie obędzie się bez niego, zwykle wprost odkładają ją do jego przybycia, a nawet w danym wypadku, jeśli szybkie załatwienie było wymagane, odnoszą się do miejsca czasowego jego pobytu (182, 186)[1]. Prócz spraw sądowych należy do starosty także rozgraniczanie dóbr (297, 409); na Rusi bowiem mamy w tym czasie tylko podkomorzego ruskiego *(succamerarius totius Russiae)*, podkomorzowie partykularni pojawiają się dopiero po nadaniu prawa polskiego, sanocki już z początkiem r. 1434.

Po r. 1435 starosta ruski, który przed tem był tylko urzędnikiem królewskim, staje na tym samym stopniu, co starostowie w Polsce, a w miarę jak władza starościńska w ogóle upada przy wzrastającej potędze szlacheckiej, maleje ona i tu. Tak jak w ziemskim, zasiada w sądzie grodzkim zawsze, prócz ściśle urzędniczego grona, pewna liczba dostojników lub ziemian jako asesorów, którzy są tu głównym, wyrokującym czynnikiem, a rozkazom ich winien się starosta poddać; tak np. „uchwalają oni i rozkazują staroście *tamquam obirmano* rozsądzić sprawę tak, jak go szlachta na wiecu przemyskim przeszłym pouczyła“ (2665). Jeżeli chodzi o zapis dla kościoła, zjawia się pewna, czasem dość znaczna liczba duchownych i zasiada na rokach (MLV).

Jako urzędnik królewski przedstawia tutaj starosta głównie władzę egzekutywną; jeżeli sąd ziemski np. zawyrokuje, a przegrywający sprawę nie chce się poddać wyrokowi, wtedy sąd oddaje sprawę staroście, który ma dać „pomoc“ tj. przeprowadzić egzekucyę wyroku ziemskiego (2996). Jako urzędnik administracyjny jest starosta poborcą podatków królewskich i państwowych w swej ziemi i nakłada grzywny za nieuiszczenie poborów (2629, 3360). Dochód jego prócz sądowo-administracyjnych taks polegał w czterech folwarkach, należących do grodu sanockiego: w Besku, Koślirowczach, Folwarku pod zamkiem, i w Uliczu, których inwentarz z r. 1446 znajdujemy w zapisie (2173). Nadto ciągnął starosta zyski z młynów starościńskich, w których poddani winni byli mleć zboże (2273), oraz dochody z żup Tyrawy solnej (2392).

Często oddalał się starosta z grodu bądź na wiec lub sejm,

[1] Cyfry w klamrach oznaczają zawsze zapiski.

bądź z poruczenia królewskiego na wyprawę wojenną lub w służbie poselskiej (514, 562, 2077). Wówczas miejsce jego zastępuje albo pozostawiony przez niego *vicecapitaneus*, albo urzędnicy grodowi w asystencyi ziemian sami rozsądzali. Zwykle zastępuje go wojewoda (DXCIV—IX), ważniejsze sprawy jednak zawsze pozostawia decyzyi starosty, zwłaszcza gdy zdarzało się, że albo bardzo mało albo nawet i nikt ze szlachty nie zjawił się na roczku (182, 343). Wojewoda, zabytek czasów ruskich, jest tem samem czem burgrabia, jak trafnie dowodzi prof. Liske. Miał on zdaje się dowództwo nad załogą zamkową, oraz dozór nad więzieniem i egzekucyą kar (824). A zastępstwo jego w razie nieobecności starosty jest tak uznane, że strony obowiązują się np. stawić kogoś *coram Domino Capitaneo vel eius burgrabio* (2270). Takich wojewodów miały nietylko grody, ale każdy zamek większy i obronniejszy, jak Tyczyn, Soben, Denów, Bochurzecz i t. p.

Do funkcyonaryuszów sądu grodzkiego należy też kat ziemski *(insticionarius terrestris)*, który był zdaje się też szlachcicem, zapisują go bowiem jako obecnego na rokach (CIII.); czynność jego prócz torturowania i wykonywania wyroków śmierci była, jak widać z zapisek (1380, 1737) policyjnego rodzaju: zbrojnymi pachołkami grodowymi wietrzył on za złodziejami i sprowadzał ich do grodu.

Posiedzenia sądów przed r. 1435 odbywały się w regule raz na tydzień, i to z małemi wyjątkami w sobotę. Od r. 1436 jednak zachodzi zmiana w tym kierunku, że posiedzenia odbywają się bez żadnej stałej normy, jedynie to dałoby się podnieść, iż ziemskie zwykle raz na miesiąc, a nawet i rzadziej, grodzkie w różnych dniach bez wyjątku; zdaje się, że codziennie był sąd otwarty. Co do ziemskich widzimy później pewien wzgląd na roki innych ziem, tak w r. 1458 postanawiają ziemianie, że „roki zdane“ mają przypadać na dwa tygodnie po przemyskich „gdyż jest to wolą wszystkich ziemian, aby nasze roki nie były w jednym dniu z przemyskiemi, gdyż zdarza się, że ziemianie sanoccy mają sprawy na terminach przemyskich, a przemyscy przeciwnie na sanockich“ (3395). Roki odbywają się nietylko w dnie powszednie, ale także i w niedziele (CCLI., CCLVII.—VIII.) oraz święta, dziś u nas uroczyste np. Wszystkich Świętych, Zielone Świątki, Święto Obrzezania, dnie św. Michała, Stanisława, i. t. p. Trudno wprawdzie oznaczyć, które były dnie

feryalne, zdaje się jednak, że były to tylko najuroczystsze święta Chrystusa Pana i N. Maryi P. Urzędowanie trwało prawdopodobnie różnie w miarę spraw, przeciągało się jednak według potrzeby i do wieczora, — a szczególnie, jakby to z odnośnych zapisek wnosić można, w sprawach o oszczerstwo. Jeżeli bowiem na kogo rzucono niesłusznie kalumnię, uwłaczającą czci jego, stawał on przed sądem i czekał na oszczercę, względnie oskarżyciela, aby się oczyścić z hańbiących go zarzutów. Gdy ten się nie jawił, musiał spotwarzony czekać „aż do wieczora", „aż świece zapalono, jak chce prawo", a gdy i dotąd mimo czterokrotnego wywoływania przez woźnego oszczerca nie stanął, sąd uznawał spotwarzonego sprawiedliwym i niewinnym człowiekiem. (2808, 3193, 3252). W danym razie oczyszczał on się przysięgą (326). Taki ciekawy proces o obrazę honoru mamy w zapisce 3627, odbywający się w sądzie grodzkim w Krośnie na specyalne żądanie królowej Zofii, która ustanowiła do tego umyślnych asesorów. Jest to sprawa rajców krośnieńskich przeciw Dobiesławowi Kmicie, kasztelanowi wojnickiemu o to, że nazwał ich fałszerzami i oszustami. Pozwali go więc, by uzasadnił swe słowa i by się oczyścili. Kmita nie stanął. Wywoływali go przez woźnego *usque ad tempus vespertinum*, a gdy się nie zjawił, kazał sąd każdemu z osobna złożyć przysięgę: Dobiesław z Wiśnicza, kasztelan wojnicki rzucił na mnie infamię, że jestem oszustem i fałszerzem. Nie jestem nim i nie byłem, tak mi dopomóż Boże i św. Krzyżu. Gdy to jeden za drugim uczynili rajcy i pisarz gminny, sąd uznał ich zupełnie czystymi od zarzuconej infamii.

Zdarzało się jednak czasami, że potwarzający stawał i odwoływał potwarz lub oświadczał, że nigdy nic złego nie mówił, a wówczas pozywający wnosił po prostu „pamiętne" do księgi.

Bo też o zachowanie czci swojej była szlachta bardzo dbałą; wprawdzie ze spraw o przyganę szlachectwa, pojawiających się tak licznie w krakowskich, znajdujemy tu dwie tylko zapiski (159, 2666), natomiast jednak inne dostarczają nam ciekawych kilku szczegółów do ówczesnego pojęcia honoru u szlachty. Nazwać szlachcica „rybaldem" znaczyło tyle, co ciężką zadać mu obrazę (701), zarzucić mu kłamstwo, było to samo co zbezcześcić go (705); przezwisko rybalda uważano za coś tak poniżającego, że ubliżało to niezmiernie godności szlacheckiej, jeżeli przeciwnik pozywał nie przed

sąd ziemski, ale grodzki *more ribaldorum* tj. nie za pomocą zwykłej cytacyi (3074). O ileż bardziej potężniała obraza, jeśli pochodziła od nieszlachcica, przyczem wcale nie mierzono równą miarą, tylko honor szlachecki uważano za nietykalny. Miał szlachcic sprawę z kmieciem w sądzie starościńskim. Wśród dłuższej rozprawy i obustronnych przemów, rzekł szlachcic iż obawia się tamtego, „gdyż to człowiek nieporządny". Jakto nieporządny? rzucił się kmieć. — Tyś złodziej, tyś mi konia ukradł, wyjaśniał pierwszy. Na to kmieć „nie oczyszczając się z zarzutu złodziejstwa, nawzajem mu zarzut oddał, iż on jest złodziejem". Wtedy oburzony wystąpił szlachcic, „iż ty nie będąc mi równy, będąc setnikiem w Uliczu i kmieciem śmiałeś obwinić mię o złodziejstwo". Sąd uznał chłopa za tę obrazę szlachcica winnym utraty języka i odniósł się tylko do asesorów, czy ma mu być język wyciętym, czy może go „ocupicz" (2066).

Ale najwięcej uwagi godne są owe obostrzenia honorowe, jakiemi szlachta przy pożyczkach za poręką gwarantowała sobie oddanie, zastrzegając umową, że gdyby pożyczający nie oddał długu w terminie, natenczas ręczyciel albo wierzyciel „może go złajać i zwymyślać od ostatniego, a jeżeliby coś gadał przeciw, czyniłby to z ujmą swego honoru", może go schwytać, a ktokolwiek sprzeciwiałby się, biorąc stronę jego słowem lub czynem, choćby to był przyjaciel lub krewny, działać będzie przeciw czci swej", „ma zupełne prawo, przyganą jak tylko może wielką, zbezcześcić go, zwymyślać od rozumu i głowy, a ani dłużnik ani jakakolwiek osoba w obu królestwach, Węgrzech i Polsce, nie śmie odwołać lub sprzeciwiać się w żaden sposób, a gdyby albo on, albo kto w jego obronie oponował, tem samem traci cześć i wiarę" (1006, 1362, 2413). Prawda, że tak ostre warunki stawiano rzadko, a form rozmaitych porąk mamy w naszym zbiorze ogromne mnóstwo: zwykle zadawalano się postawieniem w zakład, że się sumę jakąś na termin spłaci, wołów, co zdaje się było właściwością tej ziemi, bo zwykle przy tem mówią *iuxta consuetudinem terrae*, przy tem dwa woły szły na jednę grzywnę. I również „podług zwyczaju ziemi" załatwiano takie sprawy po większej części od jednego święta Bożego Narodzenia do drugiego, które to terminy obowiązywały także zwykle i przy obligacyjnem wypuszczaniu dóbr. Przy zapisach dzierżawnych podnieść należy, że zwykle zostawało przy właścicielu

prawo do ostatniej oziminy i obowiązek pospolitego ruszenia; przy zapisach sprzedaży stałej dóbr szlacheckich koniecznem było, jak się zdaje, zawsze przyzwolenie królewskie, bez którego starosta miał prawo nie dopuścić sprzedaży (214, 376).

Wszelkie zaś zapisy musiały być wpisywane do ksiąg ziemskich. I już wówczas w pierwszej połowie XV. w., z wzrastającym znaczeniem szlachty, wzrasta i znaczenie sądów ziemskich, oraz przewaga ksiąg ziemskich nad grodzkiemi, i już wówczas silnie stoi zasada, że opisy dokonane z jakiegokolwiek powodu w grodzie, winny być koniecznie przeniesione do ziemstwa, jeżeli nie miały stracić wartości (2811—2826). Dlatego też szlachta w takich razach manifestuje się zawsze, że wpisuje do księgi grodzkiej, gdyż np.: *liber terrestris est clausus* (1299). Ta zasada tak silnie była zakorzeniona i takiego znaczenia, że szlachta w obawie strat finansowych nawet wstecz ją rozciągała na czasy prawa ruskiego, kiedy tylko jeden był sąd i jedne księgi. I tak Mikołaj z Tarnawy przynosi w r. 1442 zapis wiana do sądów, wydany przez starostę w r. 1412 *quia tempore iuris Ruthenicalis erat moris inscriptiones facere coram capitaneis pro causis quibuscumque.* Otóż bojąc się, aby to nie było jaką ujmą wartości zapisu, daje go po 30 latach wpisać do ksiąg ziemskich, *pro habenda pleniori certitudine* (1445).

Co do kompetencyi sądów, znalazłby tu prawnik niepospolity materyał, a tem ciekawszy i nadający się bardziej do badań, ile że wówczas jeszcze widzimy w niejednem chwiejące się zasady, niewyrobione pojęcia; nie ma jeszcze wyciągniętej stałej i niewzruszonej granicy kompetencyi sądów, i to nietylko ziemskiego i grodzkiego, ale niemieckiego i dziedzicznego. W zbiorze naszym nieraz spotykamy się z wątpliwościami, jakie samym sądom nasuwały się w niektórych przypadkach. W ogólnych rysach obowiązywała ta zasada, że każdy ma odpowiadać przed swoim sądem, szlachcic przed ziemskim, mieszczanin niemieckim, chłop dziedzicznym. Że pilnie przestrzegano tego i gorliwie stawano w obronie tych praw swoich, widzimy z protestów, jakie wnoszono, jeżeli się zostało pozwanym przed niewłaściwe forum. Sąd miejski w Krośnie kazał schwytać poddanego szlacheckiego, i jakkolwiek ten należał do juryzdykcyi patrymonialnej swego pana, osądził go za jakieś przewinienie i kazał obciąć mu rękę. Szlachcic pozwał magistrat krośnieński

przed sąd ziemski; rajcy przedłożyli jednak przywileje swoje, żądając prawa niemieckiego i apelacyi do króla; „w sprawie tej nie mogliśmy niczego postanowić, lecz odnieśliśmy sprawę do przybycia króla“ (298). Podobnych wypadków odwołania się pojedyńczych osób lub całych korporacyj znajdujemy tu kilka (538, 1531) a uznawano je tem bardziej, iż rząd strzegł tego zawsze skrupulatnie. Nawet wójt sanocki, będący szlachcicem, według orzeczenia królowej, danego ze sejmu wiślickiego, ma podlegać tylko prawu niemieckiemu (1626) i tylko od dobrej jego woli zależało poddać się lub nie poddać prawu ziemskiemu lub grodzkiemu (2640). Tak samo szlachcic nie pozwalał staroście wkraczać w swoje sądownictwo dziedziczne (751, 2764). Jeżeli jednak w myśl owej ogólnej zasady, rozpoznanie kompetencyi było w takich wypadkach zupełnie łatwe, to wszakże w jej stosowaniu sąd miewał nieraz kłopot — np. chłop popełnia rozbój i gwałt na kobiecie, sąd jest w niepewności, czy sprawa ta ma być sądzona w grodzie, czy oddaną juryzdykcyi patrymonialnej (1739); albo oskarżony o gwałtowne zajęcie dóbr drugiego, odwołuje się z grodu do prawa ziemskiego *quia iste non est articulus castrensis;* wojewoda przewodniczący wówczas, nie wiedząc co z tem zrobić, odkłada sprawę *ad pluralitatem dominorum* (2664); Kmita nie chce się o gwałt na kmieciu rozprawiać w grodzie, lecz ziemstwie (3328). Tak samo nieustaloną jeszcze była kompetencya, gdy szło o osobę duchowną. Biskup przemyski zostaje pozwany o uwięzienie szlachcica przed sąd grodzki. Nie staje on jednak, lecz posyła rzecznika, który oświadcza w jego imieniu, „że biskupa i ludzi jego nikt nie ma prawa sądzić, tylko sam król w własnej osobie“, grozi klątwą i pozwaniem przed sąd kapituły przemyskiej; mimo to sąd nie uznaje tego i nie ustępuje (2420). Podobnych przykładów znalazłoby się nierównie więcej.

Nie mniej ciekawy a ważny materyał przynosi zbiór obecny do topografii ziemi sanockiej. Liczne rzeczki i potoki przerzynają ją na wszystkie strony i spadając ze stoków gór częstemi wylewy, wyrządzają szkody i przerywają komunikacye, tak, że mający w sądach terminy, nie mogą nieraz z tego powodu stanąć. Regulacya tych potoków, żłobienie łożyska, budowa i naprawa mostów, należała do gromad nadbrzeżnych wsi (3278). Wielka mnogość wód stojących, rybnych po większej części, użyźniała ziemię; jedna wieś miała czasem kilka stawów, a prawie w każdej wsi był młyn wodny.

Ze zwierząt musiały tu być kuny bardzo rozpowszechnione, bo bardzo często widzimy kary i daniny opłacane kunami.

Z aktów niniejszych dowiadujemy się także o sądowo-administracyjnym podziale dawniejszej Rusi, mianowicie, że były o wiele liczniejsze sądy, aniżeli później, kiedy zcentralizowano je do czterech tylko: Przemyśla, Halicza, Sanoka i Lwowa. Były to powiaty: koropiecki, samborski, tyczyński, denowski, drohobyski, które miały swoje sądy ziemskie i stały zupełnie równorzędnie z pierwszemi.

Mnóstwo znajdujemy tu dalej wskazówek położenia i granic wsi i miast, wskazówek do geografii historycznej niezmiernie cennych. Zaludnienie zdaje się być dość gęste, wskazywałyby na to liczne nazwy wsi, które tu spotykamy. Są one w największej części ruskie; jednak i polska kolonizacya musiała znaczne robić postępy; zdaje się, że wsi, których imiona zaczynają się od Nowo, np. (Nowosiedlce), są polskiemi koloniami, jako urobione z imion istniejących w Polsce wsi. Szlachty polskiej jest tu już bardzo wiele; na jej kolonizacyę wskazują zresztą i takie imiona jak Jan *Mazowszanin*, wieś *Polonia*, a *Ruskie*-Dubiecko *Ruthenicalis*-Targowiska, każą się domyślać, że były i polskie wsie tych samych nazwisk. Przytem chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz, czy mianowicie za pomocą tych wsi i wskazówek topograficznych nie dałoby się oznaczyć bliżej granic ziemi sanockiej na południe, tj. czy nie obejmowała ona jeszcze części dzisiejszych Węgier; myśl tę nasuwają bowiem nazwy takich wsi, jak Czertesz, Dobra, Homonna, należących dziś do Węgier a położonych niedaleko granicy galicyjskiej a dawniejszej ziemi sanockiej. W każdym razie wartoby tę kwestyę bliżej zbadać.

Do stosunków miejskich, do dziejów mieszczaństwa, sądów jego i t. p. dają zapiski sanockie, a szczególnie sądu niemieckiego obfity, a bez wątpienia nader znakomity materyał. A więc w miastach prywatnych magistrat nie urzędował z wolnego wyboru, lecz z nominacyi właściciela. Do dziejów samego Sanoka dałyby się również wydobyć niektóre szczegóły, jak to, że w r. 1448 na rozkaz królowej otoczono gród sanocki parkanami (2681), że w r. 1457 miasto pogorzało i t. p. Najwyższem sądownictwem niemieckiem ziemi był sąd wyższy prawa niemieckiego w Sanoku, składający się zawsze z 7 wójtów, czasowo doń powoływanych. Od sądu służyła apelacya do królowej a po jej śmierci do króla. W ważnych a bru-

dniejszych wypadkach odwoływano się także do sądu najwyższego krakowskiego, posyłając po *ortilegium* bieguna, którego strona musiała opłacać, oraz ponosić koszta za wyrok temuż sądowi krakowskiemu. Nie zdaje mi się jednak, aby i w Tyczynie, jak twierdzi wydawca, był stały sąd wyższy. Stylizacya bowiem tej zapiski 173 a) wskazywałaby raczej na to, że była filia przenośna sądu sanockiego, tak jak np. Proszowice dla sądu ziemskiego krakowskiego; czytamy tam.., *scultetos presidentes iudicio tunc temporis in Thiczin;* to *tunc temporis* nie może się zatem odnosić do *presidentes*, tylko do *iudicium — in Thiczin*, to znaczy że wówczas odbywał się sąd w Tyczynie, wskazuje więc na zmienność miejsca, ale nie na zmienność osób; gdy przeciwnie w nagłówku roczka czytamy *per prudentes et famosos viros tunc temporis huius iudicii presidentes*, gdzie się odnosi do *viros — presidentes.*

Ludność ziemi stanowią co do stanów, szlachta osiadła prawie wyłącznie po wsiach, mieszczanie po miastach, i chłopi; co do narodowości: Rusini liczący się we wszystkich trzech stanach, najliczniej w trzecim, najmniej w drugim, Polacy, będący tu przeważnie szlachtą; Niemcy po miastach i Wołosi, tworzący osobne wsie z osobnym ustrojem gminnym, z kniaziami, cywuniami, sotnikami i t. p. Stanowią oni tu żywioł burzliwy, skłonny do rozbojów i rozmaitych zbrodni. Bardzo ciekawe są ich roki, odbywające się w sądzie grodzkim pod przewodnictwem wojewody: *termini castrenses iure Valachorum.* Gdy więc Wołosi mieli sprawy, zasiadali jako asesorowie, kniaziowie czyli wójtowie ich wsi, i wspólnie z urzędem grodzkim rozsądzali sprawy. Kary opłacają zwykle pewną ilością baranów. Pod względem religii ludność ziemi dzieliła się na katolików i schyzmatyków *(perfidi Rutheni).* Czy Żydów tu całkowicie nie było, trudno powiedzieć, w aktach nie występują nigdzie wyraźnie, a drobne wskazówki, jak „Rubin sutor“. „Jan Szyd“, „Wassil przechrzta“, nie przemawiają ani za, ani przeciw.

Położenie nadgraniczne sprzyjało rozbojom, napadom, kradzieżom, podpalaniom, z któremi się tu dość często spotykamy; brała w nich udział i szlachta. Szczególnie kwitło tu jak się zdaje, fałszerstwo monet, z którem się stosunkowo bardzo często spotykamy (134, 1040—3. 1174), jak zwykle w granicznych powiatach, oraz kradzieże, bo bliskość Węgier otwierała zaraz miejsce zbytu. Ko-

niokrady nazbierawszy czasem koni aż z pod Hrubieszowa i Jarosławia, przemykały się przez granicę; czasami puszczano się nawet aż do Węgier w pogoń za złodziejami. Szlachta tu butna, jak i indziej, kłócąca się, najeżdżająca, skora do swaru i bójki, jak w ogóle ówcześni ludzie o gorącej, winem rozognionej krwi, w których przeważały jeszcze i instynkty zwierzęce. Szczególnie charakterystyczna jest postać pana miecznika sanockiego Fryderyka z Jaczymirza, burzliwego procesowicza znanego w całej ziemi, gwałtownika, który wrzawą napełnia przez całe 40 lat naszego zbioru ziemię sanocką i sądowe księgi; na jednym roczku ma on nieraz po kilka spraw. Krętacz — jak widział, że zwaliło się nań wiele procesów i źle z nim, posyłał uwiadomienie, że „łożną niemocą“ złożony, albo nawet „zaprzał się roku“, a gdy go przyparto do muru oświadczył wybiegiem, iż nie mógł stanąć dla wezbranych wód (1692); a zdarzyło się nawet, że cytacyi wprost nie przyjął i z drwinami odprawił woźnego: „choćby mię starosta sto trzydzieści razy cytował, nie stanę“ (2185). W sądzie jeśli wyrok nie po jego myśli, porywa się nawet do przygany sędziemu (2098). A jak poważną musiała być ilość spraw jego i jakiej opinii zażywał on w sądach, dowodem, że gdy w r. 1450 z niewiadomego jakiegoś powodu starosta ogłosił powszechną, że się tak wyrażę, amnestyą tj. odpuszczenie i mortyfikacyę wszelkich kar, jakie ziemianie Sanoccy mieli zapisane w księgach ziemskiej i grodzkiej, to tylko miecznika jednego wymienił szczegółowo, innych zaś sumarycznie, snać kary jego równoważyły kary reszty wszystkich (2856).

Do stosunków ekonomicznych bardzo wiele dałoby się stąd wydobyć, jak: ceny wsi, gruntów większych lub mniejszych i t. p. Również i do wartości bydła liczne mamy dane; ceny konia np. są od 12 grzyw. do 16 groszy w dół, baran równa się 1 fertonwi, krowa równa się 1 grzywnie i t. d. Na szczególną uwagę zasługują bardzo ważne uchwały ziemian regulujące ceny rozmaitych towarów, piwa, skóry, butów, zboża, bydła i t. p. (1003, 1178, 1328, 2637).

Co się prowadzenia ksiąg *(regestum, liber)* tyczy, język ich przez cały czas 1423—1462 we wszystkich trzech sądach jest wyłącznie łaciński, widzimy więc, że nawet jeszcze za czasów prawa ruskiego tylko w tym języku urzędowano. Wywód ustny przed są-

dem prowadzono oczywiście stosownie do osoby po polsku lub rusku. Zapiski są szerokie, czasami obejmujące cały ustny wywód obu stron dramatycznie przedstawiony, co nadaje im o wiele większą świeżość i życie, niż w innych zbiorach, i czyni odczytywanie wcale przyjemnem mimo na pozór tak suchego przedmiotu. Dokumentów w całości wciągniętych w formie oblat jest tu jeszcze nadzwyczaj mało; z królewskich dokumentów mamy tylko dwa Władysława Warneńczyka (1347—8). Cytacyj również jeszcze nie wpisywano w całej rozciągłości, tylko treść zwykle podawano, w całem brzmieniu wciągnięte znajdujemy bardzo rzadko (1156).

Pozostaje nam jeszcze zapoznać się z wydawniczą stroną obecnego zbioru. Przedewszystkiem co do sposobu wydania, idzie prof. Liske za chronologiczną metodą Helcla, nie wydaje więc osobno ziemskich a osobno grodzkich, lecz pod każdym rokiem drukuje zapiski, począwszy od 1435 ziemskie i grodzkie, od 1457, ziemskie, grodzkie, wyższego sądu magdeburskiego. W ten sposób zachowuje się większa łączność i przegląd spraw w sądach tych równocześnie rozstrzyganych.

W oddaniu tekstu nie dąży wydawca do fotograficznej ścisłości, jaka jest celem niektórych wydawców tego rodzaju źródeł, wychodzi on bowiem ze słusznej zasady, że księgi sądowej nie można pod względem wydania na równi stawiać z tekstem dyplomatów. Jeżeli dokument średniowieczny stanowi oryginał przepisany starannie, w którym nie powinny być żadne poprawki i rzadko się też znajdują, — księga sądowa pisana szybko, od ręki, na poczekaniu, musi z natury rzeczy mieć mnóstwo omyłek i przekreślań, które konserwować drukiem nie miałoby najmniejszego celu. Tak samo i rzecz się ma z niezliczonemi błędami językowemi, jakie znajdujemy w tekscie pisanym barbarzyńską rzeczywiście łaciną. Poprawiać ich niepodobna, bo toby zatarło zupełnie charakter tych ksiąg i ich języka; dawać w notach poprawny tekst, znaczyłoby tyle, co zwiększyć zbiór o kilka tysięcy not, a zasiać tekst samemi *sic* po każdym błędnym wyrazie, byłoby co najmniej nieznośne dla czytelnika. Prof. Liske obiera więc pośrednią i niewątpliwie jedynie właściwą drogę: podaje tekst bez wszelkich poprawek, *sic* dodaje zaś tylko przy błędach popełnionych w imionach własnych, albo tam gdzie możnaby przypuszczać błąd

pisarski lub złe odczytanie. Wyrazy uzupełniające tekst ujęte są w klamry, inne od wydawcy pochodzące w nawiasy.

Chcąc podać jak największy materyał i jak największą ilość zapisek, a przytem liczyć się z miejscem i warunkami wydawnictwa, poszedł prof. Liske w drukowaniu tekstu następną drogą. Do r. 1439 podaje wszystkie zapiski bez wyjątku w dosłownem brzmieniu, bez opuszczenia najmniejszego wyrazu, od r. 1440 zaś podaje również wszystkie zapiski, lecz przeważnie w wyciągach, tak jednak dokładnych, że zupełnie zastępują tekst oryginalny, gdyż opuszcza jedynie formuły i powtarzania niepotrzebne, esencyonalną treść podaje słowami tekstu. W ten sposób wartość zupełnie się nie utraca i nie potrzeba wcale udawać się do oryginału chcąc korzystać z zapisek, a zyskuje się znacznie na miejscu. Skrócone te zapiski oznacza wydawca gwiazdką.

Nowość zaprowadza wydawca numerowaniem nagłówków roczków. Akta sanockie wykazują bowiem w nagłówkach tych, w których pisarz skrupulatnie notował przybyłych na roki asesorów ze szlachty i dygnitarzy, bardzo bogaty materyał biograficzny do pojedyńczych osób i do osiadłych tu rodzin. Kiedy jednak w zbiorze Helcla brak numerów u tych nagłówków utrudnia bardzo ich cytowanie, w obecnym znajdujemy zupełne co do tego ułatwienie. Jest to pierwsze wydawnictwo, które na numerowane nagłówki mianowicie liczbami rzymskiemi, w odróżnieniu od arabskich liczb porządkowych oznaczających zapiski, od których i druk odmienny, kursywą, je różni. W obec tego niezrozumiałem jest jednak, dlaczego nagłówki 178, 189, 258—260, 276—7, 395, 398, 419, 423—4, 429, 433, 435, 455 i kilka innych nie są według tej zasady numerowane rzymskiemi lecz arabskiemi jak zapiski. Wzgląd na chronologiczny porządek nagłówków wskazywałby również, aby VII, był przed VI. XIX przed XVIII, i aby zamiast DCCXXVa), nagłówek ten miał liczbę DCCXXVIIa).

Wreszcie najważniejszą i najcenniejszą nowością w obecnym zbiorza są indeksy, które prof. Liske w tej formie również pierwszy wprowadza. Co znaczy indeks dla takiego wydawnictwa zrozumie każdy, kto używał ogromnego dzieła Helcla, jest to klucz bez którego zbiór taki w bardzo wielu razach jest jakby zamknięty dla badacza, bo szukający za jedną osobistością, rodziną lub jednym wy-

padkiem musi się odstraszyć ogromem pracy, jaką jest skrupulatne przeczytanie kilku tysięcy zapisek. Że dr. Ulanowski nie daje indeksu, powodem tego odrębność cechowa, która mu każe zbiór taki jedynie dla prawników przeznaczać i nie pozwala uszczęśliwić indeksem historyków-nieprawników, którzyby też pragnęli mieć jakąś korzyść z kosztownych wydawnictw akademii. Prof. Liske jednak nie jest, powiedziałbym omal na szczęście, prawnikiem, i dlatego znajdujemy w tym tomie znakomite indeksy, których sława zresztą już z poprzednich tomów jest ustaloną. Historyk ma tu indeks miejscowości i osób; wszelkie nazwy topograficzne, oraz imiona i nazwiska szlacheckie i urzędy są tu jak najdokładniej umieszczone. Dla użytku filologów jest drugi indeks, spis wyrazów polskich, których zbiór nasz przynosi wcale pokaźny szereg. Prawnicy wreszcie znajdą gruntowny indeks rzeczowy opracowany przez dra Oswalda Balzera; jest to również pierwszy większy tego rodzaju indeks, a metodę jego osądzić, należy do prawników.

Poznawszy w ten sposób w głównych zarysach treść i metodę obecnego wydawnictwa, można przyjść do przekonania, że jest ono prawdziwem wzbogaceniem naszej historyi, literatury, i pierwszem u nas zbiorem zapisek sądowych, który odpowiada wszelkim wymogom krytyki i potrzebom nauki.

W końcu dodamy, że z owych słów, które wydawca na str. XX. przedmowy jako niezrozumiałe podaje, *bindas* (Bindast) według Lindego znaczy: wąską siekierę do wydrążania drzewa, a *pałuba*, czółno z jednego pnia wykute.

Ferdynand Bostel.

Rozmyślanie o Żywocie Pana Naszego Jezusa Chrystusa, przez *Ks. Wuchaliusza*, (czyli Wąchalskiego).

Dzieło drukowane po raz pierwszy w Krakowie 1592, obecnie staraniem naszem przedrukowane zostało, in 8-o, (ob. 3 stronę okładki „Przeglądu“). Słowo wstępne od wydawcy przytaczamy: W piśmiennictwie ascetycznem objawia się temi czasy znaczny zwrot do dawnych mistrzów, zwłaszcza XVI. i XVII. wieku, tej epoki odrodzenia życia kościelnego w walce z protestantyzmem. Postrzeżono, że pod powłoką pewnej szorstkości, która niekiedy razi wygórowaną delikatność naszych czasów, jest u nich taka pełnia treści, takie gruntowne posiadanie Pisma św. i nauki Ojców, taka głęboka znajomość dróg Bożych, iż w tej mierze nowożytnych pisarzów w ogóle przewyższają. Rozmiłowano się przytem w prostocie i jędrności ich języka, i zaczęto coraz więcej

ich dzieł przedrukowywać. We Francyi nawet wydają św. Franciszka Salezego, St. Jure'a i innych spółczesnych ze starą ich pisownią.

I w naszej literaturze złotego wieku nie brak pisarzy ascetycznych łacińskich i polskich, posiadających wszystkie wspomniane zalety. A ubóstwo teraźniejszego piśmiennictwa naszego w tym zakresie tem więcej naglić nas powinno do wydobywania z zapomnienia cennych dzieł przeszłości.

W tej myśli rozpoczęliśmy przed dwoma laty wydawnictwo dzieł ascetycznych W. O. Łęczyckiego w łacińskim języku — dotąd dwa tomy wydane — i w tejże myśli wydajemy obecnie, z polskich dzieł, niniejszą książkę ks. Jana Wąchalskiego, czyli z łacińska Wuchaliusza, Lwowianina kapłana T. J. Pierwsze wydanie tej książki, ozdobione drzeworytami wyszło w Krakowie r. 1592 u Siebeneychera in 4-to, p. t. „Żywot Pana Jezusa, tj. rozmyślania nabożne a gruntowne przedniejszych spraw Zbawiciela naszego, na dwie części podzielone. Teraz nanowo z rozmaitych doktorów katolickich a osobliwie z ksiąg Ludwika z Granaty i łacińskich i włoskich, zebrane przez Jana Wuchaliusza Leopolitę, kapłana Societatis Jesu"; drugie tamże r. 1593; niniejsze, o ile nam wiadomo, jest trzecie.

Aby to dzieło nie straciło cechy starożytności, zachowaliśmy styl autora, godny złotego wieku, tylko pisownię zmieniliśmy na nowożytną dla ułatwienia czytania, bo wzgląd na korzyść duchowną stawialiśmy nad wzgląd literacki, wyrazy zaś dziś mniej zrozumiałe objaśniliśmy w przypiskach.

Co do samego autora, tak mało dziś znanego, to tylko powiemy, że urodzony we Lwowie r 1561, już w 20 roku życia będąc mistrzem nauk wyzwolonych, wstąpił do Tow. Jezusowego w Rzymie, skąd po ukończeniu nauk do ojczyzny odesłany, uczył przez 13 lat wymowy, i liczony był do pierwszych mówców swego wieku. Piastował urząd przełożonego we Lwowie lat 6 a w Kaliszu lat 9. Umarł 12 marca 1622., mając lat 61, w Radlinie, wiosce biskupa poznańskiego.

Pierwiastki Dziejów Ojczystych w ich organicznym rozwoju. Kraków 1886.

Autorem niniejszego dzieła jest p. Stanisław Zarański, nie z jednej pracy zaszczytnie znany na polu pedagogicznej literatury. Obecnie wydane „Pierwiastki dziejów ojczystych" są nowym dowodem, jak gorąco go zajmuje sprawa wyższej szlachetniejszej oświaty w narodzie, szczególniej ludu naszego.

Atoli ta miłość dla ludu uniosła autora zadaleko. Książka niniejsza ma być podręcznikiem dla szkół w obeznaniu ich z dziejami naszego narodu. Dzieje te postanowił autor opowiedzieć, kreśląc koleje naszych kmiotków, na tle historyi chłopka polskiego chciał odmalować wielką dziewięcio wiekową działalność Rzpltej Polskiej. Stąd nie pominął żadnego nawet najdrobniejszego rysu o stanie włościanina w dziejach nam pozostawionego. Stąd też przyjmuje inny nowy i nie uzasadniony podział dziejów, który nie rozpada się na epoki dynastyj panujących, nie opiera się na formach rządu, lecz zastosowany jest do losów włościanina, jakim podlegał w ciągu politycznego żywota naszego narodu.

Nie pisząc się na te okresy, na które się nikt podobno nie zgodzi, tę sobie pozwolimy zrobić uwagę, że lud w Polsce nigdy nie był czynnikiem dominującym, nigdy nie wchodził w skład rządu, ani odgrywał w przeszłości ta-

kiej roli, żeby można jego dzieje zespolić i zidentyfikować z dziejami całego narodu. To samo, że tak niewiele wiemy o jego przeszłości, dostatecznym dowodem, czem był w Polsce i jakie stanowisko w niej zajmował. Autor rzecz swoją rozpoczyna od podania wiadomości o pisarzach i ich dziełach, którzy zajmowali się sprawami Słowiańszczyzny w Polsce, a dziś uważani są za jedyne źródła historyczne. Wiadomości te mieszczą się na 14-tu kartach bitego, drobnego druku. Następnie dawszy wyobrażenie o własności ziemskiej, i na czem ono się zasadza, przystępuje do opowiedzenia samych dziejów. W tych, nietylko zajmują go sprawy Polski, lecz i wszystkich szczepów słowiańskich; są one zestawione synchronistycznie, często wsparte przytoczeniem faktów z historyi ludów niesłowiańskich. Autor wogóle fakta te odróżnia, dzieląc je na ważne i mniej ważne, i wyraźnie cechuje przez odmienność druku w tekscie: dla pierwszych obierając druk większy, rozciąglejszy — dla drugich drobny, zbity. Przy każdym fakcie, o ile to jest wiadomem, położony jest rok, a częstokroć dzień i miesiąc. Daty te chronologiczne są z dobrych źródeł czerpane, małoby w nich znalazł usterek. Jak na szkolną książkę, wiadomości tu pomieszczone są za obszerne, i naszem zdaniem całkiem zbyteczne. Sam autor to zrozumiał, ale je podaje, bo się mogą przydać dla młodzieńców umysłowo dojrzewających, co do wykładów uniwersyteckich ze szkoły średniej pragną wynieść przygotowanie właściwe — a tymczasem książka ta ma być podręcznikiem ludowym, i w tem właśnie leży jej błąd kardynalny.

W nawale faktów, nic dziwnego, wcisnęły się niektóre błędy. Pierwszy biskup polski, imieniem Jordan, nie był Niemcem lecz Włochem (str. 109). Tej narodowości mianują go wszyscy dziejopisowie. — Henryk, książę sandomierski, fundował w Zagościu nie Joannitów, lecz Templaryuszów (str. 152). Tak twierdzi Naruszewicz, tom 3, str. 228, edycyi Mostow. — Przyczyną śmierci Kazimierza W. nie było złamanie nogi, lecz ciężkie obrażenie lewej goleni, a następnie nieumiejętne leczenie (str. 224). Tak powiada Kromer (*Polonic. rerum., edit. Pistorii tomus II., p. 159)* i Naruszewicz (tom. VI., str. 247). — Sędziwój z Szubina, jeden z tryumwirów mianowanych przez kr. Ludwika po śmierci swej matki do zarządów w Polsce, nie był wojewodą krakowskim, lecz tylko starostą, a zarazem szczycił się godnością wojewody kaliskiego (str. 228). Tego dowodem jest Długosz (t. III. p. 392) i Naruszewicz (t. VII., str. 112). Andrzej Tęczyński, zamordowany przez mieszczan krakowskich d. 16 lipca (mylnie położono 17), nie był kasztelanem wojnickim (str. 263). Milczy o tem Długosz (t. V. p. 317) i cały przebieg tej sprawy, umieszczony w Bielowskiego Monumentach (t. III. p. 794 et sq.). W r. 1461 był kasztelanem wojnickim Dobiesław Kmita; w szeregu tych kasztelanów napotykamy wprawdzie Andrzeja Tęczyńskiego, może syna zabitego, ale dopiero przy schyłku 15 stulecia.

W zakończeniu i to należy powiedzieć, iż polszczyzna u autora jest czysta, wolna od germanizmów, co dzisiaj rzecz rzadka. Czasem tylko. zmienia dawno już utartą formę wyrazów, i tak pisze *Łab* zamiast przyjętego *Łaba.* W wypowiedzeniu zdania umiarkowany, nie wyciąga skandalów, nie obrzuca błotem zasłużonych imion, jak się to dzisiaj dzieje, chociaż ta teorya nosi miano wyższej krytyki, nowej, postępowej szkoły historycznej. Nie jest ona bynajmniej nową, lecz starą jak świat. Już Tacyt może o podobnych dziejopisach powiedział: *Virtutes iisdem temporibus optime aestimantur, quibus facillime gignuntur.* Wycieczki niektórych pisarzy za daleko posunione na naszą

przeszłość dziejową, nie dają żadnego dowodu ich mądrości, a nawet zmysłu historycznego, lecz są wymownem świadectwem, iż coś w społeczeństwie się psuje. Tacy pisarze są jak grzyby wyrastające na zgniliźnie.

W.

Rokowania poprzedzające Unię Brzeską napisał *Ks. Edward Likowski.* Przedruk z „Przeglądu Polskiego". Kraków 1886 r.

Nie pierwsza to praca Sz. autora dobrze zasłużonego na niwie historycznej kościoła polskiego. Autor postanowiwszy sobie zbadać dzieje unickiego kościoła w Polsce i zaznajomić z nią ogół czytających, wziął się zaraz po ukończeniu kursów akademickich gorąco do pracy, której owocem była książka przed jedenastu laty wydana p. t. „Historya Unii kościoła Ruskiego z kościołem Rzymskim". Ukończywszy ją, nie ustawał w rozpoczętych studyach, rozszerzając i dopełniając pierwotne swe dzieło. Jedno z takich dopełnień szerzej omawiające chwile przedwstępne unii, jej początek, działanie biskupów *pro* i *contra* i ostateczne rozwiązanie, mamy właśnie przed sobą.

Na wstępie wskazuje autor, skąd pierwotnie wyszła myśl o Unii. Jezuici a na ich czele Skarga znakomitem swem dziełem: O Jedności Kościoła rzuca pierwsze ziarno przyszłego zjednoczenia. Król jakkolwiek rad tej myśli, zrazu nie występował czynnie, biskupi ruscy nie brali jej do serca. W tem przyjazd Jeremiasza II. patryarchy carogrodzkiego, konsekracya przezeń na metropolitę kijowskiego Michała Rahozy, obok zamianowania egzarchą Cyryla Terleckiego, podniesienie do godności stauropigialnych bractwa lwowskiego i przemyskiego; niecą rozdwojenie i ciągłe waśni w samej cerkwi.

Przerachował się patryarcha na Terleckim, wynosząc go nad Rahozę o którego prawowierności wątpiąc, bał się stracić część owczarni swojej. Terlecki bowiem jeden z najwykształceńszych biskupów ruskich, widząc smutny upadek cerkwi w Polsce, postanowił ją dźwignąć odstępując od patryarchy a łącząc się z Rzymem. Pomocny mu w tem był radą i zachętą Bernard Maciejowski naonczas biskup łucki, serdeczną z nim przyjaźnią związany. Pierwszym krokiem w tej mierze to postanowienie w Bełzie przez czterech biskupów powzięte, a które zatwierdza synod Brzeski r. 1590 „posłuszeństwo N. Ojcu papieżowi Rzymskiemu oddać i Cerkwi Boże pod zwierzchność i błogosławieństwo Jegoż Miłości N. Papieżowi poddać". Deklaracyę tę posyła Terlecki królowi w rok dopiero i odbiera najprzychylniejszą odpowiedź. Ale dotychczas nie miał Terlecki spólnika w episkopacie ruskim, na któregoby śmiało mógł liczyć. Tymczasem w r. 1593 umiera Melecy Chreptowicz, biskup włodzimirski a na stolicę opróżnioną za wpływem ks. Konstantego Ostrogskiego wstępuje Hipacy Pociej, który jeszcze świeckim będąc przemyśliwał nad Unią. Terlecki upoważniony na zjeździe sokalskim do zbierania podpisów biskupów, zjeżdża się w Torczynie w domu Maciejowskiego z Pociejem, który w cichości przygotowywał grunt dla Unii. Przekonawszy się, w jakiem stadyum sprawa się znajdowała, odtąd łącznie z Terleckim bierze się do dzieła. Zmuszają chwiejnego metropolitę do zwołania synodu w Brześciu, na którym wygotowują adres do papieża i króla, z warunkiem, by się Pociej z Terleckim postarali o podpisy nieobecnych biskupów. Uzyskawszy je, jedzie Terlecki z Pociejem i rozpoczyna układy z królem i nuncyuszem w Krakowie. Tymczasem pominięty Rahoza

i ks. Konstanty Ostrogski, niegdyś stronnik Unii wszystkiemi siłami starają się temu przeszkodzić, i wichrzą wiele, ale stanowczej zapory stawić nie są już w stanie. Terlecki z Pociejem jadą do Rzymu, i 23 grudnia 1595 r. składają w ręce Klemensa VIII. przysięgę wierności.

Oto w krótkim zarysie treść pracy ks. Likowskiego, która staje się cennym przyczynkiem do historyi Unii w Polsce. Przebieg całej sprawy od r. 1588 aż do 1595 opisany jasno i gruntownie, oparty na źródłowych dziełach. Sprostowane tu błędne mniemania o Rahozie, Łukaszewicza, jakoby tenże był narzędziem Jezuitów i duszą i ciałem im oddany; owszem autor wykazuje, że Rahoza nawet uczniem Jezuitów być nie mógł. Dalej odsłonięta tu działalność Pocieja, którego niektórzy już w r. 1590 robią biskupem, gdy tymczasem zajął on stolicę włodzimirską dopiero po śmierci Chreptowicza, który w r. 1593 życie zakończył.

Z.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Bosnien Gegenwart und nächste Zukunft — i — **Bosnien unter österreichisch-ungarischer Verwaltung.** — Leipzig 1886.

Ostatniemi czasy wyszły dwie broszury zajmujące się Bośnią i działaniem Austryi w tym kraju. Krótkie o obydwóch sprawozdanie może być dla czytelników pożądane, tem bardziej, że są one przypisywane, nader wpływowym osobistościom.

Pierwsza p. t: Bośni obecność i przyszłość napisana już widocznie przez będącego tam na służbie urzędnika austryackiego; stanowczo zdradza to język i niektóre zapatrywania. Rozkłada rzecz na sprawy wyznaniowe, ekonomiczne i uwagi nad zarządem węgiersko-austryackim w kraju. Dokładna znajomość statystyki daje mu możność wykazania stosunku ludności mahometańskiej do grecko-wschodniej i katolickiej. Autor stanowczo nie jest bezwyznaniowcem. W jego przekonaniu ludność mahometańska nie ma przyszłości w Bośni, stąd próżne są zachody władz rządowych, aby ją do obecnego stanu rzeczy przywiązać. To nie ulega wątpliwości; ktokolwiek zna naturę islamu, musi być przekonanym, że się nie da zlać ani duchowo, ani socyalnie, ani politycznie z państwem chrześcijańskiem, a nawet ustrojem europejsko-cywilizacyjnym. Zdaje się, wedle słów autora, że zwłaszcza begowie — szlachta, — mają niepokonany wstręt do obecnego stanu rzeczy. Ze stanowiska rasy panującej

zszedłszy na poziom równości przed prawem, nie mogą pogodzić się z położeniem, które synom proroka nie daje panowania. Chowają, jak twierdzi autor — a zdaje się, że wie dokładnie — niezmierną do rządu niechęć, tem gwałtowniejszą, że obecne prawo i polityczne urządzenia, zmniejszyły ich majątek, a wielu przywiodły do ubóstwa. Ideałem ich jak twierdzi, wyprzedać się i osiąść w Azyi mniejszej. Zdaniem autora, nie tylko wszystko czynić należy aby im tę emigracyę ułatwić, ale także wszelka ulga, robiona dla żywiołu, który się pozyskać nie da, jest błędem politycznym. Że zaś może być dla tych ludzi obecny austryacki rząd nieznośny, łatwo odgadnąć ze szczegółów, które podaje o stosunkach begów z administracyą i sądownictwem, a które tak dobitnie przypominają czasy biurokratycznych rządów w Galicyi za Józefa II.

Następuje rozbiór stanowiska grecko-wschodniej ludności, którą nazywa Serbską, i katolickiej o połowę od tamtej mniej liczną. Autor powtórzywszy rzeczy znane o słabem wykształceniu duchowieństwa prawosławnego, o braku wszelkiego duchownego życia w ludzie, którego tacy nauczyciele podźwignąć nie mogli i o tendencyi narodowo-religijnej zbliżającej ich do królestwa Serbów, pyta i pyta słusznie: Czemu minister skarbu państwowy a zarazem namiestnik Bośni, staje zwykle w swoich sprawozdaniach, a nawet w delegacyach, po stronie Serbów przeciw katolikom? Mówi dalej: jeżeli Austrya na jaki żywioł Bośni rachować może, to tylko na ludność katolicką. Jeśli jaka ludność tego kraju może się podnieść do wyższego moralnego stanowiska i stać się materyałem do cywilizacyjnego postępu, to tylko katolicka. Ona mnoży się nawet co do liczby przez przypływ z koronnych krajów; ona posiada elementa do wytworzenia szkół i jest pod duchową opieką zakonu Franciszkanów, który jakkolwiek nie jest równy nauką i duchowym rozwojem braciom swoim z Włoch i Niemiec, to jednak teraz, kiedy może wychowywać alumnów swoich w seminaryach Djakowej i Granu, stoi nieskończenie wyżej od duchowieństwa prawosławnego, ubogiego materyalnie a jeszcze bardziej umysłowo.

Oto jest treść pierwszej części tej ciekawej rozprawy, której ostrze zwrócone głównie przeciw działaniu rządu węgierskiego, mającego obecnie głos przeważny we wszystkich państwowych sprawach. Przechodząc do spraw ekonomicznych i przedstawiwszy dokładny

obraz tych żywiołów, które stanowią podstawę bogactwa narodowego, jak: grunt urodzajny, lasy nieprzebrane, zasoby kopalniane, przychodzi do tego rezultatu, że mimo prawodawstwa austryackiego, mimo wrzekomego wymiaru sprawiedliwości, kolei żelaznych, milionów, które armia wydaje, Bośnia od ośmiu lat bardzo zubożała. Dlaczego? Bo prawodawstwo, podatki, gospodarka finansowa nie odpowiada zgoła warunkom tego kraju. Begowie zubożeli, bo nie mogą wyzyskiwać ludności, a faktycznie przez fiskusa zajęte wielkie leśne obszary, odebrane im zostały. Handlarz turecki zubożał, bo go żyd zastąpił. Kmieć, rolnik posiada ziemię albo dzierżawi w lepszych warunkach, ale też płaci podatki o których nie miał wyobrażenia, a doświadcza ograniczeń które są wynalazkiem zachodu, na wschodzie nieznanym. Szczegóły pomijamy, ale fakt zubożenia ogólnego, zdaje się niewątpliwym. Czy zaś zubożenie wywołuje zadowolenie i przywiązanie, na to odpowiadać nie potrzeba. Z obrazu tego widać, że to z natury jest kraj błogosławiony, który zniszczył czterowiekowy ucisk turecki, a który musi cierpieć, w każdej radykalnej, organicznej w społeczeństwie przemianie.

Że tę przemianę utrudnia zarząd węgiersko-austryacki, tego dowodzi w III rozdziale, w którym nie tai, że najlepsza wola rządu, a nawet niektóre dobre rozporządzenia, nie mogą działać zbawiennie w obec organów administracyjnych. Administracya obecna w Bośni składa się z urzędników, którzy albo w innych krajach nie mogą zrobić karyery, albo przez złe postępowanie utracili prawo do niej, a do Bośni udają się z pychą ludzi na pół cywilizowanych. Obraz postępowania tych urzędników, przypomina dawnych galicyjskich, choć muszę powiedzieć, że ostatni byli lepsi. Brak sprawiedliwości, wyrozumienia, powagi, brak moralności, drażni do najwyższego stopnia i gorszy tak chrześcijańską jak mahometańską ludność.

To jest zdanie autora, czy prawdziwe? — w każdym razie prawdopodobnie słuszne. Ale głównym celem ostatniego rozdziału jest wykazanie do jakiego stopnia Węgrzy opanowawszy główny kierunek spraw państwa — wszystkie urządzenia w Bośni, nie dla jej i Austryi korzyści ale dla korzyści Węgier obmyślają. Drogi, koleje, obrachowane, nie żeby najkorzystniej działały dla tej prowincyi, albo dla państwa, ale aby jak najściślejsze jej połączenie z Węgrami ułatwiły. Buda-Peszt, bez względu czy handlowo i militarnie jest to korzy-

stnie, musi być środkiem ruchu wszystkich kolei, a jakkolwiek autor broszury przyznaje ministrowi skarbu i zarządcy Bośni Kallay'owi wielkie zdolności, jednakże dowodzi faktami, że, czy z własnego natchnienia, czy w skutek parcia opinii, robi wszystko aby żywioł przychylny Austryi osłabiać, a podnosić wpływ Serbów i muzułmańskich Bośniaków, w nadziei, że kiedyś łatwiej będzie rządowi węgierskiemu, te różnorodne żywioły zaabsorbować.

Sprawdzić te szczegóły trudno, ale znając egoizm węgierski, który w każdej odbija się sprawie, znając zarozumiałość węgierską która dotąd umiała na swą korzyść stanowisko swoje wyzyskać, nie ma żadnego powodu wątpić, że autor mówi prawdę, choć ją może przez osobistą potęguje niechęć.

Tem większy mamy powód rozumieć, że na gruncie tej publikacyi jest wiele prawdy, że wywołała natychmiast zapamiętałą odpowiedź, która ma wszystkie cechy, jakby wychodziła z urzędowego źródła. Tylko wypowiedzenie prawdy może wywołać taką odpowiedź, która upatruje źródło sądów autora pierwszej broszury w jakimś ultramontańskim duchu. Autor pierwszej broszury bezwyznaniowym nie jest, szkół symultannych jest nieprzyjacielem, obrzędu mahometańskiego na równi z chrześcijańskim nie stawia, ale jak najmocniej zastrzegł się przeciw wszelkiej nietolerancyi, dla wszystkich wyznań równej żąda opieki prawa i rządu, ale wytyka z żalem, że Serbi doznają protekcyi, jak to się w słowach ministra Kallay'a w delegacyach okazało. Wskazuje autor, jak katolicy w Bośni są naturalnym punktem oparcia dla austryackiego rządu, jak oni religijnie i kulturnie stojąc wyżej od Serbów, mogą być rzetelnem narzędziem cywilizacyjnem Bośni. *Inde irae*, bo odpowiedź uznaje potrzebę szkół symultannych, Turków, bierze w szczególną opiekę, ani przewiduje niebezpieczeństwa, jakie samym Węgrom nawet grozi, od licznej serbskiej ludności. Zapał bezwyznaniowy, robi z autora, zaciętego katolików nieprzyjaciela, a ponieważ szczep Horwacki jest głównie katolickiego wyznania, szczepowi temu zaprzecza jakiegokolwiekbądź stanowiska pomiędzy Słowianami południa; nowy przykład, do jakiego stopnia nienawiść do Kościoła, nawet w polityce zaślepić może. Jeżeli kiedykolwiek Bośnia ma stać się integralną częścią austryackiego państwa, to koniecznym interesem jest, aby żywioł horwacko-katolicki w Bośni wzmocnić,

nie prześladowaniem islamu, nie prześladowaniem Serbów, o którem też i mowy nie ma, ale usiłowaniem na drodze prawnej, aby tak sąsiedni szczep horwacki, jak katoliccy koloniści niemieccy mogli się tu osiedlać. Nie idzie o to bynajmniej, aby im robić ułatwienia, ale aby im nie robić trudności, jak to obecnie rząd węgierski czyni.

Nikt pochwalić nie może, że autor broszury pierwszej, przypisywanej niesłusznie biskupowi Djakowej, uważa sumaryczne postępowanie z ludnością mahometańską za pożądane, jedyna prawdziwa polityka jest, polityka sprawiedliwości, która szanując cudze prawa, nie wyłącza opieki nad tym szczepem i nad tym kościołem który państwu daje największe rękojmie. Jak zaprzeczyliśmy, aby autorem pierwszej broszury mógł być biskup Strossmayer, tak twierdzimy, że drugiej nie może być P. Kallay. Przez sfery urzędowe natchnioną być może, a zapewne i była, ale ton, argumenta, poglądy dowodzą, że choć przez człowieka stanu wywołana — z jego jednak nie popłynęła pióra. Mimo łaskawego niby oświadczenia, że nie myśli ograniczać swobody kościoła katolickiego, co pod rządem Habsburgów nie byłoby łatwem, zionie wszędzie największą nienawiścią do urojonego horwacko-katolickiego stronnictwa, a najwyraźniej występuje jako bezwyznaniowych szkół zwolennik. Szczegółów nam tu rozbierać nie podobna, ale wstręt, z jakim przyjmuje myśl połączenia w jedną prowincyę Bośni, Dalmacyi, i Illiryi, niechęć jaką czuje do katolickich kolonistów niemieckich, stronne zaprzeczenie jak dalece dla interesów Węgier, linie kolejowe nienaturalnie zostały z Budą ześrodkowane, dowodzi dwóch rzeczy: że autor, albo ten co go natchnął, dzieli bezwyznaniowe zapatrywania obecnego węgierskiego rządu, który kraj puszcza w dzierżawę Żydów i Masonów; powtóre że przewodnią myślą całej polityki węgierskiej jest, tak urządzić Bośnię, aby kiedyś mogła wejść naturalnie w skład korony węgierskiej. Nader też słabo odpowiada autorowi pierwszej broszury na zarzuty co do organizacyi szkolnej, co do stanowiska Serbów, co do polityki handlowej i kolejowej.

Tak obszernie daliśmy poznać czytelnikom dwie rozprawy o stanie jednej i ostatecznie nie annektowanej prowincyi austryackiej dlatego, że na tym dotąd neutralnym gruncie najlepiej da się zbadać nietyle antagonizm między Cislitawią a Węgrami, jak raczej ostateczna Węgrów przewaga. Lud ten, choć niejednolity, ale dziś

trzynastomilionowy, w ręku ludzi, którzy rozumieją się na warunkach rządu, tak niesłychaną ma przewagę nad dwa razy ludniejszą Cislitawią, że ostatecznie nietylko przeważa w sprawach państwowych, ale przewagi swojej nadużywa, bodaj czy nie z własnem niebezpieczeństwem. Naród rycerski, jak wszystkie wschodniego pochodzenia, umiejący rozkazywać i słuchać, grzeszy jednak zarozumieniem, że jest głównym w państwie austro-węgierskiem czynnikiem i że, choćby nie zapuszczał korzeni w to wielkie państwo, zdołałby utrzymać swoją niezawisłość. Tu jest błąd wielki. Dopóty zgubnym nie jest, dopóki wyższa, jakby opatrzna mądrość nad nim panuje, jak to się w ostatnich okazało czasach.

R.

Les origines de la civilisation moderne, par *Godefroid Kurth*, professeur à l'université de Liège. Paris Lecoffre, 1886.

O źródle i początkach dzisiejszej cywilizacyi niejedno w ostatnich czasach ukazało się dzieło, ale bodaj, czy które zupełnie trafnie to źródło wskazało. Kto nie wtajemniczył się w życie Kościoła, kto nie zrozumiał całego niezmiernego znaczenia chrześcijaństwa i przemiany, jaką ono w świecie zdziałało, dla tego początki dzisiejszej cywilizacyi zawsze pozostaną zagadką. Cywilizacya, którą się słusznie chlubimy, winna swe istnienie chrześcijaństwu; frazes to niemal oklepany, ale właśnie dlatego, często nie dość zrozumiany, tak, iż najnierozsądniejszy zarzut poddaje jego prawdę w niejednym umyśle w wątpliwość. Nie! Nie jest to tylko frazes, ale historyczna, niezaprzeczona prawda; niepodobna o tem wątpić, przeczytawszy znakomite dzieło profesora Kurtha, jednego z tych uczonych, w których głęboka nauka oświecona poznaniem i ukochaniem objawionej wiary, wydaje prawdziwe arcydzieła, niemniej zadowalniające rozum, jak i serce.

W długiej przedmowie wyjaśnia autor czem jest i na czem zależy cywilizacya. Niektórzy sądzą, że cywilizacya jest to zbiór wszystkich środków, ułatwiających wygodne i przyjemne życie. W takim razie najwyższym wykwitem cywilizacyi byłby pałac Sardanapala. Kto zakłada człowiekowi ostateczny cel życia już tutaj na ziemi, ten koniecznie na to musi się zgodzić, boć ostatecznie zgadzamy się na to wszyscy, że większy lub mniejszy stopień cywilizacyi zależy na ukształceniu się społeczeństwa, nastręczającem mu większą lub mniejszą łatwość w osiągnięciu ostatecznego celu. Ale jeśli życie Sardanapala nie jest jeszcze kwintesencyą cywilizacyi, szukajmyż jej gdzieindziej — pytajmy, dlaczego jesteśmy tu na ziemi? Odpowiada na to Objawienie i rozum Objawieniem oświecony: aby znać, służyć i kochać i cieszyć się przez całą wieczność Bogiem, który jest naszym Stwórcą, początkiem i końcem wszechrzeczy. Im mniej lub więcej społeczeństwo jakieś posiada środków do osiągnięcia tego celu, tem mniej lub więcej jest ucywilizowane.

Społeczeństwa pogańskie poddawały człowieka państwu, jako ostatecznemu celowi; państwo otaczało natomiast poddanego zewnętrzną pewną

chwałą, dawało mu widowiska, pozwalało przedewszystkiem otaczać się hufcem gotowych na spełnienie wszystkich zachcianek niewolników. I w Rzymie i w dzikiej Germanii pierwszą zasadą było ubóstwienie siły. Długo walczyły ze sobą rzymski despotyzm i barbarzyńska anarchia; ale jak Rzymianin, tak German nie rozumieli nawet co znaczy słowo „cywilizacya“, bo gdzie siła jest wszystkiem i o wszystkiem rozstrzyga, tam dla grzejącego i oświecającego światła nie ma przystępu. Wtem przyszedł Chrystus, a słowa Jego: „Oddajcie Bogu co jest Bożego, a cesarzowi co jest cesarskiego“, zmieniły dotychczasowy stosunek człowieka do państwa; nowy kodeks ustanowiony przez Chrystusa, nadał każdej jednostce prawo do życia, rodzinie prawo do istnienia i rozwijania się, państwu prawo do panowania, ale w pewnych tylko, chwałą Bożą, korzyścią poddanych, nakreślonych granicach. Dawne kodeksy ożywiała bojaźń — nowy kodeks ożywił Chrystus nieznanem dotąd prawem miłości, i w ten sposób okazał całą przepaść, jaka dzieliła pogańską kulturę od chrześcijańskiej cywilizacyi.

Jeszcze w wieku IV. trwała walka między chrześcijańskiemi a pogańskiemi zasadami, ale już przewidzieć było można, że światłość zwycięży nad ciemnością. Nauka chrześcijańska, rozwiązująca wszystkie problemata społeczne, zadawolniająca zarówno serce, wyobraźnię i rozum, okazała w swych uczonych i męczennikach, w świętych niewiastach i wielkich biskupach, równie słynących nauką, jak cnotą i poświęceniem — czem jest dla świata i jaką mu cywilizacyę przynosi. W bizantynizmie przechowały się jeszcze szczątki dawnych pogańskich zabytków, ale opatrznościowe nawrócenie się Klodoweusza, Wizygotów, Lombardów zabezpieczyło świat przed ciemnościami bizantynizmu i groźną burzą barbarzyńskich napadów. Niebawem, nowe rezerwy — zakony — stanęły na polu walki; z ich pomocą Kościół przełamał ostatecznie barbarzyństwo, a za Karola W. mógł już święcić tryumf prawdziwej cywilizacyi i tryumf chrześcijaństwa nad pogaństwem, — zupełnej harmonii między władzą świecką, a władzą kościelną. W miarę jak ta harmonia rwała się, lub rwać się będzie, w miarę jak państwo pragnęło lub pragnąć będzie skierować ku sobie, jako ku celowi ostatecznemu i jedynemu wszystkie pojedyńcze jednostki, w miarę tego prawdziwa cywilizacya coraz bardziej niknąć musi. Tylko ten, co szczyt cywilizacyi upatruje w pałacach Nerona lub Sardanapala, może mówić jednocześnie o postępie cywilizacyi i zmniejszaniu się wpływu chrześcijanizmu na życie narodów i pojedyńczych jednostek.

Oto idee przewodnie dzieła p. Kurtha. W krótkiem sprawozdaniu nie mogliśmy tych idei bliżej uzasadnić; tem lepiej, jeśli ten niedostatek naszego sprawozdania spowoduje czytelnika do zapoznania się z tem pod każdym względem wyszczególniającem się dziełem. *J. B.*

Das italienische Staatskirchenrecht, auf Grund der neusten Rechtsprechung systematisch erläutert von *F. Geigel,* kaiserl. Regierungsrath a. D. zu Colmar i. E. Zweite Auflage S. 203. Mainz. 1886. Bei Franz Kirchheim.

Zabór Rzymu i idące za nim tak zwane prawa gwarancyjne, mające na celu wywyższenie państwa kosztem Kościoła, zmieniły radykalnie dawne stosunki i całe prawodawstwo włoskie odnośnie do Kościoła. W chaosie sypiących

się niby z rogu obfitości praw, dekretów, rozporządzeń, nikt się już nie mógł rozpoznać. Usiłował wprawdzie Scaduto, profesor prawa kanonicznego w Palermo przed kilku laty rozjaśnić te ciemności, ale wychodząc ze stanowiska wręcz Kościołowi wrogiego, z natury rzeczy do dzieła tego był niesposobnym. Pierwszy Geigel zebrał, zeszeregował i usystemizował nowe kościelno-polityczne prawodawstwo we Włoszech, a usystemizował tak dobrze, iż sam Scaduto otwarcie palmę pierwszeństwa mu nad sobą przyznał. Obrobienie tego przedmiotu nader było trudnem, materyą niesłychanie delikatną, zwłaszcza dla wierzącego katolika, jakim jest Geigel; nie zawsze też wybrnął on z trudności, nie zawsze potrafił zadowolnić wszystkie uczucia wiernych synów Kościoła. Stąd obok uznania, spotkały go nawet w czasopismach katolickich surowe krytyki, nad któremi jednak stanowczo przeważa uznanie: że w rzeczy tak trudnej i śliskiej *et voluisse sat est.*

Zabór Rzymu jest autorowi wstrętnym; najlepiejby było, gdyby rząd włoski Rzym opuścił, ale ponieważ jest to w tej chwili utopią, czyż nie dałoby się jakoś Kościoła z nowym stanem rzeczy pogodzić? Geigel mniema, iż do tego przyjśćby mogło, a prawdopodobnie i przyjdzie. Papież panuje w Watykanie nie z łaski Włoch, jak sądzi Scaduto, ale z własnego prawa, którego zawsze bronił i broni przed wszystkiemi uroszczeniami; zatem mając nawet na względzie li tylko cywilne prawa, jest niezależnym panem, z łaski Bożej, a nie z łaski króla Wiktora Emanuela, czy Humberta. Całe prawodawstwo włoskie ożywione jest duchem dla Kościoła nieprzyjaznym; aby się o tem przekonać, wystarczy wziąść kodeks praw a zwłaszcza „prawa gwarancyjne“ do ręki. Rząd włoski przywłaszcza sobie prawo konfiskować dobra duchownych korporacyj; bierze te dobra pod więcej niż macoszą kuratelę; zmniejsza liczbę kanonikatów; odmawia Ojcu św. wiele praw przyznanych królowi. Najgorzej wszelako zabezpiecza prawodawstwo włoskie majątki kościelne. Zła administracya utworzonego z dóbr kościelnych funduszu religijnego sprawia, iż 2236 probostw, miasto przynależnych 800 fr., otrzymuje tylko 400 fr., z których muszą jeszcze opłacać najrozmaitsze, genialnie obmyślane podatki. Jeden ten przykład wystarczy, a autor nie tai, że prawodawcy włoscy radziby na tej drodze dalej się posunąć.

Kto mówi czy pisze, o wrzekomo świetnem położeniu Kościoła we Włoszech, o tem iż zabór Rzymu był dla papiestwa dobrodziejstwem, temu trzeźwo, objektywnie napisana książka Geigela otworzyć powinna oczy.

J.

La Ligue et les Papes, par M. le comte *Henri de l'Épinois,* ancien élève de l'école des Chartes et membre de l'Académie romaine catholique. 1 vol. VIII. 662. Paris 1886.

Stosunek papieży do ligi nieraz już gruntownie był rozbieranym; dość wymienić znakomite dzieło Hübnera „Sykstus V.“ Nikt wszakże dotąd nie skorzystał ze wszystkich nader bogatych skarbów rękopiśmiennych, odnoszących się do tego stosunku, a ukrytych w archiwach Rzymu, Paryża i wielu prowincyonalnych miast francuskich. Olbrzymią tę pracę pierwszy zadał sobie hr. de l'Épinois, a choć poszukiwania jego nie zmieniły w głównych zarysach dotychczasowego sądu o wypadkach i osobistościach wielkiego tego dziejowego

dramatu, to przecież go w niejednym punkcie wyjaśniły i uzupełniły. Od energicznej, jakby ze śpiżu ukutej postaci Sykstusa V. odbija słaby, niby z wosku ulepiony Henryk III. Były król polski, kochał się w przyjemnościach życia, ale nie w jego obowiązkach; oddany roskoszom, którym nie mogła kłaść żadnej tamy, obłudna, faryzeuszowska pobożność, pchał Francyę coraz dalej nad brzeg przepaści. Papież pragnął ratować Francyę, ale król nie mógł się zdecydować na pochwycenie wyciągniętej ku niemu dłoni. Za to tem silniej pochwycił ją jego następca, Henryk IV., mimo iż papież stosując się do fundamentalnych praw francuskich, odsądził go od korony. Gdyby Sykstus V. dłużej był pożył, wiele krwi francuskiej podobnoby się nie przelało. Henryk IV., choćby z prostej polityki, wcześniej wyrzekłby się swych błędów. Przedwczesna śmierć Sykstusa odwlekła wielką tę, dla Francyi zbawienie przynoszącą chwilę.

Grzegorz XIV., Innocenty IX. wstępowali w ślady wielkiego swego poprzednika, ale panowali za krótko, aby wypełnić wielkie swe plany; pogodzenie katolickiego narodu z prawowitym monarchą, miało być dziełem Klemensa VIII. Dzięki dyplomatycznej mądrości Rzymu, dzięki dobrej woli nowego króla, burza szalejąca od tylu lat nad Francyą ucichła, a rządy nawróconego na wiarę katolicką Henryka IV. stały się ideałem dobrego panowania. Czy autor przypominając dzisiaj te dawne, tak korzystne dla obu stron, a zwłaszcza dla Francyi stosunki między Rzymem a Paryżem, pragnie swym rodakom przypomnieć, czem było dla Francyi papiestwo i czem w niedalekiej chwili być może? W każdym razie nauka ta wypływa sama z siebie z tej mistrzowsko obrobionej kartki dziejów francuskich; a w obec głośno objawiającej się w pewnych wrzekomo patryotycznych kołach niechęci dla Rzymu, jest bardziej niż kiedykolwiek na czasie. *J.*

Die preussische Beamten-und Militär-Herrschaft und der polnische Aufstand im Gr. Herz. Posen im Jahre 1848. *J. Ed. Pehmler.* — Salcburg. 1886.

Rozprawy wyzwane w parlamencie pruskim świeżem a niczem nieumotywowanem prześladowaniem Polaków — wywołały znowu na scenę wypadki 1848 roku. Książe Bismarck kilka razy powoływał się na nie jako na dowód oskarżający nas o ducha buntu i anarchii. Pan Pehmler skrzętnie zebrał fakta dotyczące tej chwili dziejowej i podał nam je w broszurze, którą mamy przed sobą. Autor staje w obronie naszej, a raczej w obronie prawdy dziejowej, z otwartością tak rzadką u Niemca, oburza się i rumieni za swoich współrodaków, za przekręcanie faktów, a czyni to z siłą przypominającą w niektórych ustępach styl Klaczki w jego liście otwartym do Gerwinusa pisanym w 1848 r. p. t. *Die Deutschen Hegemonen.* Główna jednak zaleta broszury Pehmlera leży w jej treści, w zestawieniu faktów dat i cytat wyjętych ze źródeł urzędowych, przez co nabiera ona wartości historycznego niemal dokumentu.

Przypomina w niej autor gwarancye i obietnice króla pruskiego Wilhelma III. co do instytucyj zabezpieczających nam naszą narodowość.. *(Einrichtungen welche die Erhaltung ihrer (polnischer) Nationalität sichern)* — potwierdzonych słowem królewskiem (9 maja 1815), a między innemi pozwolenia używania języka polskiego na równi z niemieckim we wszystkich publi-

cznych sprawach. Następnie szkicuje przed nami kompletną zmianę frontu począwszy od dojścia do władzy Flottwella w 1830 i systematyczne ściskanie elementu polskiego w Poznańskiem: 1) przez zacieranie wszelkich śladów odrębności narodowej, nawet tak niewinnych, jak pozostawienie orzełka polskiego na piersiach czarnego orła pruskiego, — 2) przez wykupywanie kosztem rządu majątków z rąk Polaków i oddawanie ich w dzierżawę wyłącznie Niemcom (*Kabinets Ordre* 15 marca 1833), — 3) przez zmuszanie właścicieli Polaków do subhasty i doprowadzania majątków do ruiny, doraźnym nakazem zwrotu kapitałów wypożyczonych w bankach rządowych jak np.: w kasie Wdowiej etc., — 4) przez usuwanie systematyczne Polaków od urzędów w W. Ks. Poznańskiem.

Nieco dalej zbija autor broszury zarzuty jakoby chłopi polscy szczerze przywiązani byli do króla — tylko przez szlachtę do powstania zmuszeni zostali. Wypisami z współczesnej a wcale Polakom nieprzychylnej *Posener-Zeitung* udowadnia, że nietylko Polacy pierwsi nie wywołali powstania 1848 — idąc w tem tylko za ogólno-europejskim duchem — nietylko nie pałali duchem anarchii i nienawiści plemiennej, ale przeciwnie otwarcie, ręka w rękę, z niemieckim narodem chcieli bronić pogwałconych praw swoich, a bronić na drodze legalnej, o ile można bez krwi przelewu. (Odezwa Komitetu Narodowego do ludu polskiego 20 marca 1848). Nadto że w skutek takiego nastroju porządek nigdzie naruszonym nie został (*Posener-Zeitung* z dnia 20, 21, 22, do 28 marca) i tylko rząd pruski w obawie wojny z Rosyą szukał powodu do walki z Polakami — aby potem na nich winę złożyć.

Kończy wreszcie życzeniem, abyśmy wiernie pielęgnowali w duszy miłość ku ojczyźnie, bo rozwiązanie kwestyi naszej (*Wiederherstellung eines selbstständigen freien Polenreiches*) jest nietylko koniecznością przyrodzoną (*Naturnotwendigkeit*), ale kwestyą życia (*Lebensfrage*) dla Niemiec i całej Europy.

X.

Z pism peryodycznych.

Muzeum, czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Rok 1886.

Z prawdziwą przyjemnością zdajemy sprawę z pisma, o którego pojawieniu się już w zeszłym roku na tem miejscu dłuższą podaliśmy wzmiankę. Życzenia nasze spełniły się. Pismo, pomimo początkowych trudności, nietylko utrzymało się, lecz szersze zyskało koło czytelników, ogólne poparcie ze strony codziennych i peryodycznych pism polskich, a od wysokiego Sejmu subwencyę, co słusznie za największy wyraz uznania jego użyteczności uważać i niem szczycić się należy. Komitet redakcyjny umiał też z chwalebnym taktem rozwiać wszelkie uprzedzenia, jakie początkowo istnieć mo-

gły. Możliwa przedmiotowość w omawianiu spraw bieżących, spokój, poważny ton i ścisłe trzymanie się ram programowych, oto zalety, jakie ryczałtem rzecz biorąc, podnieść i uwydatnić obowiązani się czujemy. Wprawdzie co do jednego z artykułów pochodzących od Redakcyi, mianowicie co do artykułu Szkoła a dziennikarstwo (str. 175) nie pochwalamy zbytniej oględności, jaką Redakcya w obec zanadto drażliwego wystąpienia jednego z dzienników krajowych się powodowała. Jest rzeczą dziennikarstwa śledzić bacznie rozwój naszego szkolnictwa, jako jednej z najważniejszych podstaw bytu i rozwoju narodowego, i zwracać uwagę szerszej publiczności tak na dodatnie jako też na ujemne jego strony. Dziać się to atoli powinno w sposób nie wytykający palcem osobistości, zostających w ścisłej łączności ze szkołą. Zdaje się bowiem, że nie tędy droga do poprawy. Dziennikarstwo powinno ile możności omijać sprawy osobiste, ażeby nie podkopywać stanu całego powagi. Tak sprawy dotyczące kierownictwa, jako też planu naukowego, lub też wyjątkowe anomalie można traktować przedmiotowo i zwracać przez to uwagę tych, w których mocy zapobiedz wszelkim nieprawidłowościom, zaś wszelkie osobiste zaczepki nie godzą się z zadaniem poważnych pism krajowych i nie przyczyniają się bynajmniej do rychłej poprawy wad dostrzeżonych. Redakcya w swoich uwagach zanadto miękkiego użyła pióra i nie dosyć stanowczo wyraziła swoje zapatrywanie na stosunek dziennikarstwa do spraw wychowania publicznego Artykuł wypadł przeto zanadto blado, i wątpimy bardzo, czy zdoła pożądany skutek osiągnąć.

Zresztą pismo, pomimo zmiany głównego redaktora, ani w poszczególnych działach, ani też w tendencyi i formacie nie doznało żadnej zmiany.

Najważniejszy dział stanowią dotąd sprawozdania z pracy w poszczególnych kołach, jakich obecnie Towarzystwo liczy 7, reprezentujących liczbę 545 członków. Ruch w kołach znaczny, a wyrazem zbiorowym tegoż ruchu są kwestye omawiane na trzeciem walnem zgromadzeniu, odbytem r. b. w Krakowie, z których sprawozdanie zawiera 6 i 7 zeszyt wymienionego czasopisma.

Bardzo liczne są także sprawozdania z ruchu literackiego, a coraz nowi spółpracownicy w tym dziale najdobitniej świadczą o pracy umysłowej śród naszego nauczycielstwa. Dzieła tak pedagogicznej

jako też ściśle naukowej treści sumiennemu i wyczerpującemu poddane są rozbiorowi, jak np. Dr. Fried. Paulsen, *Geschichte des gelehrten Unterrichtes* (Dr. Samolewicz) i. t. p.

Z pomiędzy rozpraw oryginalnych najobszerniejsza jest praca A. Chudzińskiego pod tytułem: *Thanatos.* Pojęcia o śmierci i życiu zagrobowem starożytnych Greków. Chociaż monografia jeszcze nie skończona, można już z dotychczas umieszczonych części śmiało o niej powiedzieć, że jest wzorem istnie benedyktyńskiej pracowitości i sumienności. Autor czerpie tak ze źródeł pierwszorzędnych jako też z prac znakomitych filologów, którzy się tym przedmiotem zajmowali, i udatnie i w bardzo poczytny sposób przedmiot przez siebie obrany przedstawia. Jest to piękna monografia, świadcząca pochlebnie o pracy filologicznej w naszej literaturze. Żałować atoli należy, że także inne działy wiedzy ludzkiej dla urozmaicenia treści pisma nie znalazły pomieszczenia.

Do rzędu ważniejszych rozpraw zalicza się także prof. A. Sokołowskiego: Karta z dziejów wychowania publicznego w Polsce w w. XVI. i XVII. Obraz jaki autor pod względem prywatnego i publicznego wychowania roztacza, smutny i ponury. Wielkie jednostki, bardzo malutki ogół. Pocieszać się jednak przynajmniej tem możemy, że nietylko w Polsce, lecz w całej Europie obok wprowadzenia nauk i sztuki na nowe tory, szkolnictwo nie cieszy się równym rozwojem, owszem upada. Główną winę przypisuje autor rządowi, następnie akademii krakowskiej, która zadania swego ani nie pojęła ani też głosów podnoszonych przez mężów jak Szymon Morycki z Pilzna, Frycz Modrzewski i Jakób Górski usłuchać nie chciała. Spólwinnym czyni autor także zakon OO. Jezuitów, „który, jak powiada, rozwinął wprawdzie na początku niepospolitą działalność pedagogiczną, ale wnet potem, schlebiając oligarchii i tolerując jej wybryki, wychowanie publiczne na niewłaściwe tory sprowadził". Gdy nadto ogół nie pojmował wcale doniosłości szkół, i o nie bynajmniej się nie troszczył, rozpoczęły się wędrówki za granicę, jakie możniejsi przedsiębiorą, wychodząc ze zdania, że w szkołach polskich niczego nauczyć się nie można. Wracając z zagranicy przynoszą przy okruchach wiedzy zwyczaje i obyczaje, które do spaczenia charakteru narodowego prowadzą. Z wielkiem uznaniem podnosi autor zabiegi kanclerza Jana Zamoyskiego około podniesie-

nia szkół i kreśli w krótkości zapatrywania tego wielkiego męża na wychowanie, wypowiedziane z okazyi wychowania syna Tomasza, którego poruczył opiece Szymonowicza. Nadto przytacza autor niektóre szczegóły o wychowaniu młodego Ossolińskiego i zapatrywanie Radziwiłła, zwanego Sierotką, na sprawy pedagogiczne.

Poprzestając na krótkiem streszczeniu pięknie napisanej rozprawy, dodajemy tylko, że gdyby autor był miał pod ręką nie wydane podówczas jeszcze dzieło Dra. Wisłockiego, *Liber diligentiarum*, byłby pewnie w niektórych rzeczach sąd swój inaczej wyraził.

Jakikolwiek atoli sąd o szczegółach koło czytających wyda, jednej zasługi, zdaniem naszem bardzo znakomitej, autorowi przytoczonej rozprawy nikt odmówić nie może. Słusznie autor zauważył, że gdy historya polityczna naszego narodu wielkim i zdolnym pracowników szczyci się zastępem i olbrzymim naprzód postępuje krokiem, w dziedzinie dziejów wychowania po już przestarzałej i niekrytycznej Historyi szkół Józefa Łukaszewicza, nic prawie nie uczyniono. Jest to jednak sprawa bardzo ważna. Jeżeli bowiem dla wychowania narodowego w przyszłości cośkolwiek uczynić chcemy, koniecznem jest zapoznać się gruntownie z dziejami wychowania w przeszłości. Nadto rozpoznanie tej strony narodowego życia nie pomału może się przyczynić także do rozświecenia pewnych ciemnych dotychczas stron historyi politycznej, jak słusznie autor powiada: „Czynnikiem tym jest wychowanie publiczne i prywatne, którego umiejętna historya niejeden przesąd mogłaby obalić niejedną zagadkę wytłumaczyć i niejedną chwilę ciemną dziejów naszych rozjaśnić“. Głos autora nie powinien przebrzmieć bezskutecznie.

Zajmującą, a dla kół kompetentnych uwagi godną jest rozprawa prof. K. Fischera. Autor zastanawia się nad wymiarem i rodzajem lektury greckiej w gimnazyum wyższem, i poddaje krytyce materyał zawarty w nowych instrukcyach. Zupełnie słusznie sprzeciwia się czytaniu Herodota. Obok innych, najważniejszym jest powód, że czas na lekturę tego autora wyznaczony nawet nie jest dostatecznym, ażeby trudności gramatyczne, jakie narzecze staro-jońskie ze sobą przynosi, pokonać, nie mówiąc już, ażeby tyle z tego autora i tak przeczytać, iżby lektura istotnie kształcąco oddziałać mogła. Autor sprzeciwia się także rozszerzeniu lektury Demostenesa. Jest to bowiem pisarz pod każdym względem zatrudny i przechodzący

możność największej części uczniów. Zanim uczeń przez wszystkie wyjaśnienia gramatyczno-stylistyczne i rzeczowe przebrnie, pierwej zupełnie autora obrzydzić sobie może. Mając wszelką cześć dla potęgi charakteru i słowa Demostenesa, twierdzimy bez wahania, że on dopiero dojrzalszego wieku może się stać przewodnikiem i oblubieńcem. Autor zgadza się na lekturę Demostenesa tylko warunkowo, i przemawia za przeniesieniem tejże do klasy najwyższej, a i to tylko w tym razie, gdy warstwa uczniów za odznaczającą się rzeczywiście w przeważnej części lepszem uzdolnieniem i przygotowaniem uchodzić może. Za to przemawia autor gorąco za rozszerzeniem lektury Xenofonta i Sofoklesa, jako pisarzy najbardziej odpowiednich i przystępnych dla młodzieży gimnazyalnej, w czem się w zupełności zgadzamy.

Bardzo udatnie a nawet dowcipnie napisana jest rzecz prof. Matusiaka O nauce gramatyki języka polskiego w wyższem gimnazyum. Skreśliwszy stan dotychczasowej nauki gramatyki, i wyświeciwszy jej wadliwe strony, zastanawia się gruntownie nad zadaniem gramatyki szkolnej w ogóle. Gramatyka powinna strzedz czystości i nieskazitelności ojczystego języka, stać na straży jedności literackiego języka, budzić poczucie ojczystej mowy, łączyć teraźniejszość z przeszłością, budzić miłość ojczystej mowy, w ogóle stać się jednym z najważniejszych środków nietylko dydaktycznych, lecz także pedagogicznych. W końcu podaje autor zakres nauki, metodę i środki do jej przeprowadzenia. W rozkładzie materyału naukowego mielibyśmy, co do bardzo nielicznych szczegółów nieco odrębne zapatrywanie, o czem jednak na innem miejscu pomówić wolimy, tymczasem zaś polecamy rzecz wytrawnie i z życiem napisaną ogólnej rozwadze i uwadze.

Wspomnieć wypada, że w tegorocznem „Muzeum“ także próby dydaktyczne znalazły pomieszczenie. Tak rozbiera prof. Tretiak metodycznie koncert myśliwski, ustęp z „Pana Tadeusza“, zaś prof. Zawiliński przeprowadza w równy sposób rzecz o skutkach analogii w deklinacyi rzeczowników. Jak drobiazgowa analiza w rzeczach gramatycznych drogą indukcyi jest uprawnioną, tak co do nicowania arcypięknych miejsc poetycznych, stajemy bez wahania po stronie dyrektora Trzaskowskiego, który w uwagach napisanych z okazyi wymienionego rozbioru, powiada (str. 136): „Z chwilą,

kiedy się rozpoczyna analiza tej piękności, niknie jej urok i słabnie jej podnosząca i uszczęśliwiająca siła".

Nie mogąc wszystkich prac umieszczonych w tegorocznem *Muzeum* rozbierać, życzymy, ażeby ich czasopismu nigdy nie brakło, i ażeby stały się w przyszłości podstawą rzetelnego wykształcenia i wychowania narodowego.

Dr. K. Petelenz.

Rozmaitości.

Grób ludzki z okresu paleolitycznego.

Archeolodzy rozróżniają dwa wielkie działy w okresie kamiennym: dział paleolityczny i dział neolityczny; obydwa odnoszą się do antropologii. Kształt czaszki i szkieletu ludzkiego, szczątki kości współczesnych zwierząt, rodzaj narzędzi i pozostałości wyrobów ręki ludzkiej służą za znamiona charakterystyczne każdego z tych działów. Pierwszy z nich uważany jest za współczesny z czwarto-rzędnym okresem geologicznym, drugi jest późniejszy. Szczątki ludzkie z okresu neolitycznego znajdowano najczęściej w grobach; wyprowadzano stąd wniosek, iż lud z owej epoki miał cześć dla zmarłych, z którą koniecznie wiązało się pojęcie religijności. Transformiści nie przeczyli tego wniosku, lecz zarazem twierdzili, że troglodyci z epoki paleolitycznej nie grzebali swych umarłych, a więc żadnego pojęcia religijności nie mieli: profesor antropologii de Mortillet stanowczo utrzymuje, iż pojęcie religijności zostało przyniesione ze Wschodu, wraz z przybyciem ludów neolitycznych [1]. To mniemanie zbyt pohopnie zostało wyprowadzone.

W r. 1884 pp. Julien i Bonfils odkryli w jaskiniach Mentony szkielet ludzki; otoczenie, w jakiem się znajdował, oraz szczątki przemysłu znalezione obok, zniewalało wyż wspomnianych archeologów zaliczyć go do okresu paleolitycznego — nadto szkielet ten spoczywał w grobie. Co do drugiego punktu nie było żadnej wątpliwości, trudności odnosiły się jedynie do dokładnego oznaczenia jego

[1] Ob. Le préhistorique. Paris, 1883, p. 613.

starości. Naturalnie, że transformiści obniżali czas jego pochodzenia i zaliczali go do okresu neolitycznego. Żwawe toczyły się i jeszcze się toczą spory między dwiema przeciwnemi szkołami. Po stronie Julien'a i Bonfils'a, oprócz innych, stanął Wilson, i na posiedzeniu *The British Association*[1] dowodził paleolitycznego pochodzenia szkieletu. Za tem zdaniem przemawia zresztą cały szereg wykopalisk w jaskiniach Mentony, dokonany i opisany przez E. Rivier'a[2]: zaliczone one zostały wszystkie do okresu paleolitycznego.

W tym sporze naukowym znać ze strony transformistów aprioryzm i brak objektywności. Na grzebanie umarłych z okresu paleolitycznego żądają dowodów niewiedzieć jak przekonywających i stawiają trudności bez końca. Lecz skoro chodzi o ich własne przypuszczenie, to albo je stawiają gołosłownie, albo je wspierają dowodami, które niczego nie dowodzą. Ten sam p. Mortillet, który tak twardym okazuje się w przyjmowaniu obecnych odkryć, jest właśnie wynalazcą słynnego *Précurseur tertiaire de l'homme*, zwierzęcia, które łupało krzemienie i używało ognia. Ów *Précurseur* spoczął już w grobie obok Haeklowskiego *Bathybiusa;* ale Mortillet nie stracił widać nadziei wskrzeszenia go. Na posiedzeniu „Towarzystwa antropologicznego", 19 lut. i 5 mar. r. z., opierając się na połupanych krzemieniach z Thenay, dowodził istnienia człowieka trzeciorzędowego, a raczej jego przesłańca zwierzęcego. PP. d'Acy i de Nadaillac utrzymywali, że krzemienie okazywane mogły być rozłupane przypadkowo, skutkiem przyczyn naturalnych, że nie przedstawiają żadnych narzędzi, któreby usprawiedliwiały przypuszczenie działalności celowej istoty rozumnej. De Mortillet starał się odbić ich zarzuty odpowiedzią, którą podajemy tu w dosłownem tłumaczeniu, według urzędowego sprawozdania, zamieszczonego w *Bulletin de la Societé anthropologique* (t. VIII., 3-me Série, p. 180). Jestto charakterystyczny obraz śmieszności, jaką się okryć może umysł błędną teoryą uprzedzony: „Pytają mnie, mówił Mortillet, do czego mogły służyć drobne narzędzia z Thenay? Mógłbym odpowiedzieć iż nic o tem nie wiem, nie jestem bowiem w tem samem otoczeniu, ani też nie mam tych samych

[1] *Nature, an illustrated journal of science*, 25 paźdz. 1885, p. 588.

[2] *Découverte d'un squelette humain de l'époque paléolithique...* Paris 1873. *De l'Antiquité de l'homme dans les Alpes Maritimes*, Paris 1879.

potrzeb, jakie posiadało zwierzę, które je łupało. Jednakże przedłożę wam wyjaśnienie, które choć może nie być całkowicie prawdziwem, posiada jednak znamiona możliwości a nawet prawdopodobieństwa. Wyjaśnienie to nie pochodzi ode mnie, było mi poddane przez jednego z naszych towarzyszy, p. Nicole. Krzemienie obrabiane z Thenay przedstawiają się jako ostrza i skrobaczki. Jak dobrze zauważył p. d'Acy, skrobaczki te nie mogły służyć do wyprawy skór, ani ostrza do ich przedziurawiania by przygotować pętlice. W okresie mijocenicznym było dosyć ciepło, inteligentne zwierzę, które je wyrabiało, nie potrzebowało okrycia. I tem mniej go potrzebowało, iż było więcej włochate aniżeli człowiek. Lecz tem samem zwierzę to posiadało więcej pasorzytów aniżeli człowiek, który już tyle ich posiada. Skrobaczki i ostrza służyły do skrobania się, kiedy swędzenie stawało się nieznośnem (sic)".

Święto Pozytywistów.

Jak człowiekowi religia potrzebna, a do jakiej religii dochodzi, pożegnawszy się raz z chrześcijaństwem, tego najlepszym dowodem pozytywiści. Opis pozytywistycznej uroczystości, odbytej w ostatnim czasie, w Paryżu, wygląda na satyrę, a jednak, jest we wszystkich szczegółach prawdziwym.

Piątego września 1886, czyli wyrażając się wedle pozytywistycznego kalendarza: „24 Gutenberga 98 r.", zeszli się paryscy pozytywiści na cmentarzu Père-Lachaise, aby uczcić 29-letnią rocznicę śmierci założyciela swego Augusta Comte'a. Na grobie mistrza wyryta dewiza pozytywizmu:

„Miłość początkiem, porządek fundamentem, postęp celem".

Nieco niżej:

„August Comte i jego trzej Aniołowie".

Aniołami tymi, jak ich sam Comte nazywał, była matka jego, przyjaciółka Klotylda de Vaux i służąca, a raczej „przybrana córka", Zofia Bliaux. Zgromadzeni w liczbie stu pięćdziesięciu, złożyli na grobie dwa wieńce, jeden z imieniem mistrza, drugi z imionami trzech Aniołów, mimo iż Aniołowie gdzieindziej są pogrzebani.

Następnie rozpoczęła się długa pielgrzymka od jednego do drugiego grobu, licznie pochowanych tu pozytywistów, a przy każdym grobie słuchali zebrani krótkiej przemowy. Na mogile Klotyldy piętrzyły się całe stosy bukietów z napisami: Świętej Klotyldzie, i wieńców z żółtych nieśmiertelników, z napisami: Naszej Matce.

Drugi akt uroczystego obrzędu odbył się o drugiej po południu w dawnem mieszkaniu mistrza. Posiedzenie rozpoczęło się hymnem na cześć święta Ludzkości, zapisanego na jednym z pierwszych miejsc w pozytywistycznym kalendarzu:

„W imię Ludzkości!...

...„Poznajemy dobrodziejstwa wspólnej naszej matki, Ziemi, „a oddając cześć planecie na której mieszkamy, czcijmy również „gwiazdy tworzące nasz system słoneczny. Od wspomnienia tego, „od świata naszego, nie odłączajmy pojęcia przestrzeni, której ko„rzyść tak wielka w czasach przeszłych, ma wzróść jeszcze dla na„naszego udoskonalenia rozumowego i moralnego, stając się siedli„skiem praw oderwanych, stanowiących przeznaczenie“...

Hymn, ciągle na tej samej wysokości bujający, co zacytowana zwrotka, kończył się entuzyastycznym okrzykiem na cześć Comte'a. Potem wstąpił na trybunę p. Piotr Laffitte, a odczytawszy listy i adresa pozytywistów londyńskich i new-jorskich, rozpoczął konferencyę o istocie i zadaniu pozytywizmu:

„Czemże jesteśmy? Czy pozytywizm, jak sądzą niektórzy, jest „źle sklejonym zbiorem nauk zewsząd zebranych: z najrozmaitszych „systemów filozoficznych, z najbardziej wzajemnie wykluczających „się religij? ...Nie! pozytywizm nie jest tą śmieszną syntezą; jest „dziełem oryginalnem, nowem pojęciem postępu, do którego ludz„kość dojść powinna; jest sobą samym, jest pozytywizmem... Po„zytywizm jest najpierwszą religią, która potrafiła się obejść bez „nędznych pojęć o nadgrodzie i szczęściu wiecznem i nałożyła czło„wiekowi obowiązek życia dla istot zbiorowych, jednocząc się „z ich czynnością...

„W rozwoju swym pozytywizm napotyka na dwie jednakowo „silne zapory: 1) na zaporę wewnętrzną, będącą koniecznym wyni„kiem powolności, z jaką mózg może się modyfikować; 2) na za„porę zewnętrzną, pochodzącą z przeszkód stawianych przez mnó-

„stwo przyczyn, a zwłaszcza przez religie, które nie chcą ani się „poddać, ani zniknąć".

Wieczorem odbył się trzeci i ostatni akt pozytywistycznej komedyi, przy hucznym bankiecie. Pito na zdrowie pozytywizmu i na zjednoczenie pozytywistów całego wszechświata. Trzeci ten akt był wesołym, ale bez porównania mniej śmiesznym od dwóch poprzednich, dlatego bliżej nie będziemy go analizować.

Ciekawa rzecz, czy i kiedy, jakaś grupa pozytywistów warszawskich, zapatrując się na paryskich swych mistrzów i kolegów, zechce nas zabawić podobnem widowiskiem?

Dwa listy Lorda Churchilla do Szkockiego Związku Protestanckiego.

Jak wiadomo w niedawno ukonstytuowanym gabinecie angielskim, ministrem spraw wewnętrznych *(Home Secretary)*, został katolik, P. Matthews. Wypadek ten, pierwszy od niepamiętnych czasów, poruszył do żywego pewne protestanckie koła, a zwłaszcza Szkocki Protestancki Związek, który uznał nawet za stosowne uroczyście zaprotestować w liście do Lorda Churchilla, przeciw „wynoszeniu Rzymskich katolików na wyższe stanowiska, dające w rękę siłę i domagające się zaufania korony, ponieważ papiestwo zdąża do osiągnięcia powszechnej supremacyi nad panującymi i ich poddanymi, ponieważ książęta protestanccy nie mogą nigdy liczyć na zupełne posłuszeństwo Rzymskich katolików, i ponieważ nakoniec niezaprzeczalnym celem papiestwa jest poddać Anglię pod panowanie Watykanu".

Nie pierwszy raz protestanci występują z podobnemi bredniami, i zwracać na nie uwagę nie byłoby żadnej przyczyny, gdyby Lord Churchill, jako można się było spodziewać, rzucił był list do kosza a następnie odpowiedział Związkowi grzecznie lecz wymijająco, że odezwę otrzymał, za troskliwość dziękuje, ale że o los panującej religii obawiać się nie należy i t. p. Odpowiedź brzmiała inaczej. jasno a twardo: „Mogę wyrazić tylko zdziwienie i żal, że ludzie „uważający się za rozumnych i wykształconych, doszli w dzisiejszym „wieku cywilizacyi i powszechnej tolerancyi, do wniosków tak nie-

„rozumnych i bez sensu *(irrational and senseless)* jak te,' które „zostały mi przedłożone".

Można sobie wystawić burzę, jaka powstała w Glasgowie, głównej siedzibie Związku, po otrzymaniu odpowiedzi szlachetnego lorda. Jakiś pastor napisał piorunujący list do ministra, a prezes Związku w długiej, spokojniejszej, ale nie rozumniejszej apologii, usiłował wytłumaczyć siebie i swych towarzyszów i ostatecznie przekonać Churchilla, że katolicyzm jest groźnem dla państwa niebezpieczeństwem. Na list pastora nie było co odpowiadać; prezesowi odpisał Churchill grzecznie, przepraszając, że nie myśli i nie może podążyć za nim „na pole ostrej teologicznej polemiki, do której tak uprzejmie go zaprasza". W innych bardziej sprzyjających okolicznościach, znalazłby może pewien powab w tych utarczkach, obecnie jednak ograniczyć się musi do potwierdzenia swego poprzednio wypowiedzianego zdania. „Zapatrywania Prezesa Związku, „doprowadziłyby nas w swych logicznie praktycznych następ- „stwach do odwołania wszystkich uchwał parlamentu, przywra- „cających rzymskim katolikom odjęte im poprzednio polityczne „prawa, a do przywrócenia wymierzonych przeciw wiernym podda- „nym katolickiego wyznania praw karnych, o których znaczna „większość ludu angielskiego radaby zapomnieć".

Ciekawa ta wymiana listów bardziej jeszcze cechuje obecne stosunki w Anglii, niż sam nawet wybór katolika na posadę ministra spraw wewnętrznych. Szkoda, że Szkocki Związek Protestantów zaprzestanie prawdopodobnie dalszej korespondencyi, bo każdy nowy jego list domagający się prześladowania na katolików a straszący papieżem, jak niegdyś za czasów Elżbiety, coraz bardziej zbliżałby musiał rozumnych Anglików do katolickiego kościoła.

Upadek moralny, sztuka i widowiska teatralne warszawskie.

Ateneum warszawskie w kronice miesięcznej ostatniego swego zeszytu występuje przeciw cynizmowi zepsutej młodzieży, artystom nadużywającym sztuki, i przedstawieniom teatralnym szerzącym rozpustę. „Ten sam człowiek, pisze p. Straszewicz, któremuby wspo-

mnienie bezwiednego nawet oszustwa wypiekło rumieniec wstydu na twarzy, z zupełnym spokojem sumienia przyzna się do wykroczenia przeciwko szóstemu przykazaniu. Opowiadania prawdziwych i niebywałych zwycięstw, tryumfów kawalerskich, podniecają wyobraźnię, pobudzają ambicyę i bez najmniejszej kwestyi przyczyniają się do występków popełnianych później... „Kolce“ i „Muchy“ nie mogą się obyć bez schlebiania i rozdmuchiwania cynizmu, przenikającego w wielkich miastach poglądy na życie. Tam nie można napotkać numeru, ażeby ołówek artystów, niewstydzących się podpisać nazwiska, nie uznał za konieczne budować prenumeratorów i czytelników widokiem elegancko upończoszkowanych nóżek, lub obnażonych piersi“...

Uznając całą zasługę p. Straszewicza za jego oburzenie na te niegodziwości, żałujemy bardzo, że nie sięgnął głębiej do źródła złego, nie starał się zbadać i wykryć przyczyn sprowadzających takie następstwa; żałujemy zaś głównie dlatego, iż bezstronne jego badania doprowadziłyby go pewnie do wniosku, że tak on sam, jak i kółko przyjaciół mających te same co on przekonania i dążności, bezwiednie może, ale rzeczywiście i skutecznie przykładają rękę do tego rozstroju spółczesnego. Ateneum należy do prasy tak zwanej liberalnej warszawskiej, a jakkolwiek nauką i powagą stoi wyżej od „Przeglądu tygodniowego“ i „Prawdy“, tenże sam ma kierunek i dążności, mianowicie wyrugowanie Boga i religii chrześcijańskiej z głowy swych czytelników. Otóż, ponieważ społeczeństwo bez Boga zawsze i wszędzie stało bardzo nisko moralnie, i z istoty swojej stać bardzo nisko musi, stąd też dążenia ateistyczne prowadzą do upadku moralnego.

Wszelkie nawoływania do moralności zsekularyzowanej, do jakiegoś altruizmu, są czczemi tylko frazesami. Nie brakło filozofów w pogaństwie, jak i dziś nie brak filozofów, którzy przepisywali i przepisują ludzkości różne recepty na wykorzenienie złego; nie wyleczyli choroby pierwsi, drudzy też liczyć nie mogą na ich skutek. Nauki, sztuki, oświata nie pomogły poganom, a nawet wręcz przeciwny skutek wywołały, z rozwojem cywilizacyi materyalnej wzmagał się rozkład wewnętrzny i moralny upadek. Jakże wysoko stały stare cywilizacye z nad Nilu i Eufratu! Któż dziś jeszcze nie podziwia tych olbrzymich pałaców, świątyń, piramid, czyjeż oczy

nie są olśnione bogactwem pomysłów, zręcznością dłuta i artystycznego wykończenia tych rzeźb, które kilkadziesiąt wieków spoczywały w piaskach Mezopotamii, mamy przed sobą całe ówczesne biblioteki, a nawet systematyczne katalogi tychże, a jednakże rozczytując się w tych księgach i rozpatrując w tych pomnikach wyrywa się z ust zimnego asyryologa głos potępienia i oburzenia: „Cóż może być bardziej dzikiego i okrutnego! czyż podobnie oburzające czyny odnaleść można nawet w najniżej stojących pokoleniach Oceanii lub środkowej Afryki! A jednakże dzieje się to wszystko w pysznej Niniwie. O! stokroć lepsze barbarzyństwo aniżeli taka oświata“ [1].

Czy w Grecyi i Rzymie będzie lepiej, czy z postępem kultury pójdzie w parze postęp moralny? Bynajmniej. Przypatrzmy się epoce Cezarów. Rzym przywłaszczył sobie wszystko, wszystkie ziemie i wszystkie kultury, posiadł wszystko co tylko Egipt, Azya i Grecya dać mu mogły, a jednakże ten Rzym pod względem moralnym jest stekiem niegodziwości i okrucieństwa. Najohydniejsze morderstwa i najwstrętniejsze rozpusty. Cezarowie mordują własne matki, braci, siostry, całe rodziny, sami zaś mordowani są przez nasłanych siepaczy. Z czterdziestu trzech członków rodziny Cezarów, trzydziestu dwóch ginie od trucizny, sztyletu i głodu. A jakie obyczaje! Nie posiadamy w języku naszym wyrazów do oznaczenia rodzaju rozpust, jakich wśród białego dnia, według programu z góry przewidzianego i zatwierdzonego dopuszczali się ci władcy świata, a przytem wysoko wykształceni. Tyberyusz był literatem, Kaligula mówcą, Neron, Heliogabal artystami. Cezarowie zaś nie byli wyjątkami: uczeni i nieuczeni, patrycyusze i plebejusze, cały lud brał udział w tych bezprawiach. „Z krwi i błota stary świat!“.

Politeizm pogański nie mógł nałożyć wędzidła namiętnościom ludzkim, przeciwnie raczej, bogowie ich krwiożerczy i rozpustni byli przykładem, zachętą i bodźcem do wszelkiej niegodziwości. Ateizm nowożytny zbyt jest jeszcze młodym, aby na wielką skalę mógł wydać dojrzałe owoce, jeżeli jednak mamy sądzić z dzisiejszych zawiązków, wróżyć już można o przyszłych zbiorach. Komuna paryska dała nam przedsmak tego społeczeństwa, do jakiego doprowadza ru-

[1] E. Babelon, *Hist. anc. de l'Orient*, t. IV. p. 170.

gowanie Boga i religii z rozumu i serca; *a priori* tego samego spodziewać się należało.

Ateizm wzięty oderwanie, będąc czystem przeczeniem może nie poleca z istoty swojej niemoralności — lecz wzięty konkretnie w człowieku, takim jakim on jest, staje się dźwignią niemoralności. Serce ludzkie skłonne jest do złego. Chrześcijanie wiedzą to dobrze. Św. Paweł tak wyraźnie to wypowiedział: *Widzę inszy zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi umysłu mojego, i biorący mię w niewolę, w zakonie grzechu, który jest w członkach moich;* lecz każdy, nawet nie wierzący ale myślący, na sobie samym i na innych tę prawdę mógł stwierdzić. W młodzieńczych już latach następuje walka rozumu z sercem, obowiązków z żądzami. Co zwycięży? Wszelkie ideały nie oparte na rzeczywistości, nikną w obec realizmu. Skoro człowiek uznaje używanie jako cel życia, nie istnieją już wówczas granice jego nadużyć. Pragnienia jego są nienasycone a zarazem żądne nowości; uciechy dozwolone zastąpione są niebawem przez niedozwolone, używanie zgodne z prawem natury przez inne przeciw naturze, co dawniej wstręt w nim wzbudzało staje się obecnie pociągającem, na co dawniej same zmysły się oburzały, teraz też zmysły nurzają się w tym kale. Prąd namiętności po zniesieniu tamy pogrąża koniecznie w otchłań występku. Taką jest pokrótce droga jaką przebiega występny. Niedowiarstwo prowadzido rozpusty.

Liberalizm widzi złe, chciałby je usunąć, lecz recepty jego, miasto usuwać, szerzą i potęgują chorobę. Receptą przepisaną w naszych czasach był teatr. Gorliwie chwycono się tego środka, i oto dziwne uderza nas zjawisko. Każde miasto, jeżeli nie chce uchodzić za ostatnie, pragnie mieć swój teatr, naturalnie wspaniały, rady miejskie obradują nad wynalezieniem funduszów, sejmy krajowe rocznemi datkami przyczyniają się do ich utrzymania. Dzienniki i pisma peryodyczne całe łamy poświęcają sprawozdaniom z koncertów, teatrów i różnych widowisk. Ten przedmiot nietylko zajmuje znaczną część każdego pisma, ale traktowanym jest *con amore* a nawet z niezwykłem uwielbieniem. O artystach i artystkach śpiewających, grających, deklamujących i tańczących pisze się więcej, aniżeli o mężach uczonych, lub mężach stanu. Teatr ma wzniecać ideały, podtrzymywać narodowość, szczepić moralność; autorstwo i aktorstwo jest rodzajem kapłaństwa. Biada takiemu nawet La-

mowi, skoro się ośmieli porównać aktora z zecerem, jego liberalni przyjaciele tego mu nie darują. Czy rzeczywistość odpowiedziała oczekiwaniom? P. Straszewicz w swej kronice uchyla nieco kurtyny teatralnej i prostem opowiadaniem faktów wykazuje zepsucie moralne, jakie szerzą teatralne widowiska. „Proszę zajść, mówi on, do *Belle-vue*, lub gdziekolwiek na przedstawienie pierwszej lepszej operetki i przekonać się, jakiem uznaniem otaczają widzowie każdy dwuznaczny ruch aktorki, jaką uciechę sprawia każdy tłusty koncept; prawdziwa burza oklasków akompaniuje zawsze tryumfalnemu hymnowi zręcznej zdrady, wyśpiewanemu w formie kupletu. Atmosfera rozpusty, jak wyziewy szynkowniane, przenika nawskróś każdego, kto się w nią zanurzył, to też te miazmaty zepsucia łatwo przenoszone bywają do wnętrza rodzin i tam się plenią nieraz potwornie. Widziałem maleńką dziewczynkę, jak nierozumiejąc, powtarzała z *Gasparone*: ‚Ty panie mężu pod drzwiami stój, u żonki bawi przyjaciel twój', czy coś podobnego; matka i całe otoczenie było zachwycone. Działo się to nie w budce stróża, ani w warsztacie szewskim". Cały powyższy ustęp komentarzy nie potrzebuje. Wprawdzie p. Straszewicz mówi w nim o „Małym teatrze" i teatrzykach, lecz czy i o „Wielkim", czy o innych, jeżeli nie to samo, przynajmniej czegoś podobnego nie możnaby powiedzieć?! Zapewne, nie każda sztuka jest, według wyrażenia p. Straszewicza, „farsą francuską, wabiącą cynicznym dowcipem i urokiem rozpustnej kokoty"; zapewne, pomiędzy aktorami i aktorkami znajdują się osobistości zasługujące na szacunek i poważanie, choć wtajemniczeni na ucho tylko rozpowiadają sobie zakulisowe tajemnice, jednakże wynosić teatr do rzędu instytucyj narodowych i wychowawczych, uznawać w aktorach jakiś rodzaj kapłaństwa, wytwarzać jakiś kult, to już zakrawa na pogaństwo. Nie, sami nawet poganie tego nie czynili. Rzymianie wołali „chleba i igrzysk", jedli i bawili się, byli przynajmniej szczerymi. Teatr był i jest tylko rozrywką. Każda zabawa może być uczciwą i niewinną, lub też niecną i rozpustną, w najlepszym tedy razie teatr jest tylko rozrywką dozwoloną. Godność nasza narodowa i godność chrześcijańska z oburzeniem odrzuca wszelkie zachcianki, dążące do stawiania teatru na piedestale społecznym i moralnym.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika do biskupów Węgierskich. — Kongres katolików niemieckich w Wrocławiu. — Kwestya powrotu zakonów do Niemiec.

W licznym szeregu encyklik Leona XIII., ostatnia *Quod multum* do biskupów węgierskich, odrębne, a bardzo ważne zajmuje stanowisko. Francya, Włochy, Prusy, Hiszpania, Anglia, Irlandya, otrzymały z kolei zbawienne rady i napomnienia papieskie; dziś, z okazyi dwóchsetnej rocznicy uwolnienia Budy z pod przemocy tureckiej, zwraca się Ojciec św. do Węgrów, przypominając im dawne ich katolickie tradycye dziejowe, opatrznościową rolę wyraźnie przez Boga w dziejach świata im wyznaczoną; ale ukazując zarazem rozliczne złe toczące koronę św. Stefana, uczy jak temu złemu należałoby zapobiedz. Istotnie, jeśli kto, to katolicy węgierscy potrzebowali tej nauki i nowej zachęty do walki z wrogiemi żywiołami, których przewaga w Węgrzech, coraz jest niestety widoczniejszą. Od lat mniej więcej piętnastu, prawodawstwo węgierskie stanowczo schodzić zaczęło z drogi wytkniętej przez chrześcijańskie zasady; postawiło sobie za cel jasny, a w znacznej części dziś już dopięty, usunięcie szkół z pod wpływu duchowieństwa, szafowanie dobrami kościelnemi na cele niekatolickie, obsadzanie wyższych urzędów i katedr profesorskich kalwinami i Żydami, słowem zaprowadzenie gospodarki masońsko-liberalnej. Dopiero przed dwoma laty, z okazyi projektu nowego prawa o małżeństwach między Żydami i chrześcijanami, ka-

tolicy ocknęli się i zaprotestowali raz wreszcie energicznie przeciw tym zachciankom daleko już sięgającym. Pokazało się, iż więcej jest w Węgrzech szczerych katolików, niż loża obrachowała; to też od tej chwili nastąpił na całej linii, jeśli nie odwrót, to przynajmniej chwilowy rozejm; od tego czasu nie słyszeliśmy o nowych jakichś ważniejszych usiłowaniach podjętych w Węgrzech przeciw Kościołowi. Ale z natury rzeczy jest to tylko zawieszenie broni, nie stały pokój; masoni węgierscy czekają rychło nieujęte dotąd w silną organizacyę stronnictwo katolickie, rozejdzie się, nie widząc bliskiego niebezpieczeństwa; katolicy znowu prędzej czy później pomyśleć muszą o odzyskaniu straconych pozycyj.

W tej chwili, niebezpiecznej bo przejściowej, odzywa się Leon XIII., a stawiając dziwnie jasny, apostolską śmiałością nacechowany program, nawołuje dzisiejszych Węgrów do wspólnej walki za to, za co walczyli ich przodkowie przed dwóchset laty, — za Boga i ojczyznę. Wespół z wiarą, mówi Papież, zrodziła się wasza ojczyzna; pod jej opieką i przewodnictwem doszła do chwały i znaczenia; i dziś trwa w niej wiara katolicka i cześć dla stolicy Apostolskiej, której tyle w historyi swej zawdzięcza; ale również zamilczeć nie możemy, że groźny nieprzyjaciel usiłuje wszelkiemi sposobami skarb ten wam wydrzeć. Nieprzyjacielem tym jest: racyonalizm, naturalizm, socyalizm, rozgałęzione szeroko towarzystwa tajne. Węgry nie widziały wprawdzie jeszcze zaburzeń socyalistycznych, jakich widownią były dopiero co inne państwa europejskie, ale ruch antysemicki, do dziś dnia w zarodku niestłumiony, to jakby przegrywka do powszechnej strasznej w następstwach burzy. Stąd Leon XIII. szczególną zwraca uwagę na niebezpieczeństwa socyalizmu, owej nieoglądającej się na nic walki ubogich przeciw bogatym, której chciwy Żyd tyle postępowaniem swem palnego materyału podaje. Ale ani socyalizmu nie zwycięży, ani innych społecznych zagadek nie rozwiąże, kto Kościołowi nie ufa, a na naukę jego zawsze podejrzliwem okiem spogląda. Wyraźnym takim aktem nieufności jest prawo utrudniające wolność przejścia z jednej religii na drugą, a skierowane wprost przeciw religii katolickiej; wyraźniejszym jeszcze miało być prawo o małżeństwach między chrześcijanami a żydami, które dopiero w izbie wyższej natrafiło na skuteczny opór; najwyraźniejszym jest systematyczne pozbawianie szkół charakteru wyznaniowego. Od lat

ośmnastu szkoła węgierska zdąża coraz szybciej do zupełnego spoganienia; w r. 1868 wszystkie szkoły były wyznaniowe, dziś około pół trzecia tysiąca szkół szczyci się nazwą szkół „świeckich, neutralnych, mieszanych“, a co najsmutniejsza, „neutralne“ te, czyli co na jedno wychodzi, antychrześcijańskie szkoły istnieją groszem zabranym z kościelnych fundacyj. Z prawa Bożego i ludzkiego do biskupów należy zarząd nad szkołami, zwłaszcza nad temi, które z woli fundatorów miały być zakładami katolickiemi; mogą więc i powinni biskupi starać się wszelkiemi siłami o wrócenie im tego zarządu. Mają go przecież akatolickie sekty; a niepodobna przypuścić, aby w królestwie św. Szczepana, heretycy większe mieć mieli przywileje od katolików.

Dając Węgrom program walki z toczącym je liberalizmem i wolnomularstwem, piętnuje w szczególności Papież, najsilniejszy, nie pierwszy raz ze skutkiem przez nowożytnych pogan używany środek — sekularyzacyę małżeństwa i szkoły. Że papież trafił w samo jądro rzeczy, wykazuje stanowisko, jakie zajęła względem encykliki węgierska prasa. Jeden jedyny szczerze katolicki organ *Magyar Allam*, nie miał dość słów na podziękowanie Ojcu św. za jasną, nie podlegającą już żadnym wykrętnym tłumaczeniom naukę: odtąd katolicy węgierscy wiedzieć będą czego się mają trzymać, co sądzić o tych, którzy podstępnie, odwołując się do umiarkowania Rzymu, usiłują powstrzymać ich w walce *pro aris et focis*. Zresztą, cała prasa nie tylko żydowska — liberalna, ale nawet półurzędowa wpadła w zamęt, z którego dotąd nie udało jej się wydobyć. Z jednej strony należało papieżowi okazać wdzięczność, że encykliką swą wziął tak uroczysty udział w rocznicy uwolnienia Budy; z drugiej strony nie można mu było darować średniowiecznej, a z taką siłą wypowiedzianej nauki o stosunku Kościoła do państwa, rodziny i szkoły. Przez parę dni zakłopotane dzienniki zachowywały wzorowe milczenie, dopiero na sygnał dany przez *Neue Freie Presse*, wystąpiły na linię bojową.

Neue Freie Presse, a za nią zgodnym chórem żydowskie dzienniki wiedeńskie, uważają encyklikę za wypowiedzenie wojny urzędowym Węgrom. Dotąd panowała najzupełniejsza harmonia między władzą duchowną a świecką — encyklika papieska harmonię tę psuje, otwiera erę wyznaniowej wojny. Zarzuty te odparł zwycięzko *Vater-*

land, a za nim *La Correspondance politique*, wiedeński organ ministeryum spraw zewnętrznych; natomiast również ministeryalny *Pesti Hirlap*, i półurzędowy *Pester-Lloyd* i *Nemzet* uważały za najstosowniejsze przyłączyć się do falangi kierującej się wskazówkami danemi przez *Neue Freie Presse*. Papieżowi, piszą te dzienniki, winniśmy wdzięczność za dobrą jego wolę, ale biskupi dali mu złe i fałszywe informacye, nie bacząc, że w ten sposób otwierają drogę węgierskiemu kulturkampfowi. Rząd poradzi sobie z socyalistami i rad papieskich w tym względzie nie potrzebuje; tem mniej zaś może dozwolić, aby papież miał wpływać na węgierskie prawodawstwo. Jeszcze raz dzięki za dobrą wolę, ale wolelibyśmy stokroć, aby papież swej encykliki nie wydawał i nie psuł nam nią narodowej uroczystości.

Rzecz charakterystyczna, że właśnie urzędowe węgierskie dzienniki najostrzej i najbezwzględniej przeciw encyklice występują. Antydualistyczny *Egyetertes* uważa słowa papieskie za zbyt rygorystyczne, ale zresztą nie dziwi się im wcale i przyrównuje je do nauki, którą św. Szczepan zostawił synowi swemu Emerykowi. Organ skrajnej lewicy, antysemicki *Fuggetlenseg*, cieszy się, że papież tamuje postępy Żydów i wolnomularzy. „W Węgrzech „wolnomularze wyznają naturalizm i socyalizm, chociaż organa ich „usiłują temu zaprzeczyć. Obowiązkiem każdego Węgra jest, do „jakiegokolwiekbądź wyznania by należał, nauki te odrzucać... „Leon XIII. nie ma w nienawiści Żydów, ale zna ich dobrze „i dlatego zakazuje chrześcijanom wchodzić z nimi w związki mał„żeńskie. Napróżno masoński i żydowski *Pesti Hirlap* odwołuje „się na naukę protestancką. Niezaprzeczonym jest faktem, że nawet „sami protestanci nie chcą tego rodzaju małżeństw“. Jeszcze dosadniej wyrażają się organa umiarkowanej opozycyi, zgrupowanej pod wodzą hr. Alberta Apponyi, *Pesti Naplo* i *Budapester-Tagblatt:* „Dziennikarze uderzyli na alarm przeciw Encyklice, zanim „ją jeszcze przeczytali. Tymczasem chyba bardzo musi być naiwnym, „kto się czegoś innego od papieża spodziewał. Czyż może gazety „nasze spodziewały się, że Ojciec św. będzie za małżeństwami mie„szanemi i naturalizmem?“.

Wyraźna obrona, w jaką dzienniki hr. Apponyi'ego wzięły papieską encyklikę, podsunęła berlińskiej *Allgemeine Zeitung* ory-

ginalną myśl, że „Rzym miał na celu zmobilizować kler na korzyść umiarkowanej opozycyi, sądząc, że nadeszła sposobna chwila do obalenia gabinetu Tiszy“. Zresztą niemieckie i włoskie gazety, z wyjątkiem jednej *Riforma*, zachowały o encyklice grobowe milczenie. Francuskie mniej były wstrzemięźliwe, a *Le Temps* wprost utrzymywał, że papież pisząc do Węgrów, miał na oku Francuzów. „Patrzcie, woła z pewnym odcieniem zabawnej rozpaczy, do czego dochodzi nawet u m i a r k o w a n y papież: otóż, zaczyna nam pisać encykliki w stylu Piusa IX.!“

Streściliśmy obszerniej wrażenie, jakie wywarła encyklika *Quod multum*, bo jest ono w wysokiem stopniu pouczającem. Kto roił jeszcze o jakiemś przekształceniu, czy zmianie zasad rządzących Kościołem, kto mniemał, że dzisiejszy papież nie podpisałby *Syllabusu*, temu chyba ostatnia encyklika otworzyła oczy. Prawda, że wielu nie spodziewało się od Leona XIII., od papieża-p o l i t y k a, jak go czasem nazywają, tak energicznego, rzekłbyś, twardego zatwierdzenia praw i przywilejów Kościoła; stąd tłumaczy się powszechne zadziwienie, pewne wahanie się w sądzie, a nieraz wymowniejsze jeszcze od wszelkich sądów głuche milczenie, jakby encyklika nie istniała, nikt jej nie czytał i na nikim żadnego nie zrobiła wrażenia.

Encyklikę podpisał Papież 22 sierpnia, w dzień patrona swego św. Joachima; w parę dni później, jakby echo nauk i napomnień papieskich, odezwały się poważne głosy najznakomitszych katolików niemieckich, zebranych w Wrocławiu. Trzydziesty ten i trzeci z rzędu generalny kongres katolików niemieckich szczególną miał wagę w obec względnego przynajmniej ucichnięcia kulturkampfu, który tak bardzo przyczynił się do rozwoju i wzmocnienia katolicyzmu w Niemczech. Kongres okazał, że katolicy bynajmniej nie myślą zasypiać na wawrzynach otrzymanych zwycięstw. „Należy przyjrzeć „się, rzekł Windhorst w wstępnem przemówieniu, dokądeśmy zaszli, „abyśmy nie mniemali, iż jesteśmy dalej, niż rzecz się ma w istocie. „Nic nie ma niebezpieczniejszego nad illuzye“. Przedewszystkiem nie mamy jeszcze zakonów, a mieć je chcemy, i miećeśmy je powinni, odzywali się zgodnym głosem jeden mówca po drugim. Hr. Ballestrőm przywołał na pamięć poświęcenie zakonników w czasie wojny prusko-francuskiej. Prezes kongresu von Heeremann zażądał powrotu wszystkich bez wyjątku zakonów; zakonnicy bronią zasad

chrześcijańskich i państwa chrześcijańskiego, a tem samem dają dowód większego patryotyzmu, niż ci, co w brzmiących frazesach ciągle z swego patryotyzmu się chełpią.

„Tak jest — mówi p. Lingens, wśród ciągłych oklasków pięciu „tysięcy słuchaczy — chcemy powrotu wszystkich kongregacyj, wszyst- „kich bez wyjątku, nawet Jezuitów. Wieleśmy w nich stracili; „dziś żądamy ich powrotu w imię naszych dzieci, w imię sierot „i zakładów wychowawczych. Od chwili wypędzenia naszych za- „konników, cofnęliśmy się pod każdym względem. Do wypełnienia „w całej pełni obowiązków pasterskich, potrzeba zakonników; nasi „księża nastarczyć nie mogą pracy. Potrzeba nam Misyonarzy, Re- „demptorystów, Franciszkanów, Benedyktynów, Kapucynów i Je- „zuitów. Zdziałali oni wiele dobrego w kierunku socyalnym; zdziałali „wiele dobrego przez liczne stowarzyszenia. Żądamy również po- „wrotu Trapistów dla naszych rzemieślniczych kolonij, dla zapo- „bieżenia włóczęgostwu, dla polepszenia uprawy roli. Żądamy „wszystkiego tego, co dawniej Kościół mógł robić dla dobra ludu. „Jak długo tego nie otrzymamy, nie ma prawdziwego pokoju, nie ma „wolności".

W tejże samej myśli odezwał się ksiądz Huhn, proboszcz z Monachium: „Przyjaciele i nieprzyjaciele nasi zgodzili się na to, „że głównem zadaniem tego kongresu będzie domaganie sie powrotu „Zakonów do Niemiec. Idea ta powraca pod wszystkiemi kształtami, „zajmuje wszystkie umysły... Zakony, to droga mleczna na firma- „mencie katolicyzmu. Najpiękniejsze, najchwalebniejsze kartki na- „szych roczników przez nie są napisane... Po rewolucyi francuskiej „pierwszą myślą O. Lacordaire'a, owego wiernego i chwalebnego sługi „Kościoła, było wskrzeszenie jakiego zakonu; zniszczeniu chciał „przeciwstawić źródło odrodzenia. Dziś podobnie rzecz się ma „w Niemczech. Jeśli kto spyta, co zrobić, aby uprzątnąć ruiny „kulturkampfu, odpowiedź brzmieć musi: Przywołać zakonników. „Na punkt ten pragnę położyć jak największy nacisk. Przemawiam „tu w imię milionów; wszyscy katolicy czują, co my czujemy; „wszędzie ten sam odzywa się okrzyk: Zakony powinny powrócić...

„Głos katolickiego zgromadzenia, głos wiarą i zapałem na- „tchniony, dotrze aż do tronu. Niepodobna, aby go nie posłuchano. „*Caesarem appello.* Odwołujemy się do drogich naszym sercom

„książąt. Najwyższą ich normą jest dobro ludów im powierzonych. „Domagamy się od nich powrotu zakonów, nie jako łaski, ale jako je„dnego z przysługujących nam nienaruszalnych praw".

Pod koniec swego przemówienia zwrócił się mówca do Windthorsta, prosząc go, aby tę sprawę wziął w swe ręce. Na zaszczytne to wezwanie sędziwy przewódca *Centrum* odpowiedział: „Nie prze„staniemy domagać się powrotu zakonów i to wszystkich, bez „wyjątku. Dziś niepodobna powiedzieć, kiedy żądaniom naszym „stanie się zadość. Wiemy doskonale, gdzie spotkamy się z prze„szkodami, a nie od jednego człowieka zależy, aby je uchylić. O ile „wiem, negocyacye zawiązane z Rzymem odnoszą się i do tego pun„ktu, a spodziewam się, że nie zostaną bez rezultatu. Jeśli dojdą „do skutku, udamy się do Berlina, a pierwsze nasze wnioski po„dążą w tym kierunku".

Najgłówniejszem zadaniem kongresu Wrocławskiego, była jak namienił ksiądz Huhn — kwestya powrotu zakonów, ale obok niej omówił kongres cały szereg innych ważnych pytań. P. Nacke a następnie Windhorst zwrócił uwagę zgromadzonych na stowarzyszenie św. Bonifacego. W r. 1872 stowarzyszenie to miało 350.000 marek dochodu, utrzymywało 300 księży i 240 nauczycieli w okolicach protestanckich; dziś, mimo niezaprzeczonych klęsk zrządzonych kulturkampfem, ma 700.000 marek dochodu, utrzymuje 300 księży i 380 szkół, proteguje 300.000 katolików, rozsianych między ludnością protestancką, ale niestety, nie jest jeszcze w stanie udzielić pomocy około 200.000 w równie smutnem położeniu znajdującym się katolikom. W Szlezwig-Holsztynie, Hamburgu, a nawet na Szląsku liczba katolików w ostatnich latach się zmniejszyła. Większe jeszcze niebezpieczeństwo, jak zauważył Windthorst, grozi Kościołowi w prowincyach polskich w skutek wyjątkowego prawodawstwa tam zaprowadzonego. Stowarzyszenie św. Bonifacego powinno tutaj skoncentrować swą działalność. — Na wniosek kilku członków wziął kongres pod swą opiekę Stowarzyszenie św. Józefa, zajmujące się szkołami i przytułkami dla katolików przebywających poza swą ojczyzną; Stowarzyszenie św. Rafała, utworzone w celu niesienia pomocy a zwłaszcza ułatwiania podróży licznym emigrantom; Stowarzyszenie Palestyńskie i Grobu św.; misye katolickie w Afryce i Bułgaryi. Hitze miał piękną

i ważną mowę o kwestyi socyalnej; Stoeber, prezydent kupieckiego kasyna w Wiedniu przemawiał o stowarzyszeniach młodzieży; Schloesser o emigracyi; Ks. Knab o sposobie traktowania waryatów; hr. Stolberg o stanie katolicyzmu w Ameryce. Kongres przyjął za zasadę, że nauka religii powinna być udzielaną w ojczystym języku ludności, złożył *votum* zaufania stronnictwu *Centrum;* zażądał ograniczenia godzin pracy dla kobiet i dzieci, prawa o święceniu niedzieli, pewnych odrębnych przywilejów dla cechów rzemieślniczych, wreszcie zastanawiał się, w jaki sposób katolicy niemieccy uczcić powinni nadchodzący jubileusz papieski.

Szereg tych pięknych uchwał i całą działalność kongresu streścił Windthorst w długiej, jak zawsze pięknej, dowcipnej, a gorącej mowie. Niestrudzony szermierz za wiarę i ojczyznę rozpoczął pozdrowieniem, w imię którego zebrał się i obradował kongres: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“! Zbieramy się co roku, aby zoryentować się w katolickich naszych interesach, i dzięki Bogu, interesa te idą coraz lepiej. Tą razą nawet nieprzyjazna nam prasa umiała się powstrzymać i przemawiała z godnością o tem naszem zgromadzeniu. Nie żywimy dla nikogo wrogich uczuć; jeśli kto na nas napada, bronimy się dzielnie: ale bądź co bądź nikt nas pewnie nie prześcignie w wierności dla króla i ojczyzny. „Nie mamy by„najmniej niechęci dla naszych współobywateli wyznających inną re„ligię; i oni zgromadzają się na wspólne posiedzenia, a my im nie „przeszkadzamy. Radbym, aby mówili o nas zawsze tak, jak my mó„wimy o nich — nieszczęściem nie zawsze to ma miejsce. Radbym, „aby ci Panowie, kiedy się zejdą, nie zajmowali się naszemi spra„wami, ale swojemi. Wydaje mi się, jakby czasami nie wiedzieli, „czem mają się zająć w własnym swym domu; jeśli tak jest rze„czywiście, mógłbym im wskazać kilka punktów. Bądź co bądź, „nigdy nie powinniśmy zapominać, że są oni synami tej samej oj„czyzny, a gdyby ojczyzna była w niebezpieczeństwie, powinniśmy „im po bratersku podać rękę. Będziem z nimi wtedy walczyć, kto „kogo prześcignie wspaniałomyślnością, walecznością przeciw wro„gowi, miłością między sobą“.

Przeszedłszy z kolei przyjęte wnioski i dobroczynne dzieła, opiece kongresu polecone, stwierdził mówca, iż dzięki usiłowaniom papieża i dobrej woli cesarza „zrobiliśmy wielki krok naprzód na

„dobrej drodze i nie odpowiedzielibyśmy naszym obowiązkom względem papieża i cesarza, gdybyśmy tego głośno nie wyznali. Mówiono mi, że teraz moglibyśmy już zamilczeć i więcej się nie domagać. Ci co tak myślą i mówią, mogą być przekonani, że na słowa ich nie będziemy zważać, aż do zupełnego przywrócenia *status quo ante*.

„Słowa te stosuję również do innych państw niemieckich, do W. księstwa Badeńskiego i do Hessyi, gdzie sytuacya zmieniła się na lepsze. Ale nie jest jeszcze wszystko w porządku. W ostatnich czasach słyszałem, że położenie rzeczy w Bawaryi jest zadowalniającem; wyznaję, że nie mogło mi to dotąd trafić do przekonania. Jeśli rząd bawarski istotnie jest tego zdania, ma wyborną sposobność, aby go dowieść. Niech weźmie inicyatywę w radzie Związkowej i zażąda powrotu zakonów do Niemiec. Możnaby może posłać p. Lutzowi tekst mowy jego współrodaka, księdza Huhna; z odczytania jej bardzo wiele mógłby skorzystać. Mówiąc, że chcemy wszystkiego co nam się należy, nie okazujemy niewdzięczności za to, co już otrzymaliśmy. Zresztą ci sami, którym to winniśmy, zapowiedzieli, iż należałoby poddać prawa majowe ogólnej rewizyi. Dziwi mię, że zamiast odrazu skończyć z całą tą historyą, toczy się ona tak powoli. Gdyby p. Bismark, który tak bardzo przyczynił się do ostatniego prawa — za co winniśmy mu wdzięczność — chciał uzupełnić swe dzieło, nie przyszłoby mu to pewnie z trudnością. Zdaje mi się, że w tym wypadku musiał chyba zaprzeć się własnej swej natury, z powodu trudności nagromadzonych przez tajnych radców. Ale książe Bismark zwyciężył już inne trudności i innych ludzi, a nie dopiero tajnych radców!

Koniec swej mowy poświęcił Windthorst smutnemu położeniu papieża i obchodowi jego jubileuszu kapłańskiego. „Mamy prawo domagać się, aby papież od nikogo nie był zawisłym. Jestem przekonany, iż mądrość papieża i potęga naszego cesarza znajdą sposób uregulowania tej kwestyi. Sądzę i spodziewam się, że i inne państwa nie pozostaną w tyle, gdy przyjdzie chwila rozstrzygająca o wolności papieża".

Kongres zakończył swe posiedzenia entuzyastycznemi okrzykami na cześć Papieża i Cesarza. Niemieccy katolicy przyzwyczaili już nas do podziwiania roztropnej wytrwałości z jaką dążą do osią-

gnięcia swych celów; cały przebieg obrad kongresu, tak poważnych, a tak wszechstronnych, był nowym dowodem tej niczem nie zrażającej się, niczem nie dającej się olśnić wytrwałości; był przykładem, jak można i należy łączyć walkę o najświętsze swe prawa z winną miłością dla ojczyzny i czcią dla monarchy, śmiałość w przekładaniu słusznych swych żądań z głęboką czcią dla władzy.

Powaga kongresu zaimponowała nawet protestantom, których dzienniki jak np. *Schlesischer Morgenblatt* lub *Breslauer Morgenzeitung* z niekłamaną sympatyą o nim się wyrażają. „Było to święto zwycięstwa i radości, pisze ostatni z tych dzienników. Wyznać należy, że p. Windthorst i jego przyjaciele, umieją obchodzić swe tryumfy z rzadkiem umiarkowaniem. Świadomość ta własnej potęgi tembardziej imponuje, iż objawia się bez najmniejszej ostentacyi".

Czy rząd niemiecki da ucho najgłówniejszemu żądaniu zebranych katolików i dozwoli zakonom powrotu do Niemiec, — na to dziś naturalnie stanowczo odpowiedzieć nie można. W każdym razie są pewne w tym względzie nadzieje i wskazówki, zawarte w jednej z dawniejszych mów Bismarka, w przemowie Windthorsta na kongresie wrocławskim, a zwłaszcza w poruszeniu tej kwestyi przez kilka dobrze zazwyczaj poinformowanych, w stosunkach z rządem zostających gazet. Jeszcze w połowie sierpnia, z okazyi brewe papieskiego do wikaryusza generalnego Jezuitów, O. Anderledi'ego, wystąpiły z swemi zapatrywaniami w tej mierze: *Kreuzzeitung*, organ protestanckich pastorów *Reichsbote*, a zwłaszcza *Reichszeitung*, która powrót już nietylko innych zakonów, ale nawet Jezuitów, uważała za naturalny i konieczny wynik nowego zwrotu w wyznaniowem prawodawstwie niemieckiem. Jeśli przyjaciel Woltera Fryderyk II., pisała „Parlamentarna Korespondencya", miał tyle politycznego rozumu, iż protegował Jezuitów, jako kierowników młodzieży, nie wiedzieć, czemu my mielibyśmy być mniej tolerantnymi od Fryderyka II.? *Post* poświęciła długi artykuł historyi wypędzenia Jezuitów przed 14 laty, a w końcu umieściła znaczące, przez wszystkie dzienniki szeroko komentowane wyrazy: „Bądź co bądź „książe Bismark nie był obecnym w parlamencie, ani w czasie de- „batów nad petycyami, ani w czasie debatów nad prawem o wypę- „dzeniu Jezuitów", — zatem, komentują dzienniki, może bez ujmy własnego honoru postarać się o cofnięcie tego prawa. Liberalny

Boersen-Courier bardziej jeszcze jest stanowczy. „Nikt się już nie „pyta czy, ale kiedy książe Bismark dozwoli Jezuitom powró- „cić. Dzienniki z upodobaniem cytują słowa, niegdyś przezeń o Je- „zuitach wyrzeczone. Być może, że wtedy już przewidział, co teraz „ma nastąpić".

Czy nadzieje te spełnią się, czy nie, w każdym razie nabawiły niemałego strachu zaciętych liberałów, którzy przez lat czternaście niczego się nie nauczyli, i dziś gdyby mogli, na nowoby walkę kulturną rozpoczęli. Dyspensa udzielona przez rząd kapłanom, którzy ukończyli swe studya w Rzymie lub Insbruku, wzniecila w nich obawy, o przyszłość i całość Niemiec, a tu wkrótce już nie kilkudziesięciu kapłanów, ale cała falanga Benedyktynów, Franciszkanów, Redemptorystów, ba! może nawet i Jezuitów, gotowa zalać Niemcy! Jeśli można wierzyć informacyom *Neue Freie Presse,* to rząd niemiecki zwrócił się już do czeskich i morawskich Benedyktynów, pozwalając im pod pewnemi warunkami na osiedlenie się w Prusiech. Daj Boże, aby Benedyktyni, jak niegdyś chrześcijaństwu w Niemczech, tak teraz utorowali drogę zakonom, i jak niegdyś pogaństwo, tak teraz dopomogli resztki kulturkampfu do szczętu wyplenić.

B.

Z Berlina.

Ruch socyalistyczny.

W roku bieżącym począł rząd pruski z większą jeszcze niż dawniej sprężystością występować przeciwko ruchowi socyalistycznemu. Niemało zapewne wpływu wywarły na to znane wypadki w Belgii, w północnej Francyi, w Holandyi jako też zajścia amerykańskie, które na sprawców — prawie samych Niemców — ściągnęły w tych dniach wyroki śmierci. Prawda, że nie wykryto żadnych dowodów, że ruch rewolucyjny w tych krajach pozostawał w bezpośrednim związku z przywódcami socyalistów w Niemczech, ale rządowa prasa zwracała na wszystkie te wypadki tak baczną uwagę, iż słusznie sądzić można, że zdaniem rządu także w Niemczech ruch socyali-

styczny przybiera coraz groźniejsze rozmiary. Domysły te potwierdzały się, gdyż w większych miastach, a mianowicie w Berlinie samym rozpoczął się bardzo żywy ruch wśród warstw robotniczych, ruch mający jedynie na celu polepszenie materyalnego bytu robotników, mimo, że wszędzie słychać było skargi na zastój w dziedzinie handlu i przemysłu fabrycznego. Robotnicy potworzyli liczne związki a zwykłym tematem na ich zebraniach była zachęta do zmów robotniczych na coraz szerszą skalę. W tym ruchu brała po części także udział czeladź rzemieślnicza. Rzucając warsztaty w czasie najpilniejszej roboty chcieli zmusić chlebodawców do uwzględnienia swych żądań. Że z tej ruchliwej agitacyi w wysokim stopniu korzystali socyaliści, nie trudno było spostrzedz, wszędzie bowiem usiłowali oni swoich agentów narzucić robotnikom za przewódców.

Tymczasem rząd nie zaspał sprawy. Minister pruski Puttkamer wydał na dniu 11 kwietnia rozporządzenie, w którem zwraca uwagę władz administracyjnych i policyjnych na niebezpieczeństwo zmów robotniczych, i poucza jak w danym razie postąpić sobie mają. W Niemczech przysługa wszystkim robotnikom prawo koalicyjne, na mocy którego mogą oni celem otrzymania wyższej płacy zawierać ugody przeciwko chlebodawcom. Stąd zmów nie może żadna władza wprost zakazywać. Minister zwrócił więc z góry uwagę na to, że swoboda robotników pod tym względem nie może być ścieśnioną, i że niższe władze nie mają stawać po żadnej stronie w tej walce ekonomicznej, lecz mają się zachować zupełnie bezstronnie. Jedynem ich zadaniem jest przestrzegać, aby nigdzie i pod żadnym warunkiem pokój publiczny nie był zakłócony. Walka ekonomiczna ma się toczyć na drodze legalnej; a skoroby jedna ze stron dopuściła się jakiegokolwiek bezprawia, władza przeciwko takim zakusom powinna wystąpić z wszelkiemi środkami prawnemi aby w zarodku jeszcze zgnieść zachcianki tego rodzaju.

Chociaż robotnikom przysługuje swoboda koalicyjna, surowo jednak zabrania kodeks karny strejkującym używania jakiegoś przymusu na tych robotników, co chcą zerwać solidarność z swymi towarzyszami. Minister przypominając to, zwrócił uwagę na ciężkie kary, jakie za podobne wykroczenia w zeszłym roku spadły na kilku tutejszych robotników. Szczególnie podnosił pan Puttkamer to, że nie wolno wywierać żadnego nacisku, aby robotników innych po-

wstrzymać od zajęcia miejsc porzuconych przez strejkujących. Władze mają szczególnie baczną zwrócić uwagę na agitatorów po dworcach kolei żelaznych, którzy groźbami odstraszają przybywających skądinąd robotników od pracy, i na agentów prześladujących szyderstwem, przezwiskami itd. spokojne warstwy robotnicze po fabrykach, warsztatach, po ulicach i drogach publicznych. Obowiązkiem jest władz szczególnie nad tem czuwać, aby agitatorzy socyalistyczni nie przyciągali robotników do swoich celów, nadając charakter rewolucyjny ruchowi wyłącznie ekonomicznemu; gdzieby więc znani agitatorzy zmowę jaką wywolali lub ster ruchu owładnęli, tam powinna władza czujność swoją podwoić. Skoroby tedy uwydatniła się tendencya socyalistyczna, czy to w prasie czy w stowarzyszeniach lub na zgromadzeniach publicznych, ma władza policyjna zastosować z całą surowością przepisy ustawy antysocyalistycznej, zwłaszcza tam, gdzie jest zaprowadzony stan oblężenia na mocy tejże ustawy wyjątkowej. Władze mogą tedy nietylko konfiskować artykuły niebezpieczne, ale zwijać nawet dzienniki, stowarzyszenia lub zgromadzenia publiczne, występujące z tendencyą socyalistyczną. Przedewszystkiem zaś wydalić należy wszystkich agitatorów z wielkich miast, zostających w stanie oblężenia. Minister przypomniał władzom, że w razie rozruchów powinni się znieść z władzą wojskową, celem przytłumienia wszelkiego zaburzenia siłą zbrojną.

Rząd pruski dał więc dostatecznie do zrozumienia, że nie myśli żartować z tymi, coby chcieli tutaj wywołać gorszące krwawe zajścia, jakich widownią były inne kraje. Socyaliści zrozumieli tę groźbę, ale i robotnicy spokojni odzywali się z obawą, że rząd stanie po stronie przemożnych przemysłowców i kapitalistów z krzywdą warstw pracujących. Prawie cała prasa podzielała tę obawę, że niższe władze w zbytecznej gorliwości źle zastosują rozporządzenia ministeryalne i tem samem przyczynią się jeszcze do większego wzburzenia umysłów. Oczywiście chodziło głównie o to, czy niższe władze będą świadome wielkiej odpowiedzialności, jaka na nich ciąży, i nie nadużyją ani praw swoich, ani zaufania rządu.

Zaledwo przestała prasa zajmować się tym przedmiotem, kiedy nowe wyszło rozporządzenie rządu pruskiego. Na mocy ustawy antysocyalnej, zakazał rząd w Berlinie i w okręgu jego kilkumilowym wszelkich zgromadzeń publicznych bez poprzedniego piśmiennego

zezwolenia władzy policyjnej. Zakaz ten trwać ma aż do końca września; zebrania tylko zostające w najściślejszym związku z wyborami do sejmu lub parlamentu, nie były objęte tym zakazem: zresztą żadne stronnictwo polityczne nie było zwolnione z tego rygoru. Ktokolwiek pragnął w tym czasie zwołać zgromadzenie publiczne w jakimkolwiek celu, powinien był poprzednio wyjednać sobie pozwolenie policyjne, a to na 48 godzin przed otwarciem zebrania.

Rozporządzenie to wywołało wielkie wrażenie, ktore się w prasie wszystkich stronnictw publicznych silnem echem odbiło, gdyż wszystkie w równy sposób były dotknięte, aczkolwiek ostrze tego miecza Damoklesowego miało wyłącznie być zwróconem przeciwko socyalistom. Nie można było dziwić się temu oburzeniu; wymienione bowiem zarządzenie nie było nigdy jeszcze zostosowane od czasu ustawy antysocyalnej, która rząd do tego kroku niezwykłego upoważnia. Prasa niezależna obawiała się, że stronnictwa niesocyalne zbytecznie będą skrępowane w swej działalności legalnej, i sądziła, że niepotrzebnie rząd używa tak Drakońskich środków, ponieważ wszelkie zgromadzenia socyalistyczne, albo z góry można było zakazać, albo każdej chwili rozwiązać. Ostatnia uwaga była słuszną, ale dzienniki rządowe odpowiadały na ten zarzut: że niższe organa policyi nie zawsze wiedzieć mogą o tem, które zebranie zwołanem zostało w interesie partyi przewrotu. W rzeczy samej nie krępowała policya zbytecznie stronnictw innych; zresztą w ciągu pory letniej nader rzadko odbywają się zgromadzenia publiczne. Przeważnie występowała policya, na mocy wspomnianego rozporządzenia przeciwko najrozmaitszym związkom robotników i rzemieślników (czeladzi przedewszystkiem), które dążyły do wywołania ogólnej zmowy robotniczej. Bywało, że policya dziennie po kilkanaście zebrań takich rozpraszała. Odbywały się zaś zgromadzenia takich związków, które nie podpadały pod owo podejrzenie, lecz bezpośredniego interesu członków pilnowały. Sądzę przeto, że po zebraniu się parlamentu, gdy o tem wszystkiem będzie mowa, nie podniosą się z tego powodu zbyt wielkie zarzuty przeciwko rządowi; oczywiście nie mam przytem na myśli socyalistów. Wszelako nie obejdzie się bez krytyki. Kiedy przed ośmiu laty bowiem rząd domagał się przy obradach nad ustawą socyalistyczną tak niezwykłej

władzy, wyraziła komisya parlamentarna zapatrywania swoje w sposób następujący: Nadzwyczajne środki mogą być zastosowane tam jedynie, gdzie w całych miejscowościach lub okręgach z powodu zaburzeń socyalistycznych niemożliwem się stało zachowanie spokoju publicznego, lub gdzie zachodzi obawa gwałtownych wybuchów, a których zwykłe środki, przeciwko jednostkom zastosowane, nie zdołają uskromić.

Opinia publiczna sądziła, że nie doszło w Berlinie do takich zaburzeń, aby tak ostrych potrzeba było rozporządzeń. W rzeczy samej przez całe lato nie był spokój publiczny nigdzie zakłócony. Również nie przyszło do powszechnej zmowy robotników; wymienione powyżej środki rządu zapobiegły temu: sporadyczne zmowy nie trwały nigdy długo. Stosownie do ustawy socyalistycznej przedstawił rząd parlamentowi w końcu maja sprawozdanie o stanie ruchu socyalistycznego, który go spowodował do użycia najostrzejszych środków, celem przytłumienia groźnej agitacyi; parlament nie wziął tego sprawozdania przed ukończeniem sesyi pod obrady. Z tego sprawozdania podnoszę niektóre szczegóły, dające wyobrażenie, z jakiemi trudnościami policya ma do walczenia, jeżeli nad wszystkiemi zebraniami ma czuwać sumiennie. W pierwszych czterech miesiącach roku zeszłego doniesiono policyi berlińskiej o 2.513 zebraniach mających się odbyć; w niektóre dni odbyło się po 90 i więcej zebrań. Doniesienie to powinno było w 24 godzin przed zagajeniem zebrania być w ręku policyi, która żadnego zebrania zakazać nie mogła, wyjąwszy socyalnych. Policyi zdawało się to niedostatecznem. Z owych 2.513 zebrań tylko 3 zabroniła, a rozwiązała 41 na mocy ustawy socyalnej, podczas kiedy w całym roku poprzednim tylko 68 rozwiązała. Stosunkowo była tedy agitacya w bieżącym roku daleko ruchliwszą. Z tego powodu oświadczyła policya, że w przeciągu 24 godzin nie zdoła dojść do pewności, które z zameldowanych zebrań może zagrażać porządkowi publicznemu. Policya podnosiła mianowicie trudności, jakie jej nastręczał ruch robotniczy, dążący przez zmowy szeroko rozgałęzione do podwyższenia płacy. Ruch ten, zdaniem policyi, utracił zupełnie charakter ekonomiczny, odkąd agitatorzy socyalistów ustawicznie na zebraniach podburzali robotników, nie przykładając ręki do rzeczywistego polepszenia ich doli. Agitatorzy nadużywali wprost biedy robotników. Sami, nie będący

wcale członkami fachowych związków robotniczych, miewali mowy nader namiętne, zdolne wywołać wybuch rewolucyjny. Największe niebezpieczeństwo grozi stąd, że prości robotnicy przywykną do takich agitatorów, nauczą się ich słuchać i zastosują się do ich rozkazów i wtenczas, gdy wprost do rewolucyi ich zawezwą. Policya uzasadniając tę obawę, powołała się na wypadki w Francyi, Belgii, Ameryce. Szczególniejszą obawę policyi wywołała okoliczność, że ruch socyalny zagrozić miał robotnikom, zatrudnionym przy kolejach żelaznych i t. d.: takich zaś jest w Berlinie kilkadziesiąt tysięcy. Ta właśnie obawa wydawała się publiczności przesadzoną, bośmy tylko wiedzieli o dwóch zebraniach, gdzie robotnicy kolejowi obradowali nad niedostateczną wrzekomo płacą. Prawda, że na tych zebraniach był obecny jeden ze znanych socyalistów, ale wiadomo też, że minister Maylach, naczelnik kolei żelaznych, nie cierpi najmniejszej niekarności wśród podwładnych swoich, a iście żelazną ręką nimi rządzi. Policya zapytała się ze strachem: Co się stanie, jeśli ruch rewolucyjny ogarnie owe tysiące robotników kolejowych? Cały handel i przemysł berliński od razu zostanie ubezwładniony, a stolicy zagrozi najwyższe niebezpieczeństwo.

Władza policyjna oświadczyła, że mogłaby wprawdzie rozwiązać liczne zebrania, ale niezaprzeczony fakt, że właśnie z powodu takich rozwiązań przyszło kilka razy do bardzo burzliwych scen, ostrzega, że bezpieczniej z góry pozwalać tylko na odbycie takich zgromadzeń, które nie grożą porządkowi publicznemu.

Dzienniki liberalne nie były zadowolone z tego wszystkiego. Zdaniem ich nie jest sytuacya tak groźną, by w Berlinie miała wybuchnąć rewolucya socyalna, a choćby niespodziewanie do tej ostateczności doszło — toć mamy wojsko, na które się spuścić możemy: taka była mniej więcej treść wywodów prasy liberalnej. Prasa zachowawcza przyznawała, jak prawie zawsze, rządowi słuszność. Dzienniki katolickie nie taiły tego, że powszechne zmowy robotników są groźne, gdyż często są narzędziem w ręku agitatorów socyalistycznych, którzy jakby na próbę, czy później uda się rewolucya, teraz już odbywają przegląd wojsk swoich. Agitatorzy ci ciągle prawią robotnikom o prawach im przysługujących, nigdy zaś nie wspominają o obowiązkach jakichkolwiek. „Lecz jakże dziwić się temu, wołały dzienniki katolickie, kiedy robotnicy za przykładem

wyższych warstw protestanckich w ciągu walki przeciw Kościołowi w znacznej części potracili wszelką wiarę, i zdążają jedynie do coraz lepszego zarobku w celu używania? Chyba wpływ Kościoła i rozumne reformy społeczne mogłyby zażegnać niebezpieczeństwo grożące, u tych zwłaszcza robotników, którzy się najmniej do zasad chrześcijańskich przyznają.

Lecz przejdźmy od uwag zasadniczych, do kroniki ruchu socyalistycznego. Władza policyjna wystąpiła nietylko surowo przeciwko zebraniom publicznym, lecz z większą stanowczością jeszcze przeciwko agitatorom, którzy pracowali nad uskutecznieniem ogólnej zmowy robotników. Pierwszą ofiarą był dawniejszy budowniczy rządowy, niejaki Kessler, który wielkiego nabył rozgłosu już w roku zeszłym jako doradca mularzy strejkujących. Z Berlina został on wydalony, a nawet w innych miastach nie mógł znaleść spoczynku; policya gnała go z miejsca na miejsce. Za nim poszli inni agitatorzy, przez co ruch strejkowy był sparaliżowany. Od kilku tygodni panuje tu już największy spokój. Raz po raz odbywają się zebrania fachowych związków robotniczych, ale kwestya ogólnej zmowy nie zaprząta już umysłów. Rząd pozostał panem sytuacyi.

Z dziedziny sprawy socyalistycznej winienem zapisać jeszcze dwa procesy, z których jeden od dość dawnego czasu zajmował uwagę publiczności. Proces ten toczył się przeciwko całemu szeregowi uczestników w kongresie socyalnym w Kopenhadze. Zebranie to delegowanych stronnictwa przewrotu społecznego pamiętne jest z tego, że rząd pruski owych uczestników, mianowicie kilku posłów do parlamentu, wracających z Kopenhagi, kazał uwięzić. Przejrzawszy pisma przy nich znalezione, wytoczyła im prokuratorya proces o zawiązanie tajnego związku, którego prace miały być wrogie ustawom państwa: sądy rozmaite odrzuciły jednakowoż skargę prokuratoryi. Wreszcie udało się wydobyć na jaw więcej szczegółów, na sformułowanie aktu oskarżenia, ale procedura sądowa uwolniła obwinionych. Sąd w Chemnicach (w Saksonii) choć był przekonany, że istnieje pewna organizacya wśród zwolenników socyalizmu, nie miał jednak dowodów, że organizacyę tę uważać należy za właściwy związek tajny z rządzącym komitetem socyalistycznym. Prokuratoryi ten wyrok nie zadowolnił. Zaniosła apelacyę do trybunału lipskiego rzeszy niemieckiej i zyskała tyle, że najwyższy ten trybunał orzekł,

że nietylko taki związek uważać należy za wzbroniony, którego uczestnicy formalnie zobowiązali się do posłuszeństwa kierownikom organizacyi; ale faktyczne współdziałanie celem przekroczenia ustaw państwa już wystarcza, aby ściągnąć karę na uczestników. Sąd nakazał tedy ponowne przejrzenie całej sprawy. Zadanie to poruczone zostało sądowi w mieście Freibergu, w królestwie saskiem. Przesłuchanie podsądnych i świadków nie wykryło nic nowego. Stwierdzono tylko to, o czem poprzednio wiedziano, że socyaliści wybrali do kongresu w Kopenhadze pewną liczbę delegowanych; że się składają na wydawanie pism socyalistycznych; że starają się publikacye te rozszerzać w Niemczech wbrew ustawie socyalistycznej, i że wspierają materyalnie socyalistów z kraju wydalonych. Sąd skazał ostatecznie podsądnych, między nimi sześciu posłów do parlamentu, na kilkomiesięczne więzienie. W tem jedynie upatrując przestępstwo, że socyaliści na kongresie zobowiązali się pracować nad rozszerzaniem organu *Der Socialdemokrat*, wychodzącego co tydzień w Zurychu. Upadło tedy główne oskarżenie, tj. nie udowodniono, że podsądni utworzyli związek, którego organizacya, cele, prace i t. d. miały być tajne. Gdyby podsądnym taka wina została udowodnioną, ulegliby surowszym karom. Doświadczenie najnowsze nauczy z pewnością agitatorów socyalnych większej jeszcze ostrożności w rozrzucaniu pism socyalnych. Obecnie składają się socyaliści na ofiary wyroku freiberskiego, i na utrzymanie posłów do parlamentu podczas sesyi, jakkolwiek rząd pruski tych składek zabrania, a niektóre sądy zażądały nawet od posłów zwrotu otrzymanych pieniędzy.

Drugi proces, o którym wspomniałem, dotyczył głównie berlińskich socyalistów. Poseł socyalistowski Singer, Żyd bogaty, właściciel jakiegoś handlu, oskarżył w parlamencie rząd pruski, że używa policystów tajnych, jako agentów prowokacyjnych, a wezwany przez ministra Puttkamera, do udowodnienia tak ciężkiego zarzutu, wymienił kilku świadków, oczywiście socyalistów. Śledztwo trwało dość długo, a zwróciło się głównie przeciwko samym świadkom, jako podejrzanym o fałszywą denuncyacyę, celem zgubienia pewnego tajnego policysty, który pod maską robotnika wtargnął do organizacyi socyalnej, a rządowi zdradzał tajemnice partyi przewrotu. Członek ten policyi odegrał w każdym razie wątpliwą nieco rolę.

Sprawa cała nie bardzo wyjaśniona, ponieważ jeden z wrzekomych socyalistów, który denuncyował owego policyanta, przez dłuższy czas miał być jego agentem i również jak on udawał tylko socyalistę. Kiedy więc socyaliści denuncyowali tegoż urzędnika policyjnego o obrazę majestatu, o podburzanie do gwałtów i t. d., nabrał sąd tutejszy przekonania, że to fałszywe oskarżenie. Skazano ostatecznie kilku świadków fałszywych na dłuższe więzienie z powodu potwarzy rzuconej na agenta policyi, a kiedy ci ludzie opuścili więzienie, wydalono ich z Berlina jako niebezpiecznych agitatorów socyalizmu. Tenże sam los spotkał posła Singer'a.

Proces ten dowiódł nietylko, że policya ma licznych szpiegów w obozie socyalnym, ale przekonał równocześnie, że socyalizm zaczął szerzyć się już także wśród robotników i rzemieślników polskich w Berlinie, którzy zakazane pisma przesyłają stąd do Poznania. Wymieniony co dopiero agent policyjny przyznał się w obec sądu, że śledził ruch socyalny wśród Polaków w Berlinie. Policya wydaliła stąd pewnego stolarza z niemieckiem nazwiskiem — nie wiem, czy to był Polak — za agitacyę wśród robotników polskich.

W obec sądu freiberskiego wyraził się poseł Bebel, bezsprzecznie jeden z najinteligentniejszych socyalistów, z zadziwiającem niedowierzaniem o tych, którzy się mienią zwolennikami socyalizmu. Przywódca stronnictwa przewrotu odezwał się, że każdy człowiek jest sprzedajny, i że tylko o cenę chodzi, za którą gotów podać rękę do zdrady; Bebel ośmielił się nawet oświadczyć, że nie wszystkim podsądnym freiberskim dowierzałby bezwarunkowo.

Niedawno doniosły dzienniki o wykryciu tajemnic socyalistycznych w Hamburgu, w głównem — obok Berlina — siedlisku socyalistów. Socyaliści tamtejsi odbywali schadzki tajemne od dłuższego czasu w pewnej restauracyi w dzielnicy miasta zwanej Sankt-Pauli, położonej nad portem. Doniesiono to policyi. Na mocy tego udała się policya do owego lokalu i znalazła po ścisłej rewizyi w jednej izdebce ośmiu socyalistów zaskoczonych właśnie w chwili, kiedy spisy składek na cele stronnicze przeglądali. Znaczny materyał korespondencyjny wpadł w ręce policyi, która sądzi, że wykryła centralny obóz całego ruchu w Hamburgu i okolicy, a prasa rządowa twierdzi, że na mocy obfitego materyału proces spotka liczne osoby.

Na wieść o uwięzieniu onych ośmiu socyalistów powstało w Hamburgu niemałe wzburzenie. Władza hamburska wydaliła równocześnie kilku agitatorów.

Podczas kiedy w rozmaitych miastach niemieckich socyaliści napróżno usiłowali utrzymywać dziennik choćby na drobne rozmiary, wychodzi tutaj od trzech lat organ socyalistyczny, mieniący się dziennikiem dla warstw roboczych. Władza policyjna nie przeszkodziła jego założeniu, ani też utworzeniu „partyi robotników“, gdyż wówczas chodziło o uczynienie wyłomu w administracyi Berlina, która się dawniej prawie wyłącznie znajdowała w ręku postępowców i Żydów. Udało się to poczęści; wybrano do rady miejskiej kilku rządowców, ale weszła w nią także znaczna stosunkowo liczba socyalistów. Kilku z nich wydaliła policya na mocy ustawy socyalistycznej. W ich liczbie był wymieniony powyżej Singer, krzykacz nielada; główny inspirator tutejszego „Volksblattu“ socyalistycznego. Na stosunki tego organu zwracają teraz uwagę; zdaje się, że to ma przygotować robotników na zwinięcie tegoż organu. Pod wpływem Singera, zręcznego a energicznego agitatora, rozpowszechnił się „Volksblatt“ tak dalece, że dziś liczy 10.000 abonentów między warstwami robotniczemi, a przytem nieźle jest redagowany. Po wydaleniu Singera, który chwilowo z mówkami w Szwajcaryi występuje, redaktorem „Volksblattu“ jest niejaki Schippel, niegdyś uczeń Rodbertus'a, a teraz zwolennik Marx'a.

Pierwotne wzburzenie umysłów wśród socyalistów z powodu energicznych występów policyi znacznie się zmniejszyło. W miejsce rozproszonych związków fachowych powstały stowarzyszenia na pozór niewinne np. grających w kręgle, palących fajki i t. d., ale nie ulega wątpliwości, że jądro tych towarzystw jest socyalistyczne. Dlatego policya śledzi je na coniedzielnych schadzkach, które odbywają w okolicach Berlina, a praca to nielada, bo socyaliści rozdzielają się na mniejsze kółka i drażnią policyę najrozmaitszemi szykanami. Niełatwo zachować policyi zimną krew i nieraz też przychodzi do starć na niewielkie rozmiary, a następnie do procesów o obrazę urzędników i czynny opór władzy. Kiedy np. niedawno ciało zmarłego socyalisty Metzrek'a odprowadzano na cmentarz, przyłączyło się do pochodu około 100 mężczyzn i 20 kobiet z czerwonemi krawatami i wstążkami. Pochodowi towarzyszyła policya.

Kiedy złożono ciało do grobu, pragnął jeden z obecnych kilka słów przemówić, ale żandarmi natychmiast temu przeszkodzili. Socyaliści poczęli szemrać; wrzawa wzmagała się i policya zagroziła, że wszyscy obecni będą musieli opuścić cmentarz, skoro się nie uspokoją. Po pogrzebie udali się socyaliści do bliskich lokali publicznych, gdzie wezbranym uczuciom swoim mogli popuścić wodze. Tymczasem gospodarze niektórych lokali obawiali się widocznie, że sami na tem źle wyjdą; wezwali tedy gości do rozejścia się. To nie skutkowało, wkroczyła tedy znowu żandarmerya i uwięziła kilku krzykaczy; w kieszeni jednego z nich znaleziono najnowszy numer zakazanego tygodnika *Der Socialdemokrat*. Oczywiście uwięzionym wytoczą proces. Spokojnie odbył się obchód 22-letniej rocznicy śmierci Lassal'a, na który tłumy socyalistów wybrały się parowcami, koleją żelazną, ogromnemi wozami i pieszo do wioski Grünau. Zebranych było tam przeszło 5 000 osób. Policyę licznie reprezentowaną szykanowano niemało, gdy wezwała do złożenia czerwonych wstęg, krawatów i t. d., i gdy muzyce zakazała grać tak zwaną Marsyliankę robotników; ostatecznie skończył się obchód bez wichrzących zaburzeń. Wszystkie jednak związki robotnicze, które wzięły udział w tej demonstracyi, zostały rozwiązane na mocy ustawy socyalistycznej. Skutkiem tego istnieją tylko dwa jeszcze stowarzyszenia robotnicze w Berlinie; rozwiązano teraz pięć, których członkowie znajdowali się w Grünau.

W listach pasterskich biskupów niemieckich coraz więcej spotykamy wzmianek o sprawie socyalnej i odezw do duchowieństwa, aby tej sprawie nie tylko uwagę swoją poświęciło, lecz także czynnie pracowało na polu społecznem, zakładając towarzystwa robotnicze, pouczając lud itd. To jednak bynajmniej nie sprzeciwia się faktowi, że w prowincyach ściśle katolickich ruch socyalny nie mógł dotychczas zrobić postępów; wiadomo, że siła socyalizmu spoczywa przeważnie w protestanckich prowincyach, mianowicie w wielkich miastach fabrycznych. Przeciwnicy nasi sądzą, że to jest prostem następstwem prześladowania religijnego; robotnicy katoliccy mieli zdaniem ich, jeszcze tyle przywiązania do wiary, iż obrona jej więcej ich obchodziła niż chęć polepszenia bytu materyalnego. Czasami przeciwnicy wnioskują więc, że teraz przynajmniej, kiedy w niemieckich stronach walka kościelna ustanie, robotnicy nadstawią ucha na

głosy socyalistów. Zobaczymy, o ile się to sprawdzi. Nie jesteśmy wolni od obaw, zwłaszcza, że szeregi duchowieństwa są poprzerzedzane a zakonów nie mamy wcale. Socyaliści rzeczywiście przypuszczają już szturm do krajów katolickich, np. poseł Volmar, rodem Bawarczyk usiłuje zyskać wpływ w Bawaryi. Najdoskonalszy mówca socyalistów, wymieniony poseł Bebel, baczne zwraca oko na prowincyę Nadreńską, gdzie znajdują się tysiące robotników, niezadowolonych z obecnego zastoju przemysłowego a przeto przygotowanych potrosze do przyjęcia zasiewu socyalistycznego. Urzędowy organ stronnictwa *Der Socialdemokrat* uderza namiętnie na katolickie stowarzyszenia robotnicze, pomawiając je że służą interesom kapitalistów, że cały ruch wśród robotników katolickich jest zwrócony przeciwko socyalizmowi, nie tylko w interesie Kościoła, lecz także w interesie znienawidzonej „burżoazyi“. Przez ten zarzut pragnie organ socyalistyczny nakłonić robotników do sprzeniewierzania się takim przywódcom jak Windhorst i centrum katolickie. *Socialdemokratowi* bardzo to nie na rękę, że centrum w obronie robotników stawia często w prasie i parlamencie żądania, dążące do ulżenia doli warstw pracujących. Stronnictwo katolickie wie, że nie frazesami, lecz praktycznemi środkami dolę ludu poprawić można. Robotnicy katoliccy patrząc na to, będą zabezpieczeni przeciwko groźnej zresztą agitacyi.

X.

Listy z nad Baltyku.

IX.

Geograficzne położenie Liwów. — O samej ich nazwie. — Źródła do tego przedmiotu. — Statystyka ludności krajowej. — Obyczaje dawnej i nowej szlachty tamtych stron. — Ludność miejska.

Liwowie stanowią obecnie już tylko nieznaczną cząstkę plemienia fińskiego, zaludniali wszakże niegdyś całą południową część teraźniejszej gubernii inflanckiej czyli ryskiej, oraz dzisiejszą Kurlandyę, jak to z wielu okoliczności i wskazówek a nawet z rozmaitych danych historycznych napewno twierdzić można. Dzisiaj

Liwowie zamieszkują dwie okolice: Jednę grupę Liwów, wprawdzie nader szczupłą, spotykamy w dobrach Neu-Salis w gubernii inflanckiej, niedaleko ujścia rzeki Salis. Wedle ostaniego spisu ludności w tej okolicy, liczono ich tam zaledwie kilkunastu. Druga grupa Liwów, nierównie liczniejsza, przebywa na północnym brzegu Kurlandyi. Liczą ich tam obecnie 2.374 płci obojga. Mówimy tu tylko o tych, którzy dotąd używają pomiędzy sobą języka Liwów. Liczba powyżej wykazana oczywiście znacznieby się zwiększyła, gdyby do niej dołączono tych wszystkich, co od dawnych Liwów pochodzą, a obecnie już oddawna przyjęli język i obyczaje sąsiadujących z nimi Łotyszów.

W okolicy Wendy (Wendenu) naprzykład, jakkolwiek nie spotykamy śladu języka Liwów, natrafiamy tam wszakże na ich nazwę w słowach *Livenhof*, *Livenstrasse* i t. p. a nawet w nazwie całej gminy Liwów (po łotewsku Lihbu pagasts), składającej się z pewnej liczby posiadłości włościańskich, tj. pojedyńczych sadyb, małych wsi i przysiołków. Mieszkańcy tych sadyb i wsi dotąd mają prawo do tak zwanego „dzwonu Liwów *(Livenglocke)*, tj. do bezpłatnego podzwonnego po śmierci. Sadyby te, wsie i przysiołki wymienione są dokładnie na samym dzwonie. Wszelako przy przelaniu tego dzwonu w r. 1818 dodanych na nim zostało siedm nowych sadyb, które jednak pochodzenia od Liwów dotąd dowieść nie zdołały. Czy te sadyby włościańskie były niegdyś rzeczywiście zamieszkane przez Liwów, i w jakim mianowicie czasie, o tem braknie wiadomości; obecnie wszystkie one są zamieszkane przez Łotyszów.

Jeśli nie będziemy liczyli owych kilkunastu Liwów, osiadłych w dobrach Neu-Salis w gubernii inflanckiej, uważaćby można dzisiaj już tylko północny kraniec Kurlandyi za jedyne miejsce zamieszkane przez Liwów.

Tutaj posiadają oni od wieków wysokie i piasczyste wybrzeże morskie, którego długość wynosi mil 10 i które ciągnie się od przylądka Domesnez, stanowiącego północny kraniec Kurlandyi, na zachód ku przylądkowi Lyserort, od którego oddalone jest przeszło na milę; z drugiej znów strony nie dochodzi na $1^3/_4$ mili do zatoki ryskiej. Szeroki zaś pas ziemi, błotnisty i zarosły lasami oddziela ich tu od Łotyszów, zamieszkujących wnętrze kraju.

Na zachodnim krańcu tego wybrzeża przerywają się nagle osady Liwów; na wschodnim zaś ku zatoce ryskiej, od niedawnego czasu ludność łotewska z Liwami mieszać się poczyna. Stosuję to zwłaszcza do osad czy też wsi Gibken i Schotzen, położonych w zachodnio-południowej części opisanego powyżej wybrzeża.

Nie chcąc nużyć czytelników „Przeglądu powszechnego“ wymienianiem całego szeregu wsi i dotąd tu wyłącznie przez Liwów zamieszkałych, ograniczę się na uwadze, że nazwy tych wszystkich włościańskich osad spotykamy już w dokumencie z dnia 17 października roku 1387 [1].

Liczą tu ogółem 136 sadyb *(Liwenhöfe)*, zamieszkałych przez Liwów. Z nich 54 zachodnich należy do dóbr Popen, położonych w obrębie filii Piza-Kula, wchodzącej w skład parafii angermündzkiej; pozostałych zaś 82 należy do dóbr Dondangen, parafii Klein-Irben. Granicę pomiędzy niemi stanowi strumień Irben, który przepływa o $^1/_6$ mili od wsi Ud-Kula i należy do okręgu popeńskiego.

Nazwa „Liwowie“ u samychże Liwów nie jest w użyciu. Jakkolwiek akademik petersburski Dr. Sjögren w pracach swoich o Liwach wzmiankuje, że Liwowie w dobrach Neu-Salis nazywają sami siebie „Lib“, prędzej przypuścić należy, iż nazwę tę przyjęli oni od Łotyszów; ojczysty ich bowiem język w okolicy Neu-Salis już wychodzi z użycia.

Kurlandzcy Liwowie znają wprawdzie to miano, ale używają go tylko wtedy, gdy mówią po łotewsku; sami zaś nazywają siebie *Randolist*, tj. „mieszkańcy wybrzeża“, dla odróżnienia się od Łotyszów, jako mieszkańców wnętrza kraju, którym dają nazwę *Mo*, od słowa *ma*, oznaczającego ląd.

Nazwę tę i sami Łotysze przyjęli, nazywając pogranicznych Liwów *Jurmalneeki*, tj. „mieszkańcy morskiego wybrzeża“, albo *Zwejneeki*, tj. „rybacy“ i zrzadka tylko zastosowują do nich słowo *Lihbêszy*, to jest „Liwowie“.

Inflanccy Liwowie, których ostatni przedstawiciele tylko w dobrach Neu-Salis jeszcze się napotykają, pod tem mianem są znani nietylko u najdawniejszych miejscowych kronikarzy, ale i u ruskiego latopisa Nestora (z ostatniej ćwierci XI. stulecia), który ich stale

[1] Porównaj: *Bunge* „Urkundenbuch“, a mianowicie nr. 1248.

tak nazywa. Słowem, jak daleko sięgają historyczne wiadomości, tak krajowe, jako i zagraniczne, zawsze ten lud temże mianem znajdujemy oznaczony.

Czy wszakże Liwowie, o których prawią Saxo i Joannes Magnus, są tymi samymi co i spotykani w kronice Henryka Łotysza, nic stanowczego o tem powiedzieć nie można.

Po ostatecznem ujarzmieniu Liwów i ugruntowaniu w Inflantach niemieckiego panowania, nazwy „Livonia“ i „Livones“ znaczenie odmieniły. Kronikarz Henryk Łotysz raz wyraźnie odróżnia kraje „Livonia“ i „Łottavia“ czyli Liwonię i Łotwę, drugi raz znowu pod nazwą Liwonii zdaje się rozumieć kraj cały przez Łotyszów, Liwów i Estów zamieszkały.

Następnie nazwa Liwów znika zupełnie. W ostatnich dopiero czasach na lud ten baczniejszą zwrócono uwagę i język onego badać i zgłębiać poczęto. Akademia petersburska umiejętności w roku 1861 wydała nader uczone dzieło pod tytułem: „Liwische Gramatik nebst Sprachproben“, która to praca pomnikowa studyom nad tą cząstką plemienia fińskiego nowy ruch nadała.

Pod nazwą „Livländer“ (po łacinie „Livonus“), rozumieją obecnie Niemcy mieszkańca Inflant tak polskich, jako i szwedzkich czyli gubernii ryskiej, bez względu na jego pochodzenie lub narodowość. Z obszernej obecnie literatury, traktującej o Liwach, wymienimy tutaj tylko prace następujące:

1. *W. Hillner:* „Die Liwen an der Nordküste von Kurland“, oddrukowane w „Bunge's Archiv für die Geschichte Liv-Esth- und Curland's“, tom V., str. 159—167 (Dorpat 1847 r.) Ta sama praca ogłoszoną także została w języku francuskim w „Bulletin de la classe des sciences historiques, philosophiques et politiques de l'Académie Impériale des sciences de St. Pétersburg“; tome III., Nr. 17, staraniem członka akademii Piotra Koeppena.

2. *Sjögren:* „Rapport sur son voyage en Livonie et en Courlande“, ogłoszone w „Mélanges russes“ 1852, II, p. 235 et sequ.

3. Przytoczone już wyżej znakomite dzieło, przez Akademię petersburską wydane, a którego tytuł całkowity tu przytaczamy: „Joh. Andreas Sjögren's Livische Grammatik nebst Sprachproben im Auftrage der kaiserlichen Akademie der Wissenschaften bearbeitet und mit einer historisch-ethnographischen Einleitung versehen

von Ferdinand Joh. Wiedemann", Petersburg r. 1861 *in 4-to majori*, stronnic CIV i 480, a więc ogółem stronnic 584. Po obszerniejsze szczegóły o Liwach ciekawszych czytelników przedewszystkiem do tego ostatniego dzieła odsyłamy.

Mówiliśmy już wyżej, w liście ósmym, że ludność rodzimą Kurlandyi stanowią Łotysze, Niemcy i Liwowie. Tu zaś winniśmy dodać, że nasze najnowsze źródła statystyczne wykazują tam 0,34% Liwów, 8% Niemców i 80% Łotyszów całej ludności kraju, która obecnie wynosi ogółem głów 573.339.

Ludność napływową tworzą tam Litwini, Rusini, Polacy, Rosyanie, Żydzi i Cyganie. Polaków jest 1,67% całej ludności kraju, Litwinów 2,66%, mówiących po rosyjsku i po rusku (Rusinów i Rosyan) ogółem 2,24%, Żydów 6,74%, Cyganów 0,02%.

Polaków i Litwinów stosunkowo najwięcej znajdujemy w tak zwanej górnej Kurlandyi „Das kurische Oberland". Rusini osiedlili się przeważnie tamże, na brzegach Dźwiny.

Co do Rosyan i Żydów, ci przebywają głównie po miastach i miasteczkach, a tylko zrzadka po wsiach. Ci Rosyanie, którzy w Kurlandyi wsie zamieszkują, należą przeważnie do sekty Roskołów-Starowierców. O tej sekcie, w Kurlandyi daleko mniej licznie reprezentowanej niż w Inflantach polskich, mówiliśmy już wyżej dosyć wyczerpująco.

Podług wyznania jest cała ludność Kurlandyi chrześcijańską, wyjąwszy Żydów i Cyganów. Polacy, Litwini i część Rusinów są obrządku rzymsko-katolickiego, Niemcy przeważnie wyznania luterskiego, w małej tylko cząstce kalwińskiego, a w jeszcze mniejszej rzymsko-katolickiego; Liwowie są wszyscy bez wyjątku lutrami.

Podług wyznania liczą w Kurlandyi protestantów 81,46% całej ludności kraju, katolików 9,2%, izraelitów 6,74%, prawosławnych 1,6% i roskolników 1%.

Ludność wyznania protestanckiego posiada w Kurlandyi 148 zborów luterskich a 1 tylko zbór kalwiński w Mitawie.

Ludność rzymsko-katolicka Kurlandyi podzieloną jest na dwa obszerne dekanaty, a mianowicie: dekanat semigalski czyli górnej Kurlandyi i dekanat kurlandzki, obejmujący dolną Kurlandyę. Do pierwszego należy 7 parafialnych i 9 filialnych kościołów, do dru-

giego 9 parafialnych i 7 filialnych kościołów i kaplic. Oba dekanaty katolickie wchodzą w skład dyecezyi żmudzkiej.

Natomiast nieliczne są kościoły katolickie w Inflantach szwedzkich i Estonii — napotykamy je tylko w Rydze, Dorpacie i Rewlu — należą do dekanatu petersburskiego i wchodzą w skład archidyecezyi mohylewskiej.

Wspominaliśmy już na swojem miejscu, mówiąc o łotwie katolickiej, że największa część mieszkańców Inflant polskich wyznaje religię rzymsko-katolicką. Co do zarządu kościelnego, to kraik ten, stanowiący od roku 1677 osobną dyecezyę katolicką *episcopatus Livoniae*, obecnie już od przeszło lat stu do utworzonej w roku 1783 archidyecezyi mohylewskiej należy, i podzielonym jest na 6 dekanatów, z których dekanaty Dynaburga wyższego i Dynaburga niższego obejmują powiat dynaburski, dekanaty rzeżycko-raźnieński i rzeżycko-tubański powiat rzeżycki, a dekanaty przedlucyński i zalucyński — powiat lucyński.

W tych sześciu dekanatach liczą obecnie aż 59 parafij, w których kościołów parafialnych 59, filialnych 9 i 43 kaplic.

W braku dokładnej statystyki z tej części Łotwy przytaczamy jeszcze, że w r. 1880 powiat dynaburski w swych 19 parafiach liczył katolików 97.000, powiat rzeżycki w 24 parafiach 77.185, a powiat lucyński w 16 parafiach 70.000. Wszystko to wyraża stan kościoła w tej prowincyi, którą arcybiskup Wacław Żyliński († 1863 r.) zwykł nazywać perłą archidyecezyi mohylewskiej.

Jeśli w Estonii i w Inflantach szwedzkich czyli gubernii inflanckiej, klasę posiadaczy ziemskich składają sami tylko Niemcy, to w Inflantach polskich tęże klasę stanowią przeważnie Polacy; ci w Kurlandyi górnej mają także swe posiadłości, częstokroć bardzo nawet obszerne.

Stare rody polsko-inflanckie są czysto niemieckiego pochodzenia. Niejeden może między krewnymi swych przodków, wykazać mistrzów prowincyonalnych, komturów i innych dostojników rycerskiego zakonu. Atoli wszystka ta szlachta rycerska spolonizowała się od dawien dawna, gdyż przodkowie jej orężem służyli królom polskim i zacząwszy od czasów króla Zygmunta Augusta krew swoją przelewali w bojach Rzeczypospolitej. Ile się ta szlachta przyczyniła do pożytku i ozdoby Polsce, wykazuje choć po części książka

„Inflanty polskie“ (str. 41—43 i 64—92), która także opisuje szlachtę z czasów polskich tamże osiadłą (str. 92—102).

Klasę posiadaczy ziemskich w Kurlandyi stanowią starodawne krzyżackie rody niemieckie, których część atoli za czasów Rzeczypospolitej najzupełniej się spolonizowała. Ci w wielkiej części przesiedlili się na Litwę lub do Inflant polskich, ale nie przestali się zaliczać do uorganizowanego w roku 1620 stowarzyszenia rycerskiego najstarszej szlachty kurlandzkiej *(die kurländische Ritterschafts-Corporation)*, posiadającego 5 dóbr rozległych w Kurlandyi i najrozmaitsze przywileje. To też wszyscy członkowie tych rodzin, tak jak i ich przodkowie, znajdują się w księgach mieszczących w sobie spisy genealogiczne izby rycerskiej kurlandzkiej *(die kurische Ritterbank)*, do której wyjątkowo i kilka staroszlacheckich rodzin polskich niegdyś przyjętych zostało, dla dania im możności posiadania dóbr w granicach Kurlandyi.

Co zaś do szlachty niemiecko-kurlandzkiej to wyznać należy, że i ona z wielu względów miała od wieków niezaprzeczone podobieństwo ze szlachtą polską. Dzika bowiem niesforność i nieuchodzona burzliwość, była charakterystycznem znamieniem zarówno szlacheckiej społeczności znad Wisły i Warty, jak rycerstwa znad Dźwiny i Wenty. Kwitła tu i dotąd kwitnąć nie przestaje niepomiarkowana a u plemion germańskich w tym stopniu nigdzie indziej nie dająca się napotkać gościnność, której ujemną stroną było niegdyś zbytnie rozmiłowanie się w roskoszach jadła i napoju. Rezydencye szlachty kurlandzkiej i piltyńskiej stały dla wszystkich otworem, jak gospody; wszędzie rozlegał się gwar wesołych biesiad. Nie było najzwyczajniejszego bankietu bez nie mniej obfitych jak w dawnej Polsce libacyj. Podczas uczt, gdy wino podnosiło ogólną temperaturę biesiadników, bardzo często przychodziło do kłótni i bójki. Spory lub procesy załatwiano chętniej z szablą w ręku niż przez adwokatów[1]. To też nie brakło w Kurlandyi i egzekucyj zbrojnych, przypominających najżywiej tak zwane „zajazdy“ szlachty polsko-litewskiej, znane dziś tylko z tradycyi.

Natomiast klasa posiadaczy ziemskich w Estonii i Inflantach

[1] Patrz. „Piltyń i archiwum piltyńskie“, studyum ogłoszone w „Bibliotece warszawskiej“. Tom 173, str. 169—192 i 429—440.

szwedzkich nie wyróżnia się niczem od innych Niemców nadbałtyckich, jeśli wyłączymy pewien rodzaj nadętości i sztywności znamionujących ją w sposób dosyć charakterystyczny. Wyznać zresztą należy, że tylko mała jej cząstka pochodzi od starodawnych rodów krzyżacko-rycerskich, które w tych obu prowincyach przez tak zwaną „redukcyę szwedzką“ (postanowienie rządu szwedzkiego, które miało na celu bezwzględne przyłączenie do skarbu państwowego wszystkich dóbr ziemskich, nabytych rzekomo drogą nielegalną), niemal zupełnie wyniszczone tu zostały, lub w skutek tejże „redukcyi“ do innych się krajów poprzesiedlały. Z czasów szwedzkich napłynęło tu nie mało rodzin ze Szwecyi i zlało się całkowicie ze szlachtą tutejszą; najwięcej zaś jest nowo-kreowanej szlachty, która tu doszła do fortun i imienia za rządów już rosyjskich i stale się rekrutowała z burżoazyi miast nadbałtyckich lub z rodzin luterskich predykantów. Uwydatniła to najwyraźniej wystawa historyczna ryska w roku 1883, której pewien oddział nader ciekawy, zawierał zbiór pieśni i ogłoszeń okolicznościowych, dotyczących mieszczan bałtyckich z wieku XVII. i XVIII., tak zwane *Tauf-Hochzeits- und Begräbniss-Carmina*, pomiędzy któremi figurowała wielka ilość nazwisk obecnie spanoszonych i zaliczanych do tak zwanej arystokracyi bałtyckiej [1].

Ludność miejską stanowią w prowincyach nadbałtyckich mieszczanie niemieccy oraz rozsiani pomiędzy nimi Łotysze, Esty, Żydzi i Rosyanie, ci ostatni po większej części jako kupcy lub urzędnicy. Mała liczba rodzin szlacheckich niemieckich a jeszcze mniejsza rodzin polskich, po większej części tylko czasowo miasta nadbałtyckie zamieszkujących, na uwagę zasługiwać nie może.

Natomiast uwzględnić należy tak zwany stan literacki *(Literatenstand)*, do którego w Inflantach, Kurlandyi i Estonii zaliczają wszystkich mieszczan, którzy studya uniwersyteckie odbyli, a więc: rodziny adwokatów, lekarzy, duchownych protestanckich, profesorów i nauczycieli szkół wyższych i średnich, dyrektorów zakładów najrozmaitszych, wyższych urzędników miejskich, dyrekto-

[1] Porównaj w tej materyi artykuł: „O wystawie historycznej w Rydze“, ogłoszony w numerach 179–194 dziennika Słowo z r. 1883, wychodzącego w Warszawie pod redakcyą *Henryka Sienkiewicza*.

rów fabryk, techników wyżej ukształconych, dziennikarzy, artystów i t. p.; wszyscy oni tworzą wyższą, częstokroć bardzo inteligentną warstwę społeczeństwa miejskiego.

Ludność małomiejska przeważnie się składa z Izraela, w małej zaś tylko części z innych narodowości, jako to: Niemców, Łotyszów, Estów, Litwinów, Polaków i Rosyan. Wszelako w Estonii i niektórych częściach Inflant, w których pobyt Żydom niegdyś najzupełniej był wzbronionym, przeważa i dotąd w małych mieścinach element estoński i łotewski nad mojżeszowym.

Gustaw Manteuffel.

Rzymsko-katolicka Akademia duchowna w Petersburgu.

Przeszło już trzysta lat ubiegło, jak dzięki wielkiemu Stefanowi, otwarły się dla litewskiej i polskiej młodzi mury wileńskiej Akademii. Rzecz wiadoma, że Akademia ta, lub raczej uniwersytet, którego pierwszym rektorem był nieśmiertelny Piotr Skarga, a jednym z ostatnich, znany w całym świecie astronom Marcin Poczobut, zajęła ważne miejsce w dziejach naszej oświaty i literatury. Batorowska fundacya dawno już istnieć przestała, lecz ślad jej pozostał. Roku 1832 zniósł cesarz Mikołaj Akademię wileńską, ale zostawił jeden jej fakultet — tj. reskryptem z 1 lipca 1833 założył katolicką Akademię duchowną, a w dziesięć lat później przeniósł ją do Petersburga, przeznaczając na jej utrzymanie pewną część dochodów dawnego uniwersytetu. Rzecz prosta, że na Akademię tę zwracały i zwracają się oczy nietylko katolików podległych berłu rosyjskiemu, ale całego katolickiego świata. — Jaką jest i jaką była katolicka Akademia Petersburska? jakich ma profesorów? jakiej metody w wykładach swych profesorowie ci się trzymają? jakie dotąd przyniosła owoce? — ważne to i niemałej doniosłości dla nas pytania. Urzędową niejako odpowiedź na nie, daje nam ogłoszona staraniem Rektora tejże Akademii, Ks. Prałata Symona, ozdobnie wydana i bardzo interesująca broszura o dawnych losach i dzisiejszym stanie tej uczelni, pod tytułem: *Academia Caesarea Romano-catholica Ecclesiastica Petropolitana, anno Domini 1885.*

Do roku więc 1842 istniała Akademia duchowna w Wilnie; w roku następnym, pod Rektorem X. Hołowińskim, przeniesioną została do Petersburga. 18 grudnia 1844 zwiedził sam cesarz częścią odnowione, częścią nowo wybudowane obszerne zabudowania akademickie, i podniósł dochody Akademii do 40.000 rubli rocznie. Stolica św. od samego początku, zwracała baczną uwagę na petersburską Akademię i jej ustawy; ostatecznie uregulował je stosownie do praw kanonicznych, konkordat z r. 1847. Na czele Akademii stanął każdorazowy arcybiskup mohilewski, z prawem wyboru rektora, inspektora i profesorów, oznaczenia liczby słuchaczy z każdej dyecezyi i ustanowienia odpowiedniego programu nauk. Po zniesieniu w r. 1867 duchownej Akademii warszawskiej, władze dyecezalne z Królestwa polskiego, zaczęły również zdolniejszych kleryków posyłać do Petersburga. W ostatnich latach papież Leon XIII., potwierdził wszystko co jego poprzednicy: Grzegorz XVI. i Pius IX. dla Akademii zdziałali, poleciwszy zarazem Arcybiskupowi Mohilewskiemu, aby wespół z biskupami innych dyecezyj przejrzał dawne konstytucye i reguły Akademii, i o ile tylko może „starał się zadośćuczynić pragnieniom innych biskupów Rosyi i Polski, którzy wszyscy o to jedno się troszczą, aby młodzieńcy z ich dyecezyj na ławach akademickich zasiadający tyle sobie zebrali nauki i cnoty, iżby w swoim czasie, wielką korzyść ludowi chrześcijańskiemu przynieść mogli"; a nadto rozwiązał na korzyść Akademii pewną wątpliwość co do udzielania najwyższych stopni naukowych.

Obok tego krótkiego, ale wyczerpującego rysu historyi petersburskiej Akademii, skreślonego piórem samego Czcigodnego Rektora tejże, idą szeregiem, niby dołączone i objaśniające dokumenta, tj. spisy: regensów uprzedniego generalnego seminaryum wileńskiego, począwszy od r. 1808—1833; rektorów obecnej petersburskiej akademii od r. 1833 aż do dni naszych, z krótkim życiorysem tychże; profesorów, adjunktów i lektorów; wreszcie długi, alfabetyczny spis studentów. Obok nazwiska każdego słuchacza umieszczony jest rok w którym ropoczął i zakończył teologiczne studya, (najdawniejszy, 1803) osiągnął stopień akademicki, a także dyecezya z której pochodził.

Niemniej dokładnie jak z dawnemi dziejami, zapoznaje nas

Szanowny Autor z dzisiejszym stanem Akademii; a mianowicie: W roku minionym sam Rektor X. Prałat Symon, wykładał codziennie przez godzinę Pismo św.; X. Kanonik Kłopotowski, Inspektor Akademii, wykładał historyę kościelną i prawo kanoniczne; żmudzki kanonik X. Cyrtowt teologię dogmatyczną według św. Tomasza, Melchiora Canusa, Franzellina, Peronego, Petawiusza, Mazelli, Hurtera; X. Cieplak teologię moralną i pastoralną; X. Koskowski filozofię; X. Retke homiletykę, patrologię, liturgię. Słuchacze używali jako podręczników do powtarzania usłyszanych wykładów: w teologii dogmatycznej Hurtera, w teologii moralnej Gurego, w filozofii Liberatorego. Trzech świeckich profesorów wykładało w języku łacińskim: literaturę klasyczną i język grecki, w języku rosyjskim: historyę literatury rosyjskiej i rosyjskiej historyi w związku z historyą powszechną. Nadto mieli alumni sposobność ćwiczenia się w językach: rosyjskim, niemieckim, francuskim i hebrajskim. Na pierwszym kursie było słuchaczy 19, na drugim 9, na trzecim 11, na czwartym 10. Od założenia generalnego Seminaryum w Wilnie, wyszła z niego i z dzisiejszej Akademii duchownej w Petersburgu poważna cyfra 1213 kapłanów.

Na zakończenie tego sprawozdania załączamy serdeczne życzenie, aby słowa Szan. Rektora, „że Akademia zawsze cnotą i nauką kwitnąć będzie“, nadal jak dotąd iścić się mogły.

Druk ukończony dnia 27 września 1886.

ZAMORSKIE POSIADŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANII.

Rzadko danem bywa zwykłym śmiertelnikom, kulę ziemską raz w życiu objechać; ale w ciągu jednego żywota, objechać ją dwa razy, to już do najrzadszych należy wyjątków. Do takich wyjątków, ku własnej przyjemności a największej dla czytającej publiczności korzyści, liczy się Baron Hübner, były minister i poseł austryacki w Paryżu. Już będzie z jakie lat temu piętnaście, wyrywano sobie dzieło barona Hübnera, wydane pod skromnym tytułem *Promenade autour du Monde* (1872). Wyraz p o d r ó ż, zastąpił wyrazem p r z e c h a d z k a, by czasem czytelnik nie myślał, że dzieło samemi geograficznemi i etnograficznemi wywodami przepełnił, gdy jemu właśnie najbardziej o to chodziło, aby owa p r z e c h a d z k a przystępną była i użyteczną nie tyle dla ludzi wiedzy, ile dla szerszej czytającej publiczności. Chwalebne to życzenie, całkowicie spełnionem zostało; dzieło, kilku doczekało się wydań, a dziś każdy co dawniej czytał „Przechadzkę około świata", rozumnego, doświadczonego wszechświatów badacza i dawnego męża stanu, z tym większą zabiera się skwapliwością do jego nowo opisanej podróży po zamorskich posiadłościach Wielkiej Brytanii [1].

Nie wiadomo doprawdy co więcej w sędziwym podróżniku podziwiać wypada: czy niesłychaną osobistą odwagę, z rzadką w tym wieku połączoną swobodą umysłu — czy tę uprzejmą towarzyską wesołość, bynajmniej nie wykluczającą ani głębokiej wiedzy ani powagi wielkiego pana — czy oryginalną fantazyę jego opisów

[1] A travers l'empire Britannique par M. le Baron de Hübner, ancien Ambassadeur, ancien Ministre. 2 vol. Paris lib. Hachette.

i anegdot — czy nieocenione polityczne poglądy na kraje i ludzi, poglądy, które dla następnych pokoleń już nietylko polityczną, ale historyczną wartość niezawodnie mieć będą. Jedna tylko rzecz żadnej nie podpada wątpliwości, to że każdy czytelnik obojga płci, wszelakiego wieku i stanu, czytając porywające to dzieło, w duszy sobie powie: „Czemuż z takim idealnym towarzyszem podróży tej odbyć nie mogłem“! bo czyż nie idealny rzeczywiście z barona Hübnera towarzysz? — rozumny, odważny, niezłomny w swych zasadach, doświadczony, dobry i wesoły! cóż więcej żądać można?

Przyglądając się mapie, zamorskie cesarstwo Wielkiej Brytanii niemal pół świata zajmuje. Afryka południowa, Australia i większa część Oceanii, Indye, Kanada oraz przeróżne miejsca, kolonie i rozmaite wyspy w amerykańskich archipelagach! Gdyby ten świat olbrzymi, pod jednym będący rządem, a właściwie, do jednej należący korony, w jedną skupiony był całość, inneby na kuli ziemskiej były międzynarodowe stosunki, i sam książe Bismark nie byłby się tak ze swojem politycznem gospodarstwem na wszystkie strony rozwielmożnił. Tymczasem w Anglii ubolewał już niejeden mąż stanu nad tym kolosalnym, tak przerażająco szybkim rozrostem, czy za pomocą siły czy dobrowolnie tłoczących się posiadłości pod berło królowej, co mówię! cesarzowej Wiktoryi; niejeden minister dla kolonij głowę nad tem suszył, jakieby tu założyć wędzidło tej nieraz zbyt awanturniczej, lecz zawsze jakby fatalizmem konieczności naprzód pchanej polityce, jednym zamachem całe kraje zagarniającej, bez względu na przyszłość, bez obawy o niebezpieczne komplikacye, które w tym kolonialnym świecie, lada wojna Anglii z jakiembądź europejskiem, czy nieeuropejskiem mocarstwem, wywołać musi. Prawdziwy *embarras de richesses:* gmach ogromny, zawsze jeszcze jakby niedostateczny; dodaje się skrzydło to na prawo, to na lewo, z przodu, z tyłu; muruje się podziemne lochy do składania miliardów z przeróżnych kolonij przesyłanych; w miarę jak się wzdłuż i wszerz rozciąga, gmach coraz bardziej na proporcyi traci, obawa zachodzi czy fundamenta taki ciężar zniosą; coraz więcej, i to licząc ich na krocie, potrzeba ludzi, głów, rąk, broni, a zwłaszcza sumień, by tym ciągle wzrastającym ogromem módz rządzić. Niebawem, nie stanie rządzących,

by rządzonych w karbach utrzymać, i to najrozmaitszego gatunku rządzonych, od Oceańskiego ludożercy, do wyrafinowanego mieszkańca miast takich jak Kalkuta lub Montreal; od napół tylko ujarzmionego indyjskiego Kacyka, do dzikiego o spłaszczonym nosie i rudoczarnej cerze Kafra, dla którego czczonem bóstwem jest krokodyl, a w wężach widzi utajone dusze krewnych i przyjaciół. Siedmnaście czy ośmnaście sejmów ma cesarstwo austryackie, niemal w każdym z nich innym rozprawiają językiem; żałują też nieraz Austryi, że w łonie swem tyle nosi różnorodnych żywiołów, z któremi jej się bezustannie liczyć przychodzi — cóżby więc rząd Angielski mógł powiedzieć? ileż tam obraduje sejmów w tym kolonialnym gmachu; a ile tam jeszcze krajów gdzie dotąd sejmów założyć nie było można, bo tybulcy nie wiedzieliby co w tej sali robić, ani o czem rozprawiać. Szczęśliwe kraje! Oj! nie dla kształtu nosi minister dla kolonij głowę na karku, i zajęty przez niego wysoki urząd, nie jest synekurą. Gdy jaką ważną, zwłoki czasem nie cierpiącą, powziąć trzeba decyzyę, np. abstencyi lub interwencyi w spornej między plemionami sprawie, minister dla kolonij lgnie najczęściej do abstencyi, tyle go sprzecznych z różnych stron dochodzi informacyj, każda z nich w innem świetle rzeczy przedstawiająca. Raporta władz cywilnych i władz wojskowych nie zawsze się z sobą zgadzają; gubernator radby na pokojowej drodze spór załatwić, gdy komendant już pałasz nawpół z pochwy wyciągnął. Kolosalne firmy handlowych domów kolonialnych, dla których rozstrzygnięcie sprawy na rzecz wojny lub pokoju jest często kwestyą żywotną, także swoje mają zdanie, którego wysłuchać należy, bo oni miliardami obracają, a miliardy owe, koniec końcem, są angielskie. Bywa także, że i sami krajowcy, o których skórę się rozchodzi, deputacyę do Londynu wysyłają i w *Colonial Office* wysłuchać ich trzeba.

W obec tych wszystkich, tak z sobą najczęściej niezgodnych głosów, jakżeż łatwo ministrowi się pomylić! I tak, parę lat temu, gubernator przylądka Dobrej Nadziei, sir Hercules Robinson zaproponował ministeryum w Londynie, aby mu wolno było ustanowić mały oddział wojska angielskiego, dla stałego pilnowania granic od napaści sąsiednich, dzikich plemion, w napaściach tych grożące widząc na przyszłość niebezpieczeństwo. *Colonial Office* zezwolenia wręcz odmówiło. Niebawem obawy gubernatora aż nadto usprawie-

dliwione zostały: anarchia takie przybrała rozmiary, że i handel z Europą na jakiś czas całkiem przerwany został; rząd wypadkami zaskoczony, na gwałt prawdziwą zmuszony się widział rozpocząć kampanię, przez jenerała sir Charles Warren, co prawda do świetnego doprowadzoną rezultatu, ale nie mniej srogo krwią, trudem i milionami opłaconą. Powyższych wywodów sens moralny jest więc, że z wielkiem wyrozumieniem sądzić się winno czynności człowieka w tak trudnem będącego położeniu, jakim jest urząd naczelnika *Colonial Office* w Londynie. Łatwiejsze było zadanie korony Angielskiej w obec zamorskich swych posiadłości za dawnych czasów, gdy kolonie nie były niczem innem tylko handlowemi osadami *(factorys)*, lub koloniami deportacyjnemi, na różnych mniej więcej nieprzystępnych brzegach porozrzucanemi. Były to więc sprawy do ministeryum handlu i do zarządu więzień właściwie należące. Tak było ongi — dziś, owe dawne handlowe osady zamieniły się na stołeczne miasta o trzy i czterykroć stutysiącach mieszkańców; dawne skrawki gruntu osady otaczające, są obecnie ogromnemi obszarami ornej ziemi i wspaniałemi pastwiskami, których końca oko ludzkie nie dojrzy. Deportacyjne stacye albo całkiem zniesiono, albo przeniesione zostały gdzieś w dalekie, puste jeszcze strony; ówczesne nawpół dzikie plemiona są dziś narodami, o własnej autonomii, o własnym najczęściej parlamencie, do rządu w Londynie odnoszącemi się jedynie w bardzo ważnych konjunkturach. Przybyło zatem Anglii mnogo ziemi, mnogo chwały i mnogo miliardów, ale i mnogo trudów. Wiedzą dobrze ministrowie, tak konserwatywnego jak i liberalnego gabinetu, że w tych odległych stronach świata, wieczne grozi koronie niebezpieczeństwo, że w mniej więcej dalekiej przyszłości, zamorskie te kolonie z trudem nabyte, a większym jeszcze trudem ujarzmione i ucywilizowane, ale bądź co bądź przewagę Wielkiej Brytanii na morzu dotąd stanowiące, odpadną od Angielskiej korony, separacyi żądając dobrowolnie, albo przez wrogie Abionowi mocarstwa do tego chytrze naprowadzone. Jedynem więc zadaniem ministra w *Colonial Office*, jest nieunikniony a srogi ten dla Anglii cios, silną, lecz zarazem łagodną dłonią, o ile być może, oddalać. Pomiędzy znaczniejszemi angielskiemi posiadłościami, jest już kilka takich (Australia n. p. i Nowa Zelandya) co wybrzeża swe i porty na tyle wzmocnili, że od najezdców samiby się

już obronić zdołali, nie udając się do korony o pomoc; jedyna jeszcze rzecz, co ich pod zależnością Anglii trzyma i lojalność względem niej zapewnia, — to brak odpowiednich sił aby otoczyć dostateczną opieką, w danym razie i zbrojną pomocą, ogromną kolonialną marynarkę handlową. Bezpieczeństwo handlu i przemysłu, oto więc ogniwo w zależności trzymające kolonialny świat Wielkiej Brytanii. Póki parlament Londyński na marynarkę milionów żałować nie będzie, póki flota angielska pierwszą będzie na obydwóch półkulach siłą morską, póty zachowa kolonie, które przewagę i bogactwo angielskiej korony stanowią; z osłabnięciem onej floty ostatnia wybije godzina dla zamorskich rządów Anglii. Takie jest zdanie barona Hübnera, zdanie człowieka nietylko niepospolitego rozumu, ale i osobistego w politycznych kwestyach doświadczenia, a który ma dla narodu angielskiego wielkie poszanowanie i nie mniejszą życzliwość. Ostatnia podróż sędziwego ex-ministra, dawszy mu sposobność z bliska w oczy spojrzeć różnym grożącym Anglii w kolonialnych jej posiadłościach niebezpieczeństwom, trzy główne z nich szczegółowo nadmienia. Pod trzema przedstawiają się one postaciami: 1. pod postacią wszechwścibskiego kolonisty Niemca, zawsze i wszędzie o opiece rządu swego zapewnionego, co podwaja wzajemną ich siłę; Niemiec bowiem coraz dalej i coraz więcej z a g a r n i a, a rząd niemiecki, na największą korzyść *Vaterland'u*, zagarnięcie owo koloniście ułatwia i zachowanie zabranej posiadłości zapewnia. 2. Kolonista Irlandczyk, istny, z małemi wyjątkami, fabrykant rewolucyjnego dynamitu, by nim przy pierwszej sposobności Anglię zniszczyć. 3. Kolonista Chińczyk. Nie jednemu czytelnikowi będzie się prawdopodobnie to trzecie dla Anglii niebezpieczeństwo przesadzonem, może nawet całkiem urojonem wydawać; bo czemże jest właściwie w oczach naszych Chińczyk? Istotą o bardzo brzydkiej powierzchowności, żółtej cerze, z warkoczem, ogoloną z resztą głowę zdobiącym, istotę pod żadnym względem nie przedstawiającą ani siły, ani uroku, ani w najdalszej przyszłości możliwej w świecie potęgi. Inne jest zdanie barona Hübnera. Według niego, ostatnia wojna Anglii i Francyi z Niebieskiem państwem, zamiast Europejczykom wstęp do Chin ułatwić, co było rzekomym wojny tej powodem i ewentualnym onejże rezultatem, całkiem inny, wcale nie pożądany, a z czasem i niebezpiecznym być mogący osiągnęła cel,

a mianowicie: dotąd istniejący chiński mur, po części zburzyła, szerokie do całego świata otwierając wrota czterystu milionom Chińczyków. Czuje Chińczyk i wie dobrze, że od Europejczyka, nawet od Amerykanina umysłowo niżej stoi, ale równie dobrze wie i czuje, że jest od nich o wiele pracowitszy, wstrzemięźliwszy, w zamiarach wytrwalszy, a w niepowodzeniu i biedzie nieskończenie cierpliwy i wytrzymały. Wie i czuje, że nosi w sobie niezrównany zmysł do przemysłu i handlu, oraz wrodzoną uczciwość, która wyżej wymienione zalety jeszcze w trójnasób potęguje. Unikając dotąd zbyt cywilizowanych i zbyt zaludnionych krajów, Chińczyk pierwszeństwo daje stronom świata, gdzie wszelkiego rodzaju robotnik, dla braku pracujących rąk, skwapliwie poszukiwanym bywa. Przenosi się zatem w wielkiej ilości to do Australii, to do Oceanii, to na wybrzeża Afryki, i w mgnieniu oka staje się niezbędnie krajowcom potrzebnym. Po kilku zaledwo miesiącach, we wszystkich zamożniejszych handlowych i prywatnych domach, we wszystkich rządowych gmachach, nie można już spotkać ogrodnika, kucharza, służącego, lub jakiegobądź robotnika w polu, innej narodowości. Wszędzie zwolna, ku największej korzyści właścicieli, element murzyński Chińczyk zastępuje, i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z czasem całkiem go wyruguje. W samej Peruwii i w Chili, od lat zaledwo dziesięciu, przybyło przeszło dwakroć sto tysięcy Chińczyków, co względnie do niezbyt wielkiej ludności jest przerażającą cyfrą, tak przerażającą, że w niektórych krajach, w Kalifornii np. przyszło już nieraz do krwawych między chińskiemi i miejscowemi robotnikami starć, w których biedni Chińczycy, mniej do wojny niż do przemysłu uzdolnieni, ginęli tysiącami. Nie dawno temu w San-Francisko, we wszystkich miejscowych fabrykach cygar, których tam jest niezliczona moc, chińscy robotnicy solidarnie się związawszy, ogłosili strikę, oświadczając właścicielom fabryk, że żaden z nich do pracy nie powróci, póki nie zostaną oddaleni wszyscy ich fabryczni towarzysze nie chińskiej narodowości. I co gorsza, właściciele kapitulować musieli, bo tyko żółtej cery robotnik dobrze, tanio i szybko pracuje, gdy białej cery współzawodnik, mając się za umysłowo i socyalnie dużo od Chińczyka wyższym, wyższości tej namacalny daje dowód, pracując niedbale, drogo i wolno. Po fabrykach cygar, przyjdzie prawdopodobnie

kolej na szewców i krawców, szydło i igła najświetniejszą jest w rękach syna Niebieskiego państwa bronią. Baron Hübner tak daleko w tym względzie wnioski swoje posuwa, że w przewadze chińskiego elementu na tamtej hemisferze, widzi w przyszłości i naszej półkuli zagrażające niebezpieczeństwo. Co żadnej nie podpada wątpliwości, to, że samych Chińczyków jest o sto milionów więcej, niż wszystkich mieszkańców w całej Europie. Interesujący ten rozdział, kończy autor następującym ustępem: „Są więc „jakoby dwa ogromne, przepełnione rezerwuary, z których dwie wy„pływają rzeki: biała i żółta; jedna płynie, grunt pod zasiew „chrześcijaństwa użyzniając, druga bezustannie zasiew ten niszcząc. „Nieraz już w groźnem zetknęły się spotkaniu; może do otwartej „walki nie daleko. Jaki tej walki ostateczny będzie rezultat, to już „do roczników XIX. wieku należy".

Z innej strony, ale niemniej groźna wisi nad Anglią burza w Indyach; przedsmak jej mieli już Anglicy w Afganistanie i mogli sobie wówczas przypomnieć słowa Wellingtona, który mawiał „że Herat jest kluczem do Indyj". Pod tym to kluczem niejedna indyjsko-angielska, ale może i europejska zawarta jest przyszłości zagadka. W samych Indyach, innego jeszcze rodzaju ma rząd królowej Wiktoryi do pokonywania trudności; przekształcanie indyjskich mózgów na anglo-saksońskie nie uskutecznia się bez trudu, czego najlepszym dowodem jest, że dopiero od roku 1857 zaczęto, i to do niższych tylko urzędów, przyjmować krajowców w rządowych szkołach wychowanych; z czasem będą się oni i o wyższe miejsca upominać, z pominięciem angielskich kandydatów, a raz na tę drogę wstąpiwszy, ani się zatrzymać ani się cofnąć nie będzie można. Europejskie społeczeństwo, tymczasowo albo stale osiadłe w Indyach, dzieli się, ni mniej ni więcej jak w naszej starej Europie, na dwa obozy: konserwatyści chcą by wszystko pozostało jak jest, lub nawet by się cofnęło do błogich czasów poprzedzających rewolucyę i przez nią wymuszone reformy r. 1857; zdaniem ich, każdy krok zrobiony dalej na drodze koncesyi dla tubylców, jest krokiem ku ewentualnemu zgładzeniu panowania Anglii w Indyach. Przekonanie to podzielał niejeden mąż stanu w Londynie, uważając kraj podbity, za mogący być tylko autokratycznie rządzony, zwłaszcza taki kraj jak Indye, z najrozmait-

szych złożony plemion, różniących się między sobą pochodzeniem, religią, językiem, obyczajami i nieraz wrogo jedno ku drugiemu usposobionych. Tak mówią konserwatyści; przysłuchajmy się teraz liberałom: będąca w posiadaniu wielkiej części istniejącej dziś na świecie ludzkości, ma Anglia obowiązek ludzkość ową moralnie, umysłowo i materyalnie kształcić i uszczęśliwiać. Zamiast więc Indyj używać, jako niewyczerpane źródło świetnych karyer i niemniej świetnych dochodów dla młodszych synów angielskich ordynatów i członków angielskiej *gentry*, powinna sumiennie, uczciwie, bezinteresownie podbitego krajowca opieką swą otaczać i tak go wychowywać, by wyszedłszy z rządowych szkół, zdążać mógł w miarę zacności swej i zdolności, do najwyższych krajowych urzędów. Nie przeczą panowie liberali, że system przez nich polecany, może Anglię w krótkim czasie całkiem Indyj pozbawić, (co się bądź co bądź, królowej Wiktoryi zbytnie uśmiechać nie może) ale to dopiero kiedyś, w dalekiej przyszłości nastąpi; tymczasem o b o w i ą z e k nakazuje kształcić Indyan, by z nich zrobić jeden wielki naród od przylądka Kormoranu, do szczytów Himalai. Nie zawadzi może dodać, że gdy ów polecony przez liberałów o b o w i ą z e k spełnionym będzie, nie pozostanie Anglikom nic innego, jak tylko czemprędzej spakować manatki i wracać do kraju, pozbawiwszy koronę Wielkiej Brytanii najwspanialszego jej klejnotu. „Jedni chcą trwałości, pisze „baron Hübner, lecz z pomiędzy tych najrozumniejsi wiedzą, że „trwałość ta jest niemożliwą; wychodząc zaś z zasady, że człowiek „z urodzenia ciągnie do złego — każdą koncesyę tubylcom zrobioną, „za groźną i niebezpieczną uważają. Najczarniejszym oddają się więc „przeczuciom. Przeciwnicy ich, istnieniu niebezpieczeństwa nie prze„czą, ale ufni w potęgę dobrej strony ludzkiej duszy, nakłaniają się „do optymizmu. Owo ślepe zaufanie w zacność człowieka, najszla„chetniejszą ale i najsłabszą stanowi stronę szkoły liberalnej“. Powyższy ustęp książki barona Hübnera, oraz politycznych jego poglądów na stosunek Anglii do swych zamorskich posiadłości, poglądów, w których na każdej stronnicy przebija głębokie dla angielskiego narodu i angielskiego rządu uznanie, korzystnie zakończyćby można ustępem z pod pióra, także byłego ministra i byłego ambasadora pochodzącym, w innym tylko kraju, mianowicie pana Guizot'a. „Jest „to wielki i zacny naród, pisze do córki w czasie poselstwa swego

„w Londynie, mający mnóstwo przywar i mnóstwo niedostatków, „ale w którym bezwarunkowo wielkie górują zalety: moralność, „szczerość, duma narodowa, energia, wytrwałość“ [1]. Na te słowa zgadza się prawdopodobnie całkowicie nasz sędziwy i znany podróżnik.

I.

Posiadłości angielskie w Afryce południowej.

Dnia 28 czerwca 1883 roku, wbrew woli dzieci, krewnych i przyjaciół, wsiada w Southampton na statek parowy, ośmdziesięcioletni, pełen odwagi i fantazyi starzec, udając się ku Afryce południowej. Pożegnaniom wspaniałe przyświeca słońce; dobry *omen*, trzeba więc i dobrej być myśli. W chwili gdy olbrzymi *Steamer* na seryo zaczyna bujać, przypomina sobie baron Hübner przypadkiem dosłyszane w wilię wyjazdu w klubie Londyńskim *Traveller's Club*, słowa dwóch jego przyjaciół, o nim właśnie mówiących: „*What a plucky old fellow he is! Plucky indeed!* Na co sędziwy podróżnik, a wielki serc ludzkich znawca, dodaje *in petto*. „Jeśli mnie w ciągu podróży „jakie spotka nieszczęście, nie omieszkają ci sami powiedzieć: *What „an old fool he was!*“

Z usposobienia, ze zwyczaju i z zasady wielce towarzyski, mając zetknięcie się z ludźmi różnych sfer i różnych narodowości za najpraktyczniejszy sposób poznania się z tem czego się dotąd nie widziało, zaznajamia się z głównemi na statku pasażerami pierwszej klasy; jest tam dwóch młodych oficerów, dążą, jeden do Kanady, drugi do Indyj, odświeżywszy sobie płuca kilkutygodniowym pobytem w rodzinnym kraju; jest bardzo oryginalny *gentleman* Mr. B., któremu po srogich losu kolejach, dwie tylko pozostały pociechy: muzyka i pióro; zwierza się baronowi, że właśnie obecnie palpitujący pisze romans, tylko rozwiązania do niego żadną miarą znaleść nie może. Opodal od niego, nieco w cieniu siedzi niemłoda już kobieta o czysto flamandzkich rysach, niektóre Rembrandta

[1] Monsieur Guizot dans sa famille et avec ses Amis, par M-me de Witt. 2. vol. edit. Hachette. Paris.

przypominająca postacie. Należy ona do owych holenderskich *Boersów*, którzy energią i wytrwałością nawet Anglikom w krajach Przylądkowych zaimponowali. Dwie ładne, młodziutkie panienki, ukończywszy wychowanie na pensyi w Brighton, wracają do Australii, z tym samym spokojem, z jakimby się u nas z Krakowa do Tarnowa jechało. Od pokładu II. klasy, dolatują dyskusye o wołach, baranach, kopalniach złota i dyamentów, oraz o strusiach. Niebo coraz przeźroczystsze, coraz cieplejsze słońce, choć upał nie dokucza jeszcze. Parę godzin wypoczynku na stałym lądzie w Maderze, przykre podróżnym pozostawia wrażenie, mimowolnem porównaniem tych kilkudziesięciu europejskich suchotników, wśród najbujniejszej przyrody smętny swój żywot wlokących. Mijają wyspy Kanaryjskie, Senegambię, obie Gwinee, i wreszcie po bardzo szczęśliwej podróży, ukazuje im się przylądek Dobrej Nadziei i wspaniałe miasto Cape-Town. W chwili największego zamieszania, właściwego wszelkim wylądowaniom, zbliża się Mr. B. cały rozpromieniony do barona Hübnera, i ściskając go energicznie za obie ręce, szepcze mu do ucha: „Znalazłem rozwiązanie do mego romansu!“

Mało gdzie na świecie spotyka się ludzkie oko z piękniejszym widokiem — zatoka Przylądku Dobrej Nadziei, oraz miasto Cape-Town, będące siedzibą jeneralnego gubernatora są urocze. Gród odbija się na tle stromych i niebotycznych skał, u podnóża ścielą się dwa wciąż wrogo usposobione ku sobie Oceany. Barwy najwspanialszego turkusu w godzinach wschodowi słońca towarzyszących, złotożółte w południe, ku wieczorowi przybiera morze wszystkie kolory tęczy, nadając całemu widnokręgowi prawdziwie czarodziejski przepych kolorytu. Z pośród ogrodów o pysznej zwrotnikowej wegetacyi ukazuje się Cape-Town, stołeczne miasto kraju Przylądkowego; nieco dalej, na pochyłości wzgórza winnicami okrytego, uśmiecha się do przybywających podróżników Konstancya, jakby nęcąc ich do spiesznego zakosztowania, przez nią dostarczanego, wybornego wina.

Dla dzisiejszego naszego pokolenia, bardziej k o m f o r t u niż artyzmu żądnego, nowe dzielnice Cape-Town i Konstancyi, o prostych, szerokich ulicach i wspaniałych domach, nic do życzenia nie pozostawiają; dla artystycznej duszy, malowniczych śladów prze-

szłości szukającej, znajdzie się w starych, wąskich uliczkach i tajemniczych zaułkach, mnóstwo domków sięgających pierwszej połowy XVII. wieku. Nie spotka tam więc nikt, tej nieraz tak nużącej jednostajności naszych nowożytnych miast. Lecz jeśli architektura domów rozmaitością swoją najbardziej wymagającego amatora zadowolnić musi, to cóż tenże amator powie na rozmaitość typów snujących się mieszkańców po ulicach miast. Co dziesiąty przechodzień, to inna rasa, inny wzrost, inny kolor skóry, inny język, inne obyczaje: z nie zbyt wyraźną barwą cery, ale bardzo wyraźną brzydotą rysów, wolnym krokiem dąży za interesami Hotentot; (w krajach zwrotnikowych, spieszyć się, umie tylko Europejczyk, krajowiec nie widzi tego potrzeby) kroczy za nim jak z ciemnego bronzu ulany Murzyn z Senegambii; opodal, jak heban czarny, o wojowniczej postawie Zulus, z dziwną, niemal hardą godnością odbiera polecenia Boersa; tego ostatniego, czysto holenderskiego typu nie powstydziłby się sam Amszterdam, lub Harlem; z rodziców niewolników, wolnością obdarzony Malajczyk, kłóci się ząb za ząb z Kafrem o wielce wstrętnej powierzchowności. Pod względem ilości, Europejczyk ginie wśród tej fali różnokolorowych istot, jakością, tj. wpływem, oświatą, zmysłem do przemysłu i czynnością, o wiele krajowców ze wszechmiar przewyższa.

Zaopatrzony w listy rekomendacyjne od ministra dla kolonij, do wszystkich gubernatorów i wyższych władz, na całej przestrzeni zamorskiej swej podróży, iście królewskiego doznaje baron Hübner wszędzie przyjęcia; przyczyniało się to niepomiernie nietylko do przyjemności całej ekspedycyi, ale i do lepszego zapoznania się ze zwiedzanemi krajami i obyczajami krajowców, do czego się dochodzi zwykle za pomocą wielce niewygodnych, często i niebezpiecznych w głąb kraju wycieczek; opieka wszechwładnego gubernatora, czasem i wojskowa eskorta bywały nieraz dla odważnego, lecz bądź co bądź, wiekowego podróżnika, prawdziwem dobrodziejstwem. Dziwnego doznaje się wrażenia, gdy po przeczytaniu której z takich właśnie mniej więcej niebezpiecznych wycieczek, przychodzi się do opisu recepcyi np. u lady Leicester Smyth, żony jeneralnego gubernatora w Cape-town, miejscowości o kilka tysięcy mil od naszego europejskiego świata oddalonej. „Ma się niemal to samo „uczucie, pisze baron Hübner z takiej powróciwszy recepcyi, jakiego

„się w obecności królowej doznaje; jest tam pewien odcień arysto-„kratycznej dworskości, prawie już u nas nie istniejącej. Młodzi „sekretarze i adjutanci, z największem zbliżają się do gubernatoro-„wej uszanowaniem, by jej przedstawić nadchodzące osobistości. „Tego rodzaju recepcye, przypominają od ojczyzny oddalonym An-„glikom ukochany angielski *home*, utrzymując przytem silne u ka-„żdego, porządnego Anglika uczucie patryotyzmu i lojalności dla „królowej".

Zamorskie posiadłości Wielkiej Brytanii, podzielone są politycznie na dwie kategorye, mianowicie: na kolonie koronne, gdzie jeneralny gubernator jest wszechwładnym panem — i na kraje autonomiczne, mające własną konstytucyę, własny parlament i własnych odpowiedzialnych ministrów; ci są wszakże przez gubernatora mianowani. Najwyższy przedstawiciel rządu jest, niemal zawsze, człowiekiem rozumnym, sumiennym i bardzo wpływowym; on ma w najważniejszych sprawach głos decydujący, i przysługuje mu prawo odmówienia sankcyi, nawet paragrafom przez miejscowy parlament uchwalonym, gdy uważa takowe za szkodliwe lub niebezpieczne dla kraju pod jego zarządem będącego. Jest to więc rodzaj wice-króla; w krajach Przylądkowych gubernator piastuje prócz tego jeszcze godność, bardzo nieraz uciążliwą, komisarza jeneralnego, na całą Afrykę południową. Na jego wyłącznej zatem odpowiedzialności spoczywają nietylko sprawy koronne, ale jeszcze i wszystkie w sprzeczności swej często wielce skomplikowane sprawy plemion przeróżnego pochodzenia, przeróżnych wymagań, opartych zwykle na wzajemnej rasowej nienawiści. Gubernator taki, mający zaufanie korony, musi się i o mir w koloniach postarać; cała jego powaga na bezstronności ma być oparta, pierwszym jego obowiązkiem jest, do żadnego miejscowego nie należeć stronnictwa, choć wszystkie znać musi, skoro o wszystkiem, koniec końcem, jego wola rozstrzyga. Czy położenie takie łatwem jest, to chyba tylko ten powiedzieć zdoła, któremu najmiłościwsza królowa Wiktorya, rządy kolonialne na którejś ze swych zamorskich posiadłości, powierzyć raczyła.

Ale tymczasem zapomnijmy o troskach gubernatorów, wice-królów, parlamentów afrykańskich; chcąc niemi się martwić, można było śmiało w Europie pozostać.

Naśladując Londyn, ma i Cape-Town swój Richmond i swój Kensington, istne zieloności i kwiatów przybytki; do tych to wil na przedmieściu i w bliskich okolicach miasta, po ukończonych interesach i ciężkiej nieraz pracy, ucieka każdy przed kurzem i spiekotą. Wynberg zwłaszcza, śliczna miejscowość, gdzie i gubernator i wszystkie znaczniejsze urzędowe, socyalne i finansowe figury, wystawiły sobie letnie rezydencye, jest kulminacyjnym punktem towarzyskiego życia w kraju Przylądkowym. W tych to salonach, z prawdziwym wdziękiem opisanych, rozrywają sobie wsławionego badacza obydwóch świata hemisfer. Sypią się więc zaproszenia na obiady i wieczory, to do *Government-House*, to do wspaniałej willi anglikańskiego biskupa, lub do bardzo skromnego, lecz wdzięcznego zacisza mgr. Leonardo, katolickiego biskupa ogromnej, na wpół jeszcze dzikiej dyecezyi, a także do dużego, wygodnego, nad samem morzem *Cottage'u* admirała Salmon i licznej tegoż rodziny. Wrodzone Anglikom zamiłowanie życia familijnego, nigdzie może taką nie odznacza się żywotnością i siłą, jak w posiadłościach kolonialnych Wielkiej Brytanii.

Ale bądź co bądź, nie dla opisywania zalet rodzinnego życia zwiedza się Afrykę i Oceanię. Urządza też baron Hübner, z pomocą nowych a wszechwładnych przyjaciół różne wycieczki w głąb kraju lub na jego wybrzeża. Ku wschodowi postępując ukazuje się okolica płaska i bagnista, gdzieniegdzie koleją żelazną poprzerzynana. Minąwszy miasto Wellington, dociera nasz podróżnik do Paarl, wielce ciekawej miejscowości z tego względu, że tam pierwszą znaczniejszą założyli kolonię owi holenderscy Boersowie, których Anglicy dzisiejsi, za coraz bardziej wzrastającą uważają potęgę i widzą że liczyć się z nią już muszą. Ktoby z zawiązanemi oczyma przybył do Paarl i dopiero na miejscu ujrzał znów światło dzienne, ten gotówby przysiądz, że się znajduje w bogatej, na ogromnej przestrzeni rozciągającej się wsi holenderskiej; wszędzie po mistrzowsku zagospodarowane folwarki, wspaniałe, nie krajowego, ale europejskiego pochodzenia drzewa, nawet gdzieniegdzie bagna poprzecinane kanałami, holenderską tą specyalnością *par excellence;* na łąkach holenderskie pasą się krowy, a gdzie okiem sięgnąć, porządek i czystość, kubek w kubek jak w Holandyi. Zapowiedziawszy się w gościnę do takiego *Dutch-Far-*

mera, pana Hugo, przyjęty został baron Hübner u progu domu przez samego właściciela, wyglądającego na pana *du bon vieux temps*, jakkolwiek z zapracowanemi rękami, gdyż sam wraz z licznem potomstwem w roli pracuje, obchodząc się o ile tylko można, bez pomocy najemników; prawda, że synów w domu jest gromadka mogąca każde zaopatrzyć gospodarstwo. Żona i córki (tych ostatnich jest pięć czy sześć) mogłyby za model służyć do flamandzkich obrazów, tak wiecznie rasowy zachował się w nich typ. Na tem samem miejscu, antenat żyjącego dziś p. Hugo, nabywszy roku 1693 znaczny grunt, (prawdopodobnie za bezcen albo za jakie szklanne świecidełka) zbudował obszerny, wygodny, na mocnych fundamentach dom, czysto flamandzkiej architektury. Z ojca na syna przechodząc, dom ten w rodzinie pozostał; grunt zaś co roku powiększany i coraz staranniej zagospodarowywany, jest dziś ogromą już posiadłością. Jaki tam panuje spokój, jaka patryarchalna, na wzajemnem przywiązaniu i ciągłej pracy oparta swoboda, tego żadne pióro oddać nie zdoła. Tak jak folwark pana Hugo, jest czysto holenderskim, tak i miasteczko Paarl wygląda jakby ze ściany zdjęty obraz pędzla Breughel'a. W ogóle, cały ten mały holenderski świat, od Europy tak oddalony, więcej XVII. niż XIX. przypomina wiek.

Porzućmy wraz z baronem Hübnerem, ten interesujący i poszanowania godny zakątek, by zajrzeć do angielskiej Kafraryi. Wspaniałe, lecz wiecznie wzburzone morze, rzuca się i fale swe wspina po ponuro sterczących, prostopadłych skałach. Od czasu do czasu, opodal od statku, wieloryb na powierzchni bałwanów swój kolosalny ukazuje grzbiet; nad głową pasażerów latają chmarami mewy, skargi swe żałośnie wywodząc; smutek mimowolnie człowieka ogarnia; same nawet promienie słońca złowrogo jakoś wyglądają. Wylądowawszy w Port-Elisabeth, widzi się z niemałem zdziwieniem całkiem ucywilizowane miasto, niemal wyłącznie przez Anglików zamieszkałe, w którem Kafrów i Murzynów do ciężkiej tylko używają pracy. Gdy w tem czysto-handlowem mieście, Anglik jaki taki uciuła majątek, czy na brylantach, czy na strusich piórach, umyka czemprędzej do kochanej Anglii, kontent, że go żółta febra z powierzchni ziemi nie sprzątnęła. Kafrowie osobną zamieszkują dzielnicę, o kilka staj po za miastem. Chcąc się owym Kafrom,

w prawdziwem ich świetle przypatrzyć, jedzie br. Hübner w głąb kraju, z początku jeszcze koleją żelazną, ale bardzo wolno, z powodu bezdennnych piasków, po których widać mnóstwo porozrzucanych ogrodzeń, zawierających niezliczoną moc strusiów. Szczęściem, nie spotykają nasi podróżni słoniów w większej ilości, spotkanie takie jest bardzo nieraz niebezpieczne; młode bowiem słonie za najmilszą mają sobie rozrywkę, wyrywać trąbą szyny kolejowe. *Aimable passe temps!* W Grahams-Town zajeżdża br. Hübner do hotelu, którego właścicielem jest Rosyanin, z własnego kraju jako niebezpieczny nihilista wypędzony. Zwierza się podróżnym, że jest krewnym panującej w Rosyi dynastyi, ale że zmienił końcówkę swego nazwiska z *off* na *ow*, z obawy przed... królem Pruskim, (w Kafraryi jeszcze się mówi król pruski). Tymczasem mocno wódką zalatywał ów wysoko skoligacony. W Grahams-Town, dużem i pięknie zbudowanem mieście, spotykają po raz pierwszy podróżni owe sławne, dwunastu, czasem ośmnastu wołami zaprzężone *oxenwaggons*, któremi Boersi, srogo w ostatnich czasach przez Anglików trapieni, po tym stepie posuwając się coraz głębiej, coraz więcej gruntu zajmują. Zanim zdołają na nowo-przywłaszczonej ziemi cokolwiekbądź wybudować, mieszkają wraz z rodzinami i dobytkiem całym w *oxenwaggons* — istne to arki Noego nowego autoramentu. Po bardzo krótkim stosunkowo czasie, na tem tle mniej więcej dzikiej pustyni, wyrastają najprzód szałasy, potem folwarki, wreszcie ogromne wsie, na wielkim ciągnące się obszarze. W Grahams-Town pożegnać się musi ostatecznie z koleją żelazną, kto chce naprawdę zwiedzić choćby jeden *kral*, (tak się zowią legowiska krajowców) angielskiej Kafraryi. Sam br. Hübner, dopiero po długim parlamentowaniu, i gdy przewodnik jego przedstawił Kafrom, że to sławny podróżnik, mający mnóstwo wołów, baranów i żon (towarzyszka życia nie jest tu bynajmniej, jak bywa na Wschodzie, przedmiotem zbytku — przedstawia raczej istotę zajmującą miejsce między niewolnikiem i domowemi zwierzętami), przypuszczony został do zaszczytu wejścia na czworakach do szałasu naczelnika osady. Całe to tak liczne plemię uważa br. Hübner za rasę zmysłowo bardzo upośledzoną. Uczucie religijne zaledwo w nich tleje i to na metampsychozie oparte, w każdym wężu, a jest ich tam mnogo, widzą duszę jakiegoś ze zmarłych krewnych lub przyjaciół. Jedno po-

jęcie jest w nich bardzo rozwinięte, pojęcie władzy, jaką ma głowa rodziny, prawa życia i śmierci, bez najmniejszego odwołania. Misyonarze z wielkim trudem, nieraz z niebezpieczeństwem życia docierają do tych dzikich zakątków świata. Taki naczelnik Kafrów, zapytany raz przez sędziego z King William's-Town, dla czego na chrześcijańską nie przechodzi wiarę, odrzekł bez namysłu; „Dlaczegóżbym miał chrześcijaninem zostać? Wiara wasza „nakazuje wam miłować się wzajemnie, tymczasem nienawidzicie się „szkodząc jeden drugiemu przy każdej sposobności. Wiara wasza „zakazuje wam się upijać, a małoż się pijanych ludzi u was na ulicy „spotyka". Taką otrzymawszy odprawę, sędzia uznał za stosowne, zmienić przedmiot rozmowy.

Wracając z wycieczki swej w głąb Kafraryi ku brzegom morza, napotyka baron Hübner mnóstwo niemieckich osad, folwarków i miasteczek, o czysto pruskich nazwiskach, jak Braunschweig, Berlin, etc. Zatrzymuje się nasz podróżnik przed jednem z takich zamożniejszych gospodarstw; przyjmuje go młoda kobieta w żałobie po mężu i w kilku słowach opowiada swoją, do niemal wszystkich kolonistów mogącą się stosować biografię: rodem z Pomeranii, z sakiewką bardzo skromnie w złoto zaopatrzoną, wylądowali w tej części Afryki południowej, gdzie grunt najtańszy. Nabywszy folwark od Boersów, (zawsze żądnych wędrowania dalej, by w odludnem miejscu niezależną założyć osadę), gospodarują, z potem czoła ziemię uprawiając. W chwili gdy im się już naprawdę wieść zaczęło, napadają ich Kafrowie; Pomeraczyk i starsi synowie w walce giną, żona z młodszą dziatwą do niedalekiej chroni się holenderskiéj osady. Po paru tygodniach, wraca biedna wdowa do swej posiadłości; zastaje gospodarstwo do szczętu zniszczone, bydło uprowadzone, ale dom nietknięty. Kafrowie mają bowiem przesąd, że wszystko u nieprzyjaciela niszczyć wolno i niszczyć się należy, z wyjątkiem domów mieszkalnych. Zabiera się więc odważna kobieta wraz z dorastającemi zwolna dziećmi do pracy i dziś już, po paru latach trudów i wytrwałości, gospodarstwo wcale porządnie wygląda. Prawdopodobnie dzieci będą kiedyś mogły, już tym razem z grubą sakwą złota, do kochanego wrócić *Vaterland'u*. Zwiedziwszy Kafraryę, płynie br. Hübner do Natalu. Tu zupełna następuje zmiana dekoracyi: Z pustyni, gdzieniegdzie mozolną pracą ludzką

uprawianej, jakby za pomocą czarodziejskiej różczki, przechodzi się w cały przepych zwrotnikowych krajobrazów; przy drzewie kawowem palma oliwna liście swe roztacza, w sąsiedztwie hebanowych i sandałowych drzew; najwspanialsze kwiaty do najrozmaitszych uśmiechają się roślin, kąpiąc się w ciepłych promieniach słońca. Szczęśliwe klimatyczne położenie Natalu; prądy od równika płynące, nadają temu państewku wszystkie potrzebne warunki do szerzenia się cudownej flory. W mieście, a bardziej jeszcze na przedmieściach Düchamtown ludność składa się przeważnie z Kafrów, a zwłaszcza z Zulusów o malowniczej postaci. Prezes sądu w Durham, od trzydziestu lat tamże na urzędzie, *a correct Englisch gentleman*, do klubu we fraku i białym krawacie na obiad przybywający, (proszę pamiętać że to w Natalu), utrzymuje, wbrew przyjętemu mniemaniu o drapieżnej dzikości Zulusów, że to są ludzie z urodzenia łagodni i weseli, jeśli się z nimi dobrze obchodzić. Wymierzoną za dopełnione przestępstwo karę, przyjmują bez szemrania, lecz im wytłumaczyć trzeba, że na nią zasłużyli, bo niewinnie skazany Zulus, krzywdy nigdy nie zapomni i za nią mścić się nie przestanie nigdy. Uznają zatem prawo, poddają mu się, ale prawo to musi być nieomylne. Jest w tem plemieniu dziwnie połączona prostota dziecięca, z przebiegłością dzikim ludom właściwą. Naokoło Durham ogromne roztaczają się cukrowe plantacye; jedną z tychże zwiedzając, spotyka się br. Hübner z jej właścicielką, francuskiej narodowości; zaprasza go pani Dumas do domu i różne ciekawe opowiada rzeczy. Życie jej podzielone jest między obawą Kafrów i obawą wężów; od wężów ustrzedz się jest trudno, bez Kafrów zaś obejść się żadną miarą nie można, bo oni jedni są w stanie pracować pod promieniami ogniem ziejącego słońca. Taki tubylec wiedząc, że się bez niego kolonista obejść nie może, staje się, co najmniej zuchwałym i wymagającym, bardzo często niebezpiecznym. Na dowód czułości rodzinnych uczuć u Kafrów, opowiada pani Dumas następny przykład. Jeden z nich w służbie u niej będący, wracając z pięcioletnim synkiem z miasta, skąd kilka funtów mięsa z sobą przynosił, widzi z daleka zmierzającego ku nim krokodyla. Przerażony chłopczyna zaklina ojca, by krokodylowi rzucił na pastwę zakupione mięso, co im życie uratować może, lecz Kafr, mający w domu

prawdopodobnie dużo więcej synów niż funtów mięsa, prowizyi wołowiny stracić nie chciał i krokodylowi synka poświęcił.

Już i w Natalu wielu widuje się Chińczyków, do wszelkich używanych robót z pominięciem krajowców. Kolej żelazna wijąca się nad przepaścią, łączy Durham z Pieter Maritzburg siedzibą gubernatora. Tuż obok *Government-House* jest stacya kolei i mieszkanie komendanta wojskowego wraz z załogą. Tam gdzie około trzydziestu tysięcy białych mieszka w najbliższem sąsiedztwie z czterystu tysięcami murzynów, władza cywilna, władza wojskowa i kolej żelazna muszą być w bliskości jedne drugich by na wszelki przypadek módz ludności białej jak najśpieszniej przyjść w pomoc. Gubernator Natalu, sir H. Bulwer, sam się ofiaruje baronowi Hübner za towarzysza do najtrudniejszych wycieczek między dzikich ludzi, a gdy powróciwszy z takiej ekspedycyi, w ciągu której można się było łatwo spotkać z zatrutą strzałą Zulusa, jadowitym wężem, lub jakim dzikim zwierzem, z piętnastu *gentleman'ów en tenue de soirée*, zasiadało do stołu gubernatora, by w towarzystwie barona Hübnera jeść wyśmienity obiad, jeszcze wyśmienitsze pić wino, rozprawiając o najżywotniejszych politycznych i socyalnych sprawach, to — dopiero co w norach dzikich ludzi doznane wrażenia, byłyby mogły zdawać się snem, gdyby nie obecność służby domowej wyłącznie składającej się z Zulusów, w białej płóciennej liberyi z żółtemi wypustkami, lecz z bosemi nogami, bo żadnego Zulusa nikt nigdy dotąd nie nakłonił do użycia jakiego bądź obuwia. W czasie kilkodniowego pobytu u sir H. Bulwera, zajmował baron Hübner ten sam pokój, w którym kilka lat przedtem mieszkał młody książe Ludwik Napoleon, gdy się puścił na nieszczęśliwą wyprawę przeciwko Zulusom, którą życiem przypłacił. Z tego samego pokoju, nieszczęśliwa cesarzowa Eugenia wybrała się w rok potem, macierzyńską odbyć pielgrzymkę, istną dla jej serca krzyżową drogę na miejsce, gdzie syna zamordowali.

Chwilowo między Pieter Maritzburg a Indyami przerwane komunikacye, zmuszają barona Hübnera wracać do Cape-Town, by stamtąd puścić się do Australii. (C. d. n.)

A. M. L.

FILOZOF CHRZEŚCIJAŃSKI

Z II. WIEKU,

ŚWIĘTY JUSTYN MĘCZENNIK.

(Dokończenie.)

II.

Od samego początku Kościoła, dwa rodzaje herezyj wyrodziły się zeń i stanęły do walki przeciw niemu: wielu z dawniejszych Żydów chciało Kościół zmienić w synagogę, wielu z byłych pogan zamierzało umieścić posąg Chrystusa obok Jowisza, Mithry i Afrodyty, a zresztą żyć po dawnemu[1]. Herezye żydowskie i herezye pogańskie, rozgałęzione w tysiączne odmiany, w wiecznej między sobą rozterce, zgadzały się tylko wtedy, gdy szło o rozdzieranie w kawały mistycznego ciała Chrystusowego. Najpierwsi z Gnostyków, Docceci, zrodzeni nazajutrz po wniebowstąpieniu Zbawiciela, uważali Jezusa za upiora, przeczyli prawdziwości Jego ciała, a tak podkopywali dogmat o odkupieniu rodzaju ludzkiego. Nazarejczycy, Ebionici, Mineenczycy, chcieli wedle wyrażenia św. Hieronima[2], „być zarazem żydami i chrześcijanami i dlatego nie byli ani żydami ani chrześcijanami, Kościół ich odpychał, a faryzeizm potępiał". Nieszczęśliwi ci wpadali coraz głębiej w przepaść niedorzeczności: udając najwyższe uszanowanie dla Pisma, głosili, że całe Pismo jest sfałszowane i podrobione; piętnując kobietę, jako istotę

[1] Po mistrzowsku nakreślony obraz dwóch tych prądów i wszystkich główniejszych herezyj ówczesnych, u *De Champagny* „Les Antonins", t. II. p. 424—472. Wydanie trzecie.

[2] Epist. ad Augustinum. 75.

z natury swej złą i do złego prowadzącą, wynosili małżeństwo nad dziewictwo, a z Ducha św. czynili boginię; nienawidząc gnostyków, przyznawali się do jawnego dualizmu, czyli nauki o dobrem i złem pierwiastku; potępiając pogan, nie uważali za grzech składać cześć bożkom, byle serce miotało przeciw nim przekleństwa, gdy twarz kornie chyli się ku ziemi.

Z drugiej strony minowały Kościół chylące się bądź ku greckiej, epikurejskiej, czy stoickiej filozofii, bądź ku wschodniemu mistycyzmowi, sekty przeróżnych nazw i odcieni, wyszłe z pogaństwa i duchem pogańskim owiane. Gnostycy zgadzali się w ogólnem potępieniu świata, zawdzięczającego przecież swe istnienie złej myśli upadłego *Eona*. Świat jest złem i wszystko co jest na świecie jest złem: małżeństwo rozszerza tylko królestwo ciała, cnota i występek w gruncie rzeczy jest jednem i tem samem, ostatecznie więc wszystko jedno, czy działasz cnotliwie, czy dopuszczasz się zbrodni. Saturnin, Basilides, Izydor, Karpocrates, Epifaniusz, Prodicus, Valentinus, Marcyon opierając się na tych ogólnych zasadach gnostycyzmu, szli coraz dalej w jednym lub drugim kierunku, jak gdyby dla przekonania przyszłego pokolenia, że nie masz granicy na drodze heretyckiego obłędu. Ofici oddawali cześć boską wężowi; Kainici zapierając się Jezusa, wielbili Judasza, i na przekór Żydom stawiali na swych ołtarzach Kaina i Korego; „Nieprzyjaciele porządku“ stawiali w swym programie wspólność dóbr i kobiet; Adamici wracali strojem do czasów rajskiej niewinności; zwolennicy Karpocratesa, głosząc zasadę: „Miłość i wiara wystarcza, uczynki są zbyteczne“, oddawali cześć boską posągom Arystotelesa i Platona; przyjmowali za zasadę, że człowiek powinien przejść całe koło wszystkich dobrych i złych uczynków, gdyż czego nie doświadczy w tem życiu, tego będzie musiał doświadczyć w przyszłem, i stosownie do tej zasady żyli. Jedni Marcyonici zachowywali przynajmniej pozory surowego życia; sam Marcyon wprawdzie, podobnie jak Karpocrates lub Szymon, wodził ze sobą wybraną „prorokinię“, ale nie uczył występków przeciw naturze — nakazywał surowe posty a pozorną cnotą i surową nauką pociągał tych, którzy ze wstrętem odwróciliby się od nowych bogów: Judasza, węża lub Arystotelesa.

Obrońcy Kościoła twarde mieli zadanie; walcząc mieczem apologii przeciw poganom, zasłaniać się zarazem musieli silną tar-

czą przeciw wewnętrznym nieprzyjaciołom. Wraz z współczesnymi Ireneuszem, Tertulianem, Orygenesem, Hipolitem stanął i Justyn w szranki w księdze przeciw Marcyonowi, w bardzo obszernej rozprawie wymierzonej przeciw wszystkim grasującym naówczas herezyom. Niestety! dzieła te, tak ważne i interesujące, równie jak parę innych filozoficznych rozpraw, bezpowrotnie zaginęły; późniejsi pisarze przechowali nam tylko wzmiankę o istnieniu ich i tytułach. Natomiast pozostał w całości wspaniały pomnik współczesnej walki chrześcijaństwa z żydowską nauką i uprzedzeniami, najobszerniejsze z pozostałych pism Justyna: Dyalog z Tryfonem".

Jak dziś, tak wówczas trudniej było przekonać Żyda, niż poganina. Ostatni miał przeciw sobie rozum i moralne uczucie, oburzające się na zbrodnie przez bogów spełnione i nakazywane; pierwszy zasłaniał się świętością Objawienia, moralnością swych zasad, cudowną historyą narodu wybranego. Żyd podobnie jak gnostyk przekształcał i naginał nielitościwie Pismo, podsuwał mu dziwaczne, ale sprzyjające sobie mistyczne znaczenie, chwytał się pojedyńczych wyrazów, zwrotów, liter, gotów był przyznać z współczesnym heretykiem, iż w każdej literze siedzi jakiś tajemniczy duch, jego oczom widzialny, a przed wzrokiem niewiernego zakryty. Już w drugim wieku przygotowywali Żydzi teren dla przyszłych talmudystów: naukę Pisma św. topili w morzu subtelności, a często, niewiedząc, jak ujść wyroku uderzającego w nich z taką siłą z ust proroków, przeczyli poprostu, wbrew całej dawnej synagodze, żeby dzieje ludu wybranego, psalmy i proroctwa odnosić się miały do Mesyasza.

Stąd w rozprawie z Żydem, daleko bardziej niż w rozprawie z heretykiem, znać trzeba było najdrobniejsze odcienia, każdą niemal literę Pisma. Justyn był w tym punkcie prawdziwym erudytem. W wielu swych księgach cytuje widocznie Pismo św. z pamięci, i stąd dopuszcza się czasem drobnych omyłek, zwłaszcza podsuwając jednemu z natchnionych autorów ustępy wypowiedziane przez innego. Krytycy wyliczyli dawno nieznaczne te omyłki, zdolne może zgorszyć skrupulatnego rabina, ale na które przecież sam nawet Tryfon jakoś uwagi nie zwrócił. Ważniejsze pytanie, czy Tryfon jest osobą historyczną, i czy Justyn z nim rzeczywiście dysputował, czy też postać Tryfona i całą dysputę stworzył w myśli sam Justyn, używając w ślady Platona dyalogu dla wyłożenia prawdy?

Zdania tu dość podzielone; najprawdopodobniej dysputa istotnie miała miejsce w Efezie lub w Koryncie, i na jej tle spisał później Justyn swój dyalog, uzupełniając niektóre ustępy, a zwłaszcza dodając obszerne cytaty z Pisma św. [1].

Powód, miejsce i zawiązanie dysputy skreśla sam Justyn na początku dyalogu:

„Gdym rano w płaszcz filozoficzny przybrany, przechadzał się „po publicznych krużgankach, człowiek jakiś z kilku innymi pod- „szedł naprzeciw mnie i pozdrowił: „Witaj filozofie!“ poczem zwró- „ciwszy się, razem ze mną iść począł; a z nim i jego przyjaciele. „Wtedy i ja nawzajem go pozdrowiłem i zapytałem: „Czegóż wła- „ściwie chcecie?“

Odpowiedział: „Koryntczyk, uczeń Sokratesa, nauczył mię „jeszcze w Argos abym nikogo, używającego takiej szaty, nie lekce- „ważył sobie, ani omijał, lecz abym wszelki szacunek mu oka- „zując, w towarzystwie jego żyć się starał, gdyż nie będzie to pe- „wnie bez korzyści, bądź dla mnie, bądź dla niego samego. Jeśli „zaś choć jeden korzyść osiągnie, trud obojgu się wróci. Dlatego, „widząc kogo w tym płaszczu, z przyjemnością doń się zbliżam; „i ciebie miło mi było poznać. A to są moi przyjaciele, którzy „równie z słów twoich spodziewają się korzyść wyciągnąć.

„A ty, kimże jesteś, najczcigodniejszy z wszystkich śmiertel- „ników?“ tak śmiejąc się doń przemówiłem.

„Wymienił mi poprostu imię swe i pochodzenie:

„Nazywam się Trypho, z obrzezania jestem Hebrajczykiem, „opuściłem kraj po ostatniej wojnie, a teraz bawię zazwyczaj w Gre- „cyi i w Koryncie“.

„Czyż mniemasz, zapytałem, że filozofia może cię tak wiele „pouczyć, jak prawodawca twój i prorocy?“

„Jakto, odparł, alboż filozofowie nie rozprawiają ciągle o Bogu, „nie dysputują wciąż o Jego jedności i opatrzności? Jestże, czy nie „jest zadaniem filozofii starać się poznać Boga?“

„I my tak sądzimy, rzekłem. Ale najwięcej ludzi o to nawet „nie pyta, czy jeden jest Bóg, czy więcej, i czy opiekuje się

---

[1] *Freppel*, St. Justin. p. 276 np. — Dialogus cum Tryphone Judaeo, u *Migne'a*, Opera Justini p. 471—801.

„każdym z nas, czy nie; jak gdyby wiadomość ta w żadnym sto-„sunku nie stała do dobrego i szczęśliwego życia“...

Na te słowa Trypho grzecznie uśmiechnął się i zapytał: „A ty „cóż twierdzisz w tym przedmiocie? — jakie masz zdanie o Bogu? — „jaką jest twa filozofia? Wyłóż nam to“.

Miasto żądanego filozoficznego wykładu, Justyn odpowiedział podaną przez nas wyżej historyą swego nawrócenia, i w gorących słowach przedstawił Tryphonowi mądrość i wspaniałość nauki Chrystusowej. Towarzysze Tryphona parsknęli głośnym śmiechem; sam Trypho nie mógł powstrzymać się od paru ironicznych wyrażeń o marzycielstwie chrześcijan i o Chrystusie, który się podobno z ich wyobraźni wylągł. Justyn odpowiedział spokojnie, ale gdy Żydzi przyjęli znowu jego słowa krzykami i głośniejszemi jeszcze śmiechami, powstał i chciał się oddalić. Trypho powstrzymał go za koniec płaszcza, zaręczając, iż go nie puści, aż obietnicy dopełni i dokładnie im swój filozoficzny system wyłoży. Dwóch towarzyszy Tryphona odeszło, żartując sobie w najlepsze z chrześcijańskiej nauki; reszta zobowiązała się do milczenia, a kiedy obie strony zasiadły na kamiennych ławach, naprzeciw siebie ustawionych, na dobre zaczęła się religijna dysputa.

Z natury rzeczy dysputa ta obracać się musiała koło dwóch kardynalnych punktów: czy prawo Mojżeszowe już zostało usuniętem, i czy proroctwa Starego Zakonu wypełniły się w Jezusie Chrystusie? Prawo Mojżeszowe, udowadnia Justyn, było tylko czasowem; było przygotowaniem do doskonalszego prawa, względem którego zakon dawny miał się tak, jak obraz do rzeczywistości. Zresztą sam obecny stan Żydów, wygnanych z ziemi obiecanej, bez świątyni i bez ołtarza, wskazuje dostatecznie, że rola, jaka z rozporządzenia Opatrzności przypadła im w dziejach świata, już się wypełniła i zakończyła. Zadawalniacie się zewnętrznemi znakami i ceremoniami, nie pomni na ich ducha i znaczenie „Jeremiasz „wznosi głos, a nie słuchacie go; prawodawca stoi przed wami, „a nie widzicie go; ubodzy słuchają Ewangelii, ślepi wzrok odzy-„skują, a wy nie rozumiecie. Nowe obrzezanie stało się niezbędnem, „a wy dalej z cielesnego się chełpicie. Prawo nowe nakazuje wam „święcić sabbat bez końca, lecz wam nic nie zależy na celu wyda-„nego rozkazu; próżnować przez dzień cały, oto, co nazywacie po-

„bożnością. Bylebyście zjedli chleby przaśne, o resztę się nie tro-
„szczycie; zdaje wam się, żeście już wolę Bożą wypełnili. Nie to
„miłem jest w oczach Pana, Boga waszego. Jestli między wami
„jaki złodziej, lub krzywoprzysiężca? Niechaj się swych grzechów
„wyrzeknie. Jestli jaki rozpustnik? Niechaj czyni pokutę. Oto pra-
„wdziwy sabbat, podobający się Bogu".

Ależ, zarzuca Tryphon, wszak i w gronie waszem nie wszyscy jednego są zdania, nas chcecie nawracać, a sami między sobą zgodzić się nie możecie. Pismo św. mówi o Mesyaszu — ani słowa — ale skąd pewność, że Chrystus jest właśnie tym, do którego przepowiednie zawarte w Piśmie się ściągają? Wykażcież jakim nie metaforycznym, lecz na Piśmie opartym, z Pisma wyjętym dowodem, że Chrystus był prawdziwym Bogiem. Czyż Bóg może stać się człowiekiem, czyż podobna, aby Bóg wybrał sobie śmierć na krzyżu, znaku przekleństwa i hańby?

Przez usta Tryphona przemawia całe ówczesne żydowstwo: potomkowie faryzeuszów godzących na śmierć Chrystusową; ojcowie przyszłych uczonych w Piśmie, w mistycyzmie i kabale deski ocalenia szukających. Odpowiedź Justyna obszerna, przerywana częstym śmiechem, i na nowo temiż samemi w gruncie, ale w innej formie podejmowanemi zarzutami, — dziś jeszcze zupełnie jest na czasie i przekonaćby powinna obumarłej synagogi synów, gdyby tylko przekonać się chcieli.

Chrystus nam przepowiedział, że herezye powstaną, nie dziwimy się więc im; samem swem powstaniem, niemoralnością, nierozumem — miasto osłabić, umacniają nas w wierze. Skąd pewność, że Chrystus jest obiecanym Mesyaszem? Z całego Pisma, którego proroctwa najdokładniej, aż do litery wypełniły się w Chrystusie, narodzonym z Dziewicy, jak prorokował Izajasz; Bogu prawdziwym, jak świadczą Jego uczynki i przepowiednie Patryarchów; umęczonym na krzyżu, bo przyjął na swe barki przekleństwo, pod którem wszyscy jęczeliśmy; zmartwychwstałym dnia trzeciego, jak przepowiadał psalmista i prorokował Jonasz, nie słowami, ale cudownem wydobyciem się z wnętrzności ryby. Już Micheasz i Zacharyasz przepowiedzieli nawrócenie pogan; Jozue był figurą Zbawiciela; Malachiasz wyprorokował prawdziwą ofiarę; Abrahamowi, Izaakowi, Jakubowi, Judzie obiecał Bóg Syna swego, mającego za-

łożyć nowe, na świat cały rozciągające się Boże królestwo. To królestwo założone jest przez Chrystusa, który będąc Słowem Ojca, jest Bogiem, a zarazem człowiekiem. Dziś chrześcijanie są prawdziwym Izraelem, i do nich, a nie do szczupłej garstki waszych prozelitów, odnoszą się obietnice uczynione przez Boga w Starym Zakonie.

Odpowiedź ta zrobiła na Tryphonie pewne wrażenie. „Wyznać „muszę, rzekł uprzejmie, gdy Justyn doprowadził do końca długie „swe dowody, że cała ta rozmowa nadzwyczaj mi miłe pozostawiła „wrażenie, a jeśli się nie mylę, to i towarzysze moi tego samego „doznają uczucia. Gdybyśmy tak częściej ze sobą porozmawiać mo„gli, większąbyśmy korzyść z rozmyślania nad Pismem św. odno„sili. Ale ponieważ, jak nam powiedziałeś, lada dzień wybierzesz „się w drogę i czekasz tylko dobrego czasu do żeglugi, bądź tak „łaskaw, a zachowaj nas i na później w pamięci, jako twoich przy„jaciół".

„Gdybym tylko mógł tu dłużej zostać, odpowiedziałem, naj„chętniej codzienniebym się z wami schodził i dysputowalibyśmy, „jak dzisiaj. Lecz gdy stąd, jeśli Bóg pozwoli i dopomoże, niebawem „odpłynąć zamyślam, napominam was, byście przykładając się z ca„łych sił do tej walki o własne wasze zbawienie, wyżej sobie cenili „Pomazańca Wszechmogącego Boga, nad waszych nauczycieli".

„Po tych słowach odeszli, życząc mi, aby mię w czasie żeglugi „i później wszelkie złe mijało. Ja zaś modliłem się za nimi i rze„kłem: „Nic lepszego i większego życzyć wam nie mogę, jak, aby„ście poznali, dlaczego Bóg rozumem każdego człowieka obdarzył, „a tak abyście się z nami zgodzili i wespół z nami uznali, iż Je„zus jest Pomazańcem Bożym".

Czy z Efezu, w dni parę po dyspucie z Tryphonem, udał się Justyn wprost do Rzymu, czy poprzednio zwiedził jeszcze inne miasta i kraje, głosząc imię Chrystusowe poganom i Żydom — nie wiemy; to pewna, że w chwili, gdy Marek Aureliusz wzniecił na nowo tlejący pod popiołem ogień prześladowania, filozof chrześcijański, jak żołnierz z rozpoczęciem bitwy, znalazł się znów na stanowisku, w stolicy cezarów i chrześcijaństwa.

Ukoronowany filozof, Marek Aureliusz wytężał wszystkie siły cesarskiej polityki i filozoficznej mądrości, aby w trup pogaństwa nowe jakieś tchnąć życie. Biedny cesarz był istotnie żądnym wie-

dzy, ale najróżniejsi filozofowie, jacy od kolebki go otoczyli, podali mu tę wiedzę w kubku zatrutym. Zmęczony ciągłemi sprzecznościami i kłótniami swych pedagogów, nie mogąc domacać się prawdy, powiedział sobie, że bardzo prawdopodobnie prawda nie istnieje, i za podstawę swej filozofii przyjął ogólne wątpienie. Na chwilę skosztował rozpusty, ale wnet odwrócił się od niej ze wstrętem. Zasady moralności chrześcijańskiej, w coraz szerszych rozchodzące się kołach, obiły się i o jego uszy; nie zdając sobie z tego sprawy, jął się ćwiczyć w cnotach nieznanych światu przed przyjściem chrześcijanizmu: umartwiał się, zadziwiał przyjaciół pokorą, modlił się za bliskich sobie, obejmował miłością cały rodzaj ludzki, wyśmiewał dowcipnie pychę i próżność ludzką [1], rozdawał hojne jałmużny, przebaczał, owszem starał się miłować nieprzyjaciół. Ale wszystkie te cnoty nie opierały się na żadnej podstawie — i widocznie nie uszczęśliwiały cesarza, skoro umysł jego błąkał się ustawicznie po wszystkich teoryach i wszelkich praktykach. Dzisiaj sceptycy szukają zaspokojenia w spirytyzmie, ówcześni szukali go w tajemniczych obrzędach Izydy, Mithry, w Eleuzyńskich misteryach. W pismach swych wątpił cesarz o istnieniu bogów; w życiu posunął zabobonność do śmieszności. Utrzymywał na swój koszt profesorów filozofii, faworyzował stoików i filozoficzne ich mundury, naznaczał roczną pensyę znanemu ateuszowi Lucyanowi; a jednocześnie wierzył w sny, słuchał ze czcią przepowiedni ówczesnego Cagliostra, adoratora węży Paflagończyka Aleksandra, pozwalał wybijać jego węże na państwowych monetach, otwierał na oścież bramę wschodnim bogom i misteryom, obiecywał bogom szalone hekatomby w razie zwycięstwa nad Germanami, rozkazywał egipskiemu wróżbiarzowi towarzyszyć sobie w wojennej wyprawie. Wszystkie wierzenia i wszystkie negacye cieszyły się opieką i przyjaźnią cesarską; jedni chrześcijanie, którym przecież M. Aureliusz zawdzięczał wszystkie szlachetniejsze myśli, uczucia i czyny, znaleść w nim mieli srogiego prześladowcę.

---

[1] „Pająk chełpi się z pochwyconej muchy, strzelec z złapanego zająca, rybak ze szczupaka, ktoś inny z węgorza, inny z niedźwiedzi, inny z Sarmatów. Czyż ten ostatni, jeśli zważysz dokładnie pojęcia, nie jest poprostu rozbójnikiem“. (Myśli M. Aureliusza X. 10). Dokładny obraz filozofii i charakteru tego cesarza — u *Champagny'ego* „Les Antonins“ t. III. l. VI.

Prawda, że jak Herod z Piłatem, Żyd z poganinem wydali Chrystusa na śmierć, tak wrogie sobie filozoficzne i niefilozoficzne sekty podawały sobie ręce, gdy szło o walkę przeciw chrześcijaństwu, i zgodnie przedstawiały w gabinecie cesarskim wyznawców Chrystusa jako nieprzyjaciół państwa, porządku społecznego i wszelkiej filozofii. Marek Aureliusz przez słabość, lekkomyślność, niechęć do chrześcijaństwa jako religii nowej, podpisywał podawane sobie dekreta i szedł spisywać dalej swe Myśli uszczknięte z Ewangelii, podczas gdy wyznawcy Chrystusa szli po wszystkich krańcach państwa rzymskiego na śmierć męczeńską za tejże Ewangelii wyznawanie.

Z rozkazu i pod wpływem cesarskim, pogaństwo raz jeszcze zerwało się do życia; było to życie nienaturalne, podobne we wszystkich szczegółach do przedśmiertnych konwulsyj. W Delfach, Claros, w Trofońskiej jaskini i mnóstwie innych miejscowości przemówiły wyrocznie; tłumy chorych pielgrzymowały do świątyń Eskulapa; goretsi zapisywali się na całe życie w tajemniczą służbę Izydy; lud opowiadał sobie o dziwnych widzeniach, cudach, zaczarowanych źródłach i świątyniach. Wśród tajemnych uroczystości rozlegało się głośne „biada“ ateuszom, chrześcijanom i epikurejczykom! Ateusze i epikurejczycy nie wahali się w danym razie, z ukrytym w sercu uśmiechem, składać hołd Jowiszowi; chrześcijanin uczynić tego nie mógł, i na nim wywrzeć miał zemstę poganizm, bezsilny w sobie, ale dość silny do rozlania strumieni krwi chrześcijańskiej.

Niebawem nadarzyła się sposobność, której bodaj czy lud rzymski, filozoficzne otoczenie cesarskie i sam cesarz-filozof oddawna nie oczekiwali. Jakiś niegodziwiec, zgniewany, iż jego żona, od czasu kiedy za namową niejakiego Ptolomeusza została chrześcijanką, nie chciała z nim dawnych dopuszczać się występków, oskarżył ją, a następnie Ptolomeusza, o wyznawanie zakazanej prawami państwowemi chrześcijańskiej religii. Prefekt rzymski Urbicus skazał Ptolomeusza na śmierć. Dwóch innych chrześcijan oburzyło się na tę jawną niesprawiedliwość, i z rozkazu prefekta zostali również zaprowadzeni na stracenie. Łatwo można było przewidzieć, że lud rzymski temi ofiarami się nie zaspokoi, że zresztą prefekt nie postępuje bez wskazówki z góry. Jakby dla usprawiedliwienia tych

nowych kroków rządowych, Cynik, nazwiskiem Krescens, zwyciężony poprzednio w paru publicznych dysputach przez Justyna, i ucznia jego Tacyana, wznowił teraz, korzystając z pomyślnego wiatru, dawne swe zarzuty przeciw chrześcijanom, znanym ateuszom i bezbożnikom. Na zarzuty te tylekroć odpierane, należała się jednak nowa odpowiedź. W Azyi dał ją Meliton — w Rzymie Justyn; pamiętając na skutek odniesiony przez pierwszą swą apologię, ufając zdrowemu rozumowi Marka Aureliusza, wystąpił ponownie w imię filozofii z obroną prawdy chrześcijańskiej.

Bodaj czy nie ostatni przedstawiciel filozofii pogańskiej i pierwszy filozof chrześcijański stanęli naprzeciw siebie; jeśli Marek Aureliusz przeczytał apologię Justyna, musiał niechybnie uznać wzniosłość i piękność nauki chrześcijańskiej, ale nieszczęsny sceptycyzm zbyt głęboko zakorzenił się w jego sercu, aby jałowy ten podziw miał wydać jakie praktyczne następstwa. Marek Aureliusz po przeczytaniu apologii, zamyślił się zapewnie, pochwalił ją, a potem uśmiechnąwszy się sceptycznie, skazał Justyna na śmierć.

Nowa ta apologia mniej systematyczna niż poprzednia, pisana widocznie na prędce, wśród coraz nowych a groźniejszych wieści o prześladowaniu, nadbiegających ze wszech stron cesarstwa, nie jest z góry obmyślaną, na części podzieloną, we wszystkich punktach dokładnie przeprowadzoną rozprawą — ale raczej jednym okrzykiem zbolałego serca, domagającego się sprawiedliwości. Źli i djabli, rozpoczyna Justyn, spiknęli się na chrześcijan: oto wczoraj i przedwczoraj prefekt miejski Urbicus trzech z pośród nas wyprowadził na śmierć; inni pójdą za nimi; na życie moje czyha Krescens. Powie nam kto może: kiedyście na męczeństwo gotowi, pozabijajcie się sami, a nam kłopotu i próżnego trudu oszczędźcie. Nie możemy iść za tą radą, bo samobójstwo, ujmując Bogu czci, jakąśmy życiem naszem winni Mu przynosić, jest rzeczą niegodną i grzeszną. Gdyby nie chrześcijanie, dawnoby już podobno świat istnieć przestał, obrócony w nicość przez straszny, ale sprawiedliwy gniew Boży. Własne więc wasze istnienie, wszystko co macie i co wiecie, nam ostatecznie zawdzięczacie, bo cokolwiek wynaleźli, do czegokolwiek doszli filozofowie, to odkryli, wpatrując się z tej lub z owej strony w odwieczne Słowo. Ale filozofowie nie poznali w całości Słowa, i dlatego nieraz się mylą, nieraz się ze sobą sprzeczają. So-

krates w części Słowo poznał, ale ledwo paru uczniów za sobą pociągnął; „Chrystusowi, Słowu samemu, nietylko filozofowie i nau„kami się trudniący ludzie uwierzyli, ale i prości wyrobnicy i nie„uczeni; a wszyscy oni wzgardzili i chwałą i strachem i śmiercią: „albowiem nie ludzkie rozumowania, lecz niewypowiedziana moc Ojca „wzmocniła ich i oświeciła.

„Ja sam, gdym się jeszcze nauką Platona roskoszował, sły„sząc o zbrodniach, o jakie chrześcijan oskarżano, a z drugiej „strony widząc jak się ani śmierci ani niczego, co człowieka stra„chem przejmuje, nie lękali — nie mogłem uwierzyć, aby ludzie ci „mieli żyć w występkach i w miłości rozpusty. Czyż bowiem rozpu„stnik, roskosznik, człowiek wzdychający za biesiadą z mięsa ludz„kiego zgotowaną, będzie szukał śmierci, która go tych przyjemno„ści pozbawi? Czyż raczej nie będzie się starał żyć jaknajdłużej, „czyż nie będzie krył się przed trybunałami, a nie sam dobrowol„nie przed nimi się oskarżał?... Lecz wszystkie te najhaniebniejsze „oskarżenia mało nas obchodzą, bo wiemy, że Bóg sprawiedliwy „widzi nas i sądzi. Z podwyższenia, tragicznym głosem, powinienby „ktoś do was przemówić: Hańba wam, hańba wam! — co jawnie, „w obec wszystkich czynicie, o to oskarżacie niewinnych; w oby„czaje i przymioty wasze stroicie ludzi nic z niemi nie mających do „czynienia. Poprawcież się, przyjdźcież raz do rozumu!

„Proszę was, kończy Justyn, pismo to moje zatwierdźcie po„wagą waszą i starajcie się rozpowszechnić. Dobre tu mieszczą się „nauki, pewnie lepsze od baletniczych skoków, którym każdy na „scenie może się przyglądać; lepsze od epikurejskich rozpraw, od „niecnych wierszy, które każdemu czytać wolno. Jednego tylko do„magamy się, byście wszędzie i wszystkim ludziom prawdę poznać „dozwolili. Daj Boże, byście w własnej waszej sprawie, prawdziwą „pobożnością i filozofią się powodując, sprawiedliwy sąd wydali".

Niemal jednocześnie z śmiałą tą i wymowną apologią chrześcijanizmu, otrzymał Marek Aureli z dalekiej Azyi, równie śmiałą i równie piękną apologię, wyszłą z pod pióra biskupa Sardyjskiego Melitona .Ale wszystko darmo. Których prawda nie podbija, tych do szaleństwa doprowadza. Odpowiedzią na apologie było coraz większe prześladowanie. Symmetryusz i dwudziestu dwóch chrześcijan, schwytani na wspólnej modlitwie, zostali natychmiast zabici bez śledztwa i sądu.

Wkrótce przyprowadzono Justyna wespół z sześciu wiernymi towarzyszami przed trybunał rzymskiego prefekta, Junius'a Rusticus'a, a to w skutek ponawiających się oskarżeń i oszczerstw cynika Krescensa. Dziwną ironią losu Rusticus, nauczyciel i przyjaciel cesarski, był również filozofem; a tak, oskarżony pod cesarzem filozofem filozof chrześcijański miał filozofa cynika za oskarżyciela, a stoika za sędziego. Dawne marzenia Platońskie o filozoficznym rządzie i państwie zdawały się przechodzić w kraj rzeczywistości; ale rzeczywistość nie przedstawiała się idealnie: sceptycy, cynicy i sofiści zasiedli na trybunale, filozof prawdziwy na ławie oskarżonych.

„A kiedy stanęli przed trybunałem, opowiadają akta męczeń„skie [1], Rusticus prezes rzekł do Justyna: „Oddaj posłuszeństwo „bogom i edyktom cesarskim!"

„Justyn odpowiedział mu: „Nikt nigdy nie zasługuje na na„ganę lub potępienie, gdy słucha przykazań Zbawiciela naszego Je„zusa Chrystusa". Na to Rusticus prefekt: „Jakiej nauce oddajesz „się?" Justyn odpowiedział: „Starałem się poznać wszystkie nauki, „wiedzy ze wszech stron zakosztować; wreszcie znalazłem prawdziwą „naukę, chociaż ona nie podoba się ludziom po manowcach błą„dzącym". Rusticus rzekł: „A więc ta nauka, nieszczęsny czło„wieku, ci się spodobała?... Wytłumacz nam ją w krótkości!" Ju„styn odpowiedział: „Prawdziwa nauka, której my chrześcijanie „zbożnie się trzymamy, na tem zależy, iż wierzymy w jednego Boga, „Pana i Stworzyciela całego widomego i oczom ludzkim niewido„mego świata, i wierzymy w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, od„dawna przez proroków przepowiedzianego, sędziego ludzkiego ro„dzaju, zwiastuna naszego zbawienia, i nauczyciela prawdy. Co się „mnie tyczy, niedołężnym jestem człowiekiem i nie stać mię na to, „abym o nieskończonej Jego Boskości godnie miał rozprawiać; nie „mój to, lecz prorocki urząd"...

„Następnie zapytał się prefekt: „Na jakiem miejscu chrze„ścijanie zwykli się schodzić?" Justyn odpowiedział: „Tam, każdy „przychodzi gdzie chce i może. Czyż sądzisz może, że wszyscy

---

[1] *Migne* Opera S. Justini p. 1565—1572. Autentyczność tych aktów, stwierdzona świadectwem Euzebiusza i Tacyana nie podlega wątpliwości. Por. *Champagny*, Les Antonins, t. III. p. 99.

„zawsze na jedno i to samo miejsce się schodzimy? Bynajmniej; „Bóg chrześcijański od miejsca nie zależy, ale będąc niewidzialnym, „niebo i ziemię napełnia, i wszędzie od wiernych cześć odbiera". „Raz jeszcze pytam, rzekł prefekt, gdzie się schodzicie i gdzie „uczniów twych zbierasz?" Justyn odpowiedział: „Dotychczas mie„szkałem niedaleko od domu niejakiego Marcina, koło łaźni, zwa„nej Timiotińską. W Rzymie jestem po drugi raz; o innem miej„scu, prócz wymienionego, nie wiem. Jeśli kto do mnie z własnej „woli przyszedł, podzieliłem się z nim prawdziwą nauką". „A za„tem jesteś chrześcijaninem?" zapytał Rusticus. „Tak jest, jestem „chrześcijaninem".

Właściwe śledztwo z Justynem zakończyło się na tych słowach; był chrześcijaninem, zatem był przekonanym o zbrodnię. Zadowolony z tak łatwego obrotu rzeczy, prefekt zwrócił się do towarzyszy Justyna. Pytania i odpowiedzi następowały po sobie szybko, lakonicznie, dla formy: „Czy i ty jesteś chrześcijaninem?" „zapytał Rusticus Charitona. „Tak jest, z woli Bożej, jestem chrze„ścijaninem". „A ty małżonko Charitona?" „I ja, z łaski Bożej, „jestem chrześcijanką". „A ty kim jesteś?" „Nazywam się Evelpi„stus, jestem niewolnikiem Cezara; ale sam Chrystus, czyniąc mię „chrześcijaninem, udarował mię wolnością, a tak za Jego łaską „i dobrodziejstwem, stałem się uczestnikiem tejże nadziei, co i inni „tutaj obecni". Hierax, Peon, Liberianus dali podobną odpowiedź. „Czy to Justyn, zapytał prefekt, uczynił was chrześcijanami? Gdzie„ście się rodzili, jakich mieliście rodziców?" „Ja, odparł Hierax, „i byłem i jestem chrześcijaninem. Prawdziwym ojcem naszym jest „Chrystus, a wiara w Chrystusa matką; ziemscy moi rodzice już „umarli.

„Wtedy prefekt zwróciwszy się do Justyna rzekł: „Słuchaj mię „mężu wymowny, jak przynajmniej utrzymują inni, i który z po„siadania prawdziwej nauki się chełpisz: jeśli od stóp do głowy „biczami każę cię siec, czy sądzisz, że tak do nieba się dostaniesz?" „Odpowiedział Justyn: „Spodziewam się, iż jeśli te męki wycier„pię, otrzymam nagrodę, jaka czeka spełniających wiernie przyka„zania Chrystusowe"... Na to prefekt Rusticus: „A więc mnie„masz, iż do nieba po nagrodę wstąpisz". „Nie mniemam, odrzekł „Justyn, ale wiem, a wiem z taką pewnością, iż żadna nawet wąt-

„pliwość do głowy mi nie przychodzi". Rusticus rzekł: „Zbierzcież „się razem i wszyscy bogom ofiarujcie... Jeśli zaś roskazów na- „szych nie posłuchacie, bez miłosierdzia zginiecie". Justyn odpowie- „dział: „Nic milszego stać się nam nie może, jak dla Pana na- „szego Jezusa Chrystusa męki znieść i tak zbawienie osiągnąć. „Śmierć męczeńska zapewnia nam zbawienie i miłosierdzie przed „strasznym trybunałem Pana i Odkupiciela naszego, przed którym „na rozkaz Boży, cały świat się stawi". Też same słowa i inni „męczennicy powtórzyli, dodając: „Czyń prędko, co chcesz uczynić, „jesteśmy bowiem chrześcijanami i bałwanom ofiar nie składamy".

„Posłyszawszy to prefekt, następny wyrok wydał: „Ci, którzy „nie chcieli bogom ofiary złożyć stosownie do cesarskich edyktów, „po ubiczowaniu, jako prawa nakazują, śmierć poniosą". Udali się „więc — tak kończy pisarz tych aktów — święci męczennicy, wy- „chwalając Boga, na zwykłe miejsce, gdzie ubiczowano ich i ścięto, „i tak, wyznawając wiarę w Zbawiciela, męczeństwa dokonali".

Podburzający lud filozofowie, ukoronowany filozof prześladowca, mnogie chrześcijańskie herezye, zapamiętali Żydzi, słowem wszyscy, przeciw którym Justyn walczył z takim zapałem i znajomością rzeczy, ucieszyć się musieli z jego śmierci, jak z wygranej bitwy. Ale wygrana nie była po ich stronie. Po upływie paru wieków, bogi i filozofia starego Rzymu utonęły niepowrotnie w fali dziejów, a filozofia, za którą św. Justyn krew przelał, wyszła zwycięsko; i znów tocząc boje z herezyami i filozofiami negacyi, przeżyła je wszystkie; i dziś jeszcze pośród bałwochwalstwa ciała, mamony i tego krytycyzmu, który wszystkie wierzenia w strzępy rozrywa, ona jedna śmiało głowę podnosi, wszystkim krytykom, wszystkim odkryciom nauk i zagadnieniom ducha ludzkiego w oczy zagląda, i co już przez usta Justyna mówiła, że chrystyanizm i rozum filozoficzny nie są w sprzeczności, lecz dopełniają się jako dwie strony tego samego Słowa — to i dziś zwycięsko zatwierdza.

Ks. Jan Badeni.

STRÓJ ŻAKÓW UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
w XV. i XVI. wieku.

Uniwersytety średniowieczne wyrosły na gruncie czysto kościelnym. Niektóre z nich rozwinęły się z dawniejszych od nich szkół katedralnych lub klasztornych, wszystkie bez wyjątku powstały z wiedzą i wolą Kościoła, który czuwał nad nauką w nich wykładaną i stał na straży przyznanych im przywilejów, wszystkie bez wyjątku wyposażone były w beneficya kościelne.

Ów ścisły związek uniwersytetów średniowiecznych z Kościołem tłumaczy nam ich urządzenie, organizacyę, zwyczaje; objaśnia, dlaczego uczniowie i profesorowie mieli przepisany strój duchowny. W wiekach średnich każdy stan miał swój odrębny strój. Profesorowie uniwersytetu byli z małemi wyjątkami księżmi, a przeważna część uczniów czyli żaków sposobiła się do tego zawodu; jedni więc i drudzy jako przynależni do stanu duchownego, musieli nosić odpowiedni strój. Żaden z uniwersytetów średniowiecznych nie był wyjęty z tej powszechnie obowiązującej reguły [1].

Ustawy dotyczące stroju. W naszym uniwersytecie Jagiellońskim zaprowadzone były również ustawy pod względem stroju, i trwały do końca XVI. w. Przegląd odnośnych ustaw wydanych w przeciągu owego czasu dowodzi stanowczo, że władze uniwersyteckie nie dozwalały wyjątków z owej reguły a wykazuje jednocześnie, że żacy chętnie się z niej wyłamywali. Do żaków zaliczamy tu nietylko uczniów fakultetu artystycznego, czyli mówiąc po dzi-

[1] Por. Fr. Paulsen, d. Gr. d. deutsch. Un. i M. oraz „Org. und Lebensordn. d. d. Un. i M. u Sybel'a Hist. „Zeitschr.“, 1881 r.

siejszemu uczniów gimnazyum niższego, ale i magistrów tegoż wydziału. Posiadający stopień magistra filozofii, co mniej więcej równało się dzisiejszemu w gimnazyach egzaminowi dojrzałości czyli maturze, mógł dopiero jako zwyczajny słuchacz zapisywać się na wykłady teologiczne, jurydyczne lub medyczne. Magister filozofii mógł więc być i bywał zazwyczaj profesorem wydziału filozoficznego i jednocześnie żakiem czyli uczniem trzech wyższych wydziałów [1].

Najstarsza z ustaw dotyczących stroju żaków wydana w r. 1415 orzeka, aby dziekan wydziału filozoficznego na czas swego urzędowania, a magistrzy tegoż wydziału na czas dysput, mszy uniwersyteckich i t. p. uroczystych aktów, a wreszcie kandydaci na bakałarzy i magistrów na czas swych promocyj jawili się *non nisi in habitu*, tj. w stroju przepisanym [2]. Ponowiono tę ustawę w r. 1429 i 1449 i wymieniono ów strój po nazwisku a mianowicie nazwano go tabardem. Położono nacisk na to, aby tabardy były w dobrym stanie i aby miały krój odpowiedni *(tabardum bonum et verum habeat)* [3]. Aby przyjść w pomoc ubogim żakom-magistrom uchwalił uniwersytet w r. 1449 zakupić za własne pieniądze dwa postawy sukna na tabardy, i rozdać je między potrzebujących z warunkiem, że będą się uiszczali z należytości w półrocznych ratach po 1 złp. [4]. Magister, który nie posiadał tabardu odpowiedniego, nie mógł być wybrany na dziekana.

Ustawa bursy Jeruzalem istniejącej przy uniwersytecie Jagiellońskim wydana w r. 1456 nie pozwala przyjmować do tegoż zakładu żaków, którzy noszą strój nieprzyzwoity, nieduchowny *(vestem indecentem non clericalem)* np. płaszcze niezapinane, kapelusze świeckie, trzewiki z długiemi szpicami lub czerwone, które hańbią stan duchowny, oraz wszelkie inne suknie świeckie, któreby mogły wywołać zgorszenie [5]. W r. 1492 ponowiono zakaz noszenia stroju świeckiego i zabroniono posiadania broni. Umotywowanie tej ustawy przytaczamy w dosłownem brzmieniu: „Ponieważ przeciw nowym chorobom nowych użyć trzeba lekarstw i ponieważ chcemy, aby przynależni

[1] Por. Wisłocki, O wyd. Lib. dil., Kraków 1886.
[2] Zob. Muczkowski, Stat. nec non lib. prom. str. XXIV.
[3] Zob. Statuta Coll. Maj. ed. Szujski.
[4] Zob. Concl. Univ., rkps. str. 12.
[5] Ustawy Bursy Jer., rkps. w Bibl. Krasińskich w Warszawie.

do uniwersytetu naszego żyli w karności i w porządku, i za pomocą cugli z manowców sprowadzeni, oddawali się regularniej i pilniej studyom, postanawiamy i raz nazawsze wymagamy od podwładnych naszych, aby nie chodzili ani we dnie ani w nocy w kollegiach lub poza niemi w sukniach lub czapkach świeckich dla wyszukania sposobności do wybryków i nocnych wycieczek". Przeciw nieposłusznym wymierzono znaczne kary pieniężne a względnie karcer i wydalenie z uniwersytetu. Rozporządzenie rektora Jakuba Arciszewskiego z r. 1533 wylicza znów cały szereg części stroju świeckiego, których nie wolno żakom nosić, a mianowicie suknie świeckie krótkie z rękawami podziurawionemi *(manicis foraminosis)* lub wiszącemi, oraz takiemi, z których cała ręka wyłazi, — stroje jakie nosi wojsko zaciężne, kupcy lub dworzanie, przez co rozpoznanie żaka od laika jest utrudnione, — dalej czapki świeckie zrobione z tkaniny wełnianej lub z skór kozich lub innych z ogonami na uszy spadającemi oraz birety świeckie. Z niebywałą dotychczas energią usiłowano powyższą ustawę wprowadzić w życie, i wydano w tym celu odezwę do rektorów szkół, uczniów burs i przełożonych kolegiów, aby nie zaniedbywali swych obowiązków. Na żaków, niemieszkających w zakładach uniwersyteckich, mieli dać baczenie ci profesorowie, na których wykłady oni chodzili [1]. Ale nie skutkował rygor, lekceważono sobie powagę władz uniwersyteckich! Kanclerz uniwersytetu, biskup Krakowski, przeprowadza na synodzie prowincyonalnym w Piotrkowie w r. 1542 między innemi przepisami tyczącemi się wychowania publicznego, i ustawę o stroju żaków. Ktoby nie chodził w sukniach przepisanych, miał utracić prawo mieszkania w zakładach uniwersyteckich oraz wszelkie przysługujące mu prawa i przywileje. Na przełożonych zakładów oraz na rektora uniwersytetu nałożono za każde niedbalstwo w przeprowadzeniu ustawy karę trzech grzywien [2]. Król Zygmunt August wydał później podobneż postanowienie, a z polecenia króla powtórzył, je w r. 1559 rektor uniwersytetu Marcin Krokier. Ustawa

[1] „Statutum de compescendis insolentiis et divagationibus suppositorum Universitatis", zob. Concl. Univ., rkps. Bibl. Jag. str. 13.

[2] Zob. „Decreta et Constitutiones" tegoż synodu wyd. M. Szarffenberg, Kraków 1544.

ta wywołała tym razem wśród żaków wielkie oburzenie, które się skierowało przedewszystkiem przeciw osobie rektora. Z większą niż kiedykolwiek surowością nakazano żakom oddać wszelką broń z wyjątkiem noży do zacinania piór, w przeciągu trzech dni, i wymuszano na oddających przysięgę, że innej prócz oddanej broni nie mają ani nabywać nie będą. Ktoby przysięgę złamał, miał być natychmiast z uniwersytetu wydalony. Taką samą karą zagrożono tym, którzyby nie nosili stroju przepisanego. Chciano przez ów rygor zapobiedz wybrykom popełnianym przez żaków. Przeciw obu rozporządzeniom wnieśli żacy rekurs na ręce rektora, i domagali się ich usunięcia. Ze względu na orędzie królewskie oraz na własną powagę *(levis hominis est, quod semel placuit, postea displicere)*, władze uniwersyteckie nie uczyniły zadość życzeniom żaków, złagodziły tylko niektóre punkta ustaw [1]. Mimo niechęci żaków nie usunięto przepisów stroju i w latach następnych. W r. 1566 przyszło do sporu między biskupem krakowskim Filipem Padniewskim, który pozwolił nosić żakom suknie, jakie który miał i ćwiczyć się w robieniu bronią, a senatem uniwersyteckim, który się stanowczo tej nowości sprzeciwił i wreszcie na swojem postawił [2]. W r. 1572 wreszcie wydano uchwałę określającą, jaki strój magistrzy mają zawdziewać na czas prelekcyj i dysput [3]. Jestto ostatnia ustawa dotycząca stroju żaków. Przekonano się wreszcie, że byłoby niedorzecznością trzymać się dłużej jeszcze zwyczajów, które miały prawo obywatelstwa w ubiegłych czasach.

W źródłach znajdujemy dla stroju żaków jedno ogólne wspólne miano stroju duchownego *(vestitus clericalis)*. Jest on nim po części ale nie jest z nim identyczny. Wyrażenie *clericalis* trzeba brać w znaczeniu poważny, podobny do duchownego; mieszczą w niem się nadto wszystkie różnice, jakie zachodzą pomiędzy strojem scholarów pospolitych, bakałarzy i magistrów.

Przystępując do rekonstrukcyi stroju żaków w XV. i XVI. w., nie rościmy sobie prawa bezwzględnej nieomylności, sądzimy jednak, że zdołaliśmy zebrać tyle materyału, aby nietkniętą dotychczas kwestyę w jasnem postawić świetle.

---

[1] Zob. Muczkowski, Mieszkania i t. d., w dod. wydr. ustawa.
[2] Zob. Uw. 6.
[3] Zob. Muczkowski, statuta, pag. LXVIII.

Nazwy stroju czerpiemy przeważnie z aktów rektorskich przechowanych w archiwum senatu uniwersytetu Jagiellońskiego. Kilka ilustracyj do niniejszego tekstu znaleść można u Muczkowskiego: „Zbiór drzeworytów“, Kraków 1849, w dziele, na które godzi się zwrócić uwagę.

Ubranie żaka pospolitego. Głowę nakrywał żaczek w XV. w. kapucą przyszywaną do sukni lub mycką (mitra, czapka)[1]; w XVI. w. kapuca wyszła z używania, utrzymały się mycki, a te bywały katajczane, czamletowe, sukienne[2]. Na nogach nosił żak w XV. w. trepki *(calopedia)*, które zazwyczaj zdejmował siedząc w domu, i bóty *(calcei)*[3]; w XVI. w. pojawiły się półbóciki *(caligae)* z miękiej skóry zwanej zamesz[4]. Na odzienie reszty ciała składała się koszula *(interula)*[5]; spodnie zazwyczaj obcisłe; żupica, odzienie spodnie, prawdopodobnie bez rękawów, krótkie, sięgające niżej piersi[6]; serdak czyli kaftan, również odzienie spodnie krótkie z rękawami, robione niekiedy z sukna czerwonego i aksamitu czarnego[7]; tunika, suknia wierzchnia długa, owa *vestis clericalis* κατ' ἐξοχήν nakazana przez ustawy, mająca zawsze barwę ciemną, poważne robiąca wrażenie; wspominają źródła o tunikach brunatnych, czarnych z czeskiego sukna, podszytych lisami, i czarnych z węgierskiego sukna, podbitych futrem; o tunice zwanej „dzika“ z szarego sukna, i wyjątkowo o tunice czerwonej zwanej „czeneradek“, z pewnością zabronionej; w miejsce długiej niewygodnej tuniki niekiedy rewerendą zwanej, pozwolono w drugiej połowie XVI. w. nosić krótsze nieco od niej suknie zwane „giermaki“ czyli „kopieniaki“. Tuniki nie bywały zapinane na guziki, ale przewiązywane w pasie sznurem lub paskiem, na sposób dzisiejszych sukień żydowskich[8]. Na tunikę zawdziewano niekiedy delię z taniego jedwabiu[9].

Ubranie bakałarza fakultetu artystycznego. Najmniej po czte-

---

[1] Zob. Uw. 6, r. 1456.
[2] A.(cta) R.(ectoralia) r. 1546.
[3] Zob. Uw. 12.
[4] Zob. Uw. 13.
[5] Zob. Uw. 13.
[6] A. R. r. 1523 i 1536.
[7] A. R. r. 1523 i 1555.
[8] A. R. r. 1469, 1546, 1555, 1574; zob. też Uw. 6, r. 1566.
[9] A. R. r. 1555.

roletnim, a wyjątkowo tylko już po trzyletnim pobycie na wydziale artystycznym osiągał żak stopień bakałarza nauk wyzwolonych, czyli filozofii, i zyskiwał tem samem prawo noszenia biretu czworobocznego, oraz tuniki z czerwonem oblamowaniem *(de purpurian rubea)* u końca rękawów [1]. Prócz dwóch powyższych odznak w niczem zresztą nie różnił się strój bakałarza od stroju pospolitego żaka.

Ubranie magistra filozofii. Bakałarz filozofii po dwuletnich dalszych studyach na fakultecie artystycznym mógł otrzymać stopień magistra filozofii, przez co nabierał jak już powiedzieliśmy prawa do nauczania na wydziale filozoficznym i do dalszych studyów na jednym z trzech wyższych wydziałów, jako uczeń czyli żak zwyczajny.

Strój magistra był dwojaki: codzienny, i strój zawdziewany na czas dysput, mszy uniwersyteckich i t. p. ważniejszych aktów. Pomiędzy strojem codziennym magistra a strojem żaka bakałarza, zachodziła różnica tylko w kształcie biretu. Biret magistra był okrągły [2]. Zamiast biretów używali podobnie jak inni żacy, zwłaszcza w XV. w. kapucy przyszywanej do sukni [3]. Mycek żaków pospolitych nie wolno im było nosić [4]. Tunika do codziennego użycia, była taka sama, jak u bakałarzy. W r. 1533 udzielił rektor Uniwersytetu magistrom kolegium Mniejszego napomnienie, aby na czas jedzenia przy wspólnym stole ubierali się w suknie przyzwoite, z stanem ich zgadzające się, a mianowicie w tuniki długie, na sposób „talarów“ duchownych zrobione *(tunicis longis, talaribus, more clerici factis)* [5]. Ustawa z r. 1572 przypomina magistrom wydziału artystycznego, aby nie miewali prelekcyj w stroju nieprzyzwoitym, tj. w tunikach z wąskiemi rękawami i kapeluszach zwanych myckami; mają nosić birety doktorskie, lub też birety z uszami (rogami, *auriculatis*) [6].

Strojem magistra, zawdziewanym podczas uroczystych aktów, prócz biretu noszonego codziennie, był tabard czyli toga. Tabardy

---

[1] A. R. 1473, 1478, 1490 i 1536.
[2] A. R., 1481 i 1533. Senior b. Jeruz. płaci za biret 26 gr., A. R. 1537.
[3] A. R. 1521 r.
[4] A. R. str. 41.
[5] A. R. 1533.
[6] Zob. Uw. 11.

owe czyli togi robiły się z sukna brunatnego zazwyczaj florenckiego i miewały wyłogi niewiadomo jakiego koloru i z jakiej materyi, i sukienne podszewki w rękawach, zdaje się, z białego sukna [1]. Długością swą sięgały po kostki i układały się w piękną bogatą draperyę. Rękawy togi bywały bardzo szerokie [2].

Ubranie dziekana fakultetu filozoficznego. Dziekan wybierany z grona magistrów kolegium Większego od r. 1400 do 1418 włącznie na przeciąg jednego roku, a od 1419 aż do roku 1777 na czas jednego półrocza, nie różnił się w stroju, o ile ze źródeł wywnioskować można, od reszty magistrów. Nosił więc jako strój codzienny tunikę i biret, a na czas urzędowania ubierał się w zwyczajną togę czyli tabard, jak każdy inny magister [3]. Pod koniec XVI. w. i w czasach następnych ubierano nowo wybranego dziekana fakultetu filozoficznego w togę św. Jana Kantego, przechowywaną w skarbcu kościoła św. Anny, w celu nadania mu siły i energii do wypełniania obowiązków dziekańskich [4].

Dr. A. Karbowiak.

---

[1] A. R., r. 1479

[2] Zob. Muczkowski, Zbiór drzeworytów. Kraków 1849, drzeworyt 2277.

[3] Zob. Uw. 3, 4 i 5.

[4] Muczkowski, Statuta, str. LXXVII.

KAFFA, OSADA GENUEŃSKA,

I JEJ STOSUNEK DO POLSKI W XV. WIEKU.

STUDYUM HISTORYCZNE.

(Dokończenie).

V.

Podczas trzynastoletniego stosunku hołdowniczego Kaffy do naszej Rzpltej, ta ostatnia, zbyt mało niosła jej czynnej, zbrojnej pomocy; powtarzamy — nieść nie mogła. Po dniu aktu inowrocławskiego cztery lata trwały jeszcze ponad Dolną Wisłą orężne zapasy z Zakonem. Pokój w r. 1466, w Toruniu zawarty, zamknął wprawdzie okres walk z Krzyżakami, lecz zarazem rozpoczął dobę wielkiego wycieńczenia. Polska znużoną się czuła po trzynastoletnich nie zawsze szczęśliwych wysiłkach i walkach z Zakonem.

W one to lata wypoczynku Polska na nic innego zdobyć się nie mogła dla Kaffy, jak jeno na pozwolenie robienia zaciągów płatnych w obrębie swych granic. W tym celu w r. 1469, przybywa do Polski kaffeńskie poselstwo, na którego czele stał niejaki Galeacer z orszakiem złożonym z siedmiu Kaffeńczyków. Posłowie przebiegłszy całą Rzpltę, dopiero na Litwie znaleźli króla. Jagiellończyk chętnie na czynienie zaciągów zezwolił i było to dlań najłatwiejszem; inna, bardziej stanowcza akcya wymagałaby zgodzenia się sejmu, który właśnie w one lata już z dwóch izb zaczął się składać. Bez sejmu ani wojny wypowiadać, ani też środków do

jej prowadzenia wydobyć z kraju niepodobna było, ale pozwolenie do wynajmowania zaciągów nie wchodziło do zakresu kompetencyi sejmu; król mógł dać takowe, że tak rzekę od ręki, i rzeczywiście wydał natychmiast. Galeacer z siedmiu towarzyszami udał się na Ruś, gdzie zaciągnął pod sztandar Kaffy hufiec 500 kiryśników, wyłącznie ze szlachty polskiej złożony. Są niektóre wskazówki dziejowe, iż był to lud możny, który nie gwoli nadziei łupu, nie gwoli jurgieltowi ciągnął na krymskie wybrzeża. Gdy bowiem pewna klęska Kaffy wstrzymała ich w pochodzie, a i mieszczanie Bracławscy, przy pomocy okolicznych wieśniaków, wciągnąwszy ich w zdradziecką zasadzkę, porazili na głowę, tłum zwycięski znalazł przy nich łupu na 30.000 lub i więcej [1]. Rycerze ciągnący wielekroć z Zachodu do siedzib krzyżackich, rzadko tak suto byli opatrzeni, jak ów polski hufiec kiryśników, dążący z odsieczą Kaffie, wciąż przez Turków zagrażanej, a przez Tatarów mniej lub więcej niepokojonej. Sułtan pobierał nawet daninę od Kaffy w ciągu ostatnich kilkunastu lat jej niepodległości.

Przyczyna niespodzianej porażki tego hufca, na terytoryum Rzpltej, miała swe źródło w zwadzie jednego z rycerzy, czy też pachołków rycerskich z butnymi mieszczanami Bracławia, gdzie owa odsiecz noc spędzić zamierzała. Zwada wprędce przybrała rozmiary znaczne. Wszyscy rycerze ujęli za miecze, by hardych mieszczan poskromić. Wśród boju powstał pożar, o który pomawiano wojsko polskie, i gdy przy blasku łuny gorejących domów hufiec się z boju wycofał, by udać się w dalszą drogę, mieszczanie odbiegli swych siedzib pałających i rzucili się w pogoń. Ścigających kilkakrotnie odparto, ostatecznie wciągnięty w zasadzkę przez lud okoliczny, hufiec polski cały wyginął. Galeacer tylko i siedmiu jego towarzyszy ocalić się zdołali... Łup bogaty stał się zdobyczą wieśniaczą, a może poczęści i dom starosty bracławskiego zbogacił się cennemi trofeami zdobytemi na własnych braciach [2].

Ostatni to raz spotykamy się z pomocą niesioną przez Rzpltę dla nieszczęsnej Kaffy. Stolica apostolska wciąż do krucyaty nawoływała, ale do rzeczywistej krucyaty wcale nie przychodziło; zanim

[1] L. c.

[2] L. c. i *Bielski*, wyd. Turowsk., ks. IV. — *Naruszewicz*, Tauryka, wyd. 1737 r., str 98.

grom mógł uderzyć w potęgę Islamu, chmury się rozpraszały. Jedna z takich wypraw (w r. 1464) zebrana pod znakiem krzyża, która przez Węgry ciągnąć miała na półwysep Bałkański, i tam wtargnąć do siedzib pogańskich, znalazła niewiernych znacznie bliżej, gdyż na bruku Krakowa. Żydzi, zamieszkujący ulicę św. Anny, stali się celem pocisków owych krzyżowców. *(Bielski)*. Zrobiono wielką burdę uliczną, 30 Żydów zabito, domy zrabowano — innemi czyny ta rzekoma krucyata nie upamiętniła się.

Pojedyńczo, rycerstwo Rzpltej wielekroć ciągnęło do Kaffy, by zmierzyć się z poganinem; spotykamy bowiem wśród jej murów, w chwili gdy się stawały łupem Turków, między innymi cudzoziemcami, pewną ilość „Polaków i Rusinów“ [1]. Rząd polski, jeśli co czynił dla jej ocalenia, to chyba na drodze układów. Zaborcze zamiary tatarskiego hanatu mogły być wstrzymywane przez Jagiellończyka, hanat bowiem cenił wówczas Polski powagę, która do pewnego przynajmniej stopnia mu imponowała. Po zgonie Hadżigireja, Tatarzy, osadzając na swym hanacie syna jego, nie zaniedbują uroczyście Kazimierza Jagiellończyka o tem zawiadomić. Tatarskie poselstwo na Lwowskim zamku poleca nowego hana względom królewskim [2]; i tym względom, które znać cennemi dla hanatu krymskiego były, zawdzięczała poniekąd Kaffa, po części przynajmniej swój spokój. Polityce Tatarów, jak już wyżej rzekłem, wiele ufać nie można było: bez względu na wielokrotne submitowanie się ich hanów polskiej koronie, bez względu nawet, że ci hanowie zawdzięczali niekiedy swą stolicę polskiej przewadze, czambuły tatarskie nie przestawały niepokoić krajów tejże Rzpltej. Hanat krymski, wytworzony z dziedzin Kipczaku, nie hołdował jeszcze wówczas Turcyi, a gotów był niekiedy, za Hadżigireja szczególnie, uznawać protektorat Polski. Hadżigirej, z powodu swej osobistej sympatyi ku Polsce, wyróżniał się wśród całego szeregu hanów.

Przytoczymy tu poważne świadectwa króla Aleksandra Jagiellończyka, który w liście swym do hana Perekopskiego Mendligireja, syna i następcy Hadżigireja, tak się wyraża: „Potrzeba, abyś wspomniał na dawne sprawy, które od wieków się toczyły, za przod-

---

[1] *Heyd, Geschichte des Lewantehandels im Mittelalter*, T. II., str. 403.
[2] *Naruszewicz, Tauryka*, wyd. 1787 r.

ków naszych i za twoich, za ojca naszego i za twojego ojca; jeżeli bowiem któremu z carów lub carewiczów (Perekopskich) przytrafiła się przygoda, nigdzie on konia polnego nie rozsiodłał, jeno w naszej ojczyźnie i w W. ks. Litewskiem, i chleba i soli im nie broniono, jak długo kto chciał zamieszkiwać. I jak dobrowolnie przyjeżdżali, również dobrowolnie odjeżdżali... Także i to wiadomem ci jest, że ojciec twój Hadżigirej u ojca naszego chleb i sól jadł i tron carski otrzymał" [1]. Charakterystyczne powyższe wyrazy wskazują, iż, podczas ciągłych stepowych waśni, przodownicy hord szukali nieraz schronienia wśród dziedzin Jagiellońskiej dynastyi, a dłoń panów na Wawelu nietylko nie odmawiała im gościnnego schronienia, lecz posiadała moc podnoszenia ich nawet do godności hanów, osadzania tych lub innych pretendentów na tronie stepowym. Takim był los znanego w dziejach Hadżigireja.

W Eski-Krymie — ówczesnej rezydencyi hanów Perekopskich, odległym o kilka tylko godzin drogi od Kaffy — pamiętano i wiedziano o tem w XV. stuleciu; polityka przeto układów, jaką Jagiellończyk prowadził, nie okazywała się bezowocną dla Kaffy. Tatarzy, acz się łupiestwem wciąż bawili, oszczędzali, w pewnym stopniu przynajmniej, Kaffę; była ona wielekroć schronieniem dla hanów, pozbawianych władzy przez swych współzawodników. Tak Mendligirej wśród Genueńczyków, w Kaffie, kształcił się, i tam młodość spędzał. To też gdy wybiła dla owego *emporium* ostatnia godzina nie widzimy Tatarów w szeregach Turków — zwycięzców i burzycieli Kaffy.

Ostatnia godzina niepodległości Kaffy wybiła w czerwcu 1475 r. Sułtan Mahomet II., nie z jakichś widoków wyższej polityki lecz pędzony dziką żądzą zdobyczy i poddawania kulturze islamu wszystkiego co na bliższych i dalszych gościńcach oręż jego spotykał, postanowił Kaffę zdobyć. Postanowienie to było jednoznaczącem z wyrokiem zupełnej zagłady. Gdzie stawała wówczas noga islamu tam trawa już nadal nie rosła: tam zapadała się w grób odwieczna cywilizacya, a na jej miejscu wyrastały: niewola, zagłada, zniszczenie.

[1] W oryginalnym białoruskim tekście, z którego przekład dajemy, ostatnie wyrazy brzmią tak: *i stolca carskoho dostał.* Rzeczony ustęp w pierwotnym tekście patrz u *Naruszewicza: Tauryka...* wyd. 1787 r. str. 93 przyp.

Sułtan Mahomet II., nie poprzestając na corocznych haraczach i darach, jakie mu Kaffa składała, pragnąc w ten sposób zabezpieczyć swej floty handlowej przejście przez Bosfor, postanowił ją zdobyć, zetrzeć z powierzchni ziemi ślady jej istnienia. Zachęcił go ostatecznie do tego nowego podboju Aidor, brat Mendligireja, współubiegający się z bratem o władzę nad ordą. Na początku 1475 r. począł Mahomed zgromadzać olbrzymią armię nad Dunajem, co rzuciło postrach na hołdującą Polsce Wołoszczyznę i Multany. Kazimierz Jagiellończyk mniemając, że cały ten ogrom wojsk ma jedynie na celu ziemie między Dunajem i Dniestrem, bezpośrednio do miedz Rzeczypospolitej przyległe, posłał do Turcyi wezwanie, aby Wołoszczyznę zostawiono w pokoju.

Nie domyślano się, iż cały ten ogrom potęgi tureckiej spadnie na Kaffę, do której właśnie wówczas król wysłał również gońca z poleceniami do hana Mendligireja. Poselstwu do Turcyi przewodniczył stary rycerz zpod Warny, Marcin Wrocimowski, podstoli krakowski, niebiegły dyplomata, ale biegle władający językiem tureckim, którego wyuczył się w niewoli, w którą popadł po warneńskiej potrzebie. Znajomość języków wschodnich mniej niż możnaby mniemać była u nas upowszechnioną. Nawet znacznie później, w XVII. w., Wojciech Miaskowski [1], podkomorzy lwowski poseł Rzeczypospolitej do Sułtana Amurata, (1641 r.), uskarża się na ów brak u nas biegłych tłumaczy, obeznanych ze sprawami oryentalnemi a pewnych zarazem, oddanych interesom Rzeczplitej. Płatni, naprędce wyszukani Ormianie rzadko bardzo byli pożytecznymi; częściej szkodę, niż pożytek przynosili naszym poselstwom; przekręcając bądź rozmyślnie, bądź z nieświadomości słowa posła. Jeżeli po kilkowiekowych stosunkach z Portą, za Władysława IV. uczuwano brak tłumaczy, to daleko dotkliwiej ów brak oddziaływał na dyplomatyczne stosunki Polski z Turcyą za dni Jagiellończyka. Wrocimowski przeto doskonale umiejący po turecku, wybornym był posłem, wzgląd na dyplomatyczne zdolności podrzędną tu grał rolę. Żaden, by najbieglejszy statysta, wstrzymać burzy wiszącej nad pomorzem Pontyjskiem już wówczas nie zdołałby. Osady

[1] Patrz „Rękopis“ w Bibliot. Ks. Ks. Czartoryskich w Krakowie: *Vol.* 373, str. 369—385, pod nap. *Relacya Legaciey Pana Wojc. Miaskowskiego podkom. lwow., posła W. do Amuratha y Ibraima cesarzów Othomańskich.*

cywilizacyi i katolicyzmu miały ledz w proch nicestwa na długie wieki — może nazawsze.

W tych ostatnich dniach wielkiego nad Pontem i w Tauryce przedburza dość jest śladów krzątania się dyplomatycznego gwoli sklecenia przymierza mocarstw chrześcijańskich, nawet z pewną domieszką pierwiastku muzułmańskiego. Wiązała się nie krucyata, ale koalicya przeciw zaborczym roszczeniom Turcyi. Persya wciąż z nią wówczas współzawodnicząca miała działać od wschodu, w Małej Azyi, podczas gdy mocarstwa chrześcijańskie wzywano do współudziału w walce z zachodu. Poseł perski, Izaak z Trapezundu, objechał począwszy od Polski, wszystkie dwory zachodniej Europy, nie zapominając ani o odległej Hiszpanii, ani też o również odległej Anglii. Rok 1476 miał być chwilą działań owej olbrzymiej koalicyi. Jagiellończyk, acz mawiał pospolicie, iż nic nie ma milszego na świecie nad pokój, w zasadzie zgadzał się na propozycye koalicyi, gotów był podjąć walkę, byle miał sprzymierzeńców z Zachodu. Lecz perskie propozycye gdzieindziej obojętnie przyjęto i poseł perski z niczem wrócił do Iranu. Jeszcze przed jego powrotem na azyatyckie wybrzeża Kaffa stała się łupem tureckiej potęgi.

Liczne świadectwa, przeważnie włoskie, opowiadają szczegóły tego dziejowego dramatu.

Mahomet II. uderzał na Kaffę z dwóch stron: z jednej ciągnęły tłumy lądem, zwycięsko depcząc Wołochów, z drugiej liczna flota, płynąca od Bosforu pod naczelnictwem Achmet Baszy, tworzyła główny taran, który miał zburzyć, i rzeczywiście zburzył osady Genueńskie na Tauryckiem pomorzu. Olbrzymie przygotowania i wysiłki, czynione przez Kaffeńczyków, w celu obrony swego grodu, nie przyniosły oczekiwanych owoców. Obszerne dawniej, a później zwiększone znacznie fortyfikacye nie stały się tarczą skuteczną w obec wroga, tem potężniejszego, iż posiadał urok sławy szeroko brzmiącej po obszarach owoczesnego świata.

Pięć dni (od 31 maja do 4 czerwca) wystarczającym były przeciągiem czasu do zdobycia Kaffy. Świat ówczesny zdumiał się i zatrwożył niemało, iż zwycięstwo otrzymano tak łatwo. Wieść o niem ze zdumiewającą szybkością dobiegła do Aleksandryi i Lizbony; od Atlantyku do Iranu, w każdem większem ognisku handlu, węzły interesu łączyły masy kupczące z Kaffą: jeden przeto

prąd trwogi przebiegł szerokie obszary globu. Rozmaicie komentowano sobie szybki rezultat wyprawy wojsk Otomańskich do Kaffy, i wyraz „zdrada“ uznano za najłatwiejsze rozwiązanie owej zagadki. Długosz wniósł ten wyraz fatalny na kartę swej kroniki, i nie bez pewnej podstawy; demoralizacya, jak wyżej wskazaliśmy, wstrząsała już dawniej filarami bytu owego przedniejszego wśród grodów kupczących tamtoczesnego świata.

Dnia 4 czerwca 1475 r. wdarł się wróg na mury Kaffy, a już 22 tegoż miesiąca stanął na Zawichockim zameczku przed Kazimierzem Jagiellończykiem goniec, wysłany z Krymu przez Macieja z Łomży, którego na niewiele przedtem król był wysłał do Tatarskiego hanatu. Goniec ten niósł wieść hiobową o upadku Kaffy i srogościach zwycięzców.

Wieść zaiste była hiobową, gdyż pióro wypadło nawet z dłoni owoczesnego kronikarza, przyzwyczajonego poniekąd do okrucieństw, w jakie obfitowała średniowieczna doba ludzkości... „Nie mam w sobie tyle siły — pisze Długosz — abym wypisać zdołał wszystkie okrucieństwa i prześladowania, które Bóg w sprawiedliwej zemście przepuścił na Kaffeńczyków, za ich ciężkie grzechy, wydawszy ich w srogie ręce barbarzyńców“ ...

Powyższe słowa Długosza, jak z jednej strony stwierdzają świadectwa o swawoli, która wśród zbytku, długoletniej, wzrastającej pomyślności rozwinęła się, tak niemniej malują ów wielki dramat dziejowy, co się srożył nad Kaffeńską zatoką. Pióro historyka z dłoni mu wypadające, zaledwie, oprócz powyżej przytoczonych wyrazów, mogło dodać o upadku Kaffy i nieszczęśliwym losie jej mieszkańców następujące słowa: „Srożył się miecz mściwy na ludziach wszelkiego stanu i wieku“...

Kronikarz nie przesadzał; inne historyczne źródła najzupełniej słowa jego stwierdzają [1]... Biskup kaffeński Symeon, włoch, który w obec zbliżającej się zagłady, udał się był do Rzplitej żebrząc o pomoc, padł rażony apopleksyą podczas obiadu u wojew. Kijowskiego Gasztolda, gdy go wieść doszła o upadku Kaffy... Całe tłumy mieszkańców były wywiezione w niewolę; wszyscy, co znako-

[1] Porównać u *Heyd'a, Geschich. des Lewantehandels* (T. II. str. 402, 403) cytowane przezeń źródła, (*Landivio da Vezzano, Malipiero* i inne).

mitsi, bogatsi, składali okup z całego prawie mienia, a potem szli w pęta pogańskie; niebawem wygnano i prosty lud z odwiecznych siedzib. Turcy stali się panami zgliszcz Kaffy, której blask na zawsze już odtąd zagasł.

W ślad za owym gońcem, który pierwszy królowi zdawał sprawę w Zawichoście, z wypadków towarzyszących upadkowi Kaffy, płynęły ku nam i falą dniestrową, i starym „Greckim Szlakiem“ t. j. wodami Dniepru, i wypaloną promieniami słońca powierzchnią „Pól Dzikich“, coraz to inne, a nowsze wieści o czynach gwałtu i ucisku któremi Turcy zaznaczyli pierwsze tygodnie swego panowania w Kaffie. Tłumy cudzoziemców padły pod mieczem zwycięzców. Samych wołoskich kupców, goszczących tam, ujęto wśród murów zdobytego miasta około 160, i wszyscy oni złożyli swe głowy pod mieczem tureckim na kaffeńskim rynku. Co nie wytępił miecz niszczyła sroższa odeń niewola. Kilkuset młodzieniaszków, dla sprośnych uciech sułtana wyrwano z łona rodzin i posłano do Carogrodu. Nie jedyny to był łup, gdyż cała flota złożona z siedmdziesięciu statków, obładowana bogactwami, zagarniętemi w owym nieszczęsnym grodzie, płynęła również do stolicy tureckiej... Co dwa wieki szczęścia, pracy, zapobiegliwości przysporzyło, to kilkodniowe rabunki i wywłaszczenia zniszczyły. Było to jedno z tych licznych starć Wschodu z Zachodem, jakie tylokrotnie niszczyły długowieczną pracę społeczeństw.

VI.

Ruina, brutalna przemoc, zdziczenie moralne, a nędza materyalna rozwielmożniły się i ustaliły odtąd nad śliczną zatoką Kaffeńską. Resztki tu i ówdzie rozproszonych ułamków napisów, rzeźb, kolumn, resztki olbrzymich umocnień, na szerokiej przestrzeni rozsianych, to jedyne dziś zabytki przechowujące dla badacza ślady potężnej ongi Kaffy. Miejscowa tradycya o jej potędze przedwiekowej wśród ludu oddawna zniknęła: lud tam napływowy a mało zasiedziały, ruchomy, niby fala morza, nad którego brzegiem obecnie frymarczy lub drzemie w gnuśnej kontemplacyi. Ze zburzonych zabytków średniowiecznego życia Kaffy, przechowała się do obecnej

chwili tylko jedna wieża w kształcie baszty, której mury wskazują jak pięknemi a silnemi były budowy Genueńczyków na Krymskich wybrzeżach. Wieża ta stanęła sumptem papieża Klemensa V., a zatem ku końcowi pierwszej połowy XIV. stulecia,[1] i jest do dziś wymownem świadectwem jak Rzym czynnie zapobiegał, aby zawiązki cywilizacyi zachodnio-europejskiej nie ginęły pod stopą hord najezdniczych, ze Wschodu ciągnących, aby romańska cywilizacya szerzyła się na tych dalekich pomorzach. Nie mogąc orężem, bronił on groszem, wpływem, zachętą do boju z dzikiemi tłumami.

Wychodźcy z Kaffy rozbiegli się po świecie. Pewna ich cząstka osiadła nad Bosforem, na przedmieściach Konstantynopola — byli to kupcy. Lecz wygnańcy wyższego wykształcenia chcieli odetchnąć na wolniejszej przestrzeni, mieć większą swobodę dla myśli i pracy, udali się przeto na północ — do Polski. Widzimy ich w Kijowie. Właśnie wtedy Gasztold, wojew. kijowski, wraz z tamecznym biskupem, Wojciechem Narbuttem, pracowali nad wytworzeniem szkół na zdziczałym, naddnieprzańskim ugorze — w Kijowie. Przybycie kilku wychodźców ze zburzonej Kaffy do Kijowa było rzeczą dla nich nader pożądaną; jakoż użyli ich do wykładów języka łacińskiego, greckiego i innych przedmiotów. Tą pracą pożyteczną spłacali oni dług gościnności, jaką ich Rzeczpospolita obdarzała.

Upadek Kaffy nie był jedyną klęską cywilizacyi na Krymskim półwyspie. I inne miasta i zamki genueńskie „nawet najwyższe“ — jak się Długosz wyraża — zostały wzięte po jej zdobyciu. Soldaja uporczywie broniła się, ale i ona padła, acz z chwałą, mieszkańcy jej zostali wytępieni... domy i kościoły, w których rozpaczliwie walczyli stały się ich grobem[2].

Wespół z niezależnością Kaffy upadł i nominalny protektorat Polski. Rząd Rzplitej nie ma już odtąd żadnych zobowiązań w obec Kaffy, niemniej jednak snać naród poczuwa się do obowiązków — pewna nić moralnego stosunku wciąż go łączy w ciągu wieków z tym nadmorskim, dalekim zakątkiem, otoczonym falą muzułmańskiej, fanatycznej dziczy.

---

[1] *Heyd*, opierając się na innych, przeważnie na prof. *Władysł. Jurgiewicza* pracach, i posiłkując się wydaniami źródeł włoskich.

[2] *Heyd*, T. II. str. 404.

W sferze polityki nić zobowiązań Inowrocławskich stargana, zapomniana, poszła na zagładę; w sferze duchownej Rzeczpospolita, i za Jagiellonów, i za Wazów, jest kolatorką biskupstwa Kaffeńskiego, a zgliszcza tego znakomitego *emporium* są celem wędrówki naszych misyonarzy — pieśń pobożna polska brzmi u Kaffeńskiej zatoki w czasach najbardziej wybujałego fanatyzmu muzułmańskiego, wśród dziedzin hanatu.

Zakon kaznodziejski Dominikanów, prawie wyłącznie z prowincyi ruskiej, nader zasłużonej dla wiary, wydaje ze swych szeregów, i bojowników wiary i biskupów dla Kaffy. Dziwnym zbiegiem wypadków, zanim Kaffa weszła z Polską w bliższe stosunki protektoratu, wcześniej nawet zanim Genueńczycy zdołali tam wytworzyć potężną swą kolonię, już biała szata polskiego Dominikanina powiewała u jej wybrzeży. Jacek Odrowąż, ów znany bojownik wiary — później kanonizowany — zakłada klasztor swego zakonu w Kaffie, w pierwszej połowie XIII. wieku. Był to niejako rzucony węgielny kamień przyszłej, tamecznej działalności, na misyjnem polu naszego duchowieństwa.

Działalność ta rozwija się już po upadku Kaffy. Przedtem, za dni pomyślności Kaffeńczyków, Stolica apostolska posyłała do nich ludzi z Zachodu: Włochów, nawet jednego Anglika. Po r. 1475 Rzplta przez zakonników polskich spłacać zaczęła Kaffie swe zobowiązania Inowrocławskie.

Źródła historyczne niewiele dają szczegółów, uwydatniających postacie pracowników polskich na polu kaffeńskiego kościoła, z okruchów zatem odtwarzamy bodaj blade i niewyraźne kontury.

Pierwsze kilkanaście lat po upadku Kaffy nie widzimy na jej popieliskach i świeżych jeszcze grobach polskich misyonarzy. Już jednak w r. 1493 Wojciech z Siecina, Dominikanin, otrzymuje bullę prekonizacyjną na biskupstwo kaffeńskie, którego snać nie piastował do zgonu, gdyż już r. 1506, a zatem na sześć lat przed śmiercią Wojciecha, zasiadł na tej stolicy mąż ducha apostolskiego Jan z Radziejowa. Godność kaffeńskich biskupów nie uważano u nas za tytularną *in partibus infidelium*, acz rzeczona owczarnia leżała wśród niewiernych, i częstokroć biskupi swej siedziby widzieć nawet nie mogli. Jeżeli więc z kaffeńskiej stolicy szedł który biskup na inne wyższe krzesło biskupie — opróżnione po nim miejsce zajmo-

wał nowy nominat. Skoro więc Jan z Radziejowa objął sufraganię gnieźnieńską, kaffeński pastorał dostał się do rąk Jakuba z Michowa herbu Lis, zwanego czasem Michowskim. Godnem jest zaznaczenia, iż zgliszcza Kaffy straciły nawet na jakiś czas dawną, światu znaną, nazwę. Turcy, ujarzmiwszy Kaffę, przestali ją nazywać, jak ongi, *Kuczuk Stambuł*, (mały Stambuł). Grecy, co tam się później osiedlili, aby małym frymarkiem się bawić, nazywali nową osadę, kleconą z ułamków dawnej, „Teodozya". Podobało się to nowym panom; Kaffa dziś nosi nazwę Teodozyi. Otóż i Stolica apost. w bullach często nowej nazwy używa, nie zapominając wszakże o dawnem „gminnem" nazwisku. Lud bowiem wszędzie i zawsze konserwatysta, nie mógł się rozstać z dawną nazwą i przechował takową aż do XVII. w., kiedy ona znowu wzięła górę nad nazwą wymyśloną przez Greków. Dla nas jednak nazwa nowa nie istniała: postaremu wiedziano tylko o Kaffie. W Jedrzejowie, w województwie Krakowskiem, w opactwie Cystersów, czytano w XVI. stul. na nagrobku Michowskiego, iż był biskupem „Kaffeńskim" [1].

W owej epoce już kroniki i akta urzędowe milczą o Kaffie — mówią o niej jednak często akta klasztorne, wspomnienia zakonu Kaznodziejskiego, ta nasza domowa, mało znana, a wszakże chlubna dla narodu martyrologia. Szereg biskupów kaffeńskich prawie bez przerwy ich wątku, możemy wyliczyć aż do epoki króla Michała, późniejsi bez zaprzeczenia również istnieli, ale ich ślady dotąd nie odszukane. Przyszłość odsłoni imiona i czyny pozostałych. Do kaffeńskiej infuły nie garnięto się, blasku dawała ona maluczko, na senatorskiej ławie jej dostojnicy nie zasiadali, a więc i skromni zakonnicy św. Dominika, co ją nosili, poszli w zapomnienie. Szczęśliwszy los był Cereteńskich (czyli Bakowskich) biskupów, pracujących na Wołoszczyźnie; ci, acz w pozycyi analogicznej z kaffeńskimi, wszakże od początku XV. wieku mieli miejsce swe w sejmie; pasterze kaffeńscy nie zasiadali nigdy u nas w izbie obrad, co jeszcze bardziej przyczyniało się do zatarcia śladów ich istnienia [2].

---

[1] Mówi nam o tem *Paprocki*, patrz. „Herby rycer. pol." wyd. 1858 r., iż w Jędrzejowie na kamieniu był wyrytu herb Lis, a pod nim napis: *Hic jacet Jacobus, haeres de Michow, episcopus caphensis. Obiit anno 1531.*

[2] Pierwszy ślad stosunków biskupów kaffeńskich, do Polski odnajduję

Od XV. stulecia do drugiej połowy XVI. ośm nazwisk biskupów Kafty Polaków, wskazać możemy: Wojciecha z Siecina, Jana z Radziejowa, Jakuba z Michowa, Rajmunda Charzewskiego († 1550), Feliksa (Casmurianus), († około 1554), Jędrzeja Nałęcz Gębickiego, który przed Łucką posiadał infułę Kaffeńską (w r. 1628), Zygm. Miaskowskiego († 1648) i Marcina Skempskiego († 1664).

Skromne wskazówki, jakie o nich się przechowały, wybitnie ich wyróżniają z grona innych, naszych biskupów — senatorów. Każde z tych imion upamiętniło się bądź to wiedzą wyższą, bądź wreszcie poświęceniem, a tego ostatniego najwięcej podobno potrzeba było dla Kaffy. Charzewski, Dominikanin, z powołania poświęcał się nauce (jak świadczy o tem ks. S. Barącz), opuścił jednak życie klasztornej pracy wśród ksiąg, zamieniając je na ciężką tułaczkę misyonarza po pustyniach, dzielących nad Tanaisem Europę od Azyi. Więcej niż 500 nawróconych pogan — to trofea jego pracy; a mitra ciernista w Kaffie — nagroda, a zarazem nowe pole bojowania. Złożył on swe kości pod południowem niebem Taurydy. Biskup Felix również przechodził ciężką drogę prac misyjnych, mianowany biskupem sufraganem Wileńskim, niedługo używał zasłużonego wczasu pod niebem Litwy.

Chociaż podajemy zupełniejszą listę kaffeńskich pasterzy, niż tego inni dokonać zdołali; niemniej jednak trudno nam zapełnić próżnię od czasów wspomnianego wyżej Feliksa do Miaskowskiego, współczesnego Władysławowi IV.[1]. Próżni tej nie zapełnia nawet

---

w małej wzmiance, zapisanej na jednej z kart rękopismu XV. wieku, będącego własnością niegdyś Sebastyana Petrycego, a obecnie od r. 1602 Bibliot. Jagiell. Akademii w Krakowie. Wzmianka ta, zapisana ręką pamiętnikarza jakiegoś XV. w. brzmi tak: „Item a. d. 1462, infra Octavas Corporis Cristi", (a zatem w dniach Inowrocławskich układów Kaffy z Kazimierzem Jagiellończykiem) „Reverendus in Xristo pater dnus epus de Kapha una cum capitaneo ejusdem civitatis, nec non dno generali ordinis s. Bernardini, pergentes Romam, constituti fuerunt in Cracovia"... Prawdopodobnie wzmianka ta tyczy się właśnie tych osób, które udział brały w poselstwie rządu kaffeńskiego do Jagiellończyka. (Patrz *Manuskrypt w Bibl. Jagiell. Vol.* 2569).

[1] Jul. Bartoszewicz wylicza zaledwie trzech biskupów kaffeńskich, o innych nie wie, domyśla się ich. Miaskowskiego jak widzimy, mylnie nazywa ostatnim kaffeńskim biskupem. (Patrz „Encykl. Powsz." *S. Orgerbranda*). W niniejszej pracy naliczyliśmy ich ośmiu. Przyszli badacze, nie wątpię, spis ten uzupełnią.

nazwisko biskupa Jędrzeja Gębickiego, który krótko dzierżył pastorał Kaffy i zbyt daleko, bo w W. Polsce zamieszkał, by go można do bardziej czynnych biskupów kaffeńskich zaliczyć.

Biskup Zygmunt Leliwa Miaskowski przebywał w pogranicznych dominikańskich klasztorach w województwach ruskich, gdzie w owe lata duch poświęcenia, męczeństwa za wiarę, płomienił się żywym blaskiem i oświecał szeregi zakonników św. Dominika ochotnie na śmierć idących. Miaskowski słynął ze swej nauki; i jako o teologu mówią o nim źródła historyczne, nie mamy wszakże wskazówek, by w Kaffie przebywał[1], snać był on wciąż biskupem *exulantem*, a zatem rządził rozproszoną, ubożuchną kaffeńską dyecezyą z pogranicza Rzpltej; na pograniczu też tem, w Kamieńcu Podolskim, życia dokonał na kilka miesięcy przed rozpoczęciem się burzy kozackiej. Zdziczałe tłumy, przez Chmielnickiego prowadzone w ciągu niewielu tygodni zamieniły w pustynię południowe okolice Rzpltej, z całą wściekłością rzucając się na Dominikanów, których topiono, krzyżowano, i bardziej niż inne zakony wytępiano. Pomimo tych uszczuplonych szeregów, misye szły do Kaffy, acz rzadsze, i nawet jeden z takich misyonarzy, Dominikanin, Marcin Skempski, był już podczas doby walk Chmielnickiego kaffeńskim biskupem.

Poza biskupami, w stosunkach Polski z Kaffą, szczególną naszą uwagę zwracają owi, pełni poświęcenia cisi pracownicy, którzy stawali nad Kaffeńską zatoką, czyniąc zadość własnemu natchnieniu. Pożytek ich prac misyjnych przenosił swą doniosłością prace biskupów, którzy często z Polski rządzili, nie widząc Kaffy: ale ci nieznani, cisi pracownicy to, zaiste, nić prawdziwa stosunku Polski z Kaffą. Jeśli Rzeczplita wypłaciła dług swych zobowiązań wobec owej dalekiej, genueńskiej kolonii, to wypłaciła go jedynie ich dłonią. Tymoteusz Makolnicki z bratem Aleksym, Dominikanie — misyonarze — w pierwszych latach rządów ostatniego z Wazów zdobywają tam wziętość niemałą, czczą ich ukryci, nieliczni wyznawcy Chrystusa, uwielbiają brańcy i niewolnicy, szanują władze muzułmańskie. Islam stracił był wówczas na ostrości fanatyzmu, postaci zaś Makolnickiego, pełnego zapału religijnego, poświęcenia, apostolskiego za-

[1] *Niesiecki*, (T. III. str. 247, wyd. 1740 r.) Mówiąc o Z. Miaskowskim nic nie wie, że był biskupem w Kaffie.

parcia się siebie, budzi cześć wśród zwierzchności tatarskiej. Makolnicki używa u Tatarów takiej wziętości, iż nie w ukryciu, ale publicznie, odprawia nabożeństwa, głosi nauki po ormiańsku, śpiewy, godzinki i różańce odmawia po polsku. W XVII. wieku brzmi pieśń polska religijna wśród gór otaczających przeźrocza wód kaffeńskich, brzmi na rynku ubożuchnego już wówczas grodu, wśród ruin i zgliszcz dawnej jego potęgi — tam bowiem Tymoteusz Makolnicki odbywał swe publiczne, różańcowe procesye, tam niósł słowo pociechy, umocnienia w wierze, słowo nadziei jeńcom i resztkom chrześcijan miejscowych.

Podczas jednej z takich procesyj, wśród ulic Kaffy, Tymoteusz Makolnicki padł rażony apopleksyą. Ostatnie wyrazy hymnu do Bogarodzicy, ostatnią zajęły chwilę tego żywota bliźnim poświęconego. Pamięć jego długie przetrwała lata, nie zgasła wśród mas kaffeńskiej ludności, przechowała się w rocznikach dominikańskich[1]; podczas gdy imiona innych, poprzedników, bądź naśladowców Tymoteusza Makolnickiego, uległy zapomnieniu. Nic dla ziemskich blasków nie czyniono, acz ziemia owoce zbierała z ich prac...

Ostatnim znanym Polakiem mającym stosunki z Kaffą był Marcin Skempski, później nader gorliwy biskup Kijowski. Poza nim już cisza w dziejowych wskazówkach o kaffeńskich pasterzach. Godność owa tak dalece nominalną się staje, iż w rocznikach zakonu Dominikańskiego nie masz o niej wzmianki. Od Kaffy już odgradza Rzpltę przy końcu XVII. w. i na początku XVIII., nie tylko hanat tatarski, jak dawniej, ale zdziczała, w pustynię zamieniona, przytuliskiem łotrzyków będąca Ukraina. Przedrzeć się przez te ruiny świeżych zniszczeń również trudno było wtedy dla misyonarza, ba, może trudniej, niż przez koczowiska Tatarzyna. Najdalej ku południowi wysunięty posterunek Dominikanów, miejsce wypoczynku dla tych „braci pielgrzymujących“, co obyczajem dawnym szli na

[1] Porównać: *Rys dziejów Zakonu Kaznodziejskiego w Pol.*, przez *S. Barącza*. T. II. str. 56, 57, 62, 69 i inne; również T. I—X. Barącz, acz podaje bisk. Charzewskiego, jako profes. Jagielloń. akademii — jednak nader oględnie należy przyjmować to twierdzenie. Spis profesorów Jagiellońs. akademii, ułożony p. uczonego bibliografa Dr. Wł. Wisłockiego, nie zawiera takiego nazwiska. Może Charzewski był profes. u Dominikanów w Krakowie, lecz w Jagielloń. akademii nie zajmował katedry.

zatracenie do niewiernych — klasztorek u pierwszego progu dnieprowego, w Kudaku, — uległ już był oddawna zagładzie; niemniej i w one dni ciężkie, przy warunkach coraz uciążliwszych, spełniano swą powinność, spełniano ją tak długo, póki migotało jeszcze chociaż słabe światełko w gasnącej lampie istnienia Rzpltej. Nie zrzekano się nigdy kolatorstwa Rzpltej na biskupstwo kaffeńskie, acz ono ze zwyczaju się wytworzyło, i żadnemi umowami nie było określone, przedłużano ów prastary stosunek, zawiązany ongi w Inowrocławiu, dłonią Kazimierza Jagiellończyka, stosunek moralnego a uczciwego wpływu; przedłużano ów stosunek do ostatniego prawie tchnienia, jeżeli nie państwa Jagiellonów, to do ostatnich dni istnienia hanatu. Było to bezwiedne spełnianie misyi dziejowej i przedłużanie prastarej polityki opartej na cnocie, polityki w zastosowaniu praktycznem nie zawsze udolnej, ale zawsze uczciwej. Polityka jaką rządziła się Polska, nie wytworzyła państwa o silnej spójni, o zrębach, mogących się oprzeć wichrom i burzom dziejowym; inne tego przyczyny i nie tu miejsce je roztrząsać. Ale polityka ta z cnotą i wiarą rozejmu nie brała, i dlatego to okoliczne ziemie cisnęły się pod skrzydła Wawelskiego ptaka, dlatego na grobach wspomnień naszej ojczyzny porasta bluszcz dobrej pamięci.

Maryan Dubiecki.

Z ROCZNIKÓW MĘCZEŃSKICH W ANGLII.

(Ciąg dalszy.)

W rocznikach angielskich z owej epoki nieraz przychodzi spotykać się z przykładami dzielności i wierności niewieściej, nie zawsze aż do przelania krwi, zawsze do poświęcenia i męstwa w dopełnianiu chrześcijańskich powinności, i ułatwianiu tychże bliźnim. W ich liczbie na osobną wzmiankę zasługują dwie pobożne siostry, wysokiego rodu, córki lorda de Vaux; jedna z nich wdowa, nazwiskiem Eleonora Brooksby, druga dziewica Anna de Vaux. Obie, na wzór Marty i Maryi, do których je przyrównywano, podejmowały ochotnie w domu swoim wysłańców Zbawiciela, kapłanów bożych, u nich to przez czas dłuższy chronił się sławny męczennik, superyor misyj Jezuickich, Ojciec Garnet, najniewinniej o udział w spisku prochowym posądzony i okrutnie a sądowo zamordowany. Jeden z kapłańskich gości owych szlachetnych niewiast, tak opisuje prostemi słowami, codzienne prawie emocye, jakie kapłani i ich opiekunowie przechodzili. Doniesiono np., że siepacze się zbliżają, że już dom otoczyli: „W jednej chwili różańce, kielichy, przybory mszalne, wszystkie przedmioty pobożności, i kilku wiernych chowają się i chronią do tajemnego lochu. Pani domu w innej zataja się skrytce. W tych bowiem okazyach, młodsza, niezamężna siostra wychodziła naprzeciw *Pursuivant'ów*, (siepaczy) i uchodziła za właścicielkę domu. Do wszystkich bowiem utrapień podobnych napaści dodać należy i to, że trzeba długie prowadzić rozhowory z ludźmi, których zaspokoić byle jaką odpowiedzią trudno. To zaś owa młoda niewiasta umiała z taką roztropnością

i zręcznością spełniać, iż zawsze ich natrętności i wielomówstwu dała radę. W zwykłym czasie uderzała w niej skromność i cichość dziewicza, wszelako w sprawie Bożej, w obronie sług Bożych, *virgo* przekształcała się na *virago*. Zawsze niemal chora, nieraz tak osłabiona, iż trzech słów bez dotkliwego cierpienia wymówić nie była zdolną, tak odzyskiwała siły na widok siepaczy, iż po trzy, cztery godziny z nimi się umawiała bez omdlenia. Wtedy tylko bywała zatrwożoną gdy żadnego w domu nie było kapłana. Byle czuła obecność Bożego sługi pod dachem swoim, już się niczego nie lękała, w upewnieniu, iż szatan żadnej już mocy nad domem nie ma. I w istocie, cudowne zaiste w owych rewizyach i przetrząsaniach ujawniały się przykłady. I tak np. jeden z siepaczy wziął w rękę srebrną puszkę, w której zwykle z miejsca na miejsce przenoszonym bywał Najśw. Sakrament, poczem położył ją napowrót, niczego się nie domyślając. Inny przerzucając wszystkie rzeczy, nie tknął się złożonej kosztownej dalmatyki. Nie skończyłbym, chcąc przytaczać wszystkie zdumiewające fakta zaszłe podczas różnych z kolei rewizyj... Nawet dzieci w tym domu błogosławionym dziwnie były zaprawione do obrony spraw i sług Bożych. Jedenastoletnia Franusia, siostrzenica owych zacnych niewiast, od lat najmłodszych zaprawiona do szanowania tajemnic wiary, nieraz potrafiła dziecinnym zmysłem ocalić ukrytych w domu kapłanów i zgromadzonych wiernych. Zdarzyło się pewnego razu, iż podczas Mszy, usłyszano zgiełk zapowiadający napaść siepaczy. Ksiądz polecił od ołtarza pani domu, aby wyszła zobaczyć co się dzieje. Udała się tedy pani Brooksby w towarzystwie dziewczynki do głównej sieni, gdzie, przez niedopatrzenie odźwiernego, już siepacze byli wtargnęli, wydobytemi grożąc szablami. Widząc to dziecię, zawołało: „Zlitujcie się, włóżcie wasze pałasze do pochwy, bo matka moja umrze, nie może bowiem znieść widoku nagiego żelaza“. Oficerowie spostrzegając mieniącą się twarz pani domu, usłuchali zaklęcia dziewczynki, która nie tracąc przytomności pod pozorem, że przyniesie wina dla mdlejącej matki, wybiegła pośpiesznie, drzwi za sobą zatrzaskując, ostrzegła księży, pomogła ich ukryć, poczem wróciła pewna już, iż siepacze nikogo nie znajdą.

Innym razem jeden z żołdaków chcąc postrachem wymódz na dziecku aby wskazało tajemne w domu kryjówki, pochwycił ją za rękę i groził, iż jeśli nie wyda schronionego u nich kapłana, na-

tychmiast ją przeszyje pałaszem, przyczem ostrze żelaza już do jej serca przykładał. Ona, mimo młodych lat nieustraszona, odparła śmiało: „Jeśli się na to odważysz, zaiste nigdy goretszej krwi nie utoczysz". Widząc, iż grozą śmierci jej nie zwalczy, siepacz ów ofiarował sto funtów szterlingów, aby mu oddano odważną dziewczynkę, którą chciał oddać pod opiekę londyńskiemu biskupowi, gdyż jak twierdził, szkoda jej było dla papieżników.

Starcy, jak np. sędziwa matka prowincyała angielskich Jezuitów O. Persons'a nie ustępowała w niczem młodym co do gorącości ducha, a przezornością ich przewyższała. Gdy po zasłużonym żywocie przeszła do lepszego, znajdujemy w zapiskach ówczesnych wyraz radości, iż Bóg wyzwolił ją nakoniec z ciągłych niebezpieczeństw.

Trudno się oderwać od tych budujących i rzewnych zapisków. Zastanówmy się jeszcze nad losami rodziny Vavasour, jednej z najprzedniejszych w Anglii, skoligaconej z największemi domami królestwa. Dr. Tomasz Vavasour, człowiek uczony, poważny i pobożny, już pod rządami króla Edwarda VI. musiał się przed wrogami prawdy ukrywać. Za Elżbiety szeryf miasta Yorku, złupił cały dom niemiłosiernie, nie zostawiając jednego stołka, ani nawet poduszki dla dziecka. Po kilku latach powtórzyła się podobna napaść, przez trzy dni i trzy noce siepacze nie odchodzili z domu, tak iż żona Tomasza Vavasour, Dorota, bądź z powodu zalęknienia bądź z braku snu, odeszła od zmysłów i wydawało się, że zwaryowała. Dowiedziawszy się o tem małżonek, dobrowolnie wyszedł z ukrycia i oddał się w ręce siepaczy, którzy go do więzienia uprowadzili. Po niejakim czasie dozwolono mu powrócić do żony, za wstawieniem się Lady Huntingdon, małżonki okrutnego prześladowcy katolików w tych stronach. Pani Vavasour odzyskała przytomność wraz z powrotem umiłowanego męża. Ale niedługo ta chwilowa trwała pociecha. Rozkazano panu Vavasour zamieszkać w mieście, pod ścisłym dozorem gospodarza domu, który go trzymał poniekąd w więzieniu. Rozmowy jego i nauki takiego nabrały rozgłosu i wpływu, iż lękano się, aby całe miasto na jego słowo nie nawróciło się do katolickiej prawdy. Odesłano go tedy do Hall, gdzie w miejscowej warowni nie brakło wyznawców wiary na okrutne wystawionych obchodzenie. Opatrując rany sędziwych, wespół

z sobą uwięzionych kapłanów, zaraził się, a mimo ciężkiej i długiej choroby nie mógł uprosić, aby dozwolono kochającej żonie mieć o nim odpowiednie staranie. Nareszcie dobrem sercem ofiarę całego życia uzupełnił, umierając w więzach tak długo dla miłości Chrystusa ponoszonych.

Żona jego, Dorota Vavasour, godną była towarzyszką dzielnego wyznawcy. Zrazu doznane prześladowanie oddziałało na mózg jej, i ciężko zachorowała. W tem nieszczęściu uczyniła sobie postanowienie odprawiać codziennie oficyum do Najśw. Panny, — i odzyskała wnet zdrowie ciała i ducha. Odtąd dom jej w Yorku był przystanią i ucieczką wszystkich uciśnionych katolików, wiadomym przytułkiem i schronieniem kapłanów. W dniu Wniebowzięcia Najśw. Panny 1578 r., zgromadziła się u niej garstka wiernych dla wysłuchania Mszy św. Zanim się rozpoczęła przenajświętsza Ofiara, siepacze wpadli niespodzianie, porwali do więzienia księdza i obecnych katolików, samąż Dorotę Vavasour powołując przed sąd kacerskiego biskupa z Yorku, przed którym śmiało wyznała swą wiarę. Po siedmioletniem więzieniu, wycierpiawszy wiele dla Chrystusa, umarła pani Vavasour w więzach za najświętsze swe przekonanie.

Nieraz używano niewinnych dzieci za środek zdrady lub też pokusy, wyzyskując np. macierzyńską za niemi tęsknotę, aby opór uwięzionych przełamać. Atoli bywało, że i nieletnie dziatki umiały dzielić zasługi starszych wyznawców, i godne były zakosztować roskoszy cierpienia za wiarę. Piękny tego przykład znajdujemy w rodzinie dobrze katolickiej sprawie zasłużonej — Warthingtonów. Dom ten spokrewniony z sławnym kardynałem Alten, który był osią i opatrznością utrwalającego się w Anglii i poza jej granicami życia katolickiego, dostarczył niemało sług kościołowi, kilku Jezuitów, i cały zastęp pobożnych zakonnic. Dzieci tego domu ciężkie przechodziły próby. Było ich czterech braci: Tomasz, Robert, Ryszard i Jan; najstarszy miał zaledwie lat szesnaście, najmłodszy nie doliczał dwunastu. Bawili oni, wraz z stryjem swoim, księdzem Tomaszem Warthington w domu niejakiego pana Sankcy. Uprzedzony o obecności młodzianów szeryf miejscowy, nagle dom otoczył i wszystkich czterech pochwycił. Stryja ich wszelako nie odnale-

ziono, ponieważ pospieszył był z ostatniemi pociechami religii do łoża chorującego opodal śmiertelnie katolika.

Zaraz na wstępie przeróżne wylękłym chłopcom stawiano pytania, — kiedy ich stryj pożegnał, gdzie się udał, czy słuchali Mszy św., czy rodzina postanowiła ich wysłać na wychowanie do jakiego papieskiego seminaryum i t. p. Nareszcie postanowiono stawić ich przed osobną komisyę, w której skład wchodzili: hrabia Derby i pseudo-biskup z Chester. Najmłodszego Jana morzono głodem, potem przed samem powołaniem przed sąd, dano mu wina, aby od upojonego wyciągnąć potrzebne wyznania. Podstęp nie udał się; owszem pacholę użalało się przed hr. Derby na tę niecną zasadzkę. „Domyślam się, że mnie chcieli spoić, ozwało się w końcu bystre pacholę, ale z łaski Boga jestem dotąd zupełnie *compos mentis*, choć zanadto się czuję chorym, abym mógł jak należy odpowiadać Waszym Miłościom".

Zaczem powołano najstarszego brata, próbując go zniewolić pochlebstwem i obietnicami. „Nie potrzebujesz wiary twej porzucać ukaż się tylko w zborze, nakłoń ku temu braci, a przyszłość waszą tem zapewnisz". Hrabia Derby przyrzekał ich zaliczyć do grona swych paziów; atoli pobożny młodzian odrzucił z wstrętem owe pokusy, i jak się nie dał olśnić świetnemi obietnicami, tak samo nie uległ omamieniu pod sofizmatami rzekomego biskupa. Podobneż odpowiedzi co najstarszy, dali młodsi bracia, tak, iż zaprzestano badać ich publicznie, aby zgromadzone tłumy nie mogły mówić słusznie, iż dzieci pokonały sędziów. Stałość tych pacholąt do żywego obruszyła zwłaszcza kacerskiego biskupa. To też skoro jakiś człowiek, nazwiskiem Bull, zapewnił, że opór ich zwalczy, byle mu pozwolono używać chłosty, rzekomy biskup upoważnił go do tego, owszem napomniał, aby nie szczędził rózg, byle zmusić oporne dzieci do poddania się woli królowej. Dobrowolny ów oprawca wszedł tedy nazajutrz do izby zamieszkałej przez dzielnych chłopców, a niósł w ręku wiązkę długich i cieniutkich rózg. Zagadnął najprzód starszego: „I cóż mi powiesz, Tomaszu, czy pójdziesz do zboru uczestniczyć w modlitwach?" — „Wczoraj dostateczną w tej mierze odpowiedź dałem". — „Dziś może dasz inną!" — krzyknął ów niegodziwy człowiek, i wyciągając z łóżka na podłogę biednego chłopca, wysmagał go okrutnie, wciąż napominając, aby dał młodszym dobry z siebie przy-

kład. Ale młodzian mimo razów wciąż powtarzał, iż mu się nie godzi uczestniczyć w kacerskich modłach i nabożeństwach.

Zaczem i drugi brat podobnie i z podobnym skutkiem został skatowany. Młodsi stali już w pogotowiu, gdy nagle oprawca zmienił plany, starszych rozkazał osobno zamknąć, młodszych zaś uprowadził z sobą; Roberta umieścił u jakiegoś fanatyka Holendra, Jana zaś oddał na dwór biskupi.

Ten ostatni może na najsroższą został wystawiony pokusę, tak z powodu dziecinnego wieku, jak i ze względu na łaskawość jaką mu okazywano. Biskup we wszystkiem mu ustępował, czego zażądał było mu danem, zasiadał przy jego stole, śpiewał i grywał na instrumentach muzycznych, z wielką uciechą dworzan. Usiłowano zniewolić chłopca do zgwałcenia wielkiego postu i skosztowania mięsa — ale daremnie. — „Czemu odmawiasz przyjąć zdrowego pożywienia?“ pytał biskup, „alboż nie widzisz że ja jem mięso?“ — „Zapewne odrzekł chłopczyna, bo Wasza Miłość jada co tylko podadzą“. Uraził się biskup szczerotą dziecka, i odesłał go do stołu czeladzi, a przekonawszy się niebawem, iż go nie przemoże, odesłał go do Manchester, gdzie ponownie do starszego brata przyłączony, podzielił jego więzienie. Najstarszy Tomasz, wraz z najmłodszym Janem potrafili z pomocą pewnego katolika uciec z więzienia. Rozgniewany przez to biskup tem większych dołożył starań by podbić Roberta Warthington. Ale nad losem chłopięcia czuwali dzielni katolicy. Dwóch katolików dowiedziało się, kiedy Robert udać się ma do Chester, i z tej sposobności postanowili skorzystać. Dosiedli tedy dzielnych rumaków, a spostrzegłszy chłopca idącego pieszo pod strażą tylko jednego dozorcy, weszli z dozorcą w rozmowę, traktując go w poblizkiej karczmie. Gdy później nasi jeźdźcy zdybali po drodze spotkanych poprzednio wędrowców, a jeden od niechcenia zapytał dozorcy, azali nie pozwoli znużonemu drogą chłopcu, trochę konno się przejechać. Dozorca raz i drugi pozwolił nie domyślając się zdrady. Aż oto pod wieczór mniemany przyjaciel, który dotąd zwolna i stępo obok dozorcy jechał, spiął nagle konia ostrogami, wołając: „Do widzenia, dobry człowieku, zwalniam cię z odpowiedzialności, powiedz twemu panu, że jadę prosto do stolicy“. I oddalił się cwałem.

Oczywiście zawzięci kacerze nie szczędzili kosztów i zachodów aby ponownie dzielnych chłopców pochwycić. Ukrywających się

w domu pewnego znajomego szlachcica w innej okolicy, siepacze złowili po dwa razy, zawsze jednak udało się jeńcom z rąk ich wyrwać. Raz tylko starszego, Tomasza, na czas dłuższy powtórnie wtrącono do więzienia, wraz z jego imiennikiem i stryjem ks. Worthington, który się dostał do Toweru, a później po dłuższym w podziemnych lochach zamknięciu, skazany został z dwudziestu innymi kapłanami na wygnanie. Ostatecznie wszyscy czterej bracia wraz z stryjem znaleźli się na gościnnych wybrzeżach Flandryi. Najmłodszy Jan, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, aby później na tej samej ziemi pracować, gdzie jako dziecię cierpiał za wiarę. A i stryj jego, ks. Tomasz, zaliczył się w poczet synów św. Ignacego, który niemało w rodzinie Worthingtonów zdobyć sobie miał ochotników.

Wśród wielu świątobliwych Jezuitów, którzy wówczas dobrej sprawie w Anglii służyli, wybierzmy pociągający wizerunek Ojca Ryszarda Blount, prowincyała misyi angielskiej, po umęczeniu Ojca Henryka Garneta w 1606 r. Ojciec Blount podzielił tę część winnicy Pańskiej na dwanaście części, czyli idealnych, bo nie istniejących kolegiów, aby sobie ułatwić administracyę i rozsyłanie misyonarzy w różne okolice Anglii. Jak pomyślnie zarządzał powierzoną sobie prowincyą, dowodem jej rozwój nadzwyczajny. Z dziewiętnastu Jezuitów, których zastał na misyi angielskiej, liczbę ich podniósł niebawem do 109, a drugie tyle na kontynencie sposobiło się do trudów apostolskich, i coraz to nowe powstawały kolegia zagraniczne, istotne ule, skąd wyrajać się po kolei mieli nowi a gorliwi misyonarze.

Ojciec Ryszard Blount pochodził z bardzo znakomitego domu, łączącego się z włoskim rodem Biondich. Tytuł lordów Mountjoy dziedzicznym był w rodzinie Blount'ów. Ryszard kształcił się w Oksfordzie, zaczem mając blisko lat dwadzieścia udał się do Rzymu, aby tamże w 1584 r. wstąpić do angielskiego kolegium i odbywszy studya teologiczne, święcenia kapłańskie otrzymać. Następnie jakiś czas bawił w Hiszpanii, gdzie bliższe zawarł stosunki z kolegiami Ojców Jezuitów, choć sam był jeszcze świeckim księdzem. W r. 1591 sławny z czynnej gorliwości Ojciec Persons zarządził liczniejszą wyprawę duchowną do Anglii. Naraz bowiem dwudziestu kapłanów miało do tych niegościnnych przybić brzegów. Udano ich za marynarzy angielskich, niegdyś wziętych w niewolę, a dziś przez admi-

ralicyę Hiszpańską zwróconych. Tak się ściśle przejęli swą rolą, tak wtajemniczyli w szczegóły wyprawy do jakiej rzekomo należeć mieli, iż wylądowawszy w Anglii, aczkolwiek badani przez admirała Angielskiego, na wszystko zadowalniające potrafili dać odpowiedzi, i bez żadnych podejrzeń wolno puszczeni zostali. Sztuczka ta później doszła do uszu wielkiego prześladowcy katolików, ministra Elżbiety, lorda Burghley, zapóźno jednak aby pochwycić przybyszów.

Natychmiast rozbiegli się oni na różne strony. Ryszard Blount znalazł schronienie i bezpieczną opiekę w zamku Scotney, należącym do znakomitej rodziny Darrell'ów. Przez pierwszych lat pięć misyonarskich w Anglii trudów, pozostał świeckim księdzem, potem dopiero prosił o przyjęcie do Towarzystwa Jezusowego. Nowicyat odprawił wśród apostolskich zabiegów i niebezpieczeństw. Nareszcie w dniu 8 września 1598 r. doczytujemy się w liście Ojca Garneta do rzymskich przełożonych. „Dziś w święto Narodzenia Matki Boskiej, Ryszard Blount skończył dwuletnią probacyę.“ Zdumiewającą zaiste było rzeczą, iż ten zakonnik, który nowicyat swój odprawił samotnie, na misyach nieustających, i przez wszystkie pierwsze lata zakonnego życia nigdy nie mieszkał w żadnem kolegium swych współbraci, — gdy później jako wice-prowincyał wizytował domy zakonne na kontynencie, najmniejszej nie znalazł trudności w zastosowaniu się do wspólnego życia, owszem najdrobniejsze nawet praktyki z najściślejszą wypełniał akuratnością. Dowodem to wielkiej mocy i siły złożonej w duszy prawdziwego zakonnego powołańca.

Przygody O. Blount niewiele różniły się od przygód jego współbraci. Siepacze raz po raz przetrząsali zamek, w którym znalazł gościnne przyjęcie, ale znaleść misyonarza nie mogli. Raz w nocy koło świąt Bożego Narodzenia dał się słyszeć zbyt głośny hałas; zbudzony nim O. Blount, skoczył zaraz ze swym sługą, na wpół ubrany, do kryjówki w kamiennym murze zrobionej, unosząc z sobą nieco książek i przyborów kościelnych.

Pana Darrell'a właściciela zamku właśnie wtedy w domu nie było, panią z dziećmi siepacze w osobnej zamknęli komnacie, a sami rozgościli się w reszcie zamku przez całych dni dziesięć, wciąż szukając a nic zgoła nie znajdując. Ojciec Blount i jego to-

warzysz nie mieli z sobą nic więcej jak bocheneczek chleba i małą butelkę wina.

Po upływie owych dni, pani Darrell zdołała raz po raz wydobywać się z swej komnaty, a przechadzając się wokoło zamku, zaszła od niechcenia i w okolicę owej kryjówki, gdzie z trwogą ujrzała przytrzaśnięte a wystające zza drzwi tajemnych *cingulum*, czyli sznur na albie podczas Mszy św. noszony. Natychmiast nożyczkami odcięła wiszący na zewnątrz sznurek, nie dość jednak blisko, aby wystający kawałeczek nie mógł wydać wszystkiego. Szepnęła więc: „wciągnijcie sznurek“, co natychmiast podchwycili baczni na wszystko siepacze, i jęli śledzić znaczenie jej wyrazów. Tłumaczyła się, iż chcąc do innego przejść pokoju, wołała na służbę, aby jej drzwi otworzyli, za pomocą sznurka podnoszącego klamkę, ale odpowiedź ta nie zadowolniła siepaczów, jęli pilnie opukiwać ściany podwórka, nieraz bijąc w sameż kamienne drzwi kryjówki, które jednak tak misternie były urządzone, iż nie wydawały odmiennego odgłosu, wszelako, od ciągłych w mury uderzeń, już się kamienie zaczynały osuwać, i schowani wewnątrz musieli całą siłą wstrzymywać ulegające drzwi, własnemi barkami je podpierając, kiedy coraz większe szczeliny, pozwalały już uwięzionym spostrzegać światło pochodni napastników.

Na szczęście noc ciemna zapadła, deszcz lunął rzęsisty, z dachów jak z cebra woda na siepaczy spływała. Postanowili do jutra uciążliwą odłożyć robotę, a tymczasem przy dobrem ogniu rozgrzać się, osuszyć i zapić sprawę.

Korzystając z grubego mroku i słoty, Ojciec Blount postanowił wyjść z ukrycia, najprzód tedy wyprawił towarzysza swego, a następnie sam wyszedł. Boso, obydwaj przedarli się przez wysokie mury, stanęli nad fosą ośmnaście stóp szeroką, a tak głęboką, że wbród jej przejść nie było podobna. Cienki lód ściął był wodę. Ojciec Blount zamierzał przepłynąć fosę, unosząc z sobą wiernego towarzysza. Atoli czując się osłabionym tak niepomiernie długim postem, kazał mu iść na inne miejsce, gdzie bród był możliwy, sam zaś, wskazawszy towarzyszowi dom pewnego w sąsiedztwie katolika, gdzie się zejść mieli, dostał się na drugi brzeg.

Nie mogąc jakoś trafić do miejsca wskazanego przez Ojca Blount'a, ów człowiek śmiało wszedł do sieni, gdzie się banda sie-

paczy ogniem i trunkiem zagrzewała, a wołając, że złodzieje są w stajni, tak nagle przebudzonych wystraszył, iż wszyscy wybiegli konie ratować. Korzystając z tej chwili, przedarł się za mury, i niebawem nadybał błąkającego się jeszcze w pobliżu Ojca Blount'a, który nieświadomie nawrócił był ku zamkowi. Razem udali się do chaty pewnego zaufanego sługi Darrell'ów, który ich ubrał w szaty wieśniacze, i obuł w grube chodaki poranione nogi zakonnika. Tejże nocy uszli czternaście mil angielskich, po kolana nieraz brodząc w błocie i nie schodząc z gościńca, aby w ciemności nie zbłądzić. Nad ranem doszli do domu pewnego katolickiego szlachcica, gdzie Ojciec Blount przez kilka tygodni ciężko chorował mimo najtkliwszych starań. Dla lepszej opieki lekarskiej przewieziono go później do Londynu, ale już przez resztę życia nie opuszczały go dotkliwe bóle, skutkiem długiego w kamiennej kryjówce pobytu.

Oczywiście, po takich przejściach, dłuższy pobyt w zamku Darrell'ów stał się dla Ojca Blount'a niemożliwym. Inne znalazł schronienie, u pewnej znakomitej pani, której dom do końca życia główną pozostał jego siedzibą. Nauczony atoli doświadczeniem, tak ścisłą w tej mierze zachował tajemnicę, iż choć przez lat czterdzieści był w Zgromadzeniu, a przez dwadzieścia jeden superyorem w Anglii, choć pisał i odbierał nieprzeliczone mnóstwo listów, nie został najmniejszy ślad, najdrobniejsza poszlaka co do jego zwykłego siedliska. Mówią, iż ówczesny kacerski arcybiskup z Canterbury, powiadomiony został o miejscu pobytu Ojca Blount, ale nie zrobił użytku z tej informacyi, przez pamięć na lata wspólnie w Oksfordzie przepędzone, oraz przez wzgląd na osobę, u której Ojciec Blount znalazł schronienie. Tyle wiemy, iż i tam jednak raz po raz bywały rewizye, że i tam wśród czeladki znalazł się zdrajca i donosiciel. Ale Ojciec Blount takie zachowywał ostrożności, iż przez całych lat piętnaście nikt z służby go nie zobaczył, bo nigdy z domu nie wychodził, ani doń nie wracał inaczej jak w nocy. Rzadko zresztą opuszczał miejsce stałego pobytu, i to tylko w razie wyraźnej potrzeby i ważnej sprawy. Gdy go naglono aby gdzie poszedł, inaczej niż z misyjnych powodów i konieczności, odpowiadał zawsze: „Jeśli mam być schwytanym, niech nim będę jako kapłan nie zaś jako próżniak".

Listy jego do Ojca Persons najlepiej malują ówczesne katoli-

ków położenie. W r. 1600 pisał: „Prześladowanie nigdy nie było gorętszem, a choć może mniej jest krwawem, aniżeli w minionych latach, ze względu na złagodzenie obyczajów, ucisk bodaj nad śmierć bywa sroższym. Zabolałyby wasze serca na odgłos powszechnych narzekań tych nieszczęśliwych rujnowanych opłatą 20 funtów miesięcznie, którym, gdy nie mają środków uiszczenia się, zabierają nawet łóżka, na których śpią, garnki, w których gotują, dopóki wszystkiego do szczętu nie zabiorą. Cierpliwość katolików wielce buduje, a los ich nawet u przeciwników wiary budzi współczucie". W r. 1605 donosi dwukrotnie: „Co do stanu religii, to sprawdza się łacińskie zdanie: *Semper deterior posterior dies.* Śmierć Elżbiety nie przyniosła bowiem spodziewanej ulgi. Syn Maryi Sztuart, Jakób I. zawiódł nadzieje katolików, a uprzedzony wcześnie przeciw papistom, okrutniej ich jął ciemiężyć". List Ojca Blount z r. 1614 maluje położenie uciśnionego w Anglii Kościoła: „Myślę, że macie szczegóły o tem, co się tutaj dzieje. Stan katolików jest opłakanym. Wielu codziennie odpada. Stojący wytrwale, tracą wszystko. Księży wciąż aresztują, liczba zaś uwięzionych duchownych i świeckich tak jest wielką, iż strach aby z głodu w niewoli nie pomarli. Wiem np. o dziewięciu kapłanach, którzy, nie będąc w stanie opłacać dozorcy więziennemu niektórych ulg, pospołu są zamknięci z zwykłemi przestępcami, bez ognia, mimo ostrej zimy, bez żadnego zgoła posłania, i z ciężarem stofuntowych kajdan na nogach. Jeden z nich już umarł, drugi umiera, kilku innych jest chorych".

Pociechą w tych ciężkich próbach były nawrócenia, których dzielnemu pracownikowi nigdy w nagrodę jego trudów nie brakło. W ich liczbie wymieniają wielkiego podskarbiego koronnego, hrabiego Dorset, dalej pewnego oksfordzkiego dygnitarza, a może nawet samąż królowę Annę, żonę Jakuba I. Liczne atoli zdobycze dokonane za wpływem i słowem Ojca Blounta, nie mogły ukoić bliższego sercu jego smutku, o dusze własnej sprotestantyzowanej rodziny. Siostrę wprawdzie miał katoliczkę, ale braci nie potrafił wzruszyć. Najstarszy pisywał doń nawet przyjazne listy, nigdy go jednak widzieć nie chciał. Ojciec Blount na rok przed własnym zgonem zaniósł prośbę do tronu, aby mógł być uwięzionym w domu brata, ale snadź na tę dziwną petycyę nie otrzymał odpowiedzi.

Umarł za panowania Karola I. w 1638 r., mając lat przeszło siedmdziesiąt cztery. Surowość z jaką przestrzegał postu czterdziestodniowego przyczyniła się podobno do przyśpieszenia jego końca. Pogrzeb miał równie wyjątkowy jak życie całe. Katolicy nie mieli już nawet własnych cmentarzy. Kapłan, który ich na śmierć sposobił, kładł poświęconą grudkę ziemi do trumny, odmawiając zwykłe pogrzebowe modlitwy, poczem pospołu grzebano umarłych różnych wyznań na jednem polu spoczynku wiecznego. Atoli Henryetta Marya, żona Karola I., z domu francuska księżniczka, otrzymała osobną kaplicę i cmentarz, obsługiwane jawnie przez Kapucynów. Ciśnięto się tam zewsząd, rozdawano Komunię św. do południa, Msze jedna za drugą były odprawiane, konfesyonały w istnem zostawały oblężeniu. Codziennie kilka nawróceń, kilka wyznań wiary przyjmowano. Tam to doczesne szczątki Ojca Ryszarda Blount doczekały się katolickiego pogrzebu. Powiały nad nim pieśni kościelne, zabrzmiało w głośnej modlitwie imię, które dotąd zaledwie cichym szeptem powtarzać śmiano przez długie lata w całej Anglii.

Ileż to jeszcze nazwisk męczenników, ile obrazów wzniosłych i pięknych ciśnie się pod pióro. Zakonnicy, kapłani, matki, dziewice, dzieci, przez długie, długie lata idą wciąż w zwartych szeregach na szubienicę, na rusztowanie, na tortury; gniją w więzieniach, mrą od głodu, pędzą smutne życie na wygnaniu, zdaleka od kochanej ziemi rodzinnej. Dziś z tego nasienia krwi i cierpień obfite wschodzi żniwo. Nie darmo już nasz Skarga w proroczym duchu pisał: „A ty Anglio, ze krwi tej męczeńskiej powstać masz, a próżna nie będzie tak droga śmierć dobrych synów twoich“!

Ale nie ku Anglii zwracały się myśli nasze w ciągu tej pracy. Bliższe podobno uciski stawały nam w oczach i pamięci. Gdzież dziś Kościół zupełnej zażywa swobody? W takich chwilach, w przededniu cięższych bodaj jeszcze prób, godzi się przypominać przykłady męstwa, wytrwałości, poświęcenia tych, którzy nas na „królewskiej drodze krzyża“, jak ją nazywa autor ksiąg o Naśladowaniu wyprzedzili. W żywocie św. Wacława czytamy, iż gdy w rychłych godzinach, mimo pory zimowej do kościoła po śniegu śpieszył, i długie u stóp ołtarzy trawił godziny, zziębli dworzanie spostrzegli, iż, aby się zagrzać wystarczało im stąpać w ślady stóp pobożnego

króla. Takiego to rozgrzania szukać nam w owych luźnych przykładach i obrazach wysnutych z roczników męczeńskich w Anglii. Nie wyczerpnęła się ani łaska Boża, ani żywotność i rodzajność Kościoła katolickiego. Co wówczas mężnym sercom było podobnem, i dziś znaleść się może, dostarczając nowego zastępu wyznawców prawdzie. Co mogli ci i te, jak powtarzał sobie wielki doktor kościoła, potrafisz i ty Augustynie.

M.

SARKOFAG CHRZEŚCIJAŃSKI Z IV. WIEKU.

(Dokończenie).

Wracając do naszego sarkofagu nie zatrzymam się dłużej przy Trójcy świętej, która jest na pierwszem miejscu, bo jest ona przedmiotem dyskusyi dość żywej, o której później będzie mowa. Powiem tylko, że powody bardzo proste i ważne, jak bałwochwalstwo i wielobóstwo, a później herezya Antropomorfitów nie pozwalały w czasach prześladowania wyobrażać Trójcy św., a nawet Boga w postaci ludzkiej. Dlatego też wyobrażenia podobnego z pierwszych trzech wieków chrześcijaństwa nie znamy, a trzy dalsze wieki dają nam dotąd jeden tylko przykład przedstawienia Trójcy św. w trzech postaciach ludzkich, a to jest ten właśnie, o którym mówimy. W każdym razie stworzenie Ewy z boku śpiącego Adama na tym sarkofagu mówi nam o boskim początku rodzaju ludzkiego, tak jak następne wyobrażenie o jego grzesznym upadku. Zadziwiać może tylko, dlaczego Bóg rozmawiający z Adamem i Ewą po ich upadku, jest pojęty jako Chrystus. Ale ten sposób pojęcia, który się zresztą w dawnej sztuce zawsze powtarza, jest wyrazem mniemania najdawniejszych i największych Ojców Kościoła, które się stało powszechnem. Twierdzili oni, oparci na Piśmie św. Starego Zakonu i na głębokich racyach teologicznych, że wszystkie objawiania się, wszystkie manifestacye, tak zwane „Teofanie“ Boże Starego Zakonu, były objawieniami drugiej Osoby Bożej, jako zapowiedź i przedobrażenie przyszłego Wcielenia. Nawet ile razy w Starym Zakonie przychodzi mowa o „Aniele Bożym“ Ojcowie pod tą nazwą Syna Bożego rozumieją. Św. Justyn mowi o Panu Jezusie: „którego Oj-

ciec chciał, aby się z dziewicy narodził, i który niegdyś stał się ogniem, by z Mojżeszem w krzaku rozmawiał“ [1]. A Tertulian: „Na początku Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo, któremu dana jest wszelka moc na niebie i na ziemi... Ono na rozmowę z ludźmi zawsze schodziło, od Adama, aż do Patryarchów i Proroków... I Bóg na ziemi z ludźmi rozmawiać nie mógł inny, jak Słowo, które się Ciałem stać miało“ [2].

Na sarkofagu naszym druga Osoba Boża, mówiąca z pierwszymi rodzicami po ich upadku, wyobraża doskonale Mesyasza, który w tej właśnie chwili, jako pierwsza po upadku radosna nowina *(proto-evangelium)*, jest im obiecany. Głębokiego także znaczenia są dary, które przynosi pierwszym rodzicom. Dawniejsi komentatorowie, jak Bottari [3], mówią: kłosy przypominają pracę rolną „w pocie czoła“, na którą Adam skazany, zaś baranek — wełnę, ktorą Ewa prząść będzie. Ale nam, którzy już obecnie głębiej wniknęliśmy w ducha pierwotnej sztuki chrześcijańskiej, i wiemy że jej symbolika opiera się głównie na Piśmie św., to tłumaczenie nie wystarcza. Zbyt naciągniętem jest, aby w jakiejkolwiek sztuce baranek miał oznaczać wełnę, a cóż dopiero w sztuce chrześcijańskiej, gdy w Piśmie św. wspominany jest tylokrotnie w znaczeniu nierównie głębszem, zacząwszy od baranka wielkanocnego Mojżesza, a skończywszy na „Baranku Bożym“ św. Jana Chrzciciela. A w odnośnym do powyższego przedstawienia ustępie Pisma św. są wprawdzie słowa, że Adam będzie uprawiać ziemię w pocie czoła, ale żeby Ewa miała prząść wełnę, nie ma śladu. Również nie może zadowolnić drugie tłumaczenie, że Chrystus Pan uczy pierwszych rodziców rolnictwa i pasterstwa, bo choć Pismo św. mówi, że Kain był rolnikiem a Abel pasterzem, nie wspomina jednak o jakiejś osobnej nauce Bożej w tym przedmiocie, a gdyby nawet rzecz ta była wspomniana, to względnie do wyrażonych w ówczesnej sztuce głównych dogmatów wiary naszej byłby to szczegół zbyt podrzędny. Te próby tłumaczenia tem bardziej zadziwiają, gdy tu słowa Pisma św. są wyraźne i jasne, i jeśli zważymy, że w owej chwili najważniejszą dla nas była przepowiednia przyszłego Mesyasza, zrozumiemy za-

[1] Justin. Dial. n. 127.
[2] Tertull. contr. Prax. c. 16.
[3] Bottari. T. I. s. 45.

raz, że te dary w ręku Bożym są tego Mesyasza figurą, który jako baranek ma być poprowadzony na rzeź i krew swą wylać, aby nam się stać chlebem żywota [1]. A tłumaczenie to stanie się jeszcze wyraźniejszem, gdy porównamy ze sobą wszystkie podobne wyobrażenia Adama i Ewy po upadku, zobaczymy bowiem, że Chrystus Pan jest w nich postawiony w pośrodku, na tem samem miejscu, na którem zwykle stoi drzewo z zakazanym owocem, wyobrażające grzech. Jest tu więc wyraźna substytucya, mówiąca o obiecanem zadośćuczynieniu za grzech, i odkupieniu z grzechu przez Chrystusową ofiarę Nowego Zakonu, której przedobrażeniem są przez Boga nakazane ofiary Zakonu Starego: Ofiara krwawa baranka, jako figura Męki Chrystusowej, i ofiara kłosów jako figura Mszy św., która jest tej Męki bezkrwawem powtórzeniem.

Gdy przejdziemy na drugą stronę muszli z portretami, widzimy dwa cuda Chrystusa Pana, przemienienie wody w wino, i pomnożenie chleba i ryb, a oba te cuda, tak jak te trzy rzeczy: wino, chleb i ryba odnoszą się, jak to widzieliśmy, do Chrystusa Pana, utajonego w Najświętszym Sakramencie, i do Komunii św., która jest zadatkiem zmartwychwstania. Stąd dalszym obrazem jest wskrzeszenie Łazarza, które jest tego zmartwychwstania symbolem. Bo gdy Chrystus przyszedł do Betanii *i znalazł go* (Łazarza) *już cztery dni w grobie mającego... Marta... zabieżała mu... i rzekła do Jezusa: Panie byś tu był, nie umarłby był brat mój... Powiedział jej Jezus: Zmartwychwstanie brat twój. Rzekła mu Marta: Wiem iż zmartwychwstanie w zmartwychwstaniu w ostatni dzień. Rzekł jej Jezus: Jam jest zmartwychwstanie i żywot* [2]. Wszystkie te trzy cuda wyobrażone są w ten sposób, iż je Chrystus Pan czyni za pomocą różczki, którą trzyma w ręku, a która jest znakiem Jego władzy i mocy Bożej.

Na dole, w pierwszem przedstawieniu czci Mędrców ze wschodu, Matka Boska siedzi na podobnym tronie jak w górze jedna Osoba Trójcy św., ale tron nie jest przykryty. Na kolanach trzyma dzieciątko Jezus, nad którego głową jest gwiazda, ale tym razem nie taka jak zwykle bywa wyobrażana, tylko w kształcie trzech kóle-

[1] To tłumaczenie daje Garucci. Storia d. Art. crist. T. I. s. 513.
[2] Jan. XI. 17 i następ.

czek wyrzeźbionych na listewce rozdzielającej dwa piętra sarkofagu. Że to jest wyobrażenie gwiazdy, i że ono do całości obrazu należy, świadczy o tem gest pierwszego z Mędrców, który odwróciwszy głowę pokazuje ją ręką dwom swoim towarzyszom. Te trzy kółeczka w obec trzech osób Trójcy św. wyobrażonych w górze, mają swoje głębokie znaczenie. Sarkofag z IV. wieku, rzeźbiony wśród gwałtownych sporów z Aryanami, potrzebował wyraźnie zatwierdzić wiarę Kościoła w tę prawdę, która była przedmiotem heretyckiej napaści. I rzeźbiarz wywiązał się z tego bardzo trafnie zaznaczając, że w dolnej grupie Bogiem jest tylko dzieciątko, ale że w niem jest cała pełność Bóstwa, tego samego, które jest na górze w trzech Osobach Bożych.

Matka Boska w całej sztuce pierwotnej przedstawiana jest często bardzo, a przeważnie w dwojaki sposób: jako modląca się, *orans*, stojąca sama, z rękami wyciągniętemi i nieco wzniesionemi w górę, i jako matka z dzieciątkiem Jezus, siedząca na tronie. W pierwszym rodzaju przedstawienia nie zawsze można twierdzić z pewnością, czy postać wyobraża Matkę Boską, czy Kościół modlący się, czy jaką męczennicę. W drugim zaś Matka Boska ma zazwyczaj przed sobą trzech mędrców, którzy oddają cześć dzieciątku. Nasze przedstawienie jest z rzędu tych drugich.

Trzej królowie należą w ogóle w sztuce ówczesnej do najbardziej historycznie scharakteryzowanych postaci. Strój ich jest zawsze oryentalny „Mędrcy ze wschodu“, nogi obwinięte, a na głowie czapki frygijskie, — i tem od wszystkich innych postaci odbijają. Tylko jeszcze trzej młodzieńcy w piecu ognistym, przedstawiani na sarkofagach, miewają strój ten sam, i bardzo często znajduje się umyślne zestawienie tych dwóch zdarzeń, gdyż w mniemaniu powszechnem, Trzej Królowie przedstawiali ludy bałwochwalskie powołane do czci prawdziwego Boga, te same ludy, które niegdyś zmuszały Żydów do czci bałwochwalczej, jak nam Biblia w historyi o trzech młodzieńcach opowiada.

Uzdrowienie ślepego przedstawione obok, znaczy według Ojców Kościoła przywrócenie światła ludzkości „utopionej w ciemności ducha i siedzącej w cieniu śmierci“ [1]. Znaczenie to wzięte zapewne

[1] Św. Izydor Sewilski.

z I. listu św. Piotra: *A wy rodzaj wybrany, królewskie kapłaństwo, naród święty, lud nabycia: abyście cnoty opowiadali tego, który was wezwał z ciemności ku swojej przedziwnej światłości*[1]. Zwitek pisma, który Chrystus Pan trzyma w ręku, oznacza, że tylko Ewangelia ludziom światło przynosi.

Ta strona więc dolnej części sarkofagu czytana nie od lewej do prawej ręki, ale przeciwnie od środka w kierunku ruchu mędrców znaczy, że ludy bałwochwalcze, oświecone cudownie przez Chrystusa, idą oddać cześć prawdziwemu Bogu. A to tłumaczenie przypomina nam mimowoli to, cośmy widzieli z tej samej strony sarkofagu w górze, i układa nam się sama z siebie w duszy myśl daleko szersza i pełniejsza, że rodzaj ludzki przez Trójcę św. stworzony, czysty i w stanie łaski, przez grzech od Boga się oddalił, ale otrzymał obietnicę Zbawiciela, i tą obietnicą żył duchowo, aż Zbawiciel na świat przyszedł, odpadłą od Boga ludzkość na nowo cudownie oświecił, i z ciemności bałwochwalstwa „ku swojej przedziwnej światłości", do czci prawdziwego Boga doprowadził.

Daniel, który jest we środku, z samego układu przedstawia się jako obraz odrębny, umieszczony na to, by rozdzielał obie strony dolnej kondygnacyi sarkofagu, tak jak muszla z portretami rozdziela górną. Przedstawiony jest stojący naprost, nagi, w postawie modlitwy, pomiędzy dwoma lwami. Wiemy, że Daniel był dwa razy wrzucony do jaskini lwów, raz na jeden dzień, i Pismo św. nie wspomina nam ile lwów było, drugi raz na 6 dni, a wtedy Bóg przysłał mu Habakuka z pożywieniem, Pismo św. zaś wspomina wyraźnie[2], że wtedy lwów było siedm. Tymczasem na wszystkich starochrześcijańskich przedstawieniach Daniela między lwami jest ich zawsze dwa. Jestto tak powszechnem, że poeta chrześcijański Drakoncyusz z V. wieku pisze:

Saeva Danielem rabies atque ira leonum
Non tetigisse pium, cui destinat insuper escam
Magna Dei pietas, ieiuno *utroque leone.*

Nowy w tem dowód, jak wówczas chodziło głównie o znaczenie symboliczne przedstawienia.

---

[1] I. Petr. II. 9.
[2] Dan. XIV. 31.

To przedstawienie nadzwyczaj częste, należy do tych, które są bardzo rozmaicie tłumaczone, a może od razu w rozmaitych znaczeniach używane było. Niektórzy widzą w tem symbol męczeństwa, inni wyobrażenie Chrystusa Pana na krzyżu, którego wizerunek dla uniknienia zgorszenia nigdy w owym czasie nie był przedstawiany. Najprawdopodobniejszem, na tym przynajmniej sarkofagu zdaje się być, że jaskinia lwów przedstawia grób, ten tajemniczy dół śmierci otoczony nieprzyjaciółmi duszy, którzy jak „lwy ryczące“ czyhają na nią, a w którą człowiek jak Daniel jest nie ze swej woli wrzucony, ale łaską Bożą od zguby wybawiony. Habakuk z koszem chlebów, oznaczonych krzyżem jako chleb eucharystyczny, wyraża szczególną asystencyę Bożą w śmierci przez kapłanów niosących wiatyk. Obraz ten odnosi się w szczególny sposób do natury pomnika, który jest trumną, i do śmierci tych, pod których wizerunkiem jest położony.

Zostaje nam jeszcze ostatnia część sarkofagu, którą już prawie rozumiemy. Człowiek brodaty, który wydobywa wodę ze skały, i który prowadzony jest przez dwóch żołnierzy, to Piotr, ten sam, który tak zafrasowany stoi w obec przepowiedni zaparcia się ukochanego Mistrza. Jestto Piotr, głowa Kościoła, który sam w szczególny sposób ma władzę pełną wydobywania wody łask ze skały Chrystusa, i dlatego on jeden ma w ręce różczkę, taką samą jaką ma w górze Chrystus do czynienia cudów. I ma tę różczkę nietylko wtedy, gdy cudownie wodę wydobywa, ale i wtedy, gdy jest prowadzony do więzienia, i wtedy gdy się Chrystusa zapiera, na znak, że władza najwyższa dana Piotrowi i następcom jego w Kościele, ani przemocą ludzką odebrana, ani nawet przez upadek człowieka, tą władzą obdarzonego, utracona być nie może. Rzeczywiście trudno silniej i wyraźniej zatwierdzić tę najwyższą władzę; dlatego też te trzy wyobrażenia, ze sobą zestawione, bardzo często powtarzają się w pierwotnej sztuce chrześcijańskiej, i mówią, gdzie szukać prawdziwego Kościoła Chrystusowego.

Gdy obejmiemy raz jeszcze myślą całość sarkofagu, który już dokładniej znamy, widzimy, że część jego środkowa (portrety i umieszczony pod nimi Daniel) ma odnoszące się do śmierci osobne znaczenie, rozdziela zaś cały sarkofag na dwie części, lewą i prawą, a każda z nich listewką poziomą rozdzielona jest znowu

na dwie części, górną i dolną. Mamy więc cztery różne przedstawienia, jakoby cztery frazesy tej samej wielkiej myśli, z których po każdej stronie górny i dolny bliżej ze sobą się łączą. Widzieliśmy już, że dwa po stronie lewej znaczą, iż ludzkość przez grzech od Boga odpadła, wiarą do Boga wcielonego wraca — dwa zaś przedstawienia po stronie prawej są jakby dopełnieniem i określeniem tego, cośmy po lewej wyczytali. Mówią one, że ta nawrócona ludzkość ożywiona wodą łaski płynącą ze skały Chrystusa, a wydobywaną przez Piotra, pod wodzą tejże najwyższej władzy Piotrowej, za pomocą Sakramentów św. a szczególnie głównej ich przedstawicielki i korony Eucharystyi, dochodzi do zmartwychwstania. Jest tu więc wypowiedziana cała myśl chrześcijańska, w sposób tak głęboki a wyraźny, iż słusznie Rossi mógł nazwać ten sarkofag „najwspanialszą epopeją chrześcijańskiego dogmatu".

III.

Ta epopeja, jak każdy utwór dalekiej przeszłości, wymagająca studyów i komentarzy do jej zrozumienia, ma dotąd jeszcze ustępy niejasne, które są przedmiotem uczonych sporów, i które może nigdy wyjaśnionemi nie będą. Że trzy postacie stwarzające Ewę są trzy Osoby Boże, o tem dziś nikt nie wątpi, ale która z tych postaci którą Osobę Bożą przedstawia, jestto przedmiot sporu. A łączy się z nim to jeszcze, że na tym samym sarkofagu są inne trzy postacie, poważne i brodate, z których jedna trzymająca Habakuka za głowę, jest z pewnością nadziemską, ale inne dwie, jedna obok Daniela z drugiej strony, a druga za tronem Matki Boskiej, czy to ludzie, król Babiloński lub prorok jaki i św. Józef — czy także Osoby Boże? W tych wszystkich kwestyach stanęli przeciw sobie w pierwszym rzędzie dwaj najznakomitsi uczniowie Ojca Marchi: de Rossi i O. Garucci [1], pierwszy z nich, który sobie wziął za godło: *archeologum, non theologum facio*, opiera się na argumentach przeważnie archeologicznych, drugi jako kapłan na bardziej teologicznych. A że przedstawienia o których mowa są

[1] De Rossi w Bull. Arch. r. 1865 s. 69 i dalsze, Garucci w Storia d. Art. Crist. T. I. s. 284 i dalsze.

rzadkie w sztuce, a niektóre nawet jedyne, stąd brak tego terminu porównawczego, który mógłby w pierwszym rzędzie spór rozstrzygnąć.

Stanowiska te, jedno archeologiczne a drugie teologiczne w tej sprawie trzeba bliżej określić, aby nie obudzić o nich mylnego wyobrażenia. Archeolog chrześcijański, już przez to samo że chrześcijański, nie może w żaden sposób pominąć najważniejszych pojęć i tłumaczeń teologicznych, z drugiej strony teolog, który się zajmuje archeologią i w niej szuka dla twierdzeń teologicznych poparcia, musi znać argumenta i metodę krytyczną archeologii, i niemi się posługiwać. Między temi jednak dwoma odcieniami stanowiska naukowego jest różnica subtelna i polega głównie na tem, jakie argumenta w razach wątpliwych bardziej kogoś przekonywują, czy archeologiczne, brane z porównania zewnętrznych cech i charakteru pomników, ten sam lub podobny przedmiot traktujących, czy też teologiczne, odnoszące się do zewnętrznej treści przedstawionego przedmiotu, w stosunku jego do pojęć i wyobrażeń spółczesnych w rzeczach wiary.

Walka tych dwóch stanowisk: teologicznego i archeologicznego tem łatwiej nastąpić może, że teologia, nie jako synteza wszystkich nauk, do czego sobie nie rości prawa, ale jako nauka najwyższa, zmuszona z natury swojej posługiwać się wszystkiemi innemi, tem samem metodę każdej nauki musi sobie przyswoić, i z każdą z nich się styka. Metoda zaś archeologii chrześcijańskiej mieści w sobie trzy główne momenta: autopsyę, krytykę i hermeneutykę. Najprzód trzeba nauczyć się p a t r z e ć na pomniki i umieć je opisać co do materyału, stanu zachowania, stylu, treści, a przytem i dowiedzieć się, gdzie i kiedy znalezione, gdzie obecnie przechowane i kto o nich pisał. Potem trzeba umieć pomnik o s ą d z i ć, głównie przez porównanie z innemi, już znanemi lepiej. Trzeba zeń wydobyć do jakiej epoki, do jakiego kraju i cywilizacyi, do jakiego koła wyobrażeń i ducha należy, czy prawdziwy lub czy fałszowany... W końcu trzeba go w y t ł u m a c z y ć co do treści, znowu przez porównanie z innemi pomnikami, i przez znajomość i przypomnienie tego zakresu myśli i wyobrażeń, wśród których powstał, i tu właśnie, gdy chodzi o pomniki chrześcijańskie, głównie archeologia z teologią się styka. Jest na tem polu wzajemne oddzia-

ływanie tych dwóch nauk, teologia daje nam nieraz zrozumienie treści pomnika, a z drugiej strony nieraz pomnik lub szereg pomników jest nam dokumentem pewnego zrozumienia prawdy objawionej w pewnej epoce, które może się przyczynić do utworzenia ściślejszego i pełniejszego pojęcia teologicznego o tej prawdzie. Rola teologii jest tu jednak tak ważna, iż trudno sobie wyobrazić archeologa, nawet najzdolniejszego, któryby bez teologii, a bardziej jeszcze mając do teologii nieufność i uprzedzenie, ustrzegł się grubych pomyłek w tłumaczeniu dawnych chrześcijańskich pomników.

Takiej pomyłki, zdaniem naszem, nie ustrzegł się nawet p. de Rossi w tłumaczeniu sarkofagu, o którym mowa. Bieg jego myśli jest następujący: Z trzech Osób Bożych, stwarzających Ewę, Bogiem Ojcem jest ta, która siedzi na tronie i niejako głównie stwarza, a gestem ręki wskazuje, że mówi. Według doktryny Kościoła bowiem, choć stworzenie jest dziełem wszystkich trzech Osób Bożych, przypisujemy je jednak Bogu Ojcu, tak jak Bogu Synowi odkupienie, a uświęcenie Duchowi św. Nadto, siedzenie na tronie należy się szczególnie Bogu Ojcu, i Bogu Ojcu właściwem jest mówienie, wydawanie swego Słowa; a i w Genezie przy opisie stworzenia Bóg Ojciec mówi: *Uczyńmy człowieka na wyobrażenie i na podobieństwo nasze*, i Bóg Ojciec wypowiada błogosławieństwo: *I błogosławił im Bóg i rzekł* [1].

Drugą zaś Osobą Bożą jest ta, która trzyma rękę na głowie Ewy, dlatego najprzód, że w porządku działania Bożego na zewnątrz przypisujemy je Bogu Ojcu przez Syna (w Duchu św.), a tu to: „przez Syna“ doskonale jest wyrażone. Podrugie ta postać jest Synem Bożym i dlatego, że w ten sam sposób przedstawiona jest na tym samym sarkofagu postać trzymająca rękę na głowie Habakuka przy Danielu, którato postać nazwana jest w Piśmie, „Aniołem Bożym“, a według przekonań Ojców Kościoła o „teofaniach“ Starego Zakonu, Syna Bożego oznacza. Stąd trzecia postać ukryta za tronem Boga Ojca, jest Duchem św., a w dalszym ciągu taka sama postać stojąca w ten sam sposób za Matką Boską jest także Duchem św., dla wyrażenia, że *poczęła z Ducha śgo*, i Duchem św. w końcu jest podobna do obu poprzednich trzecia postać, stojąca po prawej ręce Daniela.

[1] Gen. I. 26, 28.

To tłumaczenie tem bardziej przyjąć trzeba, mówi de Rossi, że w starej sztuce chrześcijańskiej nigdy św. Józef nie jest przedstawiony w ten sposób, jak na tym sarkofagu postać stojąca za tronem Maryi, ale najczęściej jako młodzieniec, czasem jako człowiek brodaty, a zawsze w krótkiej tunice, i to najczęściej o jednym rękawie, *tunica exomida* (ἐξωμίς χιτών). Dalej jest rzeczą pewną, że tron przykryty draperyą, znaczy tron biskupi; jest zaś ustęp u św. Ignacego męczennika, który przytacza Bottari, a który mówi: „Również wszyscy czczą dyakonów jako (ὡς) Jezusa Chrystusa, tudzież (ὡς καὶ) biskupa jako wizerunek Ojca (ὄντα τύπον τοῦ Πατρός)[1]. Było więc w najdawniejszej tradycyi, widzieć w biskupie figurę Boga Ojca, a w dyakonach figurę innych Osób Bożych. Nakoniec artysta żyjący w czasach Aryusza umyślnie osobę siedzącą nie uczynił starszą od stojących, aby nie obudzić myśli, że Syn Boży i Duch Święty nie są współcześni, ale stworzeni przez Boga Ojca.

O. Garucci zaś odmienną idzie drogą. Stawia najprzód bardzo jasno i dokładnie starą doktrynę Kościoła co do Trójcy św. w jej działaniu na zewnątrz, w takiem bowiem działaniu przedstawiona jest na sarkofagu. Otóż najprzód trzeba pamiętać, że Bóg działa na zewnątrz rozumem i wolą, które są atrybutami natury Bożej, wspólnej wszystkim trzem osobom, a stąd pochodzi, że i wszelkie działanie na zewnątrz jest wszystkim trzem Osobom Bożym wspólne. Św. Grzegórz z Nissy mówi przeciw Eunomiuszowi (Ks. I.), że każde okazanie się, każda wizya, wszelki głos Boży jest Ojca, Syna i Ducha Św. Ale z drugiej strony jest rzeczą pewną, że trzy Osoby Boże, choć są jednym Bogiem, różnią się między sobą, gdyż ich stosunek wewnętrzny wzajemny, wynikający z różnego ich wewnętrznego pochodzenia, jest różny. Stąd stało się zwyczajem Ojców Kościoła, a więc i Kościoła całego, że niektóre przymioty i działania wspólne wszystkim Osobom Bożym przypisuje się jednej z nich w szczególny sposób, z powodu, iż ten przymiot lub to działanie ma pewną analogię ze szczególnym stosunkiem, jaki ta Osoba ma wewnątrz Bóstwa do innych Osób. I tak, gdy wewnątrz

[1] Ign. ad Trallianos 3.

Trójcy św. Syn zrodzony jest z Ojca rozumem, a Duch św. pochodzi od Ojca i Syna wolą, i właściwością Ojca wewnętrzną jest być początkiem *(principium sine principio)*, właściwością Syna jest być mądrością zrodzoną, a właściwością Ducha św. jest być pochodzącą od obojga miłością, — Kościół często przypisuje, i w działaniu Trójcy św. na zewnątrz, objawy twórczości Bogu Ojcu, objawy mądrości Synowi, a objawy dobroci Duchowi św. Gdy więc chodzi o stworzenie człowieka, właściwie jest aktem wszystkich trzech Osób Bożych, przypisuje się zwykle wola stworzenia Ojcu, wykonanie Synowi, a udoskonalenie, albo uświęcenie Duchowi św. Doskonale przedstawia tę całą doktrynę św. Bazyli w traktacie swoim o Duchu św. „In angelorum creatione cogita mihi *causam quae sine principio est principium*, Patrem; *conditricem*, Filium; *perfectricem*, Spiritum, *ut voluntate* quidem Patris sint administratorii spiritus, *operatione* vero Filii ad existentiam perducantur, adventu autem Spiritus *perficiantur;* porro perfectio angelorum sanctificatio est [1].

Artysta który tak rzecz rozumie, jeżeli ma przedstawić stworzenie człowieka jako akt Trójcy św., musi najbliżej człowieka postawić Ducha św., jako tego, który przychodzi niejako ostatni i ostatnią przykłada rękę, bo uświęca dzieło, dalej tego, który to dzieło wykonywa, Syna; a dopiero za nimi tego, który chce aby dzieło było wykonane, Boga Ojca. Musi także tego, który tylko chce, Boga Ojca, przedstawić bezczynnym, a zaś tego, który wykonywa i tego który uświęca przedstawić działających. W tej myśli Ojcowie Kościoła nieraz Syna i Ducha św. nazywają „ramionami Ojca“. A wszystko to doskonale wyrażone jest na naszym sarkofagu, jeśli postacią siedzącą na tronie jest Syn, tą która trzyma rękę na głowie Ewy jest Duch św., a stojącą za tronem bezczynną i jakoby ukrytą, a manifestującą się stworzeniu tylko przez Syna i Ducha św. [2], Bóg Ojciec. I tak też rozumie to przedstawienie O. Garrucci, a popiera go w tem najznakomitszy może teolog

---

[1] S. Basil. De Spir. s. c. 16.

[2] To ukrycie Ojca za Synem, a właściwie tę niewidzialność Ojca, manifestującą się przez Syna, ciekawie określa św. Ireneusz: „Invisibile enim Filii Pater, visibile enim Patris Filius“ (l. IV. c. 6). A Klemens Aleks.: „facies Dei est Verbum quo illuminatur Deus et cognoscitur“.

współczesny, kardynał Franzelin, także Juzuita, który w dziele swoim *De Deo Trino* (s. 221) sarkofagu tego, jakoby tekstu którego z Ojców Kościoła, na poparcie swej tezy *De appropriatione* używa. W dalszym ciągu twierdzi O. Garucci, że postać stojąca za tronem Matki Boskiej nie jest Duch św., ale św. Józef, zaś co do postaci umieszczonej po prawej ręce Daniela, nie mówi nic stanowczego.

Wyznaję, że to tłumaczenie, z całą tradycyą Kościoła zgodne, zdaje mi się nierównie trafniejsze niż p. de Rossi, którego argumenta tak teologiczne jak i archeologiczne mnie nie przekonywują. Jak już wspomniałem, archeolog chrześcijański, szczególnie tej miary co p. de Rossi, choć głośno mówi o sobie, że *theologum non facit*, bez racyi teologicznych obejść się nie może, tylko nie ceniąc może dostatecznie znaczenia tej nauki dla archeologii, nie jest w niej u siebie, i racye jego nie są trafne. Prawda, że w całej ekonomii działania Bożego na rodzaj ludzki przypisujemy stworzenie Bogu Ojcu, (a odkupienie Synowi etc.), ale gdy w dziele stworzenia człowieka, przedstawione są wszystkie trzy Osoby Boże, trzeba patrzeć, w jaki sposób Ojcowie Kościoła ten jeden akt każdej z Osób Bożych przypisują. A to widzieliśmy wyżej. Również prawdą jest, że gdy chodzi o stosunek wewnętrzny Osób Trójcy św., Bóg Ojciec wydaje Słowo swoje, więc można pojąć Go jako mówiącego. Ale gdy chodzi o działanie na zewnątrz, wszyscy Ojcowie Kościoła każą mówić Słowu, i to nietylko po wcieleniu, ale i w teofeniach Starego Zakonu, jak to także widzieliśmy. De Rossi więc czerpie swe argumenta nie tam gdzie trzeba, chwyta je za daleko lub za blisko, bo raz odwołując się do działania Trójcy św. na zewnątrz, bierze to działanie w całej jego pełni, zamknięte w tych trzech wyrazach: stworzenie, odkupienie, uświęcenie. Drugi raz zaś, nie o działaniu na zewnątrz ale o stosunku wewnątrz Trójcy św. mówi. W naszym zaś wypadku niezaprzeczenie chodzi o działanie Trójcy św. na zewnątrz, ale nie całe, bo odnoszące się do jednego tylko aktu stworzenia człowieka.

Że siedzenie na tronie należy się Bogu Ojcu, że jest *di somma convenienza* jak mówi de Rossi, nie jest to powiedzenie dość teologiczne, bo gdy wszystkie trzy Osoby Boże są równe, od tego co chcemy przedstawić, a przeto co każdej z trzech Osób

przypisać chcemy zależeć będzie, którą z nich posadzimy. W tym wypadku zaś zupełnie właściwem jest, że siedzi druga Osoba Boża, Słowo, czyli Mądrość Ojca, i że siedzi na tronie biskupim, który jest katedrą doktrynalną i symbolem tejże mądrości Bożej. Właściwem jest tem bardziej, że Chrystus Pan nazwany jest biskupem przez św. Piotra w jego pierwszym liście: *ale teraz jesteście nawróceni do pasterza i biskupa dusz waszych* [1], a św. Paweł nazywa go 4 razy „najwyższym kapłanem“ w liście do Żydów [2]. Właściwem także jest to siedzenie drugiej Osoby Bożej, przez wzgląd na dolną kompozycyę, gdzie taż druga Osoba wcielona, w przeciwstawieniu przez Ojców Kościoła nieraz wskazywanem, siedzi na tronie wraz z Matką, „bo słusznem było, mówią kapłani i dyakoni z Achai, by Syn Boży, który wprzód człowieka stworzył, oddał ludziom to życie wieczne, które stracili przez Adama“. Właściwem także zdaje się to posadzenie drugiej Osoby Bożej i ze względu na ówczesną walkę z Aryanizmem, w której chodziło bardzo o to, by charakter boskości Syna Bożego jak najbardziej uwydatnić.

Argument Rossi'ego wyjęty z listu św. Ignacego męcz., także nie wytrzymuje krytyki. Ustęp bowiem tego listu, cytowany przez p. de Rossi za Bottarim, w kodeksie z którego wzięty, pomylony i niemający sensu, *mendosissimus locus*, (mówi Cotelier), brzmi tak: „Również wszyscy czczą dyakonów jako Jezusa Chrystusa, tudzież biskupa jako s y n a Ojca“, Bottari zastąpił wyraz: „syna“ (υἱόν) wyrazem „wizerunek“ (τύπον) i w ten sposób uczynił ten ustęp sposobnym do poparcia jego tezy, która na tem zależała, że Osoba Boża, której Kain i Abel przynoszą ofiary, (przedmiot na sarkofagach chrz. często powtarzany), siedząca zwykle na tronie, jest Bogiem Ojcem. Według Garucci'ego, ustęp ten w ten sposób winien być dopełniony: „Również wszyscy czczą dyakonów jako (rozkazanie) Jezusa Chrystusa, tudzież biskupa jako (Jezusa Chrystusa) Syna Ojca“, a wtedy zgodnie z powszechą tradycyą popierałby mniemanie przeciwne temu, na którego poparcie jest przez p. de Rossi przytoczony.

I ta uwaga Rossi'ego, że artysta żyjący za czasów Aryusza,

[1] I. Petr. II. 25.
[2] Hebr. II. 17.; III. 1.; IV. 14.; V. 10.

umyślnie Osobę Boga Ojca nie uczynił starszą, nie wytrzymuje krytyki, gdyż postać ta na sarkofagu jest widocznie młodsza od stojącej za tronem, więc wyraźnie artysta obrał ten sposób do uwydatnienia w tej Osobie charakteru „Syna“, a nie potrzebował się bać mylnego tłumaczenia, bo miał, jak widzieliśmy, inne sposoby, nierównie lepsze i bardziej zrozumiałe, do postawienia prawdziwej nauki przeciw fałszywym twierdzeniom ówczesnej herezyi.

Nietylko teologiczne, ale i archeologiczne racye, przez p. de Rossi przytaczane nie są dostateczne. Najprzód co do św. Józefa rzecz jest dość trudna. Nie można nawet wiedzieć z całą pewnością, czy przy sarkofagowych przedstawieniach narodzenia P. Jezusa, lub adoracyi magów, stojący zwykle przy Matce Boskiej młodzieniec, lub człowiek brodaty w krótkiej tunice jest św. Józef, czy jeden z pasterzy. Garucci, ile razy widzi w ręku tego człowieka laskę pasterską, zakrzywioną u góry, nazywa go pasterzem, ale czy słusznie? Jest rzeczą pewną, że tak samo wygląda raz św. Józef, który przy stajence stoi jako młodzieniec w tunice krótkiej i bez rękawa, a w ręku zamiast laski trzyma siekierę [1], i drugi raz jako człowiek brodaty w krótkiej tunice bez laski [2], i sam Garucci wtedy św. Józefem go nazywa. Czy więc laska jest znakiem dość charakterystycznym, by zawsze znaczyła pasterza, a nie św. Józefa, nie śmiałbym twierdzić. Ale to nie ma nic do rzeczy. Sarkofag, który mamy przed sobą, jest z wielu względów unikatem, więc może na nim i św. Józef wyglądać inaczej, niż do owego czasu bywał przedstawiany.

Przedstawienie tego rodzaju nie jest jednak jedyne. Między fragmentami rzeźb starochrześcijańskich jest w Sutri kawałek nakrywy na sarkofag, z rzeźbą zupełnie do naszej podobną, bo przedstawiającą Matkę Boską na tronie z dzieciątkiem, a za nią postać poważną brodatą w długiej tunice i płaszczu, która nawet tak samo trzyma rękę na oparciu tronu [3]. Garucci uważa ten fragment jako należący do nakrywy sarkofagu rysowanej przez Gorego, na której w dalszym ciągu są trzej mędrcy niosący dary, a za nimi, jako osobna kompozycya, żłóbek nakryty draperyą, w którym położone dzieciątko

[1] Garucci, Storia d. Art. crist. Tav. 315. 5.
[2] Garucci, Tav. 317. 4.
[3] Garucci, Tav. 380. 4.

Jezus w pieluszkach, w głębi wół i osieł, a po bokach dwóch ludzi w krótkich tunikach, jeden z brodą drugi bez, i z laskami zakrzywionemi. Gdyby to zestawienie dwóch fragmentów przez Garucci'ego, dotąd tylko prawdopodobne, było absolutnie pewne, nadzwyczaj wiele zaważyłoby w naszej kwestyi. Jeden człowiek przy żłóbku, mógłby jeszcze budzić wątpliwość, czy to pasterz czy św. Józef, ale gdy ich jest dwóch, są z pewnością pasterze, a św. Józef na tem przedstawieniu musi być ten, który stoi za tronem Maryi. Jeśli postać tak samo postawiona w naszym sarkofagu jest jakoby kopią innej, tuż nad nią stojącej, która przedstawia z pewnością Osobę Bożą, słusznie można wątpić, czy i ta postać Osobą Bożą nie jest. Ale jeśli kompozycya jest jedna, osobna, w nikim nie może obudzić myśli, że nie przedstawia św. Józefa ale Boga, tembardziej gdy artysta umyślnie powiedział tuż obok, że św. Józefa w krótkiej tunice przedstawić nie chciał.

Jakie zresztą znaczenie miałby Duch św. przy adoracyi Trzech Króli? Rozumielibyśmy do pewnego stopnia obecność Ducha św. przy Zwiastowaniu, i w obrazach średniowiecznych widzimy nieraz przy tej scenie gołębicę schodzącą z nieba, ale tu darmo szukać jakiego tekstu, lub jakiegoś pojmowania pierwszych wieków, któreby na to pozwalało. Przytem pojęcie katolickie bardzo niechętnie godzi się na wszelkie przedstawienie religijne, w kórem byłyby dwie tylko Osoby Boże; przywykliśmy widywać jednę albo trzy, dwie należały zawsze w Kościele do przedstawień mniej jasnych i mniej prawidłowych, a cóż dopiero w pierwszych czasach chrześcijańskich.

Podobieństwo postaci na tym samym pomniku, wyrażających tę samą osobę, jest w dawnej sztuce chrześcijańskiej rzeczą w ogóle przyjętą i dla archeologa wskazówką nadzwyczaj ważną. W sztuce tak hieratycznej, postacie są jakby znaki hieroglificzne, jak litery, i najmniejsza w nich zmiana, tak jak w literach kreska lub kropka dodana w górze lub w dole, znaczenie ich zmienić może. Jednak trzeba i tę zasadę stosować ostrożnie i z pewną swobodą, by nie przeważyła tam, gdzie ważniejsze argumenta przeciw niej mówią, i gdzie są wyraźne dowody, że artyście o jej zachowanie nie chodziło. A jedno i drugie o naszym sarkofagu powiedzieć można. Bo najprzód, choć postać za tronem w górze i na dole ma tę samą pozę, głowę ma zupełnie inną. Na górze jest daleko starsza, łysa,

okryta zmarszczkami, jakby i w ten sposób miała w nas obudzić pojęcie „Ojca“. Ale przypuśćmy, że to szczegół zbyt drobny [1] i że na dole rzeczywiście to nie Józef ale także Duch św., cóż znaczą wtedy te trzy kółeczka nad głową Chrystusa P.? Kompozycya staje się niejasną, mówi się o pełności Bóstwa w P. Jezusie, a zarazem stawia się obok niego inną Osobę Bożą! Do jakiego zaś stopnia wykonawcy tego sarkofagu nie chodziło o to, by tę samą postać zawsze jednako przedstawić, świadczą dwie teofanie Starego Zakonu. W jednej „Bóg“ rozmawia z Adamem i Ewą, w drugiej „Anioł Boży“ przyprowadza Danielowi Habakuka. Choć kwestya, czy pierwsi chrześcijanie nie mieli zwyczaju przedstawiać aniołów brodatych, rozstrzygniętą stanowczo nie jest [2], najprawdopodobniejszem jest jednak, że artysta, według powszechnej wówczas tradycyi, chciał przedstawić przy Danielu drugą Osobę Bożą, tak jak z całą pewnością druga Osoba Boża przedstawiona jest w rozmowie z Adamem i Ewą, a w obu wypadkach ta sama osoba zupełnie inaczej jest scharakteryzowana.

Wśród tego mnóstwa wątpliwości i trudności jest jeden jeszcze argument archeologiczny, którego dotąd nigdzie nie spotkałem, a który zdaje mi się wiele tłumaczyć. Co do artystycznego pomysłu sarkofag, o którym mowa, ma jedną własność tak wybitną, że się od wszystkich innych znanych mi dotąd odróżnia, a tą jest, przy wykonaniu grubem, dość nieudolnem, dziwna s y m e t r y a. Weźmy piętro górne. We środku muszla z portretami, na ostatecznych krańcach stworzeniu Ewy odpowiada wskrzeszeniu Łazarza, dalej Chrystus Pan pomiędzy Adamem i Ewą — z drugiej strony Chrystus Pan pomiędzy dwoma uczniami rozmnaża chleb i ryby. Chrystusowi Panu zaś przemieniającemu wodę w wino odpowiada

---

[1] De Rossi wyraża się o tej uwadze Garucci'ego z lekceważeniem, zalecając „a non cercare cosi per minuto delle arie dei volti e dei capelli più o meno folti“. Bull. Arch. r. 1865.

[2] To mniemanie dało powód Schultzemu, by w swoich „Archeologische Studien“ (S. 150) co do przedstawienia Trójcy św. o którem mówimy, nową postawił teoryę. Według niego przedstawiony jest tu Bóg pomiędzy dwoma aniołami. Już na kartce następnej (S. 151) musiał sam przyznać, że to byłoby przedstawienie jedyne w swoim rodzaju w całej sztuce chrześcijańskiej, a my stwierdzamy z radością, że wśród archeologów Schultze jest także jedyny ze swoją opinią.

drzewo z wężem. Na dole we środku Daniel między dwoma lwami, symetrycznie posadzonemi, z każdego boku postać brodata. Na krańcach, grupie Matki Boskiej z dzieciątkiem i św. Józefem odpowiada wydobycie wody ze skały. Postaciom trzech mędrców, mającym ruch ku krańcowi, odpowiadają z drugiej strony trzy postacie z ruchem ku krańcowi przeciwnemu: uwięzienie Piotra. Z jednej strony Chrystus Pan uzdrawia ślepego, z drugiej przepowiada Piotrowi zaparcie się jego, a że w tych dwóch kompozycyach mały ślepy z jednej strony nie dość symetrycznie równoważy Piotra z drugiej, przeto dodana jest druga postać brodata, jakiś uczeń Chrystusa Pana jako świadek cudu. A nietylko od osi prostopadłej sarkofagu symetrya jest uderzająca, jest ona na swój sposób i od osi poziomej, od listewki, która przód sarkofagu na dwa piętra rozdziela. Że nie wejdę w bliższe szczegóły, wskrzeszenie Łazarza w górze, układem swoim przypomina bardzo wydobycie wody ze skały na dole, i to zdaje mi się być dostatecznym powodem, dlaczego artysta z przeciwnej strony umieścił także pod sobą dwie kompozycye, układem swoim tak bardzo się wzajem przypominające, choć z zupełnie innych złożone osób; dlaczego posadził Matkę Boską z dzieciątkiem tuż pod siedzącym Synem Bożym, i na takim samym tronie, tylko odkrytym; dlaczego św. Józefowi dał postać podobną do Boga Ojca w górze, i dlaczego mając po jednej stronie Daniela umieścić postać brodatą proroka lub uosobionego proroctwa, i na drugiej stronie także postać brodatą „Anioła Bożego“ umieścił. A jeślibyśmy pomiędzy temi kompozycyami głębszych szukali analogij, tłumaczenie O. Garucci'ego bardziejby może jeszcze na tem zyskało. Odpowiada to bowiem ogólnej myśli sarkofagu, który nam mówi w każdej z osobna kompozycyi o miłości i dobrodziejstwach Boga dla człowieka, i o podniesieniu upadłej godności ludzkiej, by Opiekun Syna Bożego, wybrany przez Boga do godności zastępowania Zbawicielowi ojca ziemskiego postawiony był w dolnej kompozycyi pod osobą Ojca przedwiecznego, i postacią swą go przypominał. Tak jak z innych względów właściwem jest, by pod Synem Bożym siedzącym na tronie w górze, na podobnym tronie na dole siedział ten sam Syn Boży wcielony, wraz z Matką swoją. Ale już to, cośmy dotąd widzieli, wystarczy.

Ostateczny wniosek z tej dyskusyi zdaje mi się być ten, że

prawdziwe tłumaczenie jest po stronie O. Garucci'ego, i że teologia, prowadząc archeologa, nietylko rozświeciła mu wiele w treści przedstawienia, ale nadto dała mu spostrzedz niejeden szczegół archeologiczny, który inny a niezaprzeczenie większy archeolog nie teolog przeoczył, że teologia była więc w tym wypadku prawdziwym duchem opiekuńczym dla chrześcijańskiej archeologii, i zawsze z wielką dla tej nauki korzyścią być nim może.

Gdy Chrystus Pan przed męką swoją był w Betanii u Łazarza, *dowiedziała się tedy wielka rzesza Żydów, iż tam jest, i przyszli nietylko dla Jezusa, ale żeby byli ujrzeli Łazarza, którego wzbudził od umarłych. I umyślili przedniejsi kapłani, żeby i Łazarza zabili, bo wiele Żydów dla niego odstępowało, i wierzyło w Jezusa. A nazajutrz wielka rzesza, która była przyszła na święto, usłyszawszy, że Jezus idzie do Jeruzalem, nabrali gałęzi palmowych i wyszli naprzeciwko Niemu, a wołali: Hosanna, błogosławiony, który idzie w Imię Pańskie, król Izraelski*[1]. *A niektórzy Faryzeuszowie z rzesz rzekli do Niego: Nauczycielu nałaj uczniom twoim. Którym on rzekł: Powiadam wam, iż jeśliby ci milczeli, kamienie wołać będą*[2]. I stało się, że gdy po paru wiekach wpływu ducha pogańskiego, a później działania protestantyzmu, filozofizmu i racyonalizmu, przy końcu XVIII. w. ludzie „oświeceni" przestali wreszcie chwalić Pana Boga, Bóg wzbudził kamienie, które wydobywane z pod ziemi ciekawością ludzką, poczęły wołać „Hosanna", i opowiadać tajemnice wiary przyniesione przez tego, „który przyszedł w Imię Pańskie". Ile taki jeden kamień opowiedzieć może, ile zbawiennych prawd przypomnieć, ile wzniosłych uczuć obudzić, widzieliśmy; a kamieni takich są setki i tysiące.

Ks. Eustachy Skrochowski.

[1] Jan XII. 9—13.
[2] Łuk. XIX. 39—40.

NOWOŻYTNY RACYONALIZM BIBLIJNY.

Zwrot do studyów biblijnych. — Deiści angielscy. — Deiści i ateiści francuscy. — Racyonalizm niemiecki: Bluźnierczy pamflet Reimarus'a wydany przez Lessinga, Semler, Eichhorn, Paulus. — Reformator racyonalizmu niemieckiego Strauss.

Nadzwyczajne postępy i zdobycze jakie dziś czynią nauki nad zamierzchłym Wschodem: asyryologia, egiptologia i t. p. zwróciły też, rzecz naturalna, wiele umysłów do głębszych studyów nad Biblią i historyą biblijną. Z jednej strony racyonaliści, zaprzeczający z góry wszelkiemu objawieniu, szukają w tych nowych naukach materyałów do swego rozkładowego dzieła, — z drugiej katolicy i inni poważni badacze konstatują z zdumieniem jak dalece te odkrycia rozjaśniają i historycznie potwierdzają opowiadanie biblijne.

Jestto dla nas powodem rzucenia okiem nieco wstecz, na początki i rozwój tego racyonalizmu biblijnego, który nie od dzisiaj się datuje. Już w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej podobny bój nad zwojami Pisma św. się toczył. Na zaczepki Marcyona, Celsa, Porfiryusza, Juliana Odstępcy, Gnostyków, Manichejczyków — odpowiadali zwycięsko: Tertulian, Orygenes, Cyryl Aleksandryjski, Hieronim, Augustyn i inni. Po cztero-wiekowej walce wyszedł Kościół zwycięsko, i przez przeciąg kilkunastu wieków Biblia uznawaną była, bez sporu, za księgę objawioną. Na schyłku dopiero wieku zeszłego poczęto odgrzebywać szczątki starego pogańskiego racyonalizmu.

Nowożytni racyonaliści wystąpili przeciw Biblii z równą gwałtownością jak i starzy, a nadto z bogatym zasobem naukowym, jaki im nowsze odkrycia przyniosły; w swych zaś konkluzyach poszli dalej aniżeli ich poprzednicy, zaprzeczali nietylko księgom świę-

tym ich nadprzyrodzonego pierwiastku, lecz nadto starali się umniejszyć ich wartość historyczną. Przyjrzeć się tej walce, jaką nowożytny racyonalizm wydał Pismu św., będzie przedmiotem niniejszej pracy [1].

Racyonalizm dzisiejszy, to mąż wyrosły z dziecięcia, które zrodził i wykołysał Luter. Na pierwszy rzut oka twierdzenie to zdawałoby się paradoksem. Ojciec pseudo-reformacyi XVI. w. wierzył w piekło i niebo, w Bóstwo Chrystusowe, w łaskę, w proroctwa i cuda — racyonalizm zaś zalicza to wszystko do rzędu bajek i mitów; Luter posunął wiarę w inspiracyę ksiąg świętych aż do śmiesznej ostateczności, czcił Pismo św. do bałwochwalstwa — racyonaliści odrzucają *a priori* wszelki nadprzyrodzony pierwiastek, a pogarda Pisma Bożego z ich strony dosięgła bezrozumnego sceptycyzmu. Ale nie trudno znaleźć pomost łączący te oba kontrasty; nie trudno z jednej ostateczności stoczyć się w drugą. Protestantyzm dawny uważał każde słowo, każdą literę, każdy znaczek Pisma jako natchniony od Boga, lecz myśl Bożą wyrozumieć każdy bez wyjątku miał prawo, każdy był dla siebie najwyższą nauczycielską powagą. Bibliochwalstwo połączone z wykluczeniem tradycyi i wolnym wykładem Pisma stało się zawiązkiem rozkładu. I nie dziw — bo jeśli cała wiara nasza na biblii tylko się opiera, toć zapytać należy o podstawę samejże biblii, udowodnić Boski jej początek, wiarogodność, inspiracyę. Katolik wierzy nieomylnej powadze Kościoła i na jego opiera się nauce — ale dla protestanta Kościół ten nie istnieje, biblia, to jedyny pośrednik między nim a Bogiem. Cóż więc pozostaje mu na jej obronę? Nic — oprócz mniemanej w i d o c z n o ś c i jej Boskiego początku i natchnienia. Tą też papierową tarczą chciał zastąpić Luter wszelkie inne dowody. Ale nowożytny protestantyzm słusznie odrzucił ten zwietrzały cement, brakiem którego runął cały gmach wiary protestanckiej; pozostawało rozsadzić tylko pojedyńczo sterczące ściany, usuwając z nich podwaliny — dokonali tego racyonaliści.

Ziemia angielska okazała się najstosowniejszą do pierwszych próbek racyonalizmu. Już w roku 1551 widział się kościół państwowy zmuszonym, wydać potępiający wyrok przeciw tym, którzy utrzymywali, że każdy winien pozostać w tej sekcie i w tych za-

[1] Ob. „Les livres saints et la critique rationaliste“ p. F. Vigouroux, 1886.

sadach, które sobie raz obierze, jeżeli tylko chce żyć według światła rozumu. Orzeczenie to kilkakrotnie jeszcze powtarzane, niewiele skutkowało, gdyż w roku 1646 *Rationalists* (sekta powstała z independentów i prezbiteryanów) głośno oświadczają, że prawdy w Piśmie św. o tyle mają wartość, o ile rozum sam o nich nas poucza. W tym właśnie duchu powstał pierwszy obrońca naturalizmu w literaturze angielskiej, Herbert, baron z Cherbury. Jakkolwiek nigdzie on w pismach swych nie odrzuca wprost objawienia nadnaturalnego jako niemożebnego, występuje przecież wszędzie przeciw niemu, dając wyraźnie do zrozumienia jego niewykazalność. Co bowiem, pisze on [1], przyjmuje się od innych jako objawione, to już nie jest objawieniem, ale podaniem, historyą. Ponieważ zaś prawdziwość podania czyli historyi zależy od wiarogodności opowiadającego, dlatego objawienie pisma świętego może mieć tylko cechę prawdopodobieństwa. Cuda i proroctwa w tym względzie żadnej większej powagi nie przyczyniają. Tomasz Hobbes poszedł dalej. Według niego państwo i Kościół zlewają się w jedną całość. Społeczeństwo zowie się państwem, o ile poddani jego są ludźmi, Kościołem zaś, o ile są chrześcijanami. Powszechnego Kościoła nie ma, tyle jest kościołów, ile jest państw. Rządzący państwem jest zarazem głową chrześcijan, stąd Pismo święte wtedy staje się regułą, obowiązującą dla wiary chrześcijańskiej, jeżeli od panującego jako prawo kościelne (kanon) potwierdzonem zostanie. Późniejsi racyonaliści starali się osłabić ten bizantynizm anglikański, Locke mianowicie, jakkolwiek trzyma się głównych zasad Hobbes'a, doczesne tylko rzeczy porucza pieczy państwowej, co się tyczy sumienia i duszy, mówi on, państwo ani od Boga ani od ludzi nie otrzymało do tego prawa.

Locke chce ratować główne podstawy chrześcijaństwa. Powstaje w swojem dziele *The Reasonableness of Christianity as delivered in the scriptures* (1695) przeciw tym, którzy upadek rodzaju ludzkiego zaprzeczają a Jezusa tylko jako nauczyciela naturalnej religii uważają. „Chrystus jedynie, pisze on [2], może nam zapewnić życie wieczne. Abyśmy zaś tego życia dostąpili, potrzeba nam dwóch cnót: posłuszeństwa i wiary. Ponieważ jednak posłuszeństwo nigdy

[1] „De veritate" (ed. 1566) pg, 288 i 30[2].

[2] Essay of human understanding l. 4 c. 18, 2 i 18, 6.

zupełnie doskonałe być nie może, wiara więc jest najwięcej potrzebną, ona bowiem zastępuje to, co posłuszeństwu nie dostaje". Lecz skoro przychodzi do pojęcia wiary, przemawia jako czysty racyonalista. Według Locke'go każde objawienie musi być widocznem dla rozumu, a stąd widoczność, *evidentia*, jest miarą rzeczywistego objawienia; inaczej zaginęłoby źródło wszelkiego poznania. Rozum tedy każdego pojedyńczego człowieka jest najwyższym sędzią, czy jaka prawda została objawioną, i jak tę prawdę pojmować należy; rozum zatem stoi ponad wiarą.

Toland obrał sobie inny punkt wyjścia. Według niego religia jest tylko moralnością, moralność zaś sasadza się na normie postępowania, *the reason of the things*, której mentorem jest rozum, stąd z samego rozumu rozwija się wiara i ustanawia religia, objawienie nie jest potrzebnem. Co się tyczy biblii, naturalnie to tylko przyjętem być może, co rozum uzna za prawdziwe. Pomijamy tu innych racyonalistów angielskich, żaden z nich nie stworzył osobnej szkoły, ani też nowych nie wprowadził hipotez, wszyscy obracali się w kółku tychże samych błędnych pojęć, jeden Dodwell (1742) stanowi wyjątek, utrzymując, iż między rozumem a wiarą ciągła panuje sprzeczność. Anglicy dalej nie poszli, poszanowanie, jakie Biblia wzbudzała w całym narodzie odbierało odwagę zachciankom najskrajniejszych racyonalistów do wstępnego boju przeciw jej autentyczności; w ostatnich dopiero czasach dygnitarz kościoła anglikańskiego nie sromał się wstąpić na tę drogę. Dr. J. W. Colenso, biskup w Natal, wyuczywszy się języka Kafrów postanowił przetłumaczyć Biblię na ich język. Za współpracownika przybrał sobie nawróconego przez siebie Kafra. Dr. Colenso opowiada w swem dziele „Pięcioksiąg" [1], iż pierwsze trudności, jakie się mu przedstawiły w Piśmie św. pochodziły od jego towarzysza, były zaś następujące: „Do arki Noego miały wejść wszystkie zwierzęta? Głos Mojżesza i Jozuego miał być słyszanym od trzech milionów ludzi? Trzech kapłanów miało wystarczać do składania ofiar, a każdy z kapłanów miał spożywać dziennie 88 gołębi"? Trudności te były nierozwiązalne dla biskupa anglikańskiego i były powo-

[1] „The Pentateuch and Book of Joshua critically examined" by the Right Rev. J. W. Colenso, Bishop of Natal. London 1862, 1863.

dem, iż wysnuł stąd wniosek, że Biblia nie jest księgą natchnioną od P. Boga. Odrzuca tedy autentyczność Starego Testamentu, a jakkolwiek przyjmuje Nowy, tłumaczy go po swojemu. A najprzód Chrystus był tylko człowiekiem, stąd wynika, że chociaż się powoływał na Mojżesza, nie przysporzył pewności twierdzeniom tego ostatniego, jako bowiem człowek mało wykształcony, wiedział zaledwie to, co wówczas utrzymywano, a co dopiero późniejsza krytyka wykazała jako błędne. Najskrajniejsi racyonaliści i odstępcy nie poszli dalej. Chrześcijańska Anglia z oburzeniem przyjęła wycieczki swego niegodnego biskupa, prasa zagraniczna, nawet taka liberalna *Revue des Deux-Mondes* nie może wyjść z podziwienia jak Dr. Colenso na tak słabych podstawach mógł zaprzeczać jeden z najważniejszych dogmatów religii chrześcijańskiej.

Podczas gdy w protestanckiej Anglii racyonalizm obudzał w kołach filozoficznych wielkie zajęcie, w katolickiej Francyi nie znajdował on uznania, a jedyny jego przedstawiciel w owym czasie (1647—1706) Piotr Bayle przez samychże protestantów potępiony został jako ateista. W dziełach swych Bayle wikła się ciągle w sprzecznościach. Raz utrzymuje, że rozum jest jedynem źródłem i sędzią prawdy, to znów przyrównywa go do proszków gryzących, które uzdrawiają wprawdzie ranę ale niszczą kości, czyli że rozum często sprzeciwia się niektórym wnioskom, które niegdyś za prawdziwe uznawał. Zresztą sam Bayle wydał bardzo niekorzystne świadectwo o swem głównem dziele *Dictionnaire historique et critique*; mówi o niem: *c'est une compilation informe, composée d'articles cousus les uns à la queue des autres.* Francya nie wydała, właściwie mówiąc, racyonalistów, nie przechodziła ona stopniowania, Encyklopedyści odrazu są ateistami. Pisma racyonalistów angielskich, które Wolter po powrocie swym z Anglii (1726 - 1728) rozpowszechnił w kraju, nie wywołały wpływu w szerszych kołach francuskich, płytka tylko i niedorzeczna egzegeza Encyklopedystów, podsycana sarkazmem i cynizmem wszeszła na skażonem sercu, i wyrodziła niedowiarstwo francuskie. Dopiero około połowy tego wieku, utworzyła się we Francyi szkoła, która obrała sobie za zadanie negatywną krytykę Biblii. Właściwie nie była ona szkołą francuską, lecz po prostu niemiecką. Reuss, Colani, Réville, Michał Nicolas, Scherer, Kayser, Orth, Bost i t. d. byli w istocie przedstawicielami nowej

szkoły Tybingskiej. Wydawali oni w piśmie swem: *Revue de théologie*, to tylko, co już dawniej i lepiej omówione było w Niemczech.

Samoistnie na pozór występuje Renan. Ponieważ imię jego pozyskało ogromną wziętość w obozie racyonalistów, pomówimy o nim osobno. Jednakże przedtem musimy się zapoznać z właściwymi racyonalistami, oni bowiem systematycznie i z całym przyborem naukowym przeprowadzili swój wykład, Renan był tylko ich kompilatorem.

Ojczyzna protestantyzmu stała się matką i karmicielką racyonalizmu biblijnego. Już w drugiej połowie XVIII. w. niemieccy uczeni wołali z Fryderykiem II., że Luter tylko do połowy zdarł zasłonę zabobonu, *bibliolatrja* coraz mniej już miała prozelitów. Księgi Pisma św. zdjęte z ołtarza stanąć musiały — u sądowych kratek. Zrazu Wetstein w r. 1751 wydał po grecku N. Testament, wprawdzie bez naruszenia *textus recepti*, ale z licznemi waryantami, które zamieścił w przypisach i notach. Było to ciche preludyum do właściwej melodyi, maskarada przed jawnem wystąpieniem. Już w trzy lata potem ukazał się N. Testament Griesbacha z tekstem przerobionym podług krytycznych zapatrywań autora, bez uwzględnienia nawet poprzednich edycyj. Przedtem jeszcze, bo w r. 1746 panteista Edelmann utrzymywał, że wcielone Słowo Boże to świat; Pismo St. Zakonu to zbiór bajek ułożonych przez Ezdrasza — Nowy zaś Testament, napisany dopiero za czasów Konstantyna W., nawet historycznej nie może mieć wartości. Bahrdt r. 1784 inną wymyślił opowieść: Chrystus jest, podług niego, wychowankiem tajnego związku spiskowych, którzy wyuczyli go roli Mesyasza i nieznanych dotąd nikomu sposobów cudownego uzdrawiania[1]. Ale tacy uczeni jak Edelmann lub Bahrdt, były to tylko nieszkodliwe forpoczty, ślepemi strzelające nabojami.

Wrogiem niebezpiecznym, bo wytrwałym i zaciętym był dopiero Nicolai, redaktor *Niemieckiej Biblioteki Powszechnej (Allgemeine deutsche Bibliothek)* od r. 1765—1792 i następnie od r. 1800-1805 tegoż pisma pod odmienną tylko nazwą *Nowej Biblioteki*. Czterdziestoletnia, skryta a systematyczna praca, nie chybiła celu — 256 tomów *Biblioteki* świadczy o bogatem żniwie siejby

[1] Dr. Bahrdt, Briefe über die Bibel im Volkstone 1782.

racyonalistycznej. Dość to jedno zaznaczyć, że odtąd zamiast Ewangelii, agronomia i przepisy hygieniczne stanowiły całą treść kazań ludowych [1].

W tym czasie i wśród takiego społeczeństwa pojawiły się nagle słynne „Fragmenty z Wolfenbüttel". Autorem ich był Samuel Reimarus, profesor filozofii, zmarły w Hamburgu r. 1768. Pozostałe po nim rękopisy p. n. *Schutzschrift für die vernünftigen Verehrer Gottes,* zużytkował Lessing, piastujący podówczas urząd bibliotekarza książęcego w Wolfenbüttel. Pierwszy urywek wydrukował on w r. 1774, p. t. *Fragmente eines Ungekannten* — resztę w latach 1777 i 1778. Lessing w religii, z imienia tylko był chrześcijaninem; we filozofii spaczone miał pojęcia i najniezdrowsze zasady. W jednem ze swych pism (przeciw Götze'mu) mówi on: „Luter wybawił nas z jarzma tradycyi, — któż nas wyswobodzi z jarzma litery!" Sam podjął się tego zadania wydawaniem Fragmentów. Bardzo zręcznie zabrał się do dzieła. Fragmenty powoli i stopniowo dążyły do negacyi Objawienia. Pierwsze zeszyty obudziły powszechne zajęcie, wiedziano bowiem, iż ich wydawcą jest Lessing, pomawiano go nawet o autorstwo. Wrażenie wzrastało w miarę wydawania dalszych numerów, wreszcie z pojawieniem się siódmego Fragmentu, który nosił tytuł: „Plan Jezusa i jego uczniów", wzburzenie umysłów w Niemczech doszło do swego zenitu. Paszkwil ten był nietylko najzuchwalszem bluźnierstwem, wymierzonem przeciw Bóstwu Jezusa Chrystusa, lecz targnął się nawet na jego święty charakter człowieczy — Lessing przedstawia Pana naszego, jako prostego agitatora politycznego. Chrystus występuje jako polityczny reformator Izraela — Jan Chrzciciel podmówiony przezeń popiera jego zamysły czynną agitacyą. Jezus ze swej strony podburza lud przeciw zwierzchności, i upojony tryumfalnem wjazdem do Jerozolimy, zbyt daleko posuwa się w swej śmiałości, dopuszczając się publicznego gwałtu w świątyni. Krok ten przyprawił go o zgubę. Odtąd goryczą i żalem wezbrało mu serce a usta w godzinie zgonu szepczą skargę przeciw Bogu. Apostołowie roznosząc wieść o mniemanem zmartychwstaniu mistrza, otoczyli go

[1] Vigouroux t. I. p. 16—17.

aureolą bóstwa i rozbudzoną weń wiarę spożytkowali do przeprowadzenia swych zamysłów.

Takie niecne wywody po raz pierwszy odbiły się o uszy chrześcijańskiego świata, sami uczeni protestanccy zaniepokojeni potępili te niedorzeczne i niegodziwe wybryki. Semler radził zamknąć autora w domu waryatów, Strauss nazwał jego postępowanie *ein unhistorisches und unphilosophisches Verfahren* [1]. Jednakże ponieważ instygatorem pamfletu był Lessing, używający wielkiej sławy w całym kraju, ponieważ z natury swojej protestantyzm jest racyonalistycznym, stąd apologeci protestanccy: Ernesti, Semler, Henke, „sądzili, jak się wyraża X. Vigouroux, że ocalą okręt rzucając w morze maszt i żagle, liny i balast". Ustępstwa przodowników protestanckich nie ocaliły korabia, odroczyły tylko jego konieczne rozbicie.

„Litera, pisze Lessing, nie jest duchem, biblia nie jest religią. Nie dlatego objawienie jest prawdziwe, że je opowiadali Apostołowie i Ewangeliści, lecz dlatego je opowiadali, że jest prawdziwe. Wewnętrzna jego prawda rozstrzyga o prawdziwości podań pisanych". Apologeci protestanccy zgodzili się na to ustępstwo [2], — dla uratowania chrześcijańskiej religii poświęcili inspiracyę biblijną. Rozpołowiono objawienie na dwa różne i niezawisłe od siebie składniki: teologię i religię. Można było zburzyć pierwszą, lecz nie wolno było naruszać drugiej. Wszystko co nas podnosi i uszlachetnia, wszystko co nam serce dyktuje, oto rdzeń Chrystusowej religii, oto skarb, którego mól nie zniszczy, złodziej nie ukradnie. Wszelki zaś dogmat, wszelką powagę pisma, wiarogodność świadectw, pewność dowodów, oddano na pastwę racyonalistycznej krytyki. Z całej więc religii pozostało tylko jakieś mgliste, nieokreślone uczucie. Była to skarbona bez skarbu, łupina bez jądra, ciało bez ducha. To pierwsze ustępstwo pociągało koniecznie następne. Jeżeli Pismo św. ma być traktowane na równi z innemi pomnikami historycznemi — jakim sposobem obronić zdarzenia nadnaturalne, proroctwa i cuda opowiadane w Biblii; jeżeli sam P. Bóg nie gwaran-

[1] *Strauss*, Leben Jesu, Einleit. §. 8.

[2] „Una eademque ratio interpretandi communis est omnibus libris, in quocumque argumento occupatis". *Ernesti*, Instit. Interpr. N. Test.

tuje nam ich prawdziwości — autorowie opowiadający je, nie mogą być dla nas dość wiarogodnymi świadkami. Z kolei rzeczy należało odrzucić cuda i proroctwa. Odrzucono je nie bez pewnych szkrupułów, przedstawiała się bowiem tu trudność wielkiej doniosłości. Czyż można przypuścić, żeby prorocy i wszyscy inni autorowie biblii byli oszustami, ich słowa — obłudą, ich czyny — kuglarstwem? Takie zadaje sobie pytanie Eichhorn i na nie odpowiada: Nie, żadną miarą. Czytając biblię przekonywamy się o szczerości autorów, oni nie chcieli nas oszukać, lecz myśmy ich źle zrozumieli. Semler[1], profesor w Halli od r. 1752 tłumaczył już w jakiem znaczeniu należy brać wyrażenie o opętanych w Piśmie św., są to po prostu chorzy, epileptycy, obłąkani, kobiety histeryczne. Na tej podstawie Eichhorn buduje pogodzenie niemożebności cudów z prawdomównością świadków. Stary Testament pisany był na Wschodzie, w czasach kiedy pojęcia nie były określone ścisłą, filozoficzną terminologią, zastępują je oryentalne obrazy, metafory, przypowieści. I tak Mojżesz opowiadający o stworzeniu Adama, miał tylko na myśli zjawienie się pierwszego człowieka na ziemi. Wyjęcie żebra Adamowego i utworzenie zeń Ewy ręką Bożą, to tylko sen naszego protoplasty, opowiedziany w Księdze Rodzaju. Owoc zakazany mieścił w sobie truciznę, której skutkiem była choroba śmiertelna i dziedziczna. Głos zaś Boży: „Adamie gdzie jesteś?“ — był w rzeczywistości hukiem grzmotu obijającego się po raz pierwszy o ucho człowieka[2]. I tak dalej, w tenże sposób przechodzi Stary Testament, Nowego jeszcze nie śmiał zaczepiać. Metoda ta, zwana „interpretacyą historyczną“ znalazła poklask w protestantyzmie niemieckim, przyczyniał się do tego głównie tajny związek, założony przez Semlera w Berlinie, pod nazwą: „Stowarzyszenie ku rozszerzeniu światła i prawdy“. To światło i ta prawda zależały na obaleniu wiary w Objawienie. Wszystkie niemal wszechnice protestanckie w Niemczech głosiły zasady Semlera, niedowiarstwo występowało groźnie, zaczęto się obawiać wywrotów społecznych, wdała się w sprawę władza świecka. Fryderyk Wilhelm II. król pruski, wydał znany edykt religijny (1788). Na jakiś

[1] Einleitung in die dogmat. Gottesgelehrsamkeit.

[2] Eichhorn, Repertorium für biblische und morgenländische Literatur t. IV.

czas zażegnano złe. Kant oskarżony przed królem o współudział, starał się uniewinnić, sprowadzając kwestyę na inne pole. Kant uznaje Objawienie, lecz tylko to, jakie daje rozum. Prawdy głoszone przez religię są prawdami naturalnemi, wskazanemi przez rozum; są one niezależne od ich głosicieli, stąd wszelkie kwestye historyczne odnoszące się do proroctw, cudów i żywota samego Założyciela religii winne być zaniechanemi. Filozof królewiecki stawiając na miejscu religii moralność, chciał przytem ratować formy religii państwowej. Próżne były jego usiłowania. Wpływ jaki wywarł Kant w uczonym świecie niemieckim był ogromny; jego „interpretacya moralna“ zyskała uznanie wszystkich prawie teologów protestanckich, lecz pomijanie milczeniem Pisma św. nie zostało przyjętem, bo przyjętem być nie mogło. Mówić o religii, a nie wspominać Biblii, zwłaszcza w protestantyzmie, gdzie ona stanowi jedyny fundament wiary, było rzeczą niemożliwą; stąd też uczniowie Kanta zmuszeni byli powrócić do jej komentowania. Jeden z najwybitniejszych jego uczniów, Eberhard Gottlob Paulus (1761—1850) profesor teologii protestanckiej w uniwersytecie Jeneńskim ważną i wpływową odegrał tu rolę.

Dotąd utrzymywano w szkole racyonalistycznej, że cudów nie było, Paulus idzie dalej i twierdzi, że cuda są niemożebne. P. Bóg okazuje swą wszechmocność, mądrość i dobroć naturalnym biegiem zdarzeń, nie zaś nadnaturalnym od nich odstąpieniem. Nie mogło leżeć w zamiarach P. Boga wstrzymywać i zamieszać działalność praw, które sam ustanowił, stąd żadne zdarzenie opisane w Piśmie św. nie może być nadnaturalnem, i przy bliższem rozebraniu rzeczywiście niem nie jest. Poczyna Paulus komentowanie Pisma św. Na próbę przytaczamy wytłumaczenie cudu na godach Galilejskich. Chrystus zaproszony był na obchód weselny. Idąc za zwyczajem przyjętym u Żydów składania podarunków nowożeńcom, Chrystus postanowił ofiarować im beczułkę wina, lecz w takich okolicznościach aby podarunek nabrał rozgłosu. Wziął z sobą pięciu swych uczniów, nie spodziewano się ich całkiem w Kanie, stąd nic dziwnego, że wina wkrótce zabrakło. Zakłopotanie gospodarzy udzieliło wiadomość wszystkim obecnym. Wówczas Chrystus do stągwi przeznaczonych na wodę kazał nalać rzekomo wody, rzeczywiście zaś wina przyniesionego przez siebie w darze. Wino było dobre

i wszyscy z poklaskiem przyjęli tak szczególny sposób składania podarunku. Był to tylko objaw dobrego humoru, *ein Zug der freien Humanität Jesu*, jak się wyraża Paulus, i nic więcej. Z tej próbki można powziąć wyobrażenie jak teolog protestancki traktuje Pismo św. Paulus odrzuca Objawienie, odrzuca proroctwa i cuda, lecz chce utrzymać Biblię i ratować pozory przynajmniej jej autentyczności. Taki ma cel jego tak zwana „Interpretacya psychologiczna", która chociaż tak mdłe miała podstawy i wywody, w swoim czasie wielkie zyskała powodzenie. Nawet Szyller w historycznych prelekcyach swoich, podług jego teoryi wyjaśniał posłannictwo Mojżesza.

Na tym punkcie stał racyonalizm w Niemczech, skoro w obozie jego pojawił się najzacieklejszy wróg Chrystusowej wiary; był nim Dr. Dawid Fryderyk Strauss (1808—1874). Otoczenie, w jakiem pozostawał Strauss w latach swych młodocianych niekorzystny wywarło wpływ na jego zasady religijne. Ojciec jego co do zewnętrznych form religijnych surowym był rygorystą, w praktyce jednak żadnych nie miał zasad, żadnego nie znał hamulca. Przeciwnie zaś matka lubo wcale nie należała do gorliwych praktykantek protestantyzmu, obdarzona jednak wyższemi przymiotami umysłu i serca budziła szacunek swem postępowaniem. W dojrzalszym wieku z tego pojedyńczego faktu wyprowadził wniosek ogólny, iż religia i moralność nie pozostają z sobą w ścisłym związku.

W trzynastym roku życia umieszczono młodego Straussa w seminaryum w Blaubeuren. Tu wszedł w związki przyjaźni z Christianem Märklin'em. W tym czasie kredyt racyonalizmu w Niemczech mocno był nadwerężony, pomimo propagandy Göthego, „wielkiego poganina", jak go nazywano. Niegodziwości i mordy popełnione przez rewolucyonistów francuskich, klęski wojny i spustoszenia dokonane przez wojska Napoleona wstrzymały rozwój racyonalistyczny, a nawet pchnęły Niemców w kierunek pietyzmu i spirytyzmu. Dwaj młodzi przyjaciele ulegli temu wpływowi; Jakub Böhme stał się ich ideałem. Strauss zaznajomił się z Justynem Kernerem, uczonym badaczem magnetyzmu, a jasnowidząca z Prevorstu budziła w nim najżywsze zajęcie. Przepowiedziała mu ona była że zawsze pozostanie wierzącym. Strauss nie zapomniał tej wrzekomej przepowiedni, i dlatego w późniejszym czasie z tem większą gwałtownością wy-

stępował przeciwko spirytyzmowi, i w ogóle przeciw wszelkim objawom nadprzyrodzonym.

Jednym z profesorów seminaryjskich był Christian Baur, przyszły założyciel wpływowej szkoły racyonalistycznej; otóż wykłady jego a oraz Fenomenologia Hegla dokonały przewrotu w głowie Straussa — w sercu bowiem co innego zapewne zgniliznę szerzyło.

Skończywszy studya uniwersyteckie, udał się Strauss do Berlina, aby tam przez czas niejaki uczęszczać na słynne wykłady Schleiermachera, które ściągały liczny poczet słuchaczy. Schleiermacher był głębokim myślicielem, mistrzem słowa, a przytem nadzwyczaj zręcznym sofistą. Fałsz z prawdą, niewiara z kolorytem religijności, panteizm z materyalizmem splatały się w jego wykładach w tkankę tak powabną, tak umiały poruszyć najszlachetniejsze struny serca ludzkiego, iż mogły złudzić męża nawet wierzącego, a cóż dopiero mówić o dwudziestoletnim młodzieńcu mającym nabitą głowę chaosem filozofii heglowskiej!

Pod wpływem Schleiermachera, Strauss dojrzał na zupełnego niedowiarka, jednakże niedowiarstwo swoje pokrywał płaszczykiem niecnej obłudy: przyjął posadę pastora a następnie profesora teologii w Tybindze. Wszystkie jego publiczne przemowy tak były budujące, taką nacechowane religijnością, iż nikt nie byłby się domyślił, że ów gorliwy profesor, ów pobożny kaznodzieja, właśnie w tym czasie przygotowywał do druku Życie Jezusa. Nawiasowo wspomnieć tu wypada, że Strauss przy każdej sposobności nie omieszkiwał przywdziewać maski wierzącego a przynajmniej niewinnego. W mowie mianej do swych wyborców na sejm Frankfurcki w r. 1848, uniewinnia się z zarzutów jakie mu czyniono; nie miał on całkiem zamiaru rugować wiarę u ludu, pisał swe dzieło jedynie dla teologów, „aby przyjść w pomoc tym, którzy są dręczeni wątpliwościami". Ile było w tem prawdy i szczerości, okazuje najlepiej treść i sam tytuł dzieła, które wydał niebawem: *Das Leben Jesu für das deutsche Volk.*

Rok 1835 był epoką tak dla Straussa jak i dla całego protestantyzmu: W tym roku przyszedł na świat w Tybindze, płód kilkoletniej jego pracy p. t. *Das Leben Jesu kritisch bearbeitet.*

Strauss w swej egzegezie prześcignął wszystkich racyonalistów współczesnych, a jakkolwiek nie poniżył się do nędznego pamfletu

Reimarus'a, w negacyi jego samego nawet wyprzedził: wszystkie zdarzenia opowiadane w Biblii są dla Straussa „mitem", istnienie nawet historyczne Założyciela chrześcijanizmu zagadkowe i wątpliwe. Ukazanie się dzieła Strauss'a wstrząsnęło całe Niemcy, sam autor porównał jego wyjście do strzału groźnie alarmującego spokojnych mieszkańców przedmieścia. Uczeni i nieuczeni zrozumieli, iż jeżeli Chrystus nie istniał, chrześcijanizm czczą jest tylko nazwą, katedry teologów i posady pastorów śmiesznemi synekurami, nauczanie bowiem moralności, które zastąpiło wykład dogmatyczny, nie ma żadnej podstawy a stąd i racyi bytu. Posypał się grad pism i odpraw, odsunięto Straussa od katedry profesorskiej, rzucono *anathema* na młodego a zuchwałego pastora; nie zwalczono jednakże wpływu jaki wywarło dzieło Straussa, racyonaliści protestanccy zwalczyć go nie byli w stanie, Strauss pobijał ich bowiem własną ich bronią.

Racyonaliści tak angielscy jako i niemieccy byli deistami: nie przyjmowali objawienia zewnętrznego, rozum bowiem, według nich, był dostatecznem światłem i źródłem prawdy; odrzucali cuda, albowiem utrzymywali, iż nadprzyrodzone zdarzenia sprzeciwiają się mądrości P. Boga; przyjmowali jednak Biblię jako dzieło wielkiej powagi historycznej, jako księgę świętą nawet, lecz którą na mocy dwóch poprzednich pewników mogli tłumaczyć według swego widzimisię. Strauss wystąpił przeciwko tym sprzecznym zapatrywaniom racyonalistów, a odprawa jaką im dał, była zwycięską.

Przyjąwszy Boga osobowego, nie można przeczyć udziału jaki bierze w zdarzeniach tego świata, pozwalając na naturalny a przez siebie przepisany bieg wypadków, lub też wstrzymując go według swej woli, skoro człowiek w wielu razach tak postępuje. Jakim prawem, według jakiej logiki wolno usuwać z opowiadań biblijnych rzeczy cudowne, nadprzyrodzone, które tam są jasno i wyraźnie jako takie wypowiedziane! „Skoro z opowieści cudownej wyruguje się pierwiastek nadprzyrodzony i boski, a pozostawi się resztę jako prawdę historyczną, wówczas koniecznie przypuścić należy obłudę i samozwańczość. Jeżeli nie sam Bóg zstąpił na górę Synaj by dać przykazania, a nadto jeżeli przyjmiemy, (jak to czynią wykładacze cudu sposobem przyrodzonym), że góra otoczona była chmurą, że pioruny i trąby dały się słyszeć, wówczas należy koniecznie wnioskować, że Mojżesz był wielkim szarlatanem, a przynajmniej nader

zręcznie umiał korzystać z przypadkowej burzy dla spełnienia swych zamiarów!... Jeżeli nie sam Bóg rzucał gromy na górze Synaj, skądże wiemy, że były gromy i błyskawice? Jeden i tenże sam autor zapewnia nas o jednem i drugiem; skoro przyjmujemy drugie, jakiem prawem odrzucamy pierwsze?“ [1].

Nie ulega wątpliwości, że Strauss zupełnie słusznie zarzucał zwolennikom Paulusa nielogiczność, słusznie również występował przeciw Reimarusowi, jak o tem już wyżej wspomnieliśmy, ostateczny jego jednak wniosek przechodził swą skrajnością wszystkie dotychczasowe przeczenia: Strauss odrzucał autentyczność Pisma św. Wniosek Straussa nie wypływał z jego wywodów, lecz był wynikiem przesłanek, jakie sobie *a priori* za pewnik postawił.

Strauss był uczniem Spinozy i Hegla, panteisty i ateisty, co według zasad Hegla da się zupełnie pogodzić. Ponieważ nie ma Boga osobowego, nie może być zatem ani cudów, ani objawienia, nie może być żadnych ksiąg inspirowanych, a że Biblia uważana jest za taką, Biblia zatem nie jest dziełem autentycznem, nie ma nawet, z powodu opowiadanych tam cudów, zwykłej wartości historycznej. Bez wartości jednak nie jest, ma dla nas wartość mityczną.

W końcu ostatniego stulecia Christian Gottlob Heyne traktował bardzo obszernie rzecz o mitach na katedrze w Getyndze. Mit, albo bajka mitologiczna zawiera bardzo cenne materyały, pouczające o rozwoju religijnym i filozoficznym ludów pierwotnych. Ubóstwo języka, ograniczona udolność, oraz nieznajomość przyczyn i sił przyrody, dozwalała tym ludom w obrazach tylko i przenośniach myśl swoją wyrażać. Oto początek baśni i mitu, oto źródło historyi i filozofii [2]. Historycznej wartości mity nie mają żadnej, ale za to wyższą, bo etnologiczną. Z mitu bowiem wnosimy o stopniach umysłowego i moralnego rozwoju narodów. W ślady Heynego poszli: Hermann, Kreuzer i Ottfried Müller w kierunku przeważnie religijnym — nie naruszając jednak religii objawionej. Inni a przedewszystkiem Wolff i Niebuhr zastosowali mitologiczną

[1] Strauss, Die christliche Glaubenslehre etc. pp. 67, 68, 69.

[2] *A mythis omnis priscorum hominum cum historia tum philosophia procedit.* Appolodori Atheniensis Bibliothecae libri tres et fragmenta, curis secundis illustravit Heyne p. XVI.

teoryę do historyi szczegółowo wziętej, co obudziło nadzwyczaj żywą polemikę.

Niezadługo uczeni mitologowie przenieśli swe badania dziejowe na pole historyi biblijnej. Najznakomitszym z nich był *Wilhelm Martin Leberecht de Wette* (1780—1849) uczeń Paulusa. Sceptyczny wykład mistrza o cudach sprawił przewrót w duszy Wette'go, a choć nie poszedł całkowicie drogą swego mistrza, wyniósł jednak z jego wykładów negacyę nadprzyrodzoności. W tym właśnie czasie pojawiła się nowa hipoteza, utrzymująca, że Iliada nie jest dziełem Homera, ale zlepkiem rapsodów i pieśni ludowych; Wette nie mógł się oprzeć pociągowi nowości, i zastosował ją całkowicie do wykładu Pisma św., mianowicie do Pentateuchu.

Pięcioksiąg, według Wett'ego [1], jest zbiorem pism różnych autorów z różnych epok: najdawniejsze pochodzą z czasów Dawida, księga piąta pisaną była za Jozyasza, króla judzkiego; w późniejszym dopiero czasie zebrano i ułożono te części w jednolitą całość. Pisma te stanowią najświetniejszą epopeję życia narodowego Żydów, lecz prawda historyczna słaby tylko ma w nich odcień. Mężowie, o których tam mowa, albo zupełnie nie istnieli, albo nie byli takimi jak są przedstawieni. Są tam tylko typy: Abraham jest ideałem religii, Mojżesz ideałem teokratyzmu, cudowne zdarzenia są balladami i złudnemi obrazami, świetnie skreślonemi przez poetów. Nie należy szukać w Pięcioksięgu historyi, ale znaleźć w nim można dobrze odtworzony stan umysłów ówczesnej epoki. Pełno w nich poezyi, pełno idealnych charakterów, wzniosłych pojęć, głębokich myśli i uczuć, więc też i prawda w nich żyje odbiciem ducha narodu [2]. W zastosowaniu systemu swego, de Wette ograniczył się na samym tylko St. Zakonie i przyznawał nawet, iż żadną miarą nie da się zastosować do Nowego, powstał on bowiem w okresie już dziejowego rozkwitu [3].

Strauss pierwszy wprowadził teoryę mitu do Nowego Testa-

---

[1] De Wette, Dissertatio critica, qua Deuteronomium a prioribus Pentateuchi libris diversum alius cujusdam recentioris auctoris opus esse monstratur Jena 1805.

[2] De Wette, Beiträge zur Einleitung in das alte Test. 1806—1807.

[3] De Wette, Kurzgefasstes exegetisches Handbuch zum Neuen Test. Berlin 1836—1848.

mentu. Po obszernym rozbiorze znaczenia mitu w ogóle, przystępuje szczegółowo do jego zastosowania. Wywody Straussa dadzą się streścić w niewielu słowach. Skoro pojęcia, dążności i pragnienia jakiego narodu dojdą w pewnej chwili do swego górującego punktu, wówczas krystalizują się i skupiają w danej jednostce, która tym sposobem przedstawia typowy charakter epoki — zdarzenie zaś i osobistości, które tam występują są m i t a m i: Chrystus właśnie i opowieści ewangieliczne są tego rodzaju mitami. Pisarze żydowscy różnych czasów wzniosłemi poezyami starali się podnosić posłannictwo narodu swego do szczytu ideałów, tłumacze po synagogach utrzymywali go ciągle na tych wyżynach, nadeszła wreszcie pora, w której gorąca wyobraźnia ludu wzięła górę nad rozumem, i w Chrystusie uznała spełnienie swych pragnień. Położywszy takie podwaliny, przechodzi Strauss do rozbioru szczegółowego N. Testamentu: roztrząsa wszystkie jego opowieści jednę po drugiej. Zaznacza trudności, usiłuje wykazać sprzeczność w opowiadaniu Ewangielistów i brak znamion historycznych. Wywody Straussa są skierowane głównie przeciw Paulusowi i jego szkole; względniejszym jest dla Reimarus'a, nie pisze się jednakże na jego wnioski [1]. Nie będziemy tu streszczać wszystkich jego poglądów i tłumaczeń; jeden, drugi przykład dostatecznie rzecz objaśni.

W czasie narodzenia Jezusa, lud żydowski wyglądał właśnie z upragnieniem przyjścia Mesyasza. Zrazu szczupła tylko garstka poznawała go w małym Jezusie. Lecz powoli w skutek rozgorączkowanej fantazyi ogółu i powszechnego pragnienia, garstka wierzących wzrastała z dniem każdym. Uprzedzenie z góry powzięte sprawiło, że w osobie Jezusa widziano spełnienie wszystkich proroctw, urzeczywistnienie wszystkich typów St. Za-

[1] Strauss właściwie pozornie tylko nie zgadzał się z wnioskami Reimarus'a; w pierwszych już swych pismach polemicznych mówi wyraźnie: „Seiner Macht über die Gemüther, mit welcher vielleicht auch eine physische Heilkraft verbunden war, gelangen Curen, die wir uns etwa durch Analogie der magnetischen Kraft zu verdeutlichen wagen" etc *Drei Streitschriften zur Vertheidigung meiner Schrift über das Leben Jesu* etc. Tübingen 1838. III., p. 152.

Później przez mit rozumiał zupełnie co innego, bo nawet u m y ś l n e zmyślanie *(Absichtliche Dichtungen)*, szczególnie gdy ono znalazło już oddźwięk wiary u ludu. *Leben Jesu für das Deutsche Volk:* p. 159.

konu. Głośnem było po całej Palestynie, że Jezus jest rodem z Nazaretu. Ale że przepowiednia Micheasza musiała sprawdzić się na nim, potrzeba więc było wymyśleć legendę o podróży do Betlejem i o Jego narodzeniu w betlejemskiej stajence. Pamiętano dobrze gniewną odpowiedź Jezusa, gdy Faryzeusze cudów od niego żądali. Jednak trzeba było koniecznie znaleźć w nim te cuda: bo Mesyasz nie mógł być słabszym od Mojżesza, i prorocy szczegółowo je przepowiedzieli. Cała treść Ewangelii z góry naszkicowana była w St. Testamencie. Wystarczało zatem trochę barwniku wyobraźni, trochę zapału pierwszych chrześcijan, aby wykończyć te ogólne zarysy i nadać im połysk świeżości. Co do zmartwychwstania, Strauss nie godzi się z Reimarus'em, żeby Apostołowie mieli wykraść martwe ciało Jezusa, ani z Paulusem, że śmierć Jego była tylko letargiem, po którym nastąpiło przebudzenie, — według niego, Chrystus rzeczywiście zmartwychwstał, ale tylko w wyobraźni swych uczniów, którzy z myślą o śmierci mistrza w żaden sposób pogodzić się nie mogli. Więc zmartwychwstanie Jezusa, to fenomen ducha ludzkiego, to fakt psychologiczny, to wytwór fantazyi ludowej, czyli m i t we właściwem tego słowa znaczeniu.

Trzy więc główne czynniki złożyły się na utworzenie ewangielicznych mitów: idea mesyańska objawiająca się u pisarzy Starego Zakonu, bezpośrednie oczekiwanie jego przyjścia w chwili narodzenia się Jezusa, i wiara że Jezus był właśnie oczekiwanym Mesyaszem.

Dzieło Straussa napisane z niezaprzeczonym talentem, pomimo chwilowego rozgłosu, nie otrzymało uznania od uczonych racyonalistów. Zarzucają mu, iż usiłował jedynie wykazać czem Chrystus nie był, lecz czem był nie tłumaczył. Nie był krewnym Jana Chrzciciela, nie czynił cudów, nie ustanowił Najświętszego Sakramentu, nie przepowiedział swej śmierci ani zmartwychwstania: wszystkie zdarzenia, które się łączą z Jego żywotem, narodzenie, chrzest, kuszenie na puszczy i inne są tylko mitami. Jeden z głośnych racyonalistów taką daje ocenę dochodzeń Straussa [1]. „Zastosowanie teoryi mitycznych do Ewangielii nie posiadało gruntownej podstawy, nie było usprawiedliwione żadną krytyką historyczną. To właśnie już najsłabszy punkt w wywodach Straussa. Jego rozbiór historyi ewan-

[1] *A. M. Fairbairn* The Contemporary Review 1876 p. 977.

gielicznej nie jest oparty na krytycznem zestawieniu opowieści Ewangielistów. Pytania odnoszące się do ich pochodzenia i ich wiarogodności, omówione są zaledwie kilku frazesami. Przypuszcza lecz nie dowodzi, że czas między wypadkami a ich spisaniem był dostateczny do wytworzenia mitu. Ta ważna usterka pociąga za sobą inne. Strauss zupełnem milczeniem pomija świadectwa wielkiej doniosłości św. Pawła; nie rozumie tego, że właśnie z powodu tych świadectw zanadto bliscy jesteśmy źródła, i mity w tym krótkim czasie w żaden sposób powstać nie mogły. Nic nie wie a przynajmniej nie wgląda w rozterki pierwotnego Kościoła: jeżeli istniało rozdwojenie między Chrześcijanami pod względem niektórych punktów, to zgoda co do innych daje nam przekonywający dowód ich rzeczywistości... wszystkie te braki i usterki złożyły się na to, że teorya mityczna zastosowana przez Straussa do Ewangelii upaść musiała za pierwszem dotknięciem analizy pod brzemieniem własnych hipotez".

Takie były przedwstępne kroki i pierwsze próby Straussa; zobaczymy niebawem, iż poszedł dalej, podniósł przyłbicę i z całą bezczelnością wypisał na swym sztandarze zagładę chrześcijaństwa. Tymczasem wzrastał i potężniał posiew niewiary w Niemczech; poeci, filozofowie, naturaliści, każdy w swej specyalności bili taranami w mury twierdzy Chrystusowej.

Poeta pruski Fryderyk Sallet (1812 — 1845) pobudzony dziełem Straussa wyjaśniał znaczenie N. Testamentu teoryą Hegla[1]. Wszystko jest owem wiecznem stawaniem się heglowskiem. Wcielenie jest to jednoczenie się Boga z człowiekiem, Wniebowstąpienie jest znowu jednoczenie się człowieka z Bogiem i t. d., i cała Ewangielia tłumaczona jest temi panteistycznemi pojęciami.

[1] „Laïen-Evangelium". Leipzig 1842. 2-gie wyd. 1845. I u nas w Polsce niedawno dopiero okwitł peryod hegelianizmu. „Haliczanin" „Przegląd naukowy", „Rok" i inne czasopisma występowały w obronie modnego panteizmu. Mieliśmy „polskiego Hegla" w Majorkiewiczu. Znalazło się jednak dość oponentów, chociaż najczęściej niezręcznie biorących się do dzieła. Zresztą najznakomitsi nasi hegliści: Józef Kremer i Karol Libelt wprawdzie niekonsekwentnie, ale z tem większą swą chlubą wytrwali pod sztandarem wiary. Tylko Trentowski najoryginalniejszy z wszystkich, łącząc nie-awoźność z niewiarą zaprzeczył Chrystusowi Bóstwa i nazwał Go tylko „wielkim myślowym i jaźniowym człowiekiem". Straussowska idea antybiblijna i w ogóle duch krytyki racyonalistycznej nie znalazł u nas zwolenników.

Bruno Bauer [1] przyjmuje mity Straussa, lecz posądza samych Ewangielistów o ich wynalazki. L. A. Feuerbach (1804 — 1872) tem się nie zadawalniał, chciał on „położyć kropkę nad *i* wynalezione przez Straussa". Ta jedna kropka przybrała ogromne rozmiary [2]. Religia jest dlań pierwiastkiem z ł y m w s w e j i s t o c i e, wampirem, wysysającym najlepsze soki człowieka. Cała teologia, to tylko antropomorfizm: bo Bóg i człowiek identyfikują się — więc w porządku ontologicznym nie ma Boga a sam tylko człowiek istnieje. *Quisque sibi Deus* [3]. Całą zaś istotę człowieka stanowi jego pokarm. *Was der Mensch isst, das ist er.* Stąd Max Stirner wywodzi ostateczną konkluzyę: „Z wszystkich ludzi, tym którego znam i kocham najwięcej, jestem ja sam. Moje *ja* — to mój katechizm. Robię co chcę i co mi sprawia przyjemność [4]". Oto i gotowy zawiązek socyalizmu i radykalizmu, który się rozwinął i dojrzał w „Rocznikach Halli" *Hallische Jahrbücher für Kunst und Wissenschaft* 1838—1842, redagowanych przeważnie przez Arnolda Ruge. Jego *Przegląd* zakazany w Dreźnie i Berlinie, szerzył w Paryżu a potem w Londynie zasady humanitarnego kosmopolityzmu na gruncie skrajnej demokracyi.

Pod względem religijnym Ruge jest poprawną i uzupełnioną edycyą Straussa. Chrześcijaństwo jest dlań naśladownictwem buddaizmu. Postać Jezusa — to mit, a raczej symbol walki świata z ciemnością, dnia z nocą, wiosny z zimą i t d. Nie ma Boga, ni grzechu, ni sankcyi pośmiertnej [5]. Przeczenie w połączeniu z zuchwałem bluźnierstwem miało swój wyraz w Daumer'ze. Jehowa Starego Zakonu, to Moloch Fenicki pochłaniający w sobie pierworodne dziatki [6]. Z czasem zastąpiono krwawe ofiary z ludzi bydlęcemi

[1] „Kritik der evangelischen Synoptiker" 1841/42.

[2] „Das Wesen des Christenthums". Leipzig 1841.

[3] Hegel powiedział, że Bóg w człowieku przychodzi do świadomości siebie, a stąd religia polega na poznaniu tożsamości skończonego i nieskończonego bytu. Feuerbach zatem logicznie wywnioskował, że chrześcijańskie niebo jest chimerą, a każdy dla siebie bogiem. „Der Mensch ist Gott, und ausser den Menschen gibt es keinen Gott". Cf. „Die beiden Grundfragen der Gegenwart" v. Dr. Joseph Dippel I. Was ist der Mensch?

[4] „Der Einzige und sein Eigenthum". Leipzig 1845.

[5] Arnold Ruge. „Reden über die Religion" etc. Berlin 1869.

[6] G. F. Daumer. „Der Feuer- und Molochdienst der alten Hebräer, als urväerlicher, legaler, orthodoxer Cultus der Nation" 1842.

ofiarami. Chrystus dopiero wznowił kult Molocha — nakazał wstrzemięźliwość, kastracyę i ludożercze uczty. Judasz przejęty wstrętem, usunął się i zdradził tajemnice mistrza[1]. Między świętymi byli również ludożercy, jak św. Malachiasz irlandzki, św. Bernard, św. Franciszek z Asyżu i t. p. Rzecz jednak godna zastanowienia: fanatyczny wróg i prześladowca chrześcijaństwa, tworzył równocześnie hymny na cześć Boga-Rodzicy (r. 1840), a Matka łaski Bożej wyprosiła mu za to łaskę nawrócenia. Daumer został katolikiem a następnie wzorowym kapłanem. Umarł ze spokojem pełnym ufności i żywej wiary, w grudniu r. 1875.

Wreszcie filozofowie-przyrodnicy, Vogt, Büchner, Moleschott, Virchow, przyjmując ateizm za swą myśl przewodnią, w tym kierunku gromadzili swe prace i poszukiwania.

Deiści jednak niemieccy nie składali broni, szkoła Paulus'a przez Straussa pobita, uznała reformę za konieczną i częściowo przynajmniej przekształciła się w inną, tak zwaną szkołę Tybingską.

(Dok. nast.)

[1] *Idem.* „Die Geheimnisse des christlichen Alterthums". 1847.

X. A. Arnlt.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Polska XVI. wieku pod względem geograficzno-statystycznym opisana przez *Adolfa Pawińskiego*. Małopolska T. III. i IV. Warszawa 1886 r.

W 1883 roku rozpoczął prof. Ad. Pawiński wydanie ogromnego dzieła, mającego objąć Polskę XVI. wieku, na podstawie regestrów poborowych, odnoszących się do panowania Stefana Batorego. Pierwsze dwa tomy wydane w powyższym roku objęły Wielkopolskę, obecnie pojawiły się tomy 3-ci i 4-ty zawierające Małopolskę.

Regestra poborowe, które posłużyły do opisania Małopolski, wzięte zostały z okresu panowania Stefana Batorego, wyjątek stanowią powiaty: Lubelski i Urzędowski, dla których nie udało się autorowi odszukać wykazów z czasów bądź Batorego, bądź z późniejszych lat panowania Zygmunta Augusta, poprzestać zatem musiał na wykazach z 1531 r.

Małopolskę stanowiły trzy województwa: Krakowskie, Sandomirskie i Lubelskie.

Wprawdzie w XV. wieku przybyły jeszcze księstwo Siewierskie i trzynaście miast Spiskich. Ale księstwo Siewierskie zostało nabyte przez Zbigniewa Oleśnickiego i należało do biskupstwa Krakowskiego, starostwo zaś Spiskie dostało się tytułem zastawu, i leżało poza naturalnemi granicami Polski, dlatego pomija autor obie prowincye w swych uwagach odnoszących się do całej Małopolski.

Pierwsze starania autora zwrócone były ku dokładnemu obliczeniu rozległości pojedyńczych powiatów Małopolski. Jako mate-

ryał posłużyły mu: topograficzna karta Królestwa Polskiego z 1839 r., wykonana pod kierunkiem gen. Richtera i mapy wiedeńskiego Wojskowo-Geograficznego instytutu. Pomagali w tej pracy autorowi pp. *H. Merczyng* inżynier komunikacyj i *Stopele* geometra.

Na podstawie tych nowych obliczeń rozległość Małopolski ustanowioną została na 1013,$_{15}$ mil geograf. kwadr., księstwa Siewierskiego na 11,$_{03}$ i starostwa Spiskiego na 22 mil kwadr.

Otrzymane rezultaty pomiarowe porównywa autor z dawniejszemi obliczeniami Moszyńskiego z 1790 r. i Friedericha z 1839 r. Liczby otrzymane przez Moszyńskiego okazały się bardzo małej naukowej wartości, obliczenia zaś Friedericha bardzo nieznacznie się różnią od świeżo dokonanych, albowiem podług tego ostatniego Wielko i Małopolska mają razem obejmować 2.059,$_{52}$ mil kwadr., podług zaś nowszych obliczeń przypadałoby 2.064,$_{75}$ mil kwadr.

Wielkopolska pod względem rozległości bardzo mało różniła się od Małopolski, zawierała bowiem 1.051,$_{60}$ mil kwadr., ale składała się z 8 ziem i województw z 29 powiatami, kiedy Małopolska składała się z 3 województw i 17 powiatów. Na początku XVI. wieku były w Małopolsce jeszcze dwa powiaty: Szydłowski i Tarnowski, z których pierwszy został następnie przyłączony do Wiślickiego, drugi do Pilzneńskiego. Średnia rozległość powiatu Małopolski wynosiła 59,$_{5}$ mil kwadr. Największym był powiat Sandomirski, wynoszący 114,$_{23}$ mil kwadr., najmniejszym powiat Księski z 27,$_{77}$ mil kwadr.

Po przedstawieniu rozległości województw i powiatów składających Małopolskę, przechodzi autor do przedstawienia liczby parafij, miast, wsi i wszelkich osiadłości.

W Małopolsce było ogółem parafij 922, średnio zatem wypadała jedna parafia na 1,$_{09}$ mil kwadr. Najwięcej ich było, bo prawie co pół mili (parafia na 0,$_{52}$ mil kw.), w powiecie Proszowskim, najmniej w powiecie Urzędowskim, w którym zaledwie na cztery niemal mile jeden kościół parafialny wypadał (1 parafia na 3,$_{98}$ mil kwadr.)

Miast było ogółem w Małopolsce 205, czyli jedno przypadało na 4,$_{9}$ mil kwadr. Ten sam prawie stosunek był w Wielkopolsce, bo tam na 1051,$_{60}$ mil kwadr. było 247 miast, czyli średnio przypadało w niej jedno miasto na 4,$_{2}$ mil kwadr. Najwięcej stosun-

kowo miast było w powiecie Stężyckim (1 miasto na 2,9 mil. kwadr.), najmniej w powiatach: Szląskim (1 miasto na 9,4 mil. kwadr.) i Sandeckim (1 miasto na 8,9 mil kwadr.)

Wsi w Małopolsce liczy autor 5.500 do 5.550. Średnio na milę kwadr. wypada 5,3 wsi. Pod względem liczby wsi pierwsze miejsce w Małopolsce trzyma powiat Proszowski, przypada w nim bowiem średnio na milę kw. z górą dziesięć wsi (10,4), drugie miejsce zajmuje pow. Wiślicki z prawie dziesięciu wsiami (9,7). Najbiedniej przedstawiają się powiaty: Lubelski i Urzędowski (2,5 wsi na milę kwadr.) i Szląski (3,4 wsi). Dwa główne zbiorowiska osiadłych ludzi w Małopolsce są zatem powiat Proszowski i sąsiadujący z nim Wiślicki.

Prócz wsi postanawia autor dać także liczbę wszelkich osiadłości, rozumiejąc przez osiadłość najprzód t. z. powszechnie część, czyli sors, tj. pewien obszar gruntu, stanowiący zwykle odrębny folwarczek z osobnym dworem i pewną ilością kmieci pańszczyznianych; drugą kategoryę tworzą osiadłości szlachty drobnej, która kmieci nie miała. Autor obiecuje w tablicy 7 podać wszystkie osiadłości w każdym z 17 powiatów Małopolski, jednak znajdujemy w tej tablicy wykazaną liczbę tylko części, zagrody zatem szlachty bezkmieciowej zostały opuszczone, albo włączone do liczby części. Na liczbę ogólną 5455 wsi wylicza autor 2155 części, których wypada najwięcej w województwie Lubelskiem, bo 46,88% sumy ogólnej realności, najmniej w województwie krakowskiem, bo tylko 19,52%. Najwięcej zatem skupienia i zgęszczenia przedstawia własność ziemska w Krakowskiem, a najmniej w Lubelskiem.

Jako miarę uprawy ziemi i zaludnienia podaje autor liczbę łanów kmiecych. Małopolska posiadała pańszczyznianych łanów około 27—28.000, czyli 26,8 na milę kwadr. Wielkopolska liczyła w tej samej epoce daleko więcej, bo około 40.000 łanów, tak że górowała nad Małopolską pod względem ilości miast, wsi i łanów kmiecych.

Najwięcej łanów kmiecych na milę kwadr. liczył powiat Proszowski (62,7), Wiślicki (41,0) i Księski (40,1). Są to powiaty mające najżyźniejszą ziemię. Największa w nich też znajduje się liczba wsi. Najmniej łanów kmiecych liczyły powiaty na milę kwadr.: Łukowski (11,8), Lubelski i Urzędowski (17,3) i Sandecki (20,1).

Dla otrzymania liczebnej ludności wiejskiej wielkie przedstawiały się trudności, albowiem na 17 powiatów Małopolski tylko w trzech wykazaną jest, przy każdej wsi i osiadłości ilość zamieszkałych w nich kmieci. Jeszcze bardziej niedokładnemi są wykazy dla obliczenia ludności zagrodniczo-komorniczej, i przemysłowo-rzemieślniczej. Autor przyjmuje, że na 3 łany kmieci przypada jeden rzemieślnik i na tej zasadzie ludność wiejską przemysłowo-rzemieślniczą dla województwa Sandomirskiego oblicza na 4000, a dla województwa Lubelskiego na 1000 głów.

Dla otrzymania ogółu ludności wiejskiej w trzech województwach Małopolski posługuje się autor metodą użytą przez niego poprzednio dla obliczenia ludności wiejskiej Wielkopolski. Autor tam przyjmował na każdy łan kmiecy 11 głów, na każdego zagrodnika, komornika i rzemieślnika wiejskiego po 4 głowy, na każdy folwark szlachecki, duchowny i królewski po 11, i na każdą parafię miejską, wraz ze służbą po 6 głów. Tym sposobem wypadło dla całej Małopolski ludności miejskiej ogółem 510.000 głów, czyli średnio na milę kwadr. 500—505 głów miejskich. Dla sprawdzenia dokładności swojego obliczenia podaje autor ludność wiejską województwa Krakowskiego i Sandomirskiego z 1662 r. Po dodaniu 20% na dzieci do 10 lat wieku, wypadło dla 1662 r. 596.000 głów ludności obu województw, a ponieważ dla okresu 1569—1581 roku otrzymał autor 437.411 głów, przeto otrzymana przez niego liczba zaludnienia dla epoki Stefana Batorego, wielkie ma za sobą cechy prawdopodobieństwa.

Ażeby otrzymać ludność miast w Małopolsce używa do tego autor podatku zwanego „szosem". Autor przyjmuje, że 1 złotówka szosu wyraża średnią liczbę 4 do 5 dymów miejskich, na które zatem przypada około 24 głów. Tego mnożnika użył był autor do obliczenia przybliżonego 247 miast Wielkopolski i wypadło średnio 700 dusz na jedno miasto Wielkopolski. Podług wyżej przyjętej normy ludność miast 3 województw Małopolski wynosiłaby 156.284 głów

dodając dla Krakowa . . . 16.000 „

wypada razem . . . . . 172.284 „

czyli średnio na 1 miasto 800 głów.

Dla ocenienia dokładności powyższego obliczenia przytacza autor zaludnienie miast w Małopolsce, w 1662 r., według regestrów pogłównego.

Miasta województwa Krakowskiego, liczyły 41.148 głów, województwa Sandomirskiego 31.231. Dodając do liczb powyższych dzieci do 10 lat wieku i biorąc liczby okrągłe, ludność wojew. Krakowskiego wynosiłaby 50.000, województwa Sandomirskiego 40.000 głów. Za Batorego miało być podług autora w pierwszem 90.000 miejskich głów, a w drugiem 70.000. W sto lat zatem po Batorym, w drugiej połowie XVII. wieku, nietylko liczba ludności miejskiej nie pozostała na tej samej wysokości, ale nawet spadła. Tłumaczy się to tem, że wiek XVII. jest dobą upadku miast, w skutek najazdu Szwedzkiego i wojen Kozackich.

Porównywając pod względem zaludnienia Małopolskę z Wielkopolską, niższość pierwszej okazuje się w większej ilości osad, jakie znajdują się w Wielkopolsce, bogatsze od Małopolski o całe 800 wsi. Stąd też na milę kwadr. wypada głów wiejskich w Małopolsce 500, w Wielkopolsce zaś o 150 więcej, czyli prawie 650 na milę kwadr. Wskazówka ta prowadzi autora do wniosku, że w Małopolsce mniejsze obszary były pod uprawą, że mniejszą rozległość ogarnął lemiesz rolnika, że większą niż w Wielkopolsce rozległość obejmowały bory, lasy i nieużytki. Różnica zaludnienia w XVI. wieku między Mało a Wielkopolską pochodziła w znacznej mierze z rodzaju gruntu, który w Wielkopolsce, ogółem biorąc, był wdzięczniejszym dla pracy rolnika niż w Małopolsce. Głów miejskich na milę kwadratową była prawie ta sama liczba w Wielko i Małopolsce, po 162—170.

Bardzo znaczną część wstępu poświęcił autor rozpatrzeniu stosunków własności ziemskiej. Autor rozróżnia dobra królewskie, dobra duchowne, wielką i średnią własność szlachecką, nakoniec zagrody szlacheckie.

Wiek XVI w Polsce stanowi w ogóle epokę upadku i zubożenia skarbu pod względem rozległości i bogactwa dóbr królewskich. W Małopolsce wsi królewskie stanowiły około 9% sumy ogólnej, czyli część jedenastą. Największa ich liczba była z prawego brzegu Wisły, w Stężyckim powiecie. Zwykle około grodów lub starostw znajdowały się kompleksy dóbr skarbowych. Skarb posiadający w Małopolsce 496 wsi, tylko zaledwie kilkunastoma zarządzał bezpośrednio przez swoich administratorów, i prowadził w nich gospodarstwo na swój własny rachunek. Znaczną część starostw i folwar-

ków oddali królowie w dożywotnie posiadanie dostojników lub w ogóle uprzywilejowanych przez siebie osób; pewną, lubo mniejszą część puszczał skarb w dzierżawę dożywotnią, inne znowu dobra przeszły w ręce prywatne jako zastaw, za sumy pożyczone skarbowi.

Wszystkie posiadłości stołu królewskiego w Małopolsce, gdyby w innych nie pozostawały rękach, dawałyby do skarbu dochodu 80.000 złotych. W Wielkopolsce dochód z tych samych źródeł obliczony był na 42.000 zł. Ale znaczna część tych dochodów znajdowała się w posiadaniu dożywotników, którzy opłacając tylko kwartę do skarbu wszystkie z nich zyski ciągnęli dla siebie i zwykle korzystanie z nich swym potomkom zapewnić się starali.

W dobrach duchownych więcej było porządku, zabiegłości i siły zachowawczej niż w dobrach królewskich. Marnotrawne rozpraszanie dóbr zdarzało się rzadko. W Małopolsce posiadało duchochowieństwo ogółem 772 wsi, 83 części i 28 miast. Z tej sumy ogólnej posiadał najwięcej biskup Krakowski, mianowicie 230 wsi, 9 części i 4 miasta. Dobra duchowieństwa świeckiego trzymały się w równej prawie mierze z dobrami klasztornemi różnych zakonów. Kraków z przyległemi trzema powiatami: Proszowskim, Szczyrzyckim, i Księskim był głównem ogniskiem, które skupiało około siebie instytucye kościelne zarówno duchowieństwa świeckiego jak i zakonnego. Najuboższem we władze duchowne było województwo Lubelskie. Dobra biskupie i kapitulne obejmowały podług obliczeń autora, około 70 mil kwadr. w Małopolsce.

Dobra kościelne przedstawiały pewne większe lub mniejsze kompleksy, nazywane państwem lub kluczem. Tak np. do biskupa Krakowskiego należały: państwo Muszyńskie, klucze: Kulecki, Bodzenciński, Kunawski, Sławkowski i inne. Posiadłości biskupstwa Krakowskiego były jakby wykrajane z obszarów znaczniejszych królewskich, powstawały albo w pośrodku, albo na krawędziach, jakby odpadki od większej całości. Arcybiskupi Gnieźnieńscy posiadali w Małopolsce Kurzelów z przyległemi wsiami. Jednak biskup Krakowski górował nad prymasem pod względem ilości wsi posiadanych. Do prymasa należał klucz Skierniewicki z około 130 wsiami, w województwie Łęczyckiem około 40 wsi, w powiecie Gnieźnieńskim wraz z innemi w Wielkopolsce było około 30 wsi, tak, że suma

ich wynosiła nie wyżej jak 200, kiedy biskup Krakowski posiadał z górą 230, nie licząc księstwa Siewierskiego.

Żaden klasztor, żadne opactwo nie mogło się mierzyć z biskupstwem Krakowskim pod względem ilości wsi, żadne z nich, nawet w połowie lub trzeciej części dorównać mu nie mogło. Najbogaciej uposażony w dobra ziemskie klasztor Sandecki Klarysek posiadał tylko 48 wsi na własność. Po nim szły klasztory: Miechowski i Jędrzejowski.

Przechodząc do przedstawienia dóbr szlacheckich, zaznacza autor, że jednowiekowa posiadłość szlachecka stanowi wydatną cechę zarówno Wielkopolski jak i Małopolski, tylko że w ostatniej przeważa bardziej wielka własność. Autor oblicza, że większa własność, skupiona w rękach króla, duchowieństwa i możnej szlachty, zabierała w Małopolsce z ogółu prawie 40%. Pozostałe przeto 60% przypadały na rzecz jednowioskowej posiadłości, czyli innemi słowy że większa własność ustosunkowała się w Małopolsce do drobniejszej jak $^2/_5$ do $^3/_5$.

Z posiadaczy ziemskich w Małopolsce górował nad wszystkimi z wielkiej własności książe Konstanty Ostrogski, wojewoda kijowski, którego włości z górą 80 wsi obejmowały. Te znaczne dobra wziął ks. Konstanty po żonie swej a córce Jana Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana W. Kor. i po jej bracie Janie Krzysztofie, zmarłym bezpotomnie. Główny rdzeń posiadłości ks. Ostrogskiego, spadkobiercy hetmana Tarnowskiego, stanowiły dobra w pilzneńskim powiecie.

Drugie miejsce po Tarnowszczyznie, w szeregu wielkich właścicieli, należy się Spytkowi Jordanowi, kasztelanowi Krakowskiemu z 33 wsiami. Dalej idą Zborowscy (30 wsi), Komorowscy (29), Szafraniec (22), Stanisław Tarnowski kaszt. Sandomirski (22) wsi. Własność większa w Małopolsce rozpostarła się szerzej, wybujała więcej, konarami swemi pokryła ogromne przestrzenie, i względnie do Wielkopolski zostawiła mniej bez porównania miejsca dla jednowioskowej szlachty.

Drobnej szlachty zagrodowej było najwięcej w powiatach graniczących z Mazowszem tj. w Stężyckim i Łukowskim. Wsi szlachty drobnej były zwykle około grodu, w otoczeniu dóbr klasztornych i możnowładczego rodu, budzą zatem domysł, że powstały z kró-

lewszczyzn. Przedstawiają się one jakby były wykrajane z dóbr królewskich, rozłożonych około grodu, grodziska lub zamku obronnego. Ziemia Łukowska odznacza się szczególną obfitością wsi szlachty bezkmieciowej. Będąc na kresach, wyciągnęła całą obronną linię od Wschodu, skąd zagrożona być mogła, wtedy gdy od Zachodu tj. od tyłu miała granice bezpieczne, bo opierające się o Mazowsze.

Autor zwraca uwagę na dwa rysy historyczne, rzucając światło na dzieje powstania i rozwoju szlachty zagrodowej, najprzód że ukazuje się ona w pobliżu wsi królewskich, zgrupowana około zamku obronnego, a powtóre, że występuje w większej ilości na całej linii obronnej danej ziemi lub powiatu.

Typową formą własności ziemskiej w Wielko i Małopolsce jest mniej lub więcej znaczny obszar ziemi, stanowiący całość gospodarczą, nazywany wsią. Rozpada się ona zwykle na dwie części: na folwark dworski i należące do niego grunta, i na osadę wiejską, czyli samą wieś, złożoną z kmieci i zagrodników. W Wielkopolsce przypada średnio 5–6 łanów kmiecych na jedną wieś, w tej samej proporcyi przypada także 5 łanów w Małopolsce. W obu ustalił się także prawie ten sam stosunek gruntów kmiecych do folwarcznych, tj., że chłopskie razem wzięte bywały nieco obszerniejsze od dworskich. Ale w Małopolsce daleko częściej ukazują się kombinacye dwu i trzywioskowej własności, aniżeli w Wielkopolsce, a prócz tego mniej niż w tejże Wielkopolsce spotyka się rozdrobnienie i podzielenie jednowioskowych cząstek.

Przedstawiliśmy czytelnikom główne rezultaty podane przez autora we Wstępie do t. III-go. W dalszym ciągu tego tomu znajdujemy:

Spis alfabetyczny właścicieli ziemskich w wojew. Krakowskiem w 1581 r. i także spis dla wojew. Sandomirskiego z różnych lat. Dalej znajdujemy wykaz wsi zamieszkałych całkowicie lub częściowo przez szlachtę zagrodową, i wykazy geograficzno-statystyczne, na podstawie regestrów poborowych, województwa Krakowskiego z r. 1581, wojew. Sandomirskiego z 1569—1579 r. i wojew. Lubelskiego z 1531 r. (powiaty Lubelski i Urzędowski) i z 1552 i 1580 r. ziemi Łukowskiej.

W t. IV-tym dzieła znajdujemy spisy dodatkowe poborów

i pogłównego z XV., XVI. i XVII. wieku; dalej spis alfabetyczny miejscowości na stu stronnicach i nakoniec, niezamieszczony w spisie przedmiotów: regestr pogłównego wojew. Lubelskiego 1676 r.

Podług ostatniego okazuje się, że w wojew. Lubelskiem (prócz ziemi Łukowskiej) w r. 1676 ludność wszelka miejska i wiejska wynosiła przybliżenie około 58.500 głów. W tej liczbie było ludności miejskiej około 11.000 głów.

Kończąc nasze sprawozdanie o tak ważnem i obszernem dziele, którego dalszych tomów z wielką niecierpliwością oczekujemy, musimy zwrócić uwagę wydawcy na niektóre niedokładności, które wcisnęły się do Wstępu. I tak na str. 10 (9 wiersz od dołu) powiedziano, że powiat Szydłowski został przyłączony do Sandomirskiego, kiedy następnie na str. 14 (12 w. od góry) dowiadujemy się, że ten powiat został włączony do Wiślickiego. Dalej w Tab. 3 (str. 15) wydrukowano wojew. Krakowskie zamiast wojew. Poznańskiego. W Tab 7 (str. 28) stosunek t. z. części do całości został niedokładnie obliczony, nie można bowiem stosunku dwóch liczb do siebie oznaczać procentami, tylko ich stosunek do sumy ogólnej. Powinno zatem być dla wojew. Krakowskiego 19,52% dla wojew. Sandomirskiego 28,60%, i dla wojew. Lubelskiego 46,88%. Nie wymieniamy innych drobnych pomyłek drukarskich lub rachunkowych, których usunięcie z tak poważnego i cennego dzieła byłoby bardzo pożądanem.

Witold Załęski.

Nowelle. Napisał *Michał Bałucki*. Kraków 1887. Nakład Żupańskiego i Heumanna.

Co to mówią, że żaden pisarz nie może się wynieść ponad swój wiek?! Najlepszy dowód, że tak nie jest, to że p. Bałucki swój wiek najzupełniej prześcignął. Dziś w całej sztuce, a szczególnie w powieści, wiek realizmu, wiek podglądania natury, przedstawiania żywcem ludzi i wypadków jakiemi są w rzeczywistości, bez oglądania się na inne cele i względy. Ale p. Bałucki, przeczuwając widocznie, że w XX. wieku umysły zwrócą się ku idealizmowi, pisze już teraz powieści idei: idee swoje ubiera we fraki i siermięgi i każe im deklamować swoje teorye.

Nie kładę nacisku na pierwszą i ostatnią nowellę tej książki: Głowa swoje a serce swoje — i Szpital waryatów. Pierwsza jest sobie powiastką, na tle dosyć banalnym attrakcyi przeciwieństw w miłości, ale zgrabnie i z wdziękiem opowiedzianą. Druga jest chryją przeciwko głupotom naszych

czasów, w temacie, który już nieraz był opracowany, z większą niż tu finezyą i głębszą filozoficzną myślą.

Ależ ta Panna Walerya, pieszczotka p. Bałuckiego, czyż nie jest wymuskana, jak mowa Cycerona *pro Milone*, obrana z wszelkich naleciałości prawdy i życia, a złożona z samych czynników idee autora wyrażających: szwaczka, pochodząca z obywatelskiej familii podupadłej, ale nie żałująca przeszłości, pracowniczka znakomita, form wykwintnych, uczuć romantycznie delikatnych, otoczona patryarchalną familią krewnych i powinowatych, modniarek, maszynistów, introligatorów, z których każdy wzorowo pracuje, żaden nie trwoni ani pije; a przytem tak zacięta demokratka ta panna Walerya, tak obraźliwa na punkcie zacności pracy i czci, jaka się jej od wyższych klas należy, że w chwili kiedy jest po uszy zakochana w narzeczonym, zrywa z nim nieodzownie, z powodu jednego głupiego słowa jego matki, z niewiadomości powiedzianego!

Pogrzeb przyjaciela jest także w podobny sposób z idei skonstruowany: z tą tylko różnicą, że w Pannie Waleryi postać „pracująca“ wyidealizowana do przesady, tu „hrabiowie“ szarżowani pokładem farby co najmniej dwucalowym. Wszelki rodzaj brzydoty w nich się mieści: śmieszne pretensye, przesadne formy, podłość duszy, obluda wyrafinowana, chciwość, zepsucie i na dobitek szkaradne świętoszkostwo. Zresztą i w „Pannie Waleryi“ świat „hrabiów“, acz mniej uwydatniony, temi samemi rysami się odznacza.

Nie ma co mówić; obrawszy kierunek idealny, p. Bałucki ma prawo przypisywać swym kreacyom, co mu się żywnie podoba.

Pictoribus atque poetis
Quodlibet audendi semper fuit aequa potestas.

Nie naruszając tego prawa, możemy się jednak zapytać, do czego p. Bałucki z swemi ideami dąży? Skoro zarzuca wyższym klasom oddalanie się niższych, kastowość, sobkowstwo, oczywiście dąży do zbliżenia klas, nawołuje do podania sobie ręki, do wspólnej pracy, chce urzeczywistnić „cudów cud“. — Ależ mój Panie, czy to droga do tego celu? czy „klasy pracujące“, naczytawszy się takich charakterystyk klas wyższych, zbliżą się do nich lub przypuszczą je do siebie z większem zaufaniem? czy ludzie wyższych stanów chętniej i łatwiej podadzą rękę niższym, kiedy będą wiedzieć, że są u nich opisani jak bohaterowie tych tu nowel? Doprawdy, jestto idealizm *sui generis*.

Szczęściem dla kontrastu, jest jeszcze w tej książce nowelka, już nie z idei, ale z natury wzięta. O ileż piękniejsza, milsza, prawdziwsza jest ta Stara Kasia od tamtych sztucznie urabianych figur! Poczciwa sługa, prosta, przywiązana, głęboko czująca... któż z nas takiej starej Kasi nie znał? — P. Bałucki dodał pod tytułem tej nowelli: „Fotografia z natury“. Widocznie czuł, że tym razem zamiast snuć z własnej fantazyi, naturę odzwierciedlał: i stąd wyszło mu z pod pióra coś zdrowego, pełnego życia, całkiem różnego od innych jego powieści. Jakżeżby to uprosić p. Bałuckiego, żeby raczej zawsze „fotografie z natury pisał?“

X. M. Morawski.

O filologii, przez *Józefa Kazimierza Plebańskiego.* (Odbitka z „Enklopedyi wychowawczej"). Warszawa 1866.

Miło to wyznać, że nie brak nam ludzi, których prace bierze się do ręki z tem przekonaniem, że znajdzie się tam, jeżeli nie coś nowego, to zawsze coś gruntownego. Do takich pracowników należy p. Plebański, zasłużony autor wielu dzieł i redaktor „Biblioteki Warszawskiej". To też nie bez korzyści przeczytaliśmy dopiero co wymieniony artykuł.

Autor podawszy na wstępie pojęcie filologii, określa w dalszym ciągu jej zakres, zaznacza główne punkta jej historyi i kończy poglądem na rozwój filologii w Polsce. Ten koniec zajmuje większą część artykułu i jest dla nas najważniejszy. Może i tu nie ma nic takiego, czegobyśmy skądinąd nie wiedzieli, ale przez to „skądinąd" należy rozumieć źródła, które nie każdy zna, nie każdy ma ochotę do nich zaglądnąć i nie każdemu chciałoby się tak mozolnie zgromadzić wszystko do jedności, jak to uczynił p. Plebański. Ta końcowa część pracy to nietylko „informacyjny" artykuł, napisany na podstawie gotowych podręczników, ale mozolne studyum, o jakiem lekki beletrysta nie ma wyobrażenia. Znajdzie tu czytelnik dzieje naszej pracy na polu filologii od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej, dzieje wprawdzie niebarwne, niecałkiem genetyczne i nie wszędzie zupełne, ale zebrane w jednę całość. Z dziejów tych okazuje się, że na tem polu niewieleśmy zdziałali, ale i niewiele mogliśmy zdziałać. W czasach humanizmu przyciągała nasz młody i świeży umysł, nie sucha filologia, ale artystyczny duch świata klasycznego. Nadeszła i chwila wytrzeźwienia, ale wtedy w Polsce o naukach już nie myślano. Nie spór Akademii z Jezuitami, ani nawet klęski, jakie na kraj spadły, są tego przyczyną, ale zdemoralizowanie społeczeństwa, które coraz bardziej zapominało o swych obowiązkach.

Nauki i sztuki, to płody ducha: upadają, gdy duch maleje, a duch nasz drobniał nie z przyczyn zewnętrznych, nie przez spory z Jezuitami, ale przez wadliwą organizacyę naszą państwową, przez samowolę i swawolę magnacką i szlachecką. Tu przyczyna wszystkiego złego. Nadeszła wreszcie i chwila upamiętania, chwila dźwigania się duchowego, zaczęły też i nauki się podnosić, ale wtedy straciliśmy już byt polityczny, a z nim i sposobność samodzielnego rozwoju. Wśród takich warunków nie mogliśmy prawie nic zdziałać dla filologii i, prawdę mówiąc — nie przyczyniliśmy się w niczem do jej podniesienia. Jeżeliśmy co zdziałali na tem polu, to tylko korzystając z pracy, którą już gdzieindziej podjęto. Może ten sąd wyda się zbyt surowym, ale zajmować się filologią, co myśmy do pewnego stopnia czynili, a zdobywać się na samodzielne prace, któreby się przyczyniały do podniesienia tej nauki, to zupełnie co innego. Takich prac w naszem piśmiennictwie bardzo mało, a i te zaczęły się pojawiać dopiero w ostatnich czasach. Nie przecenia też autor tej naszej filologii, śledzi tylko jej objawy i skrzętnie wszystko notuje. Do dodatnich stron artykułu należy zaliczyć jasność wykładu, czystość i piękność języka, razi tylko wyrażenie „z powyższego wynika", co zdaje mi się, nie jest w duchu języka polskiego. Autor rozumie przez filologię, jedynie filologię klasyczną, ale może dziś należałoby temu wyrazowi nakreślić obszerniejsze znaczenie i podzielić filologię na starożytną, czyli klasyczną i nowożytną albo nowoczesną. Przez tę nowożytną filologię nie rozumiemy lingwistyki,

którą autor słusznie oddziela od filologii, ale filologiczne traktowanie nowożytnych języków i ich piśmiennictwa. Do takiej filologii należałoby może zaliczyć wydawanie dawniejszych płodów literackich, objaśnianie ich i krytykę, gramatyczne opracowania każdego języka z osobna we szystkich epokach jego rozwoju i t. d. Taka filologia już dawno u nas poczęła stawiać pierwsze kroki aż wreszcie zdobyła sobie w świecie naukowym niepoślednie stanowisko, a skoro autor uznał za stosowne wspomnieć, choć mimochodem, o Kryńskim, Baudouin'ie, Karławiczu i Malinowskim, to nie godziło się pominąć Nehringa, który razem z Małeckim zajmuje na tem polu pierwsze miejsce przez swoje zasługi.

Szymon Matusiak.

Błędy nasze w mowie i pismie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy, zebrał *Aleksander Walicki*. Kraków i Warszawa 1886.

Jednym z największych skarbów dla każdego narodu jest jego język ojczysty. Ustrzedz go od skażenia, przechować w czystości a nadto wzbogacić nowemi zdobyczami stosownie do potrzeb i czasu, a zgodnie z duchem języka — oto zadanie i praca następujących po sobie pokoleń. Ale w tym dalszym rozwoju i ciągłem kształceniu narażony jest każdy język na zgubne wpływy cudzoziemszczyzny, wciąż nagaba go pokusa zapożyczania i przyswajania sobie nietylko pojęć ale i wyrazów u postronnych ludów. We Francyi, akademia pierwszorzędnej stolicy jest sędzią, strażą i wyrocznią w tej mierze. My, w gorszych postawieni warunkach, sami się o to troszczyć musimy, a dzięki zamiłowaniu ojczystej mowy, nie brak nam takich, co w obronie jej stają. Jednym z takich szermierzy jest p. Walicki. Praca obecna dowodem, że mu bardzo chodzi o czystość mowy ojczystej. Czytał wiele, spostrzeżone usterki notował skrzętnie, stąd twierdzenia jego nie są gołosłowne, ale poparte cytatami wybieranemi z autorów nieraz rozgłośnych, z czasopism poważnych, z gazet chciwie przez publiczność czytanych.

I w istocie większość wyrazów przez p. Walickiego napiętnowanych jak np. „apercepcya, banhof, czelność, ewenement“ i t. d. jest raczej skażeniem języka, niż jego bogactwem. Także i zwroty przezeń przytoczone, jak: „brać miejsce, dalej nie idzie, mam już dosyć, nastarczyć się“ i t. p. rażą cudzoziemszczyzną i nie dają się w żaden sposób przyswoić w naszej mowie.

Wytykając błędy napotkane p. Walicki często w sposób delikatny i zabawny chłoszcze nietrafny utwór; ale nie będąc zbytnio od natury obdarzony dowcipem, o wiele częściej unosi się zwąc takie zapożyczanie lub tworzenie wyrazów: „szpetotą, partactwem, bezwstydem, bezecnością“, a posługujących się takowymi: „szkodnikami literackimi, partaczami“ i t. p. Wielu oburzyło się i oburza na takie łajanie. Ale czy słusznie? Gdzie choroba głęboko zakorzeniona, tam potrzeba użyć radykalnych środków. Jak tu nie karcić i nie piorunować, kiedyśmy tak skłonni do tworzenia tanim kosztem nowych wyrazów, do „ubierania się w cudze piórka“ i kaleczenia swojej mowy ojczystej, że nawet najlepsi pisarze w tem grzeszą, kiedy nawet taki purytanin jak p. Walicki raz po raz ulega tej pokusie I tak gromiąc wyrazy jak: „aspiracya, dygresya, intensywny, gradacya, dotować i t. p.“, sam posługuje się takiemi jak: „szpalty“ (51), „reporter“ (225), „akcent, akcentować“ (233), „zupa“ (297),

„amputować" (333), „despotycznie" (333), „kursować" (365), „kampania" (391), „wotujący" (402), „protegować" (403), „kategoria" (404); chociaż mamy na wyrażenie tych samych pojęć nasze rodzime: łamy, sprawozdawca, przycisk, polewka, odjąć lub odciąć, samowładnie, być w obiegu, wyprawa lub wojna, głosujący, popierać lub opiekować się, dział. P. Walicki używa ich śmiało, chociaż żaden z tych wyrazów ani dosadniej nie maluje żądanego pojęcia, ani nie zawiera nowego odcienia.

Albo do jakiego działu: dziwolągów, partactw czy bezecności zaliczyć podobne wyrażenia jak „solowa partya" zamiast „jedno tylko grono", „łatać się" (51), skoro w polskiem słowo to przechodniem jest, „działać na szkodę języka", zamiast „ze szkodą", „udogodnienie" (223) miasto „ułatwienie", „wyrządzenie kalectwa" w miejsce skaleczenia" i t. p. Czemuż ma być barbaryzmem przymiotnik: beznadziejny, kiedy nim nie jest bezsensowny, lub rzeczownik: bezsensowność, przez autora używane. Równym błędem jest zganione przezeń: „dóm", „kóń", jak i „stós", „mórg", „zwrót", których używać poleca.

Widać z tego wszystkiego, że i tutaj prawdzi się najzupełniej *Beatus, qui non est lapsus verbo!* Trudno widocznie ustrzedz się podobnych błędów, zgromieni autorowie nie potrzebują się gniewać, bo w dobrem znajdują się towarzystwie; autor bowiem z pewną lubością przytacza znakomitszych pisarzy jak pp. Tarnowskiego, Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Spasowicza i t. p., owszem pod jednym z nimi pręgierzem staje sam *Cato severus* — p. Walicki!

Dalej autor potępia takie wyrazy jak: „kiedyindziej", „jako taki", „jeden i ten sam", „na czasie", „pływać" w znaczeniu „kłamać", „pojedyńczy" w znaczeniu *simple*, „poryw", „li tylko" i t. p. a dlatego, że jak powiada, wzięte są one żywcem z innego języka, najwięcej z rosyjskiego. Ależ nasz język jako należący do słowiańskich, ma prawo czerpać ze wszystkich pobratymczych mu języków, byle nie wyrażenia, które są właściwościami odnośnego języka; co innego bowiem „wzięte z rosyjskiego" a co innego „wyrażenie rosyjskie".

Nasz język jest żyjący, i sam p. Walicki wyznaje: że „jest rzeczą śmieszną, dziwaczną i szkodliwą, uporczywe zasklepianie się w samej przeszłości, „zadawalnianie się samem tylko przodków mieniem i odgradzanie się murem „chińskim od wszelkiego postępu. Owszem, jak dalej się wyraża, „zbrodnią „byłoby zakuć go w ciasną sznurówkę". Tymczasem język postępuje, rozwija się, bogaci nietylko tworząc nowe wyrazy, nowym pojęciom odpowiedne, ale nadając zgodnie z duchem języka nowe nazwy znanymi nazwanym już rzeczom, lub też szersze znaczenie, jak to we wyrazie „pojedyńczy" napotykamy, albo „pływać" użytym w przenośnem znaczeniu.

Dość częstym także dowodem na odrzucenie jakiegoś wyrazu u p. Walickiego jest: „Słownikarze o tem nie wiedzą!". Pomijając, jaką rolę odgrywają słowniki w stosunku do żyjących języków, radzibyśmy dowiedzieć się od autora, jakiegoto słownika trzymać się należy i kiedyto ukazał się u nas taki dykcyonarz, na którymby w zupełności polegać można — boć oczywiście nie jest nim słownik Orgelbrandta, któremu p. Walicki częstokroć wytyka grube błędy, a który mimo to jest jednym z najświeższych płodów w tej mierze.

P. Walicki z nieubłaganą też surowością ściga wszelki brak logiki, szyderstwem lub ostremi wyrazami piętnując każde zboczenie w tej mierze. Tymczasem sam tytuł i układ całej tej książki uderza nielogicznością. W jednej linii zestawione rzeczy tak różnorodne, jak błędy istotne i prowincyonalizmy,

które — jak sam autor wyznaje — dostarczają nam skarbów językowych. Czyż nie lepiej było połowę książki poświęcić usterkom a w drugiej pomieścić właściwości pojedyńczych dzielnic kraju naszego? Ale wtedy ucierpiałaby pono całość w alfabetycznym porządku, a to chyba ważniejsze niż zarzut nieloiczności.

Mimo tych wszystkich zarzutów nie odmawiamy wartości książce p. Walickiego, może się bowiem wiele przyczynić do zachowania czystości naszej mowy, mimowolnie lub i rozmyślnie narażanej na częste każenie.

Z. B.

Kilka wspomnień o X. Julianie Leszczyńskim, proboszczu Wielogłowskim, spisał *X. M. P.* Rzeszów. 1886. Nakładem autora.

Przed kilku laty, niebawem po śmierci X. Juliana, odmalował tę postać prof. Tarnowski w wspaniałym nekrologu. Obecnie kapłan i najbliższy, jak się zdaje, przyjaciel zmarłego, podaje nam wiązankę wspomnień drogocennych o tym niepospolitym człowieku. Szkoda, że autor poskąpił listów osobistych X. Juliana, których niezawodnie znaczny zbiorek musi posiadać; nic tak nie maluje człowieka, jak poufne listy bez przeczucia jawności pisane — lecz w tem szanować trzeba wierność dyskrecyi dochowanej po śmierci; — i z tych kilku urywków, jakie autor książeczki przytacza, znać czem był X. Julian Leszczyński. „Ja od dzieciństwa prawie uważany byłem za kandydata na księdza i wyróżniałem się i wyróżniali mnie“, pisze w jednym liście. Później ojciec stawiał mu przeszkody, lecz pobożna matka wybłagała, iż mu dozwolono wejść do seminaryum, skąd po drugim roku teologii wstąpił do Zgr. Bernardynów we Lwowie. Postać św. Franciszka w „Złotej Legendzie“ zachwyciła to serce — lecz wątły organizm fizyczny nie wytrzymał twardego życia — i nie te „trzy wory pokory“ o których mawiał mu mistrz nowicyuszów, ale choroba obłożna sprawiła, iż mu powiedziano: Bracie, tyś nie dla nas. Zwlókł habit, pożegnał klasztor, ale ducha zakonnego nigdy nie zbył, pisze X. M. P.

„Nie wypowiem ci, pisze w jednym liście, jak uroczo mnie usposabia każde wspomnienie na klasztor Leżajski. To coś tajemniczego. Szczególnie z każdą wiosną wrażenie to zenitu swego dosięga, bo właśnie wiosnę całą tam przepędziłem w drogiej mi sukni św. Patryarchy ubogich. Ileż to ja razy, zostawszy księdzem, porywałem się myślą do powrotu w to święte miejsce! Osobliwie każda Wielkanoc, mianowicie każde oficyum *Martyrum tempore paschali,* przypomina mi mój wiosenny nowicyat w Piaskach i barwy i dźwięki i wszystkie czary tameczne, które osiadły na zawsze w duszy mojej. Wspomnieniem sobotnej Litanii rozbroiłeś mnie do reszty. Sam przyznaj, czy może być w tym rodzaju coś śliczniejszego! O gdyby jeszcze tacy zakonnicy, jakich chciał mieć ulubiony mój Franciszek św., gdyby z tą poezyą chrześcijańską, jaka ich otacza, gdy we dwa rzędy klęcząc, śpiewają litanią przed owym cudownym obrazem, wątpię, czybyś mnie dziś widział w sutannie świeckiej“...

O zakonności Leszczyński zawsze miał wysokie pojęcia. „Niwa Kościoła, pisze między innemi, niegdyś cała zielona, chociaż wprawdzie szczuplejsza, z czasem zasunęła się cała piaskiem puszczy, zieloność zamknąwszy na kilka zielonych wśród niej oazek, czyli jaśniej mówiąc, zrazu wszyscy wierni, dalej wszyscy duchowni sięgali po możliwą doskonałość ewangelicznego żywota: dzisiaj wierni

albo go nie znają nawet, albo trwożliwie stanowią jego *minimum*, a duchowni zapomniawszy pierwotnej tożsamości z zakonnikami wydzielają się, jako ciało obce i różnorodne od siebie".

Układ ówczesny nauk teologicznych w seminaryach był bardzo niedostateczny, według autora życiorysu. Błogosławiony, który przebył studya duchowne bez szwanku, i kogo minęły męczarnie wątpliwości. W piątym roku kapłaństwa swego, pisze Leszczyński: „Człek starzeje się ciałem, a dojrzewa, i to powolnie dojrzewa duchem. Oj, powinni nam byli ten proces dojrzewania przyspieszyć opiekunowie nasi! Cóż za labirynt ja przynajmniej przebyłem? Bracie, sto razy już może i Tobie powtórzyłem i jeszcze powtarzać i Tobie i sobie będę, że szkoły nie mamy i nic nam już tego niedostatku nie nagrodzi, chybaby Bóg zaprowadził jeszcze do jakiego świętego schronienia i to w latach wcześniejszych. — Teologii, wyznaję, dopiero się zacząłem uczyć.. Moja dusza pracowała i pracuje dotąd. Ja, powiem ci prawdę, od III.-go roku teologii przeniosłem umysłowe me działanie zupełnie na pole teologii, i łatwo się domyślić, nie będąc już pacholęciem ewangelicznym, począłem od gromadzenia prawie systematycznego zarzutów polityczno-filozoficznych przeciw katolicyzmowi, które usiłowałem rozwiązywać, mając już z daru Boga acz słabą *fidem implicitam*. Nie uwierzysz co to była za tortura, katownia duszy. Przekonałem się, że im więcej wdrożysz się w życie surowe chrześcijańskie, tem głębiej się wtajemniczysz w rozumienie prawd religii. Nie wystarczy tu zgoła łokieć ziemski, motyka szkolna, chociaż i na to pamiętam, co rzekł Paweł święty: *Quomodo audient sine praedicante?* A zatem przy życiu przykładnem, przy zaprzeniu siebie samego, słowem przy ascezie, czytanie doborowe, napój z życiodajnych pierwotnych a przynajmniej zdrowych źródeł. Ale i tu wszystko zależy od naczynia w które czerpiesz; im czystsze i lepiej wyprzątnięte, im więcej nachylone, tem więcej weń nabierzesz. Najpierw tę zasadę zastosować potrzeba do czytania Pisma św., które pozostanie księgą ksiąg i przednią zbroją kapłana, jak mówi Skarga".

Przerzucając dalej kartki tych wspomnień spotykamy prześliczne wylania tej duszy iście kapłańskiej: „Dziś stosownie do historyi mego życia, bezpośrednio o doskonałości chrześcijańskiej myśleć nie mogę, ponieważ najpilniejsza u mnie kończyć walkę z kilku potężnemi namiętnościami, które we mnie z natury i silne i rwiste... Borykam się jak niedźwiednik ze swemi bestyami. Nic pawłowego niema w mem nawróceniu. Wszystko z krwawą pracą i po długiem ucieraniu się. Widzisz tedy, że sam osobą swoją nie jestem w stadyum doskonałości, lub w stadyach graniczących z nią, lecz w stadyum pierwszego a może i drugiego karczowania roli, gdzie jeszcze trzeba ciężkich razów motyki i siekiery, czując nędzę i gołotę duszy: ale z drugiej strony mając jakąkolwiek znajomość ideału chrześcijańskiego i żywe uczucie swego stanu i jego powinności, względem siebie i ludzi, staram się tedy powtóre z wielką usilnością i ustawicznością o zrozumienie, iż tak rzekę, istoty modlitwy i o nabycie jej daru jako broni, wiesz ile ważnej w tej wojnie; dalej natężam siły ku zrozumieniu ducha Chrystusowego i ku spojeniu wszystkich momentów jego Objawienia w Piśmie, w Kościele i w historyi, w rzetelną, dla umysłu najoczywistszą i sercem uczutą harmonią. Wszędzie, w rzeczach wielkich i drobnych ba w najdrobniejszych jej szukam, za nią gonię.

„Co do definicyi Doskonałości, trudne mi zadanie położyłeś... Doskona-

łość chrześcijańską zamknąłbym w tych słowach: wewnątrz: Zwojowanie zupełne wszelkich namiętności przez najżywsze i nieustające ujęcie się Chrystusa i dzieła Jego Odkupienia, z osiągnięciem prawdziwego nad wszelki zmysł wyższego pokoju duszy, nie uległego już pomięszaniu przez ponawiające się, mniej więcej do zgonu życia natarcia wrodzonej pożądliwości. Zewnątrz: Najzupełniejsze i najradośniejsze poświęcenie oswobodzonych i uzacnionych przez poprzedzającą walkę wszystkich sił duszy i ciała ku rozszerzaniu królestwa Chrystusowego między ludźmi, jako jedynego środka pomnożenia Chwały Boga, zapewnienia szczęścia ludziom i wykonywania względem nich prawdziwej miłości".

Takiemi uczuciami ożywiony u progu swego kapłańskiego zawodu zaszedł też daleko X. Julian. Biograf jego przechodzi po kolei wszystkie ważniejsze chwile i walki życia; stosunek jego z ludem, dla którego sprowadził do Wielowsi Zgr. PP. Dominikanek — studya jego poważne i artystyczne, zbiory ukochane i biblioteka, wśród których żył jak wśród przyjaciół, pomnażając je bezustannie. Jednakże pisze X. W. P. gdyby mnie zapytano jaką była właściwa, istotna treść żywota jego, odpowiedziałbym: nie nauka, nie sztuka, choć obydwa te działy niepospolicie sobie przyswoił, lecz miłość dusz ludzkich, wraz ze staraniem o ich zbawienie, i to od początku kapłaństwa aż do końca życia.

Zapytywano nieraz księdza Leszczyńskiego dlaczego nie pisze. Zbiegały się na to różne przyczyny, mówi biograf; nie miał może ku temu powołania od Boga, zresztą zanadto czuł ważność zadania i potrzebę studyów systematycznych jakim kapłan pasterz oddać się nie może. „Powiadasz, że mógł i powinienbym coś pisać dla publiczności — pominąwszy, że klątwa austryackiego wychowania na mnie ciąży, absorbuje u mnie niesłychanie, jakie są siły ducha robota wewnętrzna, powściąganie ustawiczne ekscentrycznej fantazyi, wreszcie indywidualne badanie i przywłaszczanie sobie powołania kapłańskiego, przeto nigdy o tem nie myślałem".

Niedostatki te wychowania kapłańskiego początkowego dopełniał mozolnemi studyami, w czem mu pomocą był niepospolity nadnaturalny dar intuicyi. „Poznałem pisze w 1852 r. w tym czasie pewne prawdy w tak zalewającem świetle, że zda mi się niepodobieństwem, aby mi nie miały przewodniczyć przez całe już życie. Jeżelibym ich wolą odstąpił, to one przecież świecić mi i dręczyć mnie będą swoją obecnością i powoływać ciągle niesfornego do siebie".

Przywiązanie księdza Juliana do Kościoła przypominało miłość starych Ojców Kościoła. „Wiesz, pisze, gdyby Kościół był dzisiaj gorszym jak za czasów *magni schismatis occidentalis*, lub za Aleksandra VI., słowem, gdyby był zgniłym od nadużyć i występków, dla mnie byłby nieocenionym, jedynym, bo daje zawsze bogactwa wewnętrzne, mądrość chrześcijańską, żywot doskonały, zjednoczenie z Bogiem najściślejsze, nadzieję przyszłego żywota, słowem, niezaprzeczoną, niezmierną wyższość nad wszystkie stosunki podsłoneczne, daje rzeczy, których wartość z niczem porównać się nie da; a on sam tylko je daje i to w każdym czasie. Przed takiemi rezultatami trzeba ugiąć kolano, to daremna".

Z żalem kończymy to, może za długie sprawozdanie z niewielkiej książki, lecz trudno się oderwać od pozostałości po tej wielkiej duszy. Życie to oddane najpiękniejszym na ziemi sprawom, służbie Bożej, usłudze bliźniego, bo-

gomyślności, nauce i sztuce — zakończył krzyż straszliwej i długie lata się ciągnącej choroby, do którego przyłączyła się moralna boleść przymusowego porzucenia wszelkiej pracy i opuszczenia parafii.

Przyjaciel i druh, jak go w listach nazywa X. Leszczyński, skreślił to rzewne o nim studyum. Wdzięczność mu się należy, że czyniąc to, nie odstraszył się trudnością zewnętrzną autorstwa. Styl nieprawidłowy, pisownia nie bez ale, lecz jednomyślność z świętobliwym zmarłym i cześć dla niego nagradzają wszystko i pożądanym uczynią ten tomik wszędzie, gdzie Bogu służą wiernie. Tylko jedna kartka czyni tę książeczkę niemożebną dla młodzieży — a to wielka szkoda.

J.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Cursus Scripturae Sacrae. Auctoribus *R. Cornely*, *J. Knabenbauer*, *Fr. de Hummelauer* aliisque S. J. presbyteris. Parisiis. 1886. — J. Knabenbauer, Commentarius in Prophetas minores 2 vol. — Cornely S. J. Introductio in Novum Testamentum.

Wymienione w nagłówku dzieła są dalszym ciągiem olbrzymiego biblijnego wydawnictwa, podjętego przez niemieckich Jezuitów, o którego dwóch pierwszych częściach, tj. o ogólnym wstępie do Pisma św. i o komentarzu do księgi Joba, już poprzednio w *Przeglądzie powszechnym* pisaliśmy.

Metoda, której O. Knabenbauer się trzyma w komentarzu o Prorokach Mniejszych, nie różni się od metody komentarza do ksiąg Joba. Jak tu, tak tam główną podstawą całego wykładu, jest tekst Wulgaty; wyjątki z oryginalnych tekstów i dawniejszych przekładów dołączone są w razie potrzeby w osobnych przypiskach. Zasługa autora tem jest większą, iż nieraz, tak pod względem metody, jak i samego wykładu wstąpić musiał na arenę, dotąd katolickim tłumaczom Pisma św. nieznaną. Ani bowiem Ribeira T. J. ani Sanchez T. J. ani inni, najznakomitsi dawniejsi komentatorowie nie mogli przewidzieć trudności i zarzutów, jakie np. Reuss i inni nowsi uczeni przeciw księgom prorockim podniosą. W komentarzu swym idzie autor w ślad za porządkiem hebrajskiego tekstu, a zatem i wulgaty wbrew LXX. tłumaczom. Komentatorowi dwojaka droga stała do wyboru: mógł polemicznie odeprzeć zarzuty Reussa i jego stronników przeciw wiarogodności proroków i auten-

tyczności poszczególnych ksiąg i miejsc Pisma, lub też pozytywną argumentacyą dojść do wprost przeciwnych, a prawdziwych wyników. Dziełu pomnikowemu ta ostatnia raczej przystoi metoda, bo za jej pomocą każdy z czytających sam jest w stanie wszystkim zarzutom bezwzględną dać odprawę.

Zgoła mylnem jest zapatrywanie, jakoby posłannictwo proroków ograniczało się do samego tylko przepowiadania przyszłości. Prorocy — to nauczyciele ludu, którzy za szczególnem powołaniem Bożem, występowali jako kaznodzieje, głosząc ludowi wielkie prawdy zbawienia, jakie Duch św. wkładał w ich usta (Mich. II. 3, Zach. VII. 12). Dla uwidocznienia tego posłannictwa, dodawał im Bóg dar proroctwa, jako nadzwyczajną, nienależącą się im łaskę. Cały Stary Zakon odnosił się do Mesyasza, jako do ostatecznego swego celu; stąd głoszenie prawd religijnych musiało przedewszystkiem mieć na względzie przyszłość, która była głównem ich ogniskiem, a z drugiej znów strony, aby wziąć udział w obiecanem zbawieniu, trzeba było stać się godnym tegoż, unikając wszelkiej skazy złego. Dwojakiemu temu względowi odpowiadają jakby dwa szeregi proroctw. Niektóre z nich tylko warunkowo spełnić się mają: są to groźby (np. u Jonasza III. 4), których wykonanie nie przyszło do skutku, bo nastąpiło nawrócenie, a tem samem upadł warunek. Inne proroctwa spełnić się mają w najbliższej przyszłości i łączą się częstokroć z opisem i oznajmieniem mesyańskiego królestwa. Te właśnie przepowiednie nieraz wiele sprawiają trudności, gdyż nie tak łatwo odróżnić z charakteru pisarza, jego sposobu pisania i innych okoliczności, czy właściwie odnoszą się do najbliższej przyszłości, czy też do Mesyańskiego królestwa.

Jak na tym punkcie, tak również zwycięsko wyszedł autor w rozwiązywaniu trudności, z języka hebrajskiego zaczerpanych. Znaczenie wielu hebrajskich wyrazów dopiero w ostatnich czasach dzięki akkadyjsko-asyryjskiemu słownikowi O. Strassmeiera T. J. wyjaśniło się (np. Os. V. 26. VII. 7. VIII. 1., Jon. III. 7., Nah. III. 17., Soph. II. 13., Agg. I. 1.) z niektórych wyrazów, które jak mniemano dotychczas zrodziły się po niewoli Babilońskiej, wyciągano wniosek, że i księgi święte, w których się te wyrazy znajdują, w tym dopiero czasie powstały; autor udowadnia ich przedbabilońskie pochodzenie, wykazując, że były używane i przyjęte

w książkach, których początek wszyscy jednomyślnie do czasów przed-babilońskich odnoszą. Kiedyindziej autor uwydatnia i podkreśla pewne szczególne wyrazy, wykazując tym sposobem, że ta, lub owa księga, np. Zacharyasza, z pod pióra jednego, a nie kilku pisarzy pochodzi.

Jakkolwiek O. Knabenbauer nie zagłębia się w szczegółowe roztrząsanie kwestyj historycznych, to jednak wszystkie rezultaty nowszych badań asyryjskich, w zakres swej pracy wciągnął. Tak np. (w Oz. X. 14) długo wątpliwem było kimby był *Schalman* i czem *Beth-Arbel*, o którym mówi prorok: *Sicut vastavit Schalman Beth Arbel in die belli* (według tekstu hebrajskiego). Otóż w napisach klinowych omawiających czyny Teglatfalazara, znajdujemy wzmiankę o królu Moabitów *Salamanu* (Cf. Schrader, Keilinschriften des A. Testam. 2 Aufl. p. 441). Też same klinowe napisy wyświecają historyę Jonasza, określają bliżej czasy proroka Nahuma i tłumaczą jasno niektóre miejsca tak jego księgi (II. 8, III. 4, 8, 10), jako też ksiąg Zacharyasza (IX. 1. XII. 11).

Chcąc dać bliżej poznać sposób wykładu O. Knabenbauera i wykazać wielkie jego zasługi w dziedzinie egzegezy, przejdźmy parę bardziej znanych i większej wagi ustępów z ksiąg prorockich. Tak np. Roz. I. Ozeasza był od dawien dawna przedmiotem nieustannych sporów, a mianowicie czy wiersz 2. i następne alegorycznie rozumieć należy, tj. że prorok miał tylko widzenie, czy też jak tego wiersz 3. się domaga, prorok uczynił rzeczywiście to wszystko, co Pan mu powiedział. Parafraza chaldejska przyjęła sens alegoryczny, tak też wyjaśniają to miejsce Keil i Trochon; z drugiej strony takiemu rozumieniu opiera się powaga najznakomitszych komentatorów, począwszy od Ireneusza, Efrema i Augustyna, aż do Ribeiry, Estiusza, Korneliusza a Lapide, a z nowszych Scholza i Rohlinga. Wykład uczonych tych znawców Pisma św. znajduje wymowne potwierdzenie w samymże tekscie, nie przypuszczającym alegoryi, jak to udowadnia O. Knabenbauer.

Lecz czy może sam rozkaz Boży jest tego rodzaju, że już ze względu na jego naturę, do alegoryi uciec się potrzeba? Bynajmniej; nie jest bowiem wcale rzeczą niepodobną, aby kobieta niemoralna nie mogła złego życia porzucić i wejść w związki małżeńskie. (Hier.) Spełnienie danego rozkazu było może dla proroka rzeczą trudną

i przykrą, ale czyż Bóg nie żąda nieraz bardzo trudnych rzeczy dla nawrócenia lub poniżenia ludzi. Jakżeby zresztą mogła wizya obudzić w narodzie przekonanie o wyroku Bożym? Stosownie dobrane miejsca z Ojców św. potwierdzają tem widoczniej sąd autora.

Drugą kwestyą sporną jest zrządzone przez szarańczę spustoszenie, o którem wspomina Joel. Wprawdzie w rozdz. II. 2 mówi prorok o mnóstwie nieprzyjaciół, a nie o szarańczy, która tylko zwiastunką być miała nadchodzącego dnia sądu (I. 15); wszakże do rozdz. I. podobnego tłumaczenia zastosować nie można. Napróżno więc wynajduje Scholz jakieś zagadki i przeciwieństwa. Prorok nie opisuje przyszłej grożącej, lecz obecną klęskę. (w. 6, 10, 20). Przeciw wykładowi temu występuje wprawdzie poważna liczba komentatorów, szczególnie dawniejszych; wszakże już i niektórzy z dawniejszych, jak np. Teodorus i Pseudo-Rufinus trzymają się tego tłumaczenia, które jedynie naturalnie z tekstu prorockiego, a zwłaszcza z w. 15 wypływa.

Przypatrzmy się jeszcze tekstowi Malachiasza w r. I. B o o d w s c h o d u s ł o ń c a a ż d o z a c h o d u i t. d., który acz niejednokrotnie, przez najznakomitszych badaczy Pisma św. tłumaczony, tu jednak w nowem przedstawia się nam świetle. Protestanci, chcąc osłabić przekonywającą siłę tych słów, twierdzą, że prorok nie mówi tu o przyszłości, lecz o teraźniejszości i uznaje wszystkie ofiary szczerem sercem składane, jako czyste i przyjemne przed obliczem Bożem. Tymczasem Bóg ma być uwielbiony ofiarą na całym okręgu ziemi składaną (Ps. I. 49; CXII. 3; Izai. XLV. 6), co według nieustannych zapowiedzi proroków jedynie do Mesyańskiego okresu odnosić się może (Izai. XI. 9; XLIX. 6; LX. 9; LXVI. 19. etc). Powtóre słowem *omni* wyraźnie wskazane jest zniesienie zakonu Mojżeszowego, a ustanowienie nowego porządku; gdyż według Mojżesza ofiara tylko na jednem miejscu była dozwoloną. Po trzecie, ofiara czysta między narodami była cechą czasów Mesyańskich (Jer. III. 16; Mich. VII. 11). A zatem imiesłowy tekstu nie dowodzą niczego przeciw tłumaczeniu go o przyszłości, tem więcej, że i na innych miejscach (jak np. Gen. XV. 14) imiesłowy także czas przyszły oznaczają. Wreszcie pamiętać należy, że w widzeniach proroczych wszystkie wypadki przedstawiają się jako obecne, czyli

teraźniejsze. Ależ czyż wszystkie narody nie składały wówczas ofiar Najwyższej Istocie? — tak mówią racyonaliści, nie pomni, że już Bellarmin oddawna dał im ostateczną odpowiedź. — Ofiary owe nie były ani czyste, ani też składane Bogu prawdziwemu, tylko złym duchom, jak twierdzi św. Paweł w liście I. do Kor. X. 20, gdyż poganie, jak uczy św. Apostol, znali wprawdzie Boga, ale Go nie wielbili, ani Mu nie składali podzięki, tylko owszem, raczej stworzeniu niźli Stwórcy służyli (Rom. I. 21). Nie mógł też prorok powiedzieć, że Jehowa, Ormuzd, Zeus i t. d., są to tylko różne nazwy jednego prawdziwego Boga: bo nie mówi o Bóstwie w ogólności, ale przypomina jasno i wyraźnie, że imię „Jahve" jest wielkie, co nawet prawdą zmuszeni Ewald i Pressel przyznają. Podaliśmy tylko główny zarys argumentacyi autora, bo naturalnie w kilkunastu wierszach, niepodobna dokładnie streścić analizy, obejmującej kilkanaście stronnic.

Jeszcze słowo o twierdzeniu racyonalistów, utrzymujących, iż nawet dawniejsi prorocy stali już na stanowisku późniejszych Żydów i w przepowiedniach swych mówili tylko o świeckim władcy Żydowskiego narodu. Już Selbst w znakomitym komentarzu o Kościele według proroctw zbił gruntownie ten zarzut na podstawie St. Testamentu. O. Knabenbauer, czerpiąc z odpowiednich tekstów, jak Mich. IV. 1 i V. 1, nowe dowody, wykazał zwycięsko, jak bardzo racyonaliści się mylą. Prorok przepowiedziawszy zburzenie góry świątyni (III. 12), zaraz dodaje, że góra Domu Pańskiego będzie niewzruszoną; owo zaś „niewzruszoną" tłumaczy tym samym wyrazem, który w księdze II. Król. VII. 26 i III. Król. II. 45, oznacza wiecznotrwałość tronu Bożego. Odstępstwo zniszczy górę świątyni; a więc trwałość i potęga, odnośnie do innej epoki przepowiedziana, oznajmia poznanie i uwielbienie Imienia Bożego, już nie wśród Żydowskiego, lecz wśród innych, obcych narodów (w. 2). Obraz ten pięknie tłumaczy nam stosunek pomiędzy Starym a Nowym Zakonem.

Jasno też poznajemy ze słów proroka (V. 2.), że władcą i panem w tem nowem Przymierzu będzie Mesyasz, oczekiwany Zbawiciel (przeciw Hieron., Theod., Ribeirze i t. d., lecz zgodnie z Menochiuszem, Schegg'iem, Keil'em i innymi). I tu też objaśnienia jasno, bezpośrednio z samego tekstu wypływają.

Te same, a raczej większe jeszcze pochwały należą się wy-

kładowi pieśni Habakuka (rozdz. III.), historyi Zacharyasza i ustępów mesyańskich z Sofoniasza, Ageusza, Zacharyasza i Malachiasza. Sam autor uprzedza, że te właśnie części jego komentarza największą mają wartość, a obznajmiony z rzeczą czytelnik wyznać musi, że pozostawiają daleko po za sobą najlepsze protestanckie dzieła.

Przystąpmy teraz do krótkiej oceny „Wstępu do Nowego Testamentu“ Ojca Corneli. *(Introductio in lib. N. Test.)*, Zalety, cechujące Wstęp Ogólny *(Introductio generalis)*, i tutaj na jaw występują: Niezwykła erudycya, jedność i przejrzystość w całości i w pojedyńczych częściach, oto przymioty, które najprzód zwracają uwagę czytelnika. Jak w Ogólnym Wstępie, kwestyę o powadze deuterokanonicznych ksiąg N. Testamentu rozstrzygnął autor w sposób zupełnie nowy i samodzielny, podobnież i w tem dziele kwestye sporne w nowem, nieznanem dotąd świetle się okazują. Długie nieraz szeregi przeciwników wymienionych na czele niektórych rozdziałów, często cytaty z własnych ich dzieł wyjęte, służą za dowód, że prawda niczego lękać się nie potrzebuje, a wrogów swoich, własną ich bronią często najlepiej zwalcza.

Trzy pierwsze Ewangelie są według O. Cornely'ego, co do treści, porządku, celu, a nawet pod pewnym względem i co do swej formy, zbiorem apostolskich katechizacyj. Zdanie to zresztą wcale nie nowe, nie jest lekkomyślnie rzucone, lecz dawną tradycyą wszechstronnie poparte. Oprócz wielu protestantów ma ono też za sobą nie mało katolików, jak Knabenbauera T. J., Schegga, Heinricha i wielu innych. W rzeczy samej św. Łukasz powołuje się na ustne podanie (Introd. p. 152); w Ewangelii św. Marka upatrują Ojcowie śś. treść kazań św. Piotra, podobnie jak Ewangelia Łukasza ściśle się wiąże z naukami św. Pawła (str. 184). Ponieważ poziom umysłowy mieszkańców Galilei bardzo był niski, musiał Chrystus P. wykładać im prawdy niebieskie w sposób bardzo przystępny, a tak, Jego kazania i nauki głoszone Galilejczykom, były najlepszym i najłatwiejszym wzorem nauczania. Stąd tłumaczy się owa zgodność przedmiotu i pokrewieństwo stylu pierwszych trzech Ewangelij. Pierwsi chrześcijanie uczyli się Pisma św. na pamięć całemi ustępami. O ileż wierniej musieli apostołowie chować w pamięci słowa Zbawiciela! (Béryl. Recogn. Clem. II. 1). To proste

wyjaśnienie z gruntu wywraca hypotezę jakiejś wspólnej ewangelii pierwotnej (str. 176 i nast.)

Autentyczność ewangelii św. Jana udowadnia O. Cornely tak widocznie, że słusznie dowody swe temi mógł zakończyć słowy: *Quae omnia testimonia tam diserta et clara sunt, ut ipsi moderni „critici", quid contradicant, nulla ratione inveniant.* Jak zaś doskonale sam z tą krytyką jest obeznany, to pokazują jego traktaty o rozdz. V. 4, VII. 53, VIII. 8, i o ostatnich wierszach rozdz. XX. ewangelii św. Jana. Ewangelie śś. Mateusza i Marka napisane są dla chrześcijan początkujących; Jan św. miał na względzie starszych już i głębiej myślących wyznawców, którzy posilniejszego potrzebują pokarmu, by się wzmocnić przeciw błędnym naukom, rodzącym się w ich własnem społeczeństwie. Z tego dopiero punktu widzenia, można jasno zrozumieć porządek i układ tej Ewangelii. Chociaż bowiem św. Jan pilnie uważa i na chronologiczne następstwo wypadków, to jednak całość innym, silniejszym węzłem się łączy. Umiłowany uczeń Chrystusowy tak logicznie myśl swą rozwija, że księga jego jest, jak to już uznał św. Tomasz (Comm. in Joan. 2. lect. 1), prawdziwem arcydziełem doskonałej piękności. Aby wykazać „objawienie się Bożego blasku w Chrystusie Bogu i człowieku" wybiera on porządkiem chronologicznym najstosowniejsze wypadki z życia Chrystusowego odpowiednio do tego celu. Według tej myśli przewodniej podaje O. Cornely podział następujący:

Część I. rozdz. I. 19—XII. 50. Objawienie się Bożego blasku w publicznem życiu Jezusa.

A. Ludzie dobrej woli przyjmują Go z wiarą (IV. 54), ale nie wszyscy z wiarą zupełną i wystarczającą.

B. Faryzeusze odrzucają objawienie Chrystusowej chwały, podejmując walkę przeciw Mesyaszowi (V—XI).

C. Przed wykonaniem zbrodniczego zamachu niecnych wrogów, święci Chrystus (XII.) z woli Ojca niebieskiego uroczysty tryumf, będący przedobrażeniem bliskiego a już zupełnego tryumfu.

Część II. Objawienie chwały Chrystusa umierającego. (XIII. do XXI. 23).

A. Ojawienie to przyjmują uczniowie w duchu wiary (XIII. XVII).

B. Nieprzyjaciele jego odrzucają (XVII—XIX).

C. Chrystus nad przeciwnikami swymi odnosi tryumf zupełny XIX.—XXI.)

W synoptycznem streszczeniu Ewangelii zbliża się autor po większej części do Grimma. Historyę św. Pawła omawia bardzo starannie, jako komentarz do jego listów i w ogóle do Dziejów Apostolskich; dowodzi, iż św. Apostoł niezawodnie przebywał w Hiszpanii, a przed męczeństwem przybył do Koryntu (r. 67). Nad poszczególnemi listami zastanawia się O. Cornely w chronologicznym porządku. Na czas przed uwięzieniem przypadają: listy do Tesaloniczan, Galatów, Koryntyan i Rzymian. Na czas pobytu we Włoszech: list do Filipensów, do Efezów, Kolosan, do Filemona i do Żydów.

Po pierwszym pobycie w więzieniu, napisał list pierwszy do Tymoteusza i list do Tytusa, a na krótki czas przed swem chwalebnem męczeństwem, list drugi do Tymoteusza. Rozbiór pojedyńczych listów z osobna, najzupełniej jest zgodny i z treścią ich i z celem; choć może nie każdy zgodziłby się na pewne przez autora wprowadzone drugorzędne podziały. Egzegeci przypuszczają powszechnie, iż przy pisaniu listu do Żydów, ktoś inny, św. Łukasz lub Klemens, Apostołowi narodów dopomagał. Zdaniem naszem słusznie O. Cornely wbrew sądom Döllingera, Ebrarda, i Delitzscha oświadcza się za św. Klemensem, za którym daleko ważniejsze przemawiają racye, niż za św. Łukaszem. Lecz czyż mamy istotnie powody tak ważne, aby już bez najmniejszego wątpienia autor, św. Klemensowi samą redakcyę tego listu przypisywał Prawda, że Klemens we własnym swym liście, bardzo wiele ustępów z listu do Żydów dosłownie przytacza, ale to podobno niczego jeszcze nie dowodzi. W każdym razie twierdzenie to należało gruntowniej uzasadnić i silniejszemi poprzeć dowodami. Rozprawy o wiarogodności drugiego listu św. Piotra i o jednym ustępie z pierwszego listu św. Jana (rozd. V. 7.) należą do najpiękniejszych ustępów w dziełach Rzymskiego profesora.

„Niczego dla mnie nie ma pewniejszego, pisze de Wette w swej Introdukcyi, jak, że Jan św. nie pisał Apokalipsy". Twierdzenie to powtórzył Renan *(L'Antichriste)* O. Cornely na dwóch miejscach zwycięsko walczy przeciw tym nieprzyjaciołom (str. 208 i 700). Szkoda, że dla tem pewniejszego zwycięstwa nie dołączył

autor jakiegoś pozytywnego i bardziej szczegółowego dowodu, o czasie powstania Apokalipsy.

Kilka tych uwag naszych da czytającemu przynajmniej ogólne pojęcie o samodzielności pracy obudwu autorów, o ich pilności w zgłębianiu odpowiedniej literatury i wreszcie o wartości dzieł, któremi wzbogacili skarbiec katolickiego Kościoła. Oby wielki ten pomnik katolickiej nauki wciąż wyżej i wspanialej się wznosił.

X. A. Arndt.

Le clergé français réfugié en Angletterre, par *F. X. Plasse*, chanoine titulaire de l'Insigne Cathédrale de Clermont. 2 vol. in 8-o de XXXVI. 392 et X. 444 p. Paris 1886. Palmé.

Nie raz już historya była świadkiem, iż prześladowanie religii wypędzanie księży i zakonników w jednym kraju, stawało się dobrodziejstwem dla drugiego. Takiem dobrodziejstwem dla Anglii było przybycie tysięcy księży francuskich, których rewoluc ı zmusiła na schyłku przeszłego wieku do opuszczenia ojczyzny; księża ci rzebywając długi czas w gościnnej Anglii przyczynili się nie mało do zw lczenia zastarzałych przesądów przeciw katolicyzmowi i do onego zbawienn go prądu, który od lat kilkudziesięciu tak znaczną liczbę Anglików na łono K ścioła sprowadził. O błogim tym wpływie wygnanych kapłanów francuskich wiedziano powszechnie, ale całej jego historyi, znaczenia i wielkości nikt dokładnie nie znał. Obszerne a nader starannie napisane dzieło ks. Plasse, wykazuje, iż wpływ ten daleko był większy, niż zazwyczaj przypuszczamy.

Pierwszą myśl swego dzieła powziął autor jeszcze r. 1864, i odtąd przez lat 22 z niezmordowanym zapałem nad niem pracował. Ośm razy jeździł na dłuższy czas do Anglii, nie opuścił żadnej biblioteki, żadnego archiwum, przeglądał najstaranniej współczesne dzienniki, sam zdejmował fotografie, z których liczne reprodukcye zdobią dziś jego dzieło. Praca nagrodziła się; nowa książka rzuca ciekawe a piękne światło na kler francuski z czasów przedrewolucyjnych, który zbyt często sądzimy za surowo, wpatrując się w nieliczne, ale wybitne swem stanowiskiem, a rażące wyjątki. Na sześćdziesiąt tysięcy kapłanów, pięćdziesiąt tysięcy nie złożyło niedozwolonej przysięgi, której się od nich domagano i musiało ojczyznę opuścić Dziesięć tysięcy kapłanów zawinęło do angielskich portów i dzięki angielskiej szlachetności znalazło nietylko chwilową, ale stałą pomoc. W jednej chwili, za inicyatywą biskupa z Saint-Pol-de-Léon, energicznego de la Marche, zawiązało się mnóstwo komitetów w skład których weszli najznakomitsi mężowie stanu, jak margrabia Buckingham, hr. Fitzwilliam, Jan Wilmot, lord Sheffield, a zwłaszcza największy wróg rewolucyi, znakomity mówca, Edmund Burke. Biskupi anglikańscy nakazali składki w swych kościołach, rząd wyznaczył znaczne wsparcie pieniężne i oddał wygnańcom na mieszkanie kilka zamków królewskich. Uniwersytet Oksfordzki posunął swą dobroczynność do tego stopnia delikatności, iż kazał na swój koszt

wydrukować Pismo św. wedle Wulgaty przez Kościół katolicki przyjętej z napisem: „Do użytku duchowieństwa katolickiego wygnanego za wiarę".

Naturalnie, nie cała Anglia równie serdecznie i gorąco przyjmowała katolickich księży. Poeta Mathias pisał na nich satyry, wiele dzienników wyszydzało czarne kruki i adoracyę dla Rzymskiego boga, podburzeni przez fanatyków ulicznicy grozili im zemstą angielskiego ludu. Ale były to wyjątki — ostatnie gasnące echa minionej ery prześladowczej. Ogół Anglików przekonał się, że katoliccy kapłani zasługują na cześć, i że wiara, za którą cierpieli nie może być wiarą wymyśloną przez szatana. Czy prędko spełnią się nadzieje ks. Plasse'a, czy prędko Anglia stanie się ogniskiem katolicyzmu? Bądź co bądź, jak niegdyś tak i dziś znowu wygnani z Francyi i Niemiec kapłani i zakonnicy odpłacając się za gościnność, przyczyniają się nie mało do zupełnego wyplenienia dawnych przesądów i zapoznania Anglików z Kościołem katolickim. Jeśli gdzie to tutaj widać, iż Bóg żadnego dobrego uczynku bez nagrody nie zostawia.

B.

La Franc-Maçonnerie sous la 3-me République d'après les discours maçonniques prononcés dans les Loges par les FF. Brisson, Jules Ferry, Floquet, Andrieux, P. Bert, Clémenceau etc. etc., par *Adrien Leroux*, ex-33-e Souverain, Grand Inspecteur Général. 2 vol in 8-o, p. 426 et 503. Paris 1886.

Jak z jednej strony wolnomularstwo coraz bardziej się szerzy, tak z drugiej strony odsłania się coraz bardziej ohydne jego oblicze, cel do którego zdąża i środki jakich używa, tak, iż dzisiaj ten tylko wpaść może w wolnomularskie sidła, kto sam tego pragnie, lub dobrowolnie oczy przed prawdą zakrywa. Wymieniony w nagłówku, nie pierwszy już okazujący się światu zbiór dokumentów, rzuca przerażające, ale zarazem pouczające światło na obecne stosunki we Francyi. „Masonerya, mówi w przedmowie autor, dobrze z przedmiotem swym zapoznany, bo dzierżący w loży, przed wystąpieniem z niej, jeden z najwyższych stopni, ma za właściwy swój cel, powrót człowieka i społeczeństwa do stanu dzikości". Dlatego też trzecia Rzeczpospolita, masońskim duchem ożywiona, nie ma innego celu, a z działalności jej poznać, iż istotnie ku temu celowi Francyę kieruje. Brisson, Ferry, Floquet, Andrieux, Clémenceau, ludzie trzymający we Francyi ster rządów, w mowach swych, wypowiedzianych w lożach, głoszą na różne tony, ale bezprzestannie krucyatę przeciw religii i społeczeństwu. Każda z tych mów przeraża swą treścią, ale wzięte wszystkie razem, dają prawdziwie groźny obraz celów i zabiegów sekty, która postanowiła sobie zburzyć religię, podkopać władzę, zniszczyć pojęcia chrześcijańskiego małżeństwa, a zaprowadzić wspólność majątków i kobiet, słowem, doprowadzić społeczeństwo do stanu dzikości.

Zbiór ten dokumentów jest najwymowniejszem, niepodejrzanem potwierdzeniem encykliki papieskiej o niebezpieczeństwie wolnomularstwa dla Kościoła, społeczeństwa i państwa. Masońskie mowy francuskich ministrów, nie były czczą igraszką słów, lecz wydały już swe owoce; w tym samym duchu pracują wolnomularze całego świata, i tych samych skutków po ich działaniu można i trzeba się spodziewać. Dopóki o masonach pisali tylko katolicy, podejrzewano ich o stronniczość i przesadę; dziś sami masoni się odzywają, a nikt

chyba nie przypuści, iż przemawiając w własnem ściśle zamkniętem kole, zgrzeszyli brakiem szczerości i w zbyt czarnych barwach samych siebie odmalowali.

J.

Le Christianisme, ses dogmes et ses preuves. Causeries théologiques dédiées aux gens du monde par *M. l'Abbé Verger*, curé d'Ausoner. 2 vol. in 12-o de 564 et 610 p. Tours.

Głębsza znajomość religii jeśli kiedy to dzisiaj potrzebna w obec niezmiernej powodzi książek, broszur, gazet mających na celu zwalczanie chrześcijanizmu; to też z prawdziwą radością witamy każdą książkę tłumaczącą w sposób jasny, popularny a zarazem naukowy i gruntowny, fundamentalne zasady naszej wiary. Zalety te posiada książka księdza Verger'a, napisana w pierwszym rzędzie nie dla teologów z profesyi ale dla ludzi świeckich, żądnych bliższego zapoznania się z dogmatem chrześcijańskim, pragnących wiedzieć co sądzić i jak odpowiadać na tysiączne wątpliwości i sceptyczne uwagi, które każdego dnia obijają się im o uszy. W zwięzłym i prostym wykładzie, trzymając się wszędzie śladów największych mistrzów teologii, przechodzi autor jeden dogmat po drugim — tłumaczy go, wyjaśnia, popiera licznemi dowodami, nie kusząc się o poetyczną barwę lub pompatyczny nastrój, który jasności przedłożonej nauki, mógłby stanąć na zawadzie. Szczególnie pilnie opracowanym jest traktat o tajemnicy Trójcy św., o grzechu pierworodnym i o toczącej się walce, wrzekomo w imię wiedzy przeciw „Księdze Rodzaju", natomiast nie znajdujemy, wchodzącej przecież koniecznie w plan tego dzieła nauki o Sakramentach. Kwestyj wątpliwych, przez Kościół nieorzeczonych, i w których sami teologowie na różne dzielą się obozy, autor nie dotyka.

G.

Geschichte der Päpste, seit dem Ausgang des Mittelalters, von *Dr. Ludwig Pastor*, I. Band. „Geschichte der Päpste im Zeitalter der Rennaissance bis zur Wahl Pius II." Freiburg im Breisgau, 1886, bei Herder. XLVI. 723.

Niezliczone skarby materyałów rękopiśmiennych, wychodzących każdego dnia na jaw, zmieniają do niepoznania postać historyi; to co do niedawna jeszcze katolicy zarzuceni stosami wrogich książek i broszur, zaledwie przeczuciem odgadywali, dziś staje się niezaprzeczoną, przez samych protestantów głoszoną prawdą. Kiedy przed pięćdziesięciu laty Ranke pisał głośne swe dzieło o rzymskich papieżach w XVI. i XVII wieku, musiał na bardzo wielu punktach zastąpić brak dokumentów podmiotowemi poglądami; dziś okazuje się, już nie z jakichś apryorystycznych wniosków, ale czarno na białem z zeznań naocznych, niepodejrzanych świadków, że poglądy te, niemieckiego historyka w znacznej bardzo części z rzeczywistością się nie zgadzały. Dla obrony prawdy, należało dziełu Rankego przeciwstawić książkę opartą na najnowszych, tak bogatych badaniach, a którą bez obawy i z pożytkiem każdy wziąć mógłby do ręki. Dzięki Bogu, dzieło to już jest rozpoczęte, a sądząc z pierwszego tomu należeć będzie do najznakomitszych w dziedzinie historyi kościelnej,

Spis rękopisów i książek i samychże nawet archiwów, w których Dr. Pastor skrzętne czynił poszukiwania, przeraża swą ilością. Na pierwszem miejscu

stoją archiwa papieskie, potem w długim szeregu ciągną się nazwiska włoskich, niemieckich, francuskich archiwów i biblijotek. W osobnym dodatku wydrukował autor 86 najważniejszych aktów, bo o wydaniu wszystkich dotąd nieznanych, nie było naturalnie co mysleć. W obec tak niezmiernie bogatego materyału, można było obawiać się przeładowania faktami i cytatami, które z książki tej zrobiłyby raczej zbiór dokumentów, niż przystępną dla szerszego ogółu historyę. Niebezpieczeństwa tego uniknął autor nadzwyczaj szczęśliwie; czytając jego opowiadanie, mówi trafnie pewien niemiecki krytyk, mamy wrażenie, jakbyśmy przeglądali bardzo zajmujący, z skrupulatną wiernością prowadzony pamiętnik papieżów, ich doradzców i legatów. Pamiętnikarze o nikim nie zapomnieli; z równem upodobaniem malują portrety odzianych w purpurę kardynałów, jak ubogich zakonników w łatanym habicie głoszących słowo Boże; uczonych ślęczących nad niedawno odnalezionemi rękopismami Cyceronów i Arystotelesów, jak poetów wieńczonych na Kapitolu. I tu jak wszędzie, obok światła cienie; autor cieniów tych bynajmniej nie kryje, bo nie pisze apologii, ale historyę, ale dlatego również wskazując cienie, nie zamyka dobrowolnie oczu na padające ze wszech stron, a najbardziej z samej katedry Piotrowej jasne i piękne światło prawdziwej wiary, nauki i sztuki.

Szczególną uwagę zwraca autor na stosunek papieży do humanizmu. Jak wiadomo, humanizm od pierwszej chwili swego istnienia, w dwóch zupełnie sprzecznych rozszedł się kierunkach, których przedstawicielami nazwaćby może można Petrarkę i Boccacia. Niektórzy humaniści, ukochawszy pogańskich poetów, mówców i filozofów, wrócić chcieli do ich religii i obyczajów; inni pragnęli skarby dawnej wiedzy i ogłady zużyć na korzyść i w służbie objawionej chrześcijańskiej religii. Naturalnymi a świetnymi przywódcami drugiego tego kierunku byli papieże. Zostawiając poetom i artystom wolność, często tak wielką, iż dziś zawielką się wydaje, walczyli pilnie z ultrapogaństwem, które jak dziś historycy wszystkich szkół przyznają, było poprzednikiem wstrząśnień i rewolucyj i nieszczęść wieków następnych.

Dzieło Janssena znanem jest i głośnem w całym cywilizowanym świecie; dziś trudno jeszcze przesądzać czy dzieło Pastora jeśli nie równy, to podobny wpływ wywrze i podobne osiągnie znaczenie.

B.

Z pism peryodycznych.

Stimmen aus Maria Laach. Rok 1886. Zeszyty 1—5. Tom 30 [1].

W nowym tym tomie obok gruntownej nauki i sumiennego wykończenia, mile nas pociąga pewien powab myśli i formy połączony z doborową rozmaitością przedmiotów. Historya, literatura, filozofia, wiedza religijna, nauki przyrodnicze i sztuki piękne mają tu poważny zastęp zasłużonych swych przedstawicieli. Trafiają się

[1] Sprawozdanie z poprzedn. ob. *Przegląd Powsz.* z lutego b. r. str. 289.

tu wprawdzie i nowe, nieznane jeszcze nazwiska, jednak i one dowodzą, jak troskliwą jest redakcya o nabycie sił nowych, któreby ją kiedyś zastąpić i pismo na wyżynie zdobytej sławy utrzymać mogły.

Poprzedni naczelny redaktor, O. Gerard Schneemann zmarł w zeszłym roku d. 20 grudnia. Jego następca, O. Fäh, dotychczas nie należący do grona współpracowników Redakcyi, skreślił pośmiertne o nim wspomnienie i krótki życiorys zmarłego. Zawód swój pisarski rozpoczął O. Schneeman w r. 1864 rozprawą: „O kwestyi Honoryusza", która wymierzoną była przeciw Döllingerowi. W tym także czasie niemieccy Jezuici pod wpływem O. Riess'a powzięli myśl szerszego omówienia zdań Syllabusem objętych. O. Schneemann'owi, jako profesorowi prawa kanonicznego, powierzono opracowanie 65 i 74 tezy, o małżeństwie. Jemu to tylko zawdzięczać należy, że dzieło zaledwie rozpoczęte, nie spełzło na niczem. W czasie wydalania Jezuitów nie mały spotkał go zaszczyt, gdy radca dworu Wagener przytoczył zdanie „Janus'a" jako glosę Schneemann'a o Syllabusie. To najlepiej pokazuje, jakie stanowisko wśród wielkiej walki zasad naszego wieku, przyznawały zmarłemu nietylko przyjazne, ale i wrogie nawet stronnictwa. Około tegoż czasu rozpoczął O. Schneemann główne swe dzieło, któremu poświęcił wiele lat ciężkiej a wytrwałej pracy: *Acta et Decreta Sacrorum Conciliorum recentiorum. Collectio Lacensis.* Wartość tego zbioru uznała pierwszorzędna krytyka: *Das Litterarische Centralblatt* (1882. Nr. 25) pisząc o nim: „Nauka ma wszelkie powody do wdzięczności względem wydawcy za jego energię i staranność z jaką wywiązał się ze swego zadania". Prócz tego pomnikowego dzieła, ileż to pism innych wyszło z pod pióra O. Schneemann'a!

Cztery artykuły pióra O. Kreitena, tj.: „Śmierć Baldura", „Za późno poznany", „Nerto" i „Czy Wolter już nie żyje?", świadczą, że w duszy jego pomimo słabości fizycznej, nie przekwitł smak estetyczny, a myśl nie straciła dawnej sprężystości i młodzieńczego polotu. „Baldur" to epopeja godna wszelkiego uznania. „Za późno poznany" *(Zu spät erkannt)*, tak opiewa tytuł „współczesnego obrazka", którego autorem pruski generał — Hartmann. Jeśli w ogóle literatura jest wyrazem ducha społeczeństwa, to niemniej też i pewne poszczególne powieści czy romanse ze względu na ich autora, na

czytającą publiczność i na sam wybór przedmiotu — a przeto też i obrazek współczesny Hartmanna można uważać za probierz lub barometr nadzwyczajnego naprężenia walki kulturnej. Rzecz odgrywa się przeważnie wśród polskiej ludności pod pruskim zaborem. Zabójstwa, udana cudotwórczość i zepsucie obyczajów, oto, według Hartmanna, główne rysy katolickiego duchowieństwa. Analiza „współczesnego obrazka", podana przez Kreitena, dokładnie zapoznaje nas z sądem o Kościele katolickim, jaki, pomimo walki kulturnej, utrzymuje się jeszcze dotąd w protestanckich kołach.

„Nerto" (Marta), jestto szczęśliwie po wieloletniej przerwie podjęte studyum, nowszej, prowansalskiej poezyi *(Nerto, Nouvello prouvançalo pèr Frederi Mistral)*. Utwór ten nazwaćby można Faustem prowansalskim: w wielu przynajmniej motywach przypomina zarówno hiszpańskiego *(Magico prodigioso, Calderon'a)*, jak i niemieckiego Fausta, w nowszej jednak szkole jest to jeden z najdoskonalszych utworów. Artykuł „Czy Wolter już nie żyje?" zawiera apologię pism wydanych przez O. Kreitena z okazyi 100-letniej rocznicy (1879) Woltera, pism, które tak w Niemczech, jako też i w Austryi istną burzę wywołały.

O. Beissel nader cennemi wiadomościami wzbogaca historyę tumu św. Heleny w Trewirze. Pierwotnie był to jej dom mieszkalny, później przez św. Agrycyusza zamieniony na kościół, który po dziś dzień istnieje jako część składowa katedry. „Kwiaty w sztuce i w naturze", oto drugi artykuł tegoż autora, estetycznej treści.

„Jestem przekonany, powiedział pruski minister oświaty o marcowych rozruchach belgijskich, że 99-ty procent tych strejkujących zbrodniarzy i rabusiów, stanowią dobre zresztą dzieci waszego (tj. katolickiego) kościoła". O. Lehmkuhl za pomocą niepodejrzanych świadectw udowadnia, jak niesprawiedliwym jest ów zarzut przeciw Kościołowi wymierzony, wykazując zarazem, że nie tylko rozruchy, ale i ich przyczyny wprost są przeciwne zasadom i nauce Kościoła. Drugi też artykuł O. Lehmkuhla p. n. „Święcenie niedzieli jako czynnik naprawy społecznej" doskonale odpowiada duchowi i potrzebom czasu: bo sam ks. kanclerz w urzędowej odezwie, przeciwne święceniu niedziel zajął stanowisko. „Gdzie nie ma względu i pamięci na Boga, mówi znakomity moralista, tam wśród ludzkich stosunków obumiera żywotny kiełek porządku trwałości. Powtóre, święcenie

niedzieli jest spójnią serc i umysłów najrozmaitszych klas społeczeństwa. Z tych obydwóch przyczyn święcenie i wypoczynek niedzielny jest w części praktycznym czynnikiem tych idej, bez których całe społeczeństwo ludzkie w gruzy rozpaść się musi". Tej wielkiej a groźnej kwestyi socyalnej dotyka też O. Hammerstein w artykule. „Prawo dziedzictwa i consolidacyi, a kodeks cywilny". Autor przeciwny jest wszelkim przymusowym podziałom majątku po śmierci właściciela. Spodziewa się on, że niezadługo nowy układ cywilnego prawa niemieckiego zupełną pod tym względem pozostawi swobodę.

Nauki przyrodnicze mają także w *Stimmen* swych przedstawicieli. Ciekawem jest studyum O. Wasmanna o pojawiających się formach „Złotego przecięcia" *(sectio aurea)* w zastosowaniu do idealnego pojmowania natury. Skoro linię prostą podzielimy w ten sposób, że część mniejsza tak się będzie miała do większej, jak większa do całej linii, wtedy stosunek ten będzie wzorem złotego przecięcia: a: b=b: (a+b), a w liczbach: — a: b=1: 1,618.055. Geometryczny stosunek złotego przecięcia był już znany Euklidesowi, jednak, dopiero Kepler podniósł tę myśl, że prawdopodobnie pomiędzy Złotem Przecięciem a światem roślinnym ścisły zachodzi związek. Lecz długie lata czekać było potrzeba na naukowe uzasadnienie tej myśli. Dopiero od połowy bieżącego wieku toczy się zacięty spór o istnienie tego związku. Wasmann staje po stronie tych, którzy trzymają się środka, a mianowicie, że Złote przecięcie zdarza się często w poszczególnych przedmiotach sztuki i zjawiskach natury. Zasadniczem prawem wszechtworów tak jednej jak drugiej jest jedność w rozmaitości. To zaś prawo najdoskonalej wyraża stosunek złotego przecięcia, i w tem właśnie leży idealne jego znaczenie.

W poprzednich zeszytach skreślił O. Hager organizacyę amerykańskiej inspekcyi meteorologicznej, obecnie zaś obznajamia nas z jej czynnością tak na stacyach jak i w biurze centralnym. Spostrzeżenia odbywają się punktualnie o godz. 7 rano, o 2 po południu i 11 wieczorem na wszystkich stacyach równocześnie, a nadto obserwacye dodatkowe o 11 przed południem i o 7 wieczorem na stacyach głównych. Zajmujący jest opis, ile okrętów za pomocą tych czynności ostrzeżono przed niebezpieczeństwem, lub nawet ocalono od niechybnej zguby. O. Epping zajmuje się badaniem meteorytów i ich kosmicznego pochodzenia. Zrazu przypisywano ich początek

ziemskim wulkanom, następnie cieszyła się powodzeniem hipoteza o wulkanach księżycowych, wreszcie przyjętą została ogólnie, dawniej już postawiona teorya kosmiczna. Są to, jak udowodnił E. Weiss, dyrektor wiedeńskiej astronomicznej strażnicy, rozpadłe lub rozpadające się komety.

Dalej w roczniku tym znajdujemy dokończenie nadzwyczaj zajmującego opisu podróży po wschodniem Islandzkiem wybrzeżu od Akureyri do Eskifjördr, przez O. Baumgartena odbytej i skreślonej.

Do działu filozofii a zarazem i chrześcijańskiej apologetyki należy gruntowny artykuł O. Meyera o papieskim okólniku *Immortale Dei* z dnia 1 listopada 1885 r. Sam już nagłówek encykliki: *De civitatum constitutione christiana*, brzmi jakby jawny protest przeciw liberalnemu hasłu: „rozbrat między Kościołem i państwem!“ Nie po raz to pierwszy Stolica Apostolska podnosi głos w tym przedmiocie. Grzegorz XVI. i Pius IX. podawali już te same lekarstwa schorzałemu społeczeństwu. Nowy ten okólnik jest potwierdzeniem, i jakby koroną syllabusa, owszem rzecby można wiernem odbiciem dodatniej jego treści, tylko w jaśniejszem świetle i w zastosowaniu praktycznem. Sto lat już temu głoszono „prawa człowieka“. Dziś końcem ich zupełne bankructwo. W takiej to chwili przypomina Ojciec św. społeczeństwu całego świata zapomniane prawa zasadnicze, prawa wiekuiste, prawa Boże. Takiem jest znaczenie okólnika, który O. Meyer szczegółowo rozbiera, objaśnia i uzasadnia z właściwą sobie przejrzystością, jakiej najlepszym wzorem jest jego „Prawo natury“ w łacińskim i niemieckim języku wydane. W końcu dodać należy, że we wszystkich recenzyach znać wielką pilność i pióro ludzi prawdziwie fachowych. Dobór dzieł wziętych do oceny jest bez zarzutu. Dość wskazać imiona autorów, jak: Gutberlet, Schanz, Amberger, Denifle, Wilmers, Scholz i t. d., których dzieła w ostatnich czasach wzbogaciły niemiecką literaturę.

X. A. Arndt.

Rozmaitości.

Program nowych pism postępowych w Warszawie.

Co należy rozumieć przez postęp i pisma postępowe, trudno jest dokładnie określić teorycznie, praktycznie zaś każdy kraj nadaje tym wyrażeniom znaczenie nieco odrębne. W Anglii znajdują się dwa wielkie stronnictwa, Torysów i Wigów; jakkolwiek każde z nich trzyma się oddzielnych a dość ściśle określonych zasad, mają jednakże wiele punktów wspólnych. Anglik może być konserwatystą lub liberalnym, nie przestaje jednakże być dobrym katolikiem: Książe Norfolk jest Torysem, lord Ripon Wigiem, lecz obaj należą do jednego „Stowarzyszenia katolików angielskich". W Niemczech potężne katolickie stronnictwo *Centrum* oddzieliło się od konserwatywnych, którzy idąc ślepo za rządem, poświęcili zasady i sprawiedliwość, i od liberalnych, którzy pokazali, że wolności tylko dla siebie samych pragną. U nas w Galicyi pisma liberalne brały długo lekcye z Wiednia od żydowsko-centralistycznych redakcyj; dziś, kiedy ta szkoła centralistów zdemaskowała się w polityce, nasi liberałowie zaczynają (daj Boże!) niejednego się oduczać. W Warszawie liberalne pisma i liberalni pisarze nazywają się p o s t ę p o w y m i, na czem zaś ta postępowość zależy, wyłożył p. Straszewicz w jednym z ostatnich numerów *Wędrowca*.

Według p. Straszewicza, każdy zaliczony jest do szeregu postępowców: 1. „Kto tylko nie jest prawowiernym religiantem"; 2. „Kto nie widzi w teoryach Darwina herezyi ani absurdu"; wreszcie 3. „Kto nie jest arystokratą". Tak postawione określenie jest nadzwyczaj wymowne; n e g a c y a, i to potrójna negacya stanowi cały program: nie ma innych zasad ni podstaw stronnictwa tylko przeczenie, innego kitu, tylko nienawiść. Czyż mógłby się inaczej wyrazić *der Geist der immer neigt?* — A nie należy sądzić, żeby te negacye wychodziły na afirmacye przeciwne: stronnictwo w żadnych afirmacyach zgadzać się nie potrzebuje. Możesz przeczyć Bogu z punktu panteistycznego, możesz go zaprzeczać ze stanowiska materyalistycznego jak Büchner, bylebyś nie był religijantem,

już jesteś postępowcem. Możesz nienawidzić szlachtę dla zasady, jak jakobin, albo ją nienawidzieć dla interesu, jak socyalista, byleś ją nienawidził, jesteś godnym członkiem stronnictwa — *dignus intrare in nostro docto corpore.*

Rzecz jest tak jasno i jaskrawo postawiona, że samo stronnictwo postępowe z niezadowoleniem przyjęło to ogłoszenie; Pan Mahrburg z „Kraju“ daje temu *enfant terrible* porządną nauczkę.

Specyalny sprawozdawca rzeczy filozoficznych tygodnika Petersburskiego wykazuje, że program p. Straszewicza jest w części nielogicznym a w całości nierozumnym. A najprzód jaka jest potrzeba wpajania w ludzi tego, co przez wszystkich jest jednakowo rozumiane, pyta p. Mahrburg, „taka praca, mówi on, równałaby się wierceniu dziur w próżni“. Dalej, stronnictwo postępowe nie jest akademią umiejętności, aby rozstrzygało czy jaka teorya naukowa jest prawdziwą albo błędną. „Pozostawcie to panowie, wyraża się p. Mahrburg, przedewszystkiem nauce i jej pedagogicznym organom. Co gorsza, nie podejmujcie się apostolstwa w zakresie przedmiotów, które nie są specyalnością waszą“. Gorzka to pigułka, lecz zapewne p. Straszewiczowi łatwo przyjdzie ją połknąć, skoro sam, z naiwną otwartością wyznaje, że dziennikarze postępowi „o zdobyczach wiedzy zachodniej informują źle, o wypadkach bieżących mówią bez dostatecznej kompetencyi“. Ale p. Mahrburg mówi coś więcej jeszcze, mianowicie nie przyznaje zupełnie, aby w i a r a w d a r w i n i z m winna była być wymaganą od każdego, kto chce być umieszczonym na liście postępowców. „Dlaczego koniecznie, pisze on, darwinizm ma być wyrazem postępowości? Co do nas, sądzimy, iż najbardziej postępowi mogliby się okazać zarówno ci, co się najkrytyczniej względem doktryny Darwina postawić potrafili, jak i ci co zgoła jej odmawiają słuszności: zależy to oczywiście od tej nie dającej się dziś rozstrzygnąć alternatywy, czy doktryna Darwina okaże się w mniejszym lub większym stopniu prawdziwą, czy też zgoła chybioną, b o, ż e z u p e ł n i e p r a w d z i w ą n i e j e s t, t o j u ż d z i ś w i a d o m o“. Co się tyczy trzeciego punktu programowego, p. Mahrburg nie pisze się nań również. „Nie rzeczą dziennikarzy, mówi on, orzekać, czy biegu sił fizycznych „nic zmienić nie zdoła“; jest to zadanie naukowe, teoretyczne, a tak dalekie od stanowczego dogmatyzmu, że najgenialniejsi fizycy współcześni zastrze-

gają się w tym względzie dość jednomyślnie". Słowem cały program postępowy został potępiony.

Nie spodziewamy się zresztą, żeby odprawa p. Mahrburga wpłynęła na warszawskich postępowców, albowiem chociaż p. Mahrburg należy do ich obozu, chociaż podziela ich zasadnicze przekonania, ale ponieważ zna lepiej od nich przedmiot, o którym piszą, tem samem jest pewnego rodzaju „arystokratą" — a więc gotowi go nawet wykluczyć ze swego grona. Zapowiedziane pismo postępowe podobno już wyszło w Warszawie, ma wyjść jeszcze inne; utartemi a próżnemi co do treści frazesami będą one po staremu szerzyć błędne zasady, nie przekonają nikogo, lecz uwiodą tych, którzy do uwiedzenia są skłonni i chętni.

Świeżo opuściły prasę:

Dwa pierwsze tomy dzieła **Puławy** hr. *Ludwika Dębickiego*. Trzeci i ostatni tom niebawem wyjdzie z druku.

Czwarte wydanie dzieła *X. D. Pelczara* o **Życiu duchownem**, znowu powiększone.

X. arcyb. Felińskiego dzieło **Wiara i niewiara** w stosunku do szczęścia osobistego.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kongres w Liège. — Antykościelna agitacya we Włoszech.

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie echa wspaniałych obrad katolików niemieckich, a już 26 września rozpoczął w Liége swe posiedzenia, wielki, socyalny kongres francuskich, belgijskich i holenderskich katolików, z którymi po bratersku złączyli się doświadczeni już na tej arenie, niemieccy biskupi i najznakomitsi członkowie *Centrum*. Olbrzymia sala jezuickiego konwiktu ledwie pomieścić zdołała licznych uczestników kongresu: biskupów, posłów do różnych parlamentów, zakonników, misyonarzy, uczonych, właścicieli fabryk, robotników i bardzo licznych przedstawicieli nie tylko katolickiej, ale i liberalnej prasy; dość powiedzieć, że samych Belgów liczono do półtora tysiąca. Zebranym nie chodziło wcale o jakąś manifestacyę, ale o wzajemne praktyczne porozumienie się i powzięcie odpowiednich uchwał w najważniejszych dziś, prawdziwie piekących kwestyach socyalnych; w tym celu kongres podzielił się na trzy, jednocześnie obradujące sekcye: religijną, prawodawczą i ekonomiczną, a raz tylko dziennie zbierał się na wspólne uroczyste posiedzenia. W ten sposób nie wykluczając pewnego zewnętrznego blasku osiągnięto rzeczywiste, ważne i praktyczne rezultaty.

Kongres rozpoczął się odczytaniem papieskiego brewe, do biskupa z Liège X. Doutreloux. Leon XIII. wykazując ważność i znaczenie podobnych zgromadzeń, przypominał własną encyklikę o kwestyi socyalnej i wyrażał swą radość, iż katolicy nie szczędzą

pracy i wysiłków, aby położyć tamę coraz bliższej i coraz groźniejszej fali socyalizmu. Fala ta przedewszystkiem usiłuje obalić papiestwo i monarchię; dlatego kongres w dziękczynnym telegramie do papieża i w telegramie do króla Belgijskiego dał poznać głęboko swą cześć i zapewnił o winnem posłuszeństwie dla obu tych instytucyj. Właściwe obrady rozpoczął biskup Doutreloux wspaniałą mową o obowiązku wyższych klas społecznych względem klas roboczych. Najważniejszym, pierwszym obowiązkiem jest powściągnięcie zbytku irytującego uboższych, a tamującego swobodny rozwój chrześcijańskiego miłosierdzia. Najgorętszem życzeniem kardynała Pie było, aby każdy kraj, każda prowincya, każde miasto uformowało ligę przeciw zbytkowi; walczmy przeciw niemu, dawajmy naszym dzieciom silne chrześcijańskie wychowanie, a będziemy mogli spokojnie przypatrywać się gromadzącej się burzy, pewni, iż kraje nasze ominie.

W tym samym duchu przemówił pan Collinet, prezydent Unii narodowej, za której inicyatywą i staraniem zebrał się kongres. Pan Woeste, jeden z najgłówniejszych filarów katolickiej prawicy w parlamencie Brukselskim. Obaj mocny kładli nacisk na niezaprzeczoną prawdę, iż wstrząśnięte w swych posadach społeczeństwo dzisiejsze, jedynie od Kościoła spodziewać się może ratunku. Zwłaszcza przemówienie Woestego było silnem i jasnem:

„Tych, którzy prasą, wychowaniem, prawami, chcą wyzuć lud „z wszelkiej religi, przestrzegaliśmy już nieraz: Uważajcie co czy„nicie! Lud odprowadzony przez was od chrześcijaństwa, zaprowa„dzony na manowce, niczego nie spodziewając się w niebie, zażąda „swej części na ziemi. Miasto odpowiedzi słyszeliśmy szyderstwa, „patrzyliśmy jak z lekceważeniem wzruszano ramionami. Dziś wiecie „co się stało. Straszny wypadek z miesiąca marca rozszedł się „echem po całej Europie. My przynajmniej nie powinniśmy zostać bez„czynnymi... Pragnąłbym, aby ten kongres stał się początkiem „wielkiej społecznej restauracyi. Jeśli nie przyłożymy ręki do dzieła, „czekają nas niechybne kataklizmy. Dziś jest jeszcze czas im za„pobiedz; jutro będzie zapóźno!“ Wygłaszając te słowa wymowny mówca, nie wiedział, iż w tejże samej chwili tysiące rąk pracowało w cichości nad zniszczeniem jednej z najświetniejszych stolic europejskich.

Jakich środków użyć do społecznej restauracyi, do walki

z socyalizmem? — przeciw czemu i przeciw komu szczególnie należy się bronić? — kogo uważać za wroga? — kogo za sprzymierzeńca? — nad temi pytaniami obszernie i wyczerpująco zastanawiały się pojedyńcze sekcye. Pierwszym i głównym wrogiem są napiętnowani w encyklice *Humanum genus* wolnomularze; przeciw nim szerzyć należy bardzo pomyślnie rozwijającą się antymasońską ligę. Ale to tylko środek odporny; socyalizm w ten lub inny sposób dopóty szerzyć się będzie, dopóki robotnik, stawszy się niejako członkiem rodziny swego chlebodawcy, jak wyraził się p. de Grand'Ry, nie będzie mógł w krytycznych chwilach liczyć z wszelką pewnością na jego pomoc. Tu naturalne nasuwało się pytanie, czy pomoc ta ma być zagwarantowana prawami państwowemi, czy też pozostawiona prywatnej inicyatywie. Wywiązała się bardzo żywa dyskusya. Niemieccy i francuscy goście, a na ich czele biskup Korum i hr. de Mun, opierając się na rezultatach osiągniętych w Niemczech i w Anglii, dowodzili, iż państwo przynajmniej w bardzo wielu przypadkach ma obowiązek czuwać nad zabezpieczeniem losu robotników; niektórzy inni członkowie, jak pp. Limburg i Despret, stanowczo przeciw tej zasadzie się oświadczyli, jako wiodącej do wszechwładztwa państwa. Przy ostatecznem głosowaniu przeszedł znaczną większością wniosek biskupa Korum: „Kongres objawia życzenie, „aby przyjętą została zasada obowiązkowej asekuracyi, odnośnie do „przypadków z przemysłem styczność mających, z tem jednak za„strzeżeniem, iż w praktyce należy zostawić osobistej inicyatywie, „jak tylko można największe pole do działania".

Myśląc o polepszeniu doli robotników, nie należało zapomnieć o ich żonach i dzieciach. Siedmioletnie dzieci, opowiadał z goryczą biskup Doutreloux, pracować nieraz muszą po fabrykach, a pracować po 12 godzin na dobę, nietylko dniem, ale nieraz i nocą za śmieszną zapłatę 35 lub 36 centymów. Inny mówca znał patronów, zaprzęgających dwunastoletnie dzieci do ośmnasto-godzinnej pracy na dobę i przyjmujących tylko takich robotników, którzy zobowiązywali się pracować przez sześć miesięcy po dwadzieścia godzin na dobę. Przerażające to fakta, a bądź co bądź dozwolić na nie nie powinno już nie tylko chrześcijańskie, ale nawet pogańskie państwo. Pod wpływem szlachetnego oburzenia, zawiązała się natychmiast nowa Liga, mająca na celu zapobieganie podobnym barbarzyństwom

Czy taka Liga powstała z prywatnej inicyatywy wystarczy? Większość powołanych do głosowania nie robiła sobie illuzyj, a trzymając się i w tym przypadku ogólnej zasady, wyrażonej przez X. Korum, zawezwała rząd do zajęcia się uregulowaniem pracy.

Niepodobna nam wyliczać szczegółowo wszystkich innych wniosków i rozpraw. Było ich wiele, może za wiele i w zbyt różnych kierunkach; nawał materyi nie pozwalał do dna i wszechstronnie w niej się rozpatrzyć. W porównaniu do niedawno odbytego kongresu Wrocławskiego, błąd ten tembardziej wpada w oczy, ale zapominać nie trzeba, iż wyćwiczeni w podobnych obradach, wybornie zorganizowani katolicy niemieccy, oddawna przebyli drogę, na którą katolicy belgijscy dopiero wstępują. Bądź co bądź, początek był nad wyraz świetny i najpiękniejsze rokuje nadzieje.

Dzienniki liberalne francuskie, niemieckie, włoskie zachowały w ogóle o kongresie w Liège dyplomatyczne milczenie. *Fanfulla* uderzyła w pierwszej chwili na alarm, głosząc z nietajonym niesmakiem, iż kongres ma widocznie „międzynarodowy charakter", ale po jednym dłuższym artykule, czy to na sygnał dany z góry, czy nie chcąc tracić czasu na takie błahostki, przyłączyła się do milczących koleżanek, aby natomiast wespół z niemi z tem większą siłą uderzyć na „coraz bardziej rozrastający się we Włoszech, wrogi państwu klerykalizm".

Mniej więcej w połowie września, jednocześnie niemal w całych Włoszech rozpoczęły liberalne i radykalne dzienniki, podburzone przez nie bandy rewolucyonistyczne i wielu niemniej rewolucyi sprzyjających syndyków, prefektów ministrów — formalną, gwałtowną krucyatę przeciw Kościołowi, czyli raczej watykanizmowi, jak za *Fanfullą* wyrażają się włoskie gazety, a zwłaszcza przeciw zakonom. Pierwszy sygnał do walki dała mowa ministra Grimaldiego, w której papieża nazwał „nieprzyjacielem dzisiejszym, wczorajszym i jutrzejszym", i liczne cyrkularze ministra Tajaniego przeciw Jezuitom i wszelkiej reguły zakonnikom i zakonnicom. Z początku myślano, że pp. ministrom rozchodzi się tylko o nastrojenie umysłów do świetniejszego obchodu rocznicy wzięcia Rzymu, która od lat kilku poszła prawie w zapomnienie, ale dzień 20 września przeminął, król Humbert w publicznym liście zapewnił, że „zdobycz Rzymu jest nietykalną", manifestacya na cześć

zjednoczonych i niepodzielnych Włoch, ściągnęła więcej ciekawych niż lat poprzednich, a przecież heca antyklerykalna miasto stopnieć przybierała jeszcze przez parę tygodni na rozmiarach i grozie. Loży szło widocznie o coś więcej: o sparaliżowanie coraz piękniej rozwijającej się działalności katolickiej, o sztuczne rozdmuchanie nienawiści przeciw biskupom, księżom i zakonom, od których lud włoski doznając coraz więcej dobrodziejstw, coraz więcej ich poznawał i kochał. Kto wie nawet, czy jak domyśla się jedna z bardzo wysoko położonych osobistości w artykule umieszczonym w *Moniteur de Rome*, nie chciały Włochy urządzeniem tej hecy okazać innym mocarstwom (które może o tem w niedawnych naradach myślały), iż papiestwo jest niepopularnem i że o przywróceniu władzy doczesnej, choćby w najciaśniejszych granicach, w obec panującego prądu, ani myśleć nie można.

Prasa masońska, mając rozwiązane usta, rzuciła się z radością do boju, na żadne względy nie zważając. *Riforma* w ohydnym artykule, zatytułowanym „Wenus klerykalna“ przedstawiła działalność kleru w konfesyonale, jako „szkołę zepsucia“, ustanowioną na korzyść członków rozmaitych katolickich stowarzyszeń, w której profani, nie należący do tych stowarzyszeń, spotkają się z twardą surowością, ale przewódcy katolickiego ruchu zasługują na pobłażanie, choćby dopuścili się cudzołóstwa. Nawet miłosierdzie chrześcijańskie, wydające tak błogie owoce w zakładach Dom Bosco, nie znalazło przebaczenia w oczach roznamiętnionego dziennika, bo bądź co bądź, jest to „miłosierdzie klerykalne, upadlające umysł i odejmujące człowiekowi energię do pracy“. W podobnym tonie odezwały się *Diritto, Fanfulla, Ranegna, Tribuna*, a za niemi cała chmara mniej wpływowych dzienników, domagając się, razem z *Diritto*, aby „wszyscy liberałowie włoscy, bez różnicy politycznych „odcieni, wyruszyli na tę wielką i świętą wyprawę, nie stawiając „widma czerwonego naprzeciw widma czarnego, nie dopuszczając „się nadużyć, ale spokojnie wykazując rządowi, jakie są pragnienia „i potrzeby kraju, aby rząd z godnością i powagą odpowiednich „środków przeciw nieprzyjacielowi mógł użyć“.

Dla uwidocznienia i silniejszego poparcia owych „pragnień i potrzeb“ Włoch, uorganizowali przywódcy antykościelnego ruchu, cały szereg burzliwych demonstracyj... 18 września zakazało mini-

steryum katolikom z powodu cholery zebrać się w Luce na siódmy generalny kongres, którego otwarcie już za trzy dni nastąpić miało; 19 września odbył się pierwszy antyklerykalny wiec w Bolonii, następnych dni wiece te powtarzały się w innych miastach włoskich, ale tymczasem niebezpieczeństwo cholery widocznie minęło, gdyż ministeryum ani słowem o tem przed chwilą tak groźnem widmie nie wspomniało. Prezes bolońskiego wiecu Aurelio Saffi zagaił obrady twierdzeniem, iż „prawem i obowiązkiem Włocha jest bronić się przed szerzącym trądem obskurantyzmu“; robotnik Minelli zażądał zupełnego zniesienia księży; a adwokat Rossi wydeklamowawszy patetyczną mowę przeciw „teokratycznym rządom w żadne rokowania nie wchodzącym“, wezwał zgromadzonych do wydania im walki na zabój. W tydzień po wiecu bolońskim odegrano podobne tragikomedye w teatrach Florencyi i Sienny. W obu tych miastach zebrani wezwali rząd do energicznego zastosowania istniejących praw przeciw Jezuitom „wrogom postępu“ i zniesienia zakonów w Toskanii.

Z sal teatralnych przeszła wnet agitacya na ulicę. W Genui, Pawii i kilku innych miastach podochocone tłumy przechodziły procesyonalnie z pochodniami i muzyką najgłówniejsze ulice, wołając w niebogłosy: „Precz z Jezuitami!“ W Padwie spalono publicznie portret Leona XIII. Podobną zabawę umyślili sobie urządzić neapolitańscy wolnomularze, rozochoceni świeżem zwycięstwem w radzie miejskiej nad nieludzko z celek swych wypędzonemi zakonnicami z klasztoru *Sapienza*. O powodzeniu manifestacyi nikt nie wątpił; przecież jak opisywał walne zwycięstwo nad zakonnicami liberalny *Il Corriere del Mattino*: „Wczorajsza dyskusya, a nadto długie i entuzyastyczne okrzyki na cześć prezydenta wykazały, iż partya klerykalna już nie żyje, a jeśli czasem przemawia, to dlatego, bo jej jeszcze nie pogrzebano“. W wesołem więc usposobieniu wyruszyły 26 września różne republikańskie i antykościelne stowarzyszenia na plac „Miłosierdzia“, niosąc przed sobą czarną chorągiew „Antyklerykalnej Ligi Jordana Bruno“, przeklinając i krzycząc: „Precz z Leonem XIII.! — Śmierć klerykałom“! Tłumy ludu zebrały się na obszernym placu, i w odpowiedzi na wolnomularskie bluźnierstwa odpowiedziały potężnym okrzykiem: „Niech żyje Papież! — Niech żyje Leon XIII.! — Niech żyje religia katolicka!“

Rzecz prosta, że gorący Neapolitańczycy nie mogli przestać na słowach; rozpoczęła się bójka, po kilkakroć na różnych miejscach wznawiana, aż nareszcie po długim namyśle policya i karabinierzy widząc, że katolicy wszędzie przemagają, uznali za stosowne wystąpić, rozdzielić walczących i zaaresztować kilkunastu katolików.

Co najbardziej uderza, to właśnie owo dziwne zachowanie się rządu włoskiego, dozwalającego, protegującego niemal rewolucyjne mowy i uliczne burdy, skoro tylko wymierzone są przeciw Stolicy św. mimo zagwarantowanych jej praw monarszych. We Florencyi, jak w Rzymie, agenci policyjni słuchali spokojnie ziejących nienawiścią mów przeciw „klerykałom, Jezuitom i watykanizmowi", ale skoro jeden z mówców zwrócił się przeciw Austryi, komisarz policyjny natychmiast mu głos odebrał. Łatwiejby można jeszcze zrozumieć, że rząd patrzy przez szpary na demonstracye antykościelne na prowincyi, ale jak mógł na nie dozwolić w samym Rzymie, niemal pod oknami królewskiego pałacu? Dnia 26 września, a więc tego samego dnia, w którym miały miejsce neapolitańskie sceny, urządziła sekta w Rzymie olbrzymi tryumfalny pochód na cześć niejakiego Lucatellego, który przed piętnastu laty, przekonany o zasztyletowanie papieskiego żandarma, został wyrokiem sądowym skazanym na stracenie. Około 10.000 osób wyruszyło na *Campo Verano*, gdzie spoczywały zwłoki prostego tego złoczyńcy, a gdy orkiestra miejska, odegrała jakby na urągowisko, kilka wyjątków z rozmaitych operetek, rozpoczęły się mowy, stanowiące główną część ułożonego przez osobny komitet programu. Radca miejski Ricci, rozpoczął szereg mów, przywitaniem manifestujących, w imieniu rzymskiej rady miejskiej, której był urzędowym przedstawicielem. Następnie deputowany Pianciani wygłosił rodzaj hymnu na cześć Lucatellego; obecny inspektor policyi słuchał ze skupieniem, ale gdy mówca choć słowem zadrasnął o „ziemię, nad którą dotąd jeszcze nie wznosi się włoski sztandar", okazywał swą urzędową szarfę i przywoływał trybuna do porządku.

„Lud jest sprawiedliwy, wołał Pianciani, pamięta o tych, „którzy cierpieli dla dobra wspólnego. Pod chorągwią kościelną ko„ści Lucatellego, były kośćmi mordercy — pod naszym sztandarem są „one kośćmi męczennika! Dziękuję radzie miejskiej, iż wysłała tu„taj swego przedstawiciela i upraszam ją, aby ulicy przytykającej

„do miejsca na którym odnaleziono te szczątki, nadała nazwę ulicy „Lucatellego... Tak! nie był on mordercą, ale był przedstawicielem „ludu borykającego się z tyranią; występował w walce przeciw bru„talnej sile, a w obronie praw obywateli, którzy zanim zostali pod„danymi państwa papieskiego, byli Włochami i buntowali się prze„ciw ciemiężcy... Powinniśmy się wyuczyć walki przeciw księżom: „jeśli dzisiaj nie są oni niebezpieczeństwem dla ojczyzny, to mogą „niem zostać. Rzym pozostanie stolicą włoską i bądź co bądź nigdy „nie popadnie w ręce księży; zdobyliśmy go ofiarami naszemi i mę„czennikami, a jezuickie sztuczki nie zdołają nam go odebrać".

Oklaski i okrzyki: „Precz z księżmi! Precz z Watykanem! Niech żyje Oberdank!" przerywały mówcy. Wysłuchawszy jeszcze przemowy pana Amadei, który podniósł całą rodzinę Lucatellego do rzędu dawnych rzymskich bohaterów, udał się tłum nad grób mordercy, na którym wśród stosu kwiatów błyszczał świeżo w marmurze wyryty napis:

Kości Cezara Lucatellego
który z miłości dla Włoch
Ofiara papieskiej tyranii
Wstąpił mężny i nieskalany na rusztowanie.
Tu złożył
Po XXV. latach zapomnienia
Lud
Sędzia najwyższy
Na przykład wolnym
Na postrach podłym.

Dalej tragiczna śmieszność tej anty-religijnej bachanalii dojść nie mogła. Na powtarzające się zapytania krajowej i zagranicznej prasy: Cóż wam papież, cóż wam katolicy w ostatnich czasach zawinili, dzienniki włoskie nie wiedziały zupełnie co odpowiedzieć. Niektóre z nich wskazały wprawdzie na brewe papieskie zatwierdzające Jezuitom dawne przywileje, jako na „prowokacyę" i „jasny a smutny znak wpływów rządzących w Watykanie" zmuszający rząd do ściślejszego zachowania istniejących praw, ale te same gazety wyznawały, że brewe nie ma żadnego politycznego, lecz ściśle wewnętrzne znaczenie, i gdy je tylko nieco przyciśnięto, kryły się w mglistej atmosferze ogólnych twierdzeń i wykrzykników. Ostatecznie raz po raz powtarzające się ekscessa, wydały się nielogicznemi

i niebezpiecznemi kilku nawet najliberalniejszym dziennikom: *Neue Freie Presse*, *Nord Deutsche Allgemeine Zeitung*, wystąpiły w ostrych wyrazach składając całą agitacyę na karb waryackiego radykalizmu. Z włoskich gazet niepodejrzany o klerykalizm *Popolo Romano*, umieścił następujące wyrazy: „Zdaje nam się, że rząd powinienby postę-„pować z większą stanowczością przeciw tym, którzy pod pozorem „antyklerykalnej agitacyi, pragną przedewszystkiem wzniecić niepo-„rządki i zamęt, którego smutnych następstw w tej chwili jeszcze „obrachować nie można... Ostatecznie cała ta agitacya jest po „większej części sztuczną, a mówiąc otwarcie, widok trzydzie-„stomilionowego narodu, stojącego pod jednym z najliberalniejszych „rządów konstytucyjnych, a który jednak przeraża się jednem ja-„kiemś papieskiem brewem, i wpada w konwulsye z powodu dwóch „tuzinow Jezuitów, byłby godnym jedynie śmiechu, gdyby na dnie „tej śmieszności nie wyglądało zaprzeczenie wszelkiego poczucia „własnej siły".

W podobnej myśli przemówił prezydent wiecu zebranego w Trewizie, głośny Bonghi, uskarżając się, iż rząd użył najgorszych środków do osiągnięcia swych celów, a to głównie z winy ministra sprawiedliwości Tajaniego, który gdzie się zwróci, tam burzę sprowadza. Leon XIII., mówił Bonghi, zawiódł położone w sobie zaufanie, „nie jest on tylko, jakby być powinien, pierwszym księdzem na świecie ale, odnośnie do Włoch, jest najzawziętszym klerykałem"; rzecz to smutna, ale mimo pewnego rozdrażnienia z tej przyczyny, nie należy występować do walki z klerykalizmem, ze szpilką w ręku, kłuć go i szczypać, jak go dziś kłujemy i szczypiemy, bo to do żadnego celu nie wiedzie. Działanie nasze, na wielką skalę rozwinięte, zdążać powinno nie do dokuczania Kościołowi, ale do przeprowadzenia w praktyce dawnej liberalnej zasady: „Wolny Kościół w wolnem państwie".

Bonghi wierzy widocznie z całą prostotą serca w liberalny system i błogie jego skutki; mniej naiwni ministrowie włoscy dowodzą czynami, że zasady „wolny Kościół w wolnem państwie" wzywają liberali tylko tak długo, jak długo siły w ręku nie mają. Dekret ministeryalny nakazał rozwiązanie siedmiu klasztorów żeńskich w przeciągu dni dziesięciu, a wedle obliczeń dobrze poinformowanych gazet, podobny los czeka w najbliższym czasie szesnaście

innych klasztorów. Na tak drogą sercom polskim kaplicę św. Stanisława Kostki wydano już wyrok zagłady, a jeśli uda się ją ocalić, to tylko dzięki osobistemu wdaniu się królowej, i pytanie jeszcze, czy na długo. A bodaj tylko na dotychczasowych nieprawościach się skończyło! Jak zapewnia *Voce della Verità* skrajna lewica zamierza wznieść po otwarciu parlamentu cały szereg ustaw przeciw klasztorom i religijnemu wychowaniu młodzieży, a na ustawy te miały się już zgodzić wszystkie antyklerykalne stronnictwa. Charakterystyczną jest przytem rzeczą, że właśnie w chwili najsilniejszej agitacyi przeciw Kościołowi, prezydent ministrów Robilant wydał długi okólnik do ambasadorów włoskich, polecający im w gorących słowach protekcyę nad misyami katolickiemi!

Z tego wszystkiego wynika, że ci, którzy sobie wystawiają położenie Stolicy św. w Rzymie za znośne i mogące się ustalić, bardzo się łudzą. Ten sens moralny wyprowadziła z tych wypadków w znaczącym artykule *Politische Correspondenz* i Ojciec św. wyraził to stanowczo w okólniku świeżo rozesłanym do wszystkich nuncyuszów.

Dzięki Bogu, nie wszystkie rządy idą w ślady włoskiego i francuskiego. W parlamencie Holenderskim ma być niebawem poruszoną kwestya wznowienia zwiniętego w r. 1860 poselstwa u Stolicy św. Rząd W. Księstwa Badeńskiego zbliżył się ostentacyjnie do Rzymu, obdarzając wielu dostojników kościelnych najwyższemi orderami, i biorąc znaczny udział w bardzo uroczystem przyjęciu nowego arcybiskupa Fryburskiego. W Niemczech spodziewać się można dalszej rewizyi praw majowych. Wielkie też ma znaczenie, a da Bóg i nie mniejsze będzie miała skutki ostatnia encyklika papieska do biskupów Portugalskich. Nie wiedząc szczegółowo do tej chwili, w jaki sposób kler, ludność i prasa portugalska encyklikę tę przyjęła, wstrzymujemy się tym razem od bliższego z niej sprawozdania, to tylko zaznaczając, iż porusza kwestye nie mniejszej wagi i nie mniej powinnaby zająć umysły, jak encyklika do biskupów Węgierskich.

X. J. Badeni.

Kronika warszawska.

Tegoroczny sezon martwy. — Ruch jesienny. — Polityka i nasze życie społeczne. — Przemysł w Królestwie i Niemcy. — Memoryał komitetu giełdowego. — Niwa. — Wiek i antysemityzm. — Studya nad pozytywizmem. — Zapisy do szkół. — Fundacya hr. Władysławowej Branickiej. — Kto dziś funduje kościoły. — Cud w Częstochowie. Zdania pozytywistów. — Badania naukowe Prawdy. — Pozytywne zasady warszawskich pozytywistów. — Z obozu przeciwnego. — Biesiada literacka. — Dzieła Albrechta Wilczyńskiego. — Złota przędza. — Na rozstajnych drogach, Sowińskiego.

Podług kalendarza skończyliśmy właśnie sezon martwy, — wstępujemy w okres pracy, zabiegów, nudów i wrażeń. Lecz w istocie sezonu martwego nie mieliśmy. Całe lato pełne było wypadków społecznych i politycznych. W polityce różne zjazdy budziły nas z letniego snu, przerywały wypoczynek, kazały robić domysły, kombinacye, stawiać horoskopy i... notować kursa giełdy. Zazwyczaj kierownicy polityki spoczywali w lecie i ludom wypoczywać pozwalali — tego roku stało się inaczej. Ale i w sprawach naszych domowych ruch przez lato nie ustawał, przeciwnie ożywił się nadspodziewanie i strudzonym głowom spocząć nie dał.

Dwie głównie sprawy żywo wszystkich zajmowały i po dziś dzień zajmują; kwestya przemysłu w Królestwie, zabarwiona silnie antygermanizmem i kwestya żydowska z nieodłącznemi objawami antysemityzmu. Niemcy, którymi u nas i w cesarstwie niebardzo się do niedawna zajmowano, wypłynęli na widownię, dzięki polityce żelaznego księcia. Rugi poznańskie i komisya kolonizacyjna dotknęły nas do żywego, a społeczeństwo rosyjskie i jego prasa zapytały: ażali nie należałoby nauczyć się z tych faktów i za przykładem Niemiec „oczyścić granicę z obcych przybyszów?“. Teraz dopiero zwrócono uwagę na groźną potęgę przemysłu niemieckiego, który rozsiadł się nad granicą pruską w królestwie i stąd zarzuca sidła na miliony, zostawiając ledwo okruchy przemysłowi rosyjskiemu. Sprawa niezmiernej doniosłości zajęła umysły wszystkich, którym ekonomiczna przyszłość państwa nie jest obojętną. I oto właśnie w ciągu lata zjechała komisya z Petersburga, mająca na celu zbadanie warunków przemysłu w pasie granicznym, ażeby na podstawie faktycznych danych módz obmyślić stosowne środki do zapobieżenia złemu. Naturalnie prasa

nie pozostała obojętną w tej sprawie i pomimo pory kanikularnej energicznie broniła i broni słusznych praw kraju.

Nie mniej ruchu wywołała sprawa „memoryału komitetu giełdowego". Impuls dała *Niwa*, występując 15 czerwca b. r. z artykułem p. t. „Nie tędy droga". Podstawą tego artykułu był memoryał komitetu giełdowego w sprawie żydowskiej. *Niwie* powiodło się wydostać na jaw ten ciekawy dokument, wbrew może oczekiwaniu jego autorów.

Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami jątrzenia warstw i kast społecznych, antysemityzm stanowczo potępiamy; lecz w tym wypadku tylko przyklasnąć należy *Niwie* i uznać gorliwość jej redaktora w wyszukaniu dokumentu, który ma znaczenie historyczne, a że dotyka on jednej z najważniejszych spraw społecznych, więc powinien być jawnym, by ogół mógł poznać dążenia, cele i drogi tej grupy społecznej, która w historyi naszych prac obywatelskich nie od dziś już ważne zajmuje stanowisko. Kwestya t. z. żydowska zajmowała od dawna najpoważniejsze umysły, wywoływała dyskusye i projekta; lecz prawdę mówiąc, do dziś nie jest jeszcze rozwiązaną. W roku ubiegłym utworzono w Warszawie komisyę do rozpatrzenia tej zawiłej kwestyi, a głównem zadaniem owej komisyi miało być osądzenie, czy i o ile ograniczenie praw Żydom przysługujących, zaprowadzone w cesarstwie, miałoby racyę bytu w Królestwie. W obec tak ważnej pracy, postanowił komitet tutejszej giełdy wystąpić z memoryałem. I oto mamy przed sobą ów memoryał, w którym reprezentacya Żydów (bo chyba za taką komitet giełdowy się uważa), broni się do upadłego przeciwko wszelkim czynionym i nieczynionym zarzutom, argumentuje gorąco przeciwko ograniczeniom swych praw, a argumenta opiera na . . . zasługach Żydów dla kraju.

Nie podobna nam streścić obszernie całego memoryału, zaznaczamy tylko fakt, iż wywołał on niezadowolenie ogółu, jakiego już dawno nie widzieliśmy. Nawet szczerzy przyjaciele Żydów nie mogą się zdobyć nie już na pochwałę memoryału, lecz poprostu na jego obronę. Gdyby sprawa uobywatelenia Żydów nie była tak doniosłą, jak nią jest istotnie, memoryał możnaby uważać za wyskok doskonałej humorystyki. Rzecznicy ludu stają przed nami i wołają głosem uroczystym: posłuchajcie, jakie usługi oddaliśmy krajowi. Spojrzyj-

cie dokoła, wszystko co dobrem jest przez nas powstało, wam zostawiliśmy uprawę ziemi, ale wy i tego nie umiecie i bez nas nie dalibyście sobie rady. Dobrobryt kraju to my! „W całym bycie ekonomicznym naszego kraju Żydzi odgrywają rolę predominującą", woła komitet giełdowy uważając rdzennie miejscową ludność poprostu jako niedołężną, do niczego niezdolną! Pytamy, jakiem prawem mogli ci panowie mówić o naszym kraju, kiedy tak jawnie zaznaczyli różnicę pomiędzy Żydami, a rdzennie tutejszą ludnością? Powinni nam byli przyznać, iż choć jesteśmy niedołęgami — ale to nasz kraj, sobie mogli pozostawić rolę dobroczyńców, ale bez przywłaszczenia kraju.

To stanowisko odrębne, to jasne odgraniczenie się od rdzennie tutejszej ludności musiało oburzyć masy myślicieli i pełnych miłości dla kraju obywateli zabolało serdecznie. Po przeszło 20-letniem zrównaniu praw naszych spodziewaliśmy się innych poglądów. Autorowie memoryału niedźwiedzią przysługę oddali całemu społeczeństwu żydowskiemu swą niełojcznością i brakiem zdolności .. politycznych. Nawet zbrodniarze przed sądem tak się nie bronią. Oto powiadają, że przed równouprawnieniem Żydzi byli zmuszeni do wyszukiwania sposobów obejścia przepisów obowiązujących, i gdyby jakiekolwiek bądź ograniczenia zostały znowu zaprowadzone, pchnąćby to ich nanowo musiało na drogę poprzednich wybiegów i zajęć potępionych ze stanowiska moralności! Wykazywać ile się w tych słowach mieści niemoralności społecznej, byłoby zbytecznem, lecz pytamy, co sądzić o ludziach, którzy przez usta swych reprezentantów takie wypowiadają zdanie? Prawodawcy mogą się śmiać z takich pogróżek, bo mają władzę dla skarcenia nadużyć, lecz społeczeństwo, którego egzekutorem jest tylko poczucie obywatelskiej godności, nie może milczeniem pominąć tego braku prostej uczciwości.

Nie dziwmy się, że w obec takich faktów antysemityzm nie milknie. Masy nie rozumują, nie wynoszą się ponad poziom teraźniejszości, nie pamiętają nawet o zasadzie starej a prostej, że niezgoda rujnuje, lecz czują gorąco i oburzają się szybko. To jednak nie upoważnia nikogo do wyzyskiwania tej namiętności mas, do propagandy antysemityzmu.

Niwa mając niewielkie, ale wybrane grono czytelników, godziwie postąpiła, dzieląc się z nimi ważnym dokumentem, lecz błą-

dzą ci, którzy oddziaływają na masy i wołają: hejże na Żydów! A niestety, są tacy. Sprawa żydowska powinna nas zajmować, jako istotnie ważna i doniosłe znaczenie mająca dla chwili obecnej i przyszłości, lecz nie godzi się robić z niej specyalności, poświęcać dla niej sprawy krajowe inne. Dalej i o tem pamiętać się godzi, że w każdej sprawie ważnej powinno się szermierzyć argumentami, nie zaś frazesami, które zrazu mogą być zabawne, potem nużą i nudzą czytelników. O tem zapomina Rola, i jeśli z początku mogła mieć znaczenie, jeżeli budziła w czytelnikach i prasie zajęcie, dziś stała się nietylko bezcelową, lecz co gorsza szkodliwą.

Nie obojętnym na sprawy żydowskie jest Wiek, chociaż nie popada w namiętność, gdy o Żydach mówi. Lecz i temu pismu zarzucić można zbytnie zamiłowanie w przedmiotach świadczących na niekorzyść Żydów. I tak: kiedy wiele pism wspomniało o dziele E. Drumonta *La france juive*. Wiek zaczął je streszczać tak dokładnie, iż do dziś dał już sześćdziesiąt kilka fejletonów, nie skończywszy jeszcze pierwszego tomu. To chyba za wiele. Jeśli pismo chce koniecznie zajmować się sprawą żydowską, to przedewszystkiem powinno zbadać ją na gruncie własnym, pozostawiając innym narodom poranie się z Żydami u siebie. Wiek w tym wypadku przegalopował — a uczynił to po raz drugi. (Poprzednio wyszła w tem piśmie kompilacya p. J. Choińskiego p. t. „Żydzi na tułactwie"). Mówiąc o „Wieku" nie możemy pominąć milczeniem bardzo ważnej pracy, która wychodzi obecnie jako dodatek do tego pisma. Jestto cenne studyum nad pozytywizmem Dr. Stefana Pawlickiego. Szanowny autor daje wyczerpujące studya nad działalnością najwybitniejszych przedstawicieli pozytywizmu, tak, że cały szereg monografij najlepiej uwydatni znaczenie pozytywistów i pozytywizmu. Po skończeniu tego dzieła pomówimy o niem obszerniej. Dziś poprzestajemy na oddaniu pochwały autorowi i pismu za pracę, mającą w danej właśnie chwili znaczenie doniosłe. Mówią pozytywiści o sobie, nie szczędząc pochwał — niechże i strona przeciwna wypowie swe zdanie, niech oświeci tych, którzy nie wiedząc komu wierzyć, wałęsają się po bezdrożach. Praca poważna naukowa więcej działa dobrego, aniżeli nieskończona ilość mniej lub więcej namiętnych artykułów i polemik dziennikarskich.

Do ożywienia obecnego sezonu przyczynia się niemało otwar-

cie szkół, do których garnie się młodzież z zapałem, a rodzice gorliwie ją wspierają. Dzienniki notowały liczne fakta, świadczące iż włościanie odczuwają potrzebę kształcenia swych dzieci. Osobliwie zamożni chętnie wydobywają znojną pracą uzbierany grosz dla umieszczenia synów w gimnazyach.

Wkrótce przybędzie nam 18 szkółek z oddziałami rzemieślniczemi z fundacyi hrabiny Władysławowej Branickiej. Zacna ofiarodawczyni nie szczędziła zabiegów dla uzyskania zatwierdzenia swego projektu i złożyła 287.000 rubli na utworzenie i utrzymanie tych szkół. Dwie takie szkółki mają już niebawem otworzyć podwoje dla ubogiej dziatwy; po praktycznem doświadczeniu, zostaną założone inne w miejscach przez fundatorkę wskazanych. W obec takiego faktu, pochwały na cześć hr. Branickiej byłyby komunałami. Tu chyba tylko powiedzieć należy: „Z owoców ich poznacie je“ [1]...

W ogóle niepodobna nie wiedzieć, ile dobrego robią u nas osoby prywatne, osobliwie tam, gdzie czyn dobry idzie w parze z religijnością, widzimy dzieła prawdziwie wielkie. Dość spojrzeć na nowy kościół św. Piotra i Pawła, aby o tem nie wątpić. Jest to bodaj czy nie najpiękniejsza świątynia w Warszawie, a wzniosły ją pieniądze składkowe. Wielcy i mali, bogaci i ubodzy składali grosz na ten gmach wspaniały. I mimowoli nasuwa się myśl, jaka różnica istnieje między wiekiem dzisiejszym, a dawniejszym. Dawniej wznosili kościoły magnaci dla dobra ogółu, dziś lud sam składa ofiary, by nowy przybytek na chwałę Boga wznieść. Świadczy to o masach nader pochlebnie, dowodzi, iż religijność nie upada, może nawet wzrasta.

W objawie tym, zdawałoby się, powinni wszyscy upatrywać rękojmię szczęścia i moralności mas, i komu tylko te cnoty nie są obojętne, powinien przyklasnąć im z radością. A jednak są niestety, tacy, których nabożność gorszy i wszelkich starań dokładają, by ją ośmieszyć, wyrugować z serc ludzkich a przedewszystkiem i co najgorsza oderwać od kościoła młodzież. Co chwila nowy wybryk zaciekłego ateizmu spotykamy w pewnych organach prasy warszawskiej, którym przewodzi P r a w d a. Cudowne uzdrowienie p. Kobylińskiej w Częstochowie dało asumpt temu pismu do wystąpienia

[1] Mat. VII. 16.

z uczonym ateizmem. W dziale zatytułowanym Podania naukowe rozbiera J. K. Potocki sprawę cudownych uzdrowień. Autor nie zaprzecza cudownych uzdrowień, owszem nazywa je zjawiskiem „najzupełniej możliwem i przyrodzonem". Poucza czytelników, iż w Paryżu wyzdrowienia takie pod przewodnictwem Charcota dokonywane są w drodze doświadczalnej i nie budzą już zajęcia. Jestto poprostu hipnotyczne działanie, które obecnie bada wielu uczonych i nieuczonych. Nie co innego, tylko wola ludzka tu działa, a wzbudzić ją może tylko wiara w skuteczność danego środka. „Wiara i tylko wiara — woła p. J. K. Potocki, w skuteczność danego środka zbawić tu może — lecz ze względu na to, czy przedmiotem jej będzie zdaleka sprowadzony znachor, czy gotowany w mleku nietoperz, „czy cudowny obraz"... Kończą zaś artykuł słowa: „brak miejsca nie pozwala wyczerpać zasobów faktycznych stwierdzających wygłoszone poglądy".

Nie chodzi tu o żadne wyczerpanie, ale poprostu o dowody, których p. Potocki nie daje, albowiem dać ich nie może. Stąd że ktoś z zapalenia płuc uzdrowiony był przez przystawienie pijawek, nie wypływa, że ktoś inny z tejże samej choroby nie mógł być uzdrowiony przez zimne okłady. Czy „hypnotyczne działanie" uzdrawia sparaliżowania nie wiem, sądzimy, że p. Potocki nie wie więcej od nas, ale choćby i wiedział i choćby to „działanie" uzdrawiało, nie byłoby to żadnym dowodem, że sparaliżowana upadłszy przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej hypnotyzmem uzdrowioną została. Sparaliżowana nie została uzdrowioną cudownie, twierdzi p. Potocki, lecz na czem opiera to twierdzenie! P. Potocki teologii się nie uczył, a katechizmu źle się uczył i nie ma o niem wyobrażenia; nie wiedząc co jest cud, nie może wydawać wyroku, iż wypadek jakiś cudem nie jest. Nadto czy w rzeczach przyrodniczych p. Potocki jest tak dobrze obznajomiony, iż mógłby być w nich kompetentnym sędzią — wątpimy. Całkiem niepoprawne przetłumaczenie niesmacznej co do tytułu, a niedorzecznej co do dążności książki Taylor'a, nie daje mu dyplomu na przyrodnika. Co się zaś tyczy wykrzykników p. Potockiego „Wiara i tylko wiara!" to one w jego ustach są śmiesznem i bezmyślnem dźwiękiem. „Wiara!" jaka wiara? czy wiara bezwyznaniowa „Prawdy!" Jeżeli tak jest, to niechże najprzód pp. postępowicze postarają się uzdrowić siebie ze

swego obłędu umysłowego, z tego *delirium* nienawiści Boga i religii. Zresztą pp. pozytywiści „Prawdy“ są z sobą w ciągłej sprzeczności. Raz twierdzą, że wiara może uzdrowić, bo przecież w Paryżu Charcot czyni to „w drodze doświadczalnej!“ Więc wnioskowaćby można, iż każdego chorego wierzącego w cudowną moc obrazów, należy tą wiarą leczyć. Ba! ale zdarza się, iż chora kobieta, którą wieziono do Częstochowy, umiera w drodze. Wtedy pozytywiści załamują ręce i łzy leją nad barbarzyńcami religijnymi, którzy trudami podróży dobili chorą! To się nazywa pozytywizm! Powtarzamy, pozytywistom nie idzie o logikę lecz o zasadę, a tą jest nienawiść do katolicyzmu, objawiana na każdym kroku. Stąd walki pism pozytywnych bynajmniej nie grzeszą godziwemi środkami, a uczoności z którą chcą się popisywać, nie ma zgoła. Uczoność nie posługuje się nigdy ironią, szyderstwem na efekt obliczonem, pozytywiści zaś nasi, tą tylko bronią walczą. Pozytywizm tylko może zniżyć się do tego, ażeby porównywać nietoperza gotowanego w mleku z obrazem cudownym. Nie może zresztą być inaczej w piśmie redagowanem przez p. Świętochowskiego, który niegdyś jawnie wypowiedział swe poglądy na katolicyzm. W artykule p. t. K l e r y k a l n e k o r s a r s t w o, znajdujemy takie wyrażenia. „Katolicyzm ma wstrętne i oszpecone śladami śmierci oblicze... katolicyzm wygnany z życia za swoje niedorzeczne pretensye, stanął poza niem i rozpoczął zawziętą, a dla obu stron wielce szkodliwą walkę“.

Przechodzimy od tych cuchnących pism siejących zgniliznę i zarazę do pism dających zdrowy pokarm — kilka słów o B i e s i a d z i e l i t e r a c k i e j. Redakcya tego pisma od zacnego kierunku nie odstępuje ani na krok, kompromisu z ateizmem nie zna, czci i kocha wszystko co wielkie, piękne i szlachetne, a o Kościele z prawdziwie katolicką odzywa się miłością. B i e s i a d a materyalnie stoi dobrze, ma prawie najwięcej ze wszystkich pism tygodniowych czytelników. Wartość literacka B i e s i a d y na uznanie zasługuje, a oddzielne wydawnictwo dzieł Alberta Wilczyńskiego świadczy wyraźnie o kierunku redakcyi. Redakcya wybrała tego autora, widząc w nim nieskalaną prawość, zasady szlachetne i ten cenny optymizm, który nie dopuszcza niewiary. Pomówimy o Wilczyńskim później, bo zasługuje na to. Również zasługuje na szczegółowszy rozbiór wydawnictwo B i e s i a d y p. t.

„Złota przędza poetów i prozaików polskich". Są to obszerne a doskonale zredagowane wypisy, mające istotną wartość. Obecnie wychodzi już czwarty tom.

W końcu mego listu wspomnieć jeszcze wypada o świeżo wydanaj powieści Leonarda Sowińskiego. Na rozstajnych drogach jest pierwszą powieścią Sowińskiego (Nakł. M. Orgelbranda 1886, 3 tomy). Napisana świetnie. Język bogaty, styl pełen piękna, giętki, znamionuje talent wybitny. Kompozycya także dobra. Trochę za wiele materyału nagromadzonego, a stąd zbyt częste skoki i podrażnienia czytelnika, ale charaktery doskonałe, oryginalne, żywe. Do najlepszych należy Horn, nihilista, szatan wcielony, gubiący ludzi dla swych celów, które ostatecznie bardzo nisko, bo do morderstwa i rabunku prowadzą. Ten Horn jest pozytywistą; naturalnie religię ma za nic. To powoduje razu pewnego dyskusyę z ks. Protem. Oprócz Horna bierze w niej udział jeszcze jeden pozytywista, który później także pokumał się z trzema nihilistami, w nadziei zdobycia majątku. Na wzmiankę o mglistym mistycyzmie religii odpowiada ks. Prot: Jak Żydzi szukający Chrystusa w Ogrójcu, potrącacie Boga co chwila a nie widzicie go. Wierzycie w niezniweczalność materyi, a odrzucacie nieśmiertelność ducha ludzkiego... W podstawie dzisiejszego kierunku naukowego leży przeczenie Boga i nieśmiertelności duszy... Dla wytłumaczenia dźwięku dość wam było powietrza, i drgania cząstek; dla światła i elektryczności już to wam nie wystarcza. Oprócz ciał stałych, płynnych i lotnych zmuszeni byliście przyjąć istotę promienistą, przenikającą świat cały, eter. Lecz oto narzuca wam się kraina zjawisk duchowych... Wy albo znać jej nie chcecie, albo uciekając się do najgrubszego materyalizmu, poniżacie umysł i uczucie do znaczenia funkcyi mózgu, nerwów. Niewierni nawet jesteście w tym względzie logice własnej, bo jeżeli dla wytłumaczenia światła przypuszczacie istnienie eteru, dla czegóż nie wznieść się o jeden stopień wyżej i nie uznać przenikającego wszechświat ducha, źródła i podścieliska wszelkich zjawisk psychicznych. Ponad tem wszystkiem rozciąga się jeszcze jeden obszar rzeczywistości — twórczość nieustanna, wyłaniająca z siebie pojedyńcze istoty. Światy całe, z ich niezłomnemi prawami i formami rozmaitemi: od kryształu i kwiatka, aż do systemów słonecznych. Tu nie wystarczą już ani nerwy, ani czynniki chemiczne, ani eter, ani materya kosmi-

czna, ani ruch... Tu was dopiero oczekuje na mocy konieczności logicznej, uznanie źródła i podścieliska twórczości wszelkiej, żywota bytu — Stwórcy wszech rzeczy — Boga!

Te jasne i logiczne rozumowania nie przekonywają Horna, bo przekonać się nie chce; wola jego jest uporna, chcąc nie chcąc ma on pojęcie o Bogu i porządku nadprzyrodzonym, lecz uznać go nie chce, co więcej zieje nienawiścią ku Bogu, Kościołowi i wszelkiemu porządkowi społecznemu — ostatnie słowo pozytywizmu jest: zupełny nihilizm.

P. Sowiński dał w swej powieści dowód zdrowego zapatrywania i rzeczywistego talentu, jest nadzieja, że jego pisma wywrą zbawienny wpływ na tę naszę nieszczęśliwą młodzież, która zbyt pohopnie idzie na lep czczych frazesów postępowiczów i bezwiednie spożywa truciznę ich nauk pozytywistycznych.

Ed.

Listy z podróży do Australii.

II.

27. października 1885. Na parowcu „Oceanien". — Kanał Sueski.

Od wczoraj jesteśmy na całkiem innym świecie. Około Port-Saïd, morze zmieniło dotychczasowy kolor swój ciemno-szafirowy (jak woda dobrze sinką zabarwiona do farbowania bielizny) na barwę zieloną z gorącym połyskiem złotym: co pochodzi zapewne od dopływu wód nilowych, wlewających się w tem miejscu do morza. Zdala mijaliśmy t. z. *fary*, tj. latarnie morskie Aleksandryi i Damietty, sterczące wysoko, jak obeliski z pomiędzy mnóstwa masztów; tułowy okrętów i oba miasta nie wyłoniły się jednak z pod horyzontu. Około 1-ej po południu wpływaliśmy do Port-Saïd, leżącego na pustyni zawianej lotnym piaskiem, bez śladu zieloności jak daleko oko zasięgnąć zdoła; a płaszczyzna ta wydaje się bez granic i końca. Dziwna architektura domów, same ganki i werandy, żaluzje i markizy. Rodzaj Wenecyi zaimprowizowanej w skutek nagłej potrzeby. Sztuka, która do stworzenia arcydzieł potrzebuje czasu i pielęgnowania,

nie mogła tu sprostać duchowi przemysłowego i technicznego postępu, który w naszym wieku silny jest jak Tytan, szybki jak Merkury (od którego nawet w alegoryi skrzydełek sobie zapożyczył)... Miasto to nosi zatem charakter jakiś jarmarczny, niby aglomerat budek na kółkach, które dziś tu, a jutro tam — zależnie od interesu. Mimo to ma ono odrębny swój charakter i cechę całkiem indywidualną. A teraz mieszkańcy! Pierwszy to był krok nasz na ziemi Wschodu i Południa, a potem przez dwa dni żadnego widoku, prócz nieba i wody. To też nagle zjawienie się tych typów nieznanych, fantastycznych, malowniczych, tych Oryentalów, niby z bronzu wykutych, w ich strojach dziwacznych, fałdzistych, balowych i powiewnych, tych Arabów, Felahów, Negrów, którzy z dwóch, obok siebie stojących kolebek rodzaju ludzkiego wyszli na nasze spotkanie tak, jakby za pierwszych dni swego istnienia — zjawienie to mówię sprawiło wielkie wrażenie na nas, pierwszy raz świadków takiego widowiska! Ja rysowałem co mogłem, zawsze coraz coś ciekawszego i bardziej interesującego znajdując. Te twarze, te oczy, oczy przedewszystkiem! Mdłą wybladłą i jakby anemiczną, wydała mi się wobec tego monotonia w kolorycie ciała nas Europejczyków, i rozumiem, że taki syn skwarów południowych patrzy na nas z rodzajem obrzydzenia, jakiego my doznajemy na widok wymokłej, zimnej amfibii. Cała skala kolorów, w tych twarzach, których rysy czasami są wyrazem dziwnej szlachetności i inteligencyi, a zawsze energii i siły. Prawdziwy zaś *Mummenschanz*, to była scena wyładowywania węgla na nasz statek, która później, przy świetle czerwonem kagańców przybrała charakter piekielny!

Port Saïd ma 20 i kilka tysięcy mieszkańców, mnóstwo konsulatów, trochę wojska egipskiego, wielu anglików, którzy tu są jak u siebie w domu, tak się już na dobre rozgospodarowali, i kawiarń bez liku, „jedne z muzyką drugie bez muzyki“, „jedne z mimiką, drugie bez mimiki“... Bo są i tańczące bajaderki, i węgiersko-czeska damska kapela. Ostatni raz tu pewnie słyszałem czardasza, ba i *Lendyel*, marsza, którego grano nam Polakom na naszą cześć, bo doktor nasz znany tu naturalnie, nie jak zły szeląg, ale jak szczerozłota moneta! Ruch ogromny. Ciągły świst i ryk przybywających i odpływających parowców, gdyż żaglowce tędy wcale nie chodzą, z powodu absolutnej ciszy na morzu Czerwonem. A wiesz ty wiele taka

przejażdżka kanałem sueskim kosztuje? Nasz statek, prawda, że jeden z największych, jakie w ogóle istnieją, płaci Towarzystwu za przejazd tam i napowrót **72.000** franków! bez względu na ilość pakunku i liczbę podróżnych, bo taksa jest stała od metryki okrętu, tj. od maksymalnej ilości tonu, jaką statek unieść w ogóle zdoła. 20 do 30 takich i tym podobnych okrętów przechodzi tędy dziennie, porachuj, jaki skromny dochodzik! Ale też co i za koszta! Robota ustawiczna, czyszczenie, pogłębianie miejsc zamulonych, utrzymywanie pilotów, stacyj, których jest kilkanaście, niby dworce kolejowe, bo też je nazywają „gare“ etc.

Przenocowawszy w Port-Saïd, bo nocą wszelki ruch na kanale zastanowiony, przy wschodzącem brylantowem słońcu wpłynęliśmy na kanał 50 może metrów szeroki. Po prawej Afryka, słone jeziora groblą tylko od kanału oddzielone, niebieskie, bezgraniczne. Mnóstwo białych żagli, małych łódek rybackich i statków idących z Damiety do Izmaiły. Wysepki bronzowo zielonkowatej trawy, i ogromne, ogromne żyjące wyspy, niby śniegiem pokryte, flamingów i pelikanów, które ciągną się po kilka kilometrów długości, jakby obozowiska armii jakiej! Anglicy mało nurka z okrętu nie dali z ochoty zapolowania sobie, a i ja przyznam, także strasznie paliłem się do tego. Naturalnie, że nie można ani myśleć o czemś podobnem. Spotkałem też tu naszych najlepszych znajomych z kraju: jaskółki, bociany, żórawie, kulony, kuliki i kuliczki, dreptające ponad brzegami kanału, jakby nad jakiem stepowem jeziorkiem podolskiem, i tak miły był mi ich widok, że za nicbym nie strzelił do nich. W kanale dużo ryb, od delfinów do najdrobniejszego drobiazgu. Po lewej Azya i pustynia. Jeślibym kiedyś widział Saharę, to po tem, na co tu patrzę, nie obaczyłbym tam prawdopodobnie nic nowego. Bez końca, do krańców horyzontu gorący, mialki, lotny piasek, pofalowany od wiatru na powierzchni, wznoszący się chmurą pyłu w górę, jak słup dymu, jeśli trąba pustynię przelatuje, co jest tu zjawiskiem codziennem prawie, i które nas także zaszczyciło. Nad horyzontem miraże, fatamorgana, bez ustanku i tak łudząco przedstawiające wodę z wyspami i odzwierciedleniem się w niej tychże, że myślałem, iż to istotnie widne, dalekie jeziora, wyspy i góry, aż mię marynarze wyprowadzili z błędu; po czem też uwa-

żałem, jak np. cały taki obraz wisiał w powietrzu na tle posuwającej się za niem chmury, jak się zmieniał, nikł, znów powstawał i t. p.

Podróż kanałem trwa aż półtora dnia, bo wciąż trzeba stawać na stacyach i wymijać okręty idące gęsiego w kierunku przeciwnym, bo zawsze tylko jeden statek na normalnej szerokości kanału płynie. Krajobraz opisany przesuwał się też nam przez cały dzień, a mimo to nie mogłem się nasycić tym widokiem, tak zupełnie różnym od wszystkiego tego, co dotąd w Europie widziałem. Słońce paliło. Powietrze drgało. Kąpałem się trzy razy dla ochłody. Pod wieczór spotkaliśmy karawanę wielbłądów, idącą afrykańskim brzegiem, który tak jak i azyatycki jest już w tem miejscu wydmami piasczystemi pogarbiony. Te wolnym krokiem na bliskim krańcu horyzontu kroczące postacie tych, Wschód i pustynię w naszem pojęciu symbolizujących zwierząt, o dziwacznych kształtach i ruchach, te postacie na nich siedzące, wszystko to półciemne, jakby obraz ze wschodniej bajki na tle rozżarzonego zachodzącem słońcem nieba — sprawiają iż nie trzeba być ani poetą, ani malarzem, aby podziwiać ten świat taki śliczny, barwny i poetyczny! Przypadek chciał nadto, że w tej właśnie chwili doktor nasz grał, i ja stojąc we drzwiach salonu, słuchałem równocześnie Schumana i patrzałem na tę panoramę cudowną... Nie każdy król miał w swem życiu ucztę podobną dla ducha!

1 listopada 1885, „Oceanien“ na Morzu Czerwonem.

Gorąco piekielne 34 stopni w kajutach stale! Na pokładzie nie wiele chłodniej. Przejeżdżamy też najgorętszy zakątek ziemi naszej. Purę, Aden i morze Czerwone przechodzi izoterma o 30-stu stopniach przeciętnej temperatury nocnej. Robić zatem cokolwiek, a pisać w szczególności, jest w tych okolicznościach czemś prawdziwie heroicznem. Ale chciałem wysłać ci z Aden list, więc piszę, mimo, że kąpię się we własnym pocie.

W kanale Sueskim nocowaliśmy wśród szczerej pustyni, ciesząc się cichą, księżycową nocą. O wschodzie słońca, które poprzedzała wspaniała zorza poranna, wdrapałem się po drabinach sznurzanych na „gniazdo bocianie“, i widziałem stamtąd złotem światłem oblane szczyty piramid egipskich w Gizeh i Karnak.

Cały następny dzień żeglowaliśmy jeszcze kanałem. Miraży ani trąb nie zauważyłem więcej, dzień był chłodniejszy, niż poprzedni z powodu lekkiego powiewu od północy. Do statku naszego, który kanałem posuwał się tylko bardzo wolno, przypływały łodzie arabskie z owocami, które kupowano za bezcen. Melony, granaty, daktyle na gałązkach i t. p. Z bud trzcinowych, w których mieszkają Nubijczycy, zatrudnieni ustawicznem pogłębianiem i czyszczeniem kanału, wysypywały się dzieci, i biegnąc brzegiem za okrętem wołały o „bakczis“, tj. o grajcary. Rzucano im też susy, bułki i owoce, a wtedy czereda ta rzucała się chciwie na zdobycz, tworząc żywy kłębek poplątanych różnobarwnych głów, nóg, rąk i odzieży różnokolorowej. Z rana widziałem Egipcyanki idące czerpać słodką wodę do wodociągu poprowadzonego wybrzeżem kanału. W długich białych lub najczęściej niebieskich szatach z zasłoną na twarzy, tak, że tylko szerokie oczy z pod niej widać, niosły rodzaj amfor z żółtej gliny na ręce w wysokości ramienia: całkiem jak na rycinach Dorégo: Ruty, Rebeki i Noëmy biblijne: dziwnie poetyczny był to obrazek z patryarchalnych czasów Jakubowych, które do dni naszych tu jeszcze się przechowały.

W południe wypłynęliśmy z ciasnego kanału na słone jeziora, i nagle zobaczyliśmy Izmaiłę. Widok cudowny! Wystaw sobie na pustyni bez końca, żarzącej się żółtym piaskiem, nagle rzucony wieniec z najpiękniejszej zieloności palm, mirtów, jaśminów i róż w kwiecie: to jest Izmaiła ze swemi doplecionemi a to białemi domkami o płaskich dachach [1] i smukłemi wieżyczkami minaretów. A wszystko to, cała ta wegetacya bujna i roskoszna wśród tej nieskończonej płaszczyzny bez znaku jakiegokolwiek życia — jest dziełem tej odrobiny wody słodkiej, którą tu z Nilu wodociągiem sztucznym sprowadzono! I pomyśleć, że takim ogrodem rajskim mogłaby być Sahara cała i cały półwysep arabski, gdyby na to słodkiej wody stało! Jeziora słone, cudownie błękitne, rozlewają się wokoło. Statek wytkniętą znakami drogą płynie po nich zwyczajną szybkością. Mija znów mnóstwo parowców, w których

[1] Ponad wszystkiem góruje willa Lessepsa, darowana niegdyś cesarzowej Eugenii, dziś znów własność tego Tytana nowoczesnej epoki, co góry wali i morza z sobą połącza.

90% stanowią angielskie handlowe, pocztowe i wojenne, (jak np. olbrzymi „Serapis“ o trzech piętrach i t. p.) i znów zwalnia bieg w ostatniej części kanału, przed Suezem. Ostatnie spojrzenie na pustynię: wiesz, z czem ją najbardziej porównać można? Z podolskim stepem łanów przejrzałej pszenicy. Ten sam koloryt przynajmniej. Suez i bliższy nas port Ibrahim (właściwe wejście do kanału od południa), to znów zieleniejące oazy z białym rąbkiem wil, domów i minaretów, na tle fioletowych gór Et-Teh, wznoszących się od Zachodu i ograniczających od strony Afryki zatokę Sueską morza Czerwonego.

W Suez z powodu pewnych formalności musieliśmy nocować, ponieważ przybyliśmy tam już po zachodzie słońca. Staliśmy na pełnem morzu. Naokoło nas mnóstwo świateł i kolorowych latarń, sygnałów i statków w porcie. Z rana odkrył nam się jeszcze raz widok na azyatycką pustynię, z źródłami i oazą Mojżesza, gdzie, według Pisma św., skała, uderzona laską jego, wysączyła z siebie zdrój wody, by ugasić pragnienie strudzonych dzieci Izraela. W Aden znów, znajdują się słynne na cały Wschód cysterny Salomona. Słowem, kwestya wody słodkiej gra tu rolę filozoficznego kamienia Zachodu.

Do wieczora płynęliśmy zatoką Sueską, mając wciąż na widoku obydwa lądy: Et-Teh afrykański, i azyatycki Sinaï, obydwa łańcuchy gór, piętrzących się do znacznej wysokości 2600 m., a więc prawie jak nasze Tatry. Pod wieczór, już w odnodze Arabskiej, czyli na t. zw. morzu Czerwonem zaczęło się zbierać na burzę, na burzę tropikalną. Silny wiatr południowy, na niebie legiony chmur, piętrzących się jedne nad drugiemi, w szalonym pędzie po gwiaździstym firmamencie, i orgia błyskawic i piorunów. Był to widok groźny i wspaniały nad wyraz! Ze wszech stron sypały się ostre, niby cięciem miecza zakreślone w powietrzu zygzaki, przejmującego na wskróś „nesamowytego“ [1] światła. Świst, szum i łopotanie wichru nad głowami, wśród sznurów, łańcuchów i lin masztowych, niby skrzydłami czarnych demonów, okrążających nasz statek, sprawione, tak raziło słuch, że słowa usłyszeć nie było można. Morze, zwłaszcza w sąsiedztwie statku skłócone i spienione, wrzało. A przy-

[1] Czarnoksięskiego — po małorusku. *(Przyp. Red.)*

tem gorąco, duszące oddech w piersiach. Statek nasz jednak nie zadrgał prawie, i jakby go te wszystkie dziecinne zabawki ognia i wody wcale nic nie obchodziły, walił naprzód ze swą zwyczajną szybkością 14 mil morskich na godzinę, tj. tak szybko prawie jak pociąg kolei żelaznej.

Jeszcze o jednem fenomenie nocnem rzadkiej piękności, nie wspomniałem Ci dotąd, a to o fosforescencyi mnóstwa żyjątek, które niby ćma świętojańskich robaczków zagarniętych w biały woal, kłębią się po obu bokach na tyle statku, który zostawia za sobą długi ślad na wodzie, niby świetlny ogon komety. Są to stworzeńka mikroskopijne, a obok nich większe zwierzątka morskie, które wypacają z siebie niejako, materyę łatwo się utleniającą i fosforyzującą, w skutek tego za zetknięciem się z pianą, czyli przepełnioną bańkami powietrza wodą. I to jest najprostsze wytłumaczenie zjawiska.

Od wczoraj znów morze roi się falującemi rybkami, co zwiastuje bliskość lądu. Widziałem także kaczkę, wiele mew różnego gatunku, a z tworów morskich: rekina, dwa małe delfiny i prześlicznie ubarwione, jak kwiaty w najróżnorodniejszych kolorach, Meduzy, dochodzące często do wielkości rzeszota, i zawieszone niby szklanne dzwony w przeźroczystej toni. Woda zmieniła też barwę swą siną na kolor ciemno-zielony o krzysztalicznej także czystości. Przepływając przez zwrotnik Raka, kazaliśmy dzieciom patrzyć w morze i uważnie na siedzącego tam r a k a „większego jeszcze niż wieloryb“!... I dzieci *widziały* raka „większego jeszcze niż wieloryb!“ Naśmialiśmy się z nich dowoli.

Dziś minęliśmy już wyspy apostolskie. Jest to grupa 12 wysp różnej wielkości, a raczej „małości“, o masach ciężkich i nierozczłonkowanych, o kształtach regularnych piramid lub brył pryzmatycznych. Wegetacyi nie ma tam prawie żadnej. Są wszystkie na sprzedaż za tanie pieniądze, dotąd się jednak nikt o kupno nie pokusił, i wyspy 12 Apostołów nie mają ani jednego mieszkańca.

Całuję cię po tysiąc razy...

Karol.

Bank ziemski w Poznaniu.

W tej chwili dochodzi nas wiadomość, że na licznem zebraniu odbytem w Poznaniu, na które się stawili przedstawiciele wszystkich stanów, uchwalono założyć Bank ziemski, celem obrony ziemi polskiej przeciwko pruskim projektom kolonizacyjnym. Skarb państwa dostarczył komisyi kolonizacyjnej sto milionów marek, nasz bank ziemski ma rozpocząć czynność swoją, gdy zbierze trzy miliony marek, a ogólna wysokość kapitału zakładowego projektowana na dziesięć milionów marek. Stajemy zatem pozornie z siłami słabemi w obec potęgi rządu pruskiego, który wrota skarbu swego na oścież otworzył, aby złotem sypać za rodzące złotokłosą pszenicę łany polskie. Jesteśmy też przekonani o tem, że wielu, słabych na duchu, przestraszą te znaczne zasoby przeciwnika w obec skromnych sił naszych, a ci bojaźliwie pytać będą, azali nie porywamy się z motyką na słońce.

Nie chcemy z góry przeceniać skutków naszej akcyi pomocniczej, lecz jeden skutek jednakże już pewny, że, gdy Polacy pod zaborem pruskim zobaczą, iż nie sami stoją w obronie ziemi, która była kolebką narodu naszego, ducha nabiorą, i albo się zmniejszy, albo może nawet zupełnie ustanie dezercya z posterunku, która zaczęła mocno przerzedzać szeregi obrońców ziemi. Sam fakt, że ogół narodu zagrożonym z pomocą przybywa, otuchy im doda. Tego zaś zbyt nisko cenić nie należy; pesymizm i zwątpienie odbierają siły, nadzieja ich dodaje, a zebrania wszystkich sił potrzeba, aby się utrzymać na trudnem stanowisku, na którem dziś stoi obywalestwo polskie w zaborze pruskim.

Czy zdołamy zebrać choćby tylko niewielki stosunkowo fundusz, o jakim w projekcie poznańskim mowa? Jeżeli go zaś zbierzemy, czy nie będzie to zawielką ofiarą, i czy zysk moralny i materyalny odpowie ofierze, którą społeczeństwu ma przynieść? Oto pytania, które się nasuwają, gdy pierwsze wrażenie radości — z powodu tego, iż oczekiwana przez wielu od tak dawna akcya, nareszcie przychodzi do skutku — mija i spokojniejszej ustępuje rozwadze.

Na pytanie pierwsze trudno odpowiedzieć na pewno. Ale mu-

sielibyśmy chyba zwątpić o całem społeczeństwie naszem, gdybyśmy przypuszczać chcieli, że się nie zdobędzie na kilka milionów marek, któremi może skutecznie odeprzeć będzie można atak na najidealniejsze dobra nasze, język i religię. Bo o tem chyba dziś już nikt nie wątpi, że tu nie chodzi wyłącznie o propagandę antypolską, lecz także antykatolicką. Zaznaczył to wyraźnie sędziwy i poważny przywódca katolików niemieckich, dr. Windhorst na zebraniu katolików Niemców w Wrocławiu; dowodzą tego zaś także obecne głosy prasy niemiecko-pruskiej, która wprost przeciwna jest sprowadzaniu kolonistów z katolickich okolic Niemiec, a sprowadzać ich chce ze Szlezwiku, Holsztynu, Dolnego Szląska, Meklemburgii i t. d., aby tylko nie przybyli Niemcy katolicy, którzy mogliby się asymilować z Polakami, dowodzi tego nareszcie cała tradycyjna polityka Hohenzollerów w ziemiach polskich. Kolonie mają potworzyć miejsca propagandy protestantyzmu, a ręka w rękę z kolonizacyą niemiecką pójdzie zakładanie szkół protestanckich, budowanie kościołów protestanckich i t. d.

Czyż, jeżeli materyalnemi środkami zapobiedz, a przynajmniej bardzo przeszkodzić temu można, aby na ziemi polskiej się nie tworzyły kolonie niemieckie i protestanckie — środki te materyalne nie miały by się znaleść?

Prawda, że ubogie stosunkowo społeczeństwo nasze nie stać na wielkie ofiary, ależ nie koniecznie ofiary się tu żąda. Powiedzielibyśmy nawet, że przy najlepszych chęciach niebardzo sprawie przyszłego banku ziemskiego przysłużyli się ci, którzy pospieszyli z ofiarami nań, bo przyczynili się do rozpowszechnienia przekonania, że każdy udział w banku ziemskim jest ofiarą, groszem danym na stracenie, a wśród nas nie ma wielu takich, którzy mieliby dużo do stracenia.

Nie jesteśmy do tyla optymistami, iżbyśmy namawiali do brania udziału w banku ziemskim dlatego, ponieważ udział taki znaczne przyniesie zyski. Z drugiej strony jednakże nie sądzimy też aby kupno akcyj banku groziło stratą. Prawda, że konjunktury dla rolnictwa chwilowo są bardzo niekorzystne, produkta rolne nie popłacają. Ale też za to ceny ziemi bardzo znacznie się obniżyły i kredyt hypoteczny tak staniał, iż gdy dawniej na pierwszej hypotece włącznie z amortyzacyą przymusową płaciło się 5—6%, dziś na pierwsze

miejsce hypoteki można mieć pożyczki po $3^1/_2\%$, niezadługo może i po 3%.

Pora zatem nie tak niekorzystna na kupno majątków, a jeżeli pomimo to mało jest kupców wśród tych u nas, którzy posiadają pewne zasoby, to dlatego, że z powodu znacznego obdłużenia majątków z wolnej ręki nie łatwo kupić, do kupowania zaś na subhastacyi majątku współrodaka pewne panuje uprzedzenie. Bank ratunkowy oczywiście, gdy w tym celu założony, uprzedzeniami podobnemi rządzić się nie będzie. Kupiwszy majątek będzie mógł albo odprzedać go w całości, albo rozparcelować, albo nareszcie, gdy się to da pod warunkami korzystnemi, wydzierżawić, czekając lepszych konjunktur do sprzedaży.

Właśnie parcelacya majątków większych, nawet korzystnym może być interesem, a sprzedaż parcel z różnych względów nawet łatwiej powinna iść bankowi ziemskiemu, niżeli komisyi kolonizacyjnej, która nabywców na grunta swoje daleko będzie musiała szukać. Że zaś i odprzedanie w całości, nie będzie niemożliwe, o tem poucza dotychczasowe doświadczenie komisyi kolonizacyjnej. Dzienniki mające stosunek z osobami należącemi do tej komisyi zapewniają, iż pewną część zakupionych dotychczas majątków z zyskiem już możnaby odprzedać. Komisya kolonizacyjna nie korzysta z tego, bo to nie jej zadanie, a zresztą jeszcze nie zapadła decyzya ostateczna, jak zasadniczo ma postępować przy sprzedaży, o ile się zaś zdaje, sprzedaż majątków większych w całości, wcale nie leży w interesie komisyi kolonizacyjnej, tak, iż tylko w ostatecznym razie z tego sposobu sprzedaży korzystać będzie.

Wielu, patrzących zdala na stosunki poznańskie, zraziło niepowodzenie Tellusa, którego celem rzekomo też było ratowanie polskiej ziemi. Ale Tellus od samego początku wcale w tym kierunku nie był czynny, bo kapitału do tego miał za mało. Jeżeli później może ten lub ów majątek kupił, to z musu, gdy zawysoki kredyt dał właścicielowi. Nic w tem dziwnego, że wtedy i stracił, tem bardziej, gdy administrowanie majątkiem nie wchodziło w zakres czynności jego i stanowiło tylko jeden z interesów, któremu się tak oddawać nie mógł, jak mu się oddawać powinien i będzie Bank ziemski, dla którego to będzie głównym zadaniem.

Nie można tedy i nie należy wcale uważać udziału pieniężnego

w Banku ziemskim jako ofiary, przeznaczonej na stratę, lecz jako pieniądz złożony na lokacyę nie bardzo wysoko procentową. Tak według nas, przedstawia się materyalna strona interesu, do tego redukuje się ofiara. Radzimy nawet zachować pewną ostrożność w ofiarowaniu na cele dobroczynne w zaborze pruskim tych sum, któremi się weźmie udział w Banku. Egzystencya wszelkich instytucyj dobroczynnych polskich w Prusiech obecnie jest bardzo niepewna; lepiej tedy, że dobroczyńca taki dochód z akcyj ofiaruje na cele, którym chce służyć, dyspozycyę nad kapitałem zaś sobie zarezerwuje.

Tyle na dziś. Komitet poznański zapewne niedługo wystąpi z odezwą do kraju. Życzymy mu z całego serca, aby mógł powiedzieć *mutatis mutandis* — tak jak powiedzieć mogli Prusacy, gdy po inwazyi Francuzów Fryderyk Wilhelm III. odezwał się do wszystkich o pomoc, celem wyparcia nieprzyjaciela: *Der König rief, und Alle, Alle kamen.*

A. D.

Wspomnienia z Austryackiej pielgrzymki do Lourdes, odbytej w sierpniu 1886.

Je veux qu'on y vienne en procession odezwała się Niepokalana Dziewica do pokornej i ubogiej 14-letniej dziewczynki Bernadetty Soubirous, jawiąc się po raz trzeci w Lourdes d. 18 lutego 1858 r. Od owej pamiętnej chwili upłynęło 28 lat, jak rok rocznie krocie tysięcy spieszą do Lourdes, aby wśród Masabielskich skał uczcić Tę, która się sama nazwała: *Je suis l'Immaculée Conception*. Nie masz prawie narodu na obu półkulach świata, z któregoby pielgrzymów tam nie było. Dowodami ich pobytu w Lourdes są te niezliczone wota, któremi cała bazylika ustrojona, i to wielkie mnóstwo chorągwi ze sklepienia i ścian jej zwieszonych. Pierszeństwo oczywiście dzierży Francya, która aby przebłagać za niedowiarstwo i grzechy swych braci, nie omieszkała tak z pojedyńczych departamentów jak dyecezyj i miast złożyć hołdu Matce Bożej i zawiesić chorągwi, któraby niejako ich prośby i błagania, Jej przypominała. I nasz sierocy naród

Polski, ma tam już także swą chorągiew, a oko pielgrzyma po prawej stronie wielkiego ołtarza, łatwo spostrzega obraz Matki B. Częstochowskiej. Pobożnym ludom Austryi w tyle pozostać nie wypadało. Wprawdzie już dawniej bądź gromadnie bądź pojedyńczo kwapiono się stąd do Lourdes. O ile mi wiadomo Morawa, a zwłaszcza dyecezya Berneńska była jedna z pierwszych, która kilkunastu swych synów do Lourdes wysłała. Węgrzy też w r. 1881 przybyli tu w liczbie 80. Wreszcie przyszedł czas, że nie pojedyńcze ludy Austryi, ale wszystkie w bratniej zgodzie i miłości podążyć miały do dalekich Pirenejów do stóp Maryi. Przez pobożnego zakonnika z Gmuden, O. Makarego Oberhummera, z zakonu OO. Kapucynów uczyniona propozycya, wdzięczny znalazła odgłos w sercach i prasie katolickiej, ze strony zaś protektora, Jego Eminencyi X. Arcybiskupa i kardynała wiedeńskiego zachętę, i poparcie. Ze wszystkich krajów koronnych Monarchii liczne nadchodziły zgłoszenia do komitetu pielgrzymki w Wiedniu, którego prezesem był znany w piśmiennictwie teologicznem profesor uniwersytetu Wiedeńskiego i b. rektor, X. Herman Zschokke, prałat Jego Świątobl. i radca dworu. Dzień 9-go sierpnia zgromadził wreszcie wszystkich niemal członków pielgrzymki w Wiedniu, skąd nad wieczorem nastąpić miał odjazd. Dla uproszenia sobie błogosławieństwa na drogę, odprawionem zostało uroczyste nabożeństwo w tumie św. Szczepana przez J. E. X. Angerera sufragana Metropolii na intencyę pielgrzymów. Odmówiwszy z duchowieństwem *Itinerarium Clericorum* zwrócił się do pielgrzymów i w wymownych i serdecznych słowach przemówił wykazując w jakim duchu pielgrzymkę podejmować mają i polecając ich modłom Kościół, cesarza i kraj cały, skończył życzeniem pomyślnej drogi i szczęśliwego powrotu.

Już przed 3-cią godziną z południa rozpoczął się większy ruch ludności wiedeńskiej w stronę ku kolei zachodniej. Zebrało się na dworcu ogromne mnóstwo ludzi. Pielgrzymów łatwo odróżnić między nimi, bo pierś ich przyozdobiona biało niebieskim znakiem, na którym wyszyta litera *M*. Nic dziwnego, że ci wybrani i szczęśliwi byli przedmiotem, ku któremu zwracały się oczy wszystkich, i z niejednej źrenicy odczytać można było świętą zazdrość, że nie mogli w ich szczęściu uczestniczyć. Dzwonek nagli do wsiadania, ostatniem więc uściskiem żegnają się krewni i znajomi. Nareszcie

ozwał się świst lokomotywy, a w odpowiedzi rozległ się gromki okrzyk krociowego tłumu, który chustkami, rękami, kapeluszami ostatnie słał pożegnanie odjeżdżającym. O godz. 5. 15 m. dnia 9 sierpnia rozpoczęła się tedy długa i uciążliwa podróż, która rzec śmiało można, była jakby pochodem tryumfalnym wśród życzliwie nas wszędzie witających i żegnających ludów katolickiej Austryi. Potężny pociąg 550 osób w sobie mieszczący, sunął żwawo i śmiało, wiele stacyj pogardliwie mijając, zatrzymywał się tylko w większych jak: St. Pölten, Linz, Salzburg, Bischofshofen, Wörgl, Insbruck, Feldkirch, aby zabrać pielgrzymów z dalszych prowincyj austryackich i z Bawaryi, lub też aby dać sposobność pielgrzymującym i sobie do pokrzepienia sił na dalszą drogę. Wschodzące słońce, które nas w Tyrolu około Wörgl spotkało, pokazało nam jak umie malować i ubarwiać, kiedyindziej srogie i dzikie olbrzymy, co się dumnie nad skromnemi wąskiemi i niebogatemi dolinkami powznosiły. Oko też wciąż niemi zajęte przelatuje z jednego na drugi szybko z szybko biegnącym pociągiem. Mała książeczka przez komitet nam w drodze rozdana, zawierająca spis dokładny wszystkich stacyj z Wiednia do Lourdes z oznaczeniem gdzie i jak długo pociąg się zatrzyma, nadto z wykazem imiennym wszystkich pielgrzymów według krajów i prowincyj Monarchii, z programem uroczystości w Lourdes, i Paray le Monial a w końcu z paru pieśniami niemieckiemi do śpiewania w drodze i w Lourdes, która mówiąc nawiasowo była dla nas wszystkich ulubionym towarzyszem przewodnikiem i notesem, w drodze zwróciła naszą uwagę o 2 stacye przed Insbrukiem na kościółek opodal na pagórku na lewo za rzeką Inn, przystrojony we flagi, skąd nas dolatywały wystrzały z moździerzy. To Lourdes małe, bo i kościółek na wzór bazyliki tamtejszej zbudowany i Matce Bożej z Lourdes dedykowany.

Z Insbruka wjechaliśmy na nową kolej Arulańską, przed kilku dopiero laty otwartą, łączącą naszą Monarchię ze Szwajcaryą. Podobno należy ona do najsztuczniejszych pod względem budowy i najpiękniejszych pod względem widoków. Górzyste łańcuchy wyniosłych Alp zwężają się coraz bardziej, ścieśniając swemi potężnemi piersiami zrazu szerszą, potem coraz węższą dolinkę, po której Inn wartko płynie ze skałami i kamieniami w swem łożysku głośno się kłócąc. Tor kolejowy zwolna się wznosi; początkowo tu i owdzie kradnie biednemu górskiemu potokowi coś z jego brzegów, cza-

sami znów przeskakuje go, aż wreszcie porzuca i wyżej się wznosząc, poczyna ze skalistemi i stromemi górami wchodzić w przyjaźń. Zatem próbuje jakby przytulić się do nich, gdy to się nie da, to odrywa część ich granitów i jak wąż snuje się dalej; tu znów napotyka przepaść, której obejść niepodobna, więc nie pytając się o podparcie, biegnie dalej po awanturniczo rzuconym moście nad 100 metrową otchłanią. Wreszcie góry coraz groźniej się ścieśniają, rzekłbyś, że zgnieść się zmawiają odważnie lecący pociąg. Nie zgniotą go wprawdzie, ale mu drogę zatamują łańcuchem gór, stając mu w poprzek drogi. Ale i to go nie zatrzyma w pochodzie. Pociąg wierci sobie otwór w granitach i to aż 10 kilometrów, aby się na drugą stronę dostać tworząc najdłuższy w Austryi tunel pod nazwą St. Anton, trzeci zaś z kolei w całej Europie. Po drugiej stronie ten sam sposób przesuwania się ku nizinom, tylko że z góry na dół, a stąd nieraz jeszcze straszniejszy. Wreszcie po 5 godzinach przyjeżdża się do Bludenz na dolinie już położonego, skąd bezpieczna i równa droga do Feldkirch, a stamtąd do granicy szwajcarskiej w Buchs. Tu według przepisu powinna była się odbyć rewizya naszych pakunków, wyrozumiali jednak Szwajcarzy, litując się snadź nad naszem strapieniem z pakunkami, które każdy sam z wagonu dźwigać musiał, a więcej może ufając nam jako pobożnym pielgrzymom, oszczędzili nam i sobie zachodu niepotrzebnego. Tak szczęśliwie przebywszy granicę, ruszyliśmy dalej po wolnej a ślicznej szwajcarskiej ziemi ku Zurychowi. Prawdziwy raj ta Szwajcarya! Z czarnych cieni na mapie, sądziłbyś, że tu góra na górze siedzi, po których jeno dzikie kozy i orły bujają, w rzeczywistości zaś inaczej. Wprawdzie nie brak tu tych olbrzymów, co to głową gdzieś w chmurach zanurzone, których całą ozdobą śnieg urągający słońcu, ale między temi górami snują się szerokie, zielone i żyzne doliny, poprzerzynane rzekami szmaragdowo-zielonego koloru, albo je też spokojne jezioro zalewa. Drzew owocowych pełno, na wzgórzach szpilkowe lub liściowe lasy i gaiki, a ziemia dokoła bujną roślinnością i plonami, gdzieniegdzie nawet winnicami pokryta, świadczy, że tu obok pięknych widoków i zdrowego powietrza, zamożność i dostatek panować musi. I naprawdę o tem wątpić chyba nie można, bo spoglądnąwszy znowu na czyściutkie szwajcarskiego stylu 2 i 3 piętrowe, dachówką kryte domki, a gęsto

po dolinach rozsiane, zda się, jakoby one nie mogły być wie śniaka mieszkaniem. Tymczasem pociąg przesunął obok niewielkiego ale dziko wyglądającego jeziora *Wallen* i wśród coraz to nowych a wspaniałych widoków zbliża się nad sam brzeg jeziora Zurychskiego, którego przez 2 godziny nie opuszcza, póki nie stanie w stolicy Kantonu. W Zurychu, gdzie na dworcu powitał pielgrzymkę generalny konsul Austryacki, wypadło nam zanocować i odpocząć po 26 godzinach jazdy i po wielce dokuczliwym upale dziennym. Miasto to lubo bardzo piękne, obfitujące w wspaniałe budowle, ożywione handlem i niezwykłym ruchem obcych tu zamieszkałych na lato lub przejeżdżających, na katoliku przykre czyni wrażenie, jako gniazdo zwolenników Zwingla. Wiele też kościołów, po większej części katolikom zabranych i na zbory zamienionych świadczy o dawniej tu kwitnącym katolicyzmie, dziś na 80 tysiączne miasto z przedmieściami, gdzieś na uboczu ledwo jeden kościół służy nabożeństwu prawdziwej wiary. Dzięki zapobiegliwości komitetu, nie potrzebowaliśmy się troszczyć o nocleg; każdego bowiem pielgrzyma na kilka stacyj przed miejscem wysiadania zaopatrzono w bilety, na których nazwa hotelu i cena za pokój i jedzenie z góry była oznaczoną.

Na drugi dzień przed 6 z rana (11-go) już wszystko stanęło na dworcu kolejowym, aby dalej podążyć. I znowu wysokie góry z osiwiałemi skroniami poglądały na nas, mniejsze góry i skały zalesione lub nagie, czasem jakiś, na oko niedostępny zameczek średniowieczny na sobie dźwigające, jakby na powitanie, podróżującego ku dolinom wysyłają. I znowu co chwila śliczne wśród gajów domki i wille, to znowu wioski lub miasta, a wszystko jakby na obrazie mistrzowską zdziałanym ręką, uroczo położone i ugrupowane; nic im do pięknej całości nie brak, ni drzew zielonych, ni ogrodów wspaniałych, ni lesistego gaika, ni dziko nasrożonej skały, ni wreszcie mruczących jak trawa zielonych rzek i potoków. Nie dziw, że tam poeci ochotnie biegli i radzi przebywali, że tam zdąża skwapliwie turysta i pejzażysta, bo tam natura nagromadziła taki ogrom swych wdzięków, że dla wszystkich starczy i każdego czemś obdarzy, co porywa ducha w wyższe sfery. Aleć my pielgrzymi nie wybraliśmy się, by naturze tylko i jej pięknościom się przypatrywać. To też spieszymy, bez żalu to mijając. W Fryburgu

miła niespodzianka nas spotkała, którą nam zgotowali tamtejsi katolicy wysyłając deputacyę na nasze powitanie. Odtąd coraz mniej, słychać mowy niemieckiej, która w kantonie Fryburskim z francuską się ściera, aby dalej zupełnie ustąpić. Nareszcie ukazało się olbrzymie, 10 mil długie jezioro Genewskie, ze śnieżnym w południowej stronie jak król dominującym Mont-blanc. Około 2-giej z południa wjechaliśmy do ożywionej turystami Genewy, przeglądającej się jak w zwierciedle w przejrzystych falach zielonego jeziora. Ale nie długośmy tu bawili. Spiesznie przesiadłszy się do nowych wagonów niespełna w godzinę po opuszczeniu Genewy, jadąc po prawym brzegu Rodanu, stanęliśmy na granicy francuskiej w Bellegarde. Tu nastąpiła rewizya cłowa, przeprowadzona z taką ścisłością i tak skrzętnem przeszukiwaniem tobołków, zawiniątek i kufrów, jak gdyby ów urząd cłowy nie pobożnych pielgrzymów miał przed sobą, zaopatrzonych jeno w najpotrzebniejsze szaty i bieliznę, ale zgrają handlarzy, którzy przed okiem urzędnika niejedno ukryć usiłują. Sekatury tej dalszem następstwem było, że na błotnistej drodze czekać musieli biedni pielgrzymi ze swemi pakunkami aż do ukończenia rewizyi. Tak tedy przebyliśmy pierwszą próbę nieprzychylności dla nas ze strony urzędników francuskich, nie przewidując jeszcze, że czekają nas tego samego dnia inne zawody o wiele przykrzejsze. Z Bellegarde wiedzie droga ciągle ponad zielonym Rodanem, zrazu ciasnym przesmykiem między dwoma pasmami gór, które tylko dla Rodanu ustąpiły miejsca, później coraz szerszym szlakiem, roztaczając się w równinę ku Lyonowi. Wreszcie i słońce zaszło; a w gasnącem jego świetle, zobaczyliśmy na drugiej stronie Rodanu olbrzymi Lyon, tysiącami fabrycznych kominów się dymiący. Po wspaniałym kamiennym moście wjechaliśmy ze zmrokiem do miasta, gdzieśmy następny dzień spędzić mieli, aby w katedrze św. Jana odbyć spowiedź i Komunię św. generalną, i miasto, pierwsze po Paryżu co do liczby ludności, bogactwa i znaczenia obejrzeć i zwiedzić. Tu spotkała nas nieprzewidywana niespodzianka! Zaledwo pociąg stanął na dworcu i pielgrzymi obciążeni podróżnemi pakunkami oglądać się zaczęli za pojazdami, aliści otacza nas krociowa zgraja, witając gwizdaniem, wrzaskiem i szyderstwem; te same krzyki towarzyszą nam wzdłuż drogi od dworca i przed hotelami. Nic dziwnego, że tak nikczemne i nieprzewidziane przy-

jęcie wprawiło niejednego w prawdziwy ambaras, zwłaszcza, że większa część albo nic, albo bardzo mało umiała po francusku; motłoch zaś słysząc tak sobie znienawidzoną mowę niemiecką, nie rozróżniając wreszcie dobrze, że Austryak to nie Prusak, choć jedną posługują się mową, bez względu na to, że to katolicy i pielgrzymi, wołał z wściekłością: *Enlevez les Allemands! A bas les Autrichiens!*

W ogóle utrzymywano, że demonstracyę tę urządzono nam nie jako pielgrzymom i katolikom, lecz jako Niemcom. Chętnie godzę się na to, choć z drugiej strony Lyon podobno wychował sobie już takie pokolenie, co bez Boga i religii chce się obejść, i jest rzeczą niewątpliwą, że ci głównie z pobudek antyreligijnych brali w tem udział. Niektórym bowiem pielgrzymom znaki na piersiach z cyfrą M. pozrywano w natłoku. Niby w tem zresztą nie było dziwnego. Dziennikarstwo radykalne francuskie, wtórując masońskim rządom Republiki, zdemoralizowało już ludność, zwłaszcza po miastach. W tej szatańskiej pracy lyońskie dzienniki nie dadzą się innym wyprzedzić. Dały tego dowód *La Capitale*, *Progrès*, występując na przybycie nasze z artykułami pełnemi szykan i jadu. Znalazły się wprawdzie i takie jak: *Le Salut public*, *Le Nouvelliste de Lyon*, które nas wzięły w obronę, wyrzucając Lyończykom całą hańbę, wyrządzonej nam demonstracyi.

Na drugi dzień wszyscy pielgrzymi od rana ciągnęli do katedry św. Jana, gdzie się miała odbyć spowiedź i Komunia generalna. Katedra ta, w której odbyły się dwa koncylia 1245 i 1274 r. co do budowy nader okazała w stylu gotyckim z końca XII. wieku, obszerna wewnątrz i długa (79 metr.) mieści w sobie cenne relikwie, jak: św. Jana Chrz., św. Ireneusza, serce św. Wincentego à Paulo. Po południu na 3 naznaczono nabożeństwo na górze w kaplicy cudownej Matki Bożej, *Notre-Dame de Fourvière*. Po odprawionej litanii i odmówieniu różańca, jeden z miejscowych kapłanów prof. teologii na uniwersytecie miał kazanie po niemiecku, w którem powitał nas serdecznie imieniem katolików Lyońskich, wyrażając od siebie i od nich ubolewanie nad wczorajszem zajściem i zachęcając do modlitwy za zbłąkanych. Gorąca w istocie musi być z drugiej strony wiara katolików Lyońskich, gdy ich nakładem stanął na pagórku Fourvière wspaniały kościół na ukończeniu bę-

dący, cały z kamienia, przeznaczony dla Matki Boskiej de Fourvière. Imponujący widok jaki stąd miasto przedstawia, daje dopiero należyte wyobrażenie o jego rozmiarach i wspaniałości. Ma jeszcze Lyon wiele innych i okazałych kościołów, aby więc czasu pozostającego nie tracić, zwiedzaliśmy je ile tylko mogli. Wrażenia jednak z tych przechadzek po mieście nie bardzo odnieśliśmy korzystne. O ile bowiem miasto zadziwia bogactwem wystaw, gmachów, kamienic, rozłożonych wspaniale nad dwiema potężnemi rzekami Rodanem i Saoną, które się za miastem zlewają, o tyle z drugiej strony w twarzach mieszkańców, podrostków i chłopców wyczytywać można dziwnie wyzywający i nasrożony wyraz, który dobrze illustrował wczorajsze ich postępowanie. To też wszyscy czując, żeśmy na obcej i nieprzyjaznej ziemi, z uciechą opuszczaliśmy Lyon, trzeciego dnia rankiem.

(Dok. nast.)

X. A. Wądolny.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujące pismo:

„Szanowną Redakcyę upraszam uprzejmie o łaskawe umieszczenie następującego sprostowania. W październikowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* twierdzi ks. A. Kraetzig na str. 101, że w artykule swym: „Kilka uwag nad historyą XVI. w.“, (*Ateneum* z maja 1886 r.) nazwałem dzieło Janssena „wyrafinowaną apologią katolickiego Kościoła“. Proszę szan. ks. A. K. wskazać mi odnośne miejsce. Ustęp, który szan. autora pobudził do wycieczki przeciwko mej „powierzchownej i płytkiej“ recenzyi, brzmi tak: „nie ma tu (it. w dziele Janssena) przedmiotowej analizy rewolucyi religijnej, tylko znakomita apologia Kościoła katolickiego. Rany protestantyzmu odkrywa S. bezwzględnie, popierając swe wywody ciągłemi cytatami, aby nie narazić się na zarzuty stronniczości; że autorowi o prawdę chodzi, że historyi nie chce fałszować, nie godzi się wątpić“... Gdzie tu mowa o wyrafinowanej apologii, lub o tendencyjnem przedstawieniu rzeczy! Ks. K. ciężki robi mi zarzut a mianowicie, że „mówię pacierz za panią matką“, tj. za protestanckim historykiem i pastorami, jak Baumgarten, Kawerau *et consortes*, że znajduje u mnie te same, co u nich myśli. W tym samym artykule zbija właśnie szan. autor za pomocą Janssena p. Kawerau et cons., twierdzących, że „reformacya zdobyła wolność ducha i wolność sumienia“. Czy u mnie ks. K. to samo znalazł twierdzenie? W obec tego cytuję, co o tej rzekomej wolności powiedziałem (zob. str. 362): „o tolerancyi i wolności wyznania nie może być mowy. Przedstawiano i przedstawiają jeszcze protestantyzm jako szermierza idei wolności i tolerancyi w przeciwstawieniu do katolicyzmu walczącego taką bronią jak indeks i inkwizycya. Tolerancyi w epoce reformacyi prawie nigdzie nie było. Nie w imieniu swobody sumienia wystąpili protestanci lub kalwini... Beza powiedział, że *libertas conscientiarum diabolicum dogma*“ a na str. 363: „o braku ducha tolerancyi u protestantów w XVI. w. z dzieła Janssena dokładnie można się poinformować niemniej o pewnem moralnem zachwianiu społeczenstwa i ogólnem zamieszaniu“... Więc chyba „nie mówię pacierza za panią matką“.

To fakt, że nie nazwałem dzieła Janssena przedmiotową analizą rewolucyi religijnej a to z tego powodu, że nie widzę w niem — odnosi się to mianowicie do pierwszego tomu — dostatecznie przedstawionych przyczyn, tak olbrzymiego kataklizmu dziejowego jakim była rewolucya w XVI. w. Nie tu miejsce, ażeby to zdanie bliżej uzasadniać. Tam, gdzie J. przedstawia następstwa i objawy rowolucyi, ma niechybnie racyą i tu są jego wywody niezbite mimo usiłowań czynionych ze strony protestanckiej, mimo wszelkich protestów. Postawiłem Janssena obok Taina, powitałem jego *Geschichte des deutschen Volks*, jako reakcyą przeciw historyografii protestanckiej, przeciwko tym, do których szan. ks. A. K. w swym zapale i mnie zalicza, podniósłem wreszcie, że „J. charakteryzując XV. w., jako świetną epokę Niemiec nieje-

dnokrotnie ma słuszność, że to właśnie niepoślednią dzieła jego zasługą, że te jasne strony historyi Niemiec uwydatnił, jak nikt przed nim". Stanowisko me w obec Janssena a zwłaszcza w obec protestantyzmu, który nazywam wciąż rewolucyą, jasno zatem określone. Stanowczo więc odpieram bezpodstawne i niesumienne insynuacye ks. A. K., który nie raczył widocznie zadać sobie tyle pracy, aby mój drobny artykuł spokojnie przeczytać; dlatego też me uwagi są dla niego „niewytłumaczone".

Janikowo Ks. Poznańskie d. 22 października 1886.

Dr. Bronisław Dembiński.

Jakkolwiek miałem niejedno do zarzucenia recenzyi dr. Bronisława Dembińskiego o Janssenie, nie myślałem jednak nigdy zaliczać go do rzędu takich recezentów jak Kawerau i Baumgarten, tem mniej jego stanowisko katolickie podejrzywać, a protestacyę Jego w tej mierze z uznaniem przyjmuję.

Recenzya p. Dembińskiego wydała mi się powierzchowną i płytką, już dla tego samego, że o dziele tak doniosłem, jak Janssena, umieścił tylko ogólnikowy pogląd, gdy o innych dziełach nierównie mniejszej wartości znalazł miejsce rozpisania się daleko obszerniej. W tem zdaniu utwierdziło mię i to co dr. D. i w niniejszej odpowiedzi powtarza: iż w dziele Janssena nie znalazł przedmiotowej analizy rewolucyi religijnej, lecz tylko apologię Kościoła. Dokładna znajomość Janssena powinna Go była od tej opinii odwieść. Co się tyczy mylnego przytoczenia przezemnie niektórych słów Dra D., zdarzyło się to przez nieuwagę odpisywacza, bez złej woli i tendencyi z mej strony.

X. A. Kraetzig.

Druk ukończony dnia 26 października 1886.

CELOWOŚĆ ŚWIATA W STOSUNKU DO CZŁOWIEKA.

Teorya antropocentryczna, uważająca człowieka za cel świata — jej przeciwnicy — jej związek z całą nauką o celowości. — Ślady w całej naturze przeznaczenia jej do usług człowieka — przyrodzone uposażenie człowieka dowodzące tego przeznaczenia. — Czemu jedynie istota rozumna może być najwyższym natury celem? — Podwójne zadanie przyrody względem człowieka: służba i opowiadanie. — Odpowiedź na zarzuty przeciwników. — Zagadnienie o celu gwiazd. — Hypoteza ich zaludnienia. — Druga hypoteza, tłumacząca ich celowość odnośnie do ziemi. — Zgodność takowej z panującym w naturze prawem elekcyi — wyniki nauk doświadczalnych za nią przemawiają. — Co z teologii o hypotezie wielości światów wywnioskować można? — Przeznaczenie natury dla człowieka w filozofii indyjskiej Sankya.

W poprzednich paru rozprawach o celowości przyrody, zdobyliśmy trzy doniosłe pewniki: że istnieje w naturze porządek celowy — że ten porządek nie jest li tylko wypadkiem ślepego zbiegu okoliczności lub bezwiednej ewolucyi, ale wynikiem myśli i zamiaru — że w końcu ta myśl i ten zamiar nie są w naturze immanentne ale transcendentne, czyli są myślą i zamiarem Stwórcy. Wszystkie te trzy pewniki wypłynęły nam z obserwacyi samej natury i ścisłego rozbioru faktów. Na tej podstawie możemy przystąpić do końcowego, prawdziwie już filozoficznego zagadnienia, któreśmy dotąd uchylali: czy jest, i jaki jest najwyższy cel przyrody? czy człowiek, który się czyni celem i centrem świata, łudzi się tylko miłością własną, albo czy doprawdy cały ten świat widzialny jest dla niego, i do niego z natury rzeczy, jako do celu i racyi bytu swego istnienia się odnosi?

Tu już, wyznam szczerze, podstawy i dowody na jakich się oprzeć można, nie są tak dotykalne i zniewalające, jak w poprzednich

badaniach. Póki szło o dowiedzenie istnienia celowości w ogóle, fakta nasuwały się bez liczby i wyniki wypływały w sposób oczywisty. W obecnej kwestyi już tylko gdzieniegdzie na faktach nogę oprzeć można, a dalej umysł na dedukcyach ze zdobytych poprzednio pewników budować musi. Zachodzi jeszcze i to utrudnienie, że w roztrząsanych dotychczas zagadnieniach, mieliśmy tylko materyalistów i panteistów przeciwko sobie, a wszystkich poważnych i znakomitych filozofów za sobą; tu już i ci po wielkiej części nas opuszczają. Kartezyusz nazywa impertynencyą, sądzić, że Pan Bóg wszystko dla człowieka stworzył, — „ponieważ, mówi, mnóstwo „było, jest i będzie rzeczy na świecie, o których żaden człowiek „ani wiedzieć nie będzie, ani żadnego z nich pożytku nie odniesie“ [1]. Leibnitz także kilkakrotnie przeciwko tej samolubnej człowieka pretensyi powstaje. Montaigne skomponował, jak wiadomo, dowcipną farsę o gąsce, która uważa siebie za cel wszystkiego co zna na świecie: „Nawet człowiek, mówi ona sobie, dla mnie sieje i dla „mnie miele, a choć mię też czasem zje, toć i ja zjadam robaki, „które go pożerają“ [2]. Paweł Janet nietylko wciąż powtarza, że przeznaczenie celowości w naturze, nie pociąga za sobą stanowiska antropocentrycznego, czyli przypuszczenia, że człowiek jest celem natury, ale powiada, że to stanowisko „jest głównem i najszkodliwszem zwichnięciem nauki o celowości“ [3].

Prawda, odpowiadam, że istnienie celowości w naturze, a odnośnia całej przyrody do człowieka, to są dwie kwestye logicznie różne. Ktoby przeczył tej ostatniej, nie miałby jeszcze prawa zaprzeczania pierwszej; ktoby uważał dowody, co tu przedłożyć mamy, za niedostateczne, tenby nie miał jeszcze żadnej logicznej racyi powątpiewania o dowodach poprzednich. Istotnie jednak ten sam pochód logiczny, który doprowadził nas do uznania celowości w naturze, prowadzi nas dalej, do uznania właściwego tej celowości końca w człowieku: teorya antropocentryczna jest naturalnem, jak niebawem zobaczymy, nauki o celowości uzupełnieniem i koroną.

---

[1] Principes I. 2.
[2] Essais II. 12.
[3] Causes Finales. Appendice, VII.

Widzieliśmy w naturze nietylko jednostki celowo ustrojone, ale też celowe stosunki jednych do drugich, szereg środków i celów, w których świat mineralny przedstawił się nam jako najniższy szczebel, zbiorowisko samych środków, a życie świadome zwierzęcego świata, jako punkt kulminacyjny, do którego celowo się odnoszą nietylko wszystkie funkcye i narządy zwierząt, ale też w ogólności całe królestwa roślin i minerałów. Celowość więc w naturze nie koluje, ale idzie naprzód, przeznaczając w ogóle istoty niższe dla wyższych. A choć w pewnej mierze i wyższe, drugorzędnym niejako porządkiem służą niższym, jest to mądra natury ekonomia, która nie uwłacza bynajmniej głównemu jej celowości kierunkowi. Tak i w przemyśle ludzkim, odpadki przy fabrykacyi wielu przedmiotów reasumują się do celów podrzędnych, a przecież nie te odpadki, lecz owe przedmioty są właściwem fabrykacyi celem. Czyż nie jest więc rzeczą konieczną, żeby ten łańcuch celów natury miał jakieś najwyższe końcowe ogniwo? i czyż nie słuszna przypuścić, że tem ogniwem jest właśnie ta istota, która nawet pod względem materyalnego ustroju wszystkie inne przewyższa, a umysłem nad całym światem panuje?

Nie poprzestając na konjekturze, zwróćmy się do obserwacyi.

Powszechnie uznają, że przyroda w całości wzięta objawia pewną odpowiedniość do natury rozumnej człowieka, a w niektórych szczegółach ta odpowiedniość jest uderzająca. Królestwo zwierzęce, szczyt i cel innych, nietylko niesie człowiekowi pokarm i odzież, ale też ma na jego służbę rozmaite zwierzęta, których zadziwiające uzdolnienia do usługi człowieka mimowolnie narzucają myśl o szczególnym natury zamiarze. Roślinne królestwo fabrykuje mu budulec, włókna do wszelkich użytków, wytwarza zioła lecznicze; w owocach nietylko zdrowiu, ale i smakowi, powonieniu i oczom jego podchlebia; wkońcu przystraja się wieńcem wonnych i malowniczych kwiatów, których urok tylko człowieka zachwyca. W samem królestwie mineralnem nie ma żadnego składnika, nie ma siły tak ukrytej, coby naturze rozumnej służyć nie miała, a wiele jest takich rzeczy, których cel tylko odnośnie do tej istoty rozumnej da się wytłumaczyć: jak np. głęboko ukryte kruszce, zapasy soli, węgla, oleje i wody mineralne i t. d. Wreszcie cała piękność, harmonia, wszechproporcya w przyrodzie rozlana, jedność planu w stopniowa-

niu rozmaitości szczegółów, tylko do rozumu ludzkiego przemówić mogą i jego tylko serce uweselić.

Temu poglądowi zarzuci może niejeden, że stan cywilizacyi miesza się tu ze stanem natury. Za czasów Rouss'a, przeciwstawienie cywilizacyi i natury było istotnie w modzie; ale dziś żaden poważny badacz tego nie powtórzy. Cywilizacya oczywiście niczem innem nie jest, tylko normalnym natury ludzkiej rozkwitem, który pojawia się prawidłowo gdziekolwiek normalne ludzkiego życia warunki się znajdują, a tam tylko nie dochodzi, gdzie warunki życia są za skąpe, gdzie zbyt ciężka walka z żywiołami i klimatem umysłowość człowieka do atrofii doprowadza. Jak więc dębowi naturalnem jest wspaniałe swej korony rozwinięcie, jak naturalne bobrowi budowanie domków, tak człowiekowi naturalne jest budowanie nietylko szałasów, ale pałaców, wiaduktów, kolei żelaznych, telegrafów — boć przecie ten rozum, który przemysł i sztukę tworzy, nie przypadkiem, nie skądinąd człowiekowi się dostał, ale jest mu naturalnym, jak dębowi siła plastyczna a instynkt bobrowi. Prawda, że dąb i bóbr zawsze to samo budują, a człowiek wciąż co innego wymyśla; ale w tem właśnie leży różnica ich natur: natury nierozumnej, nieświadomym i nieodmiennym kierowanej popędem, i natury rozumnej, której wrodzona działalność rozwija się i urozmaica bez końca.

Stąd prosty wniosek. Widząc owada składającego w norce obok swego jajka pożywienie, które kiedyś zarodkowi po jego rozwoju posłuży, uznajemy w tem i uznać musimy celowość natury — czemużbyśmy równie celowego nie uznali zamiaru, kiedy widzimy jak z jednej strony natura obdarza człowieka umysłem, mającym się naturalnie rozkwitnąć w bogatą cywilizacyę, a z drugiej strony składa w łonie ziemi i w siłach żywiołów zasoby, mające wymaganiom tej cywilizacyi, i głodowi tego umysłu tak trafnie odpowiedzieć?

Ale jeśli gdzie zamiar natury względem człowieka powinien się wyraźnie objawić, to przedewszystkiem w samym ustroju i uposażeniu człowieka. Uważmy, czy natura takim uczyniła człowieka, jakimby go uczynić miała, jeśli go przeznaczała na króla i cel końcowy całej przyrody?

Gdy każdy gatunek zwierząt ma sobie wydzielony od natury pokarm, człowiek jeden tak jest naturalnie zbudowany, że da-

niną wszystkich trzech królestw żywić się może. Gdy inne zwierzęta i rośliny mają każda swoją strefę, swój kraj, poza który bez wpływu człowieka wcale się nie przenoszą, on jeden zdolny jest mieszkać i pod skwarem równika i między lodami biegunów, jako przyrodzony pan tego całego królestwa. Nie dała mu natura wyjątkowych sił fizycznych, odmówiła mu mnóstwa instynktów, któremi zwierzęta wzbogaca, ale za to wszystko dała mu rozum, którym nietylko zwalcza wszelkie potęgi roślinności i zwierząt, lecz, co ważniejsza, podbija je, zmusza do swej służby, i nawet wiatry i pioruny wprzęga do rydwanu swej cywilizacyi.

Odstępuję tu słowa zawołanemu znawcy tej kwestyi, antropologowi Frédault[1]:

„Człowiek, ze względu na cechy, które go od wszystkich ga-„tunków zwierząt odróżniają, jest więcej niż gatunkiem, jest rodza-„jem, rzędem, królestwem. Rozum, który jest głównem jego zna-„mieniem, stawia go nierównie wyżej od wszystkiego co go otacza „i nad czem panuje. Przez rozum jest on zarazem religijnym, „mówiącym, politycznym (czyli towarzyskim), przemy-„słowcem, sztukmistrzem. Z Bogiem obcuje, zanosząc mu „swe modły i żądze wszystkiego stworzenia, pojmuje moralność, „która wszystkiem kierować powinna według normy sprawiedliwości „najwyższej... A tem samem, że się wznosi do sfer bezwzględnej „sprawiedliwości, prawdy i dobra, zdobywa on pojęcia ogólne „i oderwane — i staje się mówiącym, bo mowa z zdolności ab-„strahowania wypływa. Mową wchodzi on w stosunek z bliźnim, „udziela mu również ogólne myśli, z istoty mówiącej staje się istotą „polityczną, tworzy społeczności, prawa i hierarchie. I znów, schy-„lając się ku niższego rzędu istotom, wynajduje je, łowi, owłada, „poddaje swej woli, zmusza do wypełniania swych rozkazów, albo „rękami swemi je przekształca, zaprzęga je do swej usługi, do „swych potrzeb, do swych kaprysów nawet, jak król wszechwła-„dny — a w tych wszystkich cudach objawia się jego przemysł. „I na tem jednak nie poprzestając, oprócz dobra pragnie on jeszcze „piękna, i usiłuje w dziełach swoich wszelkie kształty piękna uiścić,

[1] Dr. Frédault: *Traité d'Antropologie physiologique et philsophique.* L. I. ch. II., p. 47. — Ten sam wydał *Les passions* i kilka innych dzieł w tej materyi.

„sztuką opanowuje i uszlachetnia wszystko co go otacza — jest „sztuk mistrzem. — Któreż ze stworzeń ziemskich mogłoby iść „choć w dalekie porównanie z tym królem od Boga im danym?

„Z tego rozbioru umysłowości człowieka przechodząc do jego „części zwierzęcej i znamion fizycznych, znajdziemy, że wszystkie „są w logicznym związku z powyższemi.

„Mając panować, mając być przemysłowcem, człowiek ma po- „stawę odmienną od zwierząt i całkiem inaczej jest uczłonkowany. „Trzyma się prosto, patrzy w twarz, ma dwie nogi i dwie ręce; „skąd mnóstwo zajmujących anatomicznych właściwości. Głowa „wzniesiona do góry wymaga, żeby powierzchnia guzów tyłogłowo- „wych leżała poziomo. Nie ma więzów szyjnych, unoszących głowę, „jak u czworonożnych i nawet u czwororęcznych. Mięśnie grzbietu „i lędźwi są bardzo rozwinięte dla utrzymania postawy prostej; „mostek jest krótszy i nie dźwiga serca, jak u czworonożnych; „miednica musi być silniej zbudowana, ażeby na niej cały ciężar „ciała spoczął, i w rzeczy samej kość krzyżowa jest daleko wybi- „tniej wygięta, gałęzie łuku łonowego są silniejsze niż u czworo- „nożnych. Grzebień kości biodrowych jest o wiele mniej jak u czwo- „ronożnych wystający, ponieważ u nich mięśnie brzuszne mocniejszy „w tym grzebieniu punkt oparcia mieć muszą. Wielkie mięśnie po- „śladkowe i brzuśce łydkowe dozwalają utrzymać bez znużenia „postawę stojącą. Nogi są przedziwnie ukształtowane, tak do stania „jak do chodu; nic podobnego się nie znajdzie w innym gatunku. „Kończyny górne są krótkie, bo nie są do chodu, tylko do prac rę- „cznych, a w ręce duży palec jest przeciwstawiony drugim. U czwo- „ronożnych i nawet u małp, zwieszenie głowy wymaga, żeby krew „napływała do niej obficie i doraźnie; w tem celu tętnice szyjne „rozgałęziają się i tworzą podziwienia godną sieć tętniczą, „którą już Galen opisał i przysądzi ją człowiekowi, ponieważ ją „widział u zwierząt. Lecz u człowieka ona nie istnieje, jak wykazał „Vesal. Krew płynie pełnem światłem w nasze tętnice szyjne i krę- „gowe; masa mózgowa albowiem żąda ilości pierwiastków odżyw- „czych, w stosunku do swej wielkiej objętości, a postawa stojąca „u człowieka zwyczajna, zapobiega kongestyom, któreby inaczej smu- „tnemi groziły następstwami *(Godron, De l'espèce* t. II., p. 123).

„Rozwój inteligencyi wymaga rozwoju zawartości czaszki (mó-
„zgowia), nie dla samych funkcyj umysłowych, ale dla czynności
„zmysłów wnętrznych, które przy działaniu umysłu więcej rozwinięte
„być muszą niż u zwierząt. Istota mózgowa jest zatem znaczniejsza
„niż u któregokolwiek ze zwierząt, zwłaszcza w pewnych punktach;
„płaty przednie wysterczają ponad ciałka prążkowane, podczas gdy
„tylne sterczą w tył poza ciałka czworacze, i móżdżek całkiem przy-
„krywają. Liczba zwojów mózgowych i fałdów móżdżku jest daleko
„większą, i również większą jest szerokość mostu Varola.

„Temu rozwojowi mózgowia odpowiada koniecznie rozwój cza-
„szki, znaczniejszy niżeli u zwierząt, a mianowicie niż u małpy.
„Stąd wypływa cały układ głowy: czoło mniej pochyłe i zbliżające się
„do jednej linii z twarzą; szczęki górne i dolne zdają się i są w rze-
„czywistości mniej wysterczające; nos zatem więcej występuje na-
„przód; tylnia część głowy jest pojemniejsza, więcej zaokrąglona
„i równoważy części przedniej. I rzecz godna uwagi, że pojemność
„czaszki, która na pierwszy rzut oka zdaje się różna u różnych ras
„ludzkich, w rzeczywistości jest ta sama, jak Tiedemann wykazał.
„Ponieważ mowa daleko większej wymaga działalności organu gło-
„sowego, człowiek posiada cztery tętnice tarczykowe, podczas gdy
„u zwierząt jest ich tylko dwie.

„Ponieważ człowiek jest przemysłowcem i sam zaopatrzyć się
„może w odzienie, zatem skóra jego jest naga, nie kosmata ani łusko-
„wata jak u zwierząt. Stąd jej nadzwyczajna delikatność i miękkość.
„Gdzie porost istnieje, to dla ozdoby głowy, albo dla złagodzenia
„tarcia, jak pod pachami. Powieki i brwi do ozdoby i do użytku
„służą, bo zacieniają oczy i chronią ich przejrzystości, zasłaniając
„je zarazem od promieni słońca; włosy nawet, ten boski strój ko-
„biety, zapobiegają przepaleniu głowy, i dlatego według różnych
„miejscowości są odmienne, jak widać u murzynów i u wieśniaków.

„Mniejszy rozwój porostu u człowieka jest prawdopodobnie
„w związku z niskim rozwojem mięśni skórnych. U zwierząt widzi
„się te mięśnie wszędzie, i w każdem miejscu stanowią jakby po-
„kład skóry. U człowieka znajdują się tylko na czaszce i na twa-
„rzy, gdzie służą do wyrazu, oraz na dłoni i na podeszwach, gdzie
„pomagają ruchom.

„Tkanka komórkowa jest miększa i obfitsza u człowieka aniżeli

„w jakimkolwiek gatunku zwierzęcym, — co podług Blumenbacha „i Meckla pozwala mu żyć w różnych szerokościach geograficznych, „i co nadaje więcej zaokrąglenia, więcej giętkości, więcej wdzięku „całemu kształtowi tego najpiękniejszego w świecie stworzenia.

„Człowiek, który ma wszystko na swoje potrzeby zużytkować, „jest wszystkożerny, i stąd u niego równa wysokość wszyst- „kich zębów. Z zwierząt, to sieczne zęby, to kły, to znów trzonowe „więcej występują, u niego są wszystkie równe i wszystkie pionowo „ustawione... Odpowiednio też do tego ukształcenia człowieka, jako „wszystkożernego, jelito nie jest ani tak krótkie stosunkowo jak „u mięsożernych, ani tak długie jak u trawożernych. Tylko człowiek „posiada kiszkę ślepą, której użytek jeszcze nie dość zbadany... „W końcu, jeśli godzi się filozofowi posługiwać się tekstem świętym, „powiedziałbym ze św. Pawłem: *Non omnis caro eadem caro, sed „alia hominum, alia pecorum*"...

Wniosek z tego rozbioru wypływający w oczy bije: natura uposażyła człowieka, i fizycznie i zwłaszcza umysłowo, w sposób który go nietylko stawia na najwyższym szczeblu w szeregu stworzeń, ale czyni go z konieczności rzeczy panem całej przyrody, królem, którego usłudze prędzej czy później wszystkie trzy królestwa poddać się muszą; — ale natura, jak już dowiedzionem zostało, jest celową, jej urządzenia są wyrazem jej zamiarów: więc to przyrodzone uposażenie objawia rzeczywisty zamiar natury, stawiający człowieka za cel innych stworzeń.

Ale jeszcze coś więcej ze zbadanych poprzednio znamion celowości przyrody wyprowadzić możemy: mianowicie, że jedynie istota rozumna jak człowiek, może być tej celowości końcem. Dążność natury, jakeśmy widzieli, jest rozumna — objawiająca rozum, który cel i środki upatruje, i wolę, która celu chce i środki wybiera. Lecz dążność rozumna nietylko od istoty rozumnej pochodzić musi, lecz także do jakiejś istoty rozumnej i samowiednej jako celu zmierzać. Dla kamienia, dla rośliny nie możemy pracować, chyba o ile te przedmioty na użytek swój lub innej osoby przeznaczamy. Dla zwierząt czasem coś czynimy, pod wpływem jakiejś, uczuciowej raczej niż racyonalnej sympatyi, pochodzącej ze zbliżenia niższej połowy naszej natury do tych istot. Ale kiedy człowiek obiera zwierzę za istotny cel swych dążeń i swej miłości, jest w tem za-

wsze jakaś iluzya, jakieś odzwierciedlanie się w zwierzęciu i przypisywanie mu samowiedzy i uczucia ludzkiego. Rozumnie postępując, uważamy zwierzęta za żywe i czujące narzędzia, i to co dla nich czynimy do jakiegoś wyższego celu odnosimy. Celem samym w sobie może być tylko osoba, istota rozumem i wolą obdarzona, jej tylko można życzyć dobra dla niej samej, bo ona tylko może dobro swe pojąć, życzyć go sobie i samowiednie je posiadać. Kiedy więc w naturze objawia się potęga rozumna, wnosić trzeba, że ten cały łańcuch jej celowości, cała mądrość jej ustrojów, cała troskliwość z jaką uposaża rośliny i zwierzęta, cała miłość, że się tak wyrażę, jaką wszystkim tworom swoim okazuje, odnosi się końcowo do jedynej istoty rozumnej, której ten świat materyalny służyć może, t. j. do człowieka.

Świat mógł istnieć miliony wieków przed człowiekiem, bo budował się i przygotowywał na przyjęcie człowieka — jak członki w zarodku wyrabiają się powoli, dla funkcyi mającej się w swoim czasie pojawić, ale świat całkiem bez człowieka byłby niemożebny. Jestto wynikiem powyższych uwag: istoty niedosięgające sfery rozumu, rośliny i zwierzęta, nie mogą być celem dzieła stworzenia; istoty czysto duchowe nie mają naturalnego ze światem materyalnym związku;[1] istoty zaś z ciała i duszy rozumnej złożone, obejmują się tu właśnie pod ogólną nazwą człowieka, *animal rationale*, i one jedne mogą być, z punktu celowości, racyą bytu świata.

Ten sam wniosek wyprowadza się jeszcze ściślej z potrzeby odnośni świata do Stwórcy, w której istota rozumna ciałem obłożona jest niezbędnem ogniwem; ale o tem w ostatniej części wypadnie nam szerzej mówić. Tu wyjaśnić jeszcze musimy, na czem istotnie się zasadza, na jakich momentach zależy ten celowy stosunek natury do człowieka. Jeżeli świat jest dla człowieka, to oczywiście jest na to, żeby mu służył w spełnianiu jego przyrodzonego zadania: zadanie zaś to, odpo-

[1] Szczere duchy mogą zapewnie świat materyalny znać i z powodu niego cześć Bogu oddawać, ale ich umysł nie może być, jak nasz, *natus cognoscere corpora*, według wyrażenia św. Tomasza, czyli musi być skądinąd wiedzą wzbogacony, a to poznawanie świata, może być tylko dla niego funkcyą uboczną, *per accidens*. Nie można więc przypuścić, żeby odnośnia do szczerych duchów mogła być istotną i główną racyą bytu materyalnego świata.

wiednio do natury człowieka, jest podwójne: żyć — i myśleć — *vivere et philosofari:* utrzymywać życie, co mu jest wspólne z niższemi tworami, i myślą poznawać świat a przez świat Stwórcę, co mu jest jako istocie rozumnej właściwe. Fałszem jest, co suponują często dzisiejsi pozytywiści, że wiedza jest li tylko środkiem do podbicia natury, dla ulepszenia materyalnych warunków życia: wiedza sama w sobie jest przedmiotem żądzy ludzkiej, jak słusznie i głęboko dowodzi Arystoteles na początku swej metafizyki [1]; wiedza jest samym szczytem tego życia ludzkiego, którego materyalne funkcye są podścieliskiem i najniższym stopniem; samej zaś wiedzy szczytem, a przeto naczelnem umysłu ludzkiego zadaniem, jest poznanie najwyższej przyczyny, Stwórcy i Pana świata. I stąd, tak Arystoteles wychodząc indukcyjnie z obserwacyi, jak św. Tomasz idąc dedukcyjnie z nauki objawionej, przychodzą do wniosku, że kontemplacya pierwszej przyczyny, jest końcową człowieka szczęśliwością.

W obec tego podwójnego zadania człowieka, świat dla niego przeznaczony ma również podwójny cel: jest na to, żeby służył jego ciału i życiu doczesnemu, i jest na to, żeby karmił jego umysł, i opowiadał mu wielkie imię Stwórcy. W jaki sposób służy świat życiu ludzkiemu, to właśnie w głównych rysach nakreśliliśmy w poprzednich rozprawach, pokazując jak wszystkie trzy królestwa przyrody stanowią jednolity celowy ustrój, w którym nietylko główne rodzaje, ale nawet najpośledniejsze i pozornie szkodliwe gatunki potrzebne, albo przynajmniej pożyteczne są do zachowania lub rozwoju całości, całość zaś podaje człowiekowi obfite zasoby do utrzymania życia i pole do rozwijania wszechstronnie niewyczerpanej jego działalności.

Drugie zadanie, o p o w i a d a n i a, spełnia również świat przez te same, w ogólności mówiąc, prawa i czynniki, któremi służy życiu. To samo celowe urządzenie całej przyrody, o którem dotąd mówiliśmy, budzi rozum ludzki, kształci go, poucza nawet co do ulepszenia doczesnej doli i nadewszystko do poznania Stwórcy prowadzi.

Ale oprócz tego istnieją w naturze i ponad naturą pewne wyższego rzędu prawa, które wpadały zawsze w oczy umysłów wyż-

[1] Metaph. I.

szych — jak Tomasza z Akwinu, Bakona, Leibnitza — i które głównie, jeśli nie wyłącznie, do tego celu opowiadania się odnoszą. Takiem jest np. to prawo ciągłości: *natura non patitur saltus* — zależące na tem, że typy natury wiążą się w nieprzerwane szeregi — oraz dopełniające się prawa jedności, *lex unitatis*, i rozmaitości, *lex varietatis*, stanowiące, że w tych szeregach typów jeden wzór się powtarza i zarazem miarowo w nieskończoność odmienia: co najwidoczniej jedność planu objawia — a więc jedność Twórcy opowiada. Takiemi są również prawa oszczędności *lex parcimoniae* i najkrótszej drogi *lex brevissimae viae*, w których Leibnitz i Hartmann zadziwiającą wykazują racyonalność, a które oczywiście mądrość najwyższego Architekta opowiadają. Taką jest jeszcze panująca w świecie piękność, rozlana w barwach, w tonach, w ruchach i kształtach, ale na harmonii i mierze tych czynników istotnie zależąca: piękność udzielona nie jednakowo różnym stworzeniom, niektórym nawet zupełnie odmówiona, nietylko ażeby przez te cienie w obrazie, jak mówi św. Tomasz, wystąpiła świetność i doskonałość całości, ale także żeby się uwydatniła realność i bezwzględność samej piękności — ażeby człowiek, znajdując w jednych rzeczach jej ślad, w drugich go nie znajdując, rozumiał, iż ponad sobą i ponad światem ma szukać przedmiotowego i absolutnego piękności wzoru [1]: *Speciei enim generator haec omnia constituit* [2].

Ten dwojaki stosunek świata do człowieka, czyli dwojaki wzgląd przeznaczenia przyrody dla ludzkości znacznie rozszerza i prawdziwie uzupełnia widnokrąg teoryi celowości. W obec każdego prawa i każdego dzieła natury narzuca się nietylko pytanie: jak ono zbliska czy zdaleka do służby człowieka się odnosi, ale też pytanie: jak ono opowiada jego umysłowi najwyższą prawdę. Każde

[1] Jak fakt, że spostrzegamy w naturze niedostatki celowości, dowodzi, że celowość nie jest tylko prawem subjektywnem naszego umysłu, ale czemś przedmiotowem (cośmy przeciw Kantowi w poprzedniej rozprawie wykazali), tak samo fakt, że upatrujemy w naturze braki piękna, dowodzi, że piękno dla człowieka nie jest czysto subjektywnem i względnem, ale ma przedmiotową i absolutną normę. Gdybyśmy dla tego tylko znajdowali w naturze upodobanie piękna, że jesteśmy tej natury dziećmi, to nie byłoby racyi, dlaczegoby jedne twory tej samej natury zdawały nam się pięknemi, a drugie brzydkiemi.

[2] Sap. XIII. 3.

zagadnienie przyrodnicze ma dwie strony, jedną praktyczną, drugą filozoficzną i religijną. A jeśli niektóre szczegóły w całokształcie świata nie mają lub zdają się nie mieć jednego z tych dwóch celów, to racya ich bytu znajduje się w drugim — jak w wspaniałym pałacu są rzeczy głównie dla użytku zrobione, są inne przeważnie dla ozdoby, ale w całości piękno z użytkiem się kojarzy.

W obec takiego wytłumaczenia teoryi antropocentrycznej, uważającej człowieka za cel świata, upadają same przez się zarzuty przeciwników. Cóż znaczy np. naiwny zarzut Kartezyusza: „że „wszystkie rzeczy nie mogą być dla człowieka, ponieważ wiele jest „rzeczy, których człowiek nie zna“? — A ilużto ludzi nosi zegarki, których mechanizmu nie rozumieją i sprężyn nigdy nie widzieli? a jednakże te zegarki są dla nich celowo zrobione i służą im wybornie. Skądże Kartezyusz wie, że są w przyrodzie prawa lub gatunki, które nigdy do wiadomości człowieka nie dojdą? A choćby i tak było, stąd że człowiek pewnych rzeczy w naturze nie zna, nie wynika bynajmniej, żeby te rzeczy nie miały mu bezpośrednio lub pośrednio służyć.

Jeszcze płytszy bo gołosłowny jest zarzut pychy i zarozumiałości, tak często przeciwko tej doktrynie podnoszony. Gąska Montaign'a może się uważać za cel wszystkiego, bo i ona w jakiejś małej sferze jest celem natury, a jej gęsi rozum poza tę sferę wcale nie wychodzi. Ale nasz ludzki rozum tem się od gęsiego różni, że wznosząc się ponad miejsce i czas, ogólne prawa natury przenika i aż do Stwórcy dosięga. Gdy więc ten rozum z poznanych w naturze praw i z objawiającego się w nich planu Stwórcy, logicznie wnioskuje że cały ten świat widzialny do człowieka jako do celu swego się odnosi, to wnioskowi temu zaufać możemy. A nie pycha się w tem zdaniu odzywa, lecz przeciwnie, korzenie się przed dobrocią Stwórcy z tego mniemania naturalnie wynika. W tem właśnie mniemaniu wyśpiewał wieszcz Starego Zakonu ten hymn uwielbienia i pokory:

Cóż jest człowiek, iże nań poglądasz?
Albo Syn człowieczy, iże go nawiedzasz?
Uczyniłeś go mało co mniejszym od Aniołów,
Chwałą i czcią ukoronowałeś go,
I postanowiłeś go nad dziełami rąk Twoich:

Poddałeś wszystko pod nogi jego:
Owce i woły wszystkie, nadto i zwierzęta polne,
Ptactwo niebieskie i ryby morskie,
Które się przechodzą po ścieżkach morskich.
Panie, Panie nasz!
Jakoż przedziwne jest imię Twoje po wszystkiej ziemi![1]

Dodać trzeba, że i sami najpoważniejsi przeciwnicy tego poglądu, kiedy zamiast polemizować o szczegółach celowości, do wyższych przechodzą zagadnień, wracają najczęściej, to tym to owym sposobem do zdania, którego tu bronimy. Leibnitz, który tak gani w kilku miejscach hypotezę antropocentryczną, jednak w Teodycei, kiedy się z wysoka nad celem świata zastanawia, naucza, że tym celem nic innego być nie może, tylko chwała Boża i szczęście istot rozumnych: jedno przez drugie[2]. Ale do tego celu oczywiście świat materyalny tylko przez człowieka odnosić się może. Podobnie Kant, potępiwszy wielokrotnie naszą tezę jako czystą iluzyę, naucza jednak, że celem świata jest uiszczenie moralnego porządku[3]. Ale gdzież się ma ten moralny porządek uiścić, jeśli nie w ludzkości? A więc w ludzkości jest cel całego świata. Paweł Janet, w ciągu swych studyów o celowości, napiętnowawszy nasze zdanie, jako „najzgubniejszy w tej nauce błąd", w dopiskach jednak tak dalece się do tegoż zdania zbliża, że już tylko słowami od nas się różni[4]. A w ostatnim rozdziale dzieła, badając końcowy cel świata:

[1] Psalm VIII.

[2] Leibnitz. Theodicée p. I. 78, 79.

[3] Kant. Kritik der Urtheilskraft §. LXXXV.

[4] Causes Finales. Appendice VIII. Powiedziawszy na str. 679, że każda istota może się uważać za cel natury w takich rozmiarach, w jakich ją natura obdarzyła środkami używania, przychodzi do wniosku, że człowiek może się mieć za cel najważniejszy, nie na świecie, ale na tej ziemi, i tu nie jedyny: *sans affirmer en aucune façon que, même dans ce petit coin, tout soit fait exclusivement pour lui.* Na stronie zaś następnej posuwa się o krok dalej i uznaje, że człowiek jest absolutnie celem przyrody na ziemi. „Si l'homme d'après son organisation est fait pour se servir des choses, les choses réciproquement sont faites pour être utilisées par lui, et dans cette mesure où il se sert et peut se servir de ces choses, il a le droit de se considérer comme étant lui même une fin. C'est dans ce sens et dans cette mesure qu'il faut restreindre la proposition générale dont on a abusé, à savoir: que l'homme est le but, sinon de la création, du moins du petit monde qu'il habite". — Jeżeli Janet przypuści jeszcze konsekwentnie, że i inne światy mają za cel innych ludzi, na nich zamieszkałych, to już zupełnie przeszedł do zdania, przeciwko któremu powstawał.

La fin suprême de la nature, przystaje ostatecznie na zdanie Kanta, że tym celem jest moralność. — Widać, że zarzuty przeciwko naszej teoryi nie muszą być tak doniosłe, skoro ci sami co je podnieśli, tak łatwo je w kąt rzucają.

Jest jednak jeden zarzut, albo raczej jedno zagadnienie, z którem się obszerniej rozprawić musimy. Łatwo jeszcze pojąć, że wszystko, co jest na kuli ziemskiej, jest w pewien sposób dla człowieka przeznaczone, ale czemże jest ta maleńka planeta w bezmiarze gwiazdzistych światów? Ile miliardów słońc świeci w mlecznej drodze? ile ich po całym przestworze rozsianych, od których ani promyk może nas nie dochodzi? a dokoła tych słońc, ile planet krąży, większych i bogatszych zapewnie od naszej, dla których ziemia jest niewidzialną i które dla nas na wieki niewidzialnemi zostaną? Słowem ziemia jest pyłkiem w świecie, jakżeż więc ludzkość może być celem świata?

Na to jest najprzód jedna odpowiedź, bardzo prosta. Gdyśmy dowodzili powyżej, że celem świata musi być człowiek, dowody te nie odnosiły się wyłącznie do człowieka mieszkańca ziemi, ale stanowiły, że celem stworzeń nierozumnych musi być stworzenie rozumne, z ducha i ciała złożone: *animal rationale*, człowiek w szerszem, arystotelesowskiem znaczeniu. Jeżeli więc człowiek na ziemi mieszkający nie może być celem, jak tylko małej cząstki świata, to z całą pewnością wnieść można, że inne części świata są również przez ludzi zamieszkałe, tj. przez istoty innego może kształtu, innych przymiotów, ale również jak my rozumną duszę w powłoce ciała posiadające. Nie wszystkie oczywiście gwiazdy musiałyby w tem przypuszczeniu być zamieszkałe, jedne w stanie słońc służyłyby innym za źródło światła i ciepła, drugie dojrzewałyby dopiero, dla przyjęcia w późniejszych wiekach mieszkańców, inne, spełniwszy już to zadanie, zastygłyby jak groby, niektóre też może wciąż podrzędną względem życia grałyby rolę, jak względem nas księżyc. Ale w każdym razie, jeśli mieszkaniec ziemi nie jest celem całego świata, to podobni ludzie po innych częściach świata się znajdują: bo bezwarunkowym, jak widzieliśmy, świata materyalnego postulatem, racyą bytu celową, bez której ani świat ani żadna jego część istnieć nie może, jest istota, jak czło-

wiek, materyalność i rozum posiadająca. Dlatego to, od kiedy system Ptolomeusza upadł, a znaczenie ziemi tak podrzędne w mechanice świata odkrytem zostało, tyle podniosłych umysłów zwróciło się z zapałem do hypotezy zaludniającej gwiazdy — a jedyna w gruncie racya, która ich do tego zdania nakłaniała, była zawsze ta potrzeba istoty rozumnej jako celu nierozumnych.

Uznaję możliwość, powagę i pewien urok tej hipotezy; ośmielę się jednak przedłożyć inny pogląd, może co do sposobu tłumaczenia, nowy i śmiały, ale mniej wymagający, a mogący przynajmniej jako druga hipoteza, obok tamtej miejsce zająć. Otóż sądzę, że i bez mieszkańców gwiazd, celowość całego świata da się pojąć w odnośni do człowieka mieszkającego na tej ziemi.

Zaraz się wytłumaczę. Najpierw zwracam uwagę, że ogromy ciał niebieskich mało w tej kwestyi znaczą, bo miarą wartości istot nie jest w pierwszym rzędzie ich wielkość i waga, ale doskonałość czyli stopień bytu. Najmniejsze żyjątko, w którem ślad świadomości świta, najlichszy robaczek ziemski, który czuje, w którego subjekcie odzwierciedla się świat przedmiotowy, więcej jest wart, wyżej stoi w świecie, niż taka bryła materyi jak księżyc, jeśli na niej życie nie mieszka. Cóż dopiero o istocie rozumnej, wolnej, poznawającej Stwórcę powiedzieć?[1]. Ziemia więc, jakkolwiek mała planeta, jeśli sama jedna piastuje takie istoty, więcej nieskończenie znaczy, więcej waży w ekonomii świata, niż wszystkie miliardy słońc, i one w obec niej, za pyłki na jej usługi przeznaczone uchodzić mogą.

Zwracam następnie uwagę i na to, że mylnie suponują niektórzy autorowie nieskończoność istniejącego świata, jako rzecz konieczną lub dowiedzioną. Nauki doświadczalne nic zgoła o tem powiedzieć nie mogą: nieskończoność w ścisłem znaczeniu przechodzi ich sferę. Filozofia przez usta wielu znakomitych przedstawicieli swoich orzekła, że świat nieskończony jest niemożliwy i w sobie sprzeczny[2].

[1] *Omnis creatura corporalis, quantumcumque sit magna quantitate, est tamen inferior homine, ratione intellectus.* Św. Tomasz II. Dist. 1. q. 2. a. 3. ad 3.

[2] Ob. z pomiędzy nowszych Balmes, *Philosophie fondamentale*, tudzież świeżo wydane znakomite dzieło: *Les Confins de la science et de la philosophie* przez Carbonelle. Tom. I.

Nie idąc tak daleko, poprzestaję tu na przypuszczeniu skończoności, czyli ograniczenia świata, jako rzeczy w obec nauk przyrodzonych i w obec filozofii, co najmniej możliwej. A zatem już nie potrzebujemy koniecznie szukać celowego stosunku między tą ziemią a nieskończonością, coby było nie do pojęcia, ale tylko między ziemią a bardzo wielkim światem, co już jest zrozumiałem i oznaczalnem.

Przypuszczam w końcu — co dziś chrześcijańscy i niechrześcijańscy myśliciele powszechnie przypuszczają i do czego postępy nauki w znajomości mechaniki świata coraz więcej prowadzą — że materya kosmiczna, zaczynając od stanu najmniej ukształconego, jak mówią: mgławicznego, skupiała się i kształciła powoli, mocą i prawami własnych mechanicznych sił, aż wytworzyła istniejące dziś słońca i nasz planetarny system.

Ale urzeczywistnienie takiego dzieła przedstawiało z góry, że się tak wyrażę, niezmiernie wielką trudność. Z jednej strony za środek przez Stwórcę obrana, rzecz najniższego rzędu: pierwotna materya wcale nie, albo najmniej ukształcona — z drugiej strony końcowe zadanie w wysokim stopniu skomplikowane: tj. uiszczenie w jakiejś planecie tych wszystkich, tak delikatnych a różnorodnych warunków, których życie ludzkie wymaga, a o których, mówiąc o organizmie kuli ziemskiej, pobieżne daliśmy pojęcie. W jakiż sposób natura zwykła takie zadania rozwiązywać? Mamy wiele podobnych przypadków w przyrodzie, a we wszystkich przebija się jednakowy sposób postępowania, (już nam z poprzednich studyów znany), który nazwaćby można prawem elekcyi: mianowicie, kiedy środek czyli narzędzie, jakiego natura chce użyć, jest mało do jej celu uzdolnionem, lub skądinąd na wiele zboczeń narażonem, natura zastępuje tę nieudolność mnogością, ażeby, mimo licznych zboczeń i strat, choć w małej liczbie cel swój osiągnąć. Na to na wiosnę grusza niezliczonem pokrywa się kwieciem, żeby mała część tych kwiatków dojrzałe wydała owoce; na to tumany pollenu roznosi wiatr, żeby kilka atomów osiadło na zalążkach; na to bezbronne gatunki zwierząt ogromną posiadają płodność, żeby odrobina ich potomstwa dojrzałego wieku doszła. Każdy kwiat jednakże jest zawiązkiem owocu, każdy pyłek pollenu jest na to, żeby zapładniał, każde żyjątko jest na to, by żyło i dorastało. Ale z powodu ich niko-

mości, tylko w małej liczbie ten cel osiągniętym być może; i właśnie ażeby w tej małej wybranej liczbie cel swój otrzymać, tak wiele ich natura do istnienia powołuje.

To samo prawo i w pierwotnem kształceniu się świata zastosowanem być mogło i zapewnie było, bo jeśli w jakiej pracy natury, to chyba w tej czynnik był najmniej uzdolniony. W takiej masie materyi, pchniętej w przestrzeni i mechanicznemi tylko ważonej siłami, wiele niezawodnie zawiązków zginąć musiało, wiele prób zboczyć, wiele wysiłków tej pracy kosmicznej zmarnieć, ażeby choć w jednem miejscu wyrobił się ten dojrzały owoc, wszystkie astronomiczne, fizyczne, chemiczne i geograficzne warunki życia w zupełności łączący. Cała więc masa materyi, która dzisiejszy świat stanowi, na ten cel z nicości wywołaną być mogła, ażeby po tysiącowiekowej pracy wydać ten dojrzały owoc. Ziemia jedna do tego celu bezpośrednio dojść mogła... Gwiazdy w takim razie są to kwiaty zwiędłe, które w owoc przerodzić się nie zdołały, są to wiory, które przy ciosaniu ziemi i jej systemu odpadły. I tak powód ich bytu, bez hipotezy zaludnienia, tłumaczy się racyonalnie i podług panującego w naturze prawa.

Ale to samo prawo natury ma jeszcze drugą stronę: istoty te nadliczbowe, które odpadły od głównego celu swego, nie giną całkiem bezcelowo, ale reasumują się w ogólnej ekonomii natury do jakichś celów podrzędnych: kwiaty przedwcześnie zwiędłe użyzniają ziemię w około pnia rodzimego, pollen zbłąkany służy za pokarm owadom — i te ciała niebieskie, od budowy mieszkania ludzkości odtrącone, wysługują się jeszcze tej ludzkości w sposób drugorzędny: może i materyalnie wpływ jakiś wywierają, bez którego nasz system, osamotniony w przestrzeni, w nieodpowiednich zostawałby warunkach; a w każdym razie służą nam opowiadaniem. Nawet o ziemi nas pouczają, przedstawiając w swych rozmaitych postaciach, jakby historyę faz, przez które ziemia przejść musiała; ale nadewszystko opowiadają nam o Stwórcy. Ich blask wiecznotrwały, ich wielkość niezmierna, ich mnogość nieprzeliczona, ruchy ich potężne i regularne podnosiły zawsze oczy i serca ludzi ku Najwyższemu, poddawały pojęcia o jego majestacie, wszechmocy, mądrości, nieskończoności. Niebo i Bóstwo były zawsze w myśli i w mowie ludzkości ściśle złączone. I dlatego też gwiaździsty prze-

stwór był zawsze uważany za głównego opowiadacza chwały Boskiej:

Niebiosa rozpowiadają chwałę Bożą,
A dzieła rąk Jego oznajmuje firmament...
Nie masz języków, ani mów,
Któreby nie słyszały głosów ich [1].

Przychodzimy więc do wniosku, że celowość całego świata w odnośni do człowieka tłumaczy się na każdy sposób, nawet w przypuszczeniu, że jedna tylko ziemia jest przez człowieka zamieszkałą.

A więc, powiedzieć można: filozofia tej kwestyi o zaludnieniu gwiazd, czyli jak mówią „o wielości światów", wcale nie rozstrzyga; odbiera tylko hipotezie zaludnienia gwiazd jedyną jej filozoficzną podstawę, na wymaganiach celowości opartą.

Nauki doświadczalne w dzisiejszym stanie wiedzy i środków badania, ani nadziei nam nie czynią odkrycia mieszkańców lub braku mieszkańców na gwiazdach. Zauważyć jednak wypada, że astronomia, która z takim hałasem wyparła ziemię z mniemanego jej miejsca w środku świata, dziś przywraca jej znowu w inny sposób, stanowisko poniekąd centralne. W naszym najprzód systemie planetarnym, o którym jedynie coś dokładniejszego wiemy, pokazuje się, że słońce nie jest wcale najwykształceńszem ciałem, ale w stanie poniekąd chaotycznym, a wszystkie inne planety są nierównie mniej od ziemi, albo też wcale nie są do piastowania życia uzdatnione [2]. Ziemia więc jest w naszym systemie uprzywilejowaną. Cały

---

[1] To znaczy: Nie masz narodów, któreby nie rozumiały tego opowiadania niebios. — Psalm XVIII.

[2] In unserem Jahrhundert scheint sogar die Wissenschaft der Sterne, nachdem sie früher grausam den Wohnsitz des Menschengeschlechts aus dem Centrum der Welt hinausgeworfen hatte, in anderer Form einen Goecentrismus wieder zu Ehren zu bringen, welcher ebenso interessant ist, wie der beseitigte. Es hat sich herausgestellt, dass die Sonne trotz ihrer centralen Stellung sich in einem wilden chaotischen Zustande befindet, und ihren bedeutsamsten Einfluss in ihren Licht-, Wärme und Gravitationswirkungen auf die sie umkreisenden Planeten offenbart. Nicht in der Sonne, sondern irgendwo im Planetensystem liegt der Punkt, um dessentwillen das Ganze angeordnet zu sein scheint. Wo dieser Punkt liegt, werden wir sofort vermuthen, wenn wir beachten, dass ebenso wenig, wie die glühende Sonne selbst, der atmosphärenlose Merkur, oder die Venus mit ihrem Wechsel glühendster Hitze und

znów ten system zdaje się mieć w świecie gwiazd położenie środkowe. Wiadomo, że nagromadzenie gwiazd w okolicach mlecznej drogi, która sama jest gwiazd roiskiem, oraz względna ich rzadkość w kierunkach osi wielkiego koła przez mleczną drogę zakreślonego, naprowadzają astronomów na przekonanie, że ten świat syderalny ma kształt niezmiernej soczewki, w której my z naszym systemem planetarnym znajdujemy się mniej więcej w środku; i dla tego właśnie w kierunku krawędzi tej soczewki widzimy gwiazdy jakby zgęszczone, w kierunku zaś osi rozrzedzone, bo w pierwszym kierunku jest ich nierównie grubsza warstwa nad nami, niż w drugim. A nie można tej sytuacyi środkowej naszego systemu uważać za iluzyę optyczną, jak np. wrażenie przedstawiające nam niebo jako półkulę wklęsłą, której centrum zajmujemy; albowiem gdybyśmy się znajdowali daleko od środka, np. koło krawędzi tej soczewki, widzielibyśmy mleczną drogę tylko po jednej stronie nieba, gdybyśmy zaś byli około brzegu w pobliżu osi, nie widzielibyśmy wcale mlecznej drogi, tylko w połowie nieba nieco gęstsze gwiazdy, w drugiej połowie rzadsze. A choć niektórzy astronomowie przypuszczają, że pewne mgławice ledwo teleskopem dostrzegalne są także takiemi rojami gwiazd, do naszej wielkiej soczewki podobnemi, jestto hipoteza bardzo dowolna, do nauki jeszcze nie należąca. Ostatecznie więc, wyniki nauki empirycznej nietylko poglądowi naszemu nie są przeciwne, ale mu raczej pozytywnie sprzyjają.

Co się wreszcie teologii tyczy, i ona, mówiąc nawiasowo, tej kwestyi stanowczo nie rozstrzyga; zawiera jednak pewne dane,

---

eisiger Kälte, oder der Dämpfe ausbrodelnde Jupiter, oder der Uranus mit seinem beständigen eiskalten Halbdunkel und seiner ungeschickten Achsendrehung, oder der Saturn mit seinen kurzen Tagen und langen Jahren und den äusserst losen Attractionsverhältnissen, oder sonst ein Planet geeignet erscheint, Organismen ein gastliches Heim zu bieten. Was wir von dem grossen Fixternhimmel wissen, lässt uns ebenfalls ahnen, dass dort nirgends ein Plätzchen zu finden ist, wo menschenartige Organismen ein Dasein fristen könnten. So wäre denn die Vermuthung nicht abzuweisen, dass die gesammte Weltentwicklung den Erfolg gehabt hätte, gerade unsere Erde zur passenden Wohnstätte organischen Lebens herauszubilden. Mehr, glauben wir, lässt sich über diesen Punkt nicht feststellen; unsere astronomischen Kenntnisse sind noch zu unfertig, um über die angeregte Frage ein abschliessendes Urtheil bilden zu können. — *Pesch. Die grossen Welträthsel.* II. Band, str. 429.

które, jak sądzę, przeciwko wielości zamieszkałych światów, a więc za teoryą antropocentryczną, mocno przemawiają. Pomijając kwestye absolutnej możliwości — w istniejącej ekonomii wszechświata, w której Wcielenie Słowa jest punktem kulminacyjnym, wszystkie stworzenia rozumne do Chrystusa jako do Głowy swojej się odnoszą [1], ze względu na Niego podniesione zostały do nadprzyrodzonego stanu uczestnictwa w synowstwie Bożem Jemu właściwem — *ażeby on był pierworodnym między wielą braci* [2] — i wszystkie, o ile tego synowstwa bożego nie utraciły, stanowią pod Głową Chrystusem jeden duchowy organizm, jeden Kościół [3]. Niedosyć że nam to Pismo św. w najogólniejszych przedstawia wyrazach, jak: że Chrystus jest Głową wszystkiego [4], że jest pierworodnym wszelkiego stworzenia [5], jeszcze mówi nam ono wyraźnie, że do tego jednego Kościoła należy nie sama tylko ludzkość, lecz i najdalszy od niej pod względem natury świat duchów, aniołowie [6], i że Chrystus jest Głową nietylko ludzi lecz i aniołów [7]. I dlatego niezawodnie Pan Bóg pouczył nas w Piśmie świętem o istnieniu świata aniołów, i dlatego te dwa choć tak odległe światy związał usługami i czcią nawet w doczesności, ponieważ ogólnie mówiąc, prawo miłości i świętych obcowania wiąże cały Kościół, i wszystkie stworzenia co mają przez Chrystusa w wieczności szczęście posiąść, powinne się w doczesności miłować. Gdyby więc istniały na gwiazdach stworzenia rozumne i ciałem jak my obłożone, wnosić logicznie można, że Objawienie byłoby nas o nich pouczyło i w duchowny z niemi wprawiło stosunek, gdyż te same co względem aniołów zachodziłyby powody, i poniekąd większe, o ile że takie istoty byłyby nam bliż-

[1] Ephes I. 10. Ἀνακεφαλαιώσασθαι τὰ πάντα ἐν τῷ Χριστῷ: Uczynić, żeby wszystko miało w Chrystusie głowę. Ob. *Korn. a Lapide* o tym tekście.

[2] Rom VIII. 29.

[3] Colos. I. 18. *Ipse est caput corporis Ecclesiae.*

[4] Ephes. I. 10. jak wyżej.

[5] Colos. I. 15. *Pierworodny wszego stworzenia.* W Bóstwie Chrystus jest jednorodzony; w Wcieleniu więc jest pierworodnym, czyli starszym bratem wszego stworzenia, tj. że wszelkie stworzenie rozumne od niego w nadprzyrodzonym synowstwie Bożem uczestniczy lub uczestniczyć powinno.

[6] Hebr. XII. 22. Żydom, którzy opuściwszy synagogę, przyłączyli się do Kościoła Chrystusowego, św. Paweł mówi: *Przystąpiliście do miasta Boga żyjącego, Jeruzalem niebieskiego i gromady wiela tysięcy aniołów.*

[7] Colos. II. 10. Qui est caput omnis Principatus et Potestatis.

szemi niż aniołowie naturą. Przypuszczać, że te istoty zostają w tak zwanym „stanie natury“, bez związku z Bogiem Wcielonym, zdaje mi się, jak powiedziałem, zupełnie niezgodnem z istniejącą ekonomią Bożą, w której wszystko stworzenie jest dla Chrystusa [1]. Przypuszczać znów, jak to niektórzy czynią, że Wcielenie w różnych światach się powtórzyło, zdaje mi się jeszcze nieprawdopodobniejszem, bo (pomijając inne trudności) gdyby Bóg dla różnych światów różne natury przybierał, czemużby nie był *a pari* natury anielskiej przybrał, co jednak wyraźnie Pismo św. mówi: *nusquam angelos apprehendit, sed semen Abrahae apprehendit* [2]. Przypuszczając wreszcie, że ci mieszkańcy innych światów, odnoszą się, jak ludzie i aniołowie, do Chrystusa na ziemi wcielonego, niepodobna, jak widzieliśmy, zupełnego o nich milczenia nauki objawionej wyrozumieć.

Na każdy sposób nauka wiary, upewniając nas, że Bóg na tej ziemi się wcielił i z nią się spokrewnił, nadaje tej ziemi znaczenie wyjątkowe *hors ligne* w wszechświecie, czyni ją centrem świata, nierównie donioślejszem, niż była w starej astronomii, bo centrem celowem, około którego wszystkie stworzenia, materyalne i duchowe, wieczyście grawitują.

Kończąc to studyum o celowości świata, w odnośni do człowieka, zwrócić musimy uwagę na spotkanie się naszych rozumowań z filozofią indyjską *Sankya*. My, badając celowość przyrody, szukamy najpierw przyczyny sprawczej tej celowości, tj. Stwórcy, a tą drogą przychodzimy w końcu do wniosku, że celem przyrody musi być istota rozumna, człowiek. Filozof indyjski zastanawiając się nad tą samą celowością, szuka odrazu celu, do którego ona zmierza: powiada, że tym celem musi być dusza rozumna, w obec której przyroda jak bajadera popisuje się swemi wdziękami, i bez której nie miałaby racyi bytu; a stąd dopiero przechodzi do Stwórcy, który tę harmonię urzeczywistnił. „Dusza istnieje, powiada *Sankya Ka-*„*rika* [3], bo ustrój wszechrzeczy widzialnych dla innego (różnego odeń)

---

[1] Ob. Filozofia i jej zadanie, rozdz. VI., gdzie tę rzecz obszerniej wyłożyłem.

[2] Hebr. II. 16.

[3] Starożytny poemat, streszczający naukę filozofa Kapili. — Cytacya z Pawła Janet.

„istnieje“. I indziej: „Musi być ktoś, coby rzeczy używał“. Komentator zaś dodaje: „Rzeczy są, aby ich używano; rzeczy wi„dzialne muszą mieć widza; uczta musi mieć biesiadników“. — „Dusza, mówi znowu Karika, łącząc się z naturą ma to jedno za„danie, żeby poznawać i kontemplować; a to poznanie jest warun„kiem jej wyzwolenia. Kontemplacya natury jest jej używaniem. „Bez istoty coby ją kontemplowała, natura byłaby bez celu. Bez „duszy, która poznaje i myśli, natura byłaby jak gdyby wcale nie „była; bez natury dusza osamotniona byłaby nader bliską nicości; „przez zjednoczenie zaś obu, świat istnieje i żyje, a dusza do świa„domości o sobie przychodzi... Natura jedynie dla wyzwolenia „duszy pracuje. Gdyby o nią samą szło, zostawałaby w bezczyn„ności, ale dla duszy rozwija czynność niezmordowaną... A jak „tancerka, okazawszy się zgromadzeniu, przestaje tańczyć, tak na„tura przestaje działać po okazaniu się oczom człowieka“.

Ale kiedy natura jest bezwiedna, a dusza, według pojęć tej filozofii, bezczynna, cóż za przyczyna doprowadza do skutku ten stosunek? któż wyprowadza tę ślepą bajaderę na scenę? Stara filozofia Kapili zagadnienia tego jasno nie rozwiązała; lecz późniejsi komentatorowie indyjscy tą właśnie drogą, mówi Barthélemy St. Hilaire [1], wprowadzili pojęcie Stwórcy do Sankyi. „Czy rozwój natury, mówi „jeden z nich [2], przez nią samą się dzieje, czy przez kogo innego, „zawsze to jakiś czynnik samowiedny działa. Natura nie może być „bez rozumu i musi być istota rozumna, co naturą włada i kieruje. „Dusze, jakkolwiek rozumne, nie mogą indywidualnie naturą rzą„dzić, bo nie znają zasadniczych jej znamion. Musi więc być ko„niecznie istota, coby wszystkie rzeczy widziała i władała naturą — „musi być Bóg“ [3].

X. M. Morawski.

---

[1] Mémoires sur la philosophie Sankhya.

[2] Vaczespati Misra.

[3] Zostaje nam jeszcze do omówienia „Stosunek celowości świata do Boga“.

ZAMORSKIE POSIADŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANII.

(Ciąg dalszy).

II.

Nowa Zelandya i Australia.

Sześć tysięcy mil angielskich! to nie lada kawał drogi! Przepłynie go baron Hübner, na parowcu *John Elder*, w przeciągu dni niespełna dwudziestu, i to jednym tchem, bo wsiadłszy na statek w Cape-town 15 września (1883) nie wyląduje aż w Australii 5 października, nie zatrzymawszy się nigdzie ani na jedną chwilę, dla prostej przyczyny, że na tej całej, ogromnej morskiej przestrzeni, nie ma skrawka stałego lądu, gdzieby choć zapasy węgla lub wody odnowić można. Aż głowa boli pomyśleć, co za prowizye taki statek z sobą zabierać musi, żeby czasem nie zabrakło w drodze żywności, opału lub słodkiej wody! Z powodu północnego, zawsze mniej więcej silnego wiatru, powietrze w tych sferach bywa najczęściej zimne; dla tego samego powodu i morze rzadko kiedy spokojne, lecz za to statek doskonały, kapitan uprzejmy, czujny, o wygody swych pasażerów dziwnie troskliwy; żywność, za pomocą zamrażania wyśmienicie zachowana; towarzysze podróży, z niższego wszakże po większej części stanu, pomimo energicznej powierzchowności niezwykłą zapowiadającej siłę muszkułów i charakteru, zachowują się przyzwoicie. Znajdujący się pomiędzy podróżnymi misyonarz, przedstawiwszy się baronowi Hübner, ofiarowuje mu od razu książeczkę własnego pióra, następującym opatrzoną tytułem: *Christian missions to wrong places, among wrong races and in wrong hands.* (Chrze-

ścijańskie misye, w niewłaściwych miejscach, wśród niewłaściwych plemion i w niewłaściwych pozostające rękach). Książeczka ma dowieść, że z wyjątkiem niektórych ras murzyńskich w Afryce i Indyach, oraz kilku żółtych pokoleń w Chinach i Japonii, reszty rozrzuconych po świecie różnokolorowych plemion, na wiarę chrześcijańską nawracać nie warto, ponieważ liczba ich zmniejsza się z dnia na dzień i prawdopodobnie w ciągu następującego wieku, całkiem zniknie z powierzchni ziemi. Wyraz nie warto, zbyt wymowną jest teoryi tej illustracyą, by dodawać potrzeba, że ów misyonarz — jedynie z utylitarnego punktu widzenia zawód swój biorący — nie do katolickich należał misyj; dla tych ostatnich bowiem to właśnie przypuszczenie, że liczne pogańskie plemiona, skazane są na zagładzenie, nowym byłoby bodźcem, by czemprędzej i z tem większą gorliwością zabrać się do ratowania dusz, którym niebawem przed sądem Bożym stanąć wypadnie. Zresztą życie na statku bardzo jednostajne; od czasu do czasu, od strony II. klasy, słychać nieco burzliwe, na iście demokratycznem tle oparte dyskusye polityczne, socyalne lub finansowe; w mniej gwarnych zakątkach statku, kilka zakochanych par o przyszłem rozprawia małżeńskiem pożyciu, podczas gdy całemi stadami tysiące najrozmaitszych ptaków nad głowami pasażerów krąży; gdy słońce zachodzi, istne te Najady mórz na falach nocują; niektóre z nich zuchwalszego temperamentu, sadowią się na szczycie masztów i snem spokojnym, pod opieką dobrze dla nich zwykle usposobionych podróżnych, główki pod skrzydło schowawszy, zasypiają.

Przeczytawszy wziętą ze sobą całą bibliotekę — bo bądź co bądź towarzysze podróży i latające nad parowcem ptaki, za całodzienne zajęcie nie mogły starczyć — baron Hübner, po szczęśliwej i stosunkowo bardzo szybkiej żegludze, wylądował w Australii na to tylko, aby zaraz nazajutrz na drugi wsiąść statek, udający się wprost do nowej Zelandyi. Wylądowawszy w Bluffs, udaje się już koleją żelazną do Invercargill, na całej kuli ziemskiej najbardziej ku południowi położonej miejscowości. Kolej żelazna w nowej Zelandyi, gdzie tak niedawno jeszcze ludożercy, nieszczęśliwych podróżników w niewolę wziętych, na rożnie piekli i bez najmniejszego skrupułu smacznie zjadali! W Invercargill przyjmuje barona Hübnera burmistrz miasta, typ człowieka tej półkuli *a self made*

man[1], dla którego nie istnieje w życiu niezwalczona przeszkoda. Z Anglii przybył najpierw do Australii, by złota poszukiwać; nie znalazłszy go przeniósł się do nieco jeszcze dzikiej Nowej Zelandyi; tam mu się lepiej powiodło — z czasem mógł nabyć trochę gruntu i własnemi rękami małe gospodarstwo postawić. Dziś, prócz pracy około gospodarstwa, w której mu synowie dopomagają, i zajęć, jakie mu urząd burmistrza nakłada, znajduje tyle jeszcze na dobę czasu, żeby najlepsze na całą okolicę wyrabiać obuwie, synowie zaś jego ogromną zarządzają garbarnią. Dziwnie odbijają, przy ciężko spracowanych rękach rolnika i szewca, jasne zdrowe i praktyczne na świat poglądy burmistrza. Tacy ludzie prawdziwymi są obywatelami, i za takich się mają, przed żadnym nie cofając się obowiązkiem; wyższą polityką się nie zajmują, rewolucyj nie robią, ale w ich rękach siła i istnienie kraju spoczywa. *Ce sont avant tout des bourgeois, qui n'ont rien du politicien, mais qui tiennent de l'homme d'état.* W naszej starej Europie odwrotny rzeczy porządek: o polityce wyrokuje każdy, jakoby z trójnoga, lecz o prawdziwych ludzi stanu trudno bardzo, i prawdopodobnie coraz trudniej będzie, jak coraz trudniej jest o ludzi fachowi swemu poświęconych, gdy natomiast coraz się więcej mnoży ambitnych.

Zaledwo na wpół zbudowane, o szerokich ulicach miasto, już zawiera w sobie wspaniały budynek *Atheneum* z dość znaczną biblioteką, chlubnie świadczącą o umysłowem usposobieniu mieszkańców Invercargill. Jak w całych angielskich koloniach, tak i tu władze rządowe wszelkich br. Hübnerowi dostarczają ułatwień do zwiedzania Nowej Zelandyi. Jedzie więc, w towarzystwie młodego, dopiero co z Oksfordu przybyłego studenta, jeszcze koleją żelazną, ku sławnemu jezioru Wakatipon. W Kingstown (owe *town* składa się raptem z hotelu, dwóch prywatnych domów i debarkaderu), żegnają się nasi podróżni z koleją żelazną i siadają na statek płynący do Queens-Town; krajobraz oryginalny, nieco ponury, do czego się jeszcze i bardzo zimny wiatr przyczynia. Na dość bliskim horyzoncie, wiecznym śniegiem okryte niebotyczne ciągną się góry,

[1] Nie ma na to odpowiadającego w polskim języku wyrazu — czy czasem nie dlatego, że takich *self made man* nie ma u nas w Polsce?

których podstawa spoczywa na gęstym, miękkim kobiercu najpiękniejszej żółtej murawy; jestto rodzaj trawy zwanej *tussock*, tylko w Nowej Zelandyi rosnącej; najwspanialsze wschodnie dywany piękniejby się oku nie przedstawiały. Z wielkim kosztem sprowadzane z Anglii króliki, nietylko snać z artystycznego punktu widzenia żółty *tussock* ocenić umiały, tak się w nim bowiem rozwielmożniły, że niebawem wypadnie je tępić; tymczasem poluje się na nich z zapałem. Jezioro Wakatipon, nie odpowiada bynajmniej malowniczością brzegów rozgłośnej swej reputacyi; podróżni nasi mijając kilka miniaturowych jak dotąd, miast p r z y s z ł o ś c i, zatrzymują się w Dunedin gdzie p r z y s z ł o ś ć już niebawem, dzięki przedsiębiorczości mieszkańców t e r a ź n i e j s z o ś c i ą będzie. Tym razem robi im honory miasta biskup katolicki, Mgr. Moran, uradowany, że się pochwalić może piękną, na ukończeniu będącą katedrą, i olbrzymim klasztorem Sióstr św. Wincentego, zawierającym i szpital, i szkółkę, i ciasno dzieciakami zapełnioną ochronkę. Z prawdziwem wzruszeniem spotyka się baron Hübner na drugim krańcu świata z białym kornetem Szarytki, dziś już, z wyjątkiem Prus wszędzie, nawet między nawpół jeszcze dzikiemi plemionami, lub wyznawcami Mahometa, z uczuciem wdzięcznej radości witanym. Sztandar miłosierdzia i litości anielskich Sióstr, przetrzyma prawdopodobnie wszelkie, choćby najświetniejsze polityczne i socyalne naszych czasów sztandary. Dunedin zamieszkały przez energicznych, pracowitych kolonistów, niemal wyłącznie Szkotów i Niemców w najlepszej z sobą żyjących komitywie, rośnie jak na drożdżach i niebawem z największemi miastami Nowej Zelandyi będzie mógł rywalizować, może nawet z Christchurch, gdzie burmistrz i profesor, oprowadzają barona Hübnera po wspaniałych salach Uniwersytetu (wyraźnie U n i w e r s y t e t u), poczem, nieco zmęczony sędziwy podróżnik, z miłem zadziwieniem znajduje się w klubie, na angielski sposób z wszelkiemi wymaganiami komfortu urządzonym, gdzie go oczekiwały dwa czyściutkie pokoje, kąpiel, wyśmienity obiad, mnóstwo miejscowych oraz zagranicznych gazet, wszystko razem za bardzo umiarkowaną cenę. Bodaj to jeździć do Nowej Zelandyi! Nazajutrz, niedziela; solenne nabożeństwo w katolickim kościele; proboszcz, któremu baron Hübner śpieszy uszanowanie złożyć, opowiada mu, że lat temu ośmnaście, gdy zarząd parafii

objął, miał owieczek szesnaście; dziś ich ma przeszło pięć tysięcy, po większej części Irlandczyków, ciągle w wielkiej liczbie przybywających, ze szkodą krajowców, których los coraz bardziej zbliża się do losu owych królików tępiących tussock; niebawem już ani krajowców ani królików w Nowej Zelandyi nie będzie. Czysto angielskiej powierzchowności miasto, i w surowem obchodzeniu przepisów święcenia niedzieli Anglię naśladuje; niemniej srogo też nudny dzień ten w Christchurch, jak nim jest w Londynie. Nazajutrz, z prawdziwą przyjemnością udaje się baron Hübner o kilka mil za miasto, zwiedzić jedno z najgłówniejszych run[1]. Właściciel, były oficer w Angielsko-Indyjskiem wojsku, przyjmuje podróżnych z gościnnością prawdziwego gentlemana; równie jak mąż wykształcona i *lady-like* żona, sama obiad gotuje, córki zaś do stołu służą; żadnej w całym domu nie ma służby; gospodarz, żona i dzieci, wszystko sami robią. Nadaje to licznym tego rodzaju w Nowej Zelandyi osiadłym rodzinom, pewne arystokratyczne piętno *d'ancien régime;* nie mając nigdy zetknięcia z ludźmi bez wychowania i niskiego urodzenia, nie mają okazyi demokratyzowania się na nasz ogólny, europejski sposób. Gdy po całodziennej, ciężkiej najczęściej pracy, starannie się przebrawszy, siadają do stołu, liczni zwykle członkowie rodziny, to gdyby nie widok spracowanych rąk, przysiągłby każdy z obecnych gości, sądząc po toku rozmowy, że jest w jakiem angielskim Cottage bogatej rodziny z *gentry* pierwszej połowy XVIII. wieku. Po skończonych gospodarskich i domowych zajęciach, pan domu czyta głośno gazety lub książki, gdy żona i córki z robotą w ręku, czytania słuchają. Imponujący przedstawia widok pastwisko, na którem siedmdziesiąt tysięcy owiec najpiękniejszych ras się pasie. Sama strzyż wymaga sześć tygodni czasu i stu dwudziestu ludzi, którym się płaci, prócz żywności, po funcie szterlingu (około 14 reńskich) dziennie; praca co prawda bardzo uciążliwa. Barany, za bajecznie wysokie ceny, sprowadzane bywają najczęściej z Saksonii.

W ciągu całej podróży po Nowej Zelandyi, bezustannie ma baron Hübner na myśli kapitana Cook; pamięć tego wielkiego dobrodzieja australskiego świata, przeszła w rodzaj wdzięcznej legendy

[1] Trzody owiec, do jednego należące właściciela.

wśród mieszkańców Nowej Zelandyi; mają go za pół-bożka i każdy o nim co chwila wspomina. Właśnie przez cieśninę, nazwiskiem Cook'a mianowaną, przepływa baron Hübner z południowej do północnej wyspy Nowej Zelandyi. Zaraz na wstępie w mieście Wellington, witany jest przez jeneralnego gubernatora i miejscowe władze. Sir William Jervois sam się ofiaruje za przewodnika w zamierzonych po wyspie wycieczkach. Ów przedstawiciel królowej Wiktoryi wszędzie z poszanowaniem i szczerą witany jest życzliwością, bez najmniejszej dysharmonii z powodu malkontentów, których się tu całkiem dopatrzeć nie można. Czyż aż do Nowej Zelandyi popłynąć trzeba, żeby się z tak miłem spotkać zjawiskiem? Jeśli nie statkiem parowym, istnym cudem komfortu i elegancyi, to baron Hübner w towarzystwie gubernatora jeździ faetonem, czwórką ślicznych koni z dwoma pocztylionami ubranymi *à la Longjumeau* i liczną wojskową eskortą. W znaczniejszych miastach, w okamgnieniu do eskorty przyłącza się cały rząd powozów znaczniejszych mieszkańców, oraz mnóstwo jeźdźców i amazonek. W New-Plymouth, chcąc być od całej publiczności dosłyszanym, z kozła faetonu oracyę swoją gubernator wygłasza, zaczynając takową od praktycznego wniosku, aby wszyscy obecni głowy nakryli, co przy wielkim dnia tego upale wdzięcznie przyjętem zostało. Mowa zaś, wywołała prawdziwe okrzyki uniesienia, kończące się zawsze nieuniknionym *„hep! hep! hurrah!“* kubek w kubek jak dawniej bywało w Anglii.

Miasto Wellington, z powodu centralnego położenia, obranem zostało na siedzibę gubernatora i władz rządowych, lecz Auckland jest o wiele dawniejsze, większe, piękniejsze i ludniejsze miasto. Malowniczość krajobrazu, oraz przepych budynków i gmachów tak publicznych jak i prywatnych, robi, no pierwszy rzut oka, niezmierne na przybywających wrażenie. Każdy zaś Aucklandczyk o swem mieście mówi *it is the best of the world*, porównywając go z Genewą, Neapolem, Lizboną i Konstantynopolem. Jest w tym sądzie przesada właściwa młodości, tak narodów jak i ludzi: dopiero gdy do prawdziwej dochodzi (człowiek lub naród) równowagi, przekonywa się ile mu jeszcze do zrobienia pozostaje drogi by do marzonej dojść doskonałości; zawczesne uniesienie lat młodocianych, zmienia się wówczas na gorące przywiązanie do swego gniazda połączone z żądzą, aby to gniazdo stało się z czasem na cały świat

najdoskonalszem. Za namową gubernatora, lecz już nie w jego towarzystwie, wybiera się baron Hübner zwiedzić największą Nowej Zelandyi ciekawość, mianowicie Gejzery czyli gorące źródła; wycieczka męcząca, z różnemi połączona trudnościami, sowicie jednakże wynagrodzonemi, za przybyciem na miejsce. Posuwając się w głąb kraju sama podróż, dla takiego badacza ludzi, była już wielce interesującą przez zetknięcie się z pierwotnymi mieszkańcami Wielkiej Zelandyi, daleko mniej od zwykłych, dzikich plemion barbarzyńskimi. Mieszkają owi, dziś już nieliczni Maori, w oryginalnych, malowniczych domkach, o drewnianych delikatnych ornamentacyach dawny Egipt przypominających. Siedząc na progu domów, nader zgrabnie do snycerskiej zabierają się roboty, zgrabnie i oryginalnie zarazem, obiema bowiem pracują rękami, w każdej z nich osobny trzymając rylec. Przejezdnych witają życzliwie, ale życzliwością *sui generis*, objawiającą się tak przeraźliwemi okrzykami, że się koń barona Hübnera co chwila płoszy. Gejzery są rzeczywiście zadziwiające, lecz tylko na pewną odległość przypatrzyć im się można, tak z nich zieje żar i para; istotny przedsmak Dantejskiego piekła. Gorące te źródła, istne wodne wulkany, nieujęte w kociołki, jak w Karlsbadzie, same sobie, na wszystkie strony wyrabiają szczeliny; war strasznym pędem na prawo i na lewo pędząc, tworzy zwolna małe jeziora gorącej wody; stąpa się wciąż po rozpalonym gruncie przy podziemnym huku, na kształt Wezuwiusza, gdy okolicznym przypomina mieszkańcom, by się na jego srogie przygotowali odwiedziny. Doktorzy z Auckland i Wellington przysyłają do tych źródeł, pacyentów cierpiących na podagrę lub scyatykę, domki wszakże przez tychże zamieszkałe, są tak nędzne i wszelkich pozbawione wygód, że nie bardzo chorych nęcić muszą. Kto wie, może za jakie lat dwadzieścia lub pięćdziesiąt, gdy się Szprudel ostatecznie wyczerpie na kurowaniu chorych (mianowicie: galicyjskich Żydów), nastanie moda jeżdżenia do gorących źródeł w Wakarewarewa; podróż wprawdzie będzie dłuższa i prawdopodobnie kosztowniejsza — jeśli tymczasem balony nie zostaną doprowadzone do zupełnej względem człowieka uległości — wówczas, jazda do Nowej Zelandyi tyle znaczyć będzie, co np. podróż z Krakowa do Wrocławia. Z wyjątkiem dwóch katolickich misyonarzy, anielski swój żywot wśród plemienia Maorich wiodących, żadnego baron Hübner nie spotkał w tych

odległych stronach Europejczyka. Dalsza w głąb kraju podróż odbywa się najprzód łódką zwinnie prującą turkusowe fale Błękitnego jeziora; rudlem kieruje, w różne kolorowe centki na twarzy i rękach pomalowana Maoryanka; na piersiach nosi srebrny medal z wizerunkiem królowej Wiktoryi, odznaczenie to nadane jej zostało przez gubernatora, za uratowanie z narażeniem życia, zbyt śmiałego turysty. Kilka jeszcze zwiedziwszy po drodze, jak na drożdżach wznoszących się miast, jak Oxford, Cambrigde i Hamilton, wraca baron Hübner do Auckland, by się stamtąd do Australii przeprawić, zachowawszy najmilsze wspomnienie z podróży po Nowej Zelandyi, kraju, którego mieszkańcy nie dalej, jak lat temu czterdzieści, ludożerstwem się zabawiali. W Christchurch oglądać można w muzeum tamecznem wielce skomplikowany, niezbyt dawno jeszcze używany instrument, służący do otwierania czaszek ludzkich bez nadwerężenia mózgu, który uchodził za *morceau de Roi;* skąd logicznie wypływa, że w owych czasach, im kto miał mniej mózgu w głowie, tem mu łatwiej przychodziło, nie być wziętym na rożen. Dziś całkiem innego rodzaju grozi mieszkańcom Nowej Zelandyi niebezpieczeństwo, zwłaszcza odkąd odkryto w jakimś dzikim zakątku wyspy, złoty piasek zapowiadający ewentualność kopalni tego kruszcu, nazlatywało się chmarami najgorszego gatunku emigrantów, i owi spokojni, pracowici, angielskiego pochodzenia *farmery i squatter'sy*, ze smutkiem przepowiadają, że następujące po nich pokolenie, zdemokratyzowane i bogactw żądne, w krótkim czasie zniszczy całą ich mozolną, uczciwą pracę. Zaledwo od roku 1814 przez rząd angielski w posiadanie wzięta Nowa Zelandya, tak szybko postąpiła po szczeblach do postępu prowadzących, że obecnie ma swój autonomiczny rząd, swoje dwie Izby (w niższej zasiada mnóstwo na różne kolory centkowanych obywateli *du cru*) i jedynie przez urzędowanie jeneralnego gubernatora, z ramienia królowej przysyłanego, połączeni są z rządem Wielkiej Brytanii.

Przeprawa z Auckland'u do Melbourne zwykle bywa przykry; tym razem pokazał się nietylko przykry, ale nawet niebezpieczny. Z pomocą dwóch silnych marynarzy, każe się br. Hübner wraz ze stołkiem powrozami do masztu przywiązać, i niemal całą dobę tak przepędza, by tylko uniknąć pobytu w kabinach, przepełnionych chorymi pasażerami, wystraszonemi kobietami i mnóstwem krzykliwych

starszych i młodszych dzieci. W takiem położeniu spędzone dwadzieścia cztery godzin na rozhukanym oceanie, przez człowieka mającego przeszło lat ośmdziesiąt, wzbudza zadziwienie nawet w sercach załogi, do ciągłego niebezpieczeństwa przyzwyczajonej. Nieco łaskawsza a u r a, dozwala parowcowi szczęśliwie wpłynąć do wspaniałej zatoki Melbourne, stołecznego miasta kolonii zwanej Wiktorya. Oto w kilku słowach tej kolonii biografia: Nie dalej jak na początku naszego stulecia, oficer angielskiej marynarki, uderzony niezwykłą pięknością brzegów, dziś przez miasto Melbourne zajętych, wylądowawszy wraz ze szczupłą swą załogą, postawił na prędce dom drewniany, zatknął na nim angielski sztandar i zatokę szumnem mianem Port-Philippe ochrzcił. W kilka lat później (1827 r.) kolega owego oficera, już z żoną i dziećmi przybywszy, dom zajmuje i kilka mniejszych stawia budynków; ziemia żyzna, niemal bez uprawy świetny plon wydaje i nowych przynęca przybyszów. Z rzadka gdzieniegdzie rozsiane plemiona krajowców, łagodnością i różnemi ofiarowanemi świecidełkami ująć się dają, i w zgodzie z kolonistami żyją. Za ministerstwa lorda Melbourne (1836r.), pierwszy wyższej rangi angielski urzędnik, w imieniu Korony angielskiej, całą Australię, której zaledwo tysiączna część kolonistom znaną była, w posiadanie bierze. Jakżeż skromny początek anneksyi do Wielkiej Brytanii obszaru ziemi, może jakie dziesięć razy, jeśli nie więcej, od Anglii, Szkocyi i Irlandyi większego! Również skromny początek miasta Melbourne, dziś przeszło dwakroć sto tysięcy mieszkańców liczącego: Kilka drewnianych domów, kościołek, kilkanaście rodzin odważnych, energicznych, pracowitych. *Elle tour est fart!* Ze wszechmiar owocodajna ziemia nowej kolonii, gdy w niej jeszcze roku 1851 znaczne odkryto kopalnie złota, *Wictoria Felix* przezwaną została; lecz w krótkim stosunkowo przeciągu czasu przekonać się miano, że nowe to źródło bogactw, jeśli finansowo znaczenie kolonii podniosło, to moralnie i socyalnie wielką mieszkańcom krzywdę przynieść miało i dotąd przynosi. *Mining is a curse,* mówi do barona Hübnera, jeden z zamożniejszych obywateli Melbourne, podzielając w tem bolesne doświadczenie misyonarzy, którym nigdzie tak trudno nie przychodzi powołanie swoje wypełniać, jak w okolicach kopalń złota, srebra lub drogich kamieni. „Sama przyroda jest „jakby złej wiary, pisze br. Hübner: omamia, zawodzi, psuje czło-

„wieka; ciężkiej rąk jego pracy urąga, pracę ową najczęściej „w igrzysko ślepego losu zamieniając; po krótkim wśród kopalni „pobycie, każde słowo górnika staje się kłamstwem“. Ludzie tam żyją zawiścią, pragnąc jedynie krzywdy bliźniego; nigdzie też tyle nie popełnia się zbrodni, co między górnikami w kopalniach kruszcu pracującymi.

Z okien pałacu gubernatora, gdzie wspaniale jest ugoszczony, podziwia baron Hübner to potężne, bogate a tak jeszcze młode miasto. Na co się u nas w Europie składają wieki, na drugiej półkuli ziemi starczy ludziom lat kilka, bodaj czy nie miesięcy, by ten sam osiągnąć rezultat, i to budując nie byle jak, ku najszybszemu użytkowi, nakształt naszych dzisiejszych karcianych domów, ale silne, starannie ukończone, nieraz gustowne nawet, a zawsze praktyczne i wygodne kamienice. Nad tem miastem, tak często dla żądzy złota o zbawieniu zapominającem, wznosi się i góruje ogromny kościół katolicki, prawdziwa katedra dla wiernych, rok rocznie wzmagających się liczbą, jeśli nie zawsze gorliwością w uczęszczaniu na nabożeństwa. Na oficyalne bale w *Government-House*, każdy obywatel ma prawo uczęszczać, a gubernator ma prawo każdego zaprosić; sala balowa ma też ośmnaście stóp długości więcej od wielkiej, recepcyjnej sali królowej Wiktoryi w *Buckingham Palace*. Klimat tej części Australii niezbyt przyjemny; zmiany z gorąca na zimno tak nagłe i nieprzewidziane, że się nie zawsze ma czas w cieplejsze zaopatrzyć okrycie. Wprawdzie natrafił br. Hübner na miesiąc maj, to jest na początek australskiej zimy, bo tam właśnie ludzie w palce chuchają, gdy u nas w najlepsze słowiki nucą, ciesząc się pierwszemi ciepłemi promieniami słońca. Melbourne połączone jest koleją żelazną ze stołecznem miastem Nowej Walii Sydney; pięćset ośmdziesiąt mil angielskich leci się na złamanie karku, po trzydzieści mil na godzinę.

Brzegi Nowej-Walii pierwszy odkrył roku 1661, Portugalczyk Manuel Godenho; w kilka lat później, Holenderczyk Tasman wylądował na jednej z wysp Australskich, nazwisko jego do dziś dnia noszącej, lecz tak Nowa-Walia, jak wszystkie znaczniejsze w Australii miejscowości, kapitanowi Cook prawdziwie istnienie swoje zawdzięczają. Ten to dzielny kuli ziemskiej badacz, odkrywszy i na rzecz Korony angielskiej Nową Zelandyę zająwszy, wylądował

roku 1770 w Botany-Bay i ostatecznie ogłosił całą Australię, może z jakie dziesięć razy od Wielkiej Brytanii większą, za własność Anglii. Odtąd sztandar Angielski powiewa nad ogromnym, do dziś dnia jeszcze nie całkiem znanym obszarze ziemi, w łonie swem lub na powierzchni wszystkie zawierającym bogactwa, od kopalń miedzi, srebra, złota, do najżyzniejszego gruntu pod uprawę pszenicy i lnu, wspaniałych pastwisk, na których pasą się tysiące sztuk bydła i koni i miliony owiec wszelkiego gatunku. W ostatnich latach przeszłego wieku, rząd angielski zatokę Botany-Bay obrał za przystań poprawczą dla zbrodniarzy, których coraz to wzmagającą się liczbę Anglia już u siebie bezpiecznie pomieścić nie mogła. Dla opłakanych swych skutków, system deportacyjny z biegiem czasu całkiem zniesiony został, srogie atoli i długotrwałe pozostawiwszy po sobie ślady. Dziś jeszcze, po latach trzydziestu od zwinięcia zakładu w Botany-Bay, mieszkańcy Sidney i całego wybrzeża Nowej-Walii mówili br. Hübnerowi: „Jest to dotąd nie za„bliźniona u nas rana; samo wspomnienie złoczyńców z Botany„Bay dreszczem nas dziś jeszcze przejmuje. Synowie i wnuki tych „straszliwych ludzi, ciężko do dziś dnia, najczęściej niewinnie za „zbrodnie ojców pokutują“.

Pod rządem angielskim będąca Australia, nie licząc niezbadanych dotąd przez Europejczyków okolic, składa się obecnie z sześciu ogromnych, całkiem od siebie niezawisłych kolonij, mianowicie: Nowej-Walii, Wiktoryi, Queensland, Australii południowej, Australii zachodniej i Australii północnej. Każda z tych kolonij ma dziś już mniej więcej wspaniałe stołeczne miasto i rezydującego w nim jeneralnego gubernatora, z ręki monarchini przysłanego. Prócz tego, liczą się trzy główne wyspy, każda z nich za duże państwo uchodzić mogąca. Wyspy te są: Tasmania, Nowa-Zelandya i Nowa-Gwinea. Tyle, co do eksplorowanych części tego kolonialnego świata. Lecz nie zawadzi może dodać, że tych sześć wspaniałych, ludzką pracą, przemysłem i przedsiębiorczością ucywilizowanych angielskich kolonij, zaledwo dziesiątą część stanowi Australii. Co się tam święci poza temi niebotycznemi górami, poza temi dziewiczemi lasami, których końca oko ludzkie nie dojrzy? jakiego rodzaju żyją tam plemiona? ile się w tej nieznanej ziemi bogactw marnuje? Wielkie to są tajemnice, które prawdopodobnie niejedną wyobraźnię nęcić będą, nie

jednemu awanturniczemu podróżnikowi spać w nocy nie dadzą. Całkiem się rzecz ma inaczej z Nową-Zelandyą. Jest ona wprawdzie znacznie od Australii mniejszą, ale za to, kolonista, jeśli całego kraju nie zdołał dotąd uprawić, to go cały ma w posiadaniu, żadnej od tybulców, w małej już dziś będących liczbie, nie obawiając się zasadzki.

Na wyniosłej płaszczyźnie, jakby po ogromnych schodach spuszczając się zwolna aż nad brzeg oceanu, przedstawia się Sidney, jedno z najpiękniejszych miast nowego świata; na otaczających pagórkach istny rój ślicznych w i l z pomiędzy drzew, krzewów i kwiatów do przechodnia się uśmiecha; pagórki te oraz w i l e, na tak niezmierny rozciągają się obszar, że na pierwszy rzut oka zdaje się, jakoby miasto bez granic w nieskończoność się ciągnęło. Sam baron Hübner, wielki świata wschodniego znawca i czciciel, przyznaje, że mu Sidney przypomina Bosfor i wjazd do Konstantynopola. Odmiennie od wszystkich niemal miast Australii, Sidney nie ma w sobie nic amerykańskiego; jest czysto angielskiem miastem, z mnóstwem wspaniałych budynków w stylu królowej Elżbiety. Kościoły, Uniwersytet, *Government-House*, Ministerya, mnogo domów prywatnych, śmiało współzawodniczyć mogą z głównemi w Europie miastami. Elektryczna latarnia morska, kosztem trzydziestu tysięcy funtów szterlingów wzniesiona (360.000 reńskich) takie na całą okolicę rzuca światło, że na odległość dziesięciu angielskich mil, wyraźnie drzwi i okna każdego domu gołem okiem dojrzeć można. Na uczczenie znakomitego gościa, gubernator Nowej-Walii, Lord Augustus Loftus urządza *a garden party*, na londyński sposób; przepych australskiej przyrody, ze zbytkiem angielskim połączony, piękność i elegancya *de bon ton* kobiet, całkiem dla Europejczyka niespodziewana umysłowa dystynkcya mężczyzn, przy dziwnie jasnym, trzeźwym sądzie o ludziach i rzeczach, wszystko razem doprowadza barona Hübnera do zapytania siebie samego, czy czasem świat ten nowy, tak pełen żywotności i energii, od naszego starego świata, nie lepszy? Niemal więc pod wszystkiemi względami jest Sidney godnem naśladowania miastem, a zwłaszcza na największe zasługuje podziwienie, gdy się wspomni, że cała kolonia Nowej-Walii nie liczy stu lat istnienia, że zaledwo czterdzieści lat temu oswobodzona została od srogiej plagi obecności kryminalistów

w Botany-Bay, i że koniec końcem, białych mieszkańców jest tylko ośm kroć sto tysięcy na całym obszarze stałego lądu (czwarta część ludności samego Londynu), gdy o ilości australskich krajowców, nikt dotąd najmniejszego nie ma wyobrażenia. Groźna ta, bądź co bądź niewiadomość, mniej może groźna atoli od kwestyi socyalnej coraz silniejszego nabierającej w zajętych koloniach znaczenia, ochładza po trochu uniesienie barona Hübnera dla Australii i jej mieszkańców. Bywają tam kolosalne strejki nietylko między robotnikami wszelkich rzemiosł, ale i między służbą w znaczniejszych prywatnych domach. Parę miesięcy przed przybyciem barona Hübnera do Australii, u jednego z najbogatszych bankierów w Sidney, w chwili gdy na ogromnym balu goście udać się mieli do sali jadalnej, gdzie na ośmset osób nakryte było, cała służba męska i żeńska zmówiwszy się, cichaczem dom opuściła. Każda z naszych europejskich pań, byłaby w obec takiej domowej katastrofy głowę straciła. Nasza Australka, do walki z nieprzewidzianemi trudnościami życia przywykła, biegnie czemprędzej do obecnego na balu admirała, prosząc go o radę, ewentualnie, o pomoc. Admirał telefonuje do swych podwładnych i w przeciągu niespełna godziny, otwierają się podwoje do sali jadalnej, w której czterdziestu marynarzy *en grande tenue*, sprytnie, zwinnie i bez hałasu, służbę przy kolacyi odbywa.

Najmłodsza z sześciu australskich kolonij na stałym lądzie, Queensland, wraz ze swem stołecznem miastem Brisbaine, robi wrażenie młodego człowieka jeszcze nie całkiem doświadczonego, lecz obdarzonego wielką energią i siłą żywotną, oraz stałem przedsięwzięciem skorzystania z obojga, by daleko dojść; i że dojdzie — rzecz więcej niż pewna. Queensland, najpiękniejsze z całej Australii posiada pastwiska; chów bydła, koni i owiec stanowi jej bogactwo i gdyby nie brak wody utrudniający posuwanie się w głąb kraju, bogactwo to i przytem coraz to większe zajmowanie gruntu wzmagałoby się z dnia na dzień. Mniej dotąd od innych zaludniona, kolonia Queensland'u wszelkie zaprowadza ułatwienia, by jak najwięcej przynęcić emigrantów i emigrantek. Raz na miesiąc przypływa do Brisbaine statek zawierający najbardziej upragniony, aczkolwiek kruchy nieraz ładunek, mianowicie: całą prowizyę dziewcząt między piętnastym a dwudziestym-piątym rokiem życia, od pedagogi-

cznemi dyplomami zaopatrzonej guwernantki, do prostej kucharki, lub posługaczki. Koszta podróży płaci rząd kolonialny, oraz dwa funty szterlingi (25 zlr.) na wyekwipowanie się dla każdej dziewczyny. W zamian wszakże żąda najdokładniejszych, najlepszych świadectw uczciwości i moralności, oraz bezwzględnego poddania się, w ciągu nieraz długiej morskiej podróży, autokratycznemu dozorowi zaufania godnej matrony, która z pomocą dwóch jeszcze dodanych sobie kobiet, młody ten zastęp w karbach ostrej dyscypliny trzyma. Nikomu z załogi ani z pasażerów, nie wyjąwszy najbliższych krewnych, nie wolno zbliżyć się lub przemówić do tych panienek, zupełnie od reszty podróżnych odgrodzonych. Przybywszy do Brisbaine, każda z nowo przybyłych, za pomocą bardzo sumiennej agencyi, opatrzona bywa w mgnieniu oka w stosowne do jej zdolności miejsce, a w bardzo krótkim zwykle czasie, zmienia trudne nieraz położenie, na niezależną pozycyę mężatki. Matrony, którym powierzona jest opieka nad dziewczętami w czasie podróży, sowicie bywają za trudy wynagradzane: otrzymują bowiem po pięćdziesiąt funtów szterlingów (625 zlr.) za każdą taką podróż.

Mając jeszcze zamiar zwiedzić cały olbrzymi zachodnio-indyjski świat i wrócić do Europy przez Amazonkę północną, zawadziwszy po drodze o główniejsze wyspy Oceanii, nie mógł baron Hübner więcej czasu poświęcić Australii. I w reszcie ludność, obyczaje, płody i bogactwa tych angielskich kolonij, nie dosyć się od siebie różnią, by każda z nich na bardziej wyczerpujący zasługiwała opis. Inaczej by się rzecz miała, gdyby głąb kraju australskiego przystępnym już był; gdyby się, bez narażenia życia zetknąć można z owemi dzikiemi krwiożerczemi plemionami, nie przyjmującemi zgoła nic z naszej cywilizacyi, prócz broni palnej — tę przyswoili sobie zupełnie i prawdopodobnie idąc w tem za przykładem najoświeceńszych ludów naszego starego świata, starać się będą, owe śmierć zadające narzędzia, do coraz większej doprowadzać doskonałości. Pod tym więc względem, nie będzie miało barbarzyństwo, nic do pozazdroszczenia cywilizacyi; i jedni i drudzy coraz ś w i e t n i e j śmierć bliźniemu zadawać będą. Jest to punkt kulminacyjny dzisiejszego postępu!

Przed samym wyjazdem z Sidney, zażądawszy od jednego z wyższych urzędników, krótkiego streszczenia politycznych uczuć

mieszkańców Australii, taką baron Hübner otrzymał w kilku słowach odpowiedź: „Kolonie są lojalne względem korony; jest to „uczucie rzetelne i szczere, aczkolwiek na interesie oparte. Przy„bywszy do zamorskich naszych posiadłości, emigranci angielscy „nie prędko, czasem do samej śmierci nie zapominają o ojczystej „ziemi, miłość dla niej w serca synów i wnuków przelewają. Za„chowuje się tym sposobem z pokolenia na pokolenie w porządnych „rodzinach, poczucie patryotyzmu i obowiązku względem tronu. „*Farmer* zwłaszcza i *squatter*, żyjąc w bezpośredniem zetknięciu „z chlebodajną ziemią i złotodajnemi trzodami, daleko od miasta, „w ciągłej pracy i pod wpływem zdrowych, rodzinnych uczuć, naj„lepszy tworzą socyalny element w społeczeństwie kolonialnem. „Gdyby ten jedynie element tam istniał, byłaby Australia nietylko „najbogatszym, ale i najlepszym na świecie krajem. Na nieszczęście, „odkrycie min złota ściąga coraz więcej emigrantów, w sercu któ„rych sam widok kruszcu budzi uczucia zawiści i namiętną żądzę „wzbogacania się czemprędzej, najczęściej kosztem pomyślności „bliźniego, nieraz i kosztem jego życia. Druga ujemna strona egzy„stencyi kolonistów australskich, jest sąsiedztwo francuskich zakła„dów karnych Nowej Kaledonii. Jak ongi zbiegi z Botany-Bay, „tak dziś francuscy kryminaliści, którym się uda ujść uwagi do„zorców, wylądowawszy w Australii roznoszą po kraju zepsucie, „ciągnąc za sobą z dnia na dzień zwiększający się szereg zbrodni „wszelkiego rodzaju. Stąd asumpt biorąc, natarczywie upominają „się koloniści australscy u rządu w Londynie, aby Anglia żadnemu „obcemu mocarstwu nie dozwoliła zajmować wybrzeża Nowej Gwinei „lub wyspy Hybrydy". Sprawa, o której wspominał wówczas urzędnik rządowy z Sidney, stała się odtąd *une brulante actualité*.

Podróż z Australii ku Indyom, okazuje się nieraz uciążliwą; parowiec *Duranda* ani zbyt obszerny, ani zbyt wygodny, a zbliżając się do równika, promienie słońca coraz stają się dokuczliwsze. Minąwszy kilka mniejszych wysp, z których zaledwo jedna na osobną zasługuje wzmiankę, *Thursday Island*, z powodu poławiających się tam wspaniałych pereł, dostaje się baron Hübner na fale Oceanu Indyjskiego, płynąc ku owej British India, największą siłę Anglii pod względem politycznym, przemysłowym i finansowym stanowią-

cej, ale i pod względem moralnym, bo czyż nie na sile moralnej i na dobrodziejstwach prawdziwej cywilizacyi, opiera się ta garstka ludzi obcej narodowości, milionami krajowców nietylko władająca, ale tychże krajowców używająca ku własnej i angielskiego rządu obronie. Jest to niezaprzeczenie największe naszych czasów zwycięstwo rozumnej, energicznej, ale zawsze wyrozumiałej władzy mniejszości, nad potęgą ogromnej większości, nieco ciemnych mas. Zwycięstwo jakości nad ilością. (C. d. n.)

A. M. L.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY.

(Ciąg dalszy.)

Zdania nowoczesnych filozofów o religii i wierze. — Hartmann. — Schoppenhauer. — Nowoczesna masonerya. — Pozytywizm; John Mill, August Comte, Ernest Laas. — Materyalizm. — Panteizm. — Kant.

Poznaliśmy czem jest religia, czem jest religijna wiara, i to na mocy danych zdrowego rozumu, a w tem poznaniu znaleźliśmy się w zupełnej zgodzie z nauką wiekotrwałej filozofii katolickiej. Teraz czas zapoznać się z koryfeuszami nowoczesnej filozofii, i zapytać się ich, co o religii i o wierze twierdzą. Odpowiedzi, które od nich otrzymamy, tak wielkiej są wagi i ceny, że same powinny wystarczyć każdemu, co jeszcze szanuje własny swój rozum, aby się odwrócić od tej wstrętnej mądrości. Zacznijmy nasz przegląd od najnowszych, u których tyle sławiony postęp teraźniejszej filozofii najszlachetniejsze miał wydać owoce, a najprzód od filozofa „Nieświadomego.“

Hartmann zapewnia nas przedewszystkiem, że religia jest „uczuciem“. „Funkcyi religijnej trzeba szukać w religijnem uczuciu. „W uczuciu mieści się właściwe religii życie. Wszystkie istotne „pierwiastki *(wesentliche Elemente)* religijnego procesu są uczuciami. „Uczucie określa tak wyobraźnię religijnych stosunków jak i prak„tyczne moralne ich wnioski“ [1]. Uczucie to nazywa nasz filozof m i s t y c z n e m. Mistyczne uczucie jest pierwszem i ostatniem źródłem wszelkiej religii; jak estetyczne — wszelkiej sztuki. Dlaczego mistyczne? To Hartmann z a p o m n i a ł nam wyjaśnić [2]. Albo czy to ma

[1] Hartmann. Die Religion des Geistes.

[2] Ibid. str. 45.

być wyjaśnienie, co dalej mówi? „Mistyczne uczucie jest ze wszystkich najwięcej niejasnem i niewyraźnem. Wszystkie uczucia nie dają się żadnym sposobem wypowiedzieć, wytłumaczyć, ale najmniej mistyczne uczucie. Kto się w swoje mistyczne religijne uczucie zagłębia, wgląda niejako w ciemną otchłań, w której nic nie zdoła spostrzedz, rozpoznać, albo innemi słowy, wgląda w przerażającą jasność absolutnego światła, która go olśniewa. To mistyczne poczucie siebie, jest świadome że wszystkie religijne prawdy w sobie obejmuje, a w tej świadomości wcale się nie myli“ [1]. Czy to nie cudowna rzecz to uczucie? Nic się w niem nie widzi, nic się nie poznaje i nie rozpoznaje, a przecież wszelką obejmuje prawdę religijną! Obnażmy te słowa z ich filozoficznego poloru, a zobaczymy bezbożne „Credo“ ateusza. Ileż to bowiem prawd może obejmować owo uczucie, w którem nic się nie spostrzega? Zgoła żadnej nie obejmuje, a zatem religia jest wszelkiej prawdy pozbawiona. Lecz mniejsza o to, idźmy dalej za naszym filozofem. Cóż jest przedmiotem tego mistycznego uczucia? Według Hartmanna przedmiotem tym jest jakaś wyższość nad sobą. A ponieważ taką wyższość nad sobą i zwierzę czuje, dlatego i zwierzę ma swoją religię. „Musimy koniecznie stosunkowi między najmądrzejszemi zwierzętami domowemi i panami ich przypisać religijny charakter, który tem jaśniej występuje, im bardziej zwierzę jest przejęte intelektualną i moralną przewagą swego pana. Kiedy w nim pod każdym względem wyższą widzi istotę, kiedy nieograniczone swoje zaufanie pokłada nietylko w jego sile i mocy, ale też w jego sprawiedliwości i dobroci, a przedewszystkiem w trafności i stosowności jego woli, wtedy łączy się z miłością i wdzięcznością zwierzęcia uszanowanie wznoszące się aż do uwielbienia, podła bojaźń przed przeważającą jego siłą zmienia się w pokorną cześć, przywiązanie płynące z przyzwyczajenia w niezmienne oddanie całej istoty, w wierność aż do śmierci, a przyuczone posłuszeństwo w pobożne poddawanie swej woli“ [2].

Tym sposobem przychodzi zwierzę do swej religii, podobnym przychodzi i człowiek do swojej. Człowiek w naturalnym stanie nieobyty z żadną jeszcze kulturą, zobaczył świat, a olśniewające pię-

---

[1] Hartmann. Die Religion des Geistes str. 45.
[2] Das religiöse Bewustsein str. 6.

kności przyrody i ogromna w niej groza przejęły jego serce, i uczuł nad sobą jakąś mistyczną wyższość, którą Bogiem nazwał, nieświadom wcale treści w tem słowie zawartej. Otóż taką jest geneza pierwszej religii; z niej kolejno wyrósł politeizm, monoteizm i filozoficzny, abstrakcyjny monizm; a nakoniec wyrośnie z niej i religia przyszłości — konkretnym monizmem nazywa ją Hartmann — najprawdziwsza i najdoskonalsza religia, wydoskonalenie ostatnie wszystkich poprzednich. A treścią tej cudownej religii — *risum teneatis amici* — jest ona świadomość, że nieświadome „samoistniejące“ we wszystkich rzeczach jako ogólna ich istota *(Immanenzprincip)*, nieświadomym trybem swego „samozbawczego“ *(autosoterisch)* życia, samo przyjęło na się te różne formy religijne. A co dziwniejsza, kiedy boskiemi czynami i własnościami nadludzkiemi obdarzamy transcendentalne jakie osoby boskie, to wszystko w nas wykonywa samo nieświadome. Ono to tworzy te boskie istoty w naszej wyobraźni, ono je boskiemi przyodziewa przymiotami i boskie ich dzieje nam opowiada. Czy warto zbijać taką filozofię? Nie! to *delirantis somnia!* Ale warto na tę dziwną taktykę zwrócić uwagę: przypisują religię zwierzęciu, aby człowieka z niej wyzuć. Z tego można dalej łatwo wnosić, co Hartmann rozumie, jeżeli poznaniu w wierze przyznaje wielki udział. „Uczucie bowiem nieoparte na poznaniu i na pewnym religijnym poglądzie na świat, musiałoby wkrótce jako mglista mara się rozpłynąć [1]. Zbłądzilibyśmy jednak, gdybyśmy chcieli szukać dlatego poznania Hartmannowskiego jakiejś przedmiotowej podstawy. Nie, takiej nie ma wcale. Czuje człowiek jakąś wyższość nad sobą, a swoją własną od tego mistycznego „coś“ zawisłość; rozum potem tworzy sobie wyobrażenie tego według osobistych poglądów i wymagań swego uczucia. Dla monoteisty to mistyczne „coś“ przybiera kształty jedynego Boga, dla politeisty to samo boskie „coś“ w najróżnorodniejszych się przedstawia postaciach, jestto razem Chronos dzieci pożerający, i Jowisz cudzołożny — razem lubieżna Wenus, i mściwa Juno; a dla Buddysty to „coś“ nawet jest Nirwaną, boskiem „Nic“. A ponieważ według niemieckiego filozofa zasady, wszystkich tych postaci boskich twórcą jest nieświadome; i czyż to istotne bożyszcze Hart-

[1] Religion des Geistes p. 33.

manowskie nie wygląda jak kapryśna dziewczynka, co lalkę swoją w najdziwaczniejszy sposób przystraja według chwilowego humoru. Jakąż wartość może mieć taka religia, taka wiara. Zaprawdę żadnej ani moralnej, ani filozoficznej ceny mieć ona nie może. Sam Hartmann przekonywa nas o tem, kiedy twierdzi, że religia *das vom Jammer zusammengestampfte Herz vor Grauen erstarren, vor Verzweiflung brechen, oder weichlich in Weltschmerz zerfliessen macht* [1].

Otóż moralny wpływ, jaki wywiera Hartmanowska religia: albo straszna rozpacz i otrętwienie serca, albo równie zniewieściały jak niedorzeczny *Weltschmerz*.

Przy takiem wyznaniu, czy to nie gorzka ironia, albo też obłudny frazes, kiedy w innem miejscu tak się wyraża z pochwałą o religii: Wszystko co tylko idealne, cała ofiarność serca dla ideału, wciela się u ludu w religii, ona to jedyna co mu ciągle przed oczy stawia, że jest coś wyższego, że ten świat zmysłowy nie jest końcem i ostatnią rzeczą. A wartość jej filozoficzna w oczach Hartmana daleko niżej stoi; pod tym względem szaleństwem jest, nieszczęściem i nieprzyjaciółką najsroższą wszelkiej władzy. „Gdzie w sercu się pali religijne uczucie w pełnej i niepohamowanej gorącości, tam koniecznie będzie odrzuconą ze wstrętem wiedza [2]. Racya widoczna. Jak tylko religia się puszcza w dziedzinę metafizyki i filozofii, to zaraz wyobrażenia jej przepełnione są sprzecznościami i niedorzecznościami. Pozbawiona wszelkiej krytyki, nie umie rozróżnić obrazu fantastycznego od filozoficznego pojęcia, a zatem przyjmuje za rzeczywistość marę wyobraźni. Wiedza zaś tę słabą jej stronę nielitościwie zawsze odsłania, dlatego ta wieczna nienawiść między religią i wiedzą. Religia będąc uczuciem ciemnem, nie troszczy się zgoła o naukową pewność, nosi ona w sobie swoją własną nieomylność, jest zatem dość silna, aby i ostateczne sprzeczności strawić. Nieraz wprawdzie nauce pozwala wstępu do siebie, ale wtedy zmusza ją do wyszukiwania sofizmów, któremiby mogła pokrywać wszystkie swoje

[1] Par. u. Paral. II. p 626.

[2] Die Selbstzersetzung des Christenthums, p. 72, 73.

wewnętrzne przeciwieństwa. Lecz takie usługiwanie długo trwać nie może [1], a odwieczna wojna z nową zapala się gwałtownością. Zaiste, taką wiarę, taką religię wyznawać — nie tylko bezrozumem jest, ale upodleniem; a wyznanie otwartego ateuszostwa *à la* Strauss daleko szlachetniejszym zdaje się czynem od takiej skrytej bezbożności, której brzydotę Hartmann zasłania frazeologią z chrześcijaństwa zapożyczoną, mówiąc o łasce wiary i odkupieniu, o rozwinięciu i owocach wiary — i z bezbożnością obłudę łącząc.

A jednak Hartmann to najświetniejsza gwiazda na horyzoncie dzisiejszej niemieckiej filozofii. Jakaż więc jego religia? Jeśli go porównamy z mistrzem jego Schoppenhauerem, to ten w obec swego ucznia istnym niedołęgą. Zasady wprawdzie, na których obaj się wspierają, są te same, ten sam też w obu rozpaczny pesymizm; ale widocznie Schoppenhauer wierzy w to, czego się domaga zużyte serce jego, i stawia to *crude* jako filozoficzny dogmat — Hartmann, to demon filozoficzny, oczywiste niedorzeczności otacza całą pełnią szumnych frazesów filozoficznych, i chyba sam śmieje się z tłumów co w tem podziwiają niesłychaną mądrość, i przewrotną naukę bezbożnemi stwierdzają czynami. Zasadnicza myśl filozofii Schoppenhauera tkwi w tem nierozwiązanem pytaniu: skąd i w jakim celu świat ten tak rozlicznem złem napełniony? Każdy śmiertelnik *volens*, *nolens*, ma w tem piekle swą cząstkę; lecz kiedy człowiek oświecony, wśród goryczy ziemskiej niedoli, znajduje ulgę w filozofii, to nieuczony prostaczek szuka pociechy w religii, dobrowolnie przyjmując i wierząc we wszystko, co odpowiada jego nadziejom i życzeniom. Stąd cała istota religii i wiary według Schoppenhauera, nie ma żadnego związku z wymogami wiedzy, i nie jest bynajmniej płodem zdrowego rozumowania. Istotą, źródłem religii jest etyka, tj. moralna jej potrzeba, a szatą jej to dogmatyka teistyczna, tak przeciwna rozumowi. Frauenstädt, wchodząc w myśl mistrza swego twierdzi również, że religia nie ma związku z rozumem i nie ma nic wspólnego z nauką i wiedzą, że jedynem jej zadaniem, to zaspokojenie potrzeb praktycznych. Jeśli temu wymaganiu sprosta, dobrą i sprawiedliwą jest religia, mimo, że umysłowa jej osłona sprzeciwia się jak najbardziej rozumowi

[1] Ibid. p. 18.

i doświadczeniu. Z tego nie trudno zrozumieć, jaką wartość przyznaje religii. „Antagonizm istnieje pomiędzy każdą religią a kulturą [1]. Religia jest jedynie dobrą dla niższych sfer społeczeństwa, dla których niedostępnem jest rozumowanie, a które tylko wierzyć są zdolne, na które, dowody żadnego wpływu nie wywierają, a jedynie powaga ma swój walor. Ludziom wykształconym wystarcza filozofia“ [2]. W łonie każdego człowieka tkwi konieczność, która go popycha do wyjścia po za granice zmysłowego świata, ale Schoppenhauerowi zdaje się, że wszystkie religie nie są zaspokojeniem, ale nadużyciem tej potrzeby [3]. Religia uważana ze stanowiska prawdy przedmiotowej, nie zasługuje na żadne względy, bo czystej prawdy nigdy ona nie zawiera, lecz tylko prawdę w fałsz przyodzianą, bo chociaż z jednej strony treść wszelkiej religii *(Das Kern)*, tj. praktyczna potrzeba moralności w życiu ludzkiem jest prawdą, to z drugiej strony fałszem jest teistyczny dogmat, którym się osłania. Ma więc każda religia jakby podwójne oblicze, jedno prawdziwe, drugie kłamliwe. Jeśli patrzymy na pierwsze, ukochać ją musimy, jeśli spojrzymy na drugie, to musimy koniecznie przeciw niej wrogo wystąpić. Ale mimo to przyjąć ją potrzeba, jak się niezbędne złe znosi, nie wolno jej odrzucać zupełnie i rugować, gdyż konieczną jest ona dla przeważnej części ludzkości, która czystej prawdy pojąć jest niezdolna [4]. Ma religia wprawdzie swą doniosłość, ale jedynie jako wyborny środek do uchronienia zepsutego i dzikiego motłochu. W oczach więc myśliciela jest ona wprawdzie pobożnem, ale zawsze kłamstwem a przeto też jest pogardy godną [5]. Takiego to moralisty gra rolę Schoppenhauer [6]. Jako polityk inną jeszcze wartość religii przyznaje. Dla książąt — P. Bóg służy za postrach, którym kiedy się inne fortele zużyją, wielkie dzieci do łóżka napędzają, i dla tego to ludzie taką czcią Boga otaczać zwykli. Lecz i ta wartość ma się już ku schyłkowi. Dawniej bowiem wiara była jak on las dziewiczy, za

[1] Par. u. Paral. II. Str. 424.
[2] Welt als Wille Vorstellung II. str. 180.
[3] Par. II. str. 384.
[4] Tamże, str. 384.
[5] Tamże, str. 365.
[6] Tamże, str. 369.

którym całe hufce ukryć się mogły — dziś atoli tak się w nim topór rozgospodarował, że tylko liche krzewiny z lasu pozostały, w których się jedynie oszuści chowają.

Taką jest teologia Schoppenhauera o wierze i religii, pojęta ze stanowiska filozoficznego. Jeśli coś w niej jest prawdą, to chyba to jedynie, że Schoppenhauer sam sobie tworzył swoją religię, stosownie do mniemanych potrzeb swojego serca. Dlatego też i wyrokiem samego autora osądzić ją należy, który nie wahał się wyrzec, że religia i wiara co do metafizycznej treści, nie jest prawdą ale fałszem, a co do moralnej wartości nie jest w stanie zadowolnić życzeń i potrzeb ludzkiego serca.

Ale dość nam tej bezreligijnej pesymistów religii wglądnijmy choć trochę do szkoły liberalnych chrześcijan, których przedstawicielem jest nowoczesna masonerya. Szkoła ta opiera się na zasadzie Voltaire'a: że gdyby Boga nawet nie było trzebaby go sobie stworzyć *(inventer)*. Jakże więc ten bóg masoński wygląda? bóg on — to wielki mistrz, wielki budowniczy *der grosse Baumeister;* w tem jednem słowie zamknięta jego istotna działalność, i na tem koniec, bo żelazny porządek natury i wszystkich sił w niej czynnych nie zostawia jego ramieniu szerokiego pola do wolnego działania, we wszystkiem panuje nieugięta konieczność, której i on sam podlega. Nawet i w moralny porządek świata wkraczać on nie może, bo to matka natura fizyczny ustanowiła związek pomiędzy winą i karą. Kto zbytnio i nieroztropnie oddaje się używaniu i zmysłowym roskoszom, traci następnie zdrowie. Kto się porwie na cudzą własność, ten w ścianach kryminału znajdzie tamę swoich wygórowanych żądań; bóg ów obojętnem zupełnie okiem spogląda na życie ludzkie, nie obchodzą go takie drobnostki jak cnoty lub grzechy nasze; owszem on się cieszy, kiedy widzi, że umiemy uciech świata w pełności używać, a z naszych głupstw, serdecznie się śmieje. Czy go czcimy, lub w jaki sposób, o to się zupełnie nie troszczy. Modlić się do niego wolno, ale nie dlatego, żeby istniał jakiś obowiązek, lecz dlatego tylko, że nie raz czujemy do niej pociąg. Modlitwa bowiem pozbawiona jest wszelkiej wartości i służy tylko na zaspokojenie subjektywnych uczuć. Najistotniejszą treścią religii jest miłość cały świat ogarniająca, forma zaś i nazwisko religii jest rzeczą zupełnie obojętną; najstosowniej jednak jest, by każdy tę re-

ligię sobie przyswoił, w której się urodził i wychował. Oto teologia masońska, jak nam ją pastor z Zürychu Lang [1] przedstawia. Jednem słowem jestto indyferentyzm. Dwa tylko dogmaty obejmuje: Boga i nieśmiertelność, ale te dogmaty, są to czyste idee, nie pracy rozumowej, ale nierozumnego uczucia płody. Stąd też i treść tych wyrazów najróżnorodniejsza, zawisła bowiem od stopnia wykształcenia każdego pojedyńczego człowieka. I dlatego inaczej pojmuje swego Allacha Turek, inaczej swego Jehowę Żyd, inaczej Panteista swój absolut, inaczej swego Najwyższego Ducha, Chrześcijanin, chociaż to jeden i ten Sam Bóg i ta sama idea. Podobnież rzecz się ma z nieśmiertelnością. Nieśmiertelność to prawdziwy kameleon przybierający tysiączne barwy wedle zasadniczych pojęć każdego. Dlatego też brat masoński Spis zamyka swoją naukę temi słowy: „Szanujemy każdą indywidualną opinię i każdemu podajemy brater„ską dłoń, nie dbając o to, czy on się modli do Boga, czy do „Sziwy, czy do Allacha“ [2].

Takie sobie pojęcie o Bogu wyrobiwszy, można zatrzymać Boga chrześcijańskiego, można zostać chrześcijaninem, a nawet i katolikiem, ale kościół, wyznanie wiary wedle pojęcia kościoła, modlitwa i życie stosowne do przepisów, są to rzeczy zupełnie podrzędne, owszem to istne absurdum; Bóg jest li tylko ideą prawdy, dobra i piękna, a stopień religijności odpowiada stopniowi zapału jakim jest człowiek przejęty dla tej idei. U takich życie religijne jest życiem w ideale *(Leben im Ideale)* i miłością, ale nie oną w rozumieniu chrześcijańskiem, co się opiera na wierze, ale miłością bez żadnego obowiązku, bez prawdy, bez dogmatu. Sam Hartmann szydzi z tej religii nazywając ją *quabblich* i dosadną krytyką druzgoce całą jej przewrotność: kto całą religię na miłości osadza *(in der Liebe aufgehen lässt)* ten przyznaje, że chce miłością zastąpić religię, nie posiadając wcale prawdziwej i szczerej religii. Miłość może być naturalna a nawet i moralna bez wszelkiego charakteru religijnego. Miłość taką podawać za religię, jestto przeczyć wszelkiej religii i metafizyką ją swoją pokrywać, a moralności wszelką podstawę

---

[1] Die Religion im Zeitalter Darwins. Berlin 1873. Pesch Welträthsel. T. II. S. 508.

[2] Bauhüte 1875 N. 26.

usuwać [1]. Jednem słowem, taka religia jestto wyraz bez treści, poza którem ukrywa się życie bezreligijne, niemoralne i bezbożne.

W ostatnich czasach tak zwany pozytywizm cieszył się bezsprzecznie niezwykłym rozgłosem i powodzeniem, jako główna podstawa oświaty i postępu naukowego. Niepodobna więc go pominąć, ale wypada nam z nim się zaznajomić, by się dowiedzieć, co pozytywiści o Bogu i religii sądzą. Pod nazwą atoli pozytywistów nie rozumiem tych, którzy w istocie są tylko prostymi praktycznymi epikurejczykami, ale tych jedynie, co na jakich takich zasadach tworząc swój system filozoficzny, dowodami starają się go umocnić i utrwalić. Węgielnym kamieniem pozytywizmu jest zasada, że to tylko wartość realną posiada, co podpada pod zmysły, co historya, fizyka, lub historya naturalna stwierdzić zdoła. Takim faktem historycznym, niezaprzeczonym u wszystkich narodów, jest religia, która jak sam Herbert Spencer [2] przyznaje, niezmierny wywierała wpływ w przeszłości, i dziś jeszcze jest walną podstawą niezliczonych urządzeń, ciągłą okazyą do nieustających rozterek, silnym bodźcem do czynów rozmaitych w życiu codziennem. Stąd też niedoskonały byłby każdy system filozofii, któryby nań żadnej nie zwracał uwagi. Religia więc, jako fakt dający się stwierdzić zasługuje na uwagę pozytywistów, ale treść przedmiotowa religii, jako rzecz zmysłom niedostępna, musi być *a limine* odrzuconą z ich szkoły.

Jakież to więc studya u pozytywistów o religii. John Mill pisząc swoje *Essays*, jako filozof utylitarny, korzyść, jaką przynosi religia ma jedynie na oku. Co do wewnętrznej jej wartości, to w pierwszem już *Essays* wypowiada swe zdanie: „Niezaprzeczalny pożytek religii pobudził nasz wiek do usnucia całej tkaniny metafizyki, „tj. nadzmysłowych prawd na cześć i korzyść religii, a na tej to „pracy niewdzięcznej, opłakania godnej, zmarnował się kosztowny „czas i najlepsze siły. Rezultatem po największej części tych badań „był deizm. Lepiej było zamiast tych mozolnych studyów, zbadać „na czem polega istotna użyteczność religii, tak dla całego społeczeństwa, jak i dla pojedyńczego człowieka?“

[1] Selbstzersetzung des Christenthums S. 86.
[2] Grundlagen der Philosophie, Stuttgart 1875, D. 15.

Pierwszem więc zadaniem filozofa jest dojść, do czego religia ma służyć i stosownie do tego celu obmyśleć środki, któremiby ten cel osiągnąć można — lecz nie szukać w religii prawdy i rzeczywistej wiedzy, bo to trud daremny i czysta niedorzeczność.

Korzyść zaś, jaką religia daje, może być socyalną, ale i to nie koniecznie. W ludzkości bowiem tkwi popęd do sprawiedliwości, prawdomówności, dobroczynności, któremu chcąc niechcąc człowiek uledz musi, ale bynajmniej nie jest koniecznem, by to czynił z pobudek religijnych. Wszak w Grecyi kwitła moralność w wysokim stopniu a nie było do tego innych bodźców, tylko naturalne i ziemskie. (?) Tak nasz filozof. Ale dość obejść nasze kryminały, których liczba rośnie w stosunku, w jakim się zmniejsza religijność u ludu, aby wykazać fałsz tego twierdzenia. Tam to można się przekonać, że na tak długo starczą pobudki ziemskie, do wytrwania w przepisach moralności, jak długo nie masz mocniejszych do ich przekroczenia; w tychto razach religii zadaniem jest przez motywa wieczne i nadprzyrodzone uzupełnić i zastąpić pobudki ziemskie — ale gdzie nie ma religii, a silniejszy poryw obudzi się w duszy, tam jak słoma spłoną owe wszystkie zachęty godziwości, honoru i t. d. w silniejszym nad nie ogniu namiętności.

Co do pożytku, jaki odnoszą pojedyńczy ludzie z religii, rzecz się ma następnie. Cały horyzont naszego poznania jest nader szczupły, jest to raczej punkt mikroskopijny, a przecież wkoło nas nieprzejrzana nieskończoność przestrzeni i czasu. Budzi się więc w nas żądza, by przeniknąć, albo przynajmniej zaglądnąć do tej nieznanej krainy, ale ponieważ nie znajdujemy żadnej pewnej i jasnej drogi, przeto imaginacya nasza zaczyna zmyślać i bujać z temi postaciami fantazyi w nieskończoność, skoro zaś przyłączy się pragnienie, żeby im odpowiadała rzeczywistość na drugim świecie — wtedy mamy religię. Każdy życzy sobie i spodziewa się znaleść w drugiem życiu to, czego mu w pierwszem nie dostawało. Otóż to prawdziwa religia — zadowolnienie osobistych żądz i uczuć! Dziwne to zaiste zadowolnienie, łudzeniami umysłu i płochemi tworami fantazyi. Nie trudno też wyjaśnić i treść tej religii utylitarnej. Przedmiotem wszystkich naszych życzeń i marzeń, których pragniemy urzeczywistnienia w życiu przyszłem, jest życie podobne temu ziemskiemu, ale w stanie najwyższej doskonałości, podniesione do ide-

ału, *die Idealisirung unsers irdischen Lebens.* Cześć ludzkości i dążenie do osiągnienia tego ideału — jest treścią religii. Jeśli dla starych Rzymian takim ideałem był Rzym, który ich pobudzał do wielkich czynów i cnót, tak jak Żydów ich Jehowa, czemużby ideał ludzkości *das Ideal der Humanität* nie miał mieć tej samej wartości i siły?!

Tak więc ludzkość zasiada na tronie Boga, albo, co na jedno wychodzi, człowiek zastępuje Boga, wprawdzie nie z całym ogromem swej biedy i nędzy, ale człowiek stojący u szczytu spełnionych swych życzeń i pragnień.

Religia taka musiała znaleść niezliczonych stronników i miała ich rzeczywiście. We Francyi jej głosicielem był August Comte, jako wyćwiczony sofista umie osłonić jej płytkość i niegodziwość płaszczykiem pięknych frazesów z religii katolickiej zapożyczonych Uwielbia on Boga najwyższą istotę — ale to rodzaj ludzki kryje się pod tą nazwą; zdaje się wierzyć w Trójcę Przenajśw. — ale u niego ziemia to drugie bóstwo, a przestrzeń dopełnia tę trójcę. Mówi on o modlitwie, ale pod nią rozumie cześć i uwielbienie postaci, wynalezionych na personifikacye ludzkości. Istnieją u niego i aniołowie stróżowie, ale tym stróżem aniołem — to kobieta jako matka, żona, siostra i t. p.

Zarówno wielkie powodzenie miała ta religia ludzkości w Niemczech. W skromniejszej jednak postaci występuje ona tutaj, jestto poprostu troska i trud o lepszy byt fizyczny całego rodzaju ludzkiego. W religii tej nie potrzebna zgoła nauka jakaś nadzmysłowa *übersinnliche,* ale wystarczają ideały i silne motywa, z którychbyśmy w działaniu czerpać mogli odwagę, świeżość i uciechę. Do tego celu służyć może komuś idea Boga i jego dobrotliwej a wszechmocnej opatrzności nad człowiekiem, przekonanie o Jego miłości ku ludziom, o życiu wiecznem człowieka, o wiecznej nagrodzie lub karze, ale wszystkie te idee i przekonania jak nie posiadają przedmiotowej prawdy, tak też nie wchodzą w treść religii, a stąd nie są konieczne. Może istnieć prawdziwa, szczera i czynna pobożność, bez tych wszystkich idej, które koniec końcem nie są czem innem jak tylko iluzyą. Szlachetny umysł obejdzie się bez tych wszystkich pozaświatowych i niedościgłych prawd wiecznych, przestając na tej ziemskiej wieczności tj. na nieustannym bycie rodu ludz-

kiego; nie wzdychając za radością wieczną, zadowalnia się tą kroplą szczęścia, co z dobrobytu ludzkości nań spływa; nie mierzy wartości rzeczy nadnaturalną wagą, ale ocenia je wedle tej uciechy, jaką każda rzecz mu sprawia bez uszczerbku szczęścia drugich. Takto człowiek — prawdziwym Bogiem, a państwo, któreby takich posiadało obywateli, byłoby istotnie *civitas Dei*. I nie ma potrzeby modlić się, żeby to królestwo przyszło, ale tylko działać, żeby się na ziemi rozpoczęło.

Taką jest nauka Ernesta Laas'a [1]. Oczywista, że taka religia jak nie ma żadnego fundamentu, tak też nie ma i siły moralnej, któraby mogła człowieka umocnić w nieustannej walce z namiętnościami. Cała ta religia dla katedry niemieckiego filozofa stworzona; ale dla człowieka zmuszonego toczyć codzienną walkę — jest mieczem bez klingi, dzidą bez grotu.

Kiedy John Mill niski utylitaryzm podniósł do godności religii a socyaliści niemieccy układając swe zasady rewolucyjne w system filozoficzny, wspierali na *altruizmie* tj. dobru społecznem, to Herbert Spencer inny nadał kierunek pozytywizmowi — kierunek sceptycyzmu. Wedle niego religia jest faktem nie dającym się zaprzeczyć, i wywiera w istocie ogromny wpływ na cywilizacye ludów, ale jednak żadnego *Credo* dogmata nie posiadają zupełnej prawdy — lecz małą tylko odrobinę zagrzebaną w stosie sprzecznych błędów. Możemy być pewni powiada, że choć żadna wiara nie jest prawdziwą, przecież każda jest niedoskonałym prawdy obrazem. W każdej mieści się nieco prawdy i nieco fałszu [2]. Ale wyjaśnić co jest prawdą, co fałszem — tego trudu nie zadaje sobie Spencer, nie ma nawet do tego pretensyi, jemu wystarcza, że nas spycha w otchłań nierozwiązalnych wątpliwości. Warto jednak rozpatrzeć się w tej drodze, która go do sceptycyzmu przyprowadza.

Chociaż religia i wiedza w nieustannej zostają walce, przecież jedna i druga musi mieć w ludzkim rozumie prawną podstawę. Co się wiedzy tyczy, o tem nikt nie wątpi; co się tyczy religii rzecz jest widoczna z ogólnego jej przyjęcia u wszystkich ludów. Dalej ostatnią podstawą tak wiedzy jak i religii jest jedna i ta sama

---

[1] Idealistische und positivistische Ethik. Berlin 1882.

[2] Les premiers principes. Trad. franc. p. Gazelly p. 14.

prawda. Bo jeśli jedna i druga w rozumie ma swą podstawę, to przynajmniej w tej ostatniej się zgodzą, a ta jedna wspólna zasada zupełną będzie prawdą [1]. A znaleść tę ostatnią podstawę można na bardzo prostej drodze. Odrzuciwszy wszystkie dogmata rozróżniające religie, pozostanie nam coś wspólnego wszystkim tym religiom, a to właśnie będzie ostatnią podstawą, prawdą istotną religii. Tak przyjdziemy do poznania tej wielkiej i jedynej prawdy religijnej: że świat ze wszystkiem co w sobie mieści i co go otacza jest tajemnicą nierozwiązalną, albo innemi słowy, że ta siła której świat jest wyrazem, dla nas jest zupełnie niedościgłą [2].

To ostateczna podstawa religii we wszystkich formułkach religijnego *Credo*. Ale i wiedza nie ma innej podstawy. Ostatnią bowiem odpowiedzią wszystkich nauk na najwyższe pytania jest stereotypowe wyznanie: to zagadka nierozwiązalna. Na pytanie, co jest czas i przestrzeń, co ruch, czy istnieje ruch absolutny [3], co jest materya, co siła, czem ów podmiot, który myśli — na te wszystkie fundamentalne pytania odpowiada wiedza, że to są zagadki, tajemnice jeszcze niezbadane, a które może i nigdy wyjaśnione nie będą. Tak więc wiedza i religia zgadzają się zupełnie w swej ostatniej podstawie, która jest jedyną nieomylną prawdą [4]. Ale ta prawda jest fundamentem sceptycyzmu. Jakąż bowiem może mieć wartość religia, zbudowana na chwiejnym fundamencie nierozwiązanych wątpliwości? jakiż wpływ na moralne życie, przedewszystkiem w chwilach, kiedy wezbrane namiętności duszą miotają, a gwałtowne pokusy wzrok zdrowego rozumu zaciemniają?! Zaiste, taką religię, jaką Spencer sobie wymyślił, bez skrupułów ze wzgardą odrzucić wolno; lecz oprócz tego — czy ten cały dyskurs filozoficzny, który angielski myśliciel poświęcił swej teoryi, godzien filozofa? Jeśliby ktoś, mając stos monet fałszywych, chciał roz-

[1] Tamże rozdz. I.

[2] Tamże rozdz. II.

[3] Spencer. Ibid. rozdz. III.

[4] Poznajemy że ciało się rusza, jeżeli względem innych ciał otaczających go zajmuje coraz inne położenie. Ruch taki, uważany w stosunku do innych ciał, nazywa się ruchem względnym. A gdyby nie było żadnych innych ciał, tylko to jedno, toby ruchu jego nie można było odnosić do innych ciał i taki ruch nazywałby się bezwzględnym, absolutnym.

poznać prawdziwą, a na to tę otrzymał mądrą radę: odrzuć wszystkie, które się między sobą różnią, a to co zostanie będzie dobrą, prawdziwą — czyżby nie odrzekł: Przyjacielu szydzisz ze mnie! Niceby mi nie zostało, bo ani jednej nie ma, któraby nie wykluczała drugich. Czy nie jest raczej możliwem, aby jedna z tych monet była prawdziwą a inne fałszywe? A jeśli rozum ludzki nie potrafi rozwiązać niektórych zagadek, czyż Bóg w swej wszechwiedzy nie może na nie dać odpowiedzi, czy nie może pouczyć człowieka? Czyż religia koniecznie musi być zawarta w ciasnym widnokręgu umysłu ludzkiego — a nie raczej objawieniem Boskiej mądrości!

Lecz dosyć o pozytywizmie. Wartość przedmiotową jego badań o religii można ocenić z tego, cośmy na początku tej rozprawy powiedzieli. Przystąpmy teraz do ojca pozytywizmu; jakie jest jego zdanie o religii? Ojcem tym to stary materyalizm. Pierwsze co odeń usłyszymy, to: że religia jest rzeczą uczucia, bez wewnętrznej prawdy, bez celu, bez rzeczywistości przedmiotowej, któraby w jakikolwiek sposób jej dogmatom odpowiadała. Ale z tą nauką często się spotkać można w nowszej filozofii — u materyalistów ma ona cechę odrębną, bo uczucie, którego religia jest owocem, jest li tylko rezultatem działania materyi. Stąd znajdują się też u zwierząt pierwsze początki religii; pies czuje się zawisłym od swego pana, a z wdzięczności jest do niego przywiązanym [1]. Uczucie to skłania człowieka do tworzenia różnych systemów religijnych, między któremi pierwsze zajmują miejsce systemy, zawierające w sobie pojęcia i dogmaty nadzmysłowe. Krytyka materyalistyczna po większej części otwarcie potępia wszystkie te marzenia nadzmysłowe, nic w nich nie znajdując, jak tylko kłamstwa. Wszystko bowiem jest materyą lub ruchem materyi, a ponad to nie masz rzeczywistości. Inni materyaliści nie śmią tak otwarcie występować. U nich te utwory nadzmysłowe są wymaganiem słabej natury ludzkiej, która jeszcze nie dojrzała do zrozumienia czystej prawdy. W ogólnej nawet walce o byt, chrześcijańska religia jest najlepszą, bo dostarcza najlepszej broni człowiekowi do utrzymywania własnego bytu. Rozum filozoficzny dostrzega w niej brak wszelkiej

[1] Zob. Braubach: Religion, Moral u. Philosophie der Darwinischen Artlehre.

prawdy, ale praktyczny rozum widzi jej konieczność przy warunkach teraźniejszego życia [1]. A proces ten umysłowy, szukający dla uczucia odpowiednich pojęć, jak uczy nas Hellwald, jest czystą koniecznością materyi. Jedni bowiem przy tej samej konieczności ruchu mózgowego przychodzą do prawdy, drudzy zaś do kłamstwa i błędu. Otóż szczególnym prądem tej konieczności jest szukanie ideałów, któreby zaspokoić mogły żądania i potrzeby naszej natury, a te ideały treścią są religii [2]. Obowiązkiem atoli filozofii jest niszczyć te ideały, a tym sposobem i religię, wykazując, że wszystkie te zasady moralności, pobożności, cnoty i t. d. są kłamstwem, ale też zarazem obowiązkiem filozofii jest, wszystkich tych błędów wykazywać konieczność [3].

Jedna jest jeszcze klasa materyalistów, którzyby chcieli zupełnie zerwać z wszelką religią, ale natura ich lepsza od ich woli stoi im na przeszkodzie. Nie chcąc uznać Boga najwyższym Panem i swojej od Niego zawisłości, na miejsce Jego stawiają wszechświat rozumny i dobrotliwy, chętnie się uznają od niego zależnymi, u niego szukają zaspokojenia swych pragnień i chęci, jego kochają jako źródło wszelkich dóbr, a jeśli ktoś koniecznie potrzebuje jakiejś nieskończoności nad sobą, to i w świecie znajduje wszechmoc natury i taką wielkość, której ludzki rozum pojąć nie zdoła [4]. Słowem wszechświat wystarcza tym pobożnym nowego zakroju do wszystkiego czego pobożność dawniejsza wymagała. Dodać potrzeba, że ten wszechświat nie może być ożywiony duchem, ani być całością żywą, ale poprostu jest masą materyalnych atomów, powszechnem ciążeniem kierowanych, i rezultatem przypadkowym mechanizmu. Na szczególną uwagę zasługuje argument, którym Strauss dowodzi prawdziwości nowej religii.

Wzięty jest on z nauki lekarskiej a zastosowany *a pari* do obecnej materyi. Jeśli lekarz chce się przekonać, czy w jakim organizmie kryje się jeszcze życie, to zadaje mu dotkliwy ból. Reakcya uczuciem boleści się znamionująca, przekonywa lekarza, że życie jeszcze nie zgasło. Otóż tak samo, powiedz komuś, że świat ze

[1] Gustaw Sägen: Die Darwinische Theorie.
[2] Culturgeschichte, p. 304.
[3] Idem, ibidem p. 569.
[4] Zob. Strauss. Der alte u. neue Glaube.

swą olśniewającą pięknością, ze swemi ponętami i pełnością rozkoszy jest tylko piekłem ludzkiej nędzy i męczarni, a odrazu zobaczysz, jak się obruszy na takie bluźnierstwo, i w jakich wyrazach odeprze twój zarzut. Oto znak nieomylny uwielbienia jego dla świata — objaw jego religii! Jeżeli ten objaw ma być *criterium* religii, to najsprytniejszy *bon vivant*, który może zakosztował wszystkich uciech świata, a zarazem ustrzegł się, żeby nadużyciem się nie zużył, będzie miał najdoskonalszą religię! Sam Hartmann śmieje się z takiej religi i jej zwolenników [1].

Dajmy już pokój materyalizmowi — dla ocenienia go wystarczają dane rysy, a idźmy dalej w rozwinięciu błędnego pojęcia o religii. Cały materyalizm nowszy zawdzięcza swoje istnienie panteizmowi, w rzeczywistości bowiem niczem innem nie jest jak zamaskowanym panteizmem. Kiedy ten jeszcze sądził, że się bez Boga jakiegoś nie obejdzie, nie chcąc uznać Boga osobowego, odrębnego od świata i światem władnącego, cały świat nazwał bogiem. Materyalizm więcej otwarty i szczery skasował Boga, przestając na samym świecie. Czy i panteizm przypuszcza jakąś religię? Jeśli religia w ogóle polega na świadomości albo uczuciu zawisłości, od jakiegoś jestestwa wyższego, wtedy dla panteisty w samem pojęciu religii zawiera się *absurdum*. Skoro bowiem człowiek jest najdoskonalszym objawem albo najwyższym wyrazem owego bytu, który bogiem się nazywa, owszem, skoro sam jest bogiem — jak on się może czuć zawisłym od wyższej jakiejś istoty? Dostrzegł tej niekonsekwencyi Hartmann, i szydząc z niej zarzuca panteizmowi, że zahojnym jest dla swego boga, skoro weń cały byt wciela, nic bowiem wtedy dla człowieka nie zostanie czemby się mógł czuć zawisłym od kogoś wyższego, że tym sposobem niweczy samą możebność religii [2]. Lecz jak obłudnie o Bogu mówią, żadnego Boga nie uznając, tak samo też i o religii się wyrażają, żadnej religii nie mając ani znając. W słowniku panteistów religia jest błogim zachwytem, który dostrzega w różnych istotach świata, objaw jedynego, prawdziwego bytu — tak uczy Fichte, albo według wyroku Hegla, religia, to świadomość człowieka, że w jego duchu boski duch *(absoluter Geist)* się objawia, tj. że duch

[1] Die Selbstzersetzung des Christenthums.

[2] Das religiose Bewustsein der Menschheit p. 364.

jego jest objawem ducha absolutnego, albo — jak znowu Schelling wykłada — religia jest oglądaniem nieskończonego w skończonem, a oglądanie to nie jest, wedle Schleiermachera, p o z n a n i e m umysłowem, lecz należy do uczucia — będąc zjednoczeniem uczucia i oglądania — transcendentalnym aktem świadomości.

Co do wartości religii, sam Fichte wyrokuje, że wpływu uszlachetniającego na życie religia wcale nie posiada — udoskonalenie życia nie jest zadaniem religii, lecz moralności — a moralność nie ma żadnego związku z religią, nieoświecone tylko pospólstwo może szukać w religii motywów do praktycznego życia. W tej samej atmosferze panteizmu obraca się też nowszy protestantyzm. Teologowie i pastorowie należący do niemieckich stowarzyszeń protestanckich *(Protestanten Vereinen)* są bez wyjątku panteistami najczystszej wody, choć zachowują jeszcze o ile możności frazeologię chrześcijańską, aby się nie narazić na utratę swych bogatych prebend. Karol Watke otwarcie wyznaje, że Bóg i świat jednem jest tylko jestestwem — Bóg i człowiek są to dwie strony nierozdzielne tej samej istoty. Świadomość zaś praktyczna tej tożsamości — oto religia. Starodawne pojęcie o Bogu czystem jest marzeniem, choć nieraz pożytecznem dla serca krótkowidzących ludzi. Ta sama zasada jest u wszystkich punktem kardynalnym ich *Credo* — tylko że jedni ubierają ją jeszcze w filozoficzne frazesy, inni porzuciwszy i tę obłudę, jasno i zrozumiale, jak np. Max Stimer twierdzą: że człowiek sam jest swoim bogiem, któremu służyć, którego pragnienia zadawalniać jedynie jest obowiązany, a że wtedy dopiero nastąpi uwolnienie człowieka od jarzma duchowej niewoli, kiedy już żadnej wyższej potęgi nad sobą uznawać nie będzie [1].

Zakończmy już tę naszą wędrówkę, jednemi jeszcze odwiedzinami: Kant ze swoim krytycyzmem jest bezsprzecznie patryarchą nowszej filozofii. Choć on sam daleko wyżej stoi od swoich uczniów, jednak co do religii śmiało rzec można, że jego nauka zawiera w sobie zarodki późniejszych błędów. Rozróżnia on praktyczny rozum od teoretycznego u m u. Ten ostatni żadnego nie posiada poznania nadzmysłowych rzeczy, nieświadom nawet ich istnienia. Wszystkie ideje o Bogu, o moralności i moralnej wolności, nieśmiertelności i t. d.

[1] Zob. Pesch. Welträtsel. B. 2. p. 490 sq.

są prostemi przypuszczeniami rozumu praktycznego, on bowiem tych fikcyj domaga się dla wypełnienia prawa moralnego. Moralne nasze powinności nie dlatego nas obowiązują, że są od Boga nakazane, ale dlatego jedynie przypuszczamy Boga i jego prawodawstwo, że inaczej nie bylibyśmy w stanie wypełnić obowiązków moralnych. Cała więc religia jest fikcyą; i niewiadomo zupełnie, czy odpowiada jej jakaś rzeczywistość, to tylko pewna, że człowiek wiedziony jest koniecznością do uzupełnienia rzeczywistego świata przez świat idealny; i najszlachetniejsze funkcye umysłu w tworzeniu tego nadzmysłowego świata biorą udział; rozum jednak strzedz się powinien, by ich nie poddawać pod sąd surowej nauki, ta bowiem zniszczyłaby wszystkie te śmiałe spekulacye [1] i pokazała, że zmyślenia te nigdy i nigdzie nie były i nie mogą być dowiedzione. Otóż pierwszy krok filozoficznej apostazyi od Boga i od religii. Prawda, że Kant jeszcze uzna pożyteczność i konieczność religii dla moralności, ale następcy jego logiczną koniecznością wiedzeni i te odrzucą. Jeśli Wieland, mówiąc o takiej religii wyrzekł, że czcze marzenie, które mię uszczęśliwia tyle warto, co i prawda, która mię przygniata, *(niederdrüct)* — najlepszy sąd o jej wartości wydał.

Pogląd ten na teorye dzisiejszej filozofii co do religii, wystarczyć powinien aby każdy bezstronny mógł ocenić gdzie jest prawda: czy przy starej katolickiej filozofii, czy w tej nowoczesnej tak sławionej mądrości. Tam, znajdujemy dowiedzioną prawdę i jednomyślne jej uznanie, tu — dziwaczne, różnorodne, sprzeczne ze sobą, i niczem nie poparte twierdzenia; tam pewność posiadania prawdy, tu — rozpacz przy rzekomem jej osiągnięciu, a pomimo tego takie dumne pomiatanie dawną wiarą. Zaiste przeszłość niedowiercza takiej broni nie używała nigdy przeciw wierze, jaką się teraźniejsza filozofia posługuje, a co dziwniejsza, że rości sobie pretensye do nazwy i zaszczytu szczególniejszej oświaty. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

[1] Lange. Geschichte des Materialismus t. II.

STARY RÓD I DOCHOWANE PO NIM PAMIĄTKI.

W ostatnich zeszytach *Przeglądu Powszechnego* z r. b. natrafiamy na ciekawą monografię Adama Kisiela, wojewody kijowskiego. Postać to zaiste wspaniała, bohaterska prawie, z pierwszej połowy XVII. stulecia — jak dąb potężny wyłania się z dziejów ojczystych. Nie powiemy, żeby autor artykułu w *Przeglądzie* nie rozporządzał dostatecznym materyałem naukowym w swej pracy — miał go sporo, a nawet nieznany dotąd testament wojewody Kisiela — dokument rzucający niemałe światło na stanowisko jego polityczne. Wszechstronniej jednak, ujął w ramy bohaterską postać Kisiela ś. p. Julian Bartoszewicz, w życiorysie tegoż drukowanym w *Tygodniku Illustrowanym* z roku 1860 (str. 413, 429, 438). W obydwóch tych pracach, podjętych przez ludzi panujących nad przedmiotem — brak jednakże zupełny wszelkich szczegółów biograficznych, dotyczących wielkiego wodza, szczegółów o życiu jego domowem, o rodzinie jego, która bądź co bądź piastowała jednak pewne historyczne stanowisko, której kolebką był Wołyń — gdzie pozostało dotąd rodzinne ich gniazdo Kisielin, gdzie po dziś dzień dochował się grobowy pomnik wielkiego wodza Adama, a dochował się w cichej, wiejskiej, mało komu znanej ustroni, we wsi Nieskieniczach, należącej do rodzinnych dóbr jego. O tym to zabytku, którego rysunek nawet w swoim czasie podaliśmy, w *Tygodniku Illustrowanym* z roku 1869 Nr. 69, jak również o kilku szczegółach domowych, dotyczących mało nam znanej rodziny Kisielów pomówić postanowiliśmy. Przed dziesięciu jeszcze laty, w domu zmarłego już dzisiaj senatora Franciszka Skibickiego w Warszawie,

spotykałem białowłosego, miłych rysów staruszka — rodzaj domownika, przyjaciela, gospodarza. Był to ostatni z rodu, Maurycy Kisiel, niegdyś sąsiad na Wołyniu, przyjaciel p. Skibickiego, który w lat parę w zupełnem ubóstwie dokonał żywota, a na trumnie osamotnionego starca, łamano herbowne oznaki Kisielów — był bowiem ostatnim z rodu.

Ród to był stary, jeden z starożytniejszych może na Rusi, a w XVII. wieku zwłaszcza, wydał nawet kilku ludzi znakomitych. Kojałowicz, bajeczną legendę przytacza o ich herbie, nadanym jakoby protoplaście Kisielów Świętołdyczowi, wojownikowi za czasów Włodzimierza Wielkiego. To pewna, że gniazdem ich rodzinnem, było miasteczko Kisielin, w dawnych aktach Kisielgrodem nazywane, a położone na dzisiejszym Wołyniu w powiecie Włodzimierskim, zbudowane z drzewa, na wielkich piaskach, w okolicy smutnej i posępnej, kilka włości okolicznych, oddawna już odpadłych, zamykały obręb tego dziedzictwa. Od najdawniejszych czasów trzymali się Kisiele, miejscowego obrządku ruskiego, z ojca na syna, jako wiary swych przodków, i mocno przy nim stali, nawet gdy inne okoliczne rody, zwolna przyjmowały obrządek rzymski. Na początku jednak XVII. wieku, kiedy nowinki religijne, zwłaszcza aryanizm, szerzyć się poczęły w tej zwłaszcza części kraju, przylgnął do nich, jeden z pierwszych, możny ród Kisielów. W miasteczku Kisielinie, rodowem ich gnieździe powstał też zaraz główny zbór, a następnie i szkoła aryańska, wielkiego w owych czasach rozgłosu używająca, zwłaszcza po zniesieniu szkoły w Rakowie, z której wielu uczonych tu się przeniosło; tu zresztą Aryanie kilka synodów swoich odprawili. Ostafi Kisiel, dziedzic tutejszy, posiadający kilka języków, został rządcą tej szkoły około 1625 roku; sam on w niej nauczał, i z gorliwością krzewić to wyznanie w okolicy rozpoczął. Niemcy, jak zawsze chciwi wszelkiej sławy — i tego Kisiela przywłaszczyć sobie usiłowali. Pierwszy podobno zniemczył go Sandius, przezwawszy Eustachym Giseliusem, co też następnie utarło się w świecie naukowym. Pod koniec życia, niewiadomo, czy to z pobudek politycznych, czy może z religijnych, ów Ostafi pozornie powrócił na łono prawosławnego, greckiego kościoła. Cerkiew cieszyła się takim tryumfem, a mając go za najlepszego prawowiercę, wyniosła go na rektora swej szkoły brackiej w Kijowie, lubo jak

się pokazało, nie przestawał on nigdy być zagorzałym aryaninem. Pierwszy tego dostrzegł i błędów kacerstwa dopatrzył dopiero Mohiła arcybiskup kijowski, który wyznanie wiary ułożył i ogłosił. Ostafi Kisiel, dzieło Tomasza à Kempis, „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa", po grecku przełożył i wydał w Frankfurcie nad Odrą 1625 roku. Jego także jest dzieło: Anti-apologia czyli zbijanie Apologii Melecyusza Smotryckiego, z którą się do Rusinów odezwał 1631 roku.

Po śmierci Ostafiego Kisiela, rektorami szkoły Kisielińskiej byli kolejno uczeni aryanie: Ludwik Hollaisen, Piotr Stegman i Teodor Simones, ostatni, autor głośnego dzieła: *De statu et religione Papatus*, wydanego w Leydzie 1638 roku. Czaplicowie objąwszy dziedzictwem miasteczko Kisielin po Kisielach, także w błędach aryańskich pogrążeni, gorliwie przyczyniali się do wzrostu szkoły tutejszej, przy której nawet studyum teologiczne socyniańskie założyli. Prędko jednak miał się skończyć błogi stan Aryanów w Polsce, a więc i szkoły tutejszej, już bowiem w 1684 roku wzbroniono tu nauczać, rozproszono nauczycieli, zbór zaś tutejszy, którego pastorem był naówczas sławny w dziejach aryanizmu polskiego, Jędrzej Wiszowaty, zupełnie zburzono. Wszystko to dopełniono na mocy wyroku wydanego przez trybunał lubelski, który długo jeszcze potem ścigał dziedzica tutejszego Jerzego Czaplica, za danie przytułku w swych dobrach, odsądzonym od czci aryanom rakowskim. Po tej klęsce szkoły Kisielińskiej — miasteczko przyszło do upadku zupełnego, Żydzi osiedlać się tu zaczęli, ale byt mieszkańców upadł zupełnie.

Wkrótce jakoś potem przeszło i miasteczko Kisielin w inne ręce, a w konstytucyi sejmu 1685 r. czytamy: „kościół ze zboru aryańskiego, przez Ur. Stanisława Kowalewskiego Łowczego kijowskiego w Kisielinie zbudowany, dekretami sejmowemi i trybunalskiemi approbowanemi, y w nichże summę z prowizyi należącą, approbujemy". Skąd się wziął w Kisielinie ten Kowalewski? czy był kiedy dziedzicem tej miejscowości? czy tylko ze zbytniej gorliwości, w cudzej majętności, świątynię katolicką wystawił? tego z dokładnością orzec nie podobna; z miejscowych bowiem dokumentów widzimy, że Kisielin od Czapliców przeszedł do Liniewskich. Jakób Czaplic, Kasztelan kijowski, ożeniony był z Liniewską sędzianką

łucką, i fortunę swą w dom Liniewskich przelał. Z tych Maryanna Liniewska, na Liniewie, Szpanowie i Kisielinie dziedziczka, zmarła w 1710 roku, u Jezuitów w Krasnostawie pochowana, z pierwszym swym mężem Abrahamem Gołuchowskim, Podkoniuszym litewskim, w majętności swej Kisielinie, kościół katolicki ze zboru aryańskiego przerobiony, zmurowała i przy nim Karmelitów *antiquae observantiae* fundowała. Taż pani owdowiawszy wyszła powtórnie za Eustachego Grotauza, Kasztelana żmudzkiego.

W roku 1773 dziedzic Kisielina, Dymitr Ledóchowski, Chorążyc łomżyński, otrzymał przywilej od króla na zaprowadzenie w tem miasteczku trzech jarmarków, podług kalendarza ruskiego, a jednego podług kalendarza łacińskiego na N. P. Szkaplerzną. Od Ledóchowskich przeszedł znowu Kisielin do Hulewiczów, którzy do restauracyi tutejszego kościoła wiele się przyczynili, zdobiąc go pięknemi, dotąd tu dochowanemi freskami, następnie do Modzelewskich, a obecnie jest w posiadaniu hr. Emila Olizara z Modzelewską ożenionego. Takie były losy dawnego gniazda Kisielów. Na cmentarzu tutejszym spoczywają zwłoki Generała Ludwika Kropińskiego, powszechnie znanego poety, autora Ludgardy, i żony jego z domu Błędowskiej, zmarłych w sąsiednim stąd, ulubionym swym Woronczynie. Zresztą Kisielin, nad rzeczką Wstochodem położone, prócz wspomnianych tu pamiątek, prócz pałacyku dzisiejszych dziedziców, prócz piasku na ulicach i kupy osiedlonego tu Żydostwa, żadnych już zgoła pamiątek po Kisielach nie posiada — imię nawet założycieli swych zatracił.

O mil dwie od Kisielina i tyleż od powiatowego miasta Włodzimierza odległa, już w pięknej wołyńskiej glebie, choć na pograniczu Polesia położona — leży wieś Nieskienicze, obecnie w posiadaniu p. Leona Modzelewskiego będąca, od wieków zaś, w skład majętności kisielińskiej wchodząca. Nieskienicze były, jak się zdaje, najstarożytniejszą siedzibą rodziny Kisielów — bodaj czy nie gniazdem rodziny. I tak Aleksander Kisiel z kniaziówny Czetwertyńskiej urodzony, zabity został w wojsku króla Władysława Jagiełły, w potrzebie przeciw Swidrygiełłowi. Synowi jego Jagiełło w nagrodę zasług ojcowskich, darował na wieczne czasy dobra Nieskienicze i Dorohinicze, te ostatnie na Ukrainie, w dzisiejszej guberni Kijowskiej położone. To był kamień węgielny, znacznej następnie maję-

tności tej rodziny. W akcie nadawczym, dobra te zwane są Niskinice i Dorohinice. Od czasu tego nadania, dom Kisielów rozdzielił się na dwie gałęzie: wołyńskich i kijowskich — wołyńscy pisali się w dokumentach, na Kisielgrodzie — kijowscy, na Dorohiniczach. Luminarzem w gałęzi wołyńskiej a nawet w imieniu całem, był Adam Kisiel, syn Grzegorza Podstolego włodzimierskiego, a wnuk Gniewosza, dworzanina Zygmunta I. , poległego bohatersko pod Orszą. Bo też niezaprzeczenie, był to jeden ze znakomitszych ludzi swej epoki, tj. w pierwszej połowie XVII. stulecia, znakomity głową i sercem, może nie dość uznany za życia, za to zdobył sobie piękną kartę w historyi tej epoki. Rozpoczął zawód swój publiczny skromnie, bo od podkomorstwa czernichowskiego, następnie z kolei był sędzią generalnym kapturowym w czasie bezkrólewia po Zygmuncie III., jako kasztelan bracławski był naznaczonym do określenia granic między województwem Czernichowskiem a Kijowskiem, następnie postąpił na kasztelanię Kijowską, dalej mianowany wojewodą Bracławskim, aż ostatecznie wojewodą Kijowskim. Jako taki podpisał *pacta conventa* króla Jana Kazimierza. Od najdawniejszych czasów, bo od protoplasty, ród Kisielów, pomimo ruskiego pochodzenia swego, oznaczał się przywiązaniem i wiernością do Polski, dowiódł tego całem swem życiem i Adam. Było jednak zawsze coś, co go ciągnęło do tej Rusi, z której ssał mleko, które w krwi swej odczuwał. Zresztą wspólność wiary, rodowe tradycye, wszystko to żywem tętnem grało w piersi rycerza. Byłto jednak mąż prawy, to też w najszlachetniejszy sposób, te swoje uczucia objawiał. I tak kiedy zatlały pierwsze żarzewia buntu kozackiego, radził on hetmanom, prosił, błagał, ażeby użyto raczej środków łagodności w zażegnaniu burzy, niż miecza, nie usłuchano jednak tej obywatelskiej jego rady. Po klęsce naszego rycerstwa pod Korsuniem, Kisielowi kazano traktować z Chmielnickim o pokój, bo wiedziano, że między kozactwem, imię jego było w najwyższem poszanowaniu, jakkolwiek wiernie i otwarcie służył Polsce. Przyjacielem będąc od serca Jeremiego Wiśniowieckiego, podzielał nie w jednem jego polityczne przekonania, a na zadnieprzu na wspólnej pracy część życia z nim przepędził. Wierny do końca życia wierze przodków, w majętności swej w Nieskieniczach fundował monaster ruski, była to ulubiona jego ustroń, w której często przesiadywał, choć Kisie-

lin był blisko, a na Ukrainie nawet miał dobra Brusiłowskie, od których nawet pisał się z Brusiłowa. W wyprawie brzeskiej, śmierć go zaskoczyła w 1653 roku, skołatanego nie tyle wiekiem jak troską o kraj, nad którym tak ciężkie zawisły chmury. Ciało jego sprowadzono do ulubionych Nieskienicz i tu je pochowano w cerkwi, jego niegdyś fundacyi, w cynowej trumnie, gdzie i dotąd spoczywa. Runęły dokoła wspaniałe murowane gmachy, a skromna drewniana cerkiewka w Nieskieniczach, kędy spoczęły prochy tego dzielnego męża, ostała się dotąd, nietknięta, nienaruszona, w lasach, w cichej ustroni, o której mało kto wie nawet. Pozostał też w niej nawet wcale wspaniały, marmurowy grobowiec, który nad zwłokami męża, wzniosła niepocieszona jego żona Anastazya z Nowosiółek Bohuszewiczówna, który dzisiejsi dziedzice starannie również jak i zgrzybiałą cerkiewkę podtrzymują. Wspaniały ten grobowiec dziwnie odbija przy zbutwiałych ścianach wiejskiej świątyni. Zajmuje on całą jedną ścianę od stropu aż do dołu prawie. W rodzaju framugi, umieszczona tu statua marmurowa, do kolan prawie, wojewody Kisiela, a dokoła niej arabeski tworzą rodzaj ram, ozdobione dokoła godłami rycerskiemi wcale udatnej płaskorzeźby. W górze nad tą figurą wyrzeźbiony herb Kisielów. Pod nią zaś, do samej prawie ziemi, umieszczona marmurowa tablica, z następującym napisem, nie pozbawionym pewnej rzewności:

Synowcu z bratem niedawnoś mogiły
Sypał i matce ze mną mężu miły,
Teraz, niestety! na tom się została,
Bym ci mogiłę samemu sypała.
Mnie kto usypie? — zostałam się sama;
Przecz mnie nie kryje z mężem jedna jama!
Jedno me ciało było z tobą: twoje
Tu leży w grobie. Czemu też nie moje!
Śmierć mię do Ciebie przyjaciela łączy,
Wprzód Cię jak głowę wzięła, na mnie skończy.
Aż wtenczas chyba w mej serdecznej ranie
Ból który cierpię, boleć mnie przestanie.

Dalej idzie nierymowany już napis łaciński, tak brzmiący w tłumaczeniu:

„Przechodniu, stój, czytaj! Ten marmur kryje świetny skład rodu Świętołdów, sławę i podporę państwa — Adama z Brusiłowa Kisiela, poprzednio kasztelana Czernichowskiego i Kijowskiego,

męża w zawodzie wojennym, przezornością, wytrwałością i zwycięstwami za Zygmunta III. pod Chocimem przeciw Turkom, w Prusiech przeciw Szwedom, a za Władysława IV. przeciw Moskwie wsławionego, który jako poseł do państwa Moskiewskiego, przyjął od Cara przysięgę na niezmienność zawartej ugody, księstwo Siewierskie do Królestwa przyłączył, i jako rządca, porządek w onem ze sławą utrzymywał; w kilku wyprawach zbuntowane Kozactwo do złożenia u stóp Jana Kazimierza pokornej uległości zmusił, i gdy w tem mianowicie dziele z usilnością dla dobra publicznego pracował, śmierć przecięła ostatnią nić jego życia w Brzeskiej wyprawie R. P. 1653, w miesiącu maju 3-go dnia. Chciałem abyś wiedział o tem, bądź zdrów! Zapłacz nad stratą tego znakomitego męża, opłakiwanego przeze mnie i godnych współobywateli! Niech ten pomnik będzie wzorem pomnika dla twojego życia".

Trudno zaprawdę o wymowniejszy wyraz hołdu, żalu i zagrobowego uznania, jak ten, który polska niewiasta złożyła na grobowcu znakomitego małżonka, nie masz tu ani śladu panegiryzmu, któregoby się niezawodnie doczekał wielki ów wojownik, gdyby mu przyszło zamknąć powieki w jakie sto lat później. Czas, który wszystko zaciera, wszystko w zapomnienie podaje, nie dochował nam nawet kiedy spoczęła i kędy złożono zwłoki czułej niewiasty, owoc tylko jej przywiązania do męża, owo mauzoleum mężowskie, dochowało nam pamięć Anastazyi z Nowosiółek.

Prócz tej cerkwi w Nieskieniczach i dochowanego w niej pomnika, nie pozostało tu żadnych zresztą pamiątek po Kisielach, zatarł się nawet ślad mieszkalnej siedziby wojewody, który tu przecie przebywać musiał, kiedy aż zwłoki jego tu sprowadzono. Z dziejów nam tylko wiadomo, że wojewoda kijowski, zeszedł ze świata bezpotomnie, a Nieskienicze zarówno jak i inne dobra, prawem spadku objęli po nim Czaplicowie, od tych znowu przejść musiały do Cyrynów, we wspomnianej bowiem cerkiewce za czasu mej tam bytności, znalazłem jeszcze dochowany dokument nadawczy, czyli tak zwaną w języku ówczesnym Prezentę, dziedzica tej włości Franciszka z Łyczkowa Cyryny, sędziego grodzkiego włodzimierskiego, wydaną w r. 1733, z pewnem dla cerkwi tutejszej uposażeniem.

Tadeusz Jerzy Stecki.

NOWOŻYTNY RACYONALIZM BIBLIJNY.

(Dokończenie.)

Założycielem szkoły Tybingskiej był Christian Baur (1792 – 1860) dawny mistrz Straussa, a zwolennik Hegla i Schleiermacher'a. I dawne stosunki i wspólność zasad i tożsamość celu, związały go ze Straussem duchowem pokrewieństwem, ale Strauss rzucił się na chrześcijanizm z zapalczywością awanturnika na nic niezważającego, Baur prowadził wojnę cichą, bardziej dyplomatyczną. Idee Kanta i Schellinga podkopały wcześnie wszelką pozytywną wiarę w młodocianym umyśle Baura; Schleiermacher poddał mu myśl do pierwszego dzieła „Symbolika i mitologia", w którem starał się udowodnić ścisły związek zachodzący między pogaństwem i żydowstwem, a chrześcijaństwem: „Wszystkie religie podają sobie ręce, a Jezus jest tylko głównym dyrektorem chóru". Przez lat kilka błąkał się Baur między różnemi kierunkami; dopiero po wydaniu r. 1835 przez Straussa „Życiu Jezusa", zdecydował się do stanowczego zerwania ze supernaturalizmem. Koło nowego mistrza skupiło się grono uczniów: Zeller, Schwegler, Hilgenfeld, Köstlin, Planck, Ritschl i t. d., a tak słynna Tybingska szkoła istnieć zaczęła.

Jako cel wytknęła sobie nowa szkoła dochodzenie autentyczności wszystkich ewangielij, zbadanie czasu ich powstania, ich charakteru i tendencyi, oraz historyczne studyum nad pochodzeniem i rozwojem dogmatów chrześcijańskich. Baur zmierzał do tego samego celu co Strauss, ale zupełnie inną drogą. Wedle Straussa dzisiejszy chrześcijanizm jest utworem popularnej mitologii — wedle Baura jest on z góry obmyślanem dziełem jednego stronnictwa,

chcącego bądź co bądź zwyciężyć przeciwników, a opinie swe w świat wprowadzić. Nową tę teoryę, mającą być kluczem do zrozumienia całego Nowego Testamentu, oparł Baur na listach św. Pawła [1]. W listach tych, twierdzi Baur, widoczną jest walka dwóch wrogich sobie żywiołów: chrześcijan Judei, a głównie ebionitów — i chrześcijan pogańskiego pochodzenia. Na czele pierwszych stał Piotr z Jakubem i Janem — obrońcą drugich był Paweł. Chrystus był Mesyaszem samego tylko Izraela, chciał zreformować St. Zakon, ale nie myślał go odrzucić. Wyższego celu Chrystus nie miał, o utworzeniu religii powszechnej nawet nie marzył; religia ta zawdzięcza swe istnienie antagonizmowi dwóch stronnictw, walce p e t r y n i z m u z p a u l i n i z m e m. Apostoł narodów prześladowany przez Żydów jerozolimskich, „przez fałszywych braci i szpiegów", potyka się z odwagą zrozpaczonego atlety. W podróżach misyjnych przebiega Helladę i Azyę Mniejszą, dosięga nawet wybrzeży Adryatyku, nawet dalekiej Hiszpanii (τὸ τέρμα τῆς δύσεως) [2], z Jakubem widzi się w Jerozolimie, a w Antyochii „z Piotrem obłudnikiem, hipokrytą". Ale obelgi miotane na nieprzyjaciół, gwałtowność słów i czynów, przyspieszyły jego upadek. Intrygom Piotra i Jakuba udało się wtrącić go do więzienia i w końcu zawlec na drogę O s t y j s k ą... [3]. Lecz duch Pawła nie zginął pod toporem kata, idea jego zroszona potem i krwią odniosła zwycięstwo i natchnęła chrześcijanizm tą niepożytą siłą, która opanowała świat i uczyniła Jezusa Zbawcą całej ziemi. Gdyby przeciwnie udało się było ebionitom udaremnić plany Pawłowe, ów Jezus, ów Bóg chrześcijański pozostałby na zawsze tuzinkowym Mesyaszem żydowskiego pospólstwa.

Stosownie do osnutego przez siebie systematu, podzielił Baur wszystkie pisma N. Testamentu na trzy działy. Pierwszy dział sta-

[1] Das Christenthum und die christliche Kirche der drei ersten Jahrhunderte. 1853.

[2] Cf. Can. Murator. a. 165—175. Wieseler, Theologische Studien. 1856. p. 105. Döllinger, Christenthum und Kirche p. 81.

[3] Zeller, (Vorträge und Abhandlungen geschichtlichen Inhalts. Leipzig 1865 p. 325 sq.) identyfikuje św. Pawła z Szymonem czarnoksiężnikiem, którego Piotr prześladuje i nakoniec w Rzymie modlitwą strąca z powietrza przed tronem Nerona. Cf. O początkach chrześcijaństwa Dra Stef. Pawlickiego str. 176.

nowią księgi napisane z tendencyą paulinistyczną, jako to: listy do Rzymian, do Galatów, dwa listy do Koryntyan a w części Ewangelia św. Łukasza. Do drugiego działu odnoszą się księgi petrynistyczne, skreślone w duchu żydowsko-chrześcijańskim, a więc obok Ewangelii św. Mateusza *evangelia apocrypha:* Hebrajczyków, św. Piotra, Egipcyan i Ebionitów — jako rzekomo najdawniejsze i najwiarogodniejsze pomniki pierwszych czasów chrześcijańskiego kościoła. Trzeci wreszcie dział zajmują pisma bezbarwne, jak Ewangelia św. Marka — niepewnej wiarogodności, *(apocrypha)* jak reszta listów św. Pawła — pisma z wyraźną tendencyą pojednawczą, między któremi najważniejszemi są: Dzieje apostolskie św. Łukasza, listy pasterskie i okólne i pisma Barnaby, Klemensa i Ignacego. Ewangelia św. Jana nie wchodzi tu w rachunek, gdyż zdaniem Baura powstała dopiero około r. 170, i nie tak jest historycznem, jak raczej wyłącznie teologicznem dziełem, wielką syntezą wszystkich nauk pierwszych dwóch wieków: gnostycyzmu i montanizmu zbratanych z katolicyzmem.

Na pierwszy rzut oka uderza, iż Baur zastanawiając się obszernie *ex professo* nad początkami chrześcijaństwa, ledwie słowem o Chrystusie wspomina, a wyznacza mu rolę tak drugorzędną, że to niemal na żart zakrawa. Schwengler prześcignął jeszcze mistrza, i w osobnej nocie ostrzegł czytelnika, że nie przez zapomnienie, ale z umysłu o Chrystusie pisać nie chce. Innym Tybińczykom było tego za wiele; w łonie szkoły zawrzała zacięta walka, a nawet wydana przez Baura w pojednawczym celu Historya Kościoła w pierwszych trzech wiekach nie zdołała zupełnie niesnasek zażegnać. Kilku wprawdzie, ufających ślepo słowu mistrza, cofnęło się z pola, ale inni wyśmiali hegeliańskie pomysły i żargon, a przeczytawszy, iż „istotą chrześcijaństwa jest świadomość zupełnej swej tożsamości z duchem absolutnym, do której umysł ludzki doszedł w Jezusie z Nazaretu“, rozpierzchli się na wszystkie strony, sądząc słusznie, że nad początkami takiego niezrozumiałego i niemożliwego chrześcijaństwa zastanawiać się nie warto. W chwili zgonu Baura (r. 1860) założona przezeń szkoła Tybingska, już od lat trzech należała do historyi.

Niezaprzeczoną zasługą Baura jest, iż historycznemi swemi badaniami zadał cios śmiertelny mitycznej teoryi własnego mistrza

Straussa, podobnie jak poprzednio Eichhorn zwalczył nauczyciela swego Reimarusa, Paulus Eichhorna, Strauss Paulusa. Późniejsi krytycy pomścili Straussa, wykazując jasno, że cały system Baura, *a priori* wedle heglowskich formułek osnuty, jest jednym długim szeregiem sofizmatów i kontradykcyj, skąd wypada, że w ostatecznym rezultacie system Baura i Straussa, ucznia i mistrza, równie są nielogiczne i fałszywe. Ale Strauss nie dał tak łatwo za wygraną. Długi czas wiódł z Tybińczykami zaciętą polemikę w obronie swej teoryi mytu, a gdy ujrzał, iż napróżno się wysila, gdy później energiczny protest, opatrzony 40.000 podpisów odsunął go stanowczo od uniwersyteckiej katedry w Curychu, stracił zimną krew i równie w życiu, jak w nauce puścił się na coraz większe manowce.

W 4-tem wydaniu Życia Jezusa zaprzeczył Strauss wszystkim ustępstwom poczynionym w wydaniu drugiem i trzeciem, obostrzył zarzuty i wnioski, i odrzucił ostatni rozdział o historycznym charakterze Jezusa. Już w roku 1840 wydał Chrześcijańską Dogmatykę (*Die christliche Glaubenslehre in ihrer geschichtlichen Entwickelung und im Kampfe mit der modernen Wissenschaft*). Zasadniczą dążnością tego dzieła jest usunięcie, zdruzgotanie wszelkiego dogmatu. W miejsce Chrystusa staje tu ród ludzki, w miejsce krzyża, sztandar panteizmu. Chrystus wydobyty z mytycznej powłoki ideału — to ludzkość łącząca w sobie istotnie dwie natury, boską i ludzką. Ludzkość jest rzeczywiście Bogiem wcielonym — dzieckiem widzialnej matki natury, i niewidzialnego ojca ducha. Ludzkość czyni niepojęte cuda przez postęp i rozwój nauki owładającej żywiołami; ona umiera i odradzając się, wciąż zmartwychwstaje, ona wstępuje do nieba, wznosi się ponad jednostki i narody. Osobowość Boga, stworzenie z niczego, indywidualna nieśmiertelność duszy, nie zgadza się z wynikami wiedzy, więc wiara w to wszystko jest tylko złudzeniem. Oto treść i wynik Chrześcijańskiej dogmatyki Straussa, która, jak ktoś dowcipnie powiedział, tak podobną jest do dogmatyki, jak cmentarz do miasta.

Odtąd opuścił Strauss na długie lata wyżyny teologii i egzegezy; ożenił się z aktorką, po pięciu latach z nią się rozwiódł; oddawał się polityce i literaturze; aż znowu r. 1864, puścił w obieg nowe bluźnierstwo, które zatytułował: *Leben Jesu für das deutsche*

Volk bearbeitet. Namiętnie napisany ten pamflet przebrzmiał bez większego wrażenia. Ci co czytali dawne Życie Jezusa, poznali odrazu, że Strauss zmienił zupełnie swe przekonania, odstąpił Hegla, a używając tych samych słów, jak np. „myt ewangeliczny“ zupełnie inne podsunął im znaczenie. Chrystus zmartwychwstały i jego ukazywanie się uczniom — to tylko podmiotowe widzenia, hallucynacye zmysłów i wyobraźni. W krytyce ksiąg kanonicznych opierał się teraz Strauss na dowodach i orzeczeniach szkoły Tybingskiej i dochodził ostatecznie do tego rezultatu, że o życiu i czynach Jezusa prawie nic pewnego nie wiemy. Ta właśnie mgła niepewności otacza Chrystusa aureolą majestatu i okazuje postać jego w rozmiarach olbrzyma. „Chrystus, którego uwielbiamy, nie jestto Chrystus rzeczywisty, ale Chrystus idealny, czyli — ludzkość. Odłączyć więc należy Chrystusa idealnego od Chrystusa historycznego, aby religia Chrystusa-Ludzkości stała się religią całego świata“ [1].

Dalszym a ostatnim już etapem na drodze negacyi, była wydana r. 1872, Stara i nowa wiara *(Der alte und der neue Glaube).* Jesteśmyż jeszcze chrześcijanami? woła Strauss, jakby echo niewierzącej ludzkości. Nie — odpowiada sam sobie — racyonalizm Paulusa usunął objawienie, teologia krytyczna zgniotła je i rozbiła w gruzy. Postać Chrystusa stała się czemś tylko problematycznem, a trudno przecież mieć wiarę w problemy. Nauka zrywając z Jezusa płaszcz Bóstwa, którym go przyodziała łatwowierność i zabobon, zniweczyła tem samem cały chrystyanizm.

Mamyż jeszczę religię? pyta dalej. Nie — strach nierozumny stworzył bogów politeizmu — zarozumiałość koczowniczej hordy wymyśliła monoteizm. Astronomia wygnała Boga z gwiazdzistego pałacu — zimna refleksya ogołociła go ze świty aniołów i świętych. Już Kant słusznie zauważył, że w modlitwie wszystko jest rażące. Pocóż się modlić? Wszak poza nami nie masz różnoistnego Boga. Wszechświat, to jedyny byt rzeczywisty a w wszechświecie jedna tylko materya istnieje. Dusza albo jest materyalną, albo nie ma jej wcale. Bo tylko to jest niematerya lnem, co nie istnieje. Nieśmiertelność duszy, nagroda w życiu przyszłem, to chimery wyrafinowa-

[1] W roku 1865 myśl tę rozwinął Strauss w osobnej rozprawie p. t. *Der Christus des Glaubens und der Jesus der Geschichte.*

nego samolubstwa. Świat jest za ciasny, by mógł pomieścić te wszystkie dusze zmarłych. Religijne uczucie żyło w dziecięctwie ludzkości, ale z postępem cywilizacyi malało, jak terytoryum Czerwonoskórców pod napływem Europejczyków. Rozum spełnił swe zadanie względem religii: pokonał ją i zniszczył.

Jak więc należy pojmować świat, jak urządzić życie, jeśli dzieło stworzenia i władza prawa Bożego nad ludźmi żadnej nie mają podstawy? Świat — to zbiorowisko ciał niebieskich o różnych stopniach rozwoju. Jedne rosną, drugie się starzeją, ale w tem zaklętem kole suma zawsze jest jednaka: wszystko się zmienia ale nic nie ginie, wszystko się odświeża, lecz nic nie umiera. Śmierć, którą wszystkie religie chciały uczynić postrachem człowieka, śmierć ta, nie istnieje. Jeśli jestestwo jakie znika z widowni świata, to tylko w tym celu, aby pod innym odrodzić się kształtem.

S t a r a i n o w a w i a r a w przeciągu trzech miesięcy, czterech doczekała się wydań, ale wielki ten odbyt zawdzięczała raczej połechtanej ciekawości, niż rzeczywistemu zajęciu. Poważni uczeni niemieccy, francuscy, angielscy wygwizdali ostatnie to wystąpienie dogorywającego już starca.

Jeśli można co Straussowi za zasługę poczytać, to chyba to jedynie, że zaparłszy się Chrystusa nie stanął w pół drogi, nie cofnął się przed widmem nihilizmu, lecz konsekwentnie doszedłszy do ostatnich granic, wykazał światu dokąd zachodzi, kto chrześcijaninem być przestaje. Mniej miał odwagi liczny zastęp współczesnych i potomnych jego epigonów, których on sam bardzo trafnie nazwał p o ł o w i c z n y m i, *die Halben* [1]. Są to racyonaliści naszych czasów w których napróżno szukalibyśmy jakiegoś wspólnego systemu, jakiejś organicznej pracy dążącej do jednego celu, jak to miało miejsce w szkole Tybingskiej. Nowszy racyonalizm, to prace luźnych jednostek, których jedynym łącznikiem jest chyba wspólna nienawiść chrześcijaństwa. Broń napastników już dawno zużyta; składają się na nią teorye Paulusów, Reimarów, Baurów i Straussów w różnych kombinacyach ze sobą zmieszane, czasem zabarwione jakimś wrzekomo oryginalnym a zawsze śmiesznym pomysłem.

---

[1] Strauss. Die Halben und die Ganzen, eine Streitschrift gegen die H. H. Schenkel und Hengstenberg. Berlin 1865.

Jako typ nowoczesnych racyonalistów tego rodzaju, posłużyć może Henryk Ewald († 1875 r.), profesor w Getyndze, najzdolniejszy ze wszystkich i najobfitszy w oryginalne pomysły i oryginalniejsze jeszcze dowody, w polemice nieubłagany, przed żadną sprzecznością ani śmiesznością się nie cofający. Dość powiedzieć, że Ewald w czasie soboru Watykańskiego wystosował do Piusa IX. list otwarty, w którym udowadniał, iż papież powinien zostać protestantem.

W licznych książkach i rozprawach, przez pół wieku wydawanych, a zwłaszcza w obszernem dziele: Historya ludu Izraelskiego, starał się Ewald zająć pośrednie stanowisko między naturalizmem i teoryą mytu z jednej, a supernaturalizmem z drugiej strony, słowem, chciał prawdę z fałszem pogodzić, wedle pewnych, przez siebie samego wymyślonych, niczem niepopartych formułek. Tak np., podług objaśnień Ewalda, wyjście Izraela z Egiptu jest niewątpliwie faktem historycznym, ale fakt ten w rzeczywistości odbył się inaczej, niż go wschodnia wyobraźnia autora księgi *Exodus* opisuje. Jedna część opowiadania o przebiegu tej podróży zabarwiona jest cudownością, druga zaczerpnięta z podań ludowych. Morze Czerwone nie rozstąpiło się przed uchodzącemi dziećmi Izraela, ale poprostu wygodny bród ocalił ich z rąk Faraona. Również i przez Jordan rzucono zwykły most, którego pamięć przechowała się w legendzie o 12 kamieniach, ułożonych na środku rzeki. Inne cudowne wypadki i opowiadania są najczęściej poetycznemi symbolami, jak np. kwitnąca rószczka Aarona i t. p. Zdjąwszy tę szatę cudowności i legend, otrzymujemy dopiero czysty rdzeń historycznej prawdy. Mojżesz był mężem niezwykłej miary, umysłem genialnym, miał wolę silną, potęgę ducha niezwykłą; umiał kruszyć twarde serca, bojaźliwych zapalać odwagą; po mistrzowsku korzystał ze zjawisk natury i przypadkowych lub opatrznościowych wydarzeń, aby urokiem tajemniczej cudowności tem skuteczniej działać na masy. Wedle tejże samej metody nakreślił Ewald obraz Chrystusa.

Poznawszy Ewalda, znamy cały legion niemieckich racyonalistów z lat ostatnich. Ta sama u wszystkich metoda, podobne i podobną drogą wyprowadzone wnioski, tylko mniejszy talent i mniej jeszcze poetycznemi zwrotami osłonięte sprzeczności. Racyonalizm w tej szacie, za granicą, a zwłaszcza we Francyi się pre-

zentujący, nie mógł mieć widoków powodzenia. Emil Littré przetłumaczył „Życie Jezusa“ przez Straussa; dwóch Żydów: Munk i Salvador, i protestant Michał Nicolas wyłożyli w obszernych dziełach główne zasady szkoły Tybingskiej; ale były to zawsze książki zaprawne niemiecką uczonością, dla szerszej publiczności nie ponętną. W grube, nudne tomy wlać trzeba było nowe życie, okrasić je dowcipem i poezyą, i tak dopiero spreparowaną truciznę rozrzucić między masy. Zadania tego podjęło się kilku z najzdolniejszych potomków Woltera, a w pierwszym rzędzie, najgłośniejszy z nich Ernest Renan.

W jaki sposób Renan doszedł do niedowiarstwa, jak z katolickiego kleryka przedzierzgnął się w adoratora Minerwy i wroga chrześcijanizmu, o tem niejednokrotnie w kilku, w różny sposób ułożonych pamiętnikach i własnych apologiach, on sam nas pouczył [1]. Pierwszy raz wystąpił bezimiennie przeciw Pismu św. r. 1848, a więc wtedy, gdy przynajmniej jeszcze publicznie nazwy chrześcijanina się nie zaparł. Główne jego dzieło: Historya początków chrześcijaństwa, którego wydawnictwo rozpoczęło się r. 1863, a skończyło się r. 1881, składa się z sześciu tomów, pod następnemi odrębnemi tytułami: „Życie Jezusa“, „Apostołowie“, „Św. Paweł i jego misya“, „Antychryst“, „Kościół chrześcijański“, „Marek Aureli“. Wszystkie te tomy pisane są w tym samym duchu i wedle tej samej metody co pierwszy i najsłynniejszy „Życie Jezusa“, choć jako mniej skandaliczne, równego rozgłosu się nie doczekały [2].

---

[1] Por. „Dwa ostatnie pamiętniki Renana“. *Przegląd Powszechny*, z Marca 1886 r.

[2] *Ateneum* warszawskie uważało za stosowne podać swym czytelnikom streszczenie dzieła Renana „uczonego oryentalisty, mędrca i samodzielnego krytyka“, a pracę tę powierzyło p. Ignacemu Radlińskiemu. (*Ateneum* 1882—1884). Uczeń przekonany jest święcie o nieomylności mistrza; za niezwyciężony dowód służy mu zawsze i wyłącznie: „Tak Renan powiedział; tak utrzymuje Renan“. Gdyby przynajmniej kompilator jasno i wyraźnie przyznał się, że kompiluje Renana, wiedzielibyśmy czego się trzymać i nie stracilibyśmy kilku godzin czasu na przeglądaniu tych banialuków. Ale p. Radliński uchodzić pragnie za oryginalnego autora; czasem tylko dla ulżenia sumieniu dopisuje, że np. „List do Hebreów błędnie Pawłowi przypisywany jest według Renana pióra Barnaby“ lub znowu: „Autentyczność listu do Efezów jest bardzo wątpliwa; Renan pozostawia kwestyę nierozstrzygniętą“.

Źródłem, z którego płyną wszystkie inne sądy i zapatrywania Renana, jest najprostszy, od Niemców przejęty panteizm. Idea Boga osobowego, jest wedle Renana, hallucynacyą dawnych scholastyków. „Ludzie rozumiejący wielkość Bożą, pojąć nawet nie

---

Z słów tych sądząc, myślałby kto, że p. Radliński używał do swej pracy innych jeszcze, prócz Renana autorów, ale jeśli porówna kompilacyę z oryginałem, przekona się o swym błędzie. Jedno tylko przytoczyć można na obronę p. Radlińskiego, iż choć niechcący, ale wyświadczył wielką usługę prawdzie, tj. że wykazał w całej nagości, najróżnorodniejsze sprzeczności i bajki, które w długiem dziele Renana lepiej się pod poetyczną szatą ukrywały. Tak np. przyznaje naiwnie: „W dziejach tej oddalonej epoki rzadko się zdarza osiągnąć możność „wyjaśnienia dokładnego, jak się rzeczywiście wypadki odbywały, lecz za to „jest się w stanie przedstawić różne sposoby, w jaki się one odbywać mogły, „co już jest ważnem". (*Ateneum* 1882 t. III. str. 488). Wyznanie to przynosiłoby zaszczyt krytykowi, ale zrobiwszy je, nie należało tak rezolutnie i bez żadnego znaku zapytania pisać o „odchylonej przez Renana zasłonie" z dzieciństwa Jezusa (*Ateneum* 1883 t. IV. str. 355) — opisywać drobnostkowo, w jaki sposób Jezus uczył się czytać i pisać. (*Tamże* str. 356) — zaręczać święcie, że o zamordowaniu Jana Chrzciciela wiemy tylko z tradycyi, (str. 360), lub że pierwszy Paweł nazwał Chrystusa Synem Bożym. (*Ateneum* 1884 t. I. str. 496). Renan znał Pismo św., kłamiąc, wiedział że kłamie, i dlatego starał się swe kłamstwo jak najzręczniej zatuszować — p. Radliński nie ma chyba wyobrażenia ani o Piśmie św., ani o katechizmie, ani — i to szczególnie — o logice, i widocznie ani się nie spostrzega, jak ośmiesza siebie i mistrza.

Najoryginalniejszym w swoim rodzaju jest skreślony przez p. Radlińskiego portret Renana, dający miarę stylu i logiki współpracownika *Ateneum*. „Renan jest mędrcem, jest człowiekiem prawym", (r. 1882, t. III. str. 488), „jest uczonym oryentalistą, samodzielnym krytykiem". (Tamże. str. 461); „dzieło jego stanowi epokę... nie znajdujemy w niem przerw tak, że wszystkie fakta w tem dziele łączą się z sobą i jak ogniwa w delikatnym, a misternym łańcuchu splatają się tak, że każdy wypływając z poprzedniego, daje początek następnemu". (*Ateneum* r. 1883, t. IV. str. 348), A jednocześnie tenże sam p. Radliński o dwie stronice dalej pisze: „Braku lub sprzeczności materyału czytelnik nie uczuwa. Sztucznego powiązania faktów nawet się nie domyśla; chociaż spostrzega czasami pewną chwiejność w przedstawieniu wybitniejszych momentów, lub natrafia na jakąś nieułowioną giętkość w wywodach. Pasmo faktów stanowiących zawsze żywot człowieka, przeplatają tu wspaniałe obrazy wieku... Chociaż się zdarza, że nagromadzone obficie światło, uwydatnia brak w obliczu wyrazistości, cechującej zawsze indywidualność potężniejszą, lub wykaże tylko linię sztuczną konturu tam, gdzie pragnęlibyśmy i spodziewalibyśmy się odkryć łamaną lub krzywą, tak zwykłą w rysach żyjącego człowieka". (*Tamże* str. 350). Jeśli ta powódź słów, nieharmonijnie ze sobą zmieszanych, ma cośkolwiek oznaczać, to Renan ze str. 348, zupełnie jest kimś innym, niż Renan na str. 350, a przecież, o ile nam wiadomo, jeden tylko istnieje Ernest Renan, autor „Życia Jezusa". *Ateneum* nie dziwimy się wcale,

„mogą pytania, czy są deistami, czy panteistami, i dlatego by-„najmniej ich nie interesują wszystkie fizyczne i metafizyczne do-„wody o istnieniu Boga, ponieważ czują Boga w samych sobie. „Na pierwszem miejscu w tej wielkiej rodzinie Synów Bożych „należy postawić Jezusa, najwyższą świadomość Bożą, jaka kiedy-„kolwiek objawiła się w łonie ludzkości?[1]. Czemże jest Bóg, co rozumiemy pod tym wyrazem? pyta na innem miejscu — to wspomnienie historyczne, źródło poezyi, wyraz, którego nie należy wymazywać z słownika[2], „aby językiem naszym nie różnić się od ludzi wykształconych". Jeśli zaś Bóg jest tylko myślną „kategoryą ideałów, tak jak przestrzeń i czas są kategoryami ciał", to słowa „cud", „porządek nadprzyrodzony", nie mają żadnego znaczenia, a ponieważ, rozumuje dalej Renan[3], Pismo św., a szczególnie Ewangelie są przepełnione opowiadaniami o rzeczach nadprzyrodzonych i cudach, zatem są w największej części prostą legendą. Legendy te przeszły kilka rozmaitych stadyów, zanim w dzisiejszej formie się ukształtowały. Tak np. Ewangelia św. Mateusza zawierała z początku same mowy Jezusa, które dopiero pobożni chrześcijanie następnego pokolenia innemi szczegółami przyozdobili. Św. Marek również całej swej Ewangelii nie napisał; Ewangelia św. Łukasza jest apokryfem jak pisma Marcyona i Tacyana; a niewątpliwą już jest rzeczą, zapewnia Renan, jak zawsze bez najmniejszego dowodu, że Ewangelia św. Jana nie pochodzi zpod pióra jakiegoś galilejskiego rybaka. Daniel, Eklezyastes i parę innych ksiąg Starego Testamentu są również, zdaniem Renana, apokryfami.

W pierwszym zapale nie uznawał Renan możliwości cudu, później, choć przez to sprzeniewierzył się panteizmowi, zmienił zdanie: „Wypędzamy cud z historyi nie w imieniu takiej lub owej filozofii, ale w imieniu stałego doświadczenia. Nie mówimy: Cud

---

że drukowało kompilacyę Renana, bo kto bierze w obronę Daudeta, Zolę i w ogóle materyalistów (*Ateneum* r. 1883, t. I. str. 365), ten w towarzystwie Renana musi się czuć jak w domu; owszem podziękować chyba możemy warszawskiemu Pismu, że zdecydowawszy się na tę kompilacyę, obrało sobie za kompilatora p. Radlińskiego, który z książek paryskiego stylisty zdarł cały wdzięk stylu, a logiczne niedorzeczności pozostawił nietknięte.

[1] Vie de Jésus, p. 75.

[2] La chaire de hebreu p. 23.

[3] Vie de Jésus. Introd. p. 15.

jest niemożliwym; mówimy tylko: Nie było dotychczas cudu dostatecznie stwierdzonego“ [1]. Dlaczego? Dlatego bo żaden cud, ani jedno np. wskrzeszenie zmartwych nie zostało zbadane [2] „przez osobną w tym celu zamianowaną komisyę, złożoną z fizyologów, fizyków, chemików, mężów znających się na krytyce historycznej .... „A ponieważ każde doświadczenie powtarzać można tyle razy, ile „się podoba — ponieważ jeśli kto raz czegoś dokonał, może tego „i drugi raz dokonać, przeto cudotwórca otrzymać powinien zaproszenie, aby powtórzył swą dziwną czynność w innych okolicznościach, na innych trupach, i wśród innego otoczenia. Gdyby cud „za każdą razą, również dobrze się udawał, dowiedzionoby dwóch „rzeczy: 1) że zdarzają się na tym świecie fakta nadprzyrodzone; „2) że moc wywoływania tych faktów przynależy, lub zleconą jest „pewnym a nie innym osobom. Ale któż wie o cudzie, któryby „miał miejsce w wymienionych tutaj warunkach?“

Na nieszczęście dla Renana, wiele cudów w Piśmie św. opowiedzianych, jak np. wskrzeszenie Łazarza, córki Jaira, syna wdowy z Naim, nakarmienie pięcio-tysięcznej rzeszy paru chlebami, odbyło się jakby naumyślnie dla zawarcia ust wszystkim niedowiarkom, w nadzwyczaj podobnych warunkach. Czuje to Renan, i dlatego załatwiwszy się w jednym wierszu z córką Jaira i synem wdowy, wytłumaczywszy cud rozmnożenia chleba na puszczy, „nadzwyczajną wstrzemięźliwością“ żydów, przystępuje z pewnem wahaniem do opisu cudu w Betanii. Zdaje się, że Łazarz był chorym [3] św. Jan opowiada wprawdzie po prostu, że Łazarz chorował, a potem umarł i już cuchnął, ale francuski Akademik, z głębszych widocznie powodów, łagodzi to twierdzenie krytycznem „zdaje się“. „Otrzymawszy uwiadomienie od zatrwożonych sióstr, Jezus opuszcza Pereę, a radość z jego przybycia, mogła przywrócić Łazarza do życia“ *(sic)*. Taka przenośnia słów zastępuje u Renana fakt, najgłośniejszy może z całego życia Chrystusa. Zresztą Renan tłumaczy się, opowiadając bez wahania, jak świadek naoczny, iż przyjaciele Jezusowi postanowili sko-

---

[1] Vie de Jésus. Introd. p. 51.

[2] Vie de Jésus. Introd. p. 52 sq.

[3] Vie de Jésus, p. 350 sq. — „I stąd ta garstka głupców i niedołęgów rozeszła się zdobywać cały świat dla wiary, sprawiedliwości i miłości“ *(Freppel.* Examen critique de la vie de Jésus de M Renan. 3 edition. Paris 1863. p. 54.)

rzystać z danej sposobności i zwyciężyć ostatecznie „niedowiarstwo Jeruzalemskie". „Łazarz rozkazał się owinąć chustkami i zamknąć w familijnym grobowcu", a gdy Jezus przybył i odsunięto kamień, „Łazarz wstał, mając ręce, nogi i twarz obwinięte chustami. Wszy„scy poczytali naturalnie to zjawienie się za zmartwychwstanie". Jaki to był wówczas naiwny świat! i jak naiwnym pozostał!

Niemieccy racyonaliści oddawna, na tych samych opierając się fundamentach, tej samej w systematycznych swych kłamstwach używali metody, z tą tylko różnicą, iż gdzie Strauss, Paulus, Eichhorn, Baur i inni tybińscy profesorzy do pozornych przynajmniej uciekali się argumentów, tam Renan, jeśli ich czasem dosłownie nie przepisze, samym frazesem wojuje. Metodę Renana streścić można w jednem słowie: blaga. Z ostentacyą cytuje „pięć wielkich zbiorów pism o Jezusie i jego czasach: Nowy Testament, Apokryfy starego Testamentu, dzieła Philona, dzieła Józefa Flawiusza, obie Gemary — babilońską i jerozolimską; pomiędzy dwoma uczonemi cytatami opisuje własne wrażenia w podróży po Palestynie; zapewnia, że urocza natura i miły klimat Galilei, tłumaczą nam najlepiej osobistość i naturę Chrystusa. I tak przeplatając miłą sielankę o ptaszkach, kwiatkach i strumykach, cytatami z Talmudu i Apokryfów, dorzuciwszy do tego parę ustępów wypisanych z książek niemieckich, pyta z tryumfem: A teraz w obec tak ściśle przeprowadzonej historycznej krytyki, któż może w Piśmie św. uznawać natchnione słowo Boże? a w Chrystusie Boga?

„Renan, pisze doskonale protestancki teolog, Paweł Cassel[1], wie wybornie, że świat, choć się z tem kryje, pragnie być zwodzonym, i dlatego wsparty radami pomocnika swego, Żyda Neubauera, odnalazł talmud .. Jakoż, prawie szósta część jego książki naszpikowana jest cytatami z owemi zagadkowemi nazwami, których znaczenia nie podaje nam ani Stary Testament, ani historya chrześcijańska. Jakże doskonale znać musiał życie Izraela ten, pod którego piórem wyrastają tajemnicze nazwy: Talmud, Midrasz, Menachot, Chulin! Renan, jak Ali-Baba we wschodnich bajeczkach, wypowiada czarodziejskie słowo: Sezamie, otwórz się! a tajemnica początków chrześcijaństwa rozjaśnia się. O czem nikt nie wie, co po-

[1] Renans Leben Jesu.

zostało tajemnicą dla jego seminaryjskich nauczycieli — co zakrytem jest nawet przed okiem dawnego jego mecenasa, biskupa Dupanloup, to przed nim staje otworem. Od takiej nauki wszyscy z boleścią odstępują, bo kontroli tu nie ma".

Nie tylko Talmud, Philona, lub Józefa Flawiusza ale i całe Pismo św. uważa dawny seminarzysta za zamkniętą dla reszty świata księgę, w której mu wolno wedle upodobania gospodarować. Tak np. dowodzi[1] z drugiej księgi Machabeuszów, rozdz. VII. w. 14 że Żydzi wierzyli w zmartwychwstanie samych tylko wiernych. Na przytoczonem miejscu czytamy: „Tobie nie będzie zmartwychwstanie k u ż y w o t o w i". Recz jest jasna, argumentuje Renan, Machabeusz mówi do Antyocha: „Tobie nie będzie zmartwychwstanie", a zatem Żydzi mniemali, że poganie nie zmartwychwstaną". O słówku ku żywotowi, Renan przezornie przemilcza; słówko to zniszczyłoby w zarodku cały argument, lepiej je więc poprostu opuścić. Podobnież wywodząc[2], że pierwotny chrześcijanizm nie cierpi u siebie bogatych i że wedle jego nauki sami ubodzy będą zbawieni, przytacza słowa Chrystusowe: „Błogosławieni ubodzy" i „Idź sprzedaj co masz, a daj ubogim"; tylko w pierwszym opuszcza, niby nic nie znaczący wyraz „duchem", a w drugim zapomniał o poprzedzającym warunku: „Jeśli chcesz być doskonałym".

Sumienni krytycy wyliczyli cały szereg podobnych rozmyślnych fałszerstw. Pojąćby trudno tyle bezczelności, gdyby sam Renan w swej obronie nie był nazwał historyi „nauką przypuszczeń", i nie był napisał tej apologii kłamstwa[3]: „historya jest niemożliwą, jeźli nie zgodzimy się i nie przyznamy otwarcie, że szczerość ma bardzo rozmaite miary... Nie należy ganić tego, który poznawszy ludzkość, ze wszystkiemi jej illuzyami, stara się na nią za pomocą tych illuzyj oddziałać. Cezar wiedział doskonale, że nie był synem Wenery... Łatwo nam karłom dzisiaj zwać to kłamstwem i chełpiąc się z nowej t r w o ż l i w e j prawości, patrzyć z góry na bohaterów, rzucających się w walkę życia w zupełnie odmiennych warunkach. Kiedy z na-

[1] Vie de Jésus, p. 55.
[2] Vie de Jésus, p. 174 sq. Por. *Mateusz* V. 3; *Łukasz* XVIII. 22.
[3] Vie de Jésus p. 253.

szymi skrupułami dojdziemy do tego, do czego oni doszli ze swemi kłamstwami, wtedy nabędziemy prawa surowiej ich sądzić".

Piękność stylu, uroczy sceptycyzm, reklama niedowiarków, otoczyły Renana aureolą sławy i rozpowszechniły jego książki we Francyi i za granicą. Mistrza otoczyło koło uczniów: Peyrat, Rodrigues-Henriques, Havet, Larroque, Soury, Vernes, a zpod pióra ich popłynęły nowe strumienie fałszu i brudu. Wszyscy bez wyjątku brali od Niemców treść, od Renana usiłowali pożyczyć sobie formy, ale nowego bluźnierstwa, ani nawet nic nowego wymyślić nie potrafili.

Rzecz ciekawa i zastanowienia godna, że ostatniem słowem nowoczesnego racyonalizmu biblijnego, reprezentowanego przez angielskich deistów, potem przez francuskich encyklopedystów i przybranych w profesorską togę niemieckich uczonych — była książka, której nikt poważny inaczej nie nazwie jak: „romansem". Słuszna to była kara dla tego pychą napiętnowanego kierunku, który rozum ludzki ponad słowo Boże chciał postawić; kogo mogłyby oszołomić nielogiczne wywody Lessinga lub Straussa, temu, nieukrywające się pod filozoficzną szatą bluźniercze powieści Renana lub Haweta oczy powinny otworzyć.

X. A. Arndt.

O WYNALEZIENIU PISMA SŁOWIAŃSKIEGO

PRZEZ ŚW. CYRYLA.

Dzieło pierwszych Apostołów słowiańskich na Zachodzie zostawiło po sobie pełną wdzięczności pamięć, która przetrwawszy przez całe tysiąc lat obudziła się dziś z nową siłą w duszy wszystkich Słowian. Uroczystość, która odbyła się w tysiącletnią rocznicę nad grobem św. Metodego, stała się świętem narodowem słowiańszczyzny; ze wszech stron pospieszyli Słowianie na miejsce, z którego Apostołowie rzucili nasienie, które choć weszło odrazu i w bujną urosło roślinę, przecież dopiero po tysiącu lat miało rodzić owoce. Akt ten uroczysty był wznowieniem przewodniej myśli, jaka kierowała działaniem św. Cyryla i Metodego; po długim czasie i licznych doświadczeniach zaczęto budować na fundamencie, położonym przed lat tysiącem.

W historyi dzieje się podobnie jak w naturze, w której życie rozwija się podług pewnych praw, w pewnym działających kierunku, bez skoków gwałtownych i bez przerwy. Wszelkie zboczenia, lub wstrząśnienia chwilowe, jakie w życiu dziejowem narodów zachodzą, mogą przerwać pochód na drodze życia narodowego i przeciąć jego pasmo, ale nigdy nie nadadzą mu innego kierunku i złe wstrzymają w naturalnym rozwoju. Prawda ta powtarza się zawsze i wszędy; ona znalazła także zastósowanie w dziele apostołów słowiańskich. Jak niegdyś Rzym był najważniejszym czynnikiem w dziele nawracania się morawskich Słowian na religię chrześcijańską, a tem samem ta część Słowiańszczyzny Rzymowi na pierwszem miejscu zawdzięczała swój byt polityczno-narodowy, tak i obecnie z Rzymu

odezwał się głos, który obchód ten podniósł do tego wzniosłego znaczenia, jakie mu przyznała cała Europa. Po tysiącu lat wystąpili ci sami aktorowie w podobnych rolach, chociaż przy zmienionej dekoracyi; ziarno które w tym przeciągu czasu tyle różnych przechodziło zmian, z tylu obcemi łączyło się przymieszkami, zaczęło się znów dalej naturalnie rozwijać.

Podobnie jak przy ocenie dzieła misyjnego śś. Cyryla i Metodego historycy albo nie rozróżniali tego, co bezpośredniem było dziełem obydwu apostołów od tego, co późniejszy czas przyczynił, albo też uwzględniali tylko jedno lub drugie odpowiednio do politycznego i religijnego swego stanowiska, tak też i w nauce nastąpiło rozdwojenie pomiędzy badaczami, gdy przyszło odpowiedzieć na pytanie w jakim języku, pierwszy raz przetłumaczone zostało Pismo św. przez pierwszych apostołów słowiańskich, i jakiego pisma, czy tego, za którego wynalazcę uchodzi św. Cyryl, używali w tej swojej pracy? Jedna i druga kwestya jest bardzo ważną, gdyż obydwie stanowią właściwie początek filologii słowiańskiej, jedna i druga posiada już bogatą literaturę, a przecież żadna z nich nie została dotychczas stanowczo załatwioną. Obydwie kwestye są z sobą ściśle związane, chociaż rozstrzygnięcie jednej nie jest zawisłem od drugiej, i nie wpływa na jej rozwiązanie. W badaniu obu tych kwestyj, jako ściśle historycznych strzedz się trzeba wszelkich innych z góry powziętych zdań, lecz pytając się po prostu historycznych pomników, na ich odpowiedzi należy poprzestać.

Z kwestyą, dotyczącą wynalezienia pisma słowiańskiego przez Konstantyna, Cyrylem później nazwanego, łączy się ściśle pytanie, czy Słowianie znali poprzednio pismo i jakie ono było? Pytanie to jest tak naturalne, że od jego rozwiązania w dodatnim lub też negatywnym kierunku, zależy znaczenie dzieła św. Cyryla i po części bliższe poznanie jego samego. Kiedy ma się orzekać w jakiejś sprawie z dowodów, które same nowych dowodów potrzebują, natenczas dojść można tylko do najwyższego stopnia prawdopodobieństwa, i zadowolnić się trzeba usunięciem ważniejszych wątpliwości. Nie zważano dosyć na tę zasadę, dowodząc znajomości pisma przez Słowian w sposób kategoryczny, lub znów kategorycznie im tej znajomości zaprzeczając. W pierwszym wypadku, tj. przyznając Słowianom używanie pisma, miano i ma się zwyczajnie na myśli pewien

rodzaj pisma, którego charakter miał być całkiem odrębnym, czysto-słowiańskim płodem, a natura jego zastósowana do właściwości mowy słowiańskiej Rodzaj tego pisma runami nazwanego, może tylko oznaczony być na podstawie bardzo nielicznych zabytków, których autentyczność dotąd nie została stanowczo potwierdzoną. Ta jednak okoliczność nie świadczy jeszcze stanowczo przeciwko znajomości pisma przez Słowian; dowodzi ona tylko, że dotychczas zabytków takich jeszcze nie odkryto, albo raczej, że do rozwiązania tej kwestyi zabierano się niewłaściwie i z pewnem szkodliwem niedowierzaniem.

Mówiąc o piśmie Słowian, można mieć na względzie te dopiero czasy, w których historya zaczęła się Słowianami zajmować. Byli oni już wtedy podzieleni na różne plemiona z większą lub mniejszą odrębnością narodową, a w każdym razie z wyrobionym już pewnym stanem jakiejś całości politycznej. W tym składzie plemiona słowiańskie wchodziły w stosunki z różnemi sąsiedniemi narodami, od których wespół z innemi rzeczami przejęły i pismo, niejednakowe, ale różne, stosownie do tego, czy z tym lub owym narodem graniczyły. Nie znajdujemy np. owych napisów runicznych na Południu lub na Wschodzie Słowiańszczyzny, gdyż tam stykali się Słowianie z narodami, które od dawna były w posiadaniu innego pisma. A uwzględniwszy to wszystko, przyznamy, iż bardzo jest prawdopodobnem, że Słowianie, czując konieczną potrzebę ujęcia żywego słowa w trwałe formy, oddawna zapożyczyli sobie od innych znajomość pisma.

Oprócz tej ogólnej dążności narodów do używania środka trwałego dla ujęcia żywego słowa, przemawiającej za podobnem stanem rzeczy u Słowian, posiadamy takie świadectwa historyczne, podające nam wiadomość o egzystencyi pisma u dawnych Słowian: *Chronicon paschale*, czyli Kronika Aleksandryjska, lub Konstantynopolska, nazwana także *Fasti Siculi*, doprowadzona od pierwszego pisarza do r. 354, a od kontynuatora jego do r. 630 wymienia narody, które miały swoje własne pismo οἱ δὲ ἐπιστάμενοι αὐτῶν γράμματα, a które według kroniki tej były następujące: Kapadocy, Iberowie, lub Tarańczykowie, Tabarinowie, Latinowie, Sarmatowie, Hiszpanie, Scytowie, Grecy, Bastarinowie, Medowie i Armeńczykowie. Pod imieniem *Sarmatów* rozumieć trzeba narody słowiańskie,

które zamieszkiwały leżącą na północ od Grecyi tak zwaną Wielką Sarmacyę.

2. W skandynawskich powieściach, obok wiadomości o innych runach, czytamy także o „Winda-runir“, tj. wendyjskich runach, które mogą oznaczać pisma lub śpiewy słowiańskie. O Wendach w pieśniach skandynawskich zob. Safařík: *Slovanske starožitnosti* Praha, 1862, I. str. 155 n., str. 588.

3. Konstantyn Porphyrogeneta, de Adm. Imp. rozdz. 31: Chrovati post acceptum baptismum pepigerunt et chirographis datis sancto Petro apostolo juraverunt, nunquam se alienam terram armis invasuros etc. Gdy cesarz Herakliusz powołał Chorwatów do Illyryi, i ziemie Awarom odebrane dał im za siedziby (640 r.), wówczas chcąc ich w poddaństwie zatrzymać, nakłonił ich do przyjęcia chrześcijaństwa. Papież Jan IV., nawróciwszy Chorwatów przez wysłanych misyonarzy łacińskich, wziął ziemię ich imieniem św. Piotra pod swoją obronę i rozkazał im przysiądz, że się wstrzymają od wszelkich napadów na ziemie sąsiednie. Na tej właśnie przysiędze mieli posłowie położyć swój własnoręczny podpis.

4. Świadectwo mnicha *Chrabra*, żyjącego na początku X. wieku: Prežde ubo Slovêne neimêchą Knigъ, ną *črъtami i rêzami* čьtêchą *i gataachą* pogani sąšte. Krъstivše že sę rimьskymi igrъčьskymi pismeny nąždaachą sę pisati slovênьską rěčь bezъ ustrojenia.

5. Ditmar, biskup Merzeburski (ur. 976, † 1018), podaje w tym względzie ważne świadectwo: in eadem urbe (Riedegost) est nil nisi fanum de ligno artificiose compositum, quod pro basibus diversarum sustentatur cornibus bestiarum. Hujus parietes variae deorum daemonumque imagines mirifice insculptae, ut cernentibus videtur, exterius ornant; interius autem dii stant manufacti, singulis *nominibus insculptis.*

Świadectwa te, z różnych czasów i z różnych stron, przemawiają za tem, że Słowianie posiadali rzeczywiście pewien rodzaj pisma. To samo potwierdza także język słowiański, który posiada wyrazy, oznaczające bądźto samą czynność, tj. *pisanie,* lub też sposób, w jaki pismo się odbywało. Tak słowo *pisati,* które w słow. języku we formie *pьsati* i *psati* się używa, czesk. psáti, pol. *pisać,* oznaczało pierwotnie to samo, co „wrzynać, wcinać“ za pomocą ostrego narzędzia na twardym przedmiocie, lub też „na-

znaczać farbą", pędzlem, lub innem do tego odpowiedniem narzędziem. Obydwa znaczenia, bądź wyrażające wyrzynanie znaków lub figur na drzewie, bądź rycie tychże na kamieniu, albo malowanie takichże przedmiotów na drzewie, istnieją we wszystkich indrp. językach, z czego wynika, że czynność ta była już znaną Indoeuropejczykom w praaryjskiej dobie, przed rozszczepieniem się na odrębne latorośle. Naturalnym przebiegiem rzeczy, z czasem wyrazy te, które pierwotnie tylko wyrażały pewną czynność, tj. odnoszącą się do snycerstwa lub malarstwa w najogólniejszem tego słowa znaczeniu, zostały przeniesione także na inne czynności lub pojęcia, będące z pierwotnemi w jakimkolwiekbądź duchowym, bądź materyalnym pokrewieństwie. W ten sposób zakres pierwotnego znaczenia tego wyrazu rozszerzył się wprawdzie, ale nie zatracił nigdy swego pierwotnego charakteru, ani też nie potargał węzłów naturalnego pochodzenia, jakie wszystkich tych descendentów w najpóźniejszem pokoleniu z ich protoplastą łączyły. Tak więc w skr. języku słowo w postaci *piś: pimśati* zachowało jeszcze najpierwotniejszy rodzaj tego wyrazu, który znaczy: „wyrzynać", „zdobić" i ze względu na wyrznięte lub ozdobione tj. wymalowane przedmioty znaczy także „tworzyć". W języku greckim obydwa pierwotne znaczenia „rznąć" i „malować" zachowały się jeszcze, ale otrzymały już inne przeznaczenie, tj. używano ich w przenośnem znaczeniu, czyto ze względu na narzędzie, którem czynność się odbywała, czy też na przedmiot, na którym się wykonywała. Tak πικ-ρό-ς znaczy ostry, śpiczasty w pojęciu fizycznem, ale także oznacza „ostry" w znaczeniu przenośnem, np. mówiąc o zmysłach ludzkich, lub o charakterze człowieka. W wyrazie ποικίλο-ς „pstry", pochodzącym z tego samego pierwiastku, przebija się jeszcze pierwotne znaczenie, które wyraża pojęcie rozmaitości kolorów.

W germ. języku czynność samą zastąpiono innym wyrazem, ale zachował się także odłamek tej pierwotnej własności i to w wyrazie stgornoniem. *fêh*, oznaczającym to samo, co gr. ποικίλος tj. pstry. W słow. prajęzyku wyraz ten w pierwotnej swej postaci zachował dawne swe znaczenie, mianowicie: znaczenie malowania lub jakiejś czynności, wykonanej za pomocą ostrego narzędzia na twardym przedmiocie. Obydwa te znaczenia przeszły do poszczególnych słowiańskich języków, tak jednak, że każdy z nich tylko jedno

z tych znaczeń sobie przywłaszczył. Tak w stsł. języku *pьsati* oznacza *scalpere*, ale w nsłowin. języku *pisan* obok *pisaten*, znaczy ποικίλος, tak samo bułg. *pisan* i dłuż. *pisany*. Pojęcie rozmaitości w występującej barwie, zostało wyrażone w innych językach słow. przez wyraz, który opiera się na formie *pьstrъ*, pol. *pstry*, czesk. *pstrý*, ros. *pestrыj*, a która pochodzi od tego samego pierwiastku, co *pьs-ati* tj. *pis*. Obok tego znaczenia, zawiera słowo *pisati* w szystkich słow. językach także to pojęcie, które ma pol. *pisać* tj. oznaczenie przez pismo na trwałym przedmiocie jakiegoś dźwięku, lub całego wyrazu mowy żywej. Używanie tego we wszystkich słow. językach dowodzi, że pochodzi ono z pierwotnego starosławiańskiego języka. Stsł. *pisati* w znaczeniu *scalpere* dowodzi znowu, że wyraz ten w owej dobie słowiańskiej jedności oznaczał czynność, która wielkie mając podobieństwo z pisaniem w dzisiejszem znaczeniu, mogła być jednobrzmiącym wyrazem oznaczoną. Z tego pokazuje się, że sztuka pisania była znaną Słowianom i zasadzała się na „wrzynaniu“ na drzewie, lub „ryciu“ na kamieniu znaków, które wyrażały pojęcia oznaczone przez wyrazy żywej mowy. Gdyby słowo *pisati* nie miało tego znaczenia, czyli gdyby Prasłowianie tej czynności nie znali, nigdy nie mogłoby być ono użyte w poszczególnych słow. językach na wyrażenie pojęcia „pisać“ w dzisiejszem rozumieniu.

Dowodem tego jest wyraz *rêza*, którego użył Chrabr na oznaczenie pewnego rodzaju pisma u dawnych Słowian. Wyraz ten, lub od niego pochodne, zachodzą w wszystkich słow. językach, jednakowoż w żadnym z nich nie wyrażają pojęcia tego, jakie ma słowo „pisać“. Znaczenie jego jest to samo, co pol. słowa *rzezać*, tj. wyrzynać na drzewie. Ponieważ Słowianie przechowywali żywą mowę wycinaniem znaków na drzewie, przeto mógł Chrabr znaki te nazwać wyrazem *rêza*. To samo pojęcie było już zawarte w słowie *pisati*, synonimem jego było *rêzati*, ale synonimem nie zupełnie to samo oznaczającym, gdyż nie zawierało w sobie rycia na kamieniu, lub malowania farbami, ale tylko wyrzynanie na drzewie. Dlatego wyraz ten nie przeszedł do nowszych języków słow. jako synonim wyrazu *pisać*, ponieważ nie wyrażał dokładnie całej czynności pisania.

To samo powtarza się także przy drugim wyrazie *črъta*, którego użył Chrabr jako synonimu w znaczeniu „pisma“. Pierwia-

stkiem jego jest *kart* bić, rąbać, rznąć, zachodzące w tem znaczeniu we wszystkich indrp. językach [1]. Zachodzi on także z niezmienionym dźwiękiem *k* w słow. językach w znaczeniu bić, uderzyć w postaci *krat*, używanej przy rachowaniu np. stsł. *jedinъ kratъ*, czesk. *jedenkrát*, co w innych językach zastąpionem jest przez *raz*, pol. ros. *jeden raz*. Znaczenie zawarte w słowie *bić*, *rąbać*, *rznąć*, przeniesione zostało na narzędzie odpowiedniej czynności, przyczem dźwięk *k* przeszedł w sł. języku w *cz*. Tak powstało stsł. *črъta* w znaczeniu *apex*, tj. koniec śpiczasty, srb. *crtalo*, czesk. *čertadlo* lemierz. Z tego zakresu wymienionego wyrazu, ograniczonego na fizyczną pracę ręczną za pomocą ostrego narzędzia, czy to w kamieniu czy w drzewie wykonywaną, zaczerpnięte zostały wskutek psychicznego pokrewieństwa myśli, nazwy takie jak stsł. *črъta linea*, *črъtati lineas ducere, incidere*. Jednakowoż tak pierwiastek *kart* jakoteż na nim oparte słow. *črъta*, są już drugorzędnym utworem, rozszerzonym za pomocą sufiksa *ta* od pierwotnego *kar*, które oznacza „robić“, „czynić“. To ogólne pojęcie pierwiastku *kar* otrzymało w słow. języku zupełnie to samo znaczenie, jakie zawarte jest w *kart*: słowin. *čer cuspis lapidis*, z sufiksem *k*: *čerk apex*, *čerkati radere, scalpere*. Wreszcie po zastosowaniu do pisma tak od *kart* jakoteż *kar* utworzonych z powodu pokrewieństwa pojęć, jakie pomiędzy tą czynnością a sposobem pierwotnego pisania zachodziło, powstały wyrazy stsł. *črъta ductus* o piśmie używane, ros. *čerta* kreska, linia, słowin. *čerka* litera, *čerkati conscribilare* [2].

Historya więc sł. języków potwierdza w zupełności podania historyczne o istnieniu pisma u dawnych Słowian. Nawet źródła językowe schodzą się z podaniami historycznemi co do rodzaju samego pisma. Według nich bowiem pismo to zasadzało się na wyrzynaniu, lub wyciosywaniu ostrem narzędziem znaków piśmiennych na drzewie lub kamieniu, co Chrabr oznaczył przez *rêza* i *črъta* a Ditmar przez *insculpere*. Oprócz tego używano także farb i pędzla, jednakowoż rzadziej do pisma a natomiast częściej do malowania różnych figur, jak o tem Ditmar donosi. Zatem „runy“ były znane u Słowian, gdyż właśnie runy oznaczają tego rodzaju pismo,

[1] Fick, Vergleichendes Wörterbuch der indg. Sprachen, I[3], str. 46.

[2] Zob. Šafařík. Rozvětvení slov-kořene *čar* a *čer* w Sebrané spisy II. Praga 1863, str. 744.

o jakiem donosi nam sam język słow., jakoteż historyczne podania. To pismo w najogólniejszem znaczeniu, czyto ryte na kamieniu, lub wyrzynane na drzewie, czy też kreślone pędzlem, było własnością wszystkich Słowian, i dlatego zarówno przez wszystkich oznaczone zostało tym samym wyrazem *pisati*.

Inne pytanie, czy Słowianie sami wynaleźli to runiczne pismo, czy też przyjęli je od innych narodów np. Germanów? Kwestya ta może tylko być na podstawie ścisłego porównania run słowiańskich z germańskiemi rozbieraną. W ogóle chcąc w tej mierze dojść do pewnych rezultatów, trzeba przedewszystkiem naukowo zbadać paleograficzną stronę run słowiańskich a nie za pomocą run germańskich bawić się w rozbiory lingwistyczne, ponieważ lingwistycznie przez naciąganie i odgadywanie można wszystkiego dowieść. Już sam fakt istnienia u Słowian runicznego pisma, jakoteż analogiczna okoliczność, że znane pismo wszystkich narodów europejskich, wypływa jako z ostatecznego swego źródła z fenickiego alfabetu, z którem styka się przez rozmaite fazy nieforemnego lapidarnego stylu, oraz uncyalnego charakteru, przemawia za tem, że Słowianie przejęli pismo to od innych i to od Germanów. Jakoż mamy na to niezbity dowód w nazwach pojedyńczych liter alfabetu słowiańskiego, oznaczonych według nazw germańskich run. Niewytłumaczonem bowiem byłoby, dla czego nazwy liter słow., utworzonych podług modły alfabetu greckiego, nie zostały także na sposób grecki, lub jemu podobny wyrażone, jeżeli nie było poprzednio żadnego pisma u Słowian. Wszak ogólną, wciąż powtarzającą się regułą jest, że z rzeczą przyjmuje się także jej nazwę. Ponieważ zaś w tym względzie nie tylko nie zachodzi podobny przypadek, lecz przeciwnie — niektóre nazwy liter zostały żywcem wzięte z run germańskich, lub wedle ich wzoru oznaczone, wniosek naturalny, że Słowianie byli w posiadaniu runicznego pisma, i że pismo to przejęli od Germanów. Każdy język stara się zastosować nazwy obce do swojego ustroju, przemieniając je podług prawideł własnych. To powtarza się nietylko w wszystkich imionach własnych, ale i w wyrazach, przechodzących z jednego do drugiego języka. Rzecz się ma tak samo z temi nazwami liter, które z germańskiego alfabetu runicznego przejęte zostały, jak następujące: Dźwięk sł. *a* nosi nazwę w *abecenarium bulgaricum*, pochodzącem według zdania Toustania i Tas-

sina z 9-go lub 10-go, według Kopitara zaś z 11-go lub 12-go wieku, *as*, co żywcem wzięte zostało z germ. języka, w którym runa, oznaczająca ten sam dźwięk, nazywa się w nordyckim i anglosaskim języku *ôs*, w gotyckim zaś *ans*. Najprawdopodobniej nazwa słow. *as* pierwotnie nie wyrażała tego samego, co *azъ* tj. zaimek na 1 osobę. Daleko prawdopodobniejszem jest, że początkowo brzmiała ona tak samo *as*, jak w germańskim języku, a dopiero z czasem etymologia ludowa nadała temu wyrazowi brzmienie podobne jak sł. *azъ*, także i to samo znaczenie. Podobnie ma się rzecz z nazwą dźwięku *i* w słow. języku *iže*, w abecenarium bulg. *ise*, w nord. i anglosas. *îs*, got. *eis*. Oznaczenie tego dźwięku wypływa również bezwątpienia z germ. źródła. Najwidoczniejszem zaś jest germ. pochodzenie nazwy dźwięku *f*, który chociaż w obydwu alfabetach słow. tak cyrylskim, jako też i głagolskim żywcem wzięty jest z greckiego alfabetu, przecież nazwa jego w abecenar. *fort*, czytaj *frъtъ*, nie jest słowiańską, lecz germańską, utworzoną podług modły, jaką podają got. *pairthr*, anglosas. *peordh*. Podobny zachodzi stosunek pomiędzy nazwą, dla dźwięków słow. tak zwanych głuchych, oznaczonych przez *jerъ* i *jorъ*, abecenar. *hiér i peller*, z germańskiego języka, w którym odpowiednie nazwy brzmią w nord. *âr*, got. *jêr*, anglosas. *gêr*, i nord. i anglosas. *ûr*, got. *ûrus*. Nazwy powyższych liter słow. zostały bez żadnej zmiany wzięte z germ. języka; następujące zaś noszą wprawdzie szatę słow., ale szata ta zdradza obce pochodzenie. Tak *uédde* dla dźwięku *v*, co tłumaczy się przez *vêdê*, przypomina nord. *fé*, got. *faihu*, anglosas. *feoh; giuete* dla ž, czytane jako *živéte*, powstało pod wpływem anglosas. *gifu*, got. *giba; slowo* (słowo) dla dźwięku *s*, odpowiada nord. *sôl*, got. *sôjil; tordo* (tvrъdo), nord. *thorn*, anglosas. *dhorn*, got. *thaurnus*. Widocznem jest, że asonancya germ. języka, mająca w słowiańskim podobno-brzmiące wyrazy, dała powód do wytworzenia nazw z bardziej słow. zakrojem. Byłobyto bowiem czystą zagadką psychologiczną, gdyby powyższe nazwy słow. zostały bez żadnego wpływu germ. języka w ten sposób oznaczone. Przyjmując zaś w nazwach słow. alfabetu wpływ germański, zrozumiemy ich znaczenie; stosunek, który zachodził pomiędzy słow pismem runicznem a germańskim, byłby więc tylko powtórzeniem stosunku, który zaszedł już poprzednio pomiędzy germ.

runami a italskiem pismem z jednej, pomiędzy greckiem a łacińskiem z drugiej strony.

Powyższe dowody wzmacnia zatem dowód zaczerpany z historyi samegoż alfabetu słow. Nie podlega żadnej wątpliwości, że Słowianie przejęli od Germanów pismo runiczne, a z niem i nazwy, dla pojedyńczych liter, które później bądź całkowicie przemienili, bądź tylko zastósowali do swojej wymowy. Wobec stwierdzonego faktu, że istniało pismo u Słowian przed przyjęciem religii chrześcijańskiej, kwestya, dotycząca wynalezienia przez św. Cyryla nowego pisma dla Słowian, nabiera dopiero odpowiedniego znaczenia. Gdyby bowiem św. Cyryl zapoznał tylko Słowian z alfabetem greckim, i przezeń wyrugował dawniejsze pismo słow., albo też gdyby Słowianie żadnego zgoła pisma nie znali, dzieło jego byłoby przeszło niepostrzeżenie, jak przeszło dzieło tych, którzy z Grecyi do Italii, lub Germanii wprowadzili pierwsi sztukę pisania. Co więcej, dobrodziejstwo, którem obdarzył Słowian, straciłoby znacznie na doniosłości wobec tego, że Słowianom według świadectwa Chrabra nie było obcem pismo greckie i łacińskie, z czem zgadza się także doniesienie Konstantyna Porphyr. o podpisie posłów chorwackich na akcie przysięgi, złożonej papieżowi Janowi IV. Dopiero, skoro dzieło Cyryla porównamy do dawniejszego słowiańskiego pisma, praca jego nabiera właściwej, wielkiej doniosłości. Pismo w formie greckiej, łacińskiej, a nawet w formie run, nie było słowiańskiem, tj. nie odpowiadało całkowicie potrzebie słow. języka, i dlatego właśnie dzieło św. Cyryla nabrało tak doniosłego znaczenia i imię jego przechowało całej przyszłości.

Z pomiędzy źródeł, mówiących o wynalezieniu przez św. Cyryla nowego pisma dla Słowian, najważniejszemi są słowa papieża Jana VIII. (872—882), wyrzeczone bez wątpienia na podstawie ustnych informacyj Metodego w liście do księcia Świętopełka, pisanym w czerwcu 880 r.: *litteras denique sclaviniscas a Constantino quondam philosopho repertas, quibus deo laudes debite resonent, jure laudamus.* Nie mniej ważnem jest, co mówi o tej sprawie Anonymus Salisburgensis w *Historia conversionis Carantanorum An. 873.... usque dum quidam graecus, methodius nomine* (zamiast *Constantinus) noviter inventis sclavinis litteris, linguam latinam doctrinamque romanam atque literas auctorales latinas philoso-*

phice superducens, vilescere fecit cuncto populo ex parte missas et evangelia ecclesiasticumque officium illorum, qui hoc latine celebraverunt [1]. Również nie bez znaczenia jest, co pisze Chrabr, jeden z bezpośrednich uczniów św. Metodego, o piśmie zaprowadzonem przez św. Cyryla: Po tomьže člověkoljubьcь bogъ strojeji vsê i neostavljeję člověča roda bezъ razuma, ną vьsę kъ razumu privodę i spaseniju pomilovavъ rodъ slovêньskъ posla imъ svętago Konstantina filosofa naricaemago Kirila, mąża pravedna i istinna i sь sъtvori imъ pismena tri deseęte i osmь, ova ubo po činu grъčьskyhъ pismenъ, ova że po slovêньstej rêči, tj. „Potem zaś miłosierny Bóg, który wszystkiem rządzi i nie ostawia rodu ludzkiego bez rozumu, lecz wszystko prowadzi do rozumu i zbawienia, ulitowawszy się nad rodem słowiańskim, posłał im św. Konstantyna filozofa, nazwanego Cyryl, męża sprawiedliwego i prawego. A ten stworzył (tj. wynalazł) im 38 głosek, jedne na sposób greckich głosek, drugie podług słowiańskiej mowy".

Podania te wszystkie okazują jako fakt niezaprzeczony, że św. Cyryl jest twórcą pisma słow., które do nas w dwóch alfabetach, tj. *cyrylskim* i *głagolskim* się zachowało. Historya obydwóch alfabetów, oraz ich stosunek wzajemny, stanowi ważny punkt w filologii słow., jeszcze dotychczas należycie nie wyjaśniony.

W Dalmacyi panowało i panuje powszechnie mniemanie, że głagolski alfabet jest starszy, aniżeli cyrylski i że św. Hieronim (329—420) jest jego wynalazcą. [2]. W nowszym czasie Pertz starał się dowieść w rozprawie *De cosmographia Ethici* — Berlin 1853, str. 150—153, że autorem alfabetu głagolskiego jest filozof *Etykus* z Istryi, prawdopodobnie słowiańskiego pochodzenia, który żył w pierwszej ćwierci IV. stulecia. Św. Hieronim, który przetłumaczył jego kosmografię, miał się przyczynić do rozpowszechnienia tego alfabetu [3]. Na podstawie tej tradycyi ustanowił papież Inno-

[1] Zob. Dobrowský, Cyrill und Method der Slaven Apostel. Prag 1823, str. 39 nast., gdzie wyliczone są podania inne o wynalezieniu pisma słow. przez św. Cyryla; Hanuš, der Bulgarische Moench Chrabr w Archiv fuer Kunde oesterreichischer Geschichts-Quellen, tom XXIII., str. 21 nast.

[2] Prw. Dobrovský Glagolitica, 2. Aufl. von Wenc. Hanka, Prag. 1845, str. 9 n.

[3] O stosunku św. Hieronima do Etyka zob. *Haupt* w Wiener Jahrbücher der Literatur, 1836, tom 76, str. 103 n.

centy IV. r. 1248 osobnego biskupa dla Dalmacyi (episc. Scemen sis) i zezwolił osobną bullą na używanie głag. alfabetu i języka słowiańskiego do mszy św. Tradycya ta dalmatyńskich księży długo się utrzymywała, choć niektórzy uczeni jak Assemani, Karaman i inni przeciw niej protestowali, stawiając natomiast inne hypotezy [1]. Dopiero Dobrowský położył koniec rozmaitym tym hypotezom. Wedle jego wyroku alfabet głagolski jest podrobionem fałszerstwem *(pia fraus)* dalmatyńskich księży w XIII. lub XIV. wieku, którzy dla uratowania języka słow., jako kościelnego, do tego podstępu uciekli się, prawdopodobnie na wyspie Rabie. Zdanie swe oparł Dobrovsky na tem, że najstarsze zabytki głagolskiego piśmiennictwa nie sięgały dalej jak do XIII. wieku. W r. 1222 kleryk imieniem Mikołaj przepisał na wyspie Rabie psałterz z innego starego egzemplarza, który miał pochodzić z 880—890 r., tj. z czasu ostatniego arcybiskupa soluńskiego Teodora. Przy tej sposobności powstał też alfabet głagolski [2]. Wyrok Dobrowskiego, poparty powagą jego imienia, nabrał niebawem mocy obowiązującego prawa.

Dopiero gdy r. 1830 Kopitar otrzymał od hr. Kloca dwanaście kart bardzo starego głagolskiego rękopisu, a wydawszy je p. t. *Glagolita Clozianus*, Vindobonae 1836, wprowadził kwestyę o głagolicy w inne zupełnie stadyum. Kopitar wygłosił przeciwko Dobrowskiemu zdanie, że głagolica nie jest płodem 12, lub 13 stulecia, ale sięga dawniejszych czasów, nawet starszych, a przynajmniej tychże samych, co cyrylica, a kto wie, czy św. Cyryl nie jest jej twórcą [3]. Zdanie Kopitara wywołało w uczonym świecie słow. cały szereg głębokich studyów, poświęconych temu przedmiotowi. Najpoważniejsi uczeni jak Preiss, Sreznevskij, Bodjanskíj, i inni silili się myśl rzuconą przez Kopitara rozwiązać bądź w tym samym, bądź w wręcz przeciwnym kierunku [4].

Najwybitniejsze stanowisko w całej tej kwestyi zajął Šafařik, prawdziwy twórca systematycznej nauki o głagolicy. W dziele swem: *Památky hlaholského písemnictví*, Praha 1853, podaje nam Šafařik

[1] Zob. *Hanuš:* Der bulg. Moench Chrabr o. m., str. 10 n.

[2] Zob. Dobrovský, Glagolitica. Prag 1807, wyd. Hanka 1845; Slovanka Prag. 1814; Slavin, Prag 1806, wyd. Hanka 1834.

[3] Zob. Glagolita Cloz. str. X. XI.

[4] O zdaniach i hypotezach tych zob. Hanuš o. m. str. 16 n.

nietylko historyę głagolicy, ale także jej teoryę, która odtąd stała się integralną częścią slawistyki. Šafařik podzielił głagolskie zabytki piśmienne na dwa działy, różniące się od siebie co do wieku, miejsca i charakteru pisma. Ze względu na wiek dwie rozróżnia epoki: jednę sięgającą do końca XII. wieku, drugą poczynającą się od wieku XIII., które im dalej idą wstecz, tem bardziej z sobą się stykają, jak np. urywki pragskie stanowiące niejako łącznik pomiędzy obiema epokami. Co się tyczy miejsca pochodzenia głagolickich zabytków, zabytki pierwszej kategoryi przypadają prawie wszystkie na Macedonię (Athos, Ochrida, klasztor św. Jana Rylskiego), drugiej na Chorwacyę, tj. na te kościoły, w których język słowiański jest liturgiczny. Charakter pisma pierwszej epoki gładki, stożkowato-zaokrąglony, podobnie jak charakter pisma łacińskiego za czasów Karola W., drugiej zaś kończasty i sztywny jak fraktura, czyli gotyckie pismo XIV.—XV. wieku. W pierwszej epoce ma głagolica 38 liter, w drugiej 32, nie licząc cyrylskiego Ѱ, które Caraman (1753) zaprowadził. Druga kategorya nie posiada znaków piśmiennych dla dźwięków *ę*, *ą*, *ję*, *ją*, *th* (ф), *y* [1].

Mówiąc o twórcy głagolicy, Šafařik oświadcza się stanowczo za Klemensem, uczniem św. Cyryla i Metodego, a biskupem w Welicy leżącej w ziemi Dragowiczów i Sakulatów na północ od Soluna i góry Athos. Dowody jego są następne:

1) Najstarsze zabytki głagolskie pochodzą z miejsc, na których rozwijała się pasterska działalność Klemensa, jako biskupa bułgarskiego. Jednakowoż Šafařik jest sam z sobą w niezgodzie, kiedy zabytkom pragskim naznacza czas między 862—950 r., podczas gdy Klemens umarł r. 916. Z tego wynikałoby, że głagolica powstała przed Klemensem i to nie w Macedonii.

2) Głagolica przyjęła porządek alfebetyczny od cyrylicy. Wszakże ten dowód nie wytrzymuje krytyki w obec faktu, którego także Šafařik nie zaprzecza, że głagolica oznaczała liczby podług własnego swego porządku alfabetycznego, podczas gdy cyrylica przyjęła oznaczenie liczb z alfabetu greckiego. Podobnie i alfabet cyrylski mnicha Chrabra spisanym jest w porządku głagolskim w rękopisie Moskiewskim, co świadczy przeciw postawionej hypotezie.

[1] Šafařik, Památky, str. VI., VII.

3. Głagolskie tłumaczenia ksiąg kościelnych w niczem się prawie od cyrylskich nie różnią.

4. Najdawniejsze głagolskie księgi zawierają w sobie ceremonie greckiego obrządku, z czego wynika, że autor ich należał do greckiego kościoła. Twierdzenie to okazuje się jako bezpodstawne po znalezieniu rękopisu Antonińskiego, który znajduje się w duchownej Akademii w Kijowie, zawiera w sobie liturgię łacińską, a pisany jest bułgarską głagolicą [1].

5. Najstarsze *Abecennarium* nazywa się κατ' ἐξοχήν *bulgaricum*.

6. Wielka cześć, okazywana przez głagolistów Klemensowi, którego imię zarówno z śś. Cyrylem i Metodym pomieszczone jest w synaksarze ewangelii Assemanowej [2].

Sam Šafařik uznał, że powyższe dowody są niewystarczające. Dlatego począł się chwiać w swem zdaniu o tej kwestyi w dziele: *Glagolitische Fragmente,* hrgg. von dr. Karl Adolph Const. Höfler und dr. Paul Josef Šafařik, Prag 1857, str. 57, a w rozprawie p. t.: *Ueber den Ursprung und die Heimath des Glagolitismus,* Prag 1858, zmienił je zupełnie, stawiając na jego miejsce jako pewnik następujące trzy tezy: 1. Słowianie przed Cyrylem i Metodym nie znali osobnego pisma do pisania ksiąg. 2. Pismo wynalezione przez Cyryla było całkiem nowe, tj, nie było ani greckie, ani hebrajskie, ani łacińskie. 3. Jeżeli Cyryl wynalazł całkiem nowe pismo, tj. głagolskie, wówczas drugie pismo, bardziej zbliżone do greckiego, musi pochodzić od Klemensa (str. 5).

Podanie o wynalezieniu pisma słowiańskiego przez Klemensa opiera się na legendzie greckiej o św. Klemensie, znalezionej przez Grigoroviča w Ochrydzie, w rękopisie z XIII. wieku, a wydrukowanej w *Žurnalъ ministerstwa narodnago prosvěščenija* 1847, zesz. 1, i u Šafařika w *Památkach* str. LVII, miejsce odnośne brzmi: ἐσοφίσατο δὲ καὶ χαρακτῆρας ἑτέρους γραμμάτων πρὸς τὸ σαφέστερον ἢ οὓς ἐξεῦρεν ὁ σοφὸς Κύριλλος. Καὶ δι' αὐτῶν τὴν θεόπνευστον πᾶσαν γραφὴν καὶ τοὺς πανηγυρικοὺς τῶν λόγων καὶ μαρτύρων καί ὁσίων βίους ἁγίων, καὶ ἱερὰ ἄσματα γραφῇ παραδέδωκεν... „Wymyślił też inny

[1] Zob. Sreznewskij: О древней глаголической рукописи хранящейся въ кіевской духовной академіи. Кіевъ 1876.

[2] Památky, str. XVII.—XVIII.

charakter pisma, czytelniejszy od wynalezionego przez Cyryla filozofa. W niem przełożył całe pismo św. od Boga objawione, i mowy panegiryczne (tj. homilie) i żywoty męczenników i świętych wyznawców i pieśni kościelne“ [1].

Z wszystkich podań o wynalezieniu słow. pisma głagolickiego i cyrylskiego przez Cyryla i Klemensa, dojść zupełnie nie można, który z nich był twórcą jednego z tych alfabetów. Ponieważ ani jedno świadectwo, mówiące o wynalezieniu pisma, nie oznacza nam wyraźnie charakteru tego pisma, przeto wszystkie dowody, równie na korzyść jednego, jak i drugiego mogą przemawiać. Różnica niewielka czasu, jaka pomiędzy śmiercią obydwu świętych zachodzi, (Cyryl † 869, Klemens 916), przyczynia się niemało do tego, tembardziej, że pisane zabytki, tak głagolickie, jako też cyrylskie pochodzą z późniejszego czasu. W obydwóch rodzajach zabytków mogły zajść niejedne odmiany, jak wyraźnie też o tem donosi Chrabr: ašte li kto rečetь: jako nêstь ustroilъ dobrê (św. Cyryl), da têmъ sę postrajejetь i ešte, i jak tego dowodzi nierówna ilość liter alfabetów tych w rozmaitych źródłach przechowanych. Niczego nie dowodzi ta okoliczność, że odszukane zostały palimpsesty, w których cyrylskie pismo na głagolickim się znajduje (np. ewangelium Bojanense u Grigoroviča) i że zachowały się przepisy cyrylskie z głagolskich, ponieważ głagolskie pismo, jako trudniejsze do czytania, zostało zastąpione przez cyrylskie. I to również, że w niektórych zabytkach cyrylskich litery oznaczają liczby w podobny sposób, jak u głagolistów, można w ten sposób wytłumaczyć, że przepisujący zabytek głagolski cyrylita, kopiował niewolniczo i mechanicznie oryginał, w niczem go nie zmieniając. Jeżeli jeszcze uwzględnimy, że podanie o wynalezieniu cyrylicy przez Klemensa może rzeczywiście nie mieć podstawy historycznej, wówczas nie mamy żadnego punktu oparcia

[1] Jednakowoż podaniu temu o wynalezieniu czytelniejszego pisma słow. przez Klemensa, o którem w tej legendzie jest mowa, nie przyznaje *Leskien* w Archiw. III., 79 n. historycznego znaczenia a *Hilferding*: Кириллъ и Меѳодій Собр. соч., I., str. 321, całą legendę uważa za pozbawioną wartości historycznej. O całej tej kwestyi zob. Hanuš: Zur slavischen Runenfrage w Archiv für Kunde oesterreich. Geschichtsquellen, tom XVIII., str. 1 i nast. Zur Glagolica-Frage w Slavische Bibliothek hrgg. von Fr. Miklosich und J. Fiedler, tom II., str. 197 i nast.; Miklosich w Ersch und Gruber's Allgemeine Encyklopädie, pod tytułem Glagolitisch.

dla dowodów, mających wyjaśnić początek obydwu alfabetów i ich autorów. Dlatego w ostatnim czasie starano się kwestyę tę sprowadzić na inny teren, na którym podrzędną rolę odgrywają podania historyczne, wskazujące na św. Cyryla, jako wynalazcę słow. pisma, a natomiast jako główny twórczy środek występuje paleografia. Za pomocą tejże postawił Geitler: *Die albanischen und slavischen Schriften*, Wien, 1883, jako rezultat swych badań następujące twierdzenia. Tak głagolica jako też cyrylica powstały niezależnie od siebie na różnych miejscach i w różnym czasie. Cyrylica przedstawia nam greckie pismo, w tym kształcie, w którym występuje w młodszej liturgicznej uncyałce X.—XI. stulecia, jednakowoż mogła ona także jako starsza uncyałka przed drugą połową IX. stulecia być w użyciu. Tego uncyalnego pisma greckiego użył św. Cyryl, tłumacząc księgi kościelne na język słowiański. Wszystkie zmiany i dodatki, jakie się w cyrylicy znajdują, a które nie opierają się na alfabecie greckim, mają dwojaki charakter a tem samem dwojakie pochodzenie. Jedne z nich mają za źródło uncyałkę grecką, drugie grecko-rzymską kursywę, która za wpływem albańskiego alfabetu dostała się do słow. piśmiennictwa. Pośredniczącą rolę odgrywała głagolica, która znów jest budową, powstałą na albańskim fundamencie. Wszystkie dodatki powstałe w cyrylicy na podstawie greckiej uncyałki, były już w użyciu, zanim cyrylica zetknęła się z głagolicą. Zetknięcie się cyrylicy z głagolicą i wpływ, jaki jedna na drugą wywarła, nastąpiło za czasów Klemensa w Macedonii.

Pomijając już, że Geitler nie uwzględnił całkowicie historycznych faktów, które z twierdzeniami jego nieraz stawają w sprzeczności, zauważyć musimy, że dowody jego paleograficzne, opierają się na hypotezie, nie znajdującej żadnego poparcia w historyi, i że nadto same kombinacye paleograficzne, które mają dowodzić związku pomiędzy słowiańskim a albańskim alfabetem, raczej przeciw, jak za tą hypotezą przemawiają [1].

Dotąd zatem nie jest rzeczą stanowczo rozstrzygniętą, kto jest autorem obu alfabetów; w dzisiejszym jednakże stanie nauki można dojść do prawdopodobniejszej hypotezy, którą posta-

[1] Zob. krytykę tego dzieła przez Jagića w Archiw. VII. str. 444—479.

ramy się treściwie skreślić: Uwzględniając wszystko, co dotychczas uchodzi w tej materyi jako pewnik historyczny i naukowy, i zebrawszy w jednę całość wszystkie momenta, stojące czy to w ściślejszym, czy też luźniejszym związku tak z apostolską misyą obydwóch apostołów słowiańskich, jako też następstwami tejże, przychodzi się do następnych wniosków, mających za sobą największe prawdopodobieństwo. Obydwaj bracia soluńscy tak się w misyi swojej apostolskiej pomiędzy Bułgarami odznaczyli, iż zwróciwszy na siebie powszechną uwagę, zostali na prośby księcia morawskiego Rościsława przeznaczeni do tłumaczenia Pisma św. na język słow. Tłumaczenie to pisali używanem natenczas pismem greckiem, tj. ówczesną kursywą dobrze znaną w owych stronach słowiańskich. Jak wszędzie tak i tu przyjęto alfabet grecki żywcem dla słow. języka podobnie jak np. na zachodzie alfabet łaciński w podobny sposób przyjęto dla czeskiego i chorwackiego języka. Początkowo oznaczono jedną literą kilka dźwięków, najbardziej fizyologicznie do siebie zbliżonych. Ślady tego stanu ortograficznego widzimy w najdawniejszych zabytkach czeskich i polskich, a jako najbardziej odpowiedni naturze rzeczy, panował on także na wschodzie. O takiej ortografii mógł tylko myśleć Chrabr, kiedy w swej rozprawie o piśmie słow., pisze: (Slovêne) krъstivše že sę, rimьskymi i grъčьskymi pismeny nąždaahą sę pisati slovêньską rêčь bezъ ustrojenia. Dzieło Konstantyna polegało na ulepszeniu tej ortografii w ten sam sposób, w jaki w następnej ortograficznej epoce udoskonalono dokładne oddanie dźwięków w zabytkach łacińskim alfabetem pisanych. Epoka ta polega na składaniu pojedyńczych liter w pewne grupy dla wyrażenia tych dźwięków, dla których jako wyłącznie słowiańskich, tak w greckim jako też w łacińskim alfabecie nie było odpowiednich znaków. Przez połączenie prostych znaków tak łacińskiego, jako też greckiego alfabetu, powstała epoka kombinowanej ortografii słowiańskiej. Twórcą tej kombinowanej ortografii na podstawie alfabetu greckiego był Konstantyn, który w oznaczeniu słowiańskich dźwięków, osiągnął bardzo wysoki stopień dokładności. Z tłumaczeniem Pisma św. (prawdopodobnie Ewangelii św. Jana) w ten sposób nakreślonem, przybyli apostołowie do Morawii, gdzie dzieło swe dalej uzupełniali, stosując je do własności narzecza zachodnio-słowiańskiego. Tutaj też zetknęło się nowe pismo

słowiańskie z dawniej już używanem runicznem, czego ślady pozostały w niektórych nazwach liter żywcem z germańskiego przejętych, lub podług germańskiego alfabetu oznaczonych. Z działalnością misyjną tych apostołów, rozszerzyło się także pismo słow. do panońskich Słowian i dalej jeszcze do Chorwacyi i Czech, gdzie obok łacinnicy było w użyciu. Z tego czasu pochodzi wiadomość o istnieniu psałterza słowiańskiego za biskupa soluńskiego Teodora; również w tej części Słowiańszczyzny i w tym czasie powstał kijowski rękopis. Jako późniejszy zabytek tej działalności kościelno-literackiej na Zachodzie uważać trzeba fragmenty pragskie, które kończą epokę literatury zachodnio-słowiańskiej, uprawianej przez śś. Cyryla i Metodego i ich bezpośrednich uczniów.

Po wypędzeniu kapłanów słowiańskich z Rzeszy morawskiej działalność ich apostolska przeniosła się za Dunaj do Chorwacyi i do południowych Słowian. Tutaj uprawiano dalej i uzupełniono dzieło św. Cyryla, zastosowując je do własności mowy żywej. Przez przeniesienie punktu ciężkości dzieła apostolskiego pierwszych apostołów do Bułgaryi, skoncentrowała się także w Bułgaryi około pierwszych biskupstw cała działalność literacka. Równocześnie nastąpiło zetknięcie się literatury słowiańskiej z grecką, która na słowiańską znaczny wpływ wywarła. Wpływ ten w tem się najwyraźniej odbił na słow. literaturze, że pismo słowiańskie głagolskiego charakteru, poczęto zastępować greckiem, opartem na ówczesnej uncyalce. W zamianie tej jednego charakteru pisma na drugi mógł Klemens odegrywać ważną rolę, ale mogła ona też i bez jego wpływu się odbyć, jako konieczne następstwo miejscowych stosunków. Dzieło samo nie było trudnem do wykonania, gdyż alfabet głagolski posłużył za wzór, który żywcem prawie skopiowano. Przy tem licząc się z czasem i stosunkami, i ulegając przewadze greckiego wpływu zaczęto oznaczać liczby wedle porządku greckiego alfabetu. Do tej reformy mogły się przyczynić ówczesne polityczne stosunki w jakich Bułgarya w obec greckiego narodu i jego oświaty się znajdowała, ale mógł on też wyjść z samej natury głagolskiego pisma. Przeznaczeniem słow. pisma tj. głagolicy było użycie na cele religijne i służbę kościelną, a zatem kursywa dlań była nieodpowiednia. Powaga tych ksiąg wymagała także odpowiednio okazałej formy zewnętrznej, a nadto wzgląd praktyczny na czytelność, i wyrazistość

pisma musiał wchodzić w rachubę. Jakikolwiek przyjmiemy powód tej reformy pisma, dzieło Cyryla uległo przez nią zewnętrznemu przeistoczeniu, ale jego podstawa i właściwa istota została nietkniętą. Stąd też poszło, że to co późniejszy czas zmienił w pracy Cyrylowej, okazało się współczesnym i późniejszym jako małoznaczące wobec doniosłości pracy św. Cyryla, i dlatego tak ta przemiana, jako też i inne poprawki odnoszące się do samego pisma, jak o tem wspomina Chrabr: kako grьčьsky mnogąšti potworiše sę i kyrilowa takožde, poszły w zapomnienie.

Ponieważ obydwa pisma, które stały do siebie w takim samym stosunku, jak kursywa i uncyalka w piśmie greckim, uważano w czasie ich równoczesnego użycia jako jedno, dlatego nie robiono pomiędzy niemi różnicy, lecz oznaczono je jedną nazwą jako *azbuka slověnьskaja*. *pismena slověnьskaja*, *slověnьskij bukarь* (Chrabr) lub *literae slaviniscae* (Jan VIII.). W legendach zaś śś. Cyryla i Metodego, w których mowa jest o piśmie słowiańskiem, przez Cyryla wynalezionem, nie nosi ono żadnej szczególnej nazwy. W rękopisie paryskim nazywa się pismo słow. *abecenarium bulgaricum*, w bulli papieża Inocentego IV. *litera specialis;* dyplom fundacyjny klasztoru słowiańskiego w Pradze, przez Karola IV. nadany mówi o *lingua slawonica*, na którą św. Hieronim Pismo św. przełożył; podobnie i *evangelium* Reimskie napisane w tymże klasztorze r. 1395. W rękopisie Olbrzymim *(codex Giganteus)*, znajdującym się w Sztokholmie, głagolica nazywa się *alphabetum Skavorum* zamiast *Sclavorum* a cyrylica *alphabetum Ruthenorum*, w rękopisie zaś łacińskim w Paryżu z r. 1434 głagolski alfabet ma napis *alphabetum secundum slavonicum*.

W Chorwacyi nazywano głagolicę rozmaicie, zazwyczaj *lingua croatica, literae croaticae*. Dopiero od XVI. wieku zachodzą w książkach drukowanych w Tybindze obok *hrwatska slova* także nazwy: *glagola, glagolska slova, glagolita slova, glagolita* w przeciwieństwie do *cyrylica* lub *cyriličska slova*. W wieku XVI. do XVII.-go mówiono, szczególnie w pismach kuryi rzymskiej, o *literae Hieronymianae*, lub *Illyricae*. Nazwę *glagola* wywodzi Kopitar od częstego użycia wyrazu *glagola* w Ewangelii, która ma oznaczać niejako przezwisko dalmatyńskich księży słowiańskich; Šafařik zaś uważa ją za równoznaczącą z wyrazem *slovo*. Nazwa *bukvica* od

buky wyrazu oznaczającego znak piśmienny, jest najstarsza ze wszystkich. W XI-tym wieku znaną była głagolica pod nazwą cyrylicy na Rusi, jak to się pokazuje z podpisu, który położył pop *Upir Lichy* na końcu księgi Proroków, przepisanych roku 1047 przez niego dla Włodzimirza Jarosławicza, księcia w Nowogrodzie, z dotatkiem, że przepis ten zrobił НС КОУРНЛОВИЂ. Z tego powodu okazuje się, że przepisywający pisząc pismem cyrylskiem, musiał mieć przed sobą oryginał pisany głagolicą, która nazwę tę nosiła. W ogóle podział pomiędzy obydwoma rodzajami pisma na cyrylskie i głagolskie nastąpił stosunkowo późno, podczas gdy początkowo upatrywano w niem jedno pismo słowiańskie w dwojakiem chrarakterze. Tem się też tłumaczy dlaczego cyrylica nie będąca bezpośredniem dziełem Cyryla, otrzymała od niego swą nazwę, podczas gdy głagolica, która wyszła z biegiem czasu z użycia będąc tylko waryacyą cyrylicy pod względem formalnym, mogła tę samą nazwę nosić..

Co się wreszcie tyczy ilości liter obydwóch alfabetów, ilość ta nie była jednakową, lecz różną, stosownie do języka i czasu, dla którego i w którym był pisany odnośny alfabet. Tak Chrabr donosi nam, że Cyryl sьtvori pismena tri desęte i osmь, podczas gdy w *abecenarium bulgaricum* zachodzi tylko 31 liter, zamiast których znowu w rękopisie greckim, wydanym przez *Banduri'ego* w *Imperium orientale*, podanych jest 35 liter, Kopitar naliczył 38 liter w Glagolita Cloz , podczas gdy z pragskich fragmentów użyto w jednym 34, w drugim 35 liter. Cyrylica w *evangelium Ostromirowem* liczy 44 liter, w innych zabytkach aż 48. Zwyczajnie przyjmujemy obecnie dla głagolskiego alfabetu 40, dla cyrylskiego zaś 43, przyczem tak jeden jako i drugi w każdym z nowo-odkrytych zabytków okazuje rozmaite modyfikacye tak pod względem paleograficznym jakoteż i wewnętrznym, odnoszącym się do natury żywego dźwięku. Dzieło bowiem św. Cyryla ulegało ustawicznym dodatkom i poprawkom każdorazowych potrzeb językowych, z czego przeciwnicy robili mu zarzut, jako nêstь ustroilъ dobrê, ponezě sę postrajająть i ešte (tj. slovênьskaja pismena), na co im Chrabr odpowiada: udobêje bo jestь poslêžde potvoriti, neže prъvoje stvoriti.

Antoni Kalina.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Malarstwo ruskie przez *Marjana Sokołowskiego*, (odbitka z Albumu Wystawy archeologicznej polsko-ruskiej, odbytej we Lwowie 1885 r. Lwów 1886).

Już od kilku miesięcy jesteśmy w posiadaniu znakomitej pracy o sztuce ruskiej, która wyszła jako odbitka z Albumu wystawy archeologicznej polsko-ruskiej, w r. 1885 we Lwowie odbytej. O pracy tej profesora Maryana Sokołowskiego, która nas nadzwyczaj zajęła, nie pisaliśmy dotąd, bo chcieliśmy, aby naprzód Album całe ujrzało światło dzienne, i mogło być w rękach tych wszystkich, którzy się tym przedmiotem interesują. Dopokąd jakaś rozprawa znajduje się w nielicznych egzemplarzach odbitki, i rozdawana jest tylko najbliższym przyjaciołom i znajomym, powiedzieć nie można, że wyszła z druku; wyjścia zaś Albumu całego, a przynajmniej ukazania się jego w handlu księgarskim w Krakowie próżnośmy dotąd czekali. Tylko niektóre osoby przybyłe ze Lwowa mówią nam, że w lwowskich księgarniach już ono jest podobno oddawna do nabycia, choć mało kto wie o tem. Czy to prawda czy nie, w to nie wchodzę, ale wielki już czas, by „Przegląd“ nasz, który wszystko co ma wartość ceni, a wszystkiem co dobre się cieszy, o niepospolitej pracy p. Sokołowskiego czytelników swoich zawiadomił.

„Malarstwo ruskie“, bo taki tytuł rozprawy, nie jest pierwszą pracą p. Sokołowskiego dotyczącą Rusi, i wiemy, że nie będzie ostatnią. Już w „Przewodniku naukowym i literackim“ w r. 1883

drukował on swe „Badania archeologiczne na Rusi galicyjskiej“, a w Sprawozdaniu komisyi historyi sztuki w Akademii Umiejętności (Tom I.) „Przedstawienia Trójcy o trzech twarzach na jednej głowie w cerkwiach wiejskich na Rusi“. Ostatnia praca jednak z tych wszystkich najbardziej nas zajęła, bo autor z roku na rok idzie naprzód, coraz głębiej rzeczy bada, coraz szersze zakreśla koło w tem, co ciemne kwestye ruskiej sztuki rozświecić może.

Praca p. Sokołowskiego rozdzielona jest na cztery części. W pierwszej, najkrótszej, daje nam on pogląd na sztukę bizantyńską, której ruska jest gałęzią. W drugiej, mówi o dawnej sztuce ruskiej w ogóle, tak pod rządami Rosyi, jak w Rzeczypospolitej polskiej. W trzeciej części, na podstawie obrazów wystawionych we Lwowie, opowiada nam o kaplicy św. Krzyża na Wawelu, w czwartej zaś i ostatniej, o innych ruskich malowidłach w skład wystawy wchodzących.

Co do pierwszej części mielibyśmy pewne zastrzeżenia. Sobór Nicejski II. przeciw ikonoklastom, choć odbyty na Wschodzie, był jednak VII. soborem powszechnym; kanony jego obowiązywały zarówno Wschód jak i Zachód. To też słowa jednego z kanonów, przytoczone przez pana Sokołowskiego: *Non est imaginum structura pictorum inventio, sed ecclesiae catholicae legislatio et traditio,* nie znaczą zdaniem naszem tego, co p. Sokołowski z nich wyprowadza. Nie są one ustawą by: „obrazy świętych nie były malowane wedle fantazyi artystów, lecz podług praw i przepisów Kościoła“, — ale konstatują one tylko ten fakt, że nie wymysł malarzy wprowadził do Kościoła malarstwo, lecz że ta rzecz znajduje się w starej tradycyi i prawodawstwie Kościoła powszechnego. To tłumaczenie, które samemu brzmieniu wyrazów lepiej odpowiada, tem jeszcze jest poparte, że ikonoklaści nie przeciw pewnym nadużyciom malarstwa religijnego, ale w ogóle przeciw obrazom powstawali, i że na Zachodzie, który kanonom soborów był zazwyczaj bardziej posłuszny niż Wschód, żadnych, jak sam p. Sokołowski przyznaje, bliższych przepisów i praw co do malarstwa religijnego nie było. Nieliczne wypadki, w których Kościół na Zachodzie zajmował się sprawą obrazów świętych, tyczyły pewnych przedstawień, mogących obudzić mylne wyobrażenie o tym lub owym dogmacie, lub wprost pomagać jakiejś istniejącej herezyi. Tak np.

Kościół zakazał malować Trójcę św., jako trzy zupełnie jednakie osoby, mające postać Chrystusa, a przed dziesiątkiem lat Pius IX. nie zezwolił na przedstawienie Królowej Serca Jezusowego w ten sposób, w jaki się znajduje na ołtarzu w Issoudun, by u nóg stojącej Matki Boskiej stał P. Jezus, jako 7-mio lub 8-mio letni chłopaczek, trzymający serce. A i te nawet postanowienia nie obowiązywały wstecz, i dotąd jeszcze oba powyższe przedstawienia, tak Trójcy św. jak Matki Boskiej, przed zakazem wykonane, w wielu miejscach się znajdują. W ogóle Kościół katolicki zostawia tę kwestyę poczuciu religijnemu ludu i duchowieństwa.

Jeśli więc na Wschodzie sztuka religijna była przedmiotem ścisłego prawodawstwa, ma to przyczyny lokalne i pochodzi z ducha ludów wschodnich, przywiązujących zawsze wielką bardzo wagę do formy i zewnętrznych obrzędów — a nadto jest następstwem zerwanej jedności. Gdy bowiem jaka część chrześcijaństwa odrywa się od tej Głowy kierującej jego żywotnym rozwojem, to niechybnie popaść musi, albo w anarchię, jak protestantyzm, albo w nieruchomość, jak Wschód. To też zupełnie prawdziwem i naturalnem jest to, co mówi dalej p. Sokołowski, że to ustalanie się coraz ściślejsze malarskiego kanonu kościelnego na Wschodzie odbywało się głównie w wiekach następujących po oderwaniu się Wschodu od Rzymu.

W dalszym ciągu nie dość silnie zdaje nam się być zaznaczona zasadnicza różnica między rozwijaniem się sztuki zachodniej a wschodniej. Słowa p. Sokołowskiego, że „jak przedstawienia religijne zachodnie, mimo ... wolności, ulegały pewnym prawom, tak też przepisy i formuły ikonograficzne greckie, streszczone przez Dionisyosa, i uświęcone przez Kościół wschodni nie wykluczały ze swej strony odmian“ — są, ściśle biorąc, prawdziwe, byle pamiętać, że sztuka zachodnia była rzeczywiście wolna w rozwoju swoim, a tylko rzadko bardzo w pewnych szczegółach, jak to widzieliśmy, ukrócana; gdy przeciwnie na Wschodzie to wszystko, co było rozwojem pod wpływem Zachodu, było za samowolę, niemal za świętokradztwo uważane. O pierwszem nikt z nas nie wątpi. Dość spojrzeć na przeobrażanie się sztuki religijnej zachodniej od Cimabuego do *cinquecento*, a potem od wieku szesnastego do baroku, dość przypomnieć sobie co sztuka religijna zrobiła w w. XVIII. z postaci św. Maryi Magdaleny, i czem stało się przedstawianie nagich

lub na pół nagich aniołków i aniołów w naszych kościołach, aby widzieć, jak ta ukrócająca interwencya Kościoła w rzeczach sztuki była szczupłą. Co do Wschodu zaś, liczne przepisy i podlinniki wprost rozwój sztuki krępowały. Pomijając zastygłą oddawna Grecyę, w Rosyi, gdzie w ciągu wieków, w granicach przepisami kościelnemi objętych, było zawsze pewne życie i powstało wiele szkół malarskich, a wpływ Zachodu nie dał się zupełnie usunąć, skarży się za dni naszych Snegirew w liście swoim do hr. Uwarowa, że w w. XVI. wspaniały rozwój sztuki włoskiej wywarł tak wielki wpływ na umysł cara Iwana Wasylewicza, a stąd na malarstwo rosyjskie, iż obrazy tego czasu w Rosyi malowane „odchodziły pod niejednym względem od tradycyi kościoła i od nauki prawosławnej, bo malarze nieraz własne pomysły, narodowe zwyczaje, a nawet niektóre artykuły wiary Kościoła zachodniego (?) do sztuki wprowadzali. Grek Maksymus, mówiąc o rosyjskiej ikonografii, wspomina o obrazie, zwanym wówczas *pietà*. Zbawiciel był na nim przedstawiony z greckim napisem, i ze zwojem pergaminowym w ręku. Tak srogie pogwałcenie dogmatów i świętych wzorów musiało wywołać rozdwojenie, herezye i schyzmy, które powagą kościoła usunięte zostały. Makaryusz był wtedy metropolitą całej Rosyi, a zarazem malarzem. . . Użył on skutecznych środków przeciw samowolnym zmianom, które do ikonografii wprowadzono, i nakazał, aby się w przyszłości trzymano ściśle wzorów starych malarzy, a szczególnie Andrzeja Rublewa (w. XIV.). Zarazem poddano zachowanie się malarzy pod kontrolę patryarchy“. A w innym ustępie tegoż listu: „Wtedy (w. XVII.) pokazały się w Moskwie łacińskie obrazy . . . przeciw którym zwrócił się gniew patryarchy Nikona . . . W Moskwie naśladowali malarze obrazów świętych sposób malarzy francuskich i polskich, a wielcy panowie kupowali te obrazy. Co więcej, pomimo surowego zakazu patryarchy Nikona, Bojar Matwiejew i ks. Galicyn kazali kaplice swoje przez włoskich i niemieckich artystów malować“ [1]. Ustępy te, napisane przez Snegirewa, według źródeł współczesnych, wykazują,

[1] Dwa listy Snegirewa umieszczone są jako dodatek do niemieckiego tłumaczenia książki malarskiej z góry Athos, które wyszło w Trewirze w r. 1855 u Fr. Lintza pod tytułem: Handbuch der Malerei vom Berge Athos, übersetzt v. Godeh. Schäfer. Ustępy przytoczone znajdują się na str. 452 i 458.

jawnie, że w Rosyi, choć było pewne życie i znać czasem wpływ Zachodu, uważane to było zawsze jako rzecz zdrożna i stanowczo przez Kościół prawosławny wykluczone.

Inaczej na Rusi, i to znakomicie opowiada nam p. Sokołowski, pokazując z jednej strony wszystkie nici, jakie wiążą dwór Jagiellonów z tradycyą ruskiego Kościoła, co jest źródłem posunięcia się sztuki ruskiej aż na daleki zachód do klasztoru St. Krzyskiego i do Krakowa, a z drugiej strony powianie razem z Unią ducha zachodniej cywilizacyi na Ruś, i stąd wpływ sztuki zachodniej na sztukę ruską, pomyślny lub niepomyślny według tego, czy sztuka zachodnia stała świetnie lub była w upadku. Okazy które były na wystawie lwowskiej, jako dawniejsze, należą do epoki świetniejszej. A że w każdej sztuce okres, w którym z hieratycznej martwoty przechodzi do życia i zaczyna czerpać natchnienia z natury, najbardziej jest uroczy, przeto i obrazy ruskie, które nie odrazu stały się zupełnem naśladownictwem zachodu, ale tylko tajały pod ożywczem jego słońcem, w tej swojej wiośnie są prawdziwą dla oka i duszy pociechą. W sztuce ruskiej przechowały nam się w swój sposób, aż prawie po wiek XVIII. objawy tej naiwnej pobożności i pierwiastków życia wlanych w surowe i poważne formy bizantyńskie, które znamy z XIV. i XV. w. we Włoszech i w Niemczech.

Z treścią obrazów ruskich zaznajamia nas p. Sokołowski nadzwyczaj dokładnie, opisując kaplicę św. Trójcy na Wawelu, ikonostasy Rohatyński i św. Paraskewii ze Lwowa, obraz Sądu ostatecznego z Rozdołu i inne, które na Lwowskiej wystawie oglądał. Są to wiadomości niezmiernie ciekawe, po które do pracy p. Sokołowskiego czytelników naszych odsyłamy. W tych opisach miał także znakomity autor niejednokrotnie sposobność wykazać i co do treści obrazów, wpływ Zachodu na Wschód, śledząc przytem trafnie drogi, jakiemi ten wpływ przychodził. W ogóle cała praca p. Sokołowskiego przedstawia nam się jako niezmierne pogłębienie badań naszych o sztuce ruskiej, a pod niejednym względem dotarcie do gruntu, na jakim te badania oprzeć nam trzeba.

Bo że się sztuką ruską, tak jak całą przeszłością, całem życiem Rusi, zajmować musimy, chcielibyśmy aby nikt nie wątpił. Jest to najbliższy nam i najnaturalniejszy pomost do wschodniego świata słowiańskiego, w którym pod głównym a niechętnym

nam prądem, jest wiele elementów nam pokrewnych, które poznać, i wiele elementów cywilizacyjnych, które rozbudzić nam trzeba. Do tej pracy trzeba nam się wziąść rychło, z tego więc także względu witamy z radością rozprawę p. Sokołowskiego, a jeśli w niektórych kierunkach przeciw niej stanęliśmy, to jedynie dla tego, że boimy się zbytniego zbliżenia duchowego w tem, w czemby dla ducha naszego mogła jaka szkoda wyniknąć. Bez uprzedzeń, ale i bez czułostkowości, bez niechęci, ale też i bez usiłowania pogodzenia tego, co w gruncie sobie przeciwne, z miłością, ale trzeźwo i bez obniżania Zachodu wobec Wschodu, trzeba nam do tego zadania przystąpić. A roboty dużo. Obecnie zaledwie w niektórych zbiorach publicznych z okazami sztuki ruskiej spotkać się można, zaledwie o paru wiemy sławniejszych ikonostasach, co przy niesłychanej ilości starych obrazów po cerkwiach ruskich jest prawie niczem. Podróże więc po Rusi i zebranie umiejętne jaknajobfitszego materyału za pomocą rysunków i fotografij jest pierwszym krokiem do ściślejszych i dokładniejszych badań. Ono dopiero pozwoli nam rozpoznać bliżej rozmaite wpływy i prądy, a dalej określić i uporządkować dzieła sztuki ruskiej, według czasu i szkoły. A bądźmy pewni, że to sprawi tak nam, jak i Rusinom niejedną radosną niespodziankę, stawiając nam przed oczy dowody wzajemnego przyjaznego i zgodnego oddziaływania na rozwój cywilizacyjny. Wiemy, że znakomity autor rozprawy o malarstwie ruskiem badań swoich na tem polu nie zawiesi, pragnęlibyśmy tylko, aby przykładem swoim jak najwięcej naśladowców za sobą pociągnął.

X. Eustachy Skrochowski.

Rok 1386. W pięciowiekową Rocznicę napisał *Stanisław Smolka*. Kraków nakładem J. K. Żupańskiego, str. 144.

Obchodzić wielkie rocznice historyczne uroczystościami jubileuszowemi nie zawsze dozwala roztropność, bo nie zawsze przystoi szkarłatem minionej chwały okrywać dzisiejszą nędzę. Nieskuteczny to bywa protest wobec obcych, a nie zawsze zdrowy objaw dla nas samych. Zawsze atoli godzi się i należy uczcić pamięć postaci lub wypadku dziejowego jego głębszem rozpamiętywaniem i skrzętnem badaniem.

Odkąd praca historyków naszych ujętą została w pewien systemat, i że tak powiemy zbiorową organizacyę, jaką jej nadał Szujski, jakiej ogniskiem stała się Akademia — żadna z tych rocznic nie mija, aby nasz skarbiec historyczny się nie wzbogacił. Obchód Długosza protoplasty historyków polskich stał się jakby aktem inauguracyjnym nowego okresu dziejoznawstwa. Jubileusz Kochanowskiego zagrzał cały szereg młodych pracowników do rozglądnienia się i poszukiwań w tej bogatej spuściznie cywilizacyjnej złotego wieku, a za impulsem danym w tym kierunku przez nieodżałowanego autora „Reformacyi i humanizmu“, zebrała się cała wiązanka studyów nad ówczesnym prądem kultury, uzupełnił je zaś pendzel mistrza obrazem Rzeczypospolitej Babińskiej, jak studya nad Kochanowskim, portret poety z Czarnolesia tego samego pendzla.

Rok 1883 cofnął nas o dwa wieki wstecz, do dnia największej naszej europejskiej sławy, a obok obrazu, co zawisł wśród Rafaelów i Buonarottich w Watykanie, zostawił nam gruby wolumin dokumentów z daty 1683, uzupełniający pomnikowe naszej Akademii publikacye Sobiescianów.

Rocznica ślubu Jadwigi z Jagiełłą, czyli pierwszych zrękowin Polski z Litwą — nie przyniosła nam ani dzieł artystycznych, ani publikacyj źródłowych. Następca Szujskiego na katedrze historyi polskiej, już z urzędu swego miał poniekąd obowiązek uczczenia rocznicy wiekopomnej i tak doniosłej w następstwa.

Zagłębiony dotąd w Polsce piastowskiej, poraz pierwszy, jeśli się nie mylimy, wychodzi poza granice XII. i XIII. wieku, które były dotąd jego specyalnością. Autor „Mieszka starego“ ma szczególny dar i właściwość w przedstawianiu procesu, że tak powiemy genetycznego w historyi, ujmowania pierwiastków rodzimych, i napływowych prądów w epokach przejścia. Pamiętny jest jego udział w sporze akademickim z dwoma innymi badaczami (Bobrzyńskim i Piekosińskim) bo ta dysputa, której repliki i dupliki wydała Akademia w osobnym tomie, lubo nie rozcięła problematów przeznaczonych na to z natury swojej, aby pozostać w dziedzinie hipotez, atoli miała dodatni skutek, bo posunęła naprzód rozpoczęte badania przez historyków poprzedniej generacyi (Lelewela, Maciejowskiego, Bielowskiego i Szajnochę), i zamiast szablonowych do-

ktryn wzięła za podstawę ścisłą analizę pierwostanu, z którego społeczność polska się wyłoniła.

W *Mieszku Starym* i *Szkicach* Smolki widzimy tę samą właściwość historyka, śledzącego czynniki rozwoju i wzrostu. Wypadek roku 1386 będzie tego wzrostu terytoryalnego punktem kulminacyjnym, jego następstwa naznaczą najdalsze granice, które zapełnić pracą zjednoczenia, stanie się zadaniem epoki jagiellońskiej. Czy ten związek nie rozpostarł zadaleko tych granic, czy tem samem nie wstrzymał wewnętrznego skonsolidowania państwa i nie wyczerpnął przedwcześnie jego sił? oto pytania, które niedawno p. Bobrzyński stawiał. P. Smolka nie przesądza doniosłości unii, która dotąd na dynastycznym zawisła związku, ale fakt wyjątkowo piękny w dziejach ludzkości, nazwany przez Klaczkę *une annexion d'autre fois*, wyjaśnia raczej poglądem historyozoficznym, niż metodą analizy.

Im głębiej w przeszłość, tem mniej przybywa nam materyału źródłowego. Historycy czasów upadku, lub czasów rozkwitu Polski, co dziesięć lat znajdują tak pomnożony materyał, że łatwo im nowe ukazywać strony, niedotknięte dotąd przedstawiać szczegóły, prostować swych poprzedników, zmieniać stanowisko i odmienne rzucać światło.

Epoka i postacie Jadwigi i Jagiełły należą do najbardziej opracowanych w naszej literaturze historycznej, która jak mozajka przeważnie dotąd z prac monograficznych się układa.

Czterotomowe dzieło Szajnochy z wysokim artyzmem przedstawiania, połączyło skrzętne wyczerpanie źródeł. Maurycy Dzieduszycki w „Zbigniewie Oleśnickim“ uzupełnił Szajnochę zwłaszcza poglądem na stosunek narodu do Kościoła — Kazimierz Stadnicki wyjaśnił stan Litwy.

Dr. Smolka przystąpił więc do przedmiotu wielostronnie i wyczerpująco opracowanego. Aby po Szajnosze i innych opowiadać dzieje Jadwigi i Jagiełły, trzebaby albo tych autorów powtarzać, albo ich obalać. Pierwsze byłoby kompilacyą, drugie pokusą hiperkrytycyzmu. Autor niezdolny pierwszego, wolny od drugiej — dorzucił wieniec świeżych i głębokich myśli, pełnych woni dziś tak rzadkiej, bo studyum jego ma nastrój wysoki, idealny, duchowy, syntetyczny. Pod tym względem książka p. Smolki jest fenomenem

w dzisiejszym kierunku badań analityczno-krytycznych, a przeważnie negatywnych — ciepłem swem, uczuciem i urokiem z dwoma tylko może się porównać: z „Mścicielem“ Szajnochy i z Szujskiego „Reformacyą i Odrodzeniem“.

Z *Mścicielem*, dziś zbyt mało czytanym, ma studyum Smolki wspólną ideę ofiary i poświęcenia, jako czynnika w historyi narodów. Jak Sobieski w prologowym obrazie Szajnochy jest rycerzem chrześcijańskim, co ma pomścić rodowe i narodowe krzywdy — tak królowa Jadwiga Smolki, wyrzekając się miłości dla rozszerzenia wiary, jedna mnogie błogosławieństwa, co spłyną na te narody.

Tak ją pojmował i czcił naród przez długie wieki — ale takie pojęcie dramatu indywidualnego, wiążącego się z dramatem politycznych dziejów, wyda się niejednemu właściwem i dopuszczalnem w poezyi, lecz anachronizmem w historyi, i jakby herezyą przeciw prawidłom umiejętnych metod. Słyszeliśmy już tego rodzaju zarzuty przeciw ostatniej publikacyi autora i oskarżenia o mistycyzm i sentymentalizm.

Mistycyzmem się bowiem i sentymentalizmem nazywa dziś wszystko co w żelazny łańcuch przyczyn z bezwzględnej racyi stanu, brutalnej siły i materyalistycznej walki o byt, wprowadzać jeszcze ośmiela się ogniwa uczucia, wiary, poświęcenia, miłości, nawet bohaterstwa, zgoła ogniwa duchowe, których nawiązanie jest pozaświatowem i uchyla się zpod kryteryum czysto matematycznego obrachunku. Idąc dalej metodą realizmu w historyi, — doszlibyśmy niebawem do przekreślenia z dziejów ludzkości najpiękniejszych kart. Cóżby się ostało z tego czem chrześcijaństwo zwyciężało, z tą krwią męczenników, krwią krzyżowców, posłannictwem Dziewicy Orleańskiej, z tem co w dziejach naszych blaskiem także nadziemskiego bohaterstwa jaśnieje, jak obrona Częstochowy i odsiecz Wiednia? Ale nadto wyprzeć by nam się należało i tego cośmy dotąd wielbili z pogańskiej starożytności, owych bohaterskich postaci Hellady i Romy, aby tylko śledzić i sławić to co było podbojem i rozrostem zdobywczego imperyum, materyalną przemocą i systematem asymilacyi. Kierunek ten objawia się nietylko negacyą pierwiastku wiary w losach ludzkości i narodów, ale także obala ideały wolności i patryotyzmu, jakie dotąd historya nam przekazywała. Reakcya przeciw wszelkiemu idealizmowi w historyi, cześć siły i po-

wodzenia, przesadne pojęcia, że narody giną duchem indywidualizmu a rosną bezwzględną uległością — ta reakcya, psychologicznie dająca się u nas zwłaszcza w obecnej chwili zrozumieć, idzie tak daleko, że niedawno z poważnych i wielce szanownych ust z boleścią usłyszeliśmy apologię owych bojarów, co na kolanach błagali groźnego monarchę, aby ich dalej katował i mordował, ale nimi rządził.

O duchu mój! wstecz się cofnij, stój,
Nie takąż to bronią na ludzkości czele
Z złem na ostre gonią — zła ukruciciele —

powiemy z poetą.

Są w historyi chwile ciężkie i tak czarne, że ani dojrzeć przez chmury tej interwencyi wyższych, czystych duchów, co ofiarą i poświęceniem spełniają wielkie posłannictwa i okupują błogie dla przyszłości następstwa. W takiej chwili dziś żyjemy. Dobrze, że historyk chrześcijańskiem do głębi przejęty poczuciem, stwierdził i uwydatnił taki mistyczny wpływ na dzieje narodu królowej Jadwigi.

Książka p. Smolki ma także, jak już wspomnieliśmy pewną analogię z arcydziełem Szujskiego „O Reformacyi i Humanizmie“ — choć mu nie dorównywa. Ta analogia zawisła na umiejętności odkopywania tych źródeł i prądów, jakiemi do nas przepływały pierwiastki kultury zachodniej.

Autor bardzo misternie wykazał afiliacyę cywilizacyjną, którą dom Andegaweński z Francyi do Neapolu, z Neapolu do Węgier i Polski przenosił. Są tam także na kilku kartkach streszczone studya z nowej całkiem strony. Tak wyjaśniona postać i polityka Ludwika Węgierskiego — tak krzyżujący się stosunek Węgier, Polski i Litwy do Rusi, a wreszcie wpływy cywilizacyi bizantyńskiej z tem, co Polska z Zachodu na Ruś przynosiła.

Przeczytawszy książkę doznaje się wrażenia, że autor niedość rozwinął tego, co do wyjaśnienia tej epoki zdobył badaniem i myśleniem. Jest to szkic a nie obraz, a ma tę wadę, że miejscami w formie zbyt wykończony, w innych zaledwie naszkicowany. Nierówny też styl, czasem błyszczący, aż do olśnienia, miejscami monotonny. To także podobieństwo z Szujskim, którego myśli głębokie i świetne, stawały się niekiedy zawiłemi, jak gdyby przeszły przez filtr niemiecki.

L. Dębicki.

O Przysiędze, mianowicie o zasadach prawnych Kościoła jej dotyczących, z uwzględnieniem wpływu takowych na prawodawstwo świeckie, zwłaszcza na prawo rzymskie i na dawne prawa germańskie, napisał *Dr Józef Brzeziński*, Doc. Uniw. Jag. Kraków 1886. Str. 198.

Ilekroć napotykamy książkę prawniczą, zawsze już z jej okładek wieje jakiś chłód, jakaś martwa suchość, widmem nudów odstraszająca nas od czytania. Uprzedzenie to, często uzasadnione, niesłusznem byłoby względem dziełka, którego krótką ocenę podać tu zamierzamy. Małe jest ono co do objętości, ale w treść obfite. Zamiast wykazu suchych prawideł i paragrafów, jest tu wcale dokładny rozbiór wszelkich rodzajów przysięgi wraz z opisem rozlicznych jej właściwości i religijnych zasad, z zastosowaniem do poszczególnych wypadków i bardzo udatnym szkicem jej dziejowego rozwoju.

Cenność dziełka podnosi jasno uwydatnione stanowisko sz. autora, który gardząc charakterem obojętnego badacza, i wszelkiemi względami zewnętrznemi, staje otwarcie po stronie Kościoła, broni praw jego przeciw Malblanc'owi. A te kościelne przekonania swoje wypowiada on bez obawy, bez zastrzeżeń, lecz z odwagą i gorącym zapałem. Jedną z głównych zalet jest jasność w całej pracy, nie wyjmując nawet kwestyj spornych, w których rozwiązaniu, zwykle się trzyma pewniejszego i bardziej uzasadnionego zdania. Tylko w sporze o działaniu kanonicznego oczyszczenia *(purgatio canonica)* według dekretu Innocentego III. pozostawia Dr. Brz.., kwestyę nierozstrzygniętą (str. 163). Powtóre widoczną jest w tem dziełku nadzwyczaj skrzętna pilność w przytaczaniu doświadczonych, choć średniowiecznych kanonistów, przyczem i zdobycze nowszej literatury prawoznawczej bynajmniej nie są pominięte. Owszem autor uwzględnia i zastosowuje, opinie zarówno katolickich jak i protestanckich pisarzy, tak w dziale kościelnego, jak i cywilnego prawa.

Warto choćby w ogólnych zarysach poznać treść tego dziełka. Przedmiotem jest tu przysięga *in foro externo*: tj. jej istota, przymioty, warunki i t. d. przyjęte w kanonicznem sądownictwie. Przedmiot swój rozwija autor w czterech oddziałach: W 1-ym omawia przysięgę w ogólności. Po krótkiem a jasnem określeniu przysięgi, wymownie udawadnia, że przysięga ta jest zasadniczą podstawą społeczeństwa cywilnego — rzeczywistym aktem religijnym, którego żadne „słowo honoru" zastąpić i zrównoważyć nie zdoła. Słusznie więc nietylko z prawa ale i z obowiązku winien był Kościół rozciągnąć nad tym aktem swą władzę zwierzchniczą. Aby twierdzenie to jaśniej wykazać, staje autor na stanowisku dziejowem, cofa się aż do czasów klasycznego rozkwitu u Greków i Rzymian i tu znajduje, że przysięga, sądem ogółu, za rzecz świętą była uważana, później dopiero zmąciło się i zatarło to czyste a powszechne poczucie najoświeceńszych narodów. Tenże sam objaw przedstawiają dzieje Germanów, Saksonów, Słowian i Żydów. Wreszcie następuje wyjaśnienie, czem jest przysięga w pojęciu i ustawach Kościoła; najprzód co do swej istoty, tj. jakie składniki bezwzględnie są potrzebne, aby przysięga była ważną, *(intentio et forma, ut sit validum)* i pod jakiemi warunkami jest ona dozwoloną *(veritas, justitia et judicium, ut sit licitum)* (str. 7—39). Tutaj może należałoby dla większej jasności dodać krótki podział przysięgi. To też nadmienić wypada, że formuła „juro" (str. 26) wtedy tylko jest ważną, jeśli same okoli-

czności jasno pokazują, (*si ex circumstantiis pateat*), że przysięgający istotnie Boga wzywa na świadka słów swoich. Szczególnie wyborny jest cały paragraf o krzywoprzysięstwie *perjurium* (str. 39 i nast.), które już u starożytnych Rzymian surowej podlegało karze. Tutaj doskonale zbija autor zarzuty Lista, dowodzącego (str. 58), że czynność człowieka wcale nie uwłacza Majestatowi Bożemu, oraz, że bronić czci Bożej bynajmniej nie należy do posłannictwa lub obowiązków państwa. To ostatnie twierdzenie mógł był sz. autor zbyć prostem tylko zaprzeczeniem: bo państwo z istoty swego stanowiska, a tem więcej, jeśli jest chrześcijańskie, w żadnym razie i pod żadnym warunkiem, nie może trzymać się indyferentyzmu wobec Boga — o czem jasno poucza etyka. W II-ej części zastanawia się Dr. B. nad znaczeniem i wartością przysięgi w procesach kanonicznych. Poprzednio jednak zaznajamia nas ze sposobem składania przysięgi i jej wartością w prawie rzymskiem, podług ustaw bądź przed Justynianem bądź po nim istniejących. Następnie zestawia je z prawem kanonicznem i wykazuje zachodzącą między niemi różnicę (str. 98). Jasność książki w tem miejscu byłaby niezawodnie daleko doskonalszą, gdyby tu właśnie zamieszczony był choćby najkrótszy wykaz głównych czynników w kanonicznych procesach. Zresztą dokładnie wykazuje autor, że i prawo kanoniczne we wielu, choć nie we wszystkich wypadkach, przez wykonanie przysięgi podaje rzeczywisty, jakkolwiek nadzwyczajny środek złożenia rozstrzygającego dowodu. Część III. i IV. obejmuje dwa szczegółowe rodzaje przysięgi. Pierwszem z nich jest oczyszczenie kanoniczne *(purgatio canonica)*. Część ta należy niezawodnie do najpiękniejszych ustępów w tem dziełku. Tu rozwiązuje autor pytanie, na czem polega istota oczyszczenia kanonicznego i czem ono było w starożytnem prawie rzymskiem i w kodeksie Justyniana. W tym też celu rozpatruje się w ustawodawstwie staro-germańskiem, przyczem podnosi zasługi Kościoła, który ustawy te uszlachetnił i uświęcił swym wpływem, chociaż z drugiej strony, wcielił do zbioru swych praw, niektóre warunki niemieckiego procesu, jak np. ideę *consacramentalium* przy oczyszczeniu kanonicznem. Dalej poznajemy fazy, jakie przechodziła owa *purgatio canonica* aż do czasów Innocentego III. i zamiary, jakiemi w jej ustanowieniu powodował się Kościół, tj. *ad lucidam sacerdotii dignitatem contra malam famam, inter homines bonos et honestos viros*. Następnie określa autor rodzaje oczyszczenia kanonicznego, do których przypuszczano później także ludzi świeckich (str. 161), oraz warunki przy tym akcie probierczym zarówno dla kapłanów jak i dla świeckich przez Kościół ustanowione. Wreszcie, wspomina o następstwach, jakie pociągałby za sobą opór ze strony kapłana odrzucającego oczyszczenie kanoniczne, skoroby mu ono w procesie było przedłożone jako ostatnia droga wyjścia lub ostatni środek rehabilitacyjny. Następstwem tem jest: *privatio officii et beneficii* (Aleksander III.), *species suspensionis* (Lucius III.), a według przepisu Innocentego III. nawet zamknięcie w klasztorze, gdyby przedmiotem toczącej się sprawy było podejrzenie o herezyę (str. 163).

Bardzo trafnie ocenił autor stosunek Kościoła do Ordaliów, dawnych, pogańskich Germanów. Zrazu cierpiał on to zło nieuniknione *malum necessarium*, następnie starał się podsunąć mu ideę chrześcijańską, a w końcu zniósł zupełnie różnorodne próby, jak: wrzącej wody, rozpalonego żelaza i t. p.; jakkolwiek podówczas ciężką walkę staczać przyszło z chrześcijańskimi Germanami, bo nawet w niektórych kościołach chrześcijańskich próby te przyjęte

zostały w skład prawa partykularnego (str. 164—169). Kościół rzymski zawsze opierał się tym nadużyciom i stanowczo je odrzucał. Dowodem Mikołaj I., Stefan V., Aleksander II. (str. 170). Osnowę części IV. stanowi jasny rozbiór przysięgi przyrzekającej *(juramentum promissorium)*. Tu określa autor jej istotę i moc obowiązującą w sumieniu *ex virtute religionis*. Oczywiście Dr. B. uwzględnia tylko *forum externum*, mówiąc o znaczeniu i skutkach przymusu *(vis)*, bojaźni *(metus)* lub błędu *(error)* przy takiej przysiędze, oraz o koniecznych warunkach, pod jakiemi jedynie ona ważną i dozwoloną *(validum et licitum)* być może. Na tem miejscu zbija autor twierdzenie Malblanc'a (str. 179), jakoby przysięga nie miała żadnego związku z sumieniem, i omawia niektóre szczegółowe wypadki, w których *juramentum promissorium* zachowuje swą ważność (str. 180). Tu właśnie rozbiera on tylokrotnie już przeciw papieżowi podnoszoną kwestyę, o uwalnianiu poddanych od przysięgi wierności złożonej panującemu. Słusznie zaznacza autor (str. 190), że w takim wypadku, ekskomunikowany władca nie traci swej władzy *ipso facto* lecz, że papież oznajmia tylko światu, iż tenże, jako wyklęty, władzy już nie posiada wskutek czego też i przysięga poddańcza utraciła już swą moc obowiązującą. Kwestyę tę jaśniej wyłuszczyćby można, sposobem przez Hergenröthera *(Katolische Kirche und christlicher Staat)* wskazanym.

Utrata władzy panującego nie łączyła się z kościelną klątwa *eo ipso*, to prawda — lecz zdanie to wymaga objaśnienia. Otóż z upływem czasu, nietylko prawo kanoniczne, ale co najważniejsza, publiczne też prawo świeckie państw chrześcijańskich, przywiązało do klątwy kościelnej rozmaite cywilne i polityczne następstwa, dotykające ekskomunikowanego, jeśli tenże po upływie roku nie postara się o zdjęcie tej klątwy. W tym dopiero wypadku, na mocy prawa świeckiego, oznajmiano publicznie deklaracyę, że panujący władzę swą utracił[1] Z tą kwestyą łączy się następny paragraf o dyspensowaniu i uwalnianiu od przysiąg *(dispensatio et absolutio)*. Dział ten, choć krótko, lecz umiejętnie i wyczerpująco jest opracowany.

W końcu spotykamy jeszcze pobieżną wzmiankę o przysiędze posłuszeństwa *(juramentum obedientiae)*, przez biskupów papieżowi składanej.

Powinszować możemy szan. autorowi, że tak chlubnie wywiązał się ze swego zadania. Zaznaczyliśmy wprawdzie niektóre drobne usterki, lecz te krytyczne uwagi bynajmniej nie uwłaczają wartości dziełka, lecz owszem dowodzą, że z wielkiem je czytaliśmy zajęciem.

X. A. Kraetzig.

Credo. Historya konfederacyi Tyszowieckiej przez *Ludwika Piotra Leliwę*. Kraków 1886. Str. 254.

Z pewną nieufnością zabieramy się do czytania dzieła „Credo" p. Leliwy, tak niezwykle staranne i tak ozdobne jest to wydanie. Lecz chwila nieufności prędko przemija: bo już na pierwszych kartach spostrzegamy ślad wyższej myśli, co jakby nić złota przeplata całą treść powabnego dziełka. Celem autora jest wykazać na smutnem tle dziejów Ojczyzny naszej w XVII w., ideę wiary która zawsze, wśród najcięższych niebezpieczeństw, zachowuje niespożytą siłę

[1] Patrz: Hergenröther, l. c., str. 42 i nast., (w dawniejszem wydaniu).

w sercu naszego narodu, na krwawych gruzach świeci jarzącą pochodnią i z odmętu burz wszystkich wypływa gwiazdą zbawienia. Do tego też celu zastosował się autor w swej Historyi konfederacyi Tyszowieckiej, którąby raczej genezą jej zawiązania się nazwać należało. Kilka historyozoficznych myśli o stosunku wiary do moralnej i politycznej potęgi narodów, stanowią jakby wstęp (rozdz. I.), po którym następuje charakterystyka potężnych Szwedów, i słabej, upadającej Polski. Rozdz. II—VII. przedstawia zaborczy najazd Szwedów na Rzpltę, oblężenie i obronę Jasnej Góry. Siódmy rozdział dopiero maluje nam obraz tryumfu nad Szwedem i ogólny zarys konfederacyi Tyszowieckiej.

Bardzo udatne robi autor porównanie ówczesnej Szwecyi z dzisiejszemi Prusami, a Gustawa Adolfa z Bismarkiem. Porównanie to wychodzi oczywiście na niekorzyść „Żelaznego Księcia". Dosadna tu charakterystyka, lecz nie zupełnie prawdziwa. Bo lubo na kartach dziejowych Gustaw Adolf stoi bez porównania wyżej potęgą rycersko-zdobywczego geniuszu, to jednak olbrzymiej choć moralnie nikczemnej przemyślności Bismarka, niepodobna odmówić pierwszeństwa. O ile jednak pokrewne są podstawy politycznej pracy dwóch tych olbrzymów, o tyle też podobne praca ta wydała lub wyda owoce. „Bo gmachy państwowej wielkości, gdy są rabunkiem, przemocą i krzywdą bratnią wzniesione, utrzymać się nie mogą" (str. 31).

Zajmujące szczegóły podaje autor o Gustawie Adolfie, a więcej jeszcze o rządach i nawróceniu jego córki Krystyny[1] i o Karolu X. Szczegóły te wzięte są ze źródeł przeważnie obcych, jak: Mauvillon, Sam. Puffendorf, Mémoires du Chevalier Terlon, Chopin'a, Révolution des peuples du Nord, Schmaussa, Einleitung zu der Staatswissenschaft, i t. d. Spotykamy tu także dłuższe cytaty z niedawno ukończonego dzieła p. Leliwy p. n. Jan Sobieski i jego wiek. Połowę jednak książki zapełniają nie nowe wprawdzie, ale gorące i dokładnie określone dzieje oblężenia Jasnej Góry i walk tam stoczonych. Tu zwracamy uwagę, że pochodzenie obrazu N. Panny Częstochowskiej, od św. Łukasza dalekiem jest od tej bezwzględnej pewności, z jaką autor o niem opowiada (str. 70 i 71). Mówiąc o ujemnych stronach książki nie możemy pominąć stylu, który, choć ogólnie wiele ma niezaprzeczonych zalet, grzeszy jednak nadmiarem synonimów i przymiotników, które zamiast wzmacniać, rozwadniają wyrazistość i siłę myśli. Razi także częste powtarzanie tych samych, często mniej właściwych wyrazów, jak „ogniście" lub „arcy" w połączeniu z przymiotnikami. Nadto, zbyt wiele może różowego optynizmu w tem wyznaniu wiary polskiego serca, lecz optymizm ten mniej razi w tem dziełku, które nie jest szkicem historycznym, ale raczej historyozoficznym obrazem, więc wolno mu swym ideałom jaśniejsze przypinać skrzydła, aby ich blaskiem rozjaśnić cienie przyszłości.

Prawdziwie wzniosły i serdecznie wyrażony jest drugi praktyczny cel autora, bezpośrednio z pierwszego wynikający Polska w przededniu wojny szwedzkiej upadała pod brzemieniem klęsk nędzy, zniszczenia. Zdawało się, że najazd potężnych Szwedów rozszarpie ją i zepchnie w grób bez zmartwychwstania. Tron był bez króla, kraj bez obrońców, naród bez chleba, powódź

[1] Bardzo zajmujący artykuł o ówczesnych stosunkach między Polską a Szwecyą, ob. w „Misyach katol." p. n.: Missye Szwedzkie.

szwedzkiego żołnierza zalała całą Polskę — tylko jeden jasny punkcik świecił wśród strasznych ciemności: cudowny obraz Maryi P. on to rozbudził wiarę, miłość ojczyzny i niezwalczoną siłę odporną w konającym narodzie — on wrócił króla, zgiął kolana Polski przed ołtarzem Bogarodzicy w Lwowskiej katedrze a z ust wywołał powszechny ślub uroczysty... niestety do dnia dzisiejszego jeszcze nie spełniony [1]. Fakt ten jest drogoskazem dla nas i potomków naszych. „Co Ojców ratowało i synów wybawi... Patrzmy w przeszłość bo w niej przyszłość nasza“ (str. 25).

B. J.

Kilka słów o hygienie duszy. Odczyty miane w Towarzystwie Przemysłowem, w pałacu hr. Zamojskich, przez *hr. Wawrz. Benzelstjerna Engeström.* Poznań 1886. str. 179.

Jeśli dobrą i pożyteczną jest hygiena ciała, tembardziej znaną i cenioną winna być hygiena duszy: oto założenie, z którego wychodząc autor, zastanawia się w szeregu zajmujących prelekcyj nad głównemi chorobami naszej duszy i różnemi sposobami, jakiemi zapobiegać im i leczyć je można. Materyalizm, egoizm, nienawiść, zarozumiałość, próżność, zazdrość, nierozumna żądza popularności, niestrzeżenie się drobnych wad, przedstawiają się z kolei, każda w swej barwie, z właściwą sobie cechą, jako wrogowie duszy, z którymi pod żadnym warunkiem nie wolno zawierać pokoju. Kto z tych chorób nie stara się uleczyć, ten nawet tu na ziemi, względnego szczęścia nie osiągnie. Lekarstwem najlepszem i jedynem jest głęboka wiara i wytrwała praca nad uszlachetnieniem umysłu i serca; bez wiary i pracy nie utrzymamy nigdy duszy naszej w środku między materyalizmem a wygórowanym idealizmem, nie zapewnimy jej prawdziwego zdrowia.

Jak widać z tego pobieżnego streszczenia, książeczka hr. Engeströma podejmuje cały szereg, może aż zbyt liczny, najważniejszych pytań. Szczególną uwagę zwraca autor na szkodliwość złych książek, a pożytek dobrych; jak brudna, bezbożna książka jest przyczyną nadzwyczaj wielu chorób duszy, tak przeciwnie książka dobra nieobliczone przynosi korzyści. Ale korzyść ta nie zawsze równa; przerzucanie samych romansów lub dzienników, nigdy poważnego czytania nie zastąpi. Święta to prawda, i szczerze wdzięczni jesteśmy autorowi, iż tak tę prawdę, jak i wiele innych śmiało, jasno, a w ogóle mówiąc, w pięknym języku wypowiedział. Jeśli czego możemy żałować, to braku pewnej przeźroczystości, z góry obmyślanego i widocznego planu, co zwłaszcza na początku książki niemile razi. Stosunek wiary do wiedzy (str. 19), istota nadprzyrodzonego porządku, do którego za łaską Bożą zostaliśmy podniesieni (str. 17) bardzo niedokładnie są przedstawione; rozprawę o różnicy między rozumem i rozsądkiem, jako ściśle do przedmiotu nie należącą, a dla ogółu nieprzystępną, lepiejby było zdaniem naszem opuścić; wyliczenie głównych

[1] Obowiązek spełnienia tego ślubu ciążący i na naszem pokoleniu zrozumiało „Grono Polek“ we Lwowie, zawiązując w roku zeszłym Bractwo, którego celem wywiązanie się z tego długu względem Boga i Ojczyzny. Za pozwoleniem Najprz. Arcypasterza rocznica ślubu Jana Kazimierza obchodzi się uroczystem nabożeństwem, z wystawieniem Najśw. Sakramentu.

gwiazd filozofii (str. 112) robi również nieco chaotyczne wrażenie. Wszystkie to zarzuty, które po sumiennem przeczytaniu pożytecznej tej książeczki, wynotować zdołaliśmy. *J.*

Młodość Bohdana Zaleskiego, (1802—1830), przez *Hugona Zatheya.* Kraków 1886.

Jest to odbitka ze: Sprawozdania rocznego, Trzeciego gimnazyum w Krakowie, i z prac tegorocznych w tym rodzaju jedna z najcelniejszych. Autor znany z wytrawnego pióra i smaku estetycznego, wziął sobie za przedmiot nie dość znaną młodość zmarłego przed paru miesiącami ukraińskiego wieszcza. Materyałem do tego były mu wyznania samego poety, złożone w jego pismach, opowiadania Odyńca i rozrzucone tu i owdzie notatki, a z tego skąpego materyału skleił piękny rys biograficzny.

Bohdan, Ukrainiec z rodu, odebrał od natury duszę smętną, melancholijną a głęboko poetyczną. Wśród ludu, na łonie natury spędził lata chłopięce, przysłuchując się opowiadaniom barwnym i dumkom, któremi cała rozbrzmiewała Ukraina, i nie dziw że pojony tem mlekiem, stał się najcelniejszym piewcą ludowym, jednym z twórców ukraińskiej szkoły poetów. Mistrzem głównym w kształceniu tej strony poetycznej był mu Jan z Czarnolasu, obok Nestora i piewcy „Słowa o pułku Igorowym", a później niemały wpływ też wywarł nań Brodziński, którego nietylko wykładów literatury polskiej słuchał w Warszawie, ale do najszczerszych zaliczał przyjaciół.

Lata młodzieńcze spędził w Humaniu. Druhami jego serdecznymi z ław szkolnych byli: Goszczyński i Michał Grabowski. Twierdzenie u biografów Bohdana dość rozpowszechnione o koleżeństwie z Padurą, zbija autor stanowczo, wykazując, że nie łączyła ich nigdy, ani szczera przyjaźń, ani znajomość.

Ośmnastoletnim młodzianem przybywa do Warszawy, by dokończyć wykształcenia, i przystaje do obozu młodych, ale nie miesza się do walki, i nuci sobie swobodnie swe piosenki. Tu obok Brodzińskiego, ścisły węzeł przyjaźni połączył go z Malczewskim, który zgoryczony zawodami, ostatkiem już życia gonił. Dalej kreśli autor powodzenie jego utworów i zainteresowanie się nim Mickiewicza, koleżeńskie pożycie z Mochnackim, Witwickim, Odyńcem i Chopin'em.

Piękny i zajmujący cały ten obrazek życia młodego poety. Czytając go, czuć, że autora nietylko „jasna i piękna postać" zajęła, że ją odczuł i zrozumiał, ale że jest dla niej z szacunkiem a nawet uwielbieniem. *Z.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Główne kierunki powieści rosyjskiej.

(Le Roman russe par le Comte *E. M. Vogue.* Paris Plon. 1886, tudzież liczne artykuły *O. P. Pierlinga*, o powieściach rosyjskich w „Bibliographie catholique").

Powieściopisarz angielski, francuski, niemiecki, włoski, nie myśli zazwyczaj o robieniu propagandy swą powieścią, rzadko kiedy

oddaje się w służbę jakiemuś filozoficznemu czy społecznemu systematowi, któremu jedynie i wyłącznie pióro swe-by poświęcił; sztuka dla sztuki, sztuka dla pieniędzy, sztuka dla sławy: oto zwykłe jego hasła. Inaczej powieściopisarz rosyjski. Nie mogąc długi czas gdzieindziej jasno wyrazić swych marzeń i myśli, oblekał je w formę powieści, i tak się do tego przyzwyczaił i przyzwyczaił swych czytelników, iż i dziś jeszcze walczy powieścią tam, gdzie na Zachodzie walczonoby filozoficznem dziełem, broszurą, lub artykułem dziennikarskim. A wyznać należy, iż powieść, zwłaszcza powieść napisana świetnie i popularnie, okropną jest bronią; czytają ją uważnie ci, którzyby zasnęli nad filozoficzną książką, a przerzucili od niechcenia karty dziennika; poglądy w niej zawarte wsiąkają w rozum, wyobraźnię i serce, a łatwowierny, ujęty czarem obrazów i stylu czytelnik czy czytelniczka, ani się spostrzegają, jak po przeczytaniu paru romansów, myśli ich i uczucia, w innym zupełnie, niż dotychczas płyną kierunku.

Powieści wpływają na społeczeństwo, ale niemniej jest pewnem i naturalnem, iż i społeczeństwo wpływa na ukształcenie się takich a nie innych powieści, które muszą być jego mniej lub więcej idealnem odzwierciedleniem. I znowu wpływ ten mniej może znać w powieściach zachodniej Europy; bardzo wybitnie znać go w młodszej i wrażliwszej Rosyi, tak, iż istotnie poznawszy szereg znakomitszych powieści rosyjskich, powiedzieć możemy, iż widzieliśmy obraz i to obraz dość dokładny życia, marzeń, nadziei, chorób i cierpień całego rosyjskiego społeczeństwa.

Jeśli gdzieindziej, to w Rosyi nie brak powieściopisarzy; zwłaszcza romans historyczny pozyskał sobie nader licznych i utalentowanych adeptów. Dawno już głośny krytyk Bieliński przepowiedział, że z ostatniemi wierszami Lermontowa zakończyła się w Rosyi era poezyi, a z pierwszemi nowellami Gogola rozpoczęła się era romansu — i przepowiednia Bielińskiego ziściła się. Od r. 1840 znikają z widowni niezgrabne naśladowania Walter Scotta — sentymentalne powiastki Marlińskiego, kopiowane wedle francuskich wzorów — opowiadania, w których chłop niemiecki czy francuski brać na siebie musiał maskę rosyjskiego mużyka, a paryskie komplementa wychodziły z ust moskiewskiego hreczkosieja. Hercen wystąpił z romansem filozoficznym: *Czyja wina?* tak ostrym, nie-

mal jak późniejsze jego rewolucyjne pamflety datowane z Londynu. Sołtykow, Grigorowicz, Pisemski, grupują się koło Hercena — w mniej lub bardziej jasnych wyrazach wypowiadają bunt społeczeństwu, głoszą ewangelię socyalizmu. Przednia to straż głównej armii powieściopisarzy, która pod przewodnictwem reformatora i ascety Gogola, liberała Turgieniewa, sławianofila Dostojewskiego, nihilisty Tołstoja zdąża w cztery różne strony, i w cztery, conajmniej różne strony radaby Rosyę zaprowadzić. Poznawszy czterech tych mistrzów żyjących dotychczas w rosyjskiej powieści — mimo iż Gogol dawno już z światem się pożegnał, Turgieniew i Dostojewski zmarli przed paru laty, a żyjący Tołstoj wziął rozbrat z powieścią — poznamy cały obszar, oryginalne kierunki przeciwne siły i gnające naśladowców czterech tych romansopisarzów a przez nich społeczeństwo rosyjskie — to w zawrotną otchłań, to znów na niedostępne, niemniej zawrotne szczyty.

Pierwszym z kolei czasu, z tych przewódców rosyjskiego romansu, jest melancholiczny reformator, w późniejszych latach surowy mistyk *Mikołaj Wasilewicz Gogol* (1809—1852). Zrodzony na Małorusi, potomek dawnych Zaporożców, Gogol wzrósł słuchając wojennych opowiadań starego dziadka i pieśni, okrytych siwizną kobziarzy. W szkołach źle podobno się uczył; poetyczna dusza wyrywała się gdzieś daleko poza ciasne mury. „Dusza ma, pisał, widzi zesłanego z niebios anioła, który gwałtownie ciągnie ją do upragnionego celu“. Chwilowo celem tym był Petersburg. Ale w Petersburgu omyliły protekcye, zabrakło chleba; zniecierpliwiony młodzieniec wsiadł na statek i zatrzymał się dopiero w Lubece. Trzy dni przebiegał nowy nasz Robinson wszerz i wzdłuż ulice nieznanego sobie miasta; wreszcie spostrzegł, że złoty wiek Robinsonów dawno już minął i — wrócił do Petersburga, wzbogacony tylko przygodami odbytej studencko-awanturniczej wycieczki.

Rok cały kopiował w biurach ministeryalnych raporta swych szefów i przypatrywał się rozmaitym „czynownikom“, których portrety miał później kreślić. Z dyurnisty został komedyantem, z komedyanta prywatnym nauczycielem; na tej posadzie zawarł kilka praktycznych znajomości, i dzięki im postąpił do uniwersytetu na profesora historyi. Wykłady nie szły; uczniowie skarżyli się, że wykłady profesora działają na nich, jak najlepszy usypiający pro-

szek, i biedny rozbitek na tylu już morzach, i z tej karyery zrezygnować musiał. Przyjaźń z Pletnewem, z Żukowskim, zwłaszcza z Puszkinem pchnęła go wreszcie na jedynie właściwe tory, skłaniając do napisania: *Wieczornic w chatce koło Dikanki*, *Opowiadań z Mirgorodu*, *Płaszcza*, *Rewizora*, a wreszcie niewykończonego niestety! arcydzieła: *Martwe Dusze!*

Wieczornice są słodkiem wspomnieniem z lat dziecinnych — z Ukrainy. Stary bartnik opowiada wieczorami straszne i wesołe historye o upiorach i czarownicach, o wisielcach i topielcach i sztuczkach spłatanych Żydom i urzędnikom; słuchaczom to włosy stają na głowie, to znów głośnym śmiechem przerywają opowiadanie, niby stwierdzając paradoksalne zdanie wyrzeczone kiedyś przez Gogola, iż „lud ruski wlewa wesołość w piosnki, z których zawsze smutna nuta przebija". W dalszym ciągu *Wieczornic*, zatytułowanym *Opowiadania z Mirgorodu*, na pierwszem miejscu stoi słynny *Taras Bulba*, jedyny, przynajmniej wedle zdania Guizota, poemat epiczny z nowszych czasów, godny tej nazwy. Okropny to, bo prawdziwy obraz dawnego kozackiego życia. Straszne rzezie, palące się wsie i miasteczka polskie, słowem cała humańszczyzna w ramach z krwi i ognia staje zmartwychwstała. W Warszawie tracą zbuntowanych; na to widowisko tłoczą się wszyscy; mężczyźni, kobiety, dzieci. Piękne dziewczęta zakrywają sobie oczy, ale nie odchodzą. Arystokratyczne balkony przepełnione widzami; lokaje roznoszą cukry i przekąski. Taras ukrywa się wśród tłumów i patrzy na stracenie syna. Później wraca na Ukrainę, a przed śmiercią ma prorocze widzenie; Rosya przyjmie na swe łono plemię kozackie i pomści dzisiejszą jego klęskę.

Wieczornice i *Opowiadania z Mirgorodu*, wykazują niezaprzeczony talent, ale nie znać w nich jakiejś wybitnej przewodniej myśli, jakiejś praktycznej dążności; bez następnych powieści, prędzej czy później utonęłyby pewnie w zapomnieniu. *Płaszcz*, *Rewizor*, *Martwe Dusze* stanowią nową erę w literaturze rosyjskiej: „Wszyscy, wielu nas jest, mawiał jeden z rosyjskich literatów, wyszliśmy z *Płaszcza* Gogola", i istotnie rzuciwszy okiem na ściśnione rzędy tych tysięcy prawie zawsze smutnych, udręczonych jakiemś niemożliwem do spełnienia pragnieniem bohaterów, nieszczęśliwych szaleńców, bez pociechy i bez nadziei, trudno temu twier-

dzeniu pewnej słuszności odmówić. Bohaterem *Płaszcza* jest biedny urzędniczek-kopista Akacy Akacewicz. Cały świat ogranicza się u niego na przenoszeniu liter z jednego papieru na drugi — najśmielsze marzenia na kupieniu sobie nowego płaszcza, któryby go raz wreszcie zabezpieczył od zimna, wiatru i deszczu. Po długich pracach, po niezmiernych trudach, Akacy znalazł się pewnego poranku w posiadaniu upragnionego płaszcza. Ale kiedy szczęście ludzkie jest trwałem? tego samego jeszcze wieczora złodziej płaszcz ukradł. Achacy poszedł do policyi; policyanci uśmiechnęli się i wzruszyli ramionami. Cóż było robić? Głęboka melancholia opanowała nieszczęśliwego; melancholia zmieniła się w ciche obłąkanie; niezadługo potem wyniesiono nieznacznie — jak żył nieznacznie, trupa kopisty na cmentarz. Przez całe życie zaznał parę godzin radosnych kiedy czuł ciepły płaszcz na sobie.

Obok *Płaszcza* ściśle związany z całą literacką działalnością Gogola sceniczny obrazek *Rewizor*, druga fotografia z biurokratycznego życia rosyjskiego, drugie wspomnienie czy zemsta za ciężkie chwile spędzone przy urzędowem biurze. Urzędnicy małego jakiegoś miasteczka oczekują rządowego inspektora, który *incognito* niespodzianie miał wpaść i zbadać miejscowe stosunki. Ktoś nieznany nadjeżdża; naturalnie, któżby inny, jak inspektor? Jeden po drugim śpieszy doń chyłkiem, oskarża kolegów, uniewinnia siebie a jako przekonywujący argument wciska ruble do ręki i do kieszeni. Po chwili podróżny dorozumiewa się roli, którą mu przyszło odegrać, a nie pozbawiony sprytu, spokojnie napełnia pugilares, dobrowolnie, z czystego tylko przywiązania i życzliwości ofiarowanemi sobie rublami. Wtem przybywa prawdziwy inspektor; można sobie wyobrazić, jakie babelowskie zamieszanie przybycie jego sprawić musi!

Mimo jawnej protekcyi cesarza Mikołaja, który na przedstawieniu *Rewizora* zapamiętale klaskał, komedya ta ściągnęła na autora wiele przykrości. „Wszyscy, pisał do przyjaciela, krzyczą na mnie: urzędnicy, policyanci, kupcy, literaci; wszyscy drą w kawałki mą sztukę. Brzydzę się dziś nią, nienawidzę... I ciało i dusza omdlewa“. Na coraz bardziej rosnącą melancholię szukał lekarstwa w podróżach; ostatecznie osiadł w Rzymie. Tu złączył się węzłami ścisłej przyjaźni z malarzem Iwanowem, szukając w pół-

mistycznych, pół-ascetycznych rozmowach idei i planu, do marzonego, niestety! — jak wspomnieliśmy, niedokończonego arcydzieła: *Martwe dusze.*

Jak Don Kiszot wybrał się na Rosynancie szukać awantur z swym nieodstępnym Sanczo, tak Czyczykow na bryczce ciągnionej trzema chudemi szkapami wybrał się ze swoim woźnicą, robić majątek na duszach. Pomysł był prosty, a przecież genialny. Wszystkie majątki ziemskie fundowały się wówczas na liczbie poddanych, czyli liczbie dusz; sprzedawano i kupowano dusze; stosownie do ilości dusz płacić trzeba było podatki. Obliczenie ludności odbywało się rzadko; chłopi umierali, ich miejsce zabierali zwykle liczniejsi potomkowie, ale pan płacił podatki tylko za dusze istniejące w czasie ostatniego urzędowego obliczenia. Po gwałtownej jakiejś epidemii interesa pańskie znacznie ucierpiały; dusze poszły na tamten świat, nie pracowały na panów, a przecież trzeba było za nie płacić. Przemyślny Czyczykow zrozumiał, jak taki stan rzeczy wyzyskać. Nakupię dusz umarłych; właściciele odstąpią mi ich z chęcią za byle jaką cenę, radzi, że pozbędą się uciążliwego podatku. Ja tymczasem ulegalizuję me zakupno przed rządem, boć nikomu do głowy nie przyjdzie, że nabywam umarłych nie żywych; będąc właścicielem kilku tysięcy dusz, zahipotekuję je w pierwszym lepszym banku; za otrzymane pieniądze zakupię sobie prawdziwych żyjących chłopów, i tanim kosztem zostanę bogaczem.

Z tym planem w głowie, z pieniędzmi w kieszeni rozpoczął Cziczikow swą podróż. Jedni dawali mu dusze darmo i jeszcze dziękowali za wyświadczoną przysługę; drudzy sprytniejsi kazali sobie płacić mniej lub bardziej słono. Najrozmaitsze postacie, — cała Rosya, przesuwają przed oczami: złośliwy Sobakiewicz; czule spoglądający na wino i karty Nozdrew; pani Koroboczka zajęta wyłącznie masłem, mlekiem i słoniną; głupi Maniłow; a wreszcie sam nieoceniony, zajęty wyłącznie swym interesem Czyczykow. W myśli autora miał to być typ, pod który pragnął podciągnąć jak najwięcej osobistości; stąd skąpi mu zewnętrznych, wybitnych cech. „Był to sobie człowiek ani piękny, ani brzydki; nie za tłusty, nie za chudy; nie można go było nazwać starym, ale również nie był młodym". Natomiast wszystkie przygody, słowa, każdy giest podpatrzony z życia; gdyby nie artystyczne ułożenie całości

wedle głęboko obmyślanego planu, nazwaćby Gogola wypadało raczej fotografem, niż malarzem. Bardzo ciekawe w tym względzie jest własne jego wyznanie w *Listach o martwych duszach.*

„Krytycy nie poznali się na cechującym mię rysie. Jeden Puszkin go zrozumiał. Mawiał on zawsze, iż nie zna autora, umiejącego tak jak ja, uwydatnić trywialność życia, oddać całą bezbarwność człowieka niczem się nie odznaczającego, przyjrzeć się wszystkim owym nieskończenie małym drobnostkom, uciekającym przed obserwacyą... Otrzymałbym był przebaczenie, gdybym był odmalował malowniczych zbrodniarzy; nie darują mi, żem odmalował ich podłość. Rosyanin przeląkł się własnej swej nicości".

Rosyanin nie tak się przeląkł, jak raczej oburzył, i nie zupełnie niesłusznie, boć ostatecznie typy przez Gogola na widownię wyprowadzone w żadnem społeczeństwie regułą być nie mogą, mogą być tylko wyjątkiem. Autor spostrzegł się, że nałożył za wiele czarnej farby; w listach i przedmowach zaklinał czytelników, aby z ostatecznym sądem poczekali na drugą część. Druga część wyszła, ale nikt jej nie czytał. Cóż mógł kogo obchodzić, z wschodniej bajeczki wyjęty sprawiedliwy i święty książe; pobożny, ale nie istniejący milioner; miła, ale ledwo dwoma pociągami pióra zarysowana dziewczyna?

Ostatnie lata życia przepędził Gogol w surowym ascetyzmie. Jedynem jego marzeniem było teraz odbycie pielgrzymki do Ziemi św.; dla zebrania potrzebnego funduszu wydał ostatnią swą książkę *Listy do przyjaciół,* mieszaninę najróżniejszych moralnych, religijnych i literackich kwestyj. *Listy* wzbudziły zaciętą, do dziś dnia nie wygasłą polemikę; i nie dziw, gdyż Gogol podejmował w nich najżywotniejszą dla Rosyi kwestyę, czy i o ile należałoby przekształcić Rosyę: jej rząd, religię i społeczeństwo wedle normy podanej przez Zachód. Nie, nic i w niczem, brzmiała kategoryczna odpowiedź. Nasz kler, mimo czynionych mu zarzutów jest doskonały: nasz rząd jest rządem miłości: chrońmy się zachodniej zarazy, a będzie nam dobrze. Nie wszyscy byli tego samego zdania; nie wszystkim zwłaszcza podobał się ton nieomylności, w jaki wpadł dotychczasowy pisarz komiczny. Nazwano Gogola m i s t y k i e m; nazwa ta przylgnęła do jego imienia, a po pielgrzymce do Jerozolimy, nikt nie śmiałby jej zaprzeczyć. Legenda opowiada nawet, iż Gogol

umarł z postów i umartwień, w pewnym rodzaju jasnowidzenia; historya wie tylko o tyfusie, ale być może, iż tyfusowi dopomogło nierozsądne głodzenie się, chorobliwe odmawianie ciału rzeczy dlań niezbędnych.

Po śmierci Gogola pojawiło się naturalnie mnóstwo nekrologów, i jeden zwrócił szczególną uwagę. Autor nazwał w nim zmarłego „wielkim człowiekiem“, a za wyrażenie to dostał się na miesiąc do kozy i otrzymał zakaz wyjeżdżania z swego majątku. A przecież tak surowo ukarany panegirysta Gogola, *Iwan Sergiewicz Turgieniew*, nie zgadzał się z nim bynajmniej w zasadach i pojęciach; kiedy Gogol ciągnął Rosyę na Wschód, on pchał ją z całych sił na Zachód; kiedy Gogol był Rosyaninem-mistykiem, Turgieniew był w najszerszem słowa znaczeniu Europejczykiem-liberałem.

Francuscy i niemieccy guwernerzy wzięli wcześnie w opiekę małego Turgieniewa; później uczył się w Petersburgu i Moskwie, a w Berlinie usiłował strawić filozofię Kanta i Hegla. To była urzędowa nauka; nieurzędową wpajał mu stary sługa, czytając pokryjomu rosyjskie wiersze, i dworscy strzelcy, opowiadając myśliwskie swe przygody. Turgieniew słuchał wierszy i opowiadań, ale tęsknem okiem spoglądał wciąż na Zachód. „Rzuciłem się, pisze w autobiograficznym rysie, głową na dół w morze niemieckie, które miało mię obmyć i wskrzesić do nowego życia, a kiedy wreszcie wypłynąłem z tych wód, byłem człowiekiem zachodnim i na zawsze nim pozostałem. Nie mogłem oddychać tem samem powietrzem, żyć razem z mym nieprzyjacielem... musiałem się koniecznie od niego oddalić, aby mu tak pewniejsze ciosy zadawać. Nieprzyjacielem tym było poddaństwo włościan. Pod tem nazwiskiem uszykowałem i zebrałem wszystko, z czem postanowiłem i przysiągłem sobie walczyć aż do końca. Była to moja Hanibalowska przysięga, a nie sam jeden w tym czasie ją złożyłem. Aby ją módz tem lepiej wypełnić, udałem się na Zachód“.

Za powrotem do ojczyzny ogłosił Turgieniew, pod wysoką protekcyą Bielińskiego, kilka wierszy i sztuczek dramatycznych; utworom tym zabronił później wstępu do kompletnego wydania swych dzieł. Ale niedługo w ojczyźnie pobył; skosztowawszy raz pobytu na obczyźnie, nie uspokoił się, póki znowu granicznych słu-

pów rosyjskich za sobą nie zostawił. Między r. 1847 a 1851 pojawiać się poczęły krótkie gawędy, kryjące pod mglistą, poetyczną szatą, myśl głębiej sięgającą, a zebrane pod ogólnym tytułem. *Opowiadania Myśliwca.* Znać tu wpływ Gogolowych Wieczornic w chatce koło Dikanki, tylko styl Turgieniewa poetyczniejszy, głębsza znajomość i miłość natury, i to nie jakiejś cudzej, nieokreślonej, ale natury rosyjskiej. Myśliwy błąka się w nocy po polach i łąkach, gdzie pastuszkowie pasąc bydło, opowiadają sobie straszne historye o duchach i rusałkach. To znów spotyka starą służącą swej matki, kiedyś śmiejącą się, miłą dziewczynę, dziś szkielet przerażający. A przecież dziewczyna zadowolona z swego losu, nie pragnie żadnej zmiany, chyba tylko śmierci, choć i śmierci oczekuje spokojnie, bez gorączki, bez wyrzekań, jak przystoi na rosyjską chłopkę, uważającą, iż jest zadrobnem stworzeniem, aby P. Bóg w niebie, lub ludzie na ziemi mieli na nią szczególną zwracać uwagę. Wszędzie i ciągle ten sam typ: poddany, kierujący się raczej instynktem, niż rozumem; pan raczej głupi niż zły, ale którego głupstwo często gorsze od złości przynosi owoce. Turgieniew nie walczył sam otwarcie przeciw poddaństwu włościan; za niego walczyć mieli sami bohaterzy powieści. Walczyli i podobno przyczynili się do zwycięstwa.

Zakopawszy się, choć nie dobrowolnie na wsi, miał Turgieniew czas i sposobność wystudyować dokładnie wiejskie życie, główne tło następnych wielkich powieści. *Rudin,* bohater powieści pod tym tytułem w świat puszczonej, jest typem nietylko w Rosyi spotykanym. Idealista, bez siły charakteru, z początku grą słow upija siebie samego i ludzi, z którymi się spotyka; ale wnet wszyscy trzeźwieją, biorą się do praktycznego życia, do szukania dobrych żon i przynoszących dochody majątków. Tylko biedny marzyciel, miasto żony i majątku, zadowolnić się musi niepochwytnemi marzeniami. Bierzcie się najprzód do prozy życia, potem przyjdzie kolej na poezyę: oto lekcya, którą Turgieniew daje zbyt sentymentalnym w swem przekonaniu rodakom. Widocznie musiały petersburskie panie pogniewać się na powieściopisarza za ten nieidealny kierunek, bo wnet, jakby dla przeproszenia ich, wydał tkliwe *Gniazdo panów,* którego kartki wszystkie czytelniczki obficie łzami zrosiły.

Ojcowie i dzieci ważniejszą zajmują rolę w historyi idei i li-

teratury rosyjskiej: to, pod powłoką romansu, prawdziwe dzieje zrodzenia się i wzrostu nihilizmu. Wpółdziki, cyniczny Bazarow, upił się teoryami Hegla, Büchnera, Saint-Simona, i nuże w pijanym szale pchać olbrzyma, rozciągającego swe ramiona od Japonii po Niemcy, na nowe tory. Bazarow szydzi z miłości, a miłość mści się na nim, wciągając go w swe sidła. Dziki filozof pojąć z początku nie może, co się z nim dzieje; to się cofa, to rzuca naprzód z większą namiętnością, nie rozumiejąc, że tak celu nie dopnie. A obok tego strasznego d z i e c k a, reprezentanta całego legionu nie mniej strasznych d z i e c i, poważni o j c o w i e z głową przepełnioną ideami jeszcze z czasów Aleksandra I., leją, jak i ile mogą oliwy na te wzburzone, wkoło piętrzące się fale. Ale fale burzyć się nie przestają, wciąż nowe wznoszą się bałwany, a kto wie, czy oliwy i starych marynarzy niebawem nie zabraknie!

Reformy wewnętrzne, zaprowadzone przez Aleksandra II. w liberalnym kierunku, nie zadowolniły liberała-powieściopisarza; pragnął czegoś więcej, czegoś lepszego, idealniejszego. Zawód swój i żal wylał w powieści *Dym*, malującej w posępnych, czarnych barwach społeczeństwo rosyjskie, przesiadujące za granicą. *Kraje dziewicze*, romans z r. 1877, ma nas wprowadzić w podziemia, zaludnione nihilistami. Zamiar do wykonania trudny, a dla pisarza, który od 15 lat mieszkał w Paryżu, a nie w Petersburgu lub Moskwie, prawie niepodobny. Turgieniew nie kryje się z pewną przychylnością dla „apostołów nicości", przynajmniej dla ich osobistości i poświęcenia, jeśli nie dla idei; świat stary generałów i czynowników traktuje z ironią, prawie z szyderstwem. Partya przewrotu usiłowała po śmierci Turgieniewa wyzyskać te ustępy i przeciągnąć wielkiego powieściopisarza w swe szeregi. Usiłowania próżne, oparte wyłącznie na pozorach, na które odpowiedział już sam Turgieniew, kreśląc postać młodego dyrektora fabryki, umiarkowanego socyalisty-liberała, trzymającego środek między nihilistą z pochodnią i rewolwerem w ręku, a ultra-konserwatystą z knutem i tradycyą z przed Piotrowskich czasów. W postaci tej Turgieniew chciał wyraźnie odmalować siebie samego — w jego programie spisać własny swój program.

W opisach jaskiń rosyjskich nihilistów współzawodniczył z Turgieniewem, zazdroszczący mu z całego serca sławy i powo-

dzenia *Fjodor Michajłowicz Dostojewski* (1821—1881), panslawista z pewną liberalną przymieszką, jak Turgieniew był liberałem z przymieszką socyalistyczną. Bajroniści stwarzać sobie musieli w bujnej fantazyi wymarzone cierpienia — Dostojewski zmyślać nie potrzebował bo nieszczęście samo lgnęło do niego. Urodził się w szpitalu i od dziecka przyzwyczaił się słuchać jęków i wpatrywać w cierpienie. Roku 1843 zdał egzamin podoficerski, ale wnet rzucił szpadę, by chwycić za pióro; podobno szpada mniej sławy, więcej wygód i pieniędzyby mu była przyniosła. Dla grosza, dla kawałka chleba, podjąć się musiał najróżniejszych tłumaczeń, pukać ze wstydem do wszystkich redakcyj i księgarń. Korespondencya, prowadzona przez lat czterdzieści, jest jednym przeciągłym jękiem nad nędzą materyalną, nad rzemiosłem „konia fiakierskiego“ na długie lata wynajętego wydawcom. Nędza i przygnębiająca praca zrodziły rozdrażnienie nerwów, przeradzające się czasem w rodzaj hallucynacyi, doprowadzające do strasznych spazmatycznych ataków. Widywano słynnego autora, tarzającego się z pianą na ustach po publicznych placach i ulicach; uspokojenie znajdował dopiero przy pracy, otaczając się kołem wywołanych z zapomnienia, umiłowanych bohaterów.

W dwudziestym trzecim roku życia ogłosił Dostojewski pierwszy swój romans: *Biedacy*. Krytycy, sam nawet surowy Bieliński, ulegli pod wrażeniem; jeden drugiego pytał, czy podobna, aby dwudziestoletni młodzieniec tak dobrze znał i przeniknął cały dramat nędzy ludzkiej. Bohaterem Biedaków jest podstarzały kancelista, cel igraszek i żartów wesołych towarzyszy, człowiek tak naiwny, iż naiwność ta graniczy o krok z głupotą. Jedyną próżnostką, słabą stroną tego biedaka jest, iż zdaje mu się, że kaligraficznie umie przepisywać. Ale pod szorstką powłoką bije serce dziecinnie poczciwe. Naprzeciw mieszka daleka kuzynka; kopista opiekuje się nią, poświęca, ostatni grosz oddaje dla jej przyjemności nie śmiejąc nawet przed samym sobą przyznać się do uczucia, które czynami jego powoduje. Jest dla niej opiekunem, wiernym, starym psem, — i to mu wystarcza. Między kuzynostwem wywiązuje się korespondencya; jedno drugiemu naiwnie opowiada swe biedy. Pewnego poranku kopista dowiaduje się, że kuzynce nastręczyła się bogata partya; niezadługo potem — że młodzi małżonkowie wyjeżdżają daleko na prowincyę. Przedtem poczciwy kopista oszalamiał

się chodząc od sklepu do sklepu za sprawunkami dla narzeczonej; teraz dopiero postrzega całą okropność swej straty, a głuchy, straszny jęk wydobywa się z piersi biedaka.

Parę następnych noweli nie posunęły Dostojewskiego daleko na drodze do sławy, próbując różnych kierunków, nie minął i humorystycznego, ale prawdziwa humorystyka na zawołanie nie przyszła, zastępując się ciężkim, pół-błazeńskim żartem. Bieliński ciągnął go do socyalizmu, a Pietraszewski wciągnął w grono spiskujących, czyli raczej deklamujących przeciw cenzurze, poddaństwu, własności i królom. W kwietniu 1849 dostali się deklamatorzy, w liczbie trzydziestu czterech do kazamat więziennych. W ośm miesięcy później wyprowadzono ich na plac stracenia; i dopiero gdy ujrzeli skierowane naprzeciw siebie lufy karabinów, posłyszeli wyrok zmieniający karę śmierci na ciężkie roboty w Syberyi. Jedyną pociechą przez cztery lata wygnania, było dla powieściopisarza odczytywanie Ewangelii, darowanej mu przez jakąś poczciwą kobietę. Życie swe z tego czasu opisał w *Wspomnieniach z domu umarłych*. Żydzi, Polacy, Tatarzy, Kirgizi, starowiercy pracujący w katordze, ich zbrodnie, wspomnienia, myśli, nadzieje, smutki, obyczaje, przesuwają się w żałobnej procesyi, wyciskając nieraz szczerą łzę współczucia: Więźniowie np. schwycili raz zranionego orła; orzeł smutniał, chudniał, widocznie nie chciał „żyć w pudełku“, choć mu w niem było wygodnie: więc katorżnicy na wspólnej naradzie, postanowili wypuścić orła, aby przynajmniej „zdechł na wolności“. To znowu prowadzą więźniów na plac egzekucyi; muszą patrzyć, jak kije łamią się na ciałach towarzyszy, jak jeden z nich pada wpólmartwy pod dwoma tysiącami razów! Młody Michajłów umiera w szpitalu, w palącej go gorączce zrzucił wszystko ze siebie — tylko na szyi został mały krzyżyk, na nogach kajdany! Sceny te okropne, ale opowiadane spokojnie, z wzbudzającym dreszcz realizmem, przyczyniły się niemało do zreformowania rosyjskich więzień, kar i katorg. jak *Opowiadania Myśliwca* przyczyniły się do zniesienia poddaństwa.

Po czterech latach katorgi, Dostojewski wcielonym został w szeregi armii, a r. 1859 mógł wreszcie powrócić do Europy. Własny romans z kobietą, którą kochał, a którą przecież wszelkiemi siłami starał się połączyć węzłem małżeńskim z swym rywalem, posłużyła mu za treść do powieści: *Upokorzeni i obrażeni*.

Treść wzięta z życia raz jeszcze stwierdziła prawdziwość aforyzmu, że nie wszystko co jest prawdziwem w życiu, wygląda prawdziwem w powieści. Na domiar złego, Dostojewski zapatrzył się w Eugeniusza Suë, i naturalnie dobrze na tym wyjść nie mógł. Najsurowiej skrytykował sam siebie, pisząc: „Wyznaję, że w mym romansie umieściłem wiele lalek zamiast ludzi; nie są to ludzie przybrani w artystyczą formę, ale książki chodzące".

Przez pewien czas próbował Dostojewski zawodu dziennikarskiego; sam nawet założył dwie gazety, mające zająć pojednawcze stanowisko między panteistycznemi a liberalnemi pojęciami. Długi zmusiły go do zwinięcia tych dzienników i ucieczki za granicę. A przecież smutne te czasy były właśnie epoką największej twórczości Dostojewskiego, odzwierciedlającej najlepiej marzenia jego i poglądy w trzech wielkich romansach: *Zbrodnia* i *kara*, *Idyota*, *Demon*. Jak wszędzie u Dostojewskiego, tak i tutaj same obrazy straszne, przygnębiające: ciągła noc bez światełka, pociechy i nadziei. Sławianofil liberalny w teoryi, był Dostojewski w praktyce, w powieści, mistykiem-nihilistą. Zdawałoby się, jakby wszystkie niezdrowe skrajne systemata, nurtujące w Rosyi, zeszły się w jednym tym człowieku, aby go zrobić najnieszczęśliwszą istotą na świecie.

Zbrodnia i kara jest prawdziwą torturą dla umysłu czytającego: Raskolnikowa, studenta-nihilistę prześladuje idea zbrodni; ta głupia starucha ma pieniądze, a korzystać z nich nie umie; człowiek rozumny korzystałby z nich sam i innych uszczęśliwiał. W dzień i w nocy zmora ta nie daje mu pokoju; wreszcie Raskolnikow zabija starą lichwiarkę. Ale jak dotąd myśl o zbrodni, tak teraz pamięć o spełnionej zbrodni jeszcze go bardziej męczy. Nie są to właściwie wyrzuty sumienia; Raskolnikow żałuje, że tak źle swą zbrodnię obmyślił, tak mało z niej skorzystał, iż teraz musi się obawiać, kryć, uciekać. Krąży koło policyi, zaznajamia się z żandarmami, rozprawia z nimi o popełnionym morderstwie, zdaje się, że jakaś niewidoma siła przykuwa go nad brzegiem przepaści, która lada chwila go pochłonie. Sędzia Porfir odgaduje zagadkę, pchającą młodego człowieka każdego poranku, pod gmach policyjny. Ale nie Porfir odemknie mu ostatecznie bramy więzienne. Morderca pokochał Sonię, biedną dziewczynę, sprzedającą swą cześć za kawałek chleba, ale wstydzącą się stanu, w którym żyje, uważającą

go niemal mistycznie za ciężki krzyż, za dopuszczenie niebios, któremu z pokorą poddać się trzeba. Sonia odkrywa tajemnicę przyjaciela, jedynego człowieka, który miał dla niej słowa miłości, a nie pogardy, a chcąc go moralnie ocalić, pragnie, aby swą zbrodnię odpokutował cierpieniem. „Trzeba cierpieć, cierpieć razem..., modlić się, pokutować... Idźmy do więzienia!“ Stało się, jak chciała Sonia. Ale dusza jego, i dusza złączonej z nim na wieki Soni oczyszcza się cierpieniem, jak żelazo czyści się w ogniu.

Przerażające to opowiadanie, zawierające w sobie wiele wzniosłych prawd, a czarem mistycyzmu oblane, wywarło skutki, jakich autor pewnie nie przewidywał, ani sobie nie życzył. Jakiś student moskiewski, przeczytawszy *Zbrodnię* i *karę*, zabił lichwiarza w ten sam sposób i w tych samych co Raskolnikow warunkach. Podobno i na popełnienie wielu innych zbrodni przeczytanie tego romansu nie było bez wpływu. Zbyt silnie i idealnie nakreślone tortury umysłu, miasto odstraszać, pociągały schorowane wyobraźnie, i jak przed wiekiem Werter w Niemczech, tak dziś Raskolnikow w Rosyi, znalazł tysiące szczerych wielbicieli, a dziesiątki naśladowców.

W podobnym mistycznym duchu, napisanym jest *Idyota* romans, w którym Dostojewski pragnął nakreślić wyidealizowany portret siebie samego: Książe Mniszkin cierpiał w młodości napady epileptyczne, które na całe życie zostawiły mu ślady i wyryły piętno dziwaka — stąd ludzie zowią go i d y o t ą. Ale ten idyota mógłby również uchodzić za świętego: choroba wypaliła w nim złe przywary i żądze, a rozwinęła szlachetne popędy. Dziecinna prostota księcia zwycięża i rozbraja otaczający go legion oszustów, kłamców i szyderców.

Od tendencyjnych tych, mistyczną czcią dla cierpienia nacechowanych powieści, odbija romans *Demony*, wywołany niezmiernem powodzeniem Turgieniewa w opisach nihilistycznych spisków. Różne typy nihilistów przechodzą procesyonalnie. Ludzie prości tworzą sobie z ateizmu, pierwszego artykułu nihilistycznego prawodawstwa, rodzaj religii, zewnętrznie podobnej do religii chrześcijańskiej. Takim np. jest porucznik Erkel. „Porucznik wyrzuciwszy i porąbawszy siekierą obrazy, rozłożył na stolikach, niby na trzech pulpitach, rozwarte książki Vogta, Moleszota i Büchnera; potem przed każdym tomem zapalił świeczkę kościelną“. Ludzie słabi, idą

jak owce, tam gdzie ich poprowadzą. Pesymiści, jak inżynier Kiryłow, spiskują dla zabicia czasu. Wreszcie *Demony* spiskują i zabijają, aby zaprotestować przeciw nieznośnemu porządkowi świata, nasycić żądzę krwi, żądzę okropności, która owładnęła ich serce. W powieści Dostojewskiego nihiliści zawdzięczają wszystko, tylko kilku przed niczem nie cofającym się, szalonym jednostkom; przeróżne komitety i organizacye istnieją raczej w głowie tych szaleńców, niż w rzeczywistości. Ale figury rządowe, taki np. gubernator von Lembke, własnym strachem i niezaradnością potęgują w dziesięćkroć siłę tych jednostek, pociągających tłumy nie wygłaszanemi ideami, lecz magicznym wpływem własnej, przez ogień i wodę na przebój idącej energii.

Wszyscy znaczniejsi powieściopisarze rosyjscy dotykają nihilizmu, Turgieniew i Dostojewski poświęcają mu całe powieści, rozumiejąc pod nihilistami najskrajniejszych rewolucyonistów dążących do ogólnego pod każdym względem przewrotu, Ojcem nihilizmu, jak zwą go powszechnie rosyjscy krytycy, choć w znaczeniu nieco odrębnem od powszechnie utartego, jest *Leon Nikołajewicz hrabia Tołstoj.* Trzynaście lat temu Tołstoj pisał już o sobie: „Żyłem na tym świecie 55 lat; wyjąwszy 14 czy 15 lat dzieciństwa, byłem przez 35 lat nihilistą w właściwem znaczeniu tego słowa: nie socyalistą, lub rewolucyonistą, ale nihilistą, t. j. człowiekiem w nic nie wierzącym". Tołstoj nihilizmu nie wymyślił, ale pierwszy dokładnie jego dyagnozę nakreślił, i stąd nazwa Ojca nihilizmu nie bez pewnej słuszności mu przynależy. Jako człowiek prawdziwie wyższy, nie mógł się zadowolnić zewnętrznemi objawami życia, uderzającemi same tylko zmysły i wyobraźnię, chciał dotrzeć do wyższych, do ostatnich przyczyn wszechrzeczy. Ale tutaj gieniusz niezrównany w obserwacyi swiata widomego, odmówił mu służby, nie mogąc odsłonić tajemnic, jedynie wierze przystępnych. Nieszczęściem, Tołstoja nikt wierzyć nie nauczył; zrozpaczony sceptycyzmem rzucił się w ramiona nie wiele mędrszego i lepszego mistycyzmu.

Pierwszym romansem Tołstoja, a raczej fragmentem romansu są *Kozacy:* Olenin znudzony cywilizacyą, tą wieczną nudotą, która „wsiąknąwszy w krew, przechodzi z pokolenia na pokolenie", ucieka z Moskwy szukać nowego życia, nowych uciech i wrażeń. Znajduje je gdzieś w nikomu nieznanej kozackiej osadzie, żyje jak ko-

zak, poluje i pracuje z nowymi swymi znajomymi, wreszcie zakochuje się w pięknej Maryannie. Miłość to nie konwencyonalna, nie taka, jaką ją zwykle przedstawiają pisarze „wschodnich powieści“, ale prawdziwa, dzika, osłoną tajemnicy powleczona.

Już w pierwszym tym urywku, panteizm i pesymizm gra przeważną rolę; znaczniejszą odgrywa w drugim fragmencie: *Trzej umarli.* Kto mniej myśli, kto żyje i umiera bardziej po zwierzęcemu, bez świadomości siebie, ten szczęśliwszy i lepszy; lepszy chłop od pana, drzewo od chłopa; natura bardziej się smuci ze zgnicia dębu, niż ze śmierci niedołężnej księżnej. Jak autor doszedł do tych poglądów śmiesznych, gdyby nie były zaraźliwemi? Wyjaśnia nam to bardzo obszerny, często aż nudny dzienniczek, pisany między r. 1851 a 1857, następnie wydany p. t. *Lata dziecinne, chłopięce, młodociane.* W szesnastym roku życia Tołstoj pędził szybkiemi krokami do nihilizmu:

„Z wszystkich doktryn filozoficznych największy powab miał dla mnie sceptycyzm; był czas, kiedy doprowadzał mię do stanu, graniczącego z szaleństwem. Wystawiałem sobie, iż poza mną nic nie istnieje, nie ma nikogo na świecie, że przedmioty nie są przedmiotami, ale próżnemi tworami wyobraźni, wywołanemi przeze mnie w chwili, gdym na nie zwracał uwagę, znikającemi kiedym o nich myśleć przestawał... Przychodziły chwile, w których pod wpływem tej zupełnie opanowującej mię idei, dochodziłem do takiego stopnia obłąkania, żem nagle obracał się i spoglądał po za siebie, spodziewając się ujrzeć nicość na miejscu, na którem nie stałem.. Przypominając sobie stan mego umysłu w młodszych latach, rozumiem doskonale, że można dopuścić się najokropniejszych zbrodni bez celu, bez chęci szkodzenia, ot tak sobie z prostej ciekawości, przez niewytłumaczalną potrzebę czynu... W takim stanie człowiek znajduje pewną przyjemność, kiedy nachylając się nad brzegiem przepaści, pomyśli: A gdybym się tak rzucił głową na dół? lub kiedy przykładając do czoła nabity pistolet, pomyśli: A gdybym tak spuścił kurek?: lub kiedy wpatrując się w jakąś poważną osobistość, otoczoną powszechnym szacunkiem, pomyśli: A gdybym tak podszedł do niego i wziąwszy go za nos powiedział: No, chodźże, mój poczciwcze!

Te same uczucia, dziwne, rzekłbyś waryackie, nieprawdopo-

dobne, gdyby były one uczuciami wyrażonemi przez jednego tylko Tołstoja, a nie tkwiły w schorowanych wyobraźniach, lub przynajmniej nie nadawały zewnętrznej cechy całemu legionowi studentów i studentek, autorów i autorek, doktorów i doktorek, ożywiają wszystkie pomniejsze nowelle naszego nihilisty. Przygotowywały one tylko grunt do wielkiego romansu: *Wojna i pokój.*

Wojna i pokój przedstawia Rosyę, jej społeczeństwo, jej zwyczaje, bojaźnie i nadzieje na początku bieżącego wieku między r. 1805 a 1815. Właściwym bohaterem jest Rosya sama; wszystkie inne osobistości: dworzanie, ministrowie, generałowie, rodzina cesarska, panie dworu, to podrzędne figury; wprowadzony romans, to cieniutka nić, zszywająca w jedną całość najrozmaitsze obrazy z historyi, filozofii i polityki rosyjskiej. Naczelny wódz Kutuzow, był najlepszym na świecie wodzem, bo wojną się prawie nie zajmował, spał na radach wojennych, spuszczając się na szczęście, na fatum, które ostatecznie — tak uczy Tołstoj — i jedynie rozstrzyga. Wojsko znał autor wybornie; jeszcze lepiej znał dwór, na którego salonach obracał się jak u siebie. Dostojników państwa, tembardziej cesarzy: Aleksandra, Franciszka, Napoleona, nie poniża, nigdy przeciw nim nie deklamuje, ale okazując ich w zetknięciu z tysiącznemi drobnostkami życia, nieodłącznemi od każdego śmiertelnika, zdziera nieubłaganym realizmem, urok majestatu.

Ślizgając się po salonach, siedząc niedbale w wytwornych gabinetach, maszerując z armią rosyjską w deszczu i spiekocie nie zapomina nigdy autor-nihilista o hymnie na cześć Nirwany, której w służbę się zapisał. Książe Jędrzej Wołkoński, zraniony na polach Austerlickich, spogląda na niebo „dalekie, wysokie, wieczne“, i czyni przed śmiercią ostatnie wyznania wiary, widocznie wyznanie samegoż Tołstoja: „O! gdybym mógł teraz powiedzieć: Panie zlituj się nade mną! Ale komuż to powiem? Czy jakiejś nieokreślonej, nieprzystępnej sile, do której się nie mogę odezwać, ani jej nawet słowami wyrazić: wielkiemu wszechświatowi, lub wielkiej nicości? Czy temu Bogu, zaszytemu tutaj w amulecie darowanym mi przez Maryę?... Nie, nic nie masz pewnego, wyjąwszy nicości wszystkiego tego co pojmuję, i majestatu wielkiej jakiejś, wspaniałej rzeczy, której nie pojmuję“. Ideałem drugiego bohatera jest również nicość, przedstawiająca mu się w postaci biednego muzyka, obojętnego

na śmierć i życie, zrezygnowanego na wszystko, jak bydlę zrezygnowane jest na razy, których wie, że nie uniknie. Sens moralny jasny, a Tołstoj bynajmniej się z nim nie tai: „Rozum niczego człowiekowi nie tłumaczy i napróżno go tylko dręczy swojemi kombinacyami: odrzućmy rozum, zejdźmy do stanu półbydlęcego kwietyzmu, nie troszcząc się o nic i o nikogo, a będziemy szczęśliwsi!“

Wojna i *Pokój* jest obrazem społeczeństwa rosyjskiego z początku bieżącego wieku; *Anna Karenin*, wykończona r. 1877, przedstawiać je ma w obecnym swym składzie. Intryga niemal banalna. Anna, skądinąd dobra i czuła małżonka zakochuje się w uwodzicielu Wrońskim, a nieszczęsna ta miłość prowadzi ją najprzód do opuszczenia męża, potem do najokropniejszej nędzy, wreszcie do samobójstwa. Obok rozwija się w normalnych warunkach inna miłość, czysta, prosta; miłość ta prowadzi do małżeństwa, potem do smutków i pociech wspólnego, ale zawsze miłością osładzanego pożycia. Intryga prosta; nie o nią też Tołstojowi chodziło, ale o szczegółowy aż do kropki nad *i* opis codziennego, realistycznego życia, choćby ten realizm wzbudzał niesmak w najmniej nawet delikatnem podniebieniu. Prawda, że z drugiej strony, Tołstoj nie poluje z upodobaniem na brzydoty i sromoty; gdzie je znajdzie, tam bez ceremonii prezentuje je czytelnikowi; kiedy na drodze swej zobaczy błoto, przechodzi przez nie bez wahania, ale nie szuka z natężeniem błota, aby się w niem ukąpać. Na to zanadto należy do dobrego towarzystwa.

Talent Tołstoja w największym był rozwoju, kiedy nagle złamał powieściopisarskie pióro. Jeden z niezliczonych sekciarzy przebiegających Rosyę i głoszących pokój i braterstwo w imię Ewangelii po raz pierwszy dobrze zrozumianej i wytłumaczonej, prosty chłop Sułajew, przekonał nihilistę i zmienił go w teologa. Konwertyta pragnął również przekonać innych i w misyonarskim zapale wydał trzy dziełka: *Moje wyznania*, *Moja religia*, *Komentarz nad Ewangelią*. „Długo, długo, spowiada się Tołstoj, męczyła mię zagadka: Po co żyję na świecie? Wiedza ludzka niczego mi nie wytłumaczyła. Chciałem się zabić; powstrzymał mię widok milionów ludzi, wiedzących dla czego żyją i spokojnych. Zrozumiałem, że trzeba żyć jak oni, powrócić do wiary prostej. Ale rozum nie chciał się zgodzić na wszystko, czego uczy kościół; bliżej więc przypa-

trzyłem się jego naukom i fałsz odłączyłem od prawdy". Ową prawdą ma być mieszanina chrześcijanizmu z budaizmem, z której wykwitnąć ma szczególna moralność, znosząca sądy i wojska, trybunały i wojny, przemysł i miasta. Już od Konstantyna chrześcijanizm zaczął znikać ze świata; dzisiaj znikł zupełnie i wstecznym ruchem wrócił do poganizmu. Władza ziemska proteguje ten poganizm; słuchać więc jej nie należy, nie wolno.

Oto główne rysy nauki, zwącej się chrześcijańską, a wynalezionej, nie wiedzieć, przez Sułajewa, przez Tołstoja, czy przez obu razem. Długi czas dręczył Tołstoja ciężki szkrupuł: „Nie mogłem się pogodzić z dziwną tą myślą, aby po 18 wiekach, w czasie, których miliardy ludzi wyznawały wiarę chrześcijańską, a tysiące poświęcało całe życie zgłębieniu tej wiary, mnie pierwszemu danem było odkryć prawo Chrystusowe, jakby jaką rzecz nową. Było to dziwnem, ale tak było". *Tak było*, powtarza pewny siebie nowy herezyarcha po tysiącach innych, których już dawno ślad przeminął, i w wierze swej zachwiać się nie daje, mimo, iż nowa ta „jedynie prawdziwa wiara", przechodząc zwolna różne szczeble, zidentyfikowała się ostatecznie z wyznaniem wiary wszystkich komunistów. Jasnem to jest w piśmie: *Cóż wreszcie mamy robić?* Opuścić miasta, owe siedziby wszelkiej nędzy; opuścić fabryki; wrócić do życia o ile można pierwotnego. Co dziwniejsza, Tołstoj do rad dawanych drugim — zastosował własne życie; zagrzebał się na wsi, nic już nie pisze, tylko w sukmanie mużyka pracuje jak mużyk, choć pewnie z mniejszym praktycznym skutkiem, jak zwykły mużyk.

Za naczelnemi wodzami powieści, za Gogolem, Dostojewskim, Turgieniewem, Tołstojem poszły naturalnie całe długie szeregi epigonów, nie sprostawszy im w zaletach, przewyższywszy w błędach. Wypisywać długą litanię nazwisk byłoby rzeczą nudną, a bez korzyści; zresztą chodziło nam tylko o naznaczenie głównych kierunków powieści rosyjskiej. Czterej pisarze, którymiśmy się zajmowali, są bez wątpienia ludźmi genialnymi; a przecież wszystkim czegoś nie dostaje, każdy nosi w sobie jakby jakiś mniej lub więcej widoczny zaród umysłowej choroby. Gogol i Tołstoj kończą w niezdrowym mistycyzmie; Dostojewski nigdy się pozbyć nie może gnębiącej go czarnej melancholii; Turgieniew z lubością wpatruje się w otchłań nihilizmu. Wszyscy czterej szukali bez wątpienia, i zdawałoby się,

że szczerze szukali prawdy; niestety! nie wiedzieli gdzie jej szukać i nikt ich nie pouczył. Długi czas w czterech różnych kierunkach prowadzili swych czytelników; aż wreszcie cztery te drogi zeszły się u stóp przepaści, na dnie której wyglądał indyjski pesymizm, przebrany w szatę mistycyzmu i nihilizmu. Ostatecznie mistycyzm ten i nihilizm, acz pozornie wręcz sobie przeciwne, z jednego podobno wypłynęły źródła: z zupełnego braku znajomości prawdziwego Boga i objawionej wiary. Najznakomitsi pisarze rosyjscy przestali wierzyć w Chrystusa i jego Ewangelię, ale czując konieczną potrzebę wiary, uwierzyli w Buddę i jego naukę, tak jak wielu pisarzy zachodnich uwierzyło w Afrodytę i boginię rozumu. Przerażające to, ale i pouczające zjawisko, jakich nauk i zasad chwytać się muszą ludzie, którzy raz odwrócili się od Chrystusa.

B.

François Xavier de Mérode, par *Mgr. Besson.* Paris, Bray Retaux. 1886.

Dobór otoczenia bywa nieraz miarą wielkości i wartości człowieka. Spostrzegamy to dowodnie badając bliżej panowanie Piusa IX. Iluż to ludzi pierwszorzędnych skupiło się wokoło osoby świątobliwego Papieża. Miał on rzadki talent poznawania się na charakterach, a ceniąc nad inne przymioty prawdę i prawdomówność, dla nich przedewszystkiem umiłował Mgr. de Mérode i zamianował go swym jałmużnikiem. Zaraz po burzy 1848 r. świeżo powracający z Gaety Pius IX. powołał do swego boku świeżo wyświęconego kapłana. Ze zwykłą trafnością odgadł, iż dla wojującego bardziej niż kiedykolwiek Kościoła, potrzebni rycerscy mężowie średniowiecznego zakroju. A takim był właśnie mgr. de Mérode. Nie pojmował on inaczej obrony Kościoła, jeno jako krucyatę, gotów sam stanąć na czele nowych Krzyżowców. To też gdy rząd włoski rozpoczął szereg swych zaborów, pierwszy dał pohop szlachetnej próbie zbrojnego odporu. Mianowany ministrem wojny, własnemi zachodami i niespożytą energią w kilka tygodni stworzył armię papieską, a choć się owa próba nie udała, stanowić ona będzie zaszczyt epoki ubogiej w piękne i dodatnie karty. Najważniejszą zasługą mgra de Mérode jest, iż duszom żądnym poświęcenia i miłującym dobre i piękne sprawy, otworzył pole do ofiar szlachetnych i walki o zasady, wznawiając piękne tradycye „wojny Pańskiej“. Przeżyć przyszło mgrwi de Mérode i Castelfidardo, i Mentanę, i zabór Rzymu, i rozproszenie Żuawów papieskich, którzy w wojnie francuskiej nowym blaskiem sztandary swe okryli.

Wyparty z dziedziny czynnych i zbrojnych usiłowań, jałmużnik Piusowy w innym kierunku jął rozwijać nadmiar żarliwości swego ducha: cofnął się do katakumb, aby z nich nowem światłem przeszłość chrześcijańską oświecić. Mgr. de Mérode wespół z sławnym Rossim dokonał wielu ciekawych odkryć, mianowicie bazyliki S. Petronilli w zakupionym przez się gruncie odna-

lezionej. Długie stanie wśród świeżo poruszonej ziemi spowodowało śmierć przedwczesną, śmierć dzielnego męża, na którego ramieniu Pius IX. tak chętnie się opierał. Zakończył życie w lipcu 1874 r.; a cały świat katolicki odczuł stratę Kościoła, i połączył się w gorącej modlitwie za jałmużnika papieskiego. Krótki lecz pełen czynów i zasług żywot znalazł odpowiedniego biografa w osobie mgra Besson, biskupa z Nimes. Pióro, które nakreśliło wizerunki kardynałów francuskich Mathieu i Bonnechose, wybornie potrafiło odmalować dzielną postać ks. de Mérode. Listy i papiery rodzinne, ułatwiały mu owo zadanie, a stąd wielkie urozmaicenie całości, w której znalazło się miejsce i na korespondencyę z lat młodzieńczych belgijskiego oficera, który chrzest ognia w Algieryi odebrał, zanim go głos Boży do wyższych nie powołał ofiar. Podczas pobytu w szkole wojskowej, a następnie i w obozie, młody Mérode nie przestawał prosić Boga, aby go nie wiódł na pokuszenie, i dał sobie słowo, iż nigdy pojedynkiem praw Boskich nie przekroczy. Acz gwałtowny i porywczy dotrzymał postanowienia. Z jednym z kolegów, który żartując sobie z jego pobożności usiłował go rozdrażnić szyderstwy przeciw wierze, charakterystycznie się znalazł. „Czyś miał zamiar mię wyzwać?“ — „naturalnie, odparł napastnik, bo wiem, że tacy jak ty jezuici, nie chętnie się biją i nadto skórę swą szanują, ażeby ją na szwank wystawiać“ — „Zapewne, moje zasady, daleko bardziej aniżeli moja skóra, nie dozwalają mi przyjąć pojedynku i zabijać człowieka za marne słowa. Ale skoro chcecie, abym się wytłumaczył, gotów jestem dać wam pamiętną satysfakcyę. Oto moje pięście, jak widzicie, tęgie, a zawsze na wasze rozkazy gotowe. Za ich pomocą, potrafię każdego rozumu nauczyć, lecz dziś, jeszcze raz po przyjacielsku rękę ku wam wyciągam“. Odwagi swej dał nieprzeliczone dowody, tak na polu bitwy jak i wobec rewolucyonistów rzymskich, ale może na największe zdobył się męstwo w onym dniu, gdy zatwierdził wobec kolegów niewzruszony zamiar chrześcijańskiego uszanowania piątego przykazania, które pojedynków zabrania.

Postać i życie mgra de Mérode jeszcze z tego względu bardzo są ciekawe, iż wykazują pogodzenie i harmonię pojęć zwanych średniowiecznemi z nowożytnym postępem. Ten mąż rycerski, który o krucyatach marzył i władzy świeckiej orężem bronił, przykładał rękę do wszystkich materyalnych ulepszeń Państwa kościelnego, budował gościńce, rozszerzał sieć dróg żelaznych, bił nowe ulice i poprawiał hygieniczne warunki Miasta wiecznego. Jedna z głównych arteryj dzisiejszego Rzymu, Via Nazionale, nosiła zrazu miano swego twórcy, mgra de Mérode. Pełno dzieł miłosierdzia opierało się o jego serce i zmysł praktyczny, a ofiarność bez granic. Nie dziw, że biografia tak wszechstronnie czynnego męża wypadła barwnie i zajmująco, uzupełniając dla czytelników znajomość ukrzyżowanego lecz promiennego panowania wielkiego Piusa. *M.*

Étude sur le scepticisme de Pascal, considéré dans le livre des Pensées, par *Édouard Droz*, docteur ès-lettres, maître des conférences à la faculté des lettres de Besançon. 1 vol. in 8-o p. 394 Paris. Alcan.

Kim był Pascal, czy i o ile jest filozofem chrześcijańskim, czy i w jakim stopniu dał się owładnąć sceptycyzmowi, oto pytania nie od dzisiaj zajmujące

licznych wielbicieli tego bądź co bądź genialnego męża. Uczeni z Port-Royal wielbili go jako swego stronnika i wodza; Voltaire, Condorcet usiłowali znowu przekształcić go w poprzednika encyklopedystów; nowsi admiratorzy, mając na czele Cousin'a, zrobili zeń jakiegoś byronowskiego bohatera, wyegzaltowanego sceptyka, któremu zdawało się, iż ciągle widzi przepaść przed sobą i lada chwila w nią wpadnie. Coraz bardziej szerząca się legenda o sceptycznym szale Pascala, wywołała reakcyę. Sainte-Beuve oświadczył kategorycznie, iż mówiąc o „Myślach" Pascala, nawet wspominać o sceptycyzmie nie potrzeba; Vinet, księża Flottes i Maynard, choć nie tak śmiało i kategorycznie, w głównych przecież zarysach zgadzali się z Sainte-Beuve'm.

P. Droz zajmuje pośrednie stanowisko między dwoma skrajnemi opiniami. Dość otworzyć słynne *Pensées*, aby przekonać się, że Pascal uważa rozum za wroga, którego raz wreszcie trzeba „zabić, ogłupić; rozum, skażony grzechem, stał się najpotężniejszą bronią szatana; powinniśmy go więc nie słuchać, lecz nienawidzieć. Wypowiadając te zdania, Pascal powtarza tylko pierwszy artykuł wiary wszystkich jansenistów wywyższających potęgę łaski na koszt rozumu, zanurzonego od chwili grzechu pierworodnego, i to zanurzonego pod każdym względem w ciemnościach bez wyjścia. Pascal więc jest sceptykiem, ale o tyle, o ile musiał nim być każdy jansenista. Janseniusz tak samo jak Pascal, walczył z rozumem; Saint-Cyran wykluczał dyskusyę i wszelkie rozumowanie, w książkach mających na celu obronę Kościoła; Pascal wypowiedział te same zdania, ale przewyższając geniuszem o wiele i Saint-Cyrana i Janseniusza, wypowiedział je tak błyszcząco i dosadnie, iż zdarł z nich płaszcz zawiłych, tajemniczych formułek i pewnie mimowoli okazał światu kryjący się pod temi formułkami nagi szkielet sceptycyzmu. Geniusz, zwłaszcza geniusz obdarzony pewną dobrą wiarą, staje się często *l'enfant terrible* dla błędu, któremu odda się w służbę; takim *l'enfant terrible* jansenizmu są „Myśli" Pascala.

Pascal zatem, powtarzamy raz jeszcze, doszedł do sceptycyzmu, nie w zwykłem słowa tego znaczeniu, tj. jako do pewnej filozoficznej metody — ale doszedł doń, jako do artykułu wiary, podanego choć niejasno w księgach przewódców jansenizmu. Już w słowach „wierzyć w sceptycyzm" znajduje się widoczna sprzeczność, i stąd w całej książce Pascala dogmatyzm i sceptycyzm dziwacznie się mieszają. Nowy to tylko dowód, iż kto chce wywyższać rozum na koszt wiary, lub wiarę na koszt rozumu, ten, choćby był geniuszem, jak Pascal, wpada w przepaść niedorzeczności.

Wszystkie te wnioski wypływają z sumiennej książki Droza, ale on sam nie wszystkie je stawia. Do tego brak mu teologicznego wykształcenia, brak czasem historycznego sądu. Dość powiedzieć, iż przedkładając w całej rozciągłości niedorzeczności, do których doszli janseniści idąc logicznie za swą nauką, czuje przecież do nich niekłamaną sympatyę. Prawda, że wedle Droza, pierwszym ojcem jansenizmu był św. Augustyn; janseniści są bez wyjątku ludźmi świętymi, a kto wie, czy ich egzageracye, nie są, w głębi rzeczy, obowiązkiem chrześcijańskim? Gdyby autor dał swą książkę przed wydrukowaniem jakiemu teologowi do przejrzenia, podniósłby o wiele jej wartość, a ustrzegł się błędów, tem bardziej rażących, iż szpecą dzieło skądinąd ciekawe i napisane z prawdziwym talentem.

B

Denk-Pfennige zur Erinnerung an Personen, Zustände und Erlebnisse vor, in, und nach dem Expiationsjahre 1848, von *Sebastian Brunner*. Würzburg und Wien 1886. str. 268.

Pod tym oryginalnym tytułem daje nam zasłużony siedmdziesięcioletni szermierz za wiarę i Kościół miłą i pouczającą wiązankę poezyj, obrazków i osobistych wspomnień odnoszących się do pamiętnego 1848 roku. Wiedeńscy niedowiarkowie znają dobrze i obawiają się ostrego dowcipu Brunnera; nie brak go i w niniejszej książce, zwłaszcza we wstępnych poetycznych utworach, ale tym razem bardziej niż kiedyindziej, ton satyryczny w miarę użyty, innych nie przygłusza. Obok w jaskrawem świetle stojących, biczem dowcipu schłostanych bohaterów rewolucyi, jak Baurnfeld, Platen, Anastazy Grün, Gentz i wielu innych — tem milej odbijają poetyczne postacie Pocci'ego, Majlath'a, Grillparzera, poważne infułą zdobne nazwiska Schwarzenberga, Rauschera Haneberga. Z każdym z nich autor znał się osobiście, o każdym umie coś ciekawego powiedzieć. Na gruncie podminowanym skrytemi i jawnemi intrygami stąpa książe Metternich z podniesionem w górę czołem nie pytając na przeszkody, wciąż zdążając do coraz dalej usuwającego się celu. Niestety duchowieństwo, a zwłaszcza wiedeńska Kapituła, która pierwsza i najenergiczniej rewolucyjnym zasadom stawić powinna była opór, nie była zdolną do walki, dzięki paraliżującemu ją józefinistycznemu duchowi. Walka z Kościołem podjęta w imię absolutyzmu, posłużyła tylko po upływie pół wieku do tryumfu rewolucyi.

Niemniej smutno przedstawia się ówczesna szkoła, przypominająca pod wielu względami dzisiejsze nasze szkolne stosunki. I tu z życia czerpane przykłady wykazują, że dobrem drzewo być nie może, które tak cierpkie rodzi owoce. Nieuprzedzony pozbyć się może z książeczki Brunnera niejednej iluzyi i poznać jak w praktyce są mamiącemi szumne obietnice liberałów i rewolucyonistów.

J.

Einige Bemerkungen über Dr. A. Zimmeter's Abhandlung: „Die europäischen Arten der Gattung Potentilla". Von *Bronisław Błocki.*

Rozprawa powyższa zamieszczoną była w „Deutschen botanischen Monatsschrift" z r. b. nr. 4—6. P. Bronisław Błocki w zbiorze pracy Dr. Zimmeter'a daje mu słuszny wyraz uznania za skrzętnie zebrane wiadomości o gatunkach należących do rodzaju *Potentilla,* jednakże nie godzi się z wszystkiemi jego zapatrywaniami. Botanicy wiedzą dobrze, jakie trudności przedstawiają niektóre rodzaje: *Potentilla* (Pięciornik), *Hieracium* (Jastrzębiec), *Rosa* (Róża), *Rubus* (Malina), *Salix* (Wierzba), gdy chodzi o oznaczenie nowego gatunku. Ileż to natworzono rzekomo nowych gatunków, które, jak się później okazało, były tylko odmianami! P. Błocki oparty na własnych spostrzeżeniach i pracach uczonych badaczy, obszernie i gruntownie wykazuje usterki w jakie popadł Zimmeter. Przy tej sposobności autor rozprawy zwraca uwagę na słabą stronę teoryi descendencyi Niektórzy botanicy, dla rozwiązania kwestyi, skąd pochodzi w niektórych rodzajach wielka liczba odmian, utrzymują, że gatunek jeszcze się nie ustalił, „walka o byt" nie miała jeszcze dość czasu do utrwalenia niezmienności. P. Błocki daje im odprawę w formie za-

pytań: Czemu, mówi, bogaty rodzaj *Saxifraga* zawiera gatunki daleko łatwiej i daleko pewniej dające się rozróżnić? czyż podbiegunowe rośliny, które od czasu epoki lodowej ścielą się po naszych górach, zachowały dotychczas te same cechy, pomimo długiego czasu i zmiany warunków? Pytania te, jak i bardzo wiele podobnych, pozostaną bez słusznej odpowiedzi; nowsze i głębsze badania zadają ciągły kłam mrzonkom rozwoju naturalnego.

Z całej rozprawy widać, że p. Błocki doskonale obznajmiony jest z rodzajem *Potentilla*, spodziewamy się, że zechce nas obdarzyć monografią, któraby była dalszym ciągiem prac, tak pięknie rozpoczętych przez pp. Rostafińskiego, Chałubińskiego i Kulczyńskiego.

K. J.

Lehrbuch der Religion. Ein Handbuch zu Deharbe's katolischen Katechismus und ein Lesebuch zum Selbsunterrichte. Von *W. Wilmers*, Priester d. G. J. Erster und Zweiter Band. Vierte verbesserte, theilweise neu bearbeitete, vermehrte Auflage. Münster 1885. Druck und Verlag der Aschendorff'schen Buchhandlung.

Niniejsze dzieło zbyt dobrze jest znanem, aby szczególnego polecenia potrzebowało. Popularny ten a jednak gruntowny wykład całej teologii, dzieli się, podobnie jak w wydaniu poprzedniem, na cztery tomy, z których dwa pierwsze już wyszły; dwa ostatnie w najbliższym czasie mają się ukazać. Pierwszy tom zawiera naukę o wierze, Bogu i stworzeniu; drugi naukę o wcieleniu, odkupieniu i rzeczach ostatecznych; trzeci naukę moralności; czwarty naukę o łasce i środkach do osiągnięcia łaski. Całe dzieło wynosić będzie około 150 arkuszy druku, na pięknym papierze. W pierwszych trzech wydaniach rozeszła się ta książka w 12.000 egzemplarzy; a jeśli się mocno nie mylimy, to, zwłaszcza ze względu na liczne bardzo ważne uzupełnienia i poprawki, piąte wydanie okaże się niebawem niezbędnem.

Rozmaitości.

Wydawnictwa misyonarskie na Wschodzie.

Protestanckie stowarzyszenia biblijne, bogate w zasoby pieniężne, zalewały aż do ostatnich czasów Wschód swemi wydawnictwami, ubodzy katolicy zmuszeni byli nieraz ich używać z braku innych. Uczniowie katolickich szkół uczyli się z protestanckich książek; kapłani używali przy odprawianiu Mszy św. akatolickich mszałów. Dopiero od dwóch lat zmieniła się, przynajmniej w części, postać rzeczy, dzięki żelaznej energii Lazarysty, O. Pawła Bedjan. Gorliwy misyonarz, rodem z Persyi, posiada gruntownie język

swego kraju, a znając niemniej dobrze starożytny język chaldejskiego obrządku, wziął się do wydawnictwa dzieł katolickich.

Pierwsze z rzędu okazało się w Lipsku r. 1885, Naśladowanie Chrystusa, z języka łacińskiego na chaldejski po raz pierwszy przełożone. „Książka ta, pisze *Bulletin de l'Oeuvre des Écoles d'Orient*, wywołała w Persyi powszechny zapał. Księża używają jej do głośnego, pobożnego czytania w obecności zgromadzonej rodziny; nie ma nikogo, coby nie pragnął jej nabyć, nawet protestanci kupują ją i podziwiają". Równie dobrze przyjęto chaldejską Książkę do Nabożeństwa, zawierającą obszerny zbiór rozmaitych modlitw przepisanych przez Kościół; sześćdziesiąt krótkich nauczek, podanych w formie rozmyślań, i liturgiczne modlitwy chaldejskie. Jeszcze ważniejszym jest wydany już w tym roku w 10.000 egzemplarzy, krótki katechizm, którego brak tak dotkliwie dawał się czuć w Kurdystanie. Nowosyryjski Elementarz uzupełnia ten szereg książek wydrukowanych w używanym dziś języku chaldejskim, który w Europie znanym jest bardziej pod nazwą języka nowo-syryjskiego, lub nowo aramajskiego.

W wielu okolicach na Wschodzie, katolicy zbierają się rano i wieczór, aby wspólnie odśpiewać godzinki w starym, liturgicznym języku chaldejskim. Godzinki te przechodziły z pokolenia na pokolenie tradycyą i w rzadkich rękopismach; dziś dzięki prześlicznie przez O. Bedjana wydanej Księdze psalmów, Godzinek i Homilij, każda rodzina, każda wieś katolicka może bez trudności zachowywać pobożne swe patryarchalne zwyczaje. Ale najgłówniejszem bezwątpienia dziełem niestrudzonego Lazarysty jest drukujący się w tej chwili w Lipsku, w starochaldejskim języku Brewiarz obrządku wschodniego. Dotąd brewiarz ten istniał tylko w rękopisach, nieraz z winy czasu lub ludzi, uszkodzonych, przez Nestoryanów na niejednem miejscu sfałszowanych, a tak rzadkich, iż wielu kapłanów nigdy do posiadania drogiego tego skarbu dojść nie mogło. Cały brewiarz okaże się dopiero w roku przyszłym i składać się będzie z trzech tomów, każdy po tysiąc stronnic; koszta druku wyniosą mniej więcej 30.000 franków. Nie mówiąc już o względach praktycznych, wydanie tego brewiarza zasługuje na uwagę i z tego powodu, iż zawarte w nim starożytne

modły i hymny, stwierdzają jak najjaśniej dawną wiarę Wschodu i w te katolickie dogmata, przeciw którym w wiele wieków później neretycy na Zachodzie czy Wschodzie zarzuty podnosili.

Na dalekim znów Wschodzie, w Chinach, inny misyonarz O. S. Couvreur T. J. przerobił dawny słownik chińsko-łacińsko-francuski *de Guignes* i wydał go lat temu siedm pod tytułem: *Dictionnarium linguae sinicae latinum cum brevi interpretatione gallica ex radicum ordine dispositum.* Dykcyonarz ten służy do czytania dzieł chińskich. W tym zaś roku tenże sam uczony misyonarz wydał rozmowy francusko-chińskie: *Dictionnaire français-chinois contenant les expressions les plus usitées de la langue Mandarine.* Impr. cath. à Ho-Kien-Fu, pp. XX—1008. Dzieło to nadzwyczaj ważne dla nauki języka chińskiego. Język książkowy różny jest od języka używanego w codziennem życiu. Chińczycy wydają dzieła tylko w języku literackim, nie chcą się poniżyć do pisania językiem pospolitym; jednakże dla misyonarzy, kupców, podróżnych ten ostatni ma największe znaczenie, dlatego ukazanie się dzieła O. Couvreur'a powitane zostało bardzo przychylnie przez Europejczyków przebywających w Chinach, domy handlowe zamówiły sobie znaczną liczbę egzemplarzy — nawet Chińczycy zaczynają z niego korzystać dla nauczenia się po francusku.

Bibliotekę rodzinną w tomikach po 50 ct. wydawać zamierza księgarnia Łukaszewicza we Lwowie, hotel George'a, jak uwiadamia o tem nadesłany nam prospekt. Znając bliżej miejscowe stosunki upewnić możemy, że zamiary wydawców są uczciwe, a charakter ich osobisty daje rękojmię, że zostaną wykonane. Cel biblioteki podwójny: 1) podać rodzinom zdrowy, pożywny a tani pokarm umysłowy, którego szkoła nie zawsze podaje: bo „uczy tylko a nie wychowuje“; 2) wyrugować zagraniczne książki, które ze szkodą pieniężną dla naszego kraju sprowadzamy, a które „nie dla naszych stosunków pisane, podkopują często wiarę i moralność“. Odpowiednio do tego celu Biblioteka zamierza już teraz wydać z dzieł religijnych: „Żywot św. Franciszki Rzymianki“, „Życie wewnętrzne Jezusa i Maryi“, „Niewiasta katolicka“ O. Ventury, „Poważne chwile młodej osoby“. Z dzieł naukowo-pedago-

gicznych: „Opowiadania z dziejów ojczystych“ dla dziatek ludu polskiego. Z książek dla rozrywki: „Irena“, powieść.

„Ogólny charakter tego wydawnictwa będzie wybitnie katolicki“ i z tego powodu zasługuje ono na wytrwałe poparcie nietylko prasy katolickiej, ale wszystkich, którym sprawa wiary św. leży na sercu.

Życząc powodzenia Bibliotece rodzinnej, śmielibyśmy zwrócić jej uwagę na potrzebę: 1) religijnych książek pouczających, brak bowiem znajomości zwykłego katechizmu w rodzinach naszych dotkliwie czuć się daje; 2) powieści w religijno-moralnym kierunku; najpowszechniejszą bowiem lekturą w rodzinach powieść i romans, a im bardziej skandalem zaprawiony, tem smaczniejszy — otóż należy klin klinem wybić i zamiast złych dać w rękę czytelnikom historyczno-religijne powieści jak: „Więźniowie mamertyńscy“, „Koloseum“, które już prawie wyszły z handlu księgarskiego.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika do biskupów portugalskich. — Nowe prawo szkolne we Francyi. — Okólnik „Wielkiego Wschodu“ włoskiego. — Zamiary i pragnienia włoskich radykałów.

Encyklika *Pergrata nobis*, wystosowana do biskupów portugalskich, ma na celu, podobnie jak encyklika do biskupów Węgierskich, ożywić katolickie życie, przytłumione nieco w Portugalii, dzięki zabiegom szeroko rozkorzenionego wolnomularstwa. Jeśli jaki kraj, to Portugalia, „ziemia bogactw i piękności“, jak ją z miłością nazywa współczesny poeta Gonçalvez Diaz, zapominać nie powinna, że największą i najlepszą część tych bogactw i piękności zawdzięcza Kościołowi i katolickiemu duchowi, który ożywiał wielkich jej mężów i do nieśmiertelnych czynów pobudzał. Tymczasem nieraz zdawaćby się mogło, że Portugalczycy zaczynają wierzyć protestantom: Sismondemu, Wolfowi, Bouterwekowi, którzy wespół z Scherrem i Lavaleyem wskazują Portugalię, jako przykład i dowód niższości ludów katolickich, a stąd niektórzy tą mefistofelesowską uwiedzeni pokusą, chcą się otrząsnąć z szczerze katolickich przekonań, które ich jedynie mogą wyprowadzić ze względnego upadku. Patrzcie na własną historyę, woła Papież, a ona wam pokaże, kiedy byliście wielkim narodem, a kiedy coraz bardziej zaczęliście słabnąć. „Wtedy byliście silnymi, kiedy przodkowie „wasi, obok narodowego sztandaru: obrazu ran Chrystusowych, „zatykali w czasie walki krzyż na swych statkach... aby oka-

„zać, iż nie tak siłą broni, jak raczej siłą świętego krzyża, odno-„sili świetne zwycięstwa, których sława dziś jeszcze nie prze-„brzmiała". Nieszczęściem czasy się zmieniły: antykatolickie rządy satrapów, których szeregi rozpoczynają się od Pombala, wewnętrzne dynastyczne waśnie, szkodliwy wpływ Anglii, pchały przez długie lata Portugalię do zguby, wyrywając każdego roku jeden liść z wieńca jej potęgi.

Kościół cierpiał najwięcej na ciągłych rewolucyach, wznieca-nych z niesłychaną zajadłością, to przez tę, to przez ową partyę. Za rządów Don Pedra, wolnomularze wypędzili zakony i pronun-cyusza, skasowali zakony rycerskie, zagrabili majątki kościelne, złożyli biskupów, zabronili kapłanom udzielać Sakramentów bez rządowego upoważnienia, ustanowili osobną komisyę dla zreformowania Kościoła. Co najsmutniejsza, biskupi stawali po stronie rządu przeciw Stolicy św. Dopiero od czasu Watykańskiego soboru stosunki stanowczo zmieniły się na lepsze, a choć wielu jeszcze nie zrozumiało, że Kościół stoi ponad państwem, a tem bardziej, że go wprzęgać nie wolno w wyłączną służbę jednego po-litycznego stronnictwa, to przecież jak państwo, tak wszystkie stronnictwa, pojęły, że Kościół jest czemś więcej i wznioślejsze ma zadanie, niż służyć za niewolnika czyjejkolwiek ambicyi. Lepiej więc jest dziś w Portugalii, jak było przed kilkunastu, albo przed kilkudziesięciu laty, ale rany jątrzone przez stulecia, nie dają się odrazu zagoić; nie dziw więc, że i dziś jeszcze bardzo wiele do zrobienia pozostaje, zanim życie katotolickie zakwitnie w całej pełni w dawnej tej ojczyźnie świętych i bohaterów.

Wskazując środki, których użyć należy do rozwinięcia i ożywienia katolickiego ducha, zwraca się Papież przedewszystkiem do duchowieństwa. Zbyt mało jest kapłanów, zbyt mało zwłaszcza se-minarzystów! Od r. 1834, zakony męskie mają sobie wzbroniony pobyt w Portugalii a choć 10.000 księży świeckich stanowi poważną liczbę, a jak na nasze stosunki bardzo znaczną, to przecież jeśli sobie przypomnimy, że sąsiednia Hiszpania liczy 40.000, a Włochy przeszło 96.000 księży, przyznamy, że Portugalia stoi w tym względzie daleko niżej. Praw patronatu względem zamorskich ko-lonij i posiadłości, nigdy nie będzie mogła Portugalia należycie i z korzyścią wykonywać bez pomocy zakonów. Ale nie tyle idzie

o liczbę, ile o wewnętrzną wartość, o naukowe i duchowe wykształcenie duchowieństwa. Dlatego Papież zastanawiając się nad obowiązkami kleru świeckiego, zwraca przedewszystkiem uwagę na seminarya, domaga się od biskupów, aby żadnych nie żałowali zachodów dla podniesienia moralnego i naukowego poziomu w zakładach tych, z których wychodzić mają przyszli apostołowie, chrześcijańscy uczeni, apologeci, nauczyciele, rycerze w walce z zepsuciem i niewiarą. Należycie wykształceni kapłani podniosą katolicką naukę i prasę, a tak skutecznie będą mogli ostrzegać wiernych przed złemi publikacyami i dziennikami. Na ten punkt kładzie Leon XIII. szczególny nacisk. Dziś ludzie z niesłychaną chciwością „garną się do książek, a nieszczęściem złe pisma rozszerzają się „jak gwałtowny potok, bez żadnej tamy... Starajcież się o wyda„wanie dzienników stających śmiało w obronie cnoty, prawdy „i wiary, jako o lekarstwo na tę ze wszech stron cisnącą się tru„iznę... Pisarze katoliccy niech z jak największą troskliwością sta„rają się o umiarkowanie i roztropność, a zwłaszcza o miłość, „matkę i towarzyszkę cnót wszystkich. Sami zaś widzicie, jak mi„łości tej sprzeciwiają się bezzasadne podejrzenia, lub oskarżenia „lekkomyślnie rzucane. Źle zaprawdę i niesprawiedliwie czynią ci, „którzy w interesie pewnej politycznej partyi, nie wahają się „oskarżać innych o brak szczerej wiary katolickiej, dlatego tylko, „iż nie należą oni do tej samej partyi politycznej, jak gdyby „katolicka wiara wiązała się wyłącznie i koniecznie z tem tylko, „lub owem politycznem stronnictwem".

Wolnomularska prasa portugalska przyjęła encyklikę z pozornem uszanowaniem, a jeśli się bardzo nie mylimy, to była w tem głęboko obmyślana taktyka, aby polemiką nie zbudzić ze snu katolików, nie przyczynić się do głębszego zastanowienia nad moralnemi chorobami, wytkniętemi przez Papieża. Natomiast dzienniki katolickie, czy też, poprostu tylko nieoddane w służbę sekty, jak np. *Palavra* z Porto, zwróciły szczególną uwagę na praktyczne punkta encykliki. „Dlatego, żeśmy dotąd nie mieli zakonów, pisze wy„mieniony dziennik, nie mogliśmy absolutnie od wielu już lat wy„pełniać obowiązków płynących z prawa patronatu. Teraz więc „przynajmniej, kiedy sprawy kolonialne tak żywo ściągają na siebie „powszechną uwagę, starajmyż się, za pośrednictwem religii za-

„pewnić sobie błogie skutki ostatniego konkordatu. Zarówno tu „chodzi o interes Kościoła, jak i o interes państwa". *Clero Portuguez*, *Jornal de Vizeu*, *Revoluçao de setembro*, mimo, iż skądinąd w zapatrywaniach swych bynajmniej nie zgodne, dziękowały jednomyślnie i serdecznie Papieżowi „za nowy ten dowód miłości i czci, jaką „żywi względem Portugalskiego narodu". Organ ministeryum robót publicznych *Novidades*, nazwał encyklikę „hołdem złożonym przez Następcę apostołów naszemu małemu, ale „szlachetnemu krajowi; wymownem świadectwem ważnych usług, „które wierny ten lud oddał cywilizacyi i ludzkości, oznaką szczególnej miłości Papieża dla drogiej swej Portugalii". W zgodnym tym chórze podziękowań i pochwał niemile raziła polemika, wszczęta wbrew wyraźnym rozkazom i życzeniom papieskim między *Naçoo*, organem portugalskich legitymistów, a *Jornal de Commercio* stającym w obronie dzisiejszego porządku rzeczy. Oba dzienniki usiłują encyklikę przeciągnąć wyłącznie na swą korzyść. Pierwszy woła: Papież chwali dawną, duchem wiary ożywioną portugalską historyę, kiedy prawi monarchowie zasiadali na tronie, a więc chwali nas i po naszej staje stronie. Drugi z równą słusznością, a raczej niesłusznością piorunuje przeciw legitymistom, jako stojącym w otwartej sprzeczności z życzeniami papieża i nadużywającym religii w interesie polityki. Sądząc po tonie i studenckich wybiegach obu tych wpływowych gazet, wiele jeszcze wody upłynie, nim zapaleńsi przywódcy politycznych stronnictw portugalskich zrozumieć zechcą pojednawcze a tak jasne napomnienia papieskie.

Republikańska Francya, która tyle winna pojednawczej polityce papieskiej — odpłaca jej się wciąż jednakową niewdzięcznością. Nawet dla czerwonych rewolucyonistów, jak np. dla Hiszpana Castelara, ciągła ta, niczem niezadowolniona nienawiść względem Kościoła, zaczyna być zagadką. Czego właściwie chcecie? pyta Castelar, jak od tylu lat pyta Juliusz Simon. Wszak macie konkordat, a ten zabezpiecza jak najzupełniej prawa państwowe wobec jakichkolwiekbądź uroszczeń Kościoła; chybaście poszaleli, kiedy mając konkordat, chcecie go się sami dobrowolnie pozbawić. Gabinet wiedział czego chce; przez parę tygodni egzystencya jego wisiała na włosku, ale mógł być spokojnym, iż skoro pozwoli *manger du prêtre*, otrzyma z pewnością wotum zaufania. Nowe prawo o szkołach

elementarnych, ścieśniające znowu wolność wychowania na korzyść państwa a wymierzone wprost przeciw szkołom chrześcijańskim, przeszło w izbie prawdziwie skandalicznie. Ledwie który z członków prawicy miał się czas odezwać, skrajna lewica wołała hałaśliwie: Głosować! głosować! a tak minister Goblet zwolniony z obowiązku odpowiadania na zarzuty, poddał pod głosowanie na jednem posiedzeniu piętnaście odrębnych paragrafów, depczących najprostsze pojęcia o wolności. Katolicy widząc, że walka daremna, walczyli tylko z poczucia obowiązku. Najwymowniejszym był protest biskupa Freppla. Znamienity ten mówca zwrócił się przedewszystkiem przeciw paragrafowi siedmnastemu, który z rzadką bezczelnością orzeka, że wychowaniem kierować mogą wyłącznie osoby świeckie.

„Jedynie dla zaspokojenia sumienia, mówił biskup Freppel „wśród ustawicznych oklasków prawicy, zabieram głos; bo większość dowiodła nam, iż postanowiła sobie z góry, odrzucić wszelkie poprawki, choćby sprawiedliwe i konieczne. System ten doprowadzi ostatecznie do kompletnego podania w poniewierkę prawa i rządów parlamentarnych. Paragraf XVII. wyjmuje zpod prawa całą kategoryę obywateli francuskich, dlatego, iż są zakonnikami. Można od nich domagać się wszelkich możliwych gwarancyj, ale jest bezprawiem wykluczać ich jedynie dla zakonnego charakteru. Zarzucicie mi może, że zakonnicy nie są związani małżeńskiemi ślubami? Ależ połowa nauczycieli, a trzy czwarte nauczycielek świeckich żyją w celibacie. Saksonia i Ameryka zmierza nawet do wykluczenia z grona nauczycieli osób stanu małżeńskiego".

„Powiem wam prawdziwy powód, dla którego wyjmujecie zakonników zpod prawa: powodem tym jest, że zakonnicy słuchają nietylko praw ludzkich, ale i Bożych. Ależ w takim razie rozciągnijcie wasze paragrafy do wszystkich katolików, bo wszyscy katolicy uznają władzę, która stoi poza władzą cywilną. Raczej trzeba słuchać Boga niż ludzi. Wedle tego paragrafu wszyscy katolicy są wyjęci zpod prawa".

P. *de Douville-Maillefeu* — „Bezwątpienia! Są wyjęci!" (Hałas, wzburzenie).

Biskup Freppel — „A więc grożcie wszystkim nie chcącym się przeniewierzyć swej religii; rzecz dość dziwna w tym kraju ka-

„tolickim, w którym ateusze ubiegać się mogą o wszystkie urzędy! „Lecz nie sądźcie, że wobec takiego postępowania, katolicy pozo- „staną z rękami założonemi. Nie, tysiąc razy nie! Ostatni grosz „oddadzą na szkoły wolne, a szkoły te, wierzajcie mi, rozmnożą „się po całej powierzchni Francyi. Wszędzie, w najmniejszej wiosce „dwie szkoły staną naprzeciw siebie. Prawda, że stąd zrodzi się „niechęć, niezgoda, nieprzyjaźń, nawet między owemi przyszłemi „matkami rodzin, które wychowywać mają przyszłe pokolenia. Bę- „dzie to coś antypatryotycznego, będzie ze szkodą dla Francyi, „ale będzie to wasze dzieło — wyście go chcieli".

Niestety! wymowny ten, ostrzegający głos, był głosem wołającego na puszczy. 342 republikanów, stojących w parlamencie pod rozkazami Gobleta, nie zważało ani na podawane racye, ani nawet na szkrupuły własnych dzienników, które, jak np. *La Liberté* miały odwagę napisać, że teraz zmieniły się role, bo „prawica broni wolności, a lewica reakcyi". Jakoż po ogłoszeniu wyniku głosowania, prawica wzniosła okrzyk: „Niech żyje wolność!" na co bardzo charakterystycznie odpowiedziała lewica: „Niech żyje Rzeczpospolita!" „Neutralność, jaką chcecie nałożyć szkołom państwowym, „pisał Juliusz Simon, a tem samem i państwu, jest czemś bardziej „upokarzającem i osłabiającem, jak sam nawet nihilizm, bo neutral- „ność ta jest obojętnością w kwestyach religijnych i filozoficznych. „Tylko silna wiara i zupełna świadomość swych przekonań wydaje „wielkich obywateli i wielkie narody. Odwołujemy się przeciw wam „do Boga i do wolności". Rzeczywiście wnet okazało się, jak urzędowe niedowiarstwo jest dla Francyi niebezpiecznem i upokarzającem. Okrzyk w parlamencie: „Katolicy wyjęci są zpod prawa", następnego dnia doszedł już telegraficznie do portów chińskich, a można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarł między Chińczykami i z jakiem szyderstwem pytali się: dlaczegóż więc Francuzi pragną zatrzymać protekcyę nad misyami katolickiemi na Wschodzie? „Otóż, pisał *le Nord*, gotowa odpowiedź, na wszystkie protesta „konsulów i agentów francuskich, skoro urzędnikom chińskim przyj- „dzie fantazya dręczenia, więzienia i rabowania chrześcijan". Nie mniej opłakane skutki odczuć się dadzą w samej Francyi. Mniejsza już o to, co nowe to barbarzyńskie prawo będzie Francyę kosztowało, choć dowiedzioną jest rzeczą, iż usunięcie zakonników i za-

konnic ze szkół publicznych zwiększyło wydatki o 150 milionów franków, i że dziś jeszcze, kiedy w 66.000 szkołach publicznych, jeden uczeń kosztuje 35 fr., to w 13.000 szkół wolnych, przez katolików utrzymywanych, jeden uczeń kosztuje tylko 20 fr. Lecz powtarzamy, mniejsza o to, bo bez porównania ważniejsze względy cisną się pod uwagę. „Ostatnie prawo, pisze *Révue des Deux Mon-*„*des*, jest bolesnym i niepokojącym znakiem szczególnego pomie-„szania wszelkich pojęć o prawie i wolności... Prawo to, oczywi-„ste dzieło sekty, raczej w celach wojennych, niż w celach szkol-„nych ukute, jest jednem z najgroźniejszych i najniebezpieczniejszych „narzędzi do rozdmuchania narodowych waśni. Wytwarza ono ni-„czem zapełnić się nie dającą przepaść; zabija moralną jedność „Francyi, którą dzieli, być może na długie lata, na dwa wrogie „sobie obozy... Ludzie prawdziwie polityczni, mówi dalej taż sama „*Révue*, owszem ludzie posiadający poprostu zdrowe zmysły, choćby „nawet przyszło im na myśl zaprowadzać jakie reformy w elemen-„tarnem wychowaniu, nie wydawaliby nigdy wojny zwyczajom, wie-„rze, obyczajom kraju. Nasz rząd republikański wręcz przeciwnie „sobie postąpił".

Jeszcze silniejszym jest artykuł założonej w republikańskich celach: *La Nouvelle Révue*. Pismo to z przestrachem widzi w nie-dalekiej przyszłości ognie komuny. „Czas, woła, wznieść okrzyk „alarmu, kiedy rząd toleruje rozprawy nad najbardziej szalonemi „reformami, kiedy lada dzień doczekać się możemy zniesienia kon-„kordatu, obalenia senatu, konfiskat i najgorszej, bo wielogło-„wej dyktatury. Rzeczpospolita zsuwa się po fatalnej pochyłości; „dziś demokracya nasza zaczyna się przekształcać w demagogię". Jakby na usprawiedliwienie tego czarnego horoskopu generalna Rada Sekwańska zawotowała 29 października po krótkiem, parogo-dzinnem posiedzeniu: zniesienie ambasady francuskiej w Watyka-nie, i wszystkich stowarzyszeń zakonnych, tudzież konfiskatę biskupich i zakonnych majątków. Nawet Konwent z czasów wielkiej rewolucyi nie zawsze z równą szybkością i energią wydawał wyroki zbiorowych konfiskat i banicyj.

A przecież niejedyny to przykład i nie jedyna wskazówka, do czego zdąża sekta ślepa w swej nienawiści. Antyreligijny prąd we Włoszech, o którym obszerniej mówiliśmy przeszłego miesiąca, do-

tychczas nie ustał, co więcej, po chwilowem względnem osłabnięciu, jakby znowu ruszony tajemniczą jakąś dłonią, wezbrał z nową siłą i gwałtownością. Czy dłonią tą nie jest wolnomularstwo, które mści się teraz na papieżu, za to, iż w słynnej swej encyklice wykrył jego plany i ostrzegł przed jego zamiarami? Na pytanie to odpowiada nam w części wydany niedawno, a w znaczniejszych gazetach ogłoszony bardzo charakterystyczny okólnik wielkiego „Wschodu włoskiego“ do braci i do lóż wyższych Włoch.

Na wstępie okólnik zapowiada, iż traktować będzie o sprawie niezmiernej doniosłości, a mianowicie „o tryumfie ludzkości i pra„wdy, a zwłaszcza ludzkości, nad teokratycznemi instytucyami i nad „utworami przeklętych instynktów nadprzyrodzonych religij, a na pier„wszem miejscu, najupartszej z nich religii katolickiej“. Następnie zastanawia się nad trzema faktami historycznemi, które stanowią „granitową podstawę wolnomularskiego ruchu we Włoszech“ tj. nad zniesieniem zakonów, inkameracyą dóbr kościelnych, i obaleniem władzy doczesnej; a pochwaliwszy szlachetne usiłowania prasy, szkoły i stowarzyszeń antyklerykalnych, zachęca do usilnej pracy nad zwalczeniem i zniszczeniem państw katolickich, o ile jeszcze są katolickiemi. Przechodząc do środków praktycznych pisze: „Przedewszystkiem trzeba wmówić w spo„łeczeństwo, że wolnomularstwo nie zajmuje się żadnemi celami po„litycznemi, ale wyłącznie dziełami miłosiernemi, dążeniem do po„koju i wolności, i staraniem o oswobodzenie umysłów z więzów re„ligii i dogmatów. Dalej, należy dowodzić, iż wolnomularstwo nie „walczy przeciw katolikom, ale jedynie przeciw klerykałom, „owemu rakowi katolicyzmu, ludziom, którzy bezczeszczą katolicyzm, „walając go po publicznych miejscach i mieszając do spraw polity„cznych. Wreszcie powinniśmy wykazywać, iż religia kwitnie naj„świetniej w krajach, w których istnieje zupełne rozłączenie pań„stwa od kościoła, jak np. w Ameryce. Należy więc zerwać wszy„stkie węzły, łączące państwo z kościołem“.

Odnośnie do szkół, okólnik usilnie zaleca, aby wybierano na nauczycieli ludzi, dających dostateczną gwarancyę swej nieprzyjaźni, a przynajmniej obojętności względem kościoła. Wyższe szkoły są już jdziś w największej części w rękach Loży, ale niestety, walka nie toczy się z dostateczną energią. Nauczycielom trzeba dać poznać, iż za jawne przyznanie się do zasad antyklerykalnych, czeka

ich nagroda i awans, w przeciwnym razie Loża dołoży starań, aby ich uczynić niepopularnemi. Nie można również ustawać w walce z duchowieństwem; wszystko co może wyjść na ich niekorzyść, każdy ich błąd, należy raz po raz, aż do przesytu powtarzać; ludowi przedstawiać każdego księdza jako mistyfikatora, jako człowieka chciwego władzy, czyhającego tylko na każdy krwawo zapracowany grosz robotnika. Do rozszerzania tych pojęć, jakoteż do zaprowadzania ślubów i pogrzebów cywilnych i palenia ciał, tudzież do wojny ze chrztem i z dziennikami katolickiemi, posłuży najlepiej: prasa, stowarzyszenia robotników, odpowiednie konferencye.

Przed niedawnemi jeszcze laty, wielu poczytałoby podobny, tak brutalny okólnik, za niezgrabnie wymyśloną baśń; dzisiaj przyzwyczaili nas już nieprzyjaciele wiary i ich dzienniki, do stawianych w ten sposób, głoszonych publicznie, a w pewnej części i wykonywanych programatów. Przecież *Riforma*, organ Crispi'ego zaproponowała poprostu przed kilkunastu dniami, aby dla łatwiejszego przebudowania Rzymu, wszystkie kościoły rzymskie wysadzić w powietrze. „O jakże! woła z ubolewaniem, kwestya przekształcenia „Rzymu byłaby się uprościła, gdyby przeszła była w wykonanie idea „dwóch tryumwirów ostatniej rzymskiej Rzeczypospolitej, tj. gdyby „byli wysadzili w powietrze wszystkie kościoły rzymskie".

Czy długo będziemy czekać na ziszczenie tych pragnień? Radykali z Mantui, ośmieleni głosami dzienników, zniszczyli w połowie października b. r. starodawny posąg św. Sylwestra, stojący na placu tego samego nazwiska, aby na tem miejscu wystawić posąg Garibaldemu. A nic nie zapowiada, aby wandalski ten zamach, miał zostać odosobnionym. Radykali włoscy święcąc rocznicę bitwy pod Mentaną, wyrazili dobitnie przez usta jednego z swych mówców, do czego dążą i czego pragną:

„Aby raz na zawsze, mówił niejaki Giovagnoli, uniemożliwić „to świętokradzkie pojednanie się (Watykanu z Włochami), trzeba „nam zgody i jedności... Petycyami do parlamentu, surowem za„stosowywaniem praw winniśmy dalej prowadzić wojnę przeciw kle„rykalizmowi. Dajcie nam nowe prawa, jeśli ich potrzeba do dal„szego prowadzenia dzieła z *Porta Pia*, do zgniecenia nieprzyjaciół „ojczyzny, a Włochy raczej dynamitem Rzym wysadzą, niżby miały „dozwolić na jakąkolwiek restauracyę".

Majocchi zażądał zniesienia pierwszego paragrafu obowiązującego dziś statutu, który uznaje religię katolicką, jako religię państwową. „A jeśliby, zakończył, żandarmi bronić zechcieli księży, to „kraj cały się zbuntuje“. Nie tylko komisarz policyjny, ale nawet organ Depretisa *Popolo Romano*, zacytowawszy wszystkie te obelgi i pogróżki, nie znalazł słowa nagany. „Dużo entuzyazmu, ale żadnego wypadku“, kończy uśmiechająco się ministeryalny dziennik. Czyż Papież i katolicy nie mieli racyi oddawna twierdzić, iż prawa gwarancyjne, są żartem, a nie rzeczywistem zabezpieczeniem osoby i majestatu papieskiego?

X. Jan Badeni.

Z Wiednia.

Projekt do ustawy o zakładaniu Izb robotniczych. — Zmobilizowanie kredytu hipotecznego. — Ustawa ograniczająca egzekucyę.

Choć już półtora miesiąca od zamachu anarchistów minęło, jednak to nieprzyjemne wrażenie, jakiego spokojni Wiedeńczycy doznali, gdy przy rannej kawie wyczytali w swoich gazetach, jak niewiele brakowało, żeby ich stolica w perzynę obróconą została, nastręcza do dziś dnia materyę do poważnych refleksyj. Że się spisek nie udał, nie jest to, jak sądzę, wyłącznie zasługa policyi, ale też zasługa ludności Wiednia, w której spisek nie znalazł dostatecznie przygotowanego materyału. Organizacya spisku była, jak się okazało niedołężna, przyrządy do eksplozyi przeznaczone funkcyonować nie chciały. Ludność Wiednia wogóle więcej łagodnego jest usposobienia; klasa robocza zresztą jeszcze się nie pozbyła uczuć religijnych, wierzy w to, iż jest Bóg, co karze za złe czyny a nagradza dobre; nie pozbywszy się zaś jeszcze cnoty pokory chrześcijańskiej, z większą uległością i poddaniem się złą także dolę znosi. Jesteśmy przekonani, że z tych to właśnie przyczyn zamachy anarchistów zawsze tylko na małą liczbę uczestników liczyć mogą.

Swoją drogą z tych wszystkich postrachów to jedno wynikło, że nawet stronnictwo liberalne w Austryi ostatniemi czasy o tyle już zmieniło dawne stanowisko swoje, że przyznaje istnienie

kwestyi socyalnej, nierozwiązanej, którą zatem rozwiązać należy. Mamy w pamięci mowę posła Plenera, który na zebraniu wyborczem w Czechach wyraźnie to oświadczył, a jeden z najskrajniejszych liberalnych polityków ekonomicznych, poseł Neuwirth z większym jeszcze naciskiem podniósł w Izbie poselskiej potrzebę zajęcia się rozwiązaniem kwestyi socyalnej.

Pomimo to stronnictwo liberalne wobec różnych reform społecznych, projektowanych i uchwalonych wrogie zajmuje stanowisko, a jeżeli posłowie liberalni pod naciskiem opinii publicznej głosują za projektowanemi reformami, to zawsze tyle czynią zastrzeżeń, iż wystąpienie ich raczej za opozycyę uważać należy.

Stronnictwo liberalne nie chce się przekonać, że zasada *laisser faire, laisser passer* dużo sprowadziła złego, i że organizacya w stosunkach ekonomicznych, choćby nawet z nakładaniem pewnych ograniczeń, koniecznie jest potrzebna. Stojąc na stanowisku jednostronnem liberalni sądzą, iż prawa polityczne, jak najdalej idące, są alfą i omegą wszelkiego szczęścia ludzkiego, a nie uwzględniają, że pomimo wielkiej ważności praw politycznych, są pilniejsze potrzeby, które zaspokoić należy.

Wynikiem przekonań tych jest projekt ustawy, który do Izby poselskiej wniosła lewica, tyczący się zakładania Izb robotniczych. Zresztą poprawiamy się, nie tyle może sam projekt uważać należy za wynik przekonań liberalnych, ile raczej radość powszechną w obozie liberalnym i w organach prasowych lewicy z wniesienia projektu. Czytając w dziennikach lewicy wyrazy uniesienia nad rozumem stanu lewicy z powodu wniesienia projektu, możnaby sądzić, iż do zupełnego rozwiązania kwestyi socyalnej już tylko braknie uchwalenia i wprowadzenia w życie ustawy o Izbach robotniczych.

Przypatrzmy się treści projektu:

Otóż panowie Plener, Esner, Wrabetz i towarzysze proponują założenie tylu Izb robotniczych, ile istnieje w Austryi Izb handlowych; Izby robotnicze w tych samych miastach co Izby handlowe, mają mieć siedzibę.

Zadaniem Izb robotniczych ma być:

a) obradowanie nad wnioskami i propozycyami robotników,

b) komunikowanie władzom spostrzeżeń o potrzebach robotników,

c) na żądanie władz zdawać opinię o projektowanych w sferze prawodawstwa nowych ustaw dla robotników.

Oprócz tego mają Izby robotnicze obowiązek: prowadzić statystykę przemysłową, o ile dotyczy robotników, i corocznie ministrowi handlu zdawać relacyę o położeniu materyalnem robotników swego okręgu, o stosunkach płacy, wpływie ustawodawstwa na stosunki robotników i t. d.

Tak określa projekt zadanie Izb robotniczych; wzór do organizacyi mniej więcej wzięty z ustawy w izbach handlowych. Zresztą z zasadniczego punktu widzenia mniej to jest ważne. Na wyszczególnienie zasługuje tylko jeszcze przepis, iż Izby robotnicze mają prawo wybierania dziewięciu posłów do Rady państwa, gdy zaś Izb robotniczych ma być 26, więc po kilka się ma łączyć do wyboru jednego posła.

Nie wiemy czy projekt powyższy stanie się kiedy prawem; niektóre dzienniki liberalne, donosząc o wniesieniu projektu, wypowiedziały obawę, iż cały projekt nie ma widoków powodzenia, ponieważ wychodzi od lewicy. Nie sądzimy iżby taki powód stał się decydującym; w każdym razie zawiera projekt cały myśl ważną, tak, iż warto pomówić o nim słów kilka.

Nastręcza się w pierwszym rzędzie pytanie, jakich robotników ustawa ma na myśli, czy łącząc ich celem nadania im reprezentacyi na zewnątrz, robi jakie pomiędzy nimi różnice. Otóż ścisłej definicyi, kogo do robotników zaliczyć należy, braknie w ustawie. Mówiąc o prawie wyboru do Izb robotniczych odwołuje się projektowana ustawa na — również projektowaną dopiero — ustawę o kasach chorych i prawo wyboru nadaje tym robotnikom, którzy należą do której z kas chorych, oznaczonych w §. 10 ustawy o zabezpieczeniu robotników na wypadek choroby. Ponieważ zaś ów §. 10 odwołuje się na §. 1 tejże ustawy, a §. 1 znów do zabezpieczenia się w kasach chorych zobowiązuje tych robotników, którzy — według innej znów ustawy — zabezpieczeni są na wypadek kalectwa, więc nie łatwo dojść od razu kategoryi robotników, o których chodzi. Tylko, gdy ustawa o zabezpieczeniu robotników na wypadek kalectwa już jest uchwalona (zdawaliśmy z niej sprawę

w ostatnim liście), z tamtej ustawy dojść można o jakie kategorye robotników chodzi, że mianowicie robotników wiejskich ustawa ta się nie tyczy. Nie wiemy też, czyby objęcie robotników wiejskich zamierzoną reformą leżało w intencyi stronnictwa liberalnego. Robotnik wiejski, bądź co bądź, odmienne od robotnika fabrycznego ma interesa, a będąc konserwatywniejszego usposobienia, odmiennie też je manifestuje.

Ustawa jeszcze jedno, ważne jak na stosunki austryackie, zawiera ograniczenie, mianowicie to, iż prawo wybierania członków Izby robotniczej nadaje tylko osobom, które umieją czytać i pisać. Ma to być widocznie premia, przywilej dla tych co się czegoś nauczyli. Ale czyż przywilej taki odpowiada zasadom równouprawnienia. Czyż to zawsze jest winą robotnika, jeżeli czytać i pisać nie umie, a skoro nie jest jego winą, to dla czegoż on ma być upośledzonym wobec tego, który czytać i pisać umie. Nie myślimy wcale stawać w obronie nieuctwa, i owszem pragnęlibyśmy bardzo, aby wszyscy robotnicy czytać i pisać umieli; ale przepis podobny ich tego nie nauczy, dopóki im szkół nie dadzą. Na tak długo zaś odnośny przepis ustawy jest niesprawiedliwy.

Jakaż jest główna tendencya całego projektu? Otóż główną tendencyą, o ile ją z projektu samego wyczytać można, jest postaranie się o legalną reprezentacyę dla klas roboczych. Legalną tą reprezentacyą mają być przedewszystkiem Izby robotnicze; one to, składając się z osób obeznanych z stosunkami robotników, bo z robotników samych, mają czuwać nad interesami robotników; położenie ich badać, rezultaty badań swoich przedkładać władzom, pomiędzy jednymi i drugiemi pośredniczyć. Izby robotnicze znów mają mieć prawo wybierania posłów, którzy interesa robotników w parlamencie reprezentować będą.

Tendencya projektu niewątpliwie jest dobra. Słuszna jest, aby robotnicy mieli możność objawienia życzeń swoich za pośrednictwem własnych organów. Mając reprezentacye legalne, oczywiście mniej się będą cisnęli na drogę nielegalną. Widzimy to w Anglii, gdzie stosunkowo ruch anarchistyczny mniej ma zwolenników, niżeli np. w Belgii i Francyi, ponieważ legalne ich reprezentacye rozgałęzionych szeroko dobrowolnych stowarzyszeń — *trades unions* — mają możność objawienia życzeń robotników i ruch cały trzymają w ręku.

Z drugiej strony jednakże zadaleko idą ci, którzy przypuszczają, iż legalna ta reprezentacya położy koniec wszelkim wichrzeniom anarchistycznym. Optymizmowi takiemu znów się tylko może oddawać ów liberalizm jednostronny, któremu się zdaje, że wszelkie obowiązki wobec klas roboczych spełnił, gdy im nadał prawa polityczne i możność zabierania publicznie głosu w sprawie własnej. Cóż pomoże zabieranie głosu, gdy go nikt nie usłucha. I tak np. projektowane Izby robotnicze nigdy nie mogą mieć nawet tego znaczenia jakie mają *trades unions* angielskie, bo te nietylko mają możność zabrać głos, wypowiedzieć życzenia robotników wobec władzy i ciał prawodawczych, ale rozporządzając znacznemi środkami pieniężnemi i wspierając niemi strejki robotników, potrafią żądania ich potrzebnym poprzeć naciskiem wobec chlebodawców. To zupełnie co innego, niżeli platoniczne wypowiedzenie życzeń, a czując taką siłę w sobie robotnicy rzeczywiście mniej tendencyom anarchistycznym sprzyjać będą.

Czy Izbom robotniczym wolno będzie organizować i popierać strejki? bardzo o tem wątpimy; Izby te oddane są pod nadzór ministra handlu, a w zakres ich czynności ustawą określonych, podobne zadania nie wchodzą.

Jeżeli zaś weźmiemy na uwagę inne zadania Izb robotniczych, to znów podnieść musimy, że znacznej ich części czyni iuż zadość instytucya inspektorów przemysłowych. Wszak instytucyę tę głównie stworzono w interesie klas roboczych. Inspektorom polecono informować się dokładnie o wszelkich stosunkach robotników, o ich płacach, mieszkaniu, pożywieniu, o stosunku do chlebodawców; im poruczono kontrolę nie tylko nad tem czy stosunek ten, sposób zatrudnienia i t. d. odpowiadają przepisom ustaw, lecz także polecono czynić propozycye co do potrzebnych zmian, ewentualnie nawet prawodawstwa. W zakres działania projektowanych Izb robotniczych to samo wchodzi, a jedyny argument, przemawiający za Izbami robotniczemi byłby ten, iż wybierają je sami interesanci a zatem większe zaufanie do nich mieć mogą.

Za atrybucyą ważną Izb robotniczych uważamy ich prawo wysyłania dziewięciu reprezentantów do Izby poselskiej Rady państwa. Wiadomo, że system reprezentacyjny w Austryi, polega na reprezentacyi różnych stanów. Mamy w Izbie poselskiej przedsta-

wicieli większych własności, gmin wiejskich i Izb handlowych. Nie można tedy też nic mieć przeciwko temu, aby klasa robocza miała swoich reprezentantów. Czy sposób rozwiązania tego zadania w formie przyjętej w ustawie jest najodpowiedniejszy, o tem przesądzać nie śmiemy; podnieśliśmy już różnicę, jaka może zachodzić pomiędzy interesami robotników wiejskich, a robotników fabrycznych, a zdaje się, że robotnicy wiejscy w ogóle z dobrodziejstw reformy mają być wykluczeni.

Co nas zresztą zadziwia, to ta okoliczność, iż właśnie stronnictwo liberalne domaga się nowej reprezentacyi stanów. Program liberalny stanowczo temu przeciwny, więc nie ulega kwestyi, iż stronnictwo liberalne w tym razie wielkiej się dopuszcza niekonsekwencyi. Ale poza tą niekonsekwencyą jest cel wyższy, dla którego nareszcie warto było coś poświęcić. Stronnictwo liberalne widzi, że coraz więcej traci grunt pod nogami, że mianowicie klasy robocze przestały wierzyć głoszonym przez nie hasłom i stanowczo się od niego odwracają. Wszelka dyalektyka na zebraniach publicznych, którą właśnie stronnictwo liberalne dotychczas potrafiło podtrzymywać wpływ swój, na nic się nie przydała, już tylko burżuazya miejska wierzy w te hasła zużyte. Trzeba było tedy coś uczynić w interesie robotników, a ponieważ reprezentanci burżuazyi i kapitału nie mogą uczynić niczego, coby własny ich interes dotykało, więc zaproponowali niewinny dosyć projekt utworzenia Izb robotniczych i reprezentacyę robotników w parlamencie. Że i to nie łatwo im przyszło, wnioskować można z zachowania się stronnictwa liberalnego wobec ankiety robotników zwołanej w czasie rozpraw nad ustawą przemysłową. Pamiętne nam jeszcze, jak, gdy przewodniczący w komisyi przemysłowej poseł Zallinger wezwał oprócz fabrykantów także robotników do ankiety, celem powzięcia od nich informacyj o stosunkach robotników w fabrykach, cała prasa liberalna napadła na „klerykalnych socyalistów“, którzy anarchistów wprowadzają do parlamentu. Dziś ta sama prasa przyklaskuje projektowi, który wprowadza tak samo reprezentantów robotników do parlamentu. Okazuje się, że prasa liberalna jest zdania, że: *si duo facient idem, non est idem.*

Stronnictwo liberalne znów i rolników wzięło w opiekę. Poseł *Sturm* poparty przez lewicę wniósł do Izby poselskiej projekt, ma-

jący na celu ułatwienie rolnikom — robienia długów. *Mobilisirung des Hypothekarcredits*, oto hasło, które nanowo podjęto. Powiadamy: „nanowo podjęto“, bo przecież już była epoka, kiedy reformy wszelkie czy to w prawie hypotecznem, czy w subhastacyjnem głównie ten cel miały na oku. Mówiono wówczas: ułatwienie kredytu, ułatwienie wierzycielowi dochodzenia pretensyi swojej uczyni kredyt tańszym. Ale pod ciężarem skutków taniego kredytu tego jęczy dziś całe rolnictwo; ziemię rzeczywiście zmobilizowano. Pod postacią listów zastawnych i hipotek noszą ją przy sobie kapitaliści najrozmaitsi, a na tem, czego ze sobą wziąść nie zdołano siedzi rolnik, administrator wierzycieli swoich. Gdyby nie ten kredyt łatwy i tani - wszelkie ustawy antypolskie, na jakie tylko Bismark się zdobyć potrafi, nie zagrażałyby kolonizacyą W. Ks. Poznańskiego i Prus Królewskich przez Niemców. Były już próby w tym kierunku i nie udały się; a jeżeli się nie udały, to w znacznej części przyczyniła się do tego silna pozycya finansowa w jakiej się wówczas znajdowali ziemianie nasi. Ale nie odbiegajmy od rzeczy.

Czy austryackie władze prawodawcze w tej samej chwili, kiedy komisya Izby poselskiej już przyjęła pierwsze paragrafy ustawy o zmianie prawa spadkowego dla własności miejskiej, przychylnie przyjmie wniosek p. Sturma i towarzyszy, nieco wątpić należy. Że Izba poselska raczej do kroków prawodawczych w kierunku przeciwnym jest usposobiona, widzimy z tego, iż świeżo przyjęła zaprojektowaną przez rząd ustawę o zmianach niektórych i uzupełnieniach przepisów o egzekucyi. O odnośnym projekcie pisaliśmy już (w liście umieszczonym w zeszycie z marca r. b.), a gdy Izba poselska znaczniejszych zmian w projekcie nie poczyniła, nie widzimy potrzeby powtarzania szczególnych przepisów ustawy. Lewica Izby, w większości swojej, pomimo opozycyi przeciwko niektórym poszczególnym przepisom, głosowała za ustawą. Jeden tylko się znalazł oponent nieubłagany w osobie posła Kronawettera, należącego rzekomo do stronnictwa demokratycznego. Otóż p. Kronawetterowi zdawało się niesprawiedliwem, aby krawcowi, szewcowi, w ogóle rzemieślnikowi i g r e j z l e r o w i niewolno było odebrać dłużnikowi ostatniej koszuli za dług zaciągnięty na zakupno ubioru, obuwia, żywności i t. d. Wymieniliśmy *grejzlera*, a jesteśmy przekonani, że nazwa ta będzie niezrozumiałą dla wszystkich czytelników

„Przeglądu“, mieszkających poza granicami Austryi. Bo też grejzler, to austryacka specyalność, w innych krajach trudno spotkać się z tym osobnikiem, który wszystkiem handluje, w małych ilościach, co w domu potrzebne, i wszystko daje na kredyt — nawet biednym robotnikom. Otóż ten dobrodziej robotników, to zarazem ruina robotników; towar u niego zwykle lichy i drogi, a tylko kredyt tak dalece przynęca, że nawet kobiety z zamożniejszych domów u grejzlerów zakupna robią. Ale, ponieważ niema nieracyonalniejszego kredytu, jak kredyt na potrzeby życia codziennego, bo jest to u biednego robotnika eskontowanie naprzód spodziewanych dopiero dochodów, więc też gospodarstwo takie za pomocą grejzlera wieczną utrzymuje nędzę, z której się biedacy wydobyć nie potrafią.

Jeżeli tedy skutkiem nowych przepisów egzekucyjnych, nie pozwalających zabrać dłużnikowi rzeczy niezbędnych, ten rodzaj kredytu ustanie, to dla gospodarstwa ogólnego i interesu robotników, tylko korzyść z tego wyniknąć może. Poseł Kronawetter widocznie tak się zżył z tem gospodarstwem grejzlerowskiem, kwitnącem właśnie najwięcej w Wiedniu, że korzyści tych dopatrzyć się nie może. Na szczęście opozycya jego przeciwko ustawie, która ze względów ekonomicznych i humanitarnych ogranicza prawo egzekucyi, pozostała bezskuteczną.

A. D.

Wspomnienia z Austryackiej pielgrzymki do Lourdes, odbytej w sierpniu 1886.

(Dokończenie).

Z Lyonu dzień prawie cały jechaliśmy, nie opuszczając prawego brzegu Rodanu. Upał nieznośny dokuczał, a pragnienia nie było czem zaspokoić, gdyż na stacyach trzeba się było formalnie dobijać, żeby dostać flaszkę lichego wina czerwonego, za które drogo płacić sobie kazano. Minąwszy Nîmes, Lunel, Montpellier, przybyliśmy do Cette, miasta portowego nad morzem Śródziemnem. Widok morza, ponad którem jedzie się spory kawał drogi, przyniósł po monotonnych równinach, nową dla oka radość, obok wielce pożądanego

chłodnego i orzeźwiającego wietrzyku. Tu znowu doznaliśmy nieprzyjaznego obejścia się ze strony zarządu kolejowego „Midi“. Pominąwszy to, że na dwukrotne podania komitetu z Wiednia, żadnej nie dał odpowiedzi, aż dopiero przez ministeryum w Paryżu wezwany, nie uwzględniwszy jednak prośby o zniżenie cen, chciał teraz pielgrzymom dokuczyć brakiem odpowiedniego pomieszczenia. W ogóle *coupés* francuskie, a zwłaszcza owego towarzystwa „Midi“, są nader ciasne, o zbyt niskich półkach, a do tego na 10 osób nawet w II. klasie przeznaczone. Z pomieszczeniem też pakunków nie można było sobie dać rady. Pomimo tłoku i ścisku pokazało się, że dla 30 osób nie dostaje miejsca. Zarząd kolejowy proszony przez komitet, aby choć jeden wagon przydał, głuchym był na wszelkie prośby i przedstawienia. Nie pozostawało nic, jak tylko ścisnąć się jeszcze bardziej i znosić tę niewygodę aż do przybycia do Lourdes tj. od 6 wieczorem aż do 3 popołudniu. Nic dziwnego, że takie nieludzkie postąpienie ze strony zarządu, było przyczyną skarg i coraz większych wyrzekań na niegrzeczność Francuzów. Z Cette, drogą na Narbonę, Karkasonę, przybyliśmy do Tuluzy. Ponieważ pociąg miał odejść aż o 8 godzinie, mieliśmy przeto sposobność choć w rannych godzinach przypatrzeć się nieco stolicy departamentu „Haute-Garonne“, szóstej z rzędu co do wielkości we Francyi, liczącej około 127 tysięcy mieszkańców. Największa osobliwość, która zwraca uwagę przychodnia i katolika, to wspaniały o 5 nawach kościół św. Saturnina, w czystym stylu romańskim zbudowany, a przez papieża Urbana II. 1096 roku konsekrowany. Na telegraficzne zawiadomienie komitetu już od 4 rano stał otworem, by tu pielgrzymka wysłuchać mogła Mszy św. i okazałej budowie się przypatrzeć. W krypcie tutejszego kościoła nagromadzona wielka ilość cennych i rzadkich relikwij ze wszystkich niemal wieków, począwszy od czasów apostolskich. Z innych osobliwości Tuluzy, obejrzeliśmy jeszcze ogromną gotycką katedrę św. Szczepana i udatną renesansową budowę kapitolu.

Z Tuluzy pociąg podąża w kierunku południowo-zachodnim, doprowadzając nas coraz bliżej do upragnionego celu. Okolica zrazu zupełnie płaska, zwolna tu i owdzie w zalesione pagórki się wydyma. Wreszcie i pagórki poczynają już tracić swe skromne wzniesienia, strzelając miejscami znacznie w górę. Pociąg biegnąc coraz

dalej między te wyżyny, coraz więcej ich oku nasuwał. Nakoniec minęliśmy już i Tarbes, miasto rezydencyi biskupa, w którego dyecezyi Lourdes leży, oddalone o dwie stacye tylko. Pielgrzymi, którzy całą drogę śpiewami i odmawianiem różańca św. przygotowywali swe dusze do godnego i serdecznego powitania Matki Najświętszej na miejscu Jej zjawień i tylu cudów, naraz umilkli. Jakiś święty, cichy a podniosły nastrój ich opanował, w milczeniu spoglądając to na siebie wzajemnie, to przez okno, chcąc czemprędzej spotkać skałę... ale jeszcze nie wiadomo gdzie... a na niej wznoszący się kościół. Serce uderza nam prędzej, wewnętrzny głos a raczej przeczucie szepcze, żeśmy już na świętem terytoryum. Świsnęła nareszcie lokomotywa ale po raz ostatni; już nikt nie słucha, jaką konduktor ogłosi stacyę, bo każdy wie, że jest u celu swej długiej podróży... w Lourdes. O witaj mi święte miejsce! którego nazwa niedawno, bo przed 30 laty niespełna nikomu nie znana, a dziś wszystkie serca, wszystkie ludy pociągasz do siebie, jako do tronu wszech łask i miłosierdzia królowej nieba i ziemi!

Z dworca niedaleko do miasteczka, gdzie rozlokowaliśmy się w kilku hotelach, wskazanych uprzednio doręczonym nam biletem, podobnie jak było w Zurychu i Lyonie. Ale każdemu śpieszno otrzepać się z kurzu i czemprędzej pospieszyć do celu swej podróży. Wkrótce też wszyscy gotowi, zdążamy do cudownej groty. Leży ona o 12 minut na zachód od miasteczka, przez które się przechodzi. Liczy ono około 4.600 mieszkańców, a będąc ładnie i schludnie utrzymane, korzystne na przychodniu robi wrażenie. Położone jest u stóp wyniosłej skały, na której szczycie wznosi się forteca, która w wojnie z Hiszpanami nieraz ważne oddała usługi — dziś bez znaczenia, pamiętna chyba tem tylko, że w niej przemieszkiwał ów Jacomet, sędzia policyjny, który w początkach zjawienia groźbami i karami, chciał odstraszyć coraz liczniej gromadzącą się ludność, a więżąc po dwakroć Bernadettę, daremnie kusił się wydobyć z niej zaprzeczenie faktu objawienia.

Wzdłuż drogi ciągnie się wielka ilość hoteli, sklepów i składów, w których podobnie, jak to u nas podczas wielkich odpustów dziać się zwykło, wystawione są na sprzedaż statuy, książki do nabożeństwa, koronki, obrazki i tysiączne inne *piacularia*. Aby dojść do groty, trzeba minąć bazylikę z frontu i wielkie półkoliste, kamienne

arkady, należące do rozpoczętej obecnie budowy kościoła Różańca świętego, który ma stanąć u stóp bazyliki, i połączony z nią schodami, jedną wspaniałą całość tworzyć będzie. Z drżącem sercem i myślą przejętą świętością miejsca, jak ongi Mojżesz do krzaku płonącego, zbliżamy się do przybytku cudów i nieprzebranego miłosierdzia Maryi. Już zdala ujrzeliśmy lud klęczący i modlący się, — dalej skałę kratą otoczoną — wreszcie grotę, a w niej statuę Najśw. Panny, nad którą wśród licznych świateł migoce świetlisty napis: *Je suis l'Immaculée Conception.*

Co się dzieje w duszy pielgrzyma, kiedy stanie przed kratą, u stóp Maryi, wobec tych skał, świadków Jej bytności, kiedy spojrzy na te szczudła, kule, laski, których tu seciny złożono, i na tysiączne inne dowody nędzy ludzkiej tu zakończonej — tego wyrazić, ni opisać nie podobna, to, tylko pojąć i odczuć na tem miejscu można.

Pomodliwszy się dowoli, zaczęliśmy się rozglądać po grocie. Leży ona pod samem prezbiteryum bazyliki, stojącej na pionowo wznoszącej się skale; jest 4 metry wysoka, 12—15 szeroka i głęboka, a ukośne tworząc sklepienie, coraz więcej ku tyłowi się zwęża. W prawej stronie skalistej ściany, nieco wyżej nad samą grotą, w owalnej niszy, stoi statua Matki Najśw. Tutaj według zeznań Bernadetty, nad pnącym się do dziś dnia krzaczkiem polnej róży, stała Matka Najśw. w dniu 25 marca 1858 r., cała w bieli z niebieską przepaską na biodrach i ze spadającym w tył welonem na głowie, z różańcem w ręku, i na zapytanie „kto jesteś Pani"? z złożonemi rękami a oczyma w górę podniesionemi, wyrzekła: *Je suis l'Immaculée Conception.* Obecna tu statua, ten właśnie moment przypomina. Polak Fabisz, z Krakowa pochodzący, a zamieszkały w Lyonie, mistrzowską ręką rzeźbił ją. W grocie pod ową niszą, stoją 2 kandelabry żelazne, w kształcie koron, które dzień i noc płoną mnóstwem stearynowych świec, przez pobożność przychodniów dostarczanych. Dalej zaś w głębi groty, pali się 6 grubych świec woskowych, także ofiara pobożnych. Grota nie ma żadnych ręką ludzką zdziałanych ozdób, całem przybraniem jej, jest wielka ilość kul wszelkiego rodzaju, to na sklepieniu skały, to na ścianach jej zawieszonych, w dowód cudownych czynów Maryi; w głębi zaś groty olbrzymi stos listów, kart wizytowych, próśb i t. p. — to supliki do Matki Najśw. Niewielką tę grotę oddziela krata żelazna od placu

dość obszernego naokoło drzewami obsadzonego, a zamkniętego w tyle płynącą Gawą. Cudowne źródło, które w grocie pod palcami Bernadetty, grzebiącej na rozkaz Maryi wytrysło, spływa nieco dalej ku placowi do marmurowego basenu, skąd płynie do przytykającego domku, urządzonego do kąpania się, tak dla mężczyzn jak i kobiet, jako też do licznych kurków, skąd nieustannie ludzie czerpią, by się jej napić, obmyć się, lub też zabrać ze sobą w rodzinne strony. Nigdy jej nie braknie, wszystkim starczy, a wydajność cudownego źródła liczą na 100 tysięcy litrów dziennie! Oto tak wygląda ta sławna na cały świat Lurdzka grota. Miejsce nader skromne, a przecież tak dziwnie urocze i święte! Na tem miejscu widzisz mężczyzn i kobiety od najwyższych aż do najniższych warstw społecznych, ze wszystkich stanów, bez różnicy, — a jak wszystko się modli! Jedni przesuwają pomiędzy palcami paciorki różańca, cicho szepcąc pozdrowienia, inni z schyloną ku ziemi lub opartą o kratę albo o skałę głową, w głębokiem zatopieni są rozmyślaniu. Nic nie mąci tej świętej ciszy. Gawa jeno nieopodal wciąż szumi, jakby ustawicznie zbierała i zanosiła gdzieś w inną krainę te ciche modlitwy szepty i te przytłumione lkania nieszczęśliwych, niebieskiej pomocy wzywających.

Od groty w prawo, po ślimakowato wiodącej ścieżce między drzewami, przychodzi się na górę ku bazylice, wprost nad grotą na skale się wznoszącej. Niegdyś Matka Najśw. objawiła życzenie Bernadecie: „Życzę sobie, aby na tem miejscu była wystawiona kaplica ku czci mojej“, a dziś wznosi się tu nie kaplica, ale wspaniały z białych ciosów kościół, przez Piusa IX. do rzędu bazylik wyniesiony. Stanął on z ofiarności wiernych, kosztem około 2 milionów franków, w ciągu 10 lat. Styl jego nowożytno-gotycki, ze wspaniałą wieżą; we wnętrzu zaś, istna kolekcya najrozmaitszych chorągwi! Wszędzie ich pełno, na stropie, filarach i na ścianach... Widok to uroczy, majestatyczny. Ołtarzy tu nie brak, rzędem jeden za drugim w bocznych ścianach ustawione, okalają wieńcem wielki ołtarz, odgraniczony piękną bronzową kratą — który cały jest z białego marmuru, otoczony wielu kandelabrami w koronę ustawionemi. Mieści w sobie niewielką statuę M. B. Lurdzkiej z koroną, którą Jej 2 lipca 1876 r., Nuncyusz apostolski, ks. Meglia osobno do tego aktu przez Piusa IX. delegowany, uroczyście wło-

żył, przy asystencyi Kardynała Arcybiskupa paryskiego, niedawno zmarłego ks. Guiberta, 33 arcybiskupów i biskupów tak francuskich jak zagranicznych, i niezliczonych tłumów ludu wiernego. Ściany bazyliki płytami białego marmuru wyłożone, mieszczą tysiące podziękowań; wyżej zaś tysiące serc złotych lub srebrnych złożone są w słowa do Bernadetty wyrzeczone.

Dzień Wniebowzięcia Najśw. P. Maryi i dwa następne zupełnie do nas należały. Wczas zrana, bo od 2-giej, rozpoczęto już msze św. odprawiać, to w bazylice, to w krypcie pod bazyliką na 40-stu mniej więcej razem ołtarzach, aby każdy z blisko 200 kapłanów, biorących udział w naszej pielgrzymce, oprócz innych w Lourdes będących, mógł spełnić Ofiarę bezkrwawą. Wzorowym szło to porządkiem; każdy bowiem z kapłanów, otrzymawszy w zakrystyi humerał, puryfikaterz i hostyę, czekał przy ołtarzu na rozbierającego się tam poprzednika, któremu służył do mszy św., i tak następnie. Nie brakło też i dostojników Kościoła w Lourdes. Przybył tam właśnie nuncyusz Vanutelli z Lizbony, brat nuncyusza wiedeńskiego, który odprawił mszę św. o 9-tej przed wielkim ołtarzem w bazylice dla pielgrzymów, i Komunię św. im rozdzielał. Był tu także arcybiskup z Cagliari (z Sardynii), biskup z Alby (z Francyi) i opat Trapistów biskup Franz (Niemiec), z Afryki. Nabożeństwo przez wszystkie 3 dni dla naszej pielgrzymki przeznaczone, odbywały się zwykłym porządkiem, ze sumą, nieszporami i kazaniami niemieckiemi. Oprócz tego inne narodowości słowiańskie, jak Czesi z Morawianami i Kroaci, którzy bardzo licznie byli reprezentowani, urządzali sobie osobne nabożeństwa przy grocie z kazaniami w ojczystym swym języku. Szczęście odprawiania mszy św. w samej grocie, zaledwie przełożonym komitetu pielgrzymki się dostało — na jednym bowiem tam ołtarzu msze św. tylko przez dwie godziny od 7—9 odprawiać się mogą.

W sam dzień Wniebowzięcia N. Panny mieliśmy sposobność przypatrzenia się wspaniałej procesyi lurdzkiej, którą parafia tamtejszego miasteczka podobno co niedzielę i święto urządza z kościoła parafialnego do bazyliki i do groty i z powrotem. Procesyi tak malowniczej w życiu nie widziałem! Na czele szła młodzież szkolna pod kierownictwem Braci Szkolnych, następnie bardzo długi szereg dziewcząt, ubranych jak ich Patronka św., w białe szaty z niebieskiemi przepaskami i z białym welonem z głowy

spadającym, następnie różne stowarzyszenia w malowniczych strojach, między innemi kongregacya Matek Chrześcijańskich. Śliczny feretron Lurdzkiej Matki Bożej, niesiony przez dziewice w lurdzkim stroju, a za niemi duchowieństwo, zamykało ten majestatyczny pochód, który wzorowym swym porządkiem szczególniejszą nas wszystkich zwracał uwagę. Prześliczny, ale i budujący był to widok. Wszyscy bowiem biorący udział w tej procesyi, bez różnicy stanu i wieku, szli z różańcem w ręku, i albo go pobożnie odmawiali, albo też śpiewali na głosy melodyjną pieśń o Matce Najśw. Lurdzkiej. Po krótkich nieszporach i błogosławieństwie Najśw. Sakramentem w bazylice, udała się procesya nadół do groty, gdzie słuchała kazania mówionego z kamiennej ambony. Pierwszy raz miałem tu sposobność przysłuchania się kazaniu francuskiego kapłana, i wyznać muszę, że ono ogromne na mnie zrobiło wrażenie. Nadzwyczajne przejęcie się mówcy przedmiotem, podniosłość myśli, zapał i żywość w przedstawieniu i wygłoszeniu rzeczy, oto co w oczach mych robiło z onego kaznodzieі jakby jakiegoś apostoła, nawołującego ludy Francyi do upamiętania się. Porównywał czasy Ludwika XIII., kiedy tenże król na dniu 15 sierpnia 1638 roku uroczystym ślubem Francyę Matce Najświętszej poświęcał — z bezbożnymi dzisiejszemi czasami, a przepraszając za niedowiarstwo i zbrodnie, błagał przebaczenia dla Francyi, i odnawiając ślub, oddawał cały kraj pod Jej opiekę.

Tymczasem nasi pielgrzymi odbywali spowiedź św. Po obiedzie, który się tu dopiero o godz. 6 odbywał, zebraliśmy się znowu u sercem ukochanej groty, tą razą wszyscy ze świecami, celem odbycia praktykowanej w Lourdes „procesyi ze świecami“. Po odmówieniu litanii loretańskiej, rozpoczęła się procesya. Mrok już na dobre zapadał, gdy od groty ruszyliśmy po wężowatej ścieżce ku bazylice. Przeszło 200 kapłanów w komżach i stułach rozpoczynało pochód, za niemi mężczyźni, potem kobiety i bez różnicy pielgrzymi, wydłużali ten pobożny, mieniący się tysiącami świateł korowód, gdzieś w nieskończoność prawie. Przeszliśmy koło bazyliki, której fasadę rzęsiście oświetlono, i koło kościoła różańcowego na wielki plac przed bazyliką, gdzie wielka statua Matki Bożej a dalej krzyż, mnóstwem świateł gorzały. Pogodne niebo i majestatycznie spokojny wieczór, zdawały się przypatrywać temu

uroczemu pochodowi, przysłuchując się pieśni, co z tysiąca piersi wzlatywała ku niebu, ogromnem echem po górach rozbrzmiewając, której każda zwrotka kończyła się wezwaniem: Ave, Ave, Ave Maria!

Następny dzień (poniedziałek 16 sierpnia) był kulminacyjnym punktem uroczystości w Lourdes. Wczas zrana byli już pielgrzymi to u groty, to w bazylice, — aby przystąpić do Stołu Pańskiego. Prymas Sardynii, arcybiskup Berchialla z Cagliari, raczył obdzielić u groty Najwiętszem Ciałem pielgrzymów, co jak się później wyraził, szczególną przyjemność mu sprawiło. Przy tej sposobności nastąpił też wypadek bardzo rzewny, bo ofiarowanie przez niejaką baronowę Teresę Dalberg kuli, której dawniej używać musiała z powodu nieuleczalnego cierpienia w nodze, a które po użyciu wody z Lourdes, nagle ustało. Z wdzięczności też dla Matki Najśw. podjęła ona tę pielgrzymkę, przywożąc w ofierze ową kulę, już jej nadal zbyteczną. Małe cierpienie, które jej pozostało, zniknęło całkowicie w Lourdes tak, że zupełnie zdrowa wracała. Drugi też cudowny wypadek zaszedł w oczach pielgrzymów. Przybył tu w podeszłym wieku brat zakonu Franciszkańskiego, szukać pomocy Najśw. Panny, nie mogąc jej znaleść w środkach ludzkich. Od wielu lat już cierpiał, gdyż na szyi uformowała mu się rana w rodzaju raka, — rana ta, za obmyciem jej wodą lourdzką, nagle zamknęła się, przynosząc cierpiącemu tak dawno pożądane zdrowie.

O godzinie 3-ciej po południu nastąpiło uroczyste poświęcenie chorągwi przyniesionej przez pielgrzymkę do Lourdes. Dar to iście wspaniały, który słusznie obudzał podziw ogólny w Wiedniu i w Lourdes, swem bogactwem, szczęśliwym pomysłem, a nadewszystko artystycznem wykończeniem. Była to robota pracowitych zakonnic od „Ubogiego Dziecięcia Jezus“ w Ober-Döblingu pod Wiedniem. Na czerwonej i białej, jedwabnej grubej materyi, mającej 4 metry długości, $2^1/_2$ szerokości, z jednej strony znajdowała się litera gotycka *M* okolona wieńcem laurowym, z napisem niemieckim: „Królowo Różańca św. módl się za nami“; z drugiej zaś w środku Matka Najśw. z Dzieciątkiem Jezus na ręku, a w 17 medalionach ułożonych w kształt krzyża, patronowie wszystkich krajów koronnych Austryi z napisem u góry: „O święci patronowie naszych krajów, módlcie się za dom panujący i za naszą Austryę“.

Nie brakło tam patronów Galicyi i W. Księstwa Krakowskiego: św. Michała i św. Stanisława. Takiej drugiej chorągwi co do wielkości, bogactwa i wykonania, nie masz w Lourdes. Aktu poświęcenia, dopełnił czcigodny arcybiskup Fontenau z Albi w przytomności XX. Misyonarzy od Niepokalanego Poczęcia, którym przez biskupa dyecezalnego z Tarbes, oddaną jest w opiekę grota i bazylika w Lourdes. Ten sam biskup francuski, przy obiedzie w tym dniu u XX. Misyonarzy, na który zaproszono komitet naszej pielgrzymki, podnosząc gorący toast na cześć pielgrzymki, zaprotestował uroczyście przeciw lyońskim wybrykom, zaznaczając, że chciał przez poświęcenie tego wotum, nietylko dać pewnego rodzaju zadosyćuczynienie, ale zarazem i złożyć dowód uznania dla naszej gorliwości w wierze. W uroczystym pochodzie od groty do bazyliki niosło ją 8-miu silnych mężczyzn, w otoczeniu kapłanów i reszty pielgrzymów, z arcybiskupem Berchialla z Cagliari na czele, w asystencyi dwu opatów i innych prałatów. Przy odgłosie hymnu narodowego austryackiego, wśród widocznego zapału patryotycznego i radości malującej się na wszystkich twarzach, wyniosła się chorągiew z pośrodka naszego w powietrze, pod sufit w nawie Kościoła przed prezbyteryum, i tam zawisła przy swych siostrzycach z Węgier, z Niemiec i z Rumunii, aby na zawsze świadczyć o wierze ludów Austryi ze swym domem monarszym, i o ich do Matki Boskiej w Lourdes czułem nabożeństwie. Zaznaczył to bardzo dobitnie prezes pielgrzymki ks. prałat Zschokke, w pięknej łacińskiej przemowie do ks. arcybiskupa Berchialla, który imieniem XX. Misyonarzy ten znamienity dar przyjmował. W serdecznej, klasyczną łaciną wypowiedzianej odpowiedzi, ocenił też ks. biskup należycie doniosłość tej pamiątki i ofiarność narodu, najgłębsze też uznanie dla naszego katolickiego monarchy z tego powodu wyrażając. Był to moment w istocie podniosły i wzruszający, tak że obecny tam jeden generał francuski rozpłakał się jak dziecko. W tym dniu wysłano też stosowne telegramy zapewniające o przywiązaniu i modlitwie: do Ojca św., do Jego Ces. Apostol. Mości, do Królowej hiszpańskiej i do protektora pielgrzymki, kardynała wiedeńskiego ks. arcybisk. Ganglbauera, — które odpowiedziami zaszczycone zostały. Wieczór zebraliśmy się znowu u groty na wieczorne nabożeństwo, z powodu jednak niepogody, zaniechano procesyi ze świecami.

Przyszedł w końcu ostatni dzień pobytu w Lourdes, dzień rozłąki z tem ukochanem miejscem, do którego acz przez krótki czas pobytu tak się dusza przywiązała, że z przykrością tylko myśleć trzeba było o jego opuszczeniu. To też ostatnie godziny naszego tam pobytu, spędzaliśmy głównie i najmilej u groty na modlitwie. Przed publicznem rozpoczęciem nabożeństwa, garstka pielgrzymów z naszej nieszczęśliwej ziemi, postanowiła wspólnie pomodlić się do Matki naszej i Królowej, za nasz Kościół św., za naszych biskupów, kapłanów i za cały naród. Brała mię gorąca chęć, choć paru słowami zaznaczyć, że w tym licznym pochodzie ludów Austryi do Lourdes i myśmy Polacy tam byli. Aleć nie było do kogo przemawiać. Z 17 ledwie osób składała się nasza polska drużyna, do których nadto zaliczyćby można kilku kapłanów i obywateli ze Szląska. I cóż znaczyła ta garstka wobec innych narodów Austryi tak silnie reprezentowanych, które mogły sobie urządzać nabożeństwa i kazania w swych językach? To też ograniczyliśmy się tylko na odśpiewaniu pieśni „Serdeczna Matko“ i „Święty Boże“, zazdroszcząc poniekąd innym współbraciom słowiańskim jak Czechom, Morawianom i Kroatom.

Po południu już w tym dniu przybyło 1.200 pielgrzymów z Anger, trzeba im było ustąpić miejsca. Zebraliśmy się tedy wieczorem po 7-ej godzinie, na pożegnalne u groty nabożeństwo. Wspólnie zmówiliśmy cząstkę różańca... ostatni raz na miejscu, gdzie Matka Najświętsza z różańcem na ręku się zjawiała, podobnie modlącej się Bernadecie, poczem wstąpił na mównicę czcigodny nasz prezes ks. Zschokke, i wymownemi a serce przejmującemi słowy, przemówił. W imieniu wszystkich dziękował Matce Najśw. za doznane łaski, za umocnienie w wierze i za miłość do Kościoła św. Gorący zwrot uczyniony do licznych kapłanów, abyśmy szczególną miłością ku Matce Najśw. pałając, także i wiernych do niej zachęcali, pobudził wszystkich do rzęsistych łez. Zakończył zaś słowy: „Obyście tu zgromadzeni pielgrzymi, z których chyba tylko niewielom użyczonem będzie, jeszcze kiedyś w życiu tu przybyć, — odtąd nigdy nie zaniechali, codziennie, przynajmniej na jedną chwilę przenosić się tu w duchu na to święte miejsce łask, by Matkę Najśw. w Jej przybytku uczcić“. Wreszcie w imieniu wszystkich błagał Matkę Najśw. o Jej dla nas obronę i opiekę, i wysłuchanie próśb naszych. Ostatnią procesyą ze świecami, zakończyło się, że tak powiem urzę-

dowe, publiczne pożegnanie. Na prywatne zostawało jeszcze parę chwil, bo odjazd naznaczony był na 11 godzinę w nocy.

Powrót z Lourdes nastąpił na Paray-le-Monial, leżące w północno-zachodniej stronie od Lyonu, dokąd po 36 godzinach nieprzerwanej jazdy zdążyliśmy szczęśliwie. Jestto owo sławne miejsce, w którem boski Zbawiciel objawił bł. Małgorzacie Maryi Alacoque w r. 1675, swe najświętsze Serce, do którego nabożeństwo tak bardzo się rozszerzyło iż dziś znane jest nawet pod strzechą wieśniaczą. Zaprawdę, nasza pielgrzymka nigdzie nie mogła piękniej i godniej się zakończyć jak tu, gdzie nieszczęśliwej ludzkości przed dwoma wiekami otwarte zostało nowe źródło miłosierdzia w Sercu Jezusowem. U Serca Jezusowego pragnęliśmy tedy wypocząć i w Niem na zawsze pozostać, gdyśmy sobie w Lourdes u Serca Niepokalanie Poczętej Matki Jego, pośrednictwo i opiekę uprosili. Zapomniawszy o znużeniu i trudach długiej podróży, pośpieszyliśmy jeszcze ze mszami, około 10 bowiem zrana przybyliśmy, — aby czemprędzej, utajonemu w Sakramencie miłości Bogu, złożyć akt miłości i dziękczynienia w tej „świątnicy“ Serca Jezusowego. Kościołek tu niewielki do PP. Wizytek należący, ozdobiony jest mnóstwem wotów, chorągwi i tablicami pamiątkowemi. W nim to, w czasie oktawy Bożego Ciała r. 1675, gdy bł. Małgorzata Marya Alacoque modliła się w chórze zatopiona w rozważaniu nad nieskończoną dobrocią Jezusa w Najświętszym Sakramencie, ukazał się jej na wielkim Ołtarzu P. Jezus, a wskazując swe serce wyrzekł: „Patrz, oto serce, które ludzi tak bardzo ukochało“. Relikwie tej błogosławionej służebnicy, wystawione są w kościołku ku czci publicznej w osobnej szklanej podłużnej szafce w presbyteryum. Naokoło płonie zawsze wiele światła przez przychodniów ofiarowanego. W dzień przybycia zostały tam odprawione uroczyste nieszpory z błogosławieństwem, a na drugi dzień pielgrzymi przystępowali wspólnie do Stołu Pańskiego. Msze św. rozpoczęto odprawiać już z uderzeniem 12 godz. w nocy, dla małej liczby ołtarzy (7 tylko). Gorliwy i niezmużony nasz prezes X. Zschokke, który uroczyste dla pielgrzymów odprawił nabożeństwo, w pełnej zapału przemowie zwrócił uwagę wszystkich na świętość tego miejsca, a nakoniec ofiarował boskiemu Sercu Jezusa Kościół św., Ojca św., biskupów i kapłanów, Monarchę naszego i kraj cały pielgrzymów i siebie. Po uroczystej sumie i kazaniu w kościele pa-

rafialnym, opuściliśmy Paray le Monial, gdzie na pamiątkę pobytu naszej pielgrzymki, ufundowane zostały dwie wieczyste msze św. jedna za pielgrzymów, druga w dzień 18 sierpnia za naszego Monarchę.

Tak tedy zakończywszy tu duchowe biesiady dla duszy, poczęła odtąd pielgrzymka częściowo się rozsypywać. Około 60 członków tu zostało, którzy stąd do Paryża udać się mieli: główny zaś korpus podążył ku Genewie z powrotem, zostawiwszy na jednej ze stacyj w drodze kilku jeszcze uczestników, wybierających się do Turynu dla zwiedzenia zakładów Dom-Bosca. Począwszy zaś od Genewy, gdzie zanocować wypadło, pielgrzymka coraz bardziej szczuplała, a najbardziej w Zurychu, gdzie prawie połowa odłączyła się tj. ci, co chcieli zwiedzić niebardzo stąd odległe starodawne cudowne miejsce Matki Boskiej w Einsiedeln, przez licznych katolików z Szwajcaryi, Bawaryi, Badeńskiego i t. d. uczęszczane. Podczas więc, gdy reszta nieprzerwanie ku Wiedniowi wracała, myśmy ku Einsiedeln zdążali, gdzie na drugi dzień odprawiwszy msze św. w wielkim i wspaniałym klasztorze Benedyktynów, we trójkę już tylko, wozem ze 2 mile podjechaliśmy pod Rigi-Kulm. Niepodobna było nie skorzystać ze sposobności i puścić mimo taką w naturze osobliwość, jak wycieczka koleją *(Zahnradbahn)* na szczyt góry na 6000 stóp! Ale obok wspomnień z Lourdes nie wypada kreślić wrażeń z widoków natury choćby i najcudowniejszych! Wnet też stamtąd w rodzinne strony pośpieszając, wracaliśmy z Lourdes, jakby z świętą dla duszy zdobyczą, z umocnieniem w wierze, z roskoszą duchową i pełnem świętego zapału sercem. Co aby nigdy nie wygasło, niech codziennie do tej groty, biegnie myśl tych, co tam byli, — a tak, podróż do Lourdes niezatartą pozostanie na całe życie! [1].

---

[1] Ogółem pielgrzymów w tej podróży było 584 osób a mianowicie: z Wiednia 83, z Niższej Austryi 88, z Wyższej 91, z Morawii 78, ze Styryi 48, ze Szląska 31, (między nimi Polacy z Cieszyna, Mgr. X. Sikora i X. Dudek, X. Gałuszka z Karwina, p. Stanko, aptekarz z Bielska), z Czech 30, z Węgier, Kroacyi, Slawonii 34, z Salcburga 23, z Tyrolu i Voralbergu 21, z Krainy i Nadbrzeża 15, z Karyntyi 6, z Niemiec 18, z Rumunii, Bukowiny, Galicyi 17, których szczegółowo nazwiska wymieniam:

Z dyecezyi krakowskiej: X. T. Czapela prob. ze Ślemienia, X. B. Klima prob. z Głębowic, X. J. Kopiński wik. z Mucharza, X. J. Kozak wik. z Krze-

szowa, X. A. Opidowicz prob ze Sułkowic, X. M. Paleczny prob.. z Radziechów, X. J. Słosarazyk wik. z Polanki W. i X. C. Wądolny z Krakowa; nadto p. Marya de Górki Gorczyńska z p. Jadwigą Korczyńską, ze Stryszowa, = 10 osób. *Z Dyecezyi Przemysk.* o. ł. X. Gruszka prob. z Rzeszowa, X. A. Karakulski dziekan i prob. z Przybyszówki i X. D. Sulikowski prob. i jubilat ze Słociny. *Z dyecezyi Lwowsk.* o. ł. X. Dr. L. Jurkowski dziekan kapituły katedr. i z zakonu OO. Bernardynów: O. F. Firek z Gwoździca i O. R. Waga gward. ze Sokala, w końcu X. D. Dawidowicz prob. ob. orm. ze Suczawy na Bukowinie.

X. Czesław Wądolny.

Druk ukończony dnia 27 listopada 1886.

STEFAN BATORY.

(W TRZECHWIEKOWĄ ROCZNICĘ JEGO ŚMIERCI).

Gdy w grudniu r. 1586 wiadomość o śmierci króla Stefana doszła do Rzymu, Papież Sykstus V., który z wysoka patrzał na sprawy chrześcijańskiej Rzeczypospolitej, zawołał ze łzą w oku. „Izrael stracił zbawiciela!“

W Polsce, którą ta strata najbliżej obchodziła, inaczej podówczas na nią patrzano. „Chmury paszkwilów po jego śmierci wywierały długo tajoną żółć nad nieboszczykiem [1].“ Powodem tej indolencyi współczesnego pokolenia i tych urągań nad niezamkniętą jeszcze trumną królewską, była: „żelazna ręka“, jaką Batory ścisnął i trzymał szlachecki żywioł, do swywoli i bezrządu pohopny, karności niecierpliwy. Swywola polska, nieoglądająca się ani na powagę prawa, ani na majestat króla, posuwająca się aż do prowadzenia polityki na własną rękę i zdrajczych spisków, uosobiona w Samuelu Zborowskim poddającym na mocy sądowego wyroku głowę pod topór kata, znalazła w Batorym stanowczego a dziwnie przezornego i wytrwałego przeciwnika i pogromcę. I to jego najgłówniejsza, iście obywatelska usługa, boć i król także powinien, i to przedewszystkiem być *bonus civis*, obywatelem miłującym dobro kraju i rozumiejącym w czem ono tkwi właściwie i co mu na pierwszym planie przeszkadza. Obcy narodowi pochodzeniem, wychowaniem, domowemi tradycyami, charakterem wreszcie, umiał Batory zrozumieć ten naród, ocenić jego zalety i wady, wyzyskać

[1] Szujski III. 86.

pierwsze należycie, opanować drugie, okiełznać krewką buńczuczność jego i te niesforne, a wiecznie niespokojne żywioły przywieść do równowagi z sobą i do harmonii z tronem. *Magnus erat quasi conversis animis hominum ubique terrarum consensus*, w przededniu śmierci króla, powiada naoczny świadek [1]; umysły wszystkich zwróciły się do króla, postanowiono i pobór uchwalić na nową wojnę moskiewską i nadać indigenat bratankom królewskim i pójść drogą, którą król wskaże. Skąd ten talent i ta umiejętność rządzenia i ta głęboka znajomość serca ludzkiego u męża, którego wychowano w zwykłym zamku pańskim na zacnego obywatela, ale nie na króla szlacheckiej „od morza do morza szerokowładnej, najjaśniejszej Rzpltej“? Psychologiczne to studyum, ze wszechmiar ciekawe — warto się nad niem zastanowić.

Przywróciwszy poszanowanie prawu i majestatowi królewskiemu, otoczywszy się doborowem gronem duchownych i świeckich senatorów i dzielnych wojowników zastępem, zabrał się król do złamania groźnej podówczas, jak miecz Damoklesa wiszącej nad Europą, potęgi tureckiej. Głęboki a wytrawny polityk zrozumiał doskonale, że interesa państw zachodnich różne a często sprzeczne z sobą, nie dopuszczą nigdy do zrealizowania ulubionego papieży planu „świętego przymierza książąt chrześcijańskich“, któreby samo jedno zdolne było stawić opór i skruszyć moc Półksiężyca. Zrozumiał i to, że ten Półksiężyc ile razy przyjdzie mu się zetrzeć z Zachodem, znajdzie zawsze skoro zechce, naturalnego sprzymierzeńca w prawosławnem rozrastającem i dźwigającem się raźnie Wielkoksięstwie Moskwy. Groźny to i wrogi sąsiad dla Polski, od pół wieku wpada co chwila i szarpie jej wschodnie prowincye, a rości sobie prawa do dalszych zaborów wrzynających się już w samo łono Rzpltej, spiskuje ze Szwedem i Niemcem na jej zgubę. Nie ma rady, półśrodkami niczego się tu nie dokaże, traktaty i przymierza nic u niego nie ważą — wojna, wojna i jeszcze wojna, eksterminacyjna *usque ad deletionem nominis*, oto jedyny skuteczny środek. Ale na wojnę potrzeba pieniędzy, a szlachecki wolny naród nawykł brać od królów a nie dawać, pobór wojenny był mu wstrętny. Porywając się do wojny z tak groźnym sąsiadem, potrzeba

[1] Sulikowski. Comment. rer. pol. 171.

uśpić czujność głównego wroga „bezbożnego pohańca“ i nie dopuścić do żadnego sojuszu ze stroną przeciwną wojującą. Zapewnić też należy dobre stosunki sąsiedzkie z cesarzem Niemiec i szwedzkim królem. Zadanie nie małe. Pierwszy zaraz sejm toruński 1576 r. odmawia poboru na wojnę, która ma ukarać sponiewieraną buntem gdańskim powagę Rzpltej; szlacheccy trybuni Niemojewski i Pękosławski stawią się hardo królowi. Stałość jego pełna taktu, ale i poczucie królewskiej władzy łamie ten opór, nakazuje posłuch — i oto trzy następne sejmy warszawskie w r. 1578, 1579 i 1581 uchwalają niesłychany dotąd pobór po złotym od łanu; a trzy zwycięskie wyprawy wojenne kończą się traktatem w Kiwerowej Horce, który oderwane prowincye przywraca Polsce. Groźny sąsiad północny upokorzony, ale nie złamany jeszcze; „w zaciętym jednak z Moskwą boju Polak przywyka do karności i oręża, magiczny węzeł przyjaźni wiąże króla bohatera z bohaterskim narodem“ [1], można już na seryo pomyśleć o ostatecznej zagładzie groźnego sąsiada, bo i wewnętrzne kłopoty jego państwa sprzyjają dziwnie temu; postanowiona ona na rok 1587 i już zbiera się sejm do Grodna, aby potrzebny pobór wojenny uchwalić.

Dyplomatyczne roboty równie pomyślnym uwieńczone skutkiem. Grzegorz XIII. śle do Wilna, zdążającemu pod Wielkieluki królowi czapkę i miecz święcony [2]; w katedrze wileńskiej, żmudzki biskup Gedrojć w towarzystwie papieskiego legata Caligari dopełnia uroczystego wręczenia „obrońcy chrześcijaństwa“ papieskich darów. Śmierć cesarza Maksymiliana II. uwalnia króla od niebezpiecznego rywala, a niedołęstwo Rudolfa szkodzić mu nie potrafi, pomimo że Kamera Szląska po 100.000 złr. rocznie płaci jurgieltnikom cesarskim w Polsce, aby szpiegowali i donosili wiernie o „praktykach“ polskiego dworu. Szwed, ujrzawszy srogą karę, która spotkała północnego władcę, spiskuje z różnowiercami Ryżanami, przeciw królowi, ale do otwartej akcyi wojennej nie odważał się wystąpić.

I znów nasuwa się pytanie: skąd ten rozum polityczny, przezorny, wytrwały i konsekwentny u męża niewychowanego na mo-

[1] Szujski. Dzieje Polski III. 49.
[2] Sulikowski 129.

narchę wielkiego państwa? Skąd ta otwarta uczciwość i prawość charakteru, rzadka i prawie niebywała u mężów stanu i polityków XVI. wieku, która zjednała mu nietylko zaufanie u poddanych, tak skorych do podejrzywania swoich królów, ale nakazała cześć i szacunek u chrześcijańskich książąt z papieżem na czele, u wrogów nawet i pohańców? Skąd wreszcie ten hart niezłomny duszy, pokonujący z dziwnym spokojem, bo w poczuciu własnej siły, i niesforność szlachecką, i ambitne a rozstrzelone aspiracye dumy magnackiej, i swawolę kozacką, i zaborcze zapędy groźnych sąsiadów na Północy i Południu? A nietylko w wielkich i ważnych polityczno-państwowych sprawach, ale ta sama męska stałość i roztropność, konsekwentność i wysoki a delikatny zmysł sprawiedliwości cechuje każde najdrobniejsze rozporządzenie, każdy akt wyszły z kancelaryi przybocznej króla, każde jego wystąpienie publiczne. Czuł to naród i rozumieli to postronni, że ten król polski, to mąż niezwykłej miary, o postawie rycerskiej i animuszu odważnym, a prawy i sprawiedliwy jak rzadko, któremu zaufać można i należy, a przekomarzać się mu i sprzeciwiać nie można.

Dotąd badano wiele i pisano wiele o Batorym, królu, polityku i wojowniku znakomitym, robiono dyagnozę pilną i trafną jego publicznego życia, iżby się z tych dzieł i rozpraw spora *bibliotheca Bathoriana* ułożyć dała; ale wewnętrzną fizyognomię jego, pracę duchową i walkę duchową, jaką przebywał, słowem dzieje Batorego jako c z ł o w i e k a, z którego wyrósł król dzielny, wódz i polityk — o tem u naszych historyków nie doczytasz się niczego, sięgnąć musisz do obcych, a u tych także niewiele się dopytasz. Z oderwanych relacyj i fragmentów dorobić sobie i utworzyć należy obraz duszy tej niepospolitej postaci.

Dzięki wskazówkom uczonego p. Żegoty Paulego, nagromadziłem sporo tych fragmentów historycznych, na których oparty, zabieram się do psychologicznego studyum nad Batorym. Praca to, jak mniemam, bardzo na czasie i do uświetnienia trzechsetletniej pamiątki zgonu tego „największego z królów polskich“ sposobna. Żyjemy bowiem w epoce, gdzie w politycznem zwłaszcza i publicznem życiu o charaktery wielkie, szerokie a prawe i zacne, niezmiernie trudno; zaginęły one prawie do szczętu i zaginąć musiały, odkąd polityka wielka i dyplomacya weszły na tory zupełnie obce

nietylko starym chrześcijańskim zasadom, ale nawet poczuciu międzynarodowego prawa i poszanowaniu świętości traktatów i czci dla powagi monarszego słowa. A już jeżeli kiedy, to chyba za dni naszych, w tych ostatnich miesiącach, to podeptanie wszelkich podstaw moralnych w publicznem życiu i międzynarodowych stosunkach wystąpiło najjaskrawiej, iż o tej polityce najbardziej rewolucyjnej, chociaż idącej z góry, powiedzieć trzeba z Horacym:

Jura negat sibi nata, nihil non arrogat armis.

I.

Siedmiogrodzki historyograf Wolfgang de Bethlen, wywodzi ród Batorych od króla panońskiego Batho, który dla swej waleczności to imię otrzymał; węgierskie bowiem słowo *báthor* oznacza: odważny. Królowie Wizygotow, Alaryk i Atulf pochodzić mieli z tego rodu, ich zaś potomkowie, wygnani burzą wypadków, przenieśli się do Niemiec. Jeden z nich, nazwiskiem Wencelin de Vazenburg, powrócił do Panonii za rządów króla św. Stefana, dorobił się najpierwszych godności w kraju, był nawet hetmanem wyprawy wojennej przeciw księciu simigijskiemu Kupie. Praprawnuk jego, Opos Báthor, zostawszy zwycięzcą w potrójnym pojedynku, przyjął za godło herbu swego chorągiew potrójną. Jeden z jego wnuków, Wyd Báthor, mąż srogi i mężny, zabił smoka w bagnach ecsedyńskich i odtąd, zamiast potrójnej chorągwi nosił w swym herbie trzy zęby smocze, które otacza smok zwinięty w koło i własny ogon w paszczy trzymający. On to jest protoplastą rodu Batorych i miasteczku dziedzicznemu nazwę swego rodu nadał. Batorowie wysługiwali się dzielnie królom węgierskim, w nagrodę swych zasług otrzymali dobra Boli we Węgrzech a z biegiem lat, w XIII. i XIV. wieku rozpadli się na kilka gałęzi, od swoich zamków przydomki de Somlyo, de Ecsed, de Sziner, de Zinnyer biorąc; ci ostatni nosili także przydomek Stanislófi od protoplasty swego Stanisława Báthor. Aleksander baron de Simolin w swoich „Stamm-Tafeln des edlen Geschlechtes der Bathory von Simolin“ naznacza na protoplastę rodu: Brykcyusza z Rakomez, któremu pod koniec XIII. w. za wojenne usługi król węgierski Władysław IV. majętność Báthor w górnych Węgrzech nadaje, skąd też rodowe imię

Batorych początek swój wzięło. Pięciu synów i córkę miał ów Brykcyusz. Najmłodszy z synów, Łukasz Báthor otrzymał od króla Karola I. r. 1325 majętność Ecsed, wybudował tam zamek Hirsey (Wierność) i dał początek linii Batorych z Ecsed. Najstarszy syn Brykcyusza, Jan I. de Báthor, miał trzech synów, z których najstarszy, Władysław I. Comes de Báthor, ożenił się z Anną Magyesly-alia i wziąwszy za nią w posagu dobra i zamek Somlyo, dał początek linii Batorych de Somlyo, z której nasz król polski pochodził, jak to uwidoczni położona w nocie tablica genealogiczna [1].

Na wyrobienie charakteru o wielkim stylu człowieka wpływają tradycye rodowe, wychowanie, otoczenie i wypadki polityczno-społeczne, a podstawą wszystkiego religia, bo na zawsze pozostanie prawdą „początkiem mądrości bojaźń pańska“. Nasz Stefan był synem wojewody siedmiogrodzkiego Stefana VI. Báthor de Somlyo 1529 – 1534. Mianował go nim król Jan I. Zapolia wnet po powrocie swoim z Tarnowa, gdzie przez czas jakiś przed rywalem swoim Ferdynandem szukał schronienia. Równocześnie z tą godnością powierzył mu obronę granic przeciw Wołoszy, która niedawno ziemię

---

[1] Władysław hrabia na Báthorze.

Władysław II. Báthor,		Stanisław II. Báthor, założyciel linii Stanislófi Batorych.	Elżbieta, Jerzy
Jan	Władysław III. tłumacz pierwszej biblii węgierskiej.	Stefan II. wojewoda siedmiogr. ożeniony 1° voto z Urszulą Thuróczi, 2° voto z Zofią Anną Radziwiłłówną córką Mikołaja kanclerza w. l. miał 16 dzieci.	
Władysław, Jerzy, Piotr, Maciej,		*Mikołaj na Báthorze*, wojewoda siedmiogr. drogą kupna od braci nabywa Báthor i staje się głową rodziny. Z żoną, Zofią de Lossoncz miał 9 dzieci.	Anna, Weronika, Dominik, Gilberta, Potencyana, Jadwiga, Małgorzata, Barbara, Jan VII., Stefan IV., (Stanislófi).
Małgorzata, Chrystyan, Antoni, Bartłomiej.		*Stefan VI. Báthory*, hrabia de Somlyo, wojewoda siedmiogr.	Maurycy, Elżbieta, Katarzyna, Barbara.
Elżbieta, Mikołaj, Klara, Andrzej.		*Stefan VIII. Báthory*, książe siedmiogrodzki, król polski.	Krzysztof, Zofia, Anna.

barczeńską srodze spustoszyła [1]. Niestety, nie długie były jego rządy. Urodził się nasz Stefan na rok przed śmiercią swego ojca, 28 września 1533 w dziedzicznym zamku Somlyo, z matki Anny Katarzyny Thélegd, córki podskarbiego korony węgierskiej, którą dla jej cnót i przywiązania do katolickiej wiary wychwala Warszewicki w swej: *Oratio in obitum Stephani I. Regis Poloniae.* Wychowaniem jego zajęła się matka. Chłopięciu jeszcze opowiadano bohaterskie czyny pradziada Stefana II., który jako Wda siedmiogrodzki nadciągnął z znacznym oddziałem pod Warnę i powierzoną sobie mając od króla Władysława Jagiellończyka chorągiew państwa, poległ w jej obronie. Opowiadano, jak dziad jego stryjeczny Stefan IV. także wojewoda siedmiogrodzki, człek niepiśmienny, bo podpisać swego nazwiska nie umiał, (wyręczał go w tem bratanek jego Jerzy [2]), ale rycerz zawołany, pogromił r. 1479 armię turecką, która pod Alibegiem wtargnęła do Siedmiogrodu dla spustoszenia kraju. Krwawe to były zapasy: 8.000 Węgrów i Szeklerów legło na placu, 2.000 Saksonów i Wołochów utonęło w rzece Marosz, ale armia turecka poszła w rozsypkę, „żołnierz Stefanowy ogromną zdobyczą ojuczony, gdy dla nadchodzącej nocy powrócić nie może do obozu, na trupach nieprzyjacielskich urządza stoły, je, pije i śpiewa hymn zwycięski“ [3].

Opowiadano i o walecznych czynach ojca, który w wojnie domowej dwóch królów“ [4] Jana Zapolii i Ferdynanda, po stronie pierwszego

---

[1] Wolfgangus de Bethlén. Hist. de reb. Transsylv. I. 152.

[2] Benko, Transsilvania I. 184.

[3] Tamże.

[4] Dla lepszego zoryentowania się w naszem opowiadaniu nie zawadzi przypomnieć początek i przebieg tej wojny. Po nieszczęśliwej bitwie z Turkami pod Mohaczem 1526, w której poległ król węg. Ludwik Jagiellończyk i kwiat węgierskiego i polskiego rycerstwa, tron węgierski na mocy traktatu wiedeńskiego 1515 r. i małżeństwa z Anną królewną węg. córką Władysława Jagiell. króla węg. przypadł Ferdynandowi synowi cesarza Maksymiliana I. Lecz znaczne stronnictwo panów węg. obrało królem w listopad. 1526 palatyna węg. i hrabiego na Spiżu, walecznego Jana Zapolię. Tak więc Węgry miały dwóch naraz królów, i ci z wiosną 1527 rozpoczęli między sobą ową nieszczęsną wojnę domową, która z małemi przerwami srożyła się aż do r. 1570, a więc przez lat 53, przechodząc smutną spuścizną z ojca na syna. Po śmierci bowiem Jana Zapolii 1540 r. syn jego, Jan Zygmunt wiódł dalej wojnę, najprzód z Ferdynandem, a po śmierci tegoż 1564 z synem jego Maksymilianem II. Wojna ta tem była fatalniejszą i tem bardziej gorszącą, że Jan Zapolia wezwał na pomoc Turków, najzawziętszych wrogów imienia chrześcijańskiego, oddał siebie,

stojąc, znaczne mu hufce przyprowadził, a wojewodą Siedmiogrodu 1529 r. mianowany, Saksonów odciągnął, dwa obronne zamki Szezburg i Tordę siłą zdobył, i miasteczka tej nazwy spalił, jedenaście komitatów siedmiogrodzkich Węgier, i ośm stolic Saksonów oprócz Sybinu dla Jana Zapolii pozyskał. Takiemi naracyami karmiło się pacholę, z natury żywe i śmiałe a dorodne, i do sławy wojennej zapalało się. Widok warownych murów starego zamku, brzęk zbroi i roje rycerzy i knechtów, którzy w nim załogą stali, i to więcej żołnierskie jak dworskie życie, które w ówczesnych zamkach, zwłaszcza w tej dobie wojennej wrzało, wszystko to zachwycało dziecięcą wyobraźnię, podsycało animusz chłopięcy. Wcześnie zaprawiano chłopca do rycerskiego rzemiosła. Piętnastoletni Stefan walczył już pod kuzynem swoim Andrzejem Batorym wojewodą siedmiogrodzkim w wojnie temeszwarskiej i agryenskiej: „wszelką służbę obozową wiernie odbywał, objeżdżając stanowiska, staczając potyczki, znosząc wszystkie trudy zwyczajem żołnierskim“ [1]. Kto kierował naukowem wykształceniem, którzy mistrzowie, i jakich nauk hrabiątku udzielali, tego doczytać się nigdzie nie mogłem, to jednak pewna, że wcześnie wpojono mu zamiłowanie do naukowej pracy i w naukach ćwiczono pilnie: *optimarum artium et humanitatis studia domi primum attigit, et in iis tantos profectus fecit, ut maximam virtutis et ingenii sui expectationem apud omnes excitaret*, opowiada o nim współczesny świadek [2]. Niezapomniano i o stronie religijnej. Nowinki heretyckie jeszcze się nie były wkradły do Siedmiogrodu, epoka ich złota przypada na rok 1553, jak to się pokazuje z listu króla Batorego do Grzegorza XIII. z d. 14 września 1573, gdzie pisze: od lat 20 herezye, zwłaszcza aryanizm zalały Siedmiogród „i tak się zagnieździły, że gdyby chwycono się przeciw nim ostatecznych i gwałtownych środków, toby się nigdy nie obeszło bez krwawych zamieszek i groźnych dla państwa niebezpie-

państwo swe i syna jedynaka pod protektorat Solimana, który korzystając z prawa opieki całe prawie Węgry pod moc turecką zagarnął.

[1] Monumenta Hungariae historica t. XXI. Stephani Szamosközy. Rerum hungaricarum liber III. str. 124.

[2] Christophori Varsevicii, In obitum Stephani regis oratio. Cracoviae 1587.

czeństw“ [1]. Rodzina Batorych na zamku Somlyo była i pozostała katolicką. Podtrzymywała snać tradycye katolickie pobożna matka i wcześnie to przywiązanie i cześć dla wiary ojców w synaczku zaszczepiła. Powoływał się też Stefan, królem już polskim będąc, na tę wierność Kościołowi swego rodu, w listach do Grzegorza XIII. pisząc: „ojcowizna nasza cała i rodzina nasza, zawsze, od przodków naszych począwszy, wiarę tę i obrządek (katolicki) najwierniej przechowała... i ja też z łaski Bożej katolikiem zawsze żyłem — *ego, qui per Dei gratiam catholicus semper vixerim* — i niech Świątobliwość Wasza będzie pewnien, że stałości w mej wierze katolickiej, którą z największą ochotą wyznaję, aż do ostatniego tchu życia przy łasce Bożej dochowam“ [2].

Rzucone i przyjęte głęboko w domu rodzicielskim ziarno wiary, rozwinęło się na dworze tak pobożnego króla jak Ferdynand, dokąd szesnastoletniego Stefana, aby się w rycerskiem i dworskiem życiu zaprawił, r. 1549 wysłano. Chociaż bowiem ojciec jego gorliwym był i wiernym aż do śmierci zwolennikiem króla Jana Zapolii, to wnet potem zaszłe wypadki polityczne i domowe rozruchy, zmieniły postać rzeczy: król rzymski Ferdynand mocą układu z Izabelą wdową po Janie Zapolii został królem Węgier i zwierzchnym panem Siedmiogrodu 1551 r., a już w następnym roku zamianował wojewodą Siedmiogrodu Andrzeja Batorego z Ecsed, kuzyna naszego Stefana, który jednak już 1553 złożył tę godność, piastował potem urząd najwyższego sędziego Węgier *(Judex Curiae)* i nieraz jeden hetmanił wojskom Ferdynanda i Maksymiliana przeciw Turkom, dopokąd go śmierć 1566 r. nie zabrała [3].

Pięknych talentów, żołnierskiej postawy i wykwintnego wychowania młodzieniec zyskał wnet względy i miłość swego króla, którego też ze czcią „ojcem ojczyzny“ nazywał. Roiło się na Ferdynandowym dworze od paniąt węgierskich, król jednak odszczególniał naszego Stefana, nazywając jego samego tylko: *noster nobilis Stephanus*, nasz szlachetny Stefan. Odznaczył go król i przy innej okoliczności. Zaślubioną była 1549 r. księciu Mantuy Ferdy-

---

[1] Theiner: Annales Eccl. cath. I. 273.

[2] Tamże tom I. 35, t. II. 207.

[3] Stamm-Tafeln des edlen Geschlechtes Báthory von Simolin.

nandowa córka Katarzyna, która wnet owdowiawszy, wyszła powtórnie za mąż za polskiego króla Zygmunta Augusta. Ślubnemu orszakowi towarzyszył nasz Stefan, jako dworzanin księżnej. Łatwo pojąć jaki wpływ wywarła podróż w takiem otoczeniu „do królowej prowincyi i świata całego ozdoby“ do Włoch przedsięwzięta i ta ustawiczna styczność z dworami książąt, i książąt ministrami, na umysł młodzieńca, który już „umiał coś po włosku i po niemiecku, mówił i pisał po łacinie dosyć ozdobnie, a zwyczajów i obyczajów obcych narodów tak był świadom, że kto go słyszał o tem rozprawiającego, z podziwu wyjść nie mógł“ [1]. Na sejm augsburski 1549 r. zjechał Ferdynand i naszego Stefana zabrał z sobą. Przybył i cesarz Karol V. wiodąc za sobą więźnia, saskiego księcia Jana Fryderyka. Ujrzawszy Stefana w króla węgierskiego orszaku, podał mu cesarz rękę i uprzejmie powitał, a siostra cesarska Marya, wdowa po Władysławie królu Węgier i królowa niegdyś węgierska, do stołu go swego wraz z wielu panami węgierskiemi zaprosiła. Odznaki te życzliwości monarszej nie wbijały w dworaczą próżność Stefana, jednając mu jednak mir i wziętość u dworu, ułatwiały przystęp do wysoko położonych i wpływowych dygnitarzy, z których obcowania, myślący, poważny a bystry umysł jego nie mało czerpał tego, co Skarga „obrokiem duchownym“ nazywa.

Kilkoletni pobyt na dworze rzymskiego króla starczył za szkołę publicznego i politycznego życia. Wrócił do rodzinnego zamku Somlyo nietylko bogaty w doświadczenie i wiedzę ale w rzeczach wiary i pobożności ugruntowany. Trzech braci: Jędrzeja, Krzysztofa i Stefana, hrabiów na Somlyo, zwano powszechnie „rycerzami Maryi“ *mariani milites* dla ich pobożności i stałości w katolickiej wierze. Przydomek ten zrazu przez szyderstwo dany, zamienił się wnet w chlubę ich i ozdobę, wszyscy bowiem trzej bracia do pierwszych doszli godności: Andrzej został marszałkiem nadwornym królowej Elżbiety, Stefana zamianował książe Jan Zygmunt starostą Waradynu i wojsk swoich hetmanem [2] a Krzysztof po wstąpieniu na tron polski Stefana, obrany został księciem Siedmiogrodu.

---

[1] Warszewicki, In obitum Stephani I.

[2] Miała to być nagroda Stefanowi za ulepszenie sztuki wojennej a zwłaszcza za wynalazek nadzwyczajnych kul czy rakiet oblężniczych: *fuit in Hun-*

Nieszczęsna wojna domowa „dwóch królów węgierskich“ zawrzała nanowo po śmierci Ferdynanda 1564 r. Srogie opresye cesarskiego wodza Balassy i zuchwałe naruszenie granic Siedmiogrodu dały jej początek. Na poskromienie tych drapiestw i zuchwalstw wybrał się w 200 koni i 50 piechoty nasz starosta Waradyński, Stefan, zdobył fortelem Szatmar, żonę cesarskiego wodza Balassy w niewolę uprowadził i wraz z bogatym łupem królowi Janowi Zygmuntowi odesłał. Niebawem dostały się w moc jego zamki: Wielka Bania i Hadad. Te powodzenia podniosły sprawę króla Jana, wielu znacznych panów, między nimi Mikołaj Batory z Ecsed, przeszło na jego stronę, a niebawem cały pas kraju aż po Koszyce dostał się w jego ręce. Na nic się nie przydało pośrednictwo polskiego króla Zygmunta Augusta, w celu zażegnania wojny. Na sejmie preszburskim postanowił nowy cesarz i król Maksymilian wojnę przeciw Janowi, a przewidując, że Soliman stanie w jego obronie, nadał jej charakter wojny świętej i znaczne od Papieża Piusa IV. uzyskał na nią pieniądze. Dowództwo wojsk cesarskich objął Łazarz Svendi, i rozpoczął kampanię zdobyciem twierdzy Tokaj, której dzielnie broniąc komendant Nemethi, od kuli poległ. Król Jan Zygmunt zgłosił się o pokój i wysłał w poselstwie do cesarskiego wodza naszego Stefana i Stanisława Nizowskiego. Umówiono punkta przedugodne a po ostateczne zatwierdzenie pokoju wysłany znów nasz Stefan do Wiednia, do cesarza Maksymiliana, z końcem kwietnia 1565 r. Poseł polski w Wiedniu, biskup podówczas plocki, Krasiński, popierał usilnie te układy. Dochodziły one już do skutku, gdy Gaspar Békesz, antagonista zawzięty naszego Stefana, powróciwszy świeżo z Konstantynopola, gdzie legacyę od króla Jana sprawował i pomoc sułtańską dla niego pozyskał, wmówił w słabego księcia, że nie należy zbyt wielkich ustępstw czynić Maksymilianowi, ale owszem wydania wszystkich

---

garia primus, qui cum multa alia, tum etiam candentes globos, mirum et aliis longe praesentius incendiorum genus contra hostes invenisset. (Warszewicki, In obitum Stephani I). Po stronie króla Jana stojąc wojował nasz Stefan z partyzantami Ferdynanda. W bitwie pod Kereki, dostał się do niewoli, w bitwie pod Hadad otrzymał ran kilka, wyleczywszy się, znowu szedł do boju. Jako starosta waradyński trzymał w ryzach sąsiednich Turków, ujmując podarkami, to strasząc siłą orężną i karą. (Monum. Hung. hist. XXI. 125).

zamków w węgierskiej części Siedmiogrodu położonych, używania swobodnie tytułu króla węgierskiego i pełnej władzy książęcej domagać się. W tym sensie przesłano Stefanowi ponowną instrukcyę, datowaną z Białogrodu. Maksymilian do żywego obruszony tą zmianą rzeczy, uważając legacyę za igraszkę i drwiny z siebie, uwięzić kazał Stefana, wnet też i posłowi polskiemu precz odjechać polecił. Przeszło dwa lata trwała ta niewola niemiecka. Napróżno nowy poseł polskiego króla, Aleksander Kendi próbował układów. Owszem, w drodze przez Węgry, gdy w wielkiej tajemnicy ale zbyt szczerze rozprawia z magnatami węgierskimi o swej misyi, popada w podejrzenie o szpiegostwo, i z rozkazu Maksymiliana pod strażą kapitana Volgasen i 50 żołnierzy odstawiony do Wiednia, dostaje się do więzienia. Toczyła się więc dalej wojna domowa „dwóch królów“, tem krwawsza, że wojska tureckie przyszły rzeczywiście w pomoc Janowi Zygmuntowi, a sułtan Soliman otwarcie i odważnie, jako protektor swego „syna“ Jana [1], całości i wolności księstwa Siedmiogrodu wystąpił. Zmusiło to Maksymiliana do formalnego wydania wojny Turkom, która też z wiosną 1566 r. oblężeniem twierdz Gyula i Szegedynu rozpoczęta, srożyła się przez całe lato i jesień, pomimo śmierci Solimana w obozie pod Tokajem, i przez cały rok 1567, a ten miała wynik, że wszystkie niemal zamki i twierdze węgierskie leżały w gruzach, kraj cały z ludzi i mienia wyniszczony, potęga turecka w Węgrzech aż po Gran nad Dunajem i Tokaj nad Cisą umocnioną, a cesarz niemiecki Maksymilian II., wyczerpawszy wszystkie zasoby kraju, zniżyć się musiał do przyjęcia od Selima upokarzających dla siebie warunków ośmioletniego zawieszenia broni, które 30 maja 1568 r. posłowie jego do Wiednia przywieźli [2].

[1] Król Jan I. Zapolia, umierając 1540 r., polecił testamentem młodą żonę Izabellę Jagiellonkę i jednorocznego syna Jana-Zygmunta i oddał pod opiekę Solimana I. Ten przyjął protektorat, adoptował Jana Zygmunta za swego syna i synem go swoim nazywał, kazał go zaraz koronować królem Węgier, a regencyę oddał Izabeli z przydanymi jej dwoma panami węgierskimi, i na tej podstawie wystąpił zbrojno przeciw Maksymilianowi, gdy ten praw swoich do węg. korony dobijał się.

[2] Monum. Hung. hist. XXI. 91. Warunki te były: coroczne odnawianie zawieszenia i coroczny haracz 30.000 złr., oddanie wszystkich zamków księciu siedmiogrodzkiemu.

Teraz już można było puścić na wolność niefortunnych posłów: Stefana i Kendi'ego. W czerwcu 1568 wyszli z niewoli. Nie była ona srogą, nie była więzieniem, *carcer*, ale jak dziś mówimy, internowaniem w fortecy, *libera custodia*. Pod strażą wprawdzie, ale mógł się nasz Stefan obracać swobodnie po Wiedniu, zwiedzać jego pamiątki i zabytki i wiele godzin dziennie poświęcać już to rozczytywaniu się w klasycznych dziełach statystów rzymskich i greckich, jużto rozmowie z znakomitszemi mężami stanu i politykami. „Cały ów czas uwięzienia swego, powiada współczesny świadek, spędził na pożytecznych studyach, na zapoznawaniu się z starożytności zabytkami i zawiązaniu stosunków z przedniejszymi ludźmi cesarskiego dworu i posłami zagranicznymi, między którymi był poseł polskiego króla Franciszek Krasiński, później biskup krakowski, który nad wydobyciem Stefana na wolność wiele pracował“ [1] Pomimo tych ulg i tych pociech, ta *libera custodia* dotkliwie czuć się dawała. Podczas kiedy ojczyzna krwawą wojną szarpana, on animuszu rycerskiego żołnierz i wódz żołnierzy, rwący się *ad mavortia bella*, siedzieć musi bezczynnie i tylko ze słuchu — dzienników wtenczas niebyło — i prywatnych korespondencyj, które także rzadko bardzo dochodziły, dowiadywać się o przegranych i zwycięstwach o losie swej rodziny i swego księcia pana, i boleć głęboko nad tem, że z niezgody królów i najgorszej z wojen, bo wojny domowej korzysta tylko i dank odnosi wróg Chrześcijaństwa „pohaniec sprosny“. Trapiła jeszcze inna boleść. Dworzanin niegdyś cesarski, dzisiaj mąż już dojrzały i urzędy wysokiemi w swej ojczyznie zaszczycony, dźwigać musi ciężar podejrzenia i kary dwulicowego jakiegoś postępowania, nieszczerości i obłudy wobec pierwszego z monarchów Europy. Rycerski animusz, godność obywatela i człowieka w tem półtrzecialeciu wiedeńskiej detencyi wystawioną została w Stefanie na ciężką próbę. Ale w cierpieniu dojrzewa i wyrabia się dusza jak złoto w ogniu; cierpienie zbliża do Boga i do cichej a serdecznej modlitwy zmusza. W tem osamotnieniu umysł Stefana nawykł do częstszej konwersacyi z Bogiem, do rozpamiętywań poważnych, do krytycznych badań nad straszną moralną rozterką Niemiec, w jaką je namiętności i sekty religijne, śmiercią Ferdynanda jakby

[1] Warszewicki, In obitum Stephani I.

ze śluz swoich wyszłe i rozpasane, wtrąciły. Wrócił do swego Somlyo przerobiony, przefermentowany i duży na duchu i dojrzały, jak każdy bardziej podniosły umysł, który przebył szkołę cierpienia.

Już też i w Siedmiogrodzie i Węgrzech całych herezye przeróżne rozszalały się na dobre. Wciskały się one tam i od Niemiec i od Polski, gdzie za Zygmunta Augusta 32 sekt religijnych liczono, a rozruchy domowe i wojenne niepokoje i autonomiczne urządzenia kraju dziwnie im sprzyjały. Zarówno zaciężne wojska Maksymilianowe, jak zastępy Jana Zygmunta, liczyły w swych półkach mnogo heretyków. Saksonowie, Niemcy na Spiżu i w Siedmiogrodzie, gdzie jedną trzecią część ludności składali i dziewięć swoich stolic *(sedes)* i dwa okręgi mieli, przyjęli prawie wszyscy roformowane wyznanie; ogromna większość panów i szlachty węgierskiej i siedmiogrodzkiej sprzyjała reformie, kalwińskiej sekcie, socynizmowi i aryańskiej bezbożności. Słowacy których w Siedmiogrodzie na 200.000 liczono trwali po dawnemu przy wschodniej schyzmie. Wszystkie biskupstwa katolickie wywrócone, wszystkie kapituły rozprószone, wszystkie klasztory w rozbiciu i rozsypce. Dwór Jana Zygmunta pozostał wierny katolicyzmowi, ale i tam, jak na dworze polskim, roiło się od różnowierców; przyboczny lekarz księcia, aryanin Blandrata rej tam wodził. Nawet na zamku Somlyo trzy siostry Stefanowe, Elżbieta, Zofia i Anna sprzyjały nowinkom, a wyszedłszy za mąż za heretyckich panów, przyjęły „zreformowaną“ wiarę. Potrzeba było nielada hartu duszy i cywilnej odwagi, aby wśród tej powodzi anty-katolickiej nie utonąć i nie dać się porwać prądom nowinkarzy.

Dzięki zabiegom polskiego króla i posła jego biskupa Adama Konarskiego, stanął nareszcie tyle upragniony pokój w Spirze 1570 r., kładąc kres przeszło 30-letniej wojnie domowej „dwóch królów“. Pokój spirski przyznawał Janowi Zygmuntowi tytuł: *Serenissimi Principis Transsylvaniae,* i kraj ten cały między Alpami węgier. położony, oddawał mu prawem dziedzicznem, komitaty zaś węgierskie poza Alpami położone: hibarski z Waradynem, maramaroski z Husztem i salinami, Krasznę i Solnok średni prawem dożywocia. Sekretną klauzulą warowano, że w razie śmierci Jana, każdy nowo-obrany książe Siedmiogrodu zostaje wasalem cesarza, *fide clientelae Caesari obstrictus.* Tym więc sposobem księstwo

siedmiogrodzkie miało dwóch naraz protektorów i zwierzchników: tureckiego sułtana, którego protektorat jeszcze 1527 r. przyjął król Jan Zapolia, i niemieckiego cesarza; potrzeba było niepospolitej zdolności i taktu dla książąt jego, aby „unikając Scylli nie popadli w Charybdę“. Zapieczętowaniem traktatu miało być małżeństwo Jana z jedną z księżniczek austryackich — i już gotowano w Wiedniu uroczyste oddanie księżniczki bawarskiej w ręce siedmiogrodzkiego posła Gaspara Békiesza, gdy w tem 14 marca 1571 r. słabowity Jan Zygmunt, *colicis doloribus et morbis epilepticis diu conflictatus*, tułaczy i pełny przygód swój żywot zamknął, licząc zaledwo 31 lat wieku.

Zwyczajem zapożyczonym od wschodnich władców, ukrywano tę śmierć przed poddanymi tak długo, dopokąd się wszystkie stany na sejm konwokacyjny do Białogrodu nie zebrały. Tam uchwalono aby pogrzeb Jana Zygmunta odbył się d. 17 maja 1571 r., naznaczono na sejm elekcyjny, który nie *viritim*, jak w Polsce, ale przez 10 posłów z każdego komitatu, 6 posłów z każdej stolicy *(sedes)* saksońskiej i przez dygnitarzy i sędziów tychże, wybiera księcia. Wyznaczono komisarzy testamentu zmarłego króla i rządców zarazem podczas bezkrólewia; obronę granic powierzono Krzysztofowi Batoremu, starszemu bratu Stefana, a na wypadek wojny nakazano pospolite ruszenie.

Dwóch było kandydatów na tron książęcy[1]. Gaspar Békiesz

[1] Jaka różnica między wojewodą a księciem Siedmiogrodu? Aż do r. 1541 kraj ten należał do korony węgierskiej, rządzili nim wojewodowie jako urzędnicy węgierskiego króla. Obrona granic i część administracyi kraju do nich należała, żadnej też ważniejszej sprawy podjąć nie mogli bez przyzwolenia swego suzerena. Zmieniano też wojewodów jak innych urzędników co lat kilka. W ciągu stu lat 1440—1541, było ich według Józefa Benko (t. I. str. 171) trzydziestu jeden. Na mocy testamentu króla węg. hołdownika sułtańskiego Jana Zapolii 1540 r. Siedmiogród oderwany od korony węgierskiej dostał się pod zwierzchnictwo Turcyi, wszelako aż do r. 1556, cesarze Ferdynand i Maksymilian, jako królowie węg. naznaczali z ramienia swego, o ile wojenne wypadki na to pozwalały, wojewodów. W latach 1553—55 było ich dwóch z tytułem vice-wojewodów: Stefan Dobo i Franc. Kendi. Na mocy ugody Maksymiliana z Janem Zygmuntem Zapolią i jego matką Izabelą 1551 r., Siedmiogród oddany został temu ostatniemu jako księstwo. Ugoda wnet zerwaną została i wojna dwóch królów toczyła się dalej. Dopiero na mocy ostatecznych układów Maksymiliana z Janem Zygm. 1570 r. o których wspomnieliśmy wyżej, Siedmiogród staje się księstwem, władca jego nosi tytuł księcia, inwesty-

polecony przez Maksymiliana, i Krzysztof Batory, dawniej wda siedmiogrodzki, żołnierz i wódz dzielny i obywatel prawy. Za tym ostatnim oświadczyła się większość sejmujących stanów. W Bekieszu raziła jego duma i dworacza dwulicowość, jakiej mnogo dał dowodów będąc kanclerzem i doradcą zmarłego Jana Zygmunta. Obawiano się też, aby wdanie się cesarskie w sprawę elekcyi księcia nie stało się niebezpieczną premisą na przyszłość. Ale Krzysztof Batory czując się chorym na podagrę, odstąpił wszystkie swe wota młodszemu bratu Stefanowi, który oprócz niepospolitych przymiotów i zasług rycerskich i obywatelskich, przynosił z sobą czerstwą młodość, urodę i postawę iście królewską. „Przyczyniła się do wyboru Stefana na wojewodę, powiada historyograf siedmiogr. Béthlen szczególna pobożność *(singulare pietatis studium)*, której od lat dziecięcych oddawał się. Zalecała go wielce postać wspaniała, iście królewska, oblicze pełne i piękne, ozdobne włosy, a chociaż to przypadkowe i za próżność uważane, to jednak u ludzi wysoko postawionych nadaje wiele czci i uroku“ [1], według tego, co śpiewa Wirgili:

Gratior et pulchro ven'ens in corpore virtus.

Znaczną tedy większością głosów obrano Stefana księciem, który też natychmiast wykonał przysięgę na konstytucyę księstwa [2],

turę bierze od tureckiego sultana, a także zatwierdzony być musi od cesarza jako króla węgierskiego. Batory nasz i następcy jego aż do r. 1744 są już książętami Siedmiogrodu, chociaż często także nazywano ich wojewodami.

[1] Hist. Transsilvaniae III., 221. Wolfgang Bethlen był kalwinem, tem dziwniejsza pochwała z ust jego pobożności Stefana. Snać i różnowiercy uważali go za swego, a przynajmniej za toleranta.

[2] Konstytucya Księstwa Siedmiogrodzkiego była nieco zbliżoną do polskiej. Był to rząd monarchiczno-konstytucyjny pod zwierzchnictwem dwóch suzerenów, sułtana i cesarza, a na podstawie federacyi trzech narodów: Węgrów na zachód z 12 komitetami i 2 okręgami Szeklerów *(Siculi)*, na wschód z pięciu stolicami *(sedes* czyli okręgami sądowemi i Saksonów Niemców na południe i północ z dziesięciu stolicami i 2 okręgami. Na czele rządu książe wybieralny przez stany, dodana mu tajna rada z równej liczby członków; prawodawcza władza i część sądowniczej przy sejmie, złożonym z dygnitarzy księstwa, których mianuje książe, i wybieralnych deputatów od trzech narodów; obrona kraju wspólna wszystkim Stan szlachecki podlega jedynie sądom księcia i sejmu, nie płaci stałych podatków — jedynie te, które sejm uchwali. Drobna szlachta, do której zaliczają się obywatele miast królewskich, płaci pewne podatki i służy osobiście w wojsku. Saksonowie nie mają ani szlachty, ani chłopów, ale są wolni obywatele.

iż wszelkich praw i przywilejów i wolności religijnych wyznań stanom i obywatelom księstwa wiernie dochowa [1]. Wyprawiwszy potem uroczysty pogrzeb zmarłemu królowi, zabrał się książe Stefan do spraw publicznych. Nadmieniliśmy już wyżej jak trudne było położenie władców Siedmiogrodu mających nad sobą dwóch zwierzników, którzy między sobą najzawziętszymi są wrogami. Stefan rozumiał dobrze, że protektorat sułtana nietylko niebezpieczny jest swemu księstwu, ale obraca się na szkodę całego chrześcijaństwa. Zrzucić go na razie nie podobna, chodziło więc o to, aby tę sułtańską opiekę sprowadzić do najmniejszych rozmiarów i do czczej formy ograniczyć, a potem przy pogodnej chwili zrzucić zupełnie. Do przeprowadzenia tej polityki wobec Porty, potrzebna była zgoda i dobre sosunki z cesarzem, który zawsze za naczelnego protektora wszystkich chrześcijańskich państw uchodził, i któremu traktatem sekretnym 1570 r. Jan Zygmunt księstwo siedmiogr. w lenność oddał. Zdrowa polityka i wrodzona charakteru prawość doradzała mu: *standum tractatis*, dotrzymać zawartych umów. Zaraz więc po elekcyjnym sejmie wyprawia posłów do Maksymiliana, prosząc o zatwierdzenie swej elekcyi i oświadczając się z swą uległością i wiernością jako dla suzerena. Poselstwo to okryto ścisłą tajemnicą. Równocześnie wyprawia posła do Selima prosząc w imieniu swojem i sejmujących stanów o zatwierdzenie i dalszą nad księstwem opiekę. Cesarz zatwierdził wybór Stefana pod warunkiem wszelako, że na wzór dawnych wojewodów złoży swą godność, ile razy cesarz uzna to za stosowne, i gotowość tę stwierdzi przysięgą. Warunek ten twardy zamieniał lenniczego księcia na zwykłego urzędnika cesarskiego, roztropny jednak Stefan zgodził się na niego, wykonał żądaną przysięgę: „ilekroć Jego cesarska Mość zażąda złożenia godności wojewody wraz z zamkami i ziemiami mej pieczy powierzonemi, to gotowy jestem zwrócić i oddać takowe bez zwłoki i wybiegów WC. Mości, albo komu on oddać rozkaże“ [2]. Wnet je-

[1] Wolności wyznań, zwłaszcza aryanizmu. Ten warunek włożono umyślnie i z naciskiem do roty przysięgi Stefana. Ponieważ przeważna część panów i szlachty zarażoną była bezbożną Blandraty sektą, przeto dodano do przysięgi nowego księcia, że obecnego stanu religijnych wyznań, jakimkolwiek on jest, zamącać, dręczyć, znosić i zmieniać nie będzie, ale każdemu wolno będzie wyznawać wiarę i obrządek, jaki chce. Monum. Hung. hist. XXI., 119.

[2] Wolfgang Béthlen III. 235. Monum. Hung. hist. t. XXI., 117.

dnak potem przesłał cesarzowi memoryał, w którym doprasza się, aby cesarz apelacyę do sądowej tabuli cesarskiej, przewlekającą i utrudniającą nad miarę wymiar sprawiedliwości przeniósł na księcia wojewodę, a powtóre, aby zniósł oną klauzulę, warującą cesarskie odwołanie z godności wojewody. I tu przedstawił cesarzowi, jak mało ma panów w Węgrzech, na którychby wierności mógł zawsze polegać; jak ta klauzula narusza prawa patronatu sułtana, z któremi bądź cobądź liczyć się trzeba; jak wreszcie dla uniknięcia tureckiego wpływu na zaalpejskie komitaty węgierskie, przyłączone do Siedmiogrodu, dodać można do tytułu wojewody Siedmiogrodu tytuł cesarskiego namiestnika. Zgodził się cesarz na zniesienie apelacyi do Wiednia i na tytuł, który odtąd brzmiał:

Spectabili et magnifico Stephano Báthori de Somlyo, Vajvodae partium Regni Nostri Hungariae Transsylvanorum, et Siculorum Comiti, ac in certis ejusdem Regni Hungariae partibus nostro Locumtenenti, fideli nostro dilecto.

Dla cesarza więc był Stefan wojewodą, hrabią i namiestnikiem, dla wszystkich innych księciem Siedmiogrodu. Co do drażliwego punktu *revocationis ad nutum Caesaris*, to godność ta miała być dla Stefana dożywotnią, po jego śmierci wrócić do króla. A jako był prawym i w szczerości także nie znał połowiczności, to nietylko zobowiązań względem cesarza pilnie przestrzegał, ale przesyłał mu każdą wiadomość i korespondencyę z Portą otomańską i o każdej ważniejszej sprawie uwiadamiał.

W ciągu tych układów nadbiegł czaus turecki, niosąc listy od Selima i wielkiego wezyra do Stefana i stanów, zatwierdzające pierwszego w godności, a polecające drugim cześć i posłuch nowemu księciu. Przyniósł też insygnia i dary: chorągiew, berło, miecz, mitrę książęcą, opony złotem tkane i wspaniałego z bogatym rynsztunkiem konia dla księcia, a kosztowne suknie arabskie dla 26 rajców królewskich i panów. Jak niegdyś obydwom Zapoliom Soliman, tak teraz Stefanowi Selim przyrzekł ojcowską opiekę i wszelką pomoc orężną. Odwzajemnił się Stefan 1572 r. skromnemi upominki, „gdyż dotąd nie mógł jeszcze zapełnić swego próżnego skarbu“, polecał swe sprawy wielkiemu wezyrowi, i aby posłuchu nie dawał donosom niechętnych sobie, usilnie prosił. Poselstwo to sprawował Piotr

Guj, który też na dworze sułtana pozostał jako stały rezydent księcia, śledząc bacznie wszystko i o wszystkiem donosząc.

Dla zjednania sobie poddanych, których przeważna część, jak wspomnieliśmy hołdowała herezyom, przyjął za zasadę tolerancyę religijną. Dyktowała mu ją *ratio status,* nie zaś indyferentyzm religijny. W księstewku położonem w tak trudnych warunkach i dwom naraz zwierzchniczym panom podległem, nawykłem od lat prawie stu do autonomicznych urządzeń i wolności stanowej, każde śmielsze i jaskrawsze wystąpienie przeciw temu lub owemu heretyckiemu panu lub miastu wywołać mogło od razu zamieszanie i bunt. Przyciśnięty od księcia magnat lub szlachcic, a nawet mieszczanin królewskiego miasta znajdował od razu silne poparcie nietylko u swoich współwierców, ale u wszystkich sekciarzy, którzy z natury każdej herezyi do opozycyi przeciw władzy skłonni, chociaż między sobą w niezgodzie i walce, stawali jako mąż jeden przeciw panującemu, gdy ten ich wrzekomą wolność religijną nadepnął. Frakcya taka malkontentów zwrócić się mogła ze skargą do liberalnego i zbyt dla herezyi pobłażliwego cesarza Maksymiliana II, albo nawet do sułtana, który czyhał tylko na sposobność mieszania się w wewnętrzne sprawy kraju — i konflikt już był gotowy. Rozumiał to dobrze Stefan, że podobnych konfliktów unikać mu należy, że pierwsze lata jego rządów to nieodpowiednia chwila do wystąpienia z akcyą otwartą przeciw herezyi. Zwalczyć on ją zamierzał na innej spokojnej, ale nierównie bezpieczniejszej drodze, na drodze wychowania publicznego.

Najskuteczniejszy to środek odrodzenia społeczeństwa: reforma szkół. Życie naukowe jak i cała cywilizacya w Siedmiogrodzie stała na niskiej stopie; *silent musae inter arma.* Wysoce ukształcony król Jan Zygmunt zawarłszy trwały pokój z Maksymilianem 1570 r. „uposażył lepiej prowincyonalne szkoły w Białogrodzie, Wasarhely, Klausenburgu i indziej i posprowadzał do nich mężów uczonych (przeważnie heretyków) z dalekich krajów, bogate płacąc im myto. Zamierzał nawet otworzyć akademię w Hermanstadzie (*Szaszse besini*) i w tym celu miał sprowadzić Celiusza, sławnego humanistę z Bazylei, także innych z Włoch i Niemiec dla wykładania nauk, ale prędka śmierć piękne te zamysły udaremniła“ [1]. Ci z dalekich

[1] Monum. Hung. hist. t. XXI. 112.

stron sprowadzeni i drogo opłaceni *viri doctissimi*, byli najczęściej obieżyświaty awanturnicze, którzy wszystkiem innem zajęci tylko nie nauczaniem, i gorsząc młodzież pijatyką i rozpustą, albo odpędzeni wnet być musieli, albo nabroiwszy a bojąc się kary, sami uciekali. Upadały więc szkoły, inne stały pustką, a młodzież dziczała. I właśnie to zdziczenie młodzieży przez brak szkół albo w skutek niemoralności, która w nich panowała stało się przyczyną, że gdy Jezuici swe szkoły otworzyli, to nawet najzagorzalsi różnowiercy synów im swoich na wychowanie oddawali. Na tę snać okoliczność liczył Batory, i w pierwszych zaraz miesiącach swoich rządów zawiązał korespondencyę z prowincyalem Jezuitów O. Magio. W „Rocznikach Kościoła kat. Theinera“ czytam list papieża Piusa V. do Stefana z d. 23 stycznia 1572 r., w którym mu dziękuje, że osobnem pismem prosił prowincyała Jezuitów Magiusza, aby mu zdolnych mistrzów przysłał do uczenia w szkołach siedmiogrodzkich. Magiusz będąc w Rzymie okazał ten list papieżowi. Uradowany Pius V. pisze: „Z listu tego łatwo zrozumieliśmy wiarę i pobożność twoją, niewątpliwą dla nas i przedtem, tą jednak rzeczą tak zatwierdzoną i znamienitą, iż z całego serca dziękujemy Bogu, że Ciebie wśród tylu ciężkich trosk, jakie zwykła z sobą przynosić godność książęca i wśród tylu spraw publicznych natchnął tą zbawienną myślą, że owieczki krwią Jego odkupione z paszczy szatańskiej wydobyć się starasz i przyłączyć je do tych, które głosu obcego (herezyi) lękają się i uciekają. Postępuj dalej, synu, jak zacząłeś i myśl tę jako podaną od Boga uważaj i wraz z nami dzięki mu składaj“ [1].

Projekt ten na razie nie doszedł do skutku, oparły się mu sejmujące stany i możni heretycy; myśli tej jednak nie porzucił książe, wykonał ją w kilka lat później już jako król polski. W wrześniu 1572 r. wysłał do Rzymu Marcina Berzewickiego, który otrzymawszy prywatne u nowego papieża Grzegorza XIII. posłuchanie, złożył mu imieniem swego pana homagium i list donoszący o stanie katolickiego Kościoła. „Chociaż w państwie naszem Transsylwanii potęga heretycka za rządów poprzednika naszego Jana II. tak się rozwielmożniła, że wiara katolicka w największem zostawała niebezpieczeństwie, jak to, mniemam, Ś. W.

[1] Annales Eccl. cath. I., 4.

wiadomo, to jednak po naszem przy łasce Bożej na tron wstąpieniu, prawowierna wiara nietylko jakby z wygnania *(quasi postliminio)* przywołana, ale przy pomocy Bożej z dniem każdym większe czyni postępy. W komitatach węgierskich bardzo wielu, w ziemi Szeklerów prawie wszyscy przyjęli mszę św. i inne Kościoła rzymskiego obrzędy; jest i kilka klasztorów, których zakonnicy nauką i dobremi obyczajami obdarzeni, utrzymują w nich wszelką służbę kościelną". Katolickim jest cały dwór książęcy, a najznakomitsi mężowie pracują usilnie nad przywróceniem dawnej wiary[1]. Między nimi najznakomitszym jest kanclerz księstwa, krewniak Stefana, Franciszek Forgacz, gorliwy równie jak on sam katolik, i nominat niegdyś na waradyńskie biskupstwo; poleca go też gorąco książe papieżowi, i prosi o dyspensę dlań od święceń niższych, aby jako człowiek świecki mógł wygodniej oddać się sprawom publicznym. Papież ujęty tą żarliwością o wiarę Stefana, oświadczył gotowość do dania dyspensy Forgaczowi, nawet od dyakonatu, jeżeliby takowy już by przyjął, a księcia zachęcał, aby postarał się o przywrócenie zniszczonych biskupstw, na godności zaś biskupie aby powołał dzielnych mężów[1]. W rok potem, listem z d. 6 marca 1573 dziękuje tenże papież Stefanowi za jego prace i trudy, podjęte dla sprawy katolicyzmu i zachęca do dalszych, „aby po usunięciu wszelkiej bezbożności (herezyi) w tym kraju prawdziwa religia, już prawie wygnana, powróciła, i wszyscy twoją o wiarę katolicką gorliwość i ku Stolicy apost. pobożność uznali", nalega wreszcie o przywrócenie biskupstw i ustanowienie dzielnych biskupów. Jedno i drugie w ówczesnych warunkach niepodobne prawie. Katedry biskupie i ich dobra w rękach heretyków; dobrowolnie ich nie zwrócą, a książe poddany dwom suzerenom naraz, i liberalnej konstytucyi kraju, nie ma dosyć powagi i siły, aby im to nakazać. Tłumaczy się więc przed papieżem, listem z d. 14 września 1873 r, że żadnego gwałtownego przeciw nowowiercom środka chwycić się teraz nie może, ale czekać, aż herezya własną niezgodą się przetrawi i rozpadnie. Hersztowie aryanizmu, który od lat 20 rozpiera się w Siedmiogrodzie, już pomarli, pozbawiona tej podpory sekta upada. Protestantyzm mniej niebezpieczny,

[1] Annales. Eccl. cath. 1, 35.

konsystorz jego zreformuje król w ten sposób, aby mógł mieć więcej wpływu na sprawy tego wyznania i poprowadzić je w duchu katolickim „na niczem nam bowiem tak bardzo nie zależy i zależeć nie będzie przez całe życie, jak, abyśmy pobożność naszą od rodziców naszych zaczerpniętą, zewnętrznemi także czynami stwierdzili“ [1]. Pomimo tych dobrych chęci i uroczystych obietnic, książę cierpieć musiał na swoim dworze różnowierców, a herszt Aryanów Blandrata, Włoch zbiegły z Pawii dla swych herezyj do Genewy, a potem do Polski, był jego przybocznym lekarzem; brakło poprostu katolickich ludzi, którzyby publiczne i dworskie zajęli urzędy.

Skuteczniejszym pracom nad przywróceniem katolicyzmu w Siedmiogrodzie stanęła na przeszkodzie wojna domowa. Ani roztropność polityczna ani tolerancya religijna i osobista zacność Batorych nie potrafiły rozbroić zawziętości dawnego rywala Jerzego Bekesza. Społeczeństwo też Siedmiogrodzkie przez lat przeszło 50 wojną domową dwóch królów do agitacyi, spisków i rozruchów nawykłe, iż one przeszły niejako w szpik kości jego, nie mogło od razu wytrzeźwieć; spokojne rządy wnet mu się sprzykrzyły. Ów Jerzy Bekesz pochodził z drobnej szlachty, dworzaniu najprzód współregenta królowej Izabeli Piotra Petrowicza a potem króla Jana Zygmunta, wkradł się do jego łaski, stał się jego ulubieńcem, i wszechwładnym ministrem. Służąc księciu pamiętał także o sobie i znacznej dorobił się fortuny, a jak to u dorobkiewiczów bywa, dumą i górnem traktowaniem ludzi zrażał wielu. Stary, możny a zasłużony ród Batorych był mu solą w oku — odsuwał go też od wszelkich w rządzie wpływów i urzędów. Podczas gdy w imieniu swego księcia pana sprawował poselstwo w Wiedniu, umarł książe i nastąpiła elekcya Stefana. Bekesz wjeżdżając do Białogrodu słyszał już tylko radosne okrzyki na cześć nowego elekta. Dotknięty tem do żywego, osiadł na zamku Fogaras i stamtąd pisał do Maksymiliana II. dowodząc, że na elekcyi znaczna, owszem równa część głosów padła także na niego, i że Batory dzielny żołnierz, ale lichy mąż stanu nie podoła zadaniu, niech więc cesarz podzieli władzę wojewódzką i powierzy

[1] Tamże, I. 44.
[2] Tamże, I. 276.

ją obydwom, jemu i Stefanowi, tem bardziej, że już Ferdynand uczynił to samo naznaczając na rządców Siedmiogrodu dwóch wice-wojewodów Deboni'ego i Kendi'ego. Równocześnie długą ręką magnata jednał sobie przyjaciół, zaciągał ludzi i gromadził rynsztunek wojenny. Jego to podmuchom przypisać należy bunt ludu Szeklerów, poskromiony wkrótce przez Pawła Beka i szlachtę szeklerską. Spór o zamek Huszt należący do księcia Siedmiogrodu a przez kanclerza Michała Csáki zajęty, zaostrzył sprawę, Bekesz bowiem uważał się na mocy przywileju Jana Zygmunta wolnym baronem, Stefana księciem uznać nie chciał i do swej kabały wciągnął Csakiego, który oddać zamku nie miał ochoty. Cesarz Maksymilian podtrzymywał tych panów w uporze. Tymczasem Stefan znalazł podstawę prawną, aby zamek i dobra Fogaras, na rzecz swej kuzyny Małgorzaty Majlath od Bekesza za wypłatą pewnej sumy rewindykować, i wysłał doń w tym celu Kendi'ego i Blandratę. Bekesz odprawił posłów z lekceważeniem a Stefana odesłał z pretensyami swemi do cesarza. Oparł się temu Stefan twierdząc słusznie, że do rozstrzygnięcia tej sprawy kompetentne są sądy krajowe. Bekesz na pozew nie stanął, Stefan komisarza cesarskiego z niczem odprawił, a wysławszy nocą znaczny oddział żołnierzy Bekesza w zamku Fogaras obległ, zamek zdobył, bogate łupy zabrał i kilkoletniego syna Bekeszowego w niewolę pojmał. Sam Bekesz umknął szczęśliwie i do obronnego Szatmaru się schronił. Stefan zwołuje sejm do Medgyes, wytacza sprawę Bekesza przed sąd sejmowy, który ogłasza go winnym zdrady kraju i na wygnanie oraz konfiskatę dóbr skazuje. Pośrednictwo Maksymiliana, po które udał się z pokorą Bekesz, odrzucił Stefan. Nie wskurawszy nic u cesarza, zwraca się Bekesz o pomoc do nowego sułtana Amurata, który swe rządy od uduszenia pięciu rodzonych braci, dwóch macoch i kilku baszów rozpoczął. Równocześnie gromadził wojska do Szatmaru, przeciągał na swę stronę coraz to nowych panów węgierskich i siedmiogrodzkich, którzy mu zbrojne poczty przyprowadzają i do otwartej z Stefanem wojny się gotuje. Stefan zapewniwszy sobie pomoc nadgranicznych baszów, zebrał wojsko częścią zaciężne, częścią z pocztów wiernych sobie magnatów złożone, i nie czekając napadu Bekesza sam przeciw niemu w pole wyrusza. Bekieszanie długo unikali bitwy — zmuszeni przez Stefana przyjęli ją w bardzo niekorzy-

stnem, bo zarosłem wikliną i bagnistem polu nad rzeką Marosz pod zamkiem św. Pawła. Siła ich legła trupem, część poszła w jasyr posiłkujących Stefanowi Turków, znaczna część dostała się do niewoli. Stefan w pierwszym gniewie — popędliwego był bowiem charakteru — sześciu jeńców powiesić kazał, pognał potem za niedobitkami Bekesza, który wypocząwszy chwilkę w zamku Bethlen, nie oparł się, aż w Szatmarze. Lud Szeklerski z stolicy Csik i Maros zwracał się zrazu do Bekesza, potem oświadczył się z gotowością służenia Batoremu, jeżeli ten przywróci mu odebrane przez Jana Zygmunta przywileje za bunt przeciw niemu lat temu 20 podniesiony. Stefan lubo potrzebował ich pomocy, takowej jednak nie przyjął. „Bo niegodną jest rzeczą, mówił, ażeby za karę pozbawieni swobód, przepisywali warunki swemu księciu, któremu pierwej służyć poczciwie należy, zanim wolności się u niego doprasza". Onych 34 sąd książęcy skazał na śmierć: obcięto im nosy i uszy i powieszono, „ażeby wiedziała potomność, że ci, którzy wolności dobić się pragną, nie przez sponiewieranie książęcego majestatu do tego dążyć, ale walecznemi dla ojczyzny czynami zasłużyć sobie na nie powinni". Zasłużona kara spotkała jeszcze dwóch innych: Emeryka Antalfi i Aleksandra Tinodi ajentów Bekesza na dworze sułtańskim. Tych po upadku sprawy Bekesza Porta wydała Stefanowi; osadzono ich w zamku Dćwen i z rozkazu księcia ścięto [1].

Przywróciwszy w ten sposób uszanowanie prawu i książęcemu majestatowi cześć i posłuch należny, uspokoiwszy wewnątrz i zewnątrz swe księstwo, zwrócił Batory baczną uwagę na sprawy Polski. W maju 1574 król Henryk Walezy uciekł niesławnie z polskiego tronu, a gdy wszystkie prośby nakłonienia go do powrotu pozostały bez skutku, naród przystąpił do ponownej elekcyi. Na d. 3 paźdz. 1575 naznaczono konwokacyę do Warszawy; pomiędzy kandydatami do tronu wystąpił nasz Stefan. (Dok. nast.)

Ks. St. Załęski.

[1] Wolfgang Bethlen, Hist. Transsilvaniae, III. 248—386. Monum. Hung. hist. XXI. 129—178.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona.
Filozof chrześcijański z II. wieku św. Justyn Męczennik, przez *ks. Jana Badeniego T. J.* . . .	1, 195
Bazylika litewska, IV.: Kaplice: Królewska i św. Kazimierza, przez *A. H. Kirkora* (Dok.)	21
Sarkofag chrześcijański z IV. wieku, przez *ks. Eustachego Skrochowskiego*	38, 244
Kaffa, Osada Genueńska i jej stosunek do Polski w XV. wieku. Studyum historyczne, przez *Maryana Dubieckiego*	57, 216
Z roczników męczeńskich w Anglii (Dok.)	74, 361
Janssen i Historya Reformacyi, przez *Ks. A. Kraetziga T. J.* (Dok.)	91
Celowość świata w stosunku do człowieka, przez *ks. M. Morawskiego T. J.*	355
Zamorskie posiadłości Wielkiej Brytanii, p. *A. M. L.*	177, 377
Strój Żaków Uniwersytetu Jagiellońskiego w XV. i XVI. wieku, przez *Dr. A. Karbowiaka* . . .	209
Nowożytny Racyonalizm biblijny, p. *ks. A. Arndta T. J.*	262, 418
Człowiek w stosunku do religii i wiary, przez *Ks. Antoniego Langera T. J.* (C. d.)	393
Stary ród i dochowane po nim pamiątki, przez *Tadeusza Jerzego Steckiego*	411

Stronnica.

O WYNALEZIENIU PISMA SŁOWIAŃSKIEGO PRZEZ ŚW. CYRYLA, napisał *Antoni Kalina* 432

SŁOWO O PAPIEŻU DO „GAZETY NARODOWEJ", przez *ks. M. Morawskiego T. J.* (Dodatek) I

STEFAN BATORY. W trzechwiekową rocznicę jego śmierci, przez *ks. Stanisława Załęskiego T. J.* (Dodatek) IX

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

AKTA GRODZKIE I ZIEMSKIE. *Dr. Ksawery Liske.* T. XI. Najdawniejsze zapiski sądów sanockich *(Ferdynand Bostel)* . 102

ROZMYŚLANIE O ŻYWOCIE PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSTUSA, przez *ks. Wuchaliusza* (czyli *Wąchalskiego) T. J.* . . . 117

PIERWIASTKI DZIEJÓW OJCZYSTYCH w ich organicznym rozwoju 118

ROKOWANIA POPRZEDZAJĄCE UNIĘ BRZESKĄ, napisał *ks. Edward Likowski* 120

POLSKA XVI. WIEKU pod względem geograficzno-statystycznym, opisana przez *Adolfa Pawińskiego* T. III. i IV. Małopolska *(Witold Załęski)* 282

NOWELLE, napisał *Michał Bałucki (ks. M. Morawski T. J.)* . . 290

O FILOLOGII, przez *Józefa Kazimierza Plebańskiego (Szymon Matusiak)* 292

BŁĘDY NASZE W MOWIE I PIŚMIE ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy, zebrał *Aleks. Walicki.* . 293

KILKA WSPOMNIEŃ O X JULIANIE LESZCZYŃSKIM, Proboszczu Wielogłowskim, spisał *X. M. P.* 295

MALARSTWO RUSKIE, przez *Marjana Sokołowskiego (ks. Eustachy Skrochowski)* 452

ROK 1386. W pięciowiekową rocznicę napisał *Stanisław Smolka (hr. L. Dębicki)* 457

O PRZYSIĘDZE, mianowicie o zasadach prawnych Kościoła jej dotyczących, z uwzględnieniem wpływu takowych na prawodawstwo świeckie, zwłaszcza na prawo rzymskie i na dawne prawa germańskie. Napisał *Dr. Józef Brzeziński (ks. A. Kraetzig T. J.)* 462

CREDO. Historya konfederacyi Tyszowieckiej, przez *J. P. Leliwę* 464

KILKA SŁÓW O HYGIENIE DUSZY. Odczyty miane w Towarzystwie Przemysłowem, przez *hr. Wawrz. Benzelstjerna Engeström* 466

MŁODOŚĆ BOHDANA ZALESKIEGO, przez *Hugona Zatheya* . . . 467

Z piśmiennictwa zagranicznego:

BOSNIEN GEGENWART UND NÄCHSTE ZUKUNFT — i — BOSNIEN UNTER ÖSTERREICHISCH-UNGARISCHEN VERWALTUNG . . 121

LES ORIGINES DE LA CIVILISATION MODERNE, par *Godefroid Kurth.* 126

DAS ITALIENISCHE STAATSKIRCHENRECHT, auf Grund der neusten Rechtsprechung, systematisch erläutert von *F. Geigel* . . 127

LE LIGUE ET LES PAPES, par M. le C-te *Henri de l'Épinois* . 128

Stronnica.

Die preussische Beamten- und Militär-Herrschaft und der polnische Aufstand im Gr. Herz. Posen im Jahre 1848. Von *J. Ed. Pehmler* 129
Cursus Scripturae Sacrae: *Commentarius in Prophetas Minores* per *J. Knabenbauer S. J. et Introductio in Nov. Testamentum* per *R. Cornely S. J. (ks. A. Arndt T. J.)* 298
Le clergé français réfugié en Angleterre, par *F. X. Plasse* 306
La Franc-Maçonnerie sous la 3-me République d'après les discours maçonniques par *Adrien Leroux* 307
Le Christianisme, ses dogmes et ses preuves. Causeries théologiques, par *M. l'Abbé Verger* 308
Geschichte der Päpste, seit dem Ausgang des Mittelalters, von *Dr. Ludwik Pastor* 308
Główne Kierunki Powieści Rosyjskiej. 467
François Xavier de Mérode, par *Mgr. Besson.* 486
Études sur le scepticisme de Pascal, considéré dans le livre des Pensées, par le Docteur ès-lettres *Edouard Droz* 487
Denk-Pfennige zur Erinnerung an Personen, Zustände und Erlebnisse vor, in, und nach dem Expiationsjahre 1848, von *Sebastian Brunner.* 489
Einige Bemerkungen über Dr. A. Zimmeter's Abhandlung: „Die europäischen Arten der Gattung Potentilla". von *Bronisław Błocki.* 489
Lehrbuch der Religion. Ein Handbuch zu Deharbe's katholischen Katechismus und ein Lesebuch zum Selbstunterrichte. Von *W. Wilmers* 490

Z pism peryodycznych:

Muzeum, czasopismo Towarzystwa Nauczycieli Szkół wyższych. Rok 1886 *(Dr. K. Petelenz)* 130
Stimmen aus Maria Laach. Rok 1886. Zeszyty: 1—5 . *(ks. A. Arndt T. J.)* 309

Rozmaitości:

Grób ludzki z okresu paleolitycznego. — Święto Pozytywistów. — Dwa listy Lorda Churchilla do Szkockiego Związku Protestanckiego. — Upadek moralny, sztuka i widowiska teatralne Warszawskie 135
Program nowych pism postępowych w Warszawie. — Nowe książki 314
Wydawnictwa misyonarskie na Wschodzie. — Biblioteka Rodzinna 490

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Październik.

Sprawy kościoła: Encyklika do biskupów Węgierskich. — Kongres katolików niemieckich w Wrocławiu. — Kwestya powrotu zakonów do Niemiec 145

Stronnica.

Z Berlina: Ruch socyalistyczny 155
Listy z nad Baltyku, IX.: Geograficzne położenie Liwów. — O samej ich nazwie. — Źródła do tego przedmiotu. — Statystyka ludności krajowej. — Obyczaje dawnej i nowej szlachty tamtych stron. — Ludność miejska. Przez *br. Gustawa Manteuffla*. 166
Rzymsko-katolicka Akademia Duchowna w Petersburgu. 174

Listopad.

Sprawy kościoła: Kongres w Liège. — Antykościelna agitacya we Włoszech. Przez *ks.* P. *Badeniego T. J.* 317
Kronika warszawska: Tegoroczny sezon martwy. — Ruch jesienny. — Polityka i nasze życie społeczne. — Przemysł w Królestwie i Niemcy. — Memoryał Komitetu Giełdowego. — Niwa. — Wiek i antysemityzm. — Studya nad pozytywizmem. — Zapisy do szkół. — Fundacya hr. Władysławowej Branickiej. — Kto dziś funduje kościoły? — Cud w Częstochowie. — Zdania pozytywistów. — Badania naukowe „Prawdy". — Pozytywne zasady warszawskich pozytywistów. — Z obozu przeciwnego. — Biesiada Literacka. — Dzieła Albrechta Wilczyńskiego. — Złota Przędza. — Na rozstajnych Drogach — Sowińskiego 327
Listy z podróży do Australii: II. 27 października 1885. Na parowcu „Oceanien". — Kanał Sueski 335
Bank ziemski w Poznaniu 342
Wspomnienia z austryackiej pielgrzymki do Lourdes, odbytej w sierpniu r. 1886. Przez *ks. Czesława Wądolnego* . 345

Grudzień.

Sprawy Kościoła: Encyklika do biskupów Portugalskich. — Nowe prawo szkolne we Francyi. — Okólnik „Wielkiego Wschodu Włoskiego". — Zamiary i pragnienia włoskich radykałów. Przez *Ks. J. Badeniego* 494
Z Wiednia: Projekt do ustawy o zakładaniu Izb robotniczych. — Zmoblizowanie kredytu hipotecznego. — Ustawa ograniczająca egzekucyę 503
Wspomnienia z Austryackiej Pielgrzymki do Lourdes, odbytej w sierpniu r. 1886. Przez *ks. Czesława Wądolnego* (Dok.) 510

Korespondencya Redakcyi 353

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski T. J.